



STEFAN ŻEROMSKI

---

## **Dzieje grzechu**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

STEFAN ŻEROMSKI

## Dzieje grzechu

W czasie powrotu do domu Ewa miała oczy spuszczone. Wszystkimi siłami starała się nie patrzeć na przechodniów i unikać ich wzroku. Wiedziała przecie, że każdy przechodzący mężczyzna... Chciała widzieć i spod powiek widziała jedynie wyslizganą szarzynę betonowego chodnika, chropowatą równię środka ulicy z jej dołami i zbitym brukiem drewnianym, nagość bezbarwną drzewek ujętych w żelazne pręty ogrodzeń. Barwy te były podobne do jej myśli i odpowiadały potrzebie duszy. Dbała o to, żeby myśli były właśnie takie, pozbawione piękności, jak gdyby odbarwione ze wszelkiego uroku. Była bowiem szczególnie wzniosłość i nieznaną powab w tym dobrowolnym i pilnym wyzbyciu się wesela. Nie rzeczy się też przesuwały, lecz niematerialne wrażenia, nikłe uczucia w różne postaci zamknięte. Przez nieuwagę jedynie postrzegała konary, gałęzie i pręty drzew skweru, profile kamienic, osrebrzone od słońca porankowego. Drzewa czarne, jakby urobione z węgla... Spulchniona rola skweru... Ślady na niej grabi niby ślady zabawy dziecięcej. W świeżym szarym gruncie poobcinane patyki krzewin. Na chodniku nieoczekiwane cienie drzew. Cienie smagłe, cienie ruchome i żywe! Widły, pnie, gałązki! Nogi wstępują na żywe pnie. Uczucie niepostrzegalne, że się niedelikatnie przeszkadza cudzemu bytowi... W okrągłych zagłębieniach pod żelaznymi kratami dookoła pniów<sup>1</sup> uwięzionych — jeszcze śnieg. Czarny śnieg, przywalony nawozem, odpadkami, prochem śmieci, górami niedopałków. Ciemność mogiły... Lecz już tam trawa zielona puściła pędy. Wiatr chwieje i nagina małeńkie jej pióra. Wiatr chłodny, rozwichrzający włosy, dociera do ich korzeni. Mnóstwo wszędzie połysków, skupień światła, ognisk, polśniewań, barw...

Żebak! Leży na chodniku przy marmurowych schodach wielkiego gmachu. Wyciągnął kule i potworne kikuty. Rozwalił się jak u siebie na barłogu. Łachmany szare. Twarz potężna, wzgardliwa, oko głęboko nienawidzące. Wyciągnął rękę. Ujrzała podarte i zatłuszczone wnętrze jego czapczyny. Rzuciła w nie wszystko, co miała: srebrny pieniądz czterdziestogroszowy. Niespodziewane zastanowienie, cudze otamowanie: gdyby tak każdemu dziadowi... W tej samej chwili serdeczny żal i tępa rozpacz: — czemu ten człowiek nie zabija, lecz jęczy; czemu nie łży, lecz błaga?

Uczucie ciężkie i nieruchome poruszyło się w piersiach i popłynęło, popłynęło palącymi strugami. W ślad za nim samowładne słowa:

— O miasto, miasto! Gdybyż była w człowieku moc, żeby mógł przycisnąć do piersi ciebie, o miasto! Gdybyż można było odkupić wszystek nieszczęśliwy świat... Odkupić świat z rąk łotrów, z posiadania plugawych tyranów, z władzy oszustów, bogaczy, panów — z opieki najgorszych i najpodlejszych — biernych widzów, obojętnych, jedzących w spokoju i pijących w weselu... Jakże tu żyć, chodząc w sukniach pięknych, co osłaniają ciało aż do ziemi — pomiędzy łachmany żebraków? Jakże można dawać jałmużnę, brud ręki swej, na pożywienie bratu — bliźniemu?

Łzy z najgłębszej krynicy serca przemknęły się między zwartymi powiekami, niepostrzeżenie. Chwila głębokiej skruchy, męki strasznej i groźnej. Serce w piersiach ukrzyżowane, w niemocy swej gwoździami przebite. Wytryska zeń i szybuje żądza ofiary.

W górze nad głową wszędzie obecny, roztoczony firmament. Słowo olbrzymie, miłościwe, kojące, słowo drogocenne! Ogarnia sobą męczarnię. Jak nowy powiew wietrzyka

Żebak

<sup>1</sup>pniów — dziś popr. forma D.lm: pni.

przefruwa znowu ta sama, dawna, cudna i głupia myśl-pokuszenie: doskonałość duszy, czystość serca... jest to także egoizm. Jakże tu iść w swej czystości wśród grzechów straszliwych świata? Chrześcijanin powinien przecie zbawić ludzkość, gdyż inaczej...

Myśl ulotna przefrunęła, dziwnie szemrząc, jakoby wiatr w gałęziach brzoź. Lecz za nią nadciąga inna, myśl cofająca się w tył, myśl ślepa i zamknięta w sobie, patrząca w ziarno rzeczy i nieubłagana, jakoby owoc przedziwnej wiadomości, który by stoczył się we wszystko, czym kiedykolwiek był — w zawiązek, w kwiat, aż do samego początku:

„Bądźcie pozdrowieni, upadli, grzesznicy obarczeni przez zbrodnie! Pan z wami, zbrodniarze. Niechaj się dusze wasze uciszą. Niech sen zejdzie na wasze powieki. Wytchnijcie w spokoju, zbrojcy i mordercy, wyrzuceni z rodu ludzkiego”.

Ewa minęła szereg ulic półbezwiednie, nie pozwalając uczuciu swemu obniżyć się i zmaleć. Niosła je w sobie z ostrożną czujnością, podobnie jak pierwsi chrześcijanie nosić musieli na przeciągu korytarzy podziemnych, w głębi nocy, kaganki gliniane, u których końca płonął nikły knotek zanurzony w oliwie. Na poły wiedząc o tym, gdzie jest, weszła w bramę, oddała grzeczniejszy niż zwykle ukłon stróżowi Ambrożemu. Uroczymi, przesłicznymi krokami<sup>2</sup>, melodyjnie pewnym stąpieniem dzikiej kozy po skałach, przebyła asfaltowy chodniczek, przeciskający się w poprzek dziedzińca między prastarym brukiem.

Wiatr gwałtowny zawał zza drzwi obłupanych ze starej, wiecznie rozwartej i, niestety, wiecznie cuchnącej, „chorej” sieni. Chłodnym tchnieniem ogarnął nogi aż do kolan, wcisnął się pod suknie... Zaśmiała się wbrew woli, wewnątrz i ustami, ujrawszy swe śliczne, kochane, połyskliwe buciki na wysokich obcasach, i zakrzyknęła na bezczelny wiatr bez wydania głosu: — ach, ty!...

Skończył się chodniczek ową dziurą wylupaną przed laty, wyrwą, którą noga zna tak dobrze, jak wnętrze rozkosznie milego bucika — biedną, starą znajomą „kawerną”. Jeszcze w niej tai się jędrza-kaluża, ostatni ślad nocy wichrowych. Ewa rzuciła okiem w okna mieszkania, na brudne szyby, niemyte od jesieni, na zeschnięte ślady szarug, deszczów, kurzów, na futryny obłupione z pokostu i kitu, i wkroczyła, wzdychając, na schody. Ciężko jej było iść po tych schodach poprzecznej oficyny. Były paskudne jak życie oficynowe: brudne, lepkie od zbloconych nóg, z wyslizganą poręczą od niezliczonych rąk, które jej dotykały w biegu, w pośpiechu ubogiego życia.

Szła, marząc czy modląc się pragnieniami, żeby to wyprowadzić stąd rodziców, żeby to coś takiego przedsięwziąć, aby mogli wyjść wszyscy z tych miejsc, dokądś na lepsze...

Ciche, nieznanne w codziennym życiu westchnienia spływały, na wargach przeistaczając się w szept lecący w górę. Wiedziała, że nic uczynić nie może, nic poradzić, nic zmienić, ale wiedząc o tym, oddawała się konieczności szeptania, które z jej piersi ulatało jak oddech. Nie wiedzieć kiedy stanęła przede drzwiami. Mimo woli oparła się o odrzwia ramieniem i, trzymając już rękę na guziku dzwonka, śniła przez chwilę. Tak przykro było wracać do domu z powietrza, które już nasiąkło zapachem fiołków i drgało wiosennym gwarem... Jeszcze miała w oczach te smużki i kępki maleńkiej a połyskliwej trawy, co się koło żelaznych sztachet i ogrodzeń chyłkiem czaiły. Teraz oczy jej leżały bezwładnie na drzwiach zamkniętych, uczernionych i wyswiechtanych w pobliżu klamki — na biletach wizytowych szanownych lokatorów. Czytała z ohydą stokroć znajome litery: — Jan Faustyn Cygler — a pod tym napis głupekowaty, nie wiedzieć czemu olbrzymimi literami: „Dzwonić trzy razy!”. Obok nie mniej srogimi kulfonami wylitografowane nazwisko: — Stanisław Czapowski — Stud. Med. Dalej: „Dzwonić dwa razy”. Na górze ordynarnym i zaiste chamskim drukiem: — Adolf Horst — Filozof — „Nie dzwonić ani razu”. Najniżej to posępne miejsce bielsze, puste — i znaki po świeżo oderwanym bilecie, cztery czarne zagłębienia po pluskiewkach. Ewa zatrzymała wzrok na białej plamie. Czoło jej zmarszczyło się, twarz przybrała wyraz bolesny.

„Kto też najmie ten pokój? Boże, Boże! Tyle czasu pokój stoi pustką!”.

Była to jednak obłudna, a przynajmniej na pół świadoma troskliwość. Ewa usiłowała nią zatrzeć (w interesie czystości duszy) obrazy i myśli, które ją tłumem obiegły, skoro tylko rzuciła okiem na napis: — Adolf Horst — Filozof — „Nie dzwonić ani razu”.

<sup>2</sup>zdrowymi, przesłicznymi krokami — daw. składnia; dziś popr. forma N.lm: (...) krokami.

Jak żywa stanęła jej teraz w pamięci cała spowiedź przed godziną odbyta, wszystkie towarzyszące jej okoliczności, uczucia, wzruszenia, stany bierne, a nawet ruchy i bezwiedne spojrzenia oczu. Jeszcze czuła ścierpienie poniżej kolana od długotrwałego ucisku kości przez ostry gzyms schodka, kiedy przyklęknąwszy niewygodnie przetrwała w jednej pozycji całą spowiedź. Jeszcze czuła na twarzy swej spoczywający wzrok kapłana i oddech jego ust. Teraz ogarnęło ją przedziwne lenistwo ciała i ducha. Wszystka tajemnica i potęga spełnionego aktu spowiedzi była jakoby brzemień złożone z ramion. Nie zeszło jeszcze z głowy, nie osunęło się z myśli. Przeciwnie — minęła już rozkosz biernego pocucia, że święty obowiązek został wypełniony, wrażenie radości, że już jest po wszystkim, które niosło ją było niby mroczny a miły obłok przez ulice miasta i zasłaniało przed oczyma ziemię. W chwili gdy stała pode drzwiami domu, wracało, włamywało się do duszy i oblegało zmysły dotykalne, leniwe uczucie życia. Ewa nacisnęła dzwonek i usłyszała znajomy tupot nóg służącej. Skoro się drzwi otwarły, wsunęła się cicho i pochwyciwszy za rękaw kucharkę, szeptała jej do ucha ze zmarszczonymi brwiami:

— Leoska, nie masz do mnie o nic żalu? Nie gniewasz się na mnie? O nic, gadajże?

Tamta wytrzeszczyła idiotycznie oczy, zachichotała — aż nagle poczęła z przejęciem szeptać:

— Była panienka u księdza Jutkiewicza?

— Byłam. Przebaczasz mi wszystko?

— No, przecież! Cóż znowu nie mam przebaczyć...

— Ale słuchaj, z serca!

— No! A do Stołu Pańskiego panienka przystąpiła?

— Nie, jutro.

— Czemu?

— Bo już było za późno.

— Widzicie! Jakże to cały dzień i całą noc bez grzechu. Panienko, chodźmy stąd!

Uciekajmy!

— Dlaczego?

— No, dymajmy — i tyle!

— Powiedzże prosto!

— Nie powiem.

— Kiedy to z tobą zawsze! Chcesz, widać, żebym się w takim dniu rozzłościła.

— A to niech sobie panienka wie! Nie moja wina, jeśli panienka...

— Cóż takiego?

— A to, że znowu u Horsta ta sama dziewczka, ta, co to malowana na gniado<sup>3</sup>...

Obiedwie<sup>4</sup> na te słowa pierzchnęły<sup>5</sup> z korytarza w takim popłochu, jakby w nie z pistoletu strzelano zza węgła — jedna prosto, we drzwi kuchenne, druga na prawo.

Wbiegłszy do pokoju, który był w całym mieszkaniu jednym schronieniem rodziny, Ewa przypadła na łóżko za parawanem. Skuliła się tam natychmiast i co tchu zabrała do pracy duchowej, zupełnie jakby się wszystka, z głową, nakryła wielkim całunem kościelnym. Siedziała z rękoma obwisłymi, z głową pochyloną na piersi, z oczyma zamkniętymi. Zrazu modliła się cicho, wymawiając boleśnie i z trudem prawdziwym wyrazy: „Panie Boże mój! Jakże ja nędzna odważę się przystąpić do Ciebie, którego tyle razy obraziłam? Panie! Nie jestem godna, abyś wszedł do przybytku serca mego! Jezu, pomnóż pokorę moją...”. W miarę jak wielekroć wymawiała te słowa, szerzyła się w niej jak gdyby jasność owego kaganka, z którym w sobie szła przez ulice miasta. Poczęły wynikać w duszy pożądane obszary, rozwierać się i przeistaczać ni to w okolice nieznanne o poranku, okryte jeszcze mgłą...

Było dobrze iść wśród tego świata duszy, iść dokąd oczy poniosą. Było dobrze i lekko, obrawszy którykolwiek kierunek, wędrować z rozstajnych dróg, na których teraz stała. Zaszemrały nad głową słowa-tchnienia, słowa-poszumy, jakoby szelest liści odwiecznych w jakowejś ciemnej alei...

Mocne postanowienie poprawy!

<sup>3</sup>na gniado — na kolor ciemnobrązowy; wyrażenie utworzone od nazwy maści konia o sierści brązowej, lecz z czarną grzywą, ogonem i dolnymi częściami kończyn.

<sup>4</sup>obiedwie — dziś: obydwie.

<sup>5</sup>pierzchnęły — dziś popr.: pierzchnęły.

„Jakże to zrobić? — zadała sobie natarczywe pytanie. „Jak to zrobić doskonale, mocno, na zawsze? Żeby móc wiecznie spać na trawie zwanej »Baranek Czysty«? Żeby mieć boskie prawo zawsze stać przy Krzyżu duchem przez rozmyślanie, a rzeczywiście przez Komunię Świętą?»”

Przymknęła powieki, zacisnęła ręce, nabrała pełne piersi mocnego tchu... Idzie przed się znowu dalej w wiośniany kraj, potężnymi krokami. Poprzysięga sobie w duszy, samej sobie rozkazuje, co i jak teraz będzie czyniła. Wszystko, co w chwili tej postanawia, okazuje się do wykonania łatwe, rysuje się jako mądre i tak proste, tak naturalne i celowe, jak na przykład kształt drzwi, budowa domu, pomysł i wykonanie szafy. Czemuż człowiek nie ma być tym, czym być chce? Dlaczego nie być czystą, dlaczego nie być dziewicą nie tylko ciałem, lecz i duszą? Ażaliż lepiej jest być czymś brudnym niż czystym? Czyż kwiat może być brudny, obłany pomyjami? Czy mógłby żyć obłany pomyjami? Czyż nie jest to rzecz prosta a najmądrzejsza, że kwiat jest czysty? Bóg go stworzył po to, żeby był czysty. W duszy, w pamięci, w uchu brzmią teraz słowa kapłana... Świętego Pawła słowo do Koryncjan: „Wszystko mi wolno, ale nie wszystko pożyteczne...”. A dalej przykład, wyjęty ze świętego Franciszka Salezego, o drzewie migdałowym, którego owoce przemienia się z gorzkich na słodkie za pomocą wypuszczenia z pnia złych soków.

Ewa zapytuje samej siebie, czemu by nie miała wznieść się do tej poprawy i stanąć w cnocie czystości obok oblubienicy z *Pieśni nad pieśniami*, obok tej, co w palcach swych precedza mirrę, płyn broniący od zepsucia — tej, co ma oczy przepasane przepaską złotą na znak czystej mowy, co ma oczy jak gołębicę?... Ogarnia ją rozkosz tego obrazu, porywa wyniosłość pragnienia, zdejmuje wola mocna, odurzenie precudne, żeby się wznieść ku dobru wysokiemu. Wyplenić ze siebie obmierzłe upodobanie do kokieterii, wytrącić z duszy ową rozkosz niewymowną do szelestu jedwabiu, do piękności sukien, które owiewają ciało różowością jutrzienki albo lazurem wiosennego nieba — do połysku pantofelków lakierowanych — dreszczowy czar zwiastujący (zawsze, zawsze!) nadejście studenta (a nawet tego gałgana Horsta!). Nigdy już, przenigdy (przysięga to sobie!) nie pójdzie, niby to przypadkiem, a w gruncie rzeczy ze świadomym zamiarem ujrzenia Czappowskiego (przysięga to sobie), gdy on wychodzi... Nigdy już nie zaszeleści jedwabną halką jak wówczas, kiedy to stanął na schodach i zwrócił na nią wielkie marzące oczy... Głupiec jeden, kabotyń, oślak! Co on sobie mógł wtedy myśleć! Po pierwsze — won! — pantofle. Od jutrzejszego dnia trzewiki, kłapy, błotochody, ciapostępy — trzewiki do skończenia świata! Po drugie — halka. Won!

Zatkała uszy, żeby nie słyszeć jedwabnego szelestu precudnej ulubienicy ze ślubnej niegdyś sukni matczynej, zachwyty swego i radości. Zamrużyła oczy, żeby nie widzieć żółtego połysku przepięknych bucików, wysmukłych, obcisłych, na wysokich korkach. Ileż to razy wycalowała je oczyma, wypieściła myślą, gdy jeszcze stały na wystawie za wielką szybą, na lustrzanej tafli. Straciła na nie wiele, wiele nocy, przepisując akta biurowe do rana. Teraz — won, won, won!

„Won!” — powtórzyła raz jeszcze.

Myśli po tym rozkazie pierzchły na wszystkie strony. Jakiś tylko szum w uszach, szelest wyrazów... Wymawia się *won*, a pisze się *Vaughan*. — Księżniczka... Księżniczka *Vaughan*! Prześliczne, błękitne oczy, sploty włosów, głowa lekko pochylona na prawe ramię. Na głowie kapelusik z czarnej materii, jedwabnie lśniącej, rodzaj splaszczonego cylinderka, z szerokim rondem i rozszerzeniem w kierunku dna. Kapelusz otoczony woalką nieopisanie pięknego koloru. Obnażona szyja i błękitny paltocik z bufiastymi rękawami. Ach, ty śliczna, ty precudowna, ty śmieszna! Gdyby tak teraz wyjść w tym paltociku, w tym kapeluszu, z tą woalką! Z tą bajeczną woalką! Księżniczka *Vaughan*...

Widowała ją tylekroć na wspaniałej miniaturze w mieszkaniu lichwiarki Barnawskiej! Zawsze posyłała jej uśmiech, jak przyjaciółce, jak siostrzyczce. Gdzież ona żyła, kiedy, co robiła? Nie ma jej nigdzie na ziemi, nie ma nigdzie! Umarła przed setką, a może przed setkami lat... Ona umarła — ten uśmiech umarł, te oczy, ten promień słońca zagasł! Ta bliska sercu, ta przyjaciółka, ta droga — to złudzenie! Ach, gdybyż to z nią wszcząć rozmowę, posłyszec pieśzcotliwe słowa z tych czarodziejskich ust, które milczą dyskretnie tyle już lat, które unik? ją wyznania prawdy i uśmiechają się wiecznie ponad głowami tylu ludzkich pokoleń! Gdyby ją spotkać choć we śnie...

„Księżniczko — szłybyśmy razem w Aleje — ja i ty... Toż by to wy\_ trzeszczali trzeszcze, gapili się, szeptali o nas... O mnie i o tobie... O której by szeptali, że piękniejsza? Powiedz, powiedz prawdę, księżniczko!”

Spostrzegła się, o czym myśli... Spuściła oczy na książkę francuską, która Bóg wie skąd i kiedy zabląkała się między rupiecie domowe, na *Choix des monuments primitifs de l'Eglise*<sup>6</sup> — i na ów rozdział z pisma świętego Cypriana, który częstokroć musiała czytać z polecenia matki: *De la conduite prescrite aux vierges*<sup>7</sup>:

„Gdy wspaniale uczesane i przystrojone zjawiacie się wśród ludzi, ściągacie na się oczy i westchnienia młodzieży, gdy zapalacie w sercach ogień miłości — cóż z tego, że nie giniecie same, skoro gubicie bliźnich, dla których niebezpieczniejszymi jesteście niż żelazo i trucizna”.

„Ech, »żelazo i trucizna« to znowu przesada! — pomyślała (ze wzruszeniem ramion i z lekka wywieszając język) prędzej, niż była w stanie zorientować się, jaki grzech popełniła.

Schyliła się tedy jeszcze bardziej i zatopiwszy się wszystka w medytacji marzyła po polsku, czytając wiersze francuskie kazania:

„Jeżeli pozostaniesz czystą i dziewicą — jesteś równą aniołom Boga. Usiłuj zachować całość dziewictwa twego i skończyć z wytrwałością, coś z męstwem zaczęła. Nie ubiegaj się za ubiorami ciała, lecz za cnotą duszy. Zatapiaj się w Bogu i w niebiosach, a wzniośszy już oczy tak wysoko, nie zniżaj ich ku ziemi...”

„O Boże mój!...” — wdychała z radością, wdychała weselnie nad tymi cudnymi wierszami. Zrozumiała ich pachnący, jakoby lotny i rozkwitły sens i unosiła się oczyma ku niebu. Toteż z najwyższą przykrością posłyszała jednokrotny dźwięk dzwonka.

Tupot nóg Leoški. Za chwilę wsunął się do pokoju ojciec. Był po wiosennemu wyświeżony, w letnim paletku, które liczyło już sobie dziewiątą czy dziesiątą wiosnę i zdołało przybrać odcień zielonkaworudy. Nie mniej wiosennym kolorem uderzały wąsy podkręcone, z rana uczernione na szwarc szatański, a obecnie nabierające od promieni słonecznych barwy świeżo skoszonego, aczkolwiek już nieco podeschłego sianka. Stary pan miał w dziurce od klapy paltota wetknięty pięciogroszowy bukietek fiołkowy, na prawicy rękawiczkę z palcami wielokrotnie ześcibianymi czarną nicią. W lewej ręce niósł pieszczotliwie sławną swoją laseczkę, pamiątkowy dar imienninowy od „grona” przyjaciół, z rączką notorycznie posrebrzaną, w kształcie zgiętej nogi końskiej, z monogramem stosownym i datą. Pan Pobratyński nucił wbiegając do pokoju. Zmrużone jego oczy przeszukały wszystkie kąty pokoju, ucho uchwyciło dźwięki dolatujące z kuchni.

Gdy intelekt przyszedł do samowiedzy, że „żoneczka” nie jest w lokalu obecną, znużone ciało radośnie spoczęło w szerokim fotelu obok szafy, obwieszonym arcydziełami szydełkowej roboty. Pan Pobratyński dumiał tam chwilę, nie zdejmując kapelusza, naprzeciwko okrągłego stołu, skazanego na dźwiganie serwetki i wiecznie krzywej, „ozdobnej” lampy, którą ze swej strony ozdabiał, oczywiście, abażur ze strzyżonej bibułki. Gdy stopy pięknego starca, obute w kamaszki wylękle z obwisłymi melodyjnie gumami, spoczęły na dywaniku ze strzyżonych kawałków, głowa jego pochyliła się w stronę Ewy. Błede, wypełzłe, odbarwione oczy, oczy-przylaszczki spoczęły na tej twarzy. Figlarny uśmiech wykwitł na wargach.

— Jakże też tam z rozgrzeszeniem? Czy aby?...

Ewa wstała ze swego miejsca i podeszła do ojca. Nie podnosząc oczu pocałowała go w wyświechtaną rękawiczkę. Stary pan potarł się o nią ramieniem, potem połą surduta. Przechylił głowę i usiłował zajrzeć w oczy. Oczy te były spuszczone... Za chwilę jednak uśmiech taki sam jak u ojca, uśmiech radosny, ni to figlarny, ni to smutny, uśmiech ladaco i nie wiedzieć co, ukazał się na jej ustach. Spojrzała w wypłukane oczy. Zaśmiali się oboje wraz jednako. Przypadli do siebie na chwilę: głowa do głowy, usta do ust, oczy

<sup>6</sup>*Choix des monuments primitifs de l'Eglise* (fr.) — wybór pamiątek (pomników) początków Kościoła.

<sup>7</sup>*De la conduite prescrite aux vierges* (fr.) — o przepisowym prowadzeniu się dziewczyc.

do oczu. Staremu spod powiek wylazły jakoweś *quasi*-lzy i wnet się skryły. Z piersi jęknęło jakoweś westchnienie — i przepadło.

— Dałabyś staremu ojcu troszeczkę tej świętości, skąpico jedna!... — szeptał cicho, patrząc z bezbrzeżną czułością na jej włosy jasne — jasne, kołyszac ją na sobie, jakby była sześciolletnią smerdą, którą huśtał na nodze...

— A to niech tatko sam sobie pójdzie do spowiedzi... — powiedziała kokieteryjnie, wodząc wargami po jego czole, między oczami, po policzkach.

— Ja... tego... Owszem, dziecko, ja pójdę. W tych dniach się nawet, *ma foi*<sup>8</sup>, wybie-  
rałem.

— Ech!...

— Ale no! Jak honor kocham! Ja ci to mówię...

— Jak honor kocham, ale do cukierni...

— Cicho bądź, jęzdo! To postęпки ojca będziesz sądziła — he? Takie to mocne po-  
stanowienie poprawy życia?

— Gdzie ja tam sądzę!...

— Widzisz, Ewuś, ja już jestem stary, grzeszny człowiek. W starym człowieku, uwa-  
żasz, to się tyle nabiera grzechów, paskudztw, wiadomości... Cóż tam zresztą — ja! Grzeszny człowiek... Ja bym tylko chciał, żeby na mnie nikt uwagi nie zwracał. Nic nie  
wymagam, toteż niech i ode mnie nic nie żądają. Ja na uboczu... Dzisiaj już tego, co  
było... dawniej — gdzie!... Inna rzecz z tobą... *ma foi*... inna. Powiem ci pod słowem  
honoru, że nie masz lepszej rzeczy jak czystość serca i to, wiesz, mocne postanowienie.  
Tak i tak — no i basta. Jak się było w Liceum Świętej Anny... miły Boże.

Oczy starego pana rozweseliły się, zaszyły mgłą. Schylił się ku córce i nie patrząc na nią  
szeptał do ucha:

— Bądź, dziecko, zawsze niewinna, czysta, wiesz, *ma foi*... Tak jak dzisiaj... Ty za  
mnie i za siebie, za mamę, za nas wszystkich bądź czysta. Pan Bóg... Jak się ty za mnie  
pomodlisz, to na pewno, na pewno... i posada... i to wszystko, to wszystko...

— Ale żeby tatko przestał chodzić... „*ma foi*”... do tej knajpy, toby był tatko jeszcze  
bardziej kochańszy... — wzdychała przed nim.

— Co — co?

— Żeby tatko przestał zadawać się z Horstem, ulegać mu, nie dał wyciągać się z domu  
po obiedzie. Prędeż by się i posada trafiła, bo Pan Bóg wszechmogący...

— E... pleciesz koszaly opaly! — mruknął z wyraźną niechęcią. — Co ma wspólnego  
chodzenie do cukierni — z posadą! Gdzie Rzym, gdzie Krym! A jeszcze Horst! Cóż mi  
Horst? Także!... Ja, zrozum to, ja muszę bywać między ludźmi!

— I co może być za przyjemność... — szeptała zapamiętała, nie słuchając tego, co  
mówił... — Brudno tam, obmierźłe, zakopcone. Umyślnie przecież chodziłam.

— A ty po co?

— Te ciasteczka i te, żal się Boże, cukry po prostu śmierdzą. A przecie to dzień  
w dzień. Przecie to kosztuje! Jakże tu mama nie ma narzekać przed ludźmi?...

— Więc i ty żałujesz mi tej jednej małej-czarnej... — mówił z rozdzierającym wy-  
rzutem, patrząc w przestrzeń.

— Jednej małej-czarnej z pasztecikiem i jeszcze z czymś... I jeszcze z drugim czymś,  
a czasami... A ileż to godzin traci się na wysiadywanie! Przy tym te piękne rozmowy  
z Horstem.

— Właśnie tego nie rozumiesz, tak samo jak matka! Właśnie tego! Może być, nie  
przeczę, wysiadywanie bezczynne i bezcelowe, a może też być wysiadywanie-czynność,  
akcja, działanie! Tak, moje dziecko!

Złośliwy uśmiech wydobywał się na jej wargi, toteż go powstrzymywała. Rzekła jesz-  
cze:

— Jednakże wszyscy ludzie z pozycją źle o tym mówią. Niedawno Rokicki przychodzi  
i prosto w nos mówi mamie: „Cóż, pan dziedzic dobrodziej oczywiście w knajpeczce  
z Horścikiem...”. Już mama nawet mówiła, że wolałaby go nie stołować, żeby tylko tatki  
nie wyciągał. Bo jakże mama to wszystko może wytrzymać? Nie ma na to nerwów...  
Szarpie się, żyły ze siebie wyciąga...

<sup>8</sup>*ma foi* (fr.) — doprawdy, dalibóg, słowo daję.

— O, już są i te „żyły”... Naucz się tylko jeszcze tego ulubionego zwrotu mamy: „wbij zęby w ścianę!” — to już przynajmniej będzie cały garnitur. Żyły i zęby! — Gdzie się co takiego dzieje? Nic, tylko przesady, tragedie, opery, hiperbole!

— A tatko znowu tak sobie powie: hiperbole, i koniec. A my ani bielizny, ani ubrania. Wszystko idzie na Barnawską. Żyjemy byle czym... Przecie tak wiecznie być nie może. Musi tatko także pomyśleć! Właśnie i dziś... ksiądz spowiednik...

— Tylko mi aby rzeczy ze spowiedzi nie rozkładaj! Wiesz chyba o tym, że tajemnica spowiedzi... Masz, chwalić Boga, dwadzieścia lat jak oblał...

— Ja, tatusiu, nie ze spowiedzi, tylko że wszyscy... Coraz nam gorzej, coraz gorzej... Mama jakaś rozdrażniona, rozstrojona, niespokojna... A tatko jak gdyby nigdy nic, jakby wszystko szło jak najlepiej na świecie... Ludzie widzą... roznoszą plotki po świecie. A zresztą jest to niewątpliwie prawo Boże...

— No, już ty mi<sup>9</sup> aby nie ucz, co mam robić na świecie! Matka was ponauczała tych na mnie gadań. Sama gada, Aniela gada, teraz nareszcie i ty... Ale ostatecznie, co wolno matce, tego tobie nie wolno — rozumiesz?

Ściągnął dramatycznym ruchem rękawiczkę i wykonawszy szereg ruchów istotnie wytwornych przesiadł się pod okno, tyłem do córki.

Stało tam tak zwane biurko, grat pooblupywany, ze starą politurą, przywalony mnóstwem cacek najrozmaitszego pochodzenia. Kiedy Ewa wróciła ze smutkiem na brzęk swego łóżka, stary pan (ze zmarszczoną groźnie brwią) wydobyl z kieszeni kluczyk, otworzył i wysunął szufladę i zagłębił się w żółtym papierze. Jedne z nich rozwijał z gazet, inne pobieżnie przeglądał, inne wreszcie starannie czytał. Ewa miała oczy spuszczone na książkę, ale myśli jej wbrew woli, uporczywie zaglądały zza ramion ojca w owe papiery. Wiedziała przecie aż nadto dobrze, że pod pozorem przepatrywania starych próśb o posady, świadectw, zawsze „chlubnych”, listów polecających i bilecików odczepnych, ojciec wydobywa na światło dzienne i korzystając z nieobecności żony odczytuje dawne listy miłosne od rozmaitych dam swego serca. Kopie się w skarbach swych. Wzdycha.

Rokrocznie przecież około Wielkiejnocy to czyni.

Gdy słońce przygrzeje, gdy fiołki zapachną w zatęchłych ulicach Warszawy, oddaje się sekretnej pasji przeczytywania żółtych listów. Ewa z matką czytały je również, dobrawszy się do szufladki za pomocą pewnego kluczyka, a cała rodzina miała na określenie tej czynności wyrobioną nazwę.

Mówiono, że tatko przewietrza swe miłości i przesypuje je naftaliną.

Oczy jej mimo woli znowu poszły ku ojcu. Patrzyła na przesliczny profil tej twarzy, widziała niezrównane piękno rysunku subtelnego nosa, doskonałego istotnie kształtu brody, zarysu oka, ucha, owalu głowy. Serce jej poczęło bić z żalu.

To przesliczne białe czoło, tak doskonale lekkomyślne, to czoło „pańskie” poryły już, ośmieliły się poryć wzdłuż tyloletnie myśli o posadzie. Dookoła najcudniejszych męskich oczu, oczu, nad którymi, zdawało się, starość nie będzie miała siły wykonać swej władzy, utworzyła się trwożliwa sieć zmarszczek. Białe, wypieszczone ręce ze szlifowanymi paznokciami, ręce bezsilne i bezwładne, pośpiesznie mięły, przerzucały stare papiery. Ewa poczuła, że zagłębiając się w myśli o ojcu popadnie w grzech, że już się grzechowi oddaje, płacząc nad jego dolą. Bo gorzko bolała nad tym, że ojciec cierpi patrząc na żółtą listy, na minione miłości, na zaszłe już słońce swego życia... Westchnęła patrząc mimo wiedzy na natarczywą wszędzie-obecność grzechu, na jego niezwalczoną władzę.

Zrozumiała, że nie powinna teraz pozostawać w jednym pokoju z ojcem. Wstała tedy i na palcach wyszła. Było jej lekko, grzesznie, ale lekko na myśl, że wyświadczy mu usługę, gdy będzie mógł bez świadków i bezkarnie czytać swe „dokumenty”, wzdychać nad nimi bez kontroli i upuszczać w martwe papiery martwe łzy.

Zamykając drzwi bez szelestu, z uśmiechem anielskim, widziała, że nie odwrócił głowy. Westchnęła bez możliwości powzięcia myśli, że grzech już spełniony... Miała zamiar pójść do kuchni i tam między szafą i zlewem, w kącie, odprawić dalszy ciąg medytacji, ale oto przypomniała sobie o wolnym chwilowo pokoju i, uradowana niewymownie tym odkryciem, weszła tam natychmiast.

<sup>9</sup>mię — daw. forma zaimka, co do zasady występująca w pozycji nieakcentowanej w zdaniu; w pozycji akcentowanej zastępowana formą *mnie*, analogicznie do form *cię*/*ciebie*.

Pokój ów od kilku tygodni stał już pustką. Jak trzy inne, był wynajmowany przez rozmaitych „kawalerów” i nosił na sobie ślady kawalerskiego żywota. Tapety na ścianach były tak poobdzierane, pełne dziur, z których sypało się suche wapno, usiane istnymi ranami od gwoździ, bretnali i haków, wbijanych w miejscach najmniej prawdopodobnych — jakby w obrębie tych czterech ścian toczyły się jakieś zapasy na drągi, maczugi, dzidy i włócznie. Dookoła drzwiczek pieca kafle były spękane, przepalone i czarne. Rura blaszana, uchodząca z wierzchołka jego w ścianę, okryta była kurzem i popiołem, a całą okolicę swego istnienia powlekła sadzą. Sprzęty, jak łóżko, szafka, potworne obrazki, służące jakoby do „ozdoby” lokalu — wszystko, na co padły oczy, było sponiewierane, poniekąd udręczone, jak rzecz cudza, a przecie należąca do tego, kto za jej chwilowe posiadanie płaci — więc wyzyskana i wzięta niejako za gardło. Stolik, którego najszczerzej sosnową prostoduszność suto i wielekroć powlekła politura domowego rozprowadzania, znowu miał na wierzchu swym pobojuwisko pełne dziur, bolesnych oparzelisk od węgla samowarowych, od szybko nastawianych maszynek, i istne rany wystygłe od żrących jodyn, terpentyn, spirytusów oraz kawalerskich soli i kwasów. Podłoga była nie dość że wydeptana, ale wprost powygryzana gwoździami obcasów. W rogu, gdzie zanudzała swym widokiem ohydna „umywalka” blaszana z drzwiczkami wiszącymi na jednym haku, było najbardziej sponiewierane miejsce pokoju.

Ewa wszedwszy tam doświadczyła uczucia ohydy. Nie, nie będzie w stanie modlić się w tym miejscu! Pokój ten był czymś publicznym, zużyтым i, jako właśnie rzecz publiczna, jakby oplutym i spaprany. Wszelaki brud życia zdawał się cuchnąć ze ścian, kurzyć się z podłogi, kątów, szpar, sprzętów... Wśród tego wrażenia, potykając się o myśl, co robić teraz, stojąc bezradnie z przymkniętymi powiekami, Ewa zniemacka ujrziała prawdę: toż to jest obraz mojego życia przed spowiedzią!

W tejże chwili nawiedziła ją łaska skruchy i łaska głębokiego żalu. Po wtóre, a z równą siłą, jak w chwili szeptania drżącymi wargami w ślad za głuchym łoskotem serca słów Spowiedzi Powszechnej, popadła w rozczulenie ducha. Po wtóre stała się duszą grzeszną i drżącą ze wstydu pod nawalem ciężkiego aktu. Ciało jak przy konfesjonale osunęło się na ziemię. Kolana uderzyły o podłogę, głowa bezwładnie oparła się o plugawą ścianę.

Z warg gorzkich i suchych padały słowa surowe, niezblągane, pełne najoczywistszej prawdy: „Ja grzeszna spowiadam się Panu Bogu Wszzechmogącemu”...

Owładnęły nią ataki, głuche impulsy i dreszcze rozbudzonego sumienia. W drzeniu ciała, w trwodze i prostracji<sup>10</sup> szukała po ciemku w głębinach duszy — czy wszystko, czy wszystko?... Wyraźne, niemal olśniewające wspomnienie nasunęło tamtą chwilę: zgubiony w drodze do domu zarys twarzy spowiednika, brzmienie jego szeptu, szczególny sens każdego wyrazu i osobliwą, męską niejako barwę i bryłowatość słów. Pamiętała coraz żywiej tę chwilę, kiedy ujrziała tuż za grubą i kanciastą kratką błysk szychu stuley i jakąś fioletową jej półbarwę; dolną część ucha, nieco rdzawego policzka z sinością świeżo ogolonych włosów... Pamiętała początkową oschłość głosu, zapytań martwych, jakby urzędniczych. Powtórnie przeżyła wrażenie przejmującego popłochu, sromu bezgranicznego, iście kobiecej niedoli, ową chęć ucieczki chyba pod posadzkę, kiedy kapłan zwrócił się ku niej twarzą, zatopił oczy w jej oczach, długo nie spuszczał wzroku z twarzy i słuchał. Przyszło ku niej dobrotliwe wspomnienie zmiany jego głosu, przeobrażenie się suchej indagacji w natchniony i bolesny obrządek dobrowolnych zwierzeń, do gruntu, do samego dna, w tajemniczy sakrament, pełen potęgi ściskającej serce.

Gdy już była wyznała grzechy i, bezmiernie zmęczona, bezsilna i jakby mieczem ścięta, blada i odrętwiała, uczepliła się kurczowo palcami gzymsu konfesjonalowego — a on wtedy zaczął mówić...

O słodka, cicha mowo! Nauko mądra i pokorna! Ewa czuła jeszcze na policzku gorący oddech i martwe, pełne mgły spojrzenie oczu. Słyszała w sobie zakłęcia i prośby krzyki ducha tego młodego sługi ołtarza, żeby została niewinną i żeby pokochała cnotę. Mówił jej wtedy za świętym Cyprianem, że dziewice są to kwiaty wonne Kościoła, że są to arcytwory piękności, ozdoby naszej ludzkiej natury, dzieło jej doskonałe i niepodlegające zepsuciu, obraz Boga, w którym wizerunek swój ma świętość naszego Zbawcy... Mówił

Spowiedź, Grzech

<sup>10</sup>prostracja — wycieńczenie psychiczne.

jej wtedy słowy<sup>11</sup> aniołów z Apokalipsy, śpiewających tę pieśń nową, że dziewice są istotami „kupionymi z ludzi”, gdyż one „naśladują Baranka, gdziekolwiek idzie, a w ustach ich nie masz zdrady”.

Mówił jej słowy świętego Pawła z listu do Koryncjan, że ten, co nie pojął małżonki, stara się o rzeczy Pańskie i pełen jest pragnienia, żeby się Bogu podobać. Ten zaś, kto pojmie żonę, stara się o rzeczy świata i pełen jest pragnienia, jakoby się żonie podobał. „Która nie poszła za mąż — mówił — stara się o rzeczy Pańskie, aby była święta ciałem i duchem”. Wspomniała sobie teraz wyraźnie, jak, bezpośrednio zwracając się do niej samej, kapłan począł omawiać grzechy niby brzemię wstrętnych rupieci złożone u jego stóp.

Słowa jego były prawie nieśmiałe, określenia delikatne i nad wszelki wyraz dyskretne. Zdawało się, że to lekarz doskonały świadomymi palcami dotyka środka ognistej rany. A jednak nie zapomniał o żadnym grzechu. Pamiętał każdy z nich z wszelkimi szczegółami. Widać było, że od razu pojął całkowite życie, wszystkie sprawy domowe. Nadto stało się rzeczą oczywistą, że nie tylko przewidział wszystko, co mogło się stać w danej chwili, w danych warunkach, ale odczuł uczucia, wątpliwości, pokusy... Mówił śmiało o piękności cielesnej, nie jako człowiek i młody mężczyzna, lecz jako mędrzec daleki, który widzi i rozważa zjawisko, bada i roztrząsa wszystko bez wyjątku, bo nawet swój stosunek do tej piękności.

— Jesteś piękną — szeptał w natchnieniu — jak kwiat lilii, jak gałąź bzu albo jak młoda róża. Bóg miłosierny dał tobie jednej jedynej to, czego odmówił tysiącowi niewiast: piękność niezmierną. Któż pojmie, dlaczego tak uczynił? Byłaby to rzecz straszliwa, sprawa przerażająca i haniebna, gdybyś sponiewierała ten dar niebiański, gdybyś go uczyniła swoją własnością. Byłoby to dzieło potworne jak złupienie świątyni, jak sprofanowanie kielicha. „Ciało twoje jest kościołem Ducha Świętego, który w nas jest, którego mamy od Boga, a nie jesteśmy sami swoi”. Płomienne wersety listu do Koryncjan tak mówią. Pomyśl — szeptał — wszakże niczym nie przyczyniłaś się do piękności swego oblicza. Stało się ono pięknym pomimo nawet twojej wiedzy. Utwórzże w sobie duszę anielską, co w twojej jest już mocy, i stań się tak piękna, jak jesteś piękną cielesnie, ażebyś była i duchem podobną do aniołów. Nie prowadź nigdy rozmów lekkomyślnych, bo „złe rozmowy psują dobre obyczaje” — mówi święty Paweł. Zamykaj oczy przed widokiem grzechu...

— A co jest grzech? — spytała.

— Grzechem jest zły czyn człowieka.

— A który czyn jest zły, jak poznać?

— Czyn ten musi być przede wszystkim dobrowolny. Wola ludzka ma podwójne zastrzeżenie: jedno bliskie, to jest rozum ludzki, drugie dalsze, prawo przedwieczne, czyli rozum Boga. Grzech tedy jest obrazą Boga. W grzechu nędzne stworzenie podnosi rękę na Boga. Przyczynę grzechu stanowi rozum i wola. Dalszą, wewnętrzną przyczynę stanowi wyobraźnia i pożydlwość. Święty Tomasz, oprócz pożydlwości, wylicza jeszcze nieświadomość i złość. Ale przyczyną zewnętrzną, stojącą poza człowiekiem, może być tylko inny człowiek albo szatan. Czytamy w Piśmie, że „Bóg zatwardza i zaślepia grzeszników”... Co to znaczy? Znaczy to, że Bóg nie daje łaski człowiekowi grzesznemu. Święty Tomasz z Akwinu w dziele swym *Questiones disputatae*, w rozdziale o źródle grzechu mówi: „Na pytanie, czy Bóg może być źródłem grzechu, odpowiedź jest, że tak”... Szymon Magus, manichejczyk, Luter, Kalwin, Cwilingiusz, Beza i inni kacerze za przyczynę i rzeczywistego sprawcę grzechu uważali Boga. Ale Sobór Trydencki stwierdził, że jeśli by kto powiedział, że nie jest człowiek w możności drogi swoje złymi uczynić, lecz tak złe czyny jak i dobre Bóg wykonywa... niech będzie wyklęty. Wszystkie przyczyny pobudzające do grzechu można zawrzeć w jednym wyrazie — pokusa. Szatan, nie mogąc wywierać wpływu bezpośrednio na wolę człowieka, zaciemnia jego rozum, działa na wyobraźnię, podnieca żądze. Więc złą jest wszelka pokusa. Nie czytaj nigdy książek utworzonych dla szerzenia grzechu, nie oglądaj rysunków i malowideł ohydnych, a główna rzecz — nie myśl nigdy o rzeczach, które są urocze na zewnątrz, ale wewnątrz plugawe. W nich to mieszczą się pokusy szatana. A teraz co do ludzi... Wszak prawda, że gdy idziesz ulicą, zwracają się na ciebie setki spojrzeń ludzi młodych — nieprawdaż?

<sup>11</sup>mówił (...) słowy (daw.) — dziś popr. forma N.Im: słowami.

— Tak jest... — wyszeptala była wówczas.

— Wszak prawda, że gdy mijasz orszak młodzieży płci męskiej, doświadczasz uczucia nieokiełznanej wesołości, idziesz jak gdyby przez aleję pełną światła, róż i zapachu? Wszak prawda, że spojrzenia osób zupełnie ci nieznanych budzą w tobie jakąś niespokojną, niemieszczącą się w ciele rozkosz, której nazwać nawet nie sposób? Otóż — niechże te spojrzenia nie budzą w tobie radości. Od tego zacznij. Z chwilą, kiedy zwyciężysz nędną dumę z tego tytułu, żeś piękna, i niską radość, że uliczni panowie obrzucają cię zuchwałymi oczami, a zaczepiają uśmiechem, wejdiesz na drogę poprawy, bo na drogę zdeptania pokus — a z niej na stromą ścieżeczkę doskonałości. Na tej ścieżeczce znajdziesz stan łaski. Przyjdzie czas, że nie będziesz się pyszniła przed samą sobą nie tylko z tego powodu, żeś piękna, ale nawet z tego, żeś czysta duszą. Wówczas nie trzeba będzie zadawać pytania — co jest grzech i jak grzech poznać, bo zbliżysz się do stanu prostoty samej w sobie, która nie dopuszcza do siebie brudu, a tak idąc dojdiesz do źródelka świętej pokory, do tego, co wielki apostoł Paweł nazywa „miłością i duchem cichości”.

Wtedy to osmieliła się spytać:

— A czy taki stan — „miłość i duch cichości” — nie jest egoizmem?

Kapłan zadziwił się i pytał po chwili milczenia.

— Jakże to miłość może być egoizmem?

Nie umiała oczywiście wyjaśnić... Jąkając się, bełkocąc sylaby poczęła coś pleść o tym, że stan własnej cichości ducha wobec męczarni i huraganu żądź, jakie znosi ten, na przykład, co zamordował człowieka, albo ten, co ukradł, ucieka, kryje się, truchleje — jest egoizmem, gdyż jest niejako używaniem bogactwa, spokojem bogacza w obliczu ogromu nędzy tych, co nie mają, czym by płaczące dzieci nakarmić.

Kapłan zwrócił na nią spojrzenie. Widziała niegasnący uśmiech na jego wargach. Wreszcie ciche, wzniosłe słowa:

— Wyucz się modlitw własnych, ukochanych, słów-potęgi i symbolów, które jak miecz rozcinają pokusy. Wzdychaj cicho, z uporem, z męstwem, z niezłomną wytrwałością. Stan łaski nie będzie ci odjęty. Gdy w tej chwili uczynisz mocne postanowienie poprawy...

Teraz właśnie nasunęła się przed oczy ducha istna radość: mocne postanowienie poprawy! Za chwilę wołała na siebie:

„Nie, nie, siostrzyczko! Nie mocne postanowienie poprawy, lecz poprawa sama!”.

Złożyła swój *Panthéon littéraire*<sup>12</sup> na skancerowanym stoliku i chyłkiem pobiegła do kuchni. Tam, słowa nie mówiąc Leoście, rozrobiła z mąki i wody talerz lepkiego kłajstru, zabrała ze sobą ścierki mokre, szczotki, butelkę z lakierem czarnym i drugą z farbą białą, nadto różne niezbędne zamszowe skórki, puszkę z zaprawą do podłóg, kredę itd. Obciążona tym wszystkim wróciła do pokoju opuszczonego przed chwilą. Zamknęła na klucz drzwi, zrzuciła z ramion stanik i zabrała się do pracy. Szybko popodklejała wiszące i odstające strzępy tapetów skrawkami, doskonale utrafiając w deseń, z istnym artyzmem pozalepiała wybite dziury. Oczyściła piec, a czarne szpary między kaflami zaciągnęła „śnieżystą” masą gipsowokredową. Wytarła potworną rurę pieca — i wówczas dopiero zabrała się do podłogi. Starła ją mokrymi ścierkami i w miejscach najbardziej zdrapanych pomalowała farbą. To samo uczyniła z parapetem okna. Wówczas przyszedł czas i na stolik. Pracowicie a z bajeczną wprawą nalewała na zamszową skórę resztki zaschłego w butli lakieru i trąc nimi silnie powierzchnię nie tylko zniweczyła ślady oparzeń, ale nadto obdarzyła stoliczysko „wyrzem” zupełnej (no, względnie!) nowości. Radość biła na duszę jej, kiedy stół z potwora, ze wstrętnego grzesznika przeistaczał się w cudo wdzięku, śmiał się do niej swą lustrzaną, czarną powierzchnią ten stół z krzywymi nogami, zaiste jak twarz człowieka, któremu grzechy jego odpuszczono.

Gdy tak szybko, chwytając oddech i wyrzucając ramiona, z zaciśniętymi zębami tarła ów stolik, włosy jej rozpuściły się i burza ich spadła na obnażone ramiona. Prześliczne, królewskiej piękności ręce ustały od pracy. Do głowy krew uderzyła. Oczy zasłoniła mgła strudzenia. Ewa bez sił usiadła, a później położyła się na wznak na żelaznych prętach pustego łóżka, niby na ruszcie piekielnym. Objęła oczyma pokój — i cała przemieniła

<sup>12</sup>*Panthéon littéraire* (fr.) — panteon literacki, tj. zbiór najważniejszych dzieł (tu: ulubionych).

się w uśmiech. Toż to już nie obmierzy „pokój pojedynczy przy rodzinie, z samowarem i usługą” — toż to jest cęła świętej Teresy.

Jeszcze tylko widoku nieba!

Wstała leniwe i mocnym ruchem na ścieżaj otwarła okno. Za chwilę leżała znowu na prętach żelaznego łoża, rżnących ciało jak włosiennica. Jednym ruchem ręki ujęła wszystkie włosy i położyła je sobie jak poduszkę pod głowę.

Przyszło jej na myśl to słowo: „Włosiennica... Włosiennica!”.

Ach, spróbować! Zacząć! W tajemnicy przed wszystkimi. Mama spostrzeże... No, mamę można przypuścić do sekretu. A więcej nikt... Tatkę by można, ale to papla... Jeszcze by wygadał Horstowi... Do czego też dojść można ujarzmiwszy włosiennicę ciało... Źródłko świętej pokory... Wówczas to — boska radości! — miała przez chwileczkę w powiekach widzenie niejake postaci. Twarz biała, oczy zgasłe, kwef śnieżysty... Poszepnęła sobie samej wśród tumultu myśli, wśród rozruchu uczuć: „Święta Tereso, pójde za tobą... Tyżes to, ty? Święta Katarzyno, co koło swojej męki i miecz katowski, symbole swego męczeństwa, niesiesz — tyżes to, ty? Pójde za tobą... Niepokalaną duszę Nieśmiertelną Oblubieńcowi zachowam... Wdzięję włosiennicę i będę się biczowała co dzień wieczorem”.

Znikło widzenie.

Miała przed oczyma niebo. Teraz je dopiero spostrzegła i zawołała na nie z głębin otchłani duszy:

„O niebo!”

Wiosenne, kwietniowe, rozkwitłe, przedwielkanocne obłoki płynęły i powiewały w głębokości niebieskiej. Jedne były śniade, w głębiach swych kłębów stalowosine lub bure, ale obrzeżone pozłocistą białością, zrodzoną ze szczerego słońca — inne fiołkowe i miłościwe dla oczu jak bukiety, jak smugi fiołków. Za obłokami tań się tęgi błękit jakoby przecudny bóg młodości z łukiem naciągniętym przez niezłomne jego ramię i z czujną, chybką, pierzastą na cięciwie strzałą.

„Obłoki, obłoki...”.

Widziały się jakoby burza ciągnąca, jakoby przednie cugi i tabory gromów, jakoby sztandary i zwiastuny czyhających za skałami piorunów, piętrzyły się chyżo białymi masami niby wierzchoły Alpów, a były jeno przeczystą pogodą. Tam i sam przemykał się wśród nich mars ciemnosiny, podobien do tarczy stalowej i, roztrącając rozkoszną słabość a cichą dobroć siostrzaną, ukazywał za sobą okienko nieba wiecznego. Oto z głębin wznosiły się kłębami śnieżnobiałe mocarstwa, moce, panowania, księstwa... Płynęły za ramę okna i ginęły. Ginęły tamże jakoweś wojny trojańskie, punickie, wędrowniki narodów, pochody krzyżowe, zmagania się plemion trzydziestoletnie, rewolucje pełne zgrozy, krzyku i krwi... Rozwierały się wybrzeża skalne, które otaczają błękitny ocean bez początku i końca... Niosły się same obłoczki, rozwiane, siewne i powłóczyste, nic o sobie i swej piękności niewiedzące, a których istnienie było po to, żeby dać świadectwo piękności — i zginąć. Ciągnęły się wzajem ku sobie i ginęły jedne w drugich, podobnie jak miłosne spojrzenia.

Chmurki te, chyżo lecące w niebiosach, ścisnęły serce widokiem swoim. Złotymi niemi, co w oczach stają się wraz poniekąd białością i błękitem, oplatały duszę. Z najodleglejszych głębin wypłynął obłoczek biały jak poranny śnieg — w oczach rozszerzył się, rozpostarł białe skrzydła... Usta Ewy z radością, bojaźnią i czcią wyszeptaly:

„Serafin...”.

Wszystka istność duchowa podała się ku niemu, a ciało zawisło niejako w powietrzu. Zaostrzył się zmysł słuchu i powonienia. Zmysł widzenia i zdolność pojmwania wzrosły bez granic. Można by wówczas zaiste rozumieć skomlenie i ryk zwierząt, słuchać dziejów ich cierpien, wiedzieć, co wyśpiewują ptaki, pojmwować, co między sobą szepcą szelesty sitowia nad głębinami wód. Można by ogarniać jestestwem swoim dzieje wewnętrzne skał i tragedie głębin ziemskiej, można by podsłuchać, czemu płaczą i jak — warkocze brzóz nad wybojami dróg zdeptanych przez bosc nogi i przez kopyta smaganych koni... Jasne obłoki poczęły rymować się w dźwięki przecudne, jak wiersze wyjęte z głębin, z pokładów mowy pospolitej, z języka narodu, jęły przepływać w melodie, których piękność i najwyższa doskonałość powinna by zostać na wieki, podobnie jak zostaje diament urodzony

Obłok, Marzenie

w grubych pokładach czarnego węgla ziemi. W duszy zabrzmiał śpiew jednogłosny duszy przestoczonej w anioła, a może i śpiew tronów, cherubinów, serafinów, aniołów i archaniołów, rozlegający się pod niebem, płynący po rosach obłoków, po niwach, siolach i miastach na rozległości ziemskiej — hymn węglem żarzącym w sercu pisany:

„Jakże szczęśliwy jest człowiek, który zwyciężył grzech i wytrącił go z serca! Jakże szczęśliwy jest płynąc w kompanii obłoków!

Płynie ku Bogu swojemu, śpiesząc się co prędzej a bez odpoczynku, żeby w Jego drzwi zakolać. Jakże szczęśliwy jest człowiek, idąc na kłęczkach po schodach niebieskich na obraz chłopów ciągnących do cudownego w Częstochowie obrazu! Jakże szczęśliwy jest człowiek, kiedy Pana może przyjąć w ciało swoje niewinne i nosić go pod sercem czystym!

Otom się stała, Panie, aniołem Twoim i w obłok odziana leżę w niebiesiech. Ręce mam splecione na sercu głośno bijącym, a w ciele czuję rozkosz bytowania. Nic nie wiem i jestem ciemna. Łaska Twoja, wiosenne światło — na duszy mej. Woń fiołkowa — dziecięstwo moje — znów ze mną. Jedno szczęście kołające serca mojego pod dłońmi słyszę. Spalę się jako kadzidło, a jako dym błękitny kadzenia z ręki anioła wstąpię przed Twe oblicze. Oczy zatapiam w Twój błękit bez granic, a ustami całuję siostry me chmury — serafiny, chmury — anioły...

Zobacz mię, Panie, grzeszną i dźwignij mię z prochu ziemskiego. Pokropisz mię hyzopem i będę czystą, obmyjesz mię — i nad śniegi bielszą się stanę. Będę, jak obłok powiewny, bielsza od śniegu, Twoich przebitych nóg rany czerwone przewijając sobą. Stanę się gładkim i wonnym płateczkiem róży rumianej, co pod słońcem wiosny ogorzał — na rany Twoich rąk przypadną niepostrzeżona”.

Z tych marzeń, jakoby z twardego snu, wyrwał ją nowy głos dzwonka. Ocknęła się z trudem, z przykrością. Poznała niezwłocznie, że to dzwoni obca ręka. Tak nie mógł dawać znać o sobie nikt z lokatorów i nikt z domowych. Niechętnie wdziała na siebie suknię, związała prędko włosy, zabrała rozrzucone naczynia, narzędzia i farby. Pomknęła do kuchni. Kuchnia była pusta: Leośka gdzieś wyszła. Ewa zajrzała do pokoju mieszkalnego. Tam siedział nad papierami stary pan. Nie wiedział o niczym. W takich chwilach nie wolno mu było przeszkadzać, gdyż był jak poeta w chwili natchnienia.

Ewa z pośpiechem przyczesła i przywiodła do porządku włosy, suknię, stanik, szybko umyła twarz i ręce, a gdy dzwonek powtórnie i ze zdwojoną natarczywością się ozwał, pobięła drzwi otworzyć. Za progiem stał jegomość mniej więcej trzydziestoletni, porządnie ubrany. Uchylił kapelusza z zapytaniem:

— Czy to tutaj pokój do wynajęcia?

Ewa usunęła się ode drzwi i wpuściła go do korytarza, a następnie do pokoju. Pod nieobecność służącej i matki, które korzystały z niedzieli, musiała przedstawić zalety i wyszczycić cenę lokalu.

Młody pan z pewną mrukliwą niechęcią rozglądał się po kątach, kilkakroć w nieznośny sposób badał rurę do pieca, rewidował oczyma rokokowe przegięcia prętów i nóg żelaznego łoża. Zdawało się, że nic z tego, że nie wynajmie. Ewa, nie patrząc już na niego, czekała za progiem. Jeszcze raz spytał o cenę, o samowar, służącą, zajrzał tu i tam, a wreszcie oświadczył, że zajmuje ten pokój i zaraz zniesie tu swoje rzeczy. Wydobył pugilares i zapłacił od razu 15 rubli za miesiąc. Ewa z radością trzymała w ręce trzy papierki i mimo woli, bez słów modliła się dziękczynnie. Nigdy bardziej te pieniądze nie były w domu potrzebne, nigdy bardziej w porę nie zjawiła się taka suma. Zaiste!... Pan Bóg chyba posłał tego człowieka... Przez chwileczkę wspomniała sobie pracę przedgodzinną w tym pokoju — fizyczną i duchową — i nie wiedzieć czemu — z najgłębszej, „anielskiej” głębokości serca spojrzała przejrystymi do dna oczyma, z dołu w górę. Uśmiechnęła się do przybyłego lokatora. Wyrazy drżały na jej wargach... Gdybyż on wiedział, jak dalece ludzie są braćmi i dziećmi jednego Ojca! Gdybyż on wiedział, kto go posłał!...

Ale, o dziwo! wtedy dopiero ujrzała tego pana. Bokiem do niej zwrócony, od niechętnia, spod powiek i z ukosa patrzył na nią. Spozrzęła jego czoło białe, przesłiczne i w mig nazwała je za poetę „upojonym myślami”. Zauważyła jego prosty nos, lekki, ciemny zarost, usta wykrojone delikatnie, i nazwała go w myśli: „jakiś taki swój człowieczyzna”. Ale nie było to trafne, boć widziała, jaki to arogant i pyszałek. Wyszedł z pomrukiem, że każe tu natychmiast znieść z dorożki rzeczy. Mówił jak do służącej, gdy stała w korytarzu... Uśmiech jej poszedł za nim, gdy się już drzwi zamknęły.

— Gdy mama przyjdzie — ileż to na raz szczęśliwych nowin! Liczyła: „Rozgrzeszenie, pokój wynajęty, 15 rubli gotówką — i cóż to jeszcze?... Coś jeszcze takiego”... Najważniejsze to, że wynajął nie studencina, nie „obibok”, nie byle jaki warszawiak, lecz ten pan. Kto też to może być?... Tak... Zamelduje się, co pewna, ale żeby wiedzieć...

Wróciła do pokoju i usiadła w swoim kąciку, nic ojcu nie mówiąc o tym, co zaszło. On przez ramię, ze zwykłą flegmą i wielkopańskością zapytał:

— Kto to przychodził, dziecińo?

Odpowiedziała niezdecydowanie, *to to tam...* lokator... Tymczasem nasłuchiwała cicho, pełna wzruszenia, podrażnienia, jakby rozlaskotania duszy. Pragnęła, żeby matka przyszła jak najprędzej i żeby sama wprowadziła sobie owego mruka. Tymczasem dzwonek uderzył znowu. Pobiegła. Wszedł „ten pan” ze stróżem i posłańcem, dźwigającymi jego rzeczy. Były nieliczne i niebogate: kosz, wyszarzały tłumoczek podróżny, lekka jakaś koldra w paskach, skórzana poduszka. Wstydliwie i nie tak już wyniośle lokator umieścił swe rzeczy w pokoju, zapłacił tragarzy. Ewa czuła się w obowiązku zawiadomić go, że niektóre miejsca w pokoju są świeżo pomalowane olejną farbą, białą — tam znowu żółtą. Weszła tedy w otwarte drzwi i wskazała parapet, podłogę... Czuła przy tym, że wszystka jest w ogniach. Zrobiło jej się nad wyraz przykro i wstyd.

Przytrafiło jej się to, co zawsze, gdy była prezentowana — to jest, że nic nie widziała, traciła zdolność widzenia rzeczy. Miała o to głuchą pretensję do tego jegomości i do siebie. To, że przed chwilą była tu bez stanika, tylko w koszuli, zdawało się być wiadome temu panu, widoczne dla jego oczu, utrwalone niejako w kliszy fotograficznej.

Zarazem przemknęło jak obłoczek wspomnienie anielskich marzeń w tym miejscu, gdzie teraz leżą jego obce, męskie rzeczy... Senny smutek... Smutek, wiosenny cień... Jakowaś postać żalu czy, z niewiadomej przyczyny, wyrzutu sumienia...

Nowy lokator kilkakrotnie uklonił się chłodno a bez wdzięku. W tłoku swych wrażeń usłyszała jego głos:

— Dziękuję pani... Zresztą... To drobnostka. Będę uważał. Pozwoli pani, że się jej przedstawię: Łukasz Niepołomski.

Obojętnie przyjęła do wiadomości to imię i nazwisko.

Słyszała jego głos jakby z pewnej oddali. Odpowiedziała strzępkami wyrazów — „bardzo mi przyjemnie” i pośpiesznie wymknęła się z pokoju.

Uniosła ze sobą obraz jego twarzy i znieruchomiały wizerunek spojrzenia. Spojrzenie było uważne, badawcze, zdumione i zastygłe.

Była nareszcie znowu w swym kącie, za parawanikiem. Ujęła książkę religijną, rozwarła ją w dawnym miejscu i, z oczyma wbitymi w stronicę, zastygła w sobie, usnęła duchem. Był to już drugi dnia tego sen jej duszy. Poznała go po szczęściu, które rozsiewał. Wciągała w siebie szczęście, jak stęsknione płuca wciągają radosne powietrze wiosennego poranka. Odkrył się przed nią obręb samego dobra. Nagle i niespodziewanie się rozwarł niby dolina błogosławiona w skalistych górach.

Błądziły tam powiewy bezinteresownych trwóg, lęki duszy o coś jej obcego, troski o kruchą i słabą nad wszelki wyraz koronę kwiatu, widną zza krat w pańskim, w królewskim ogrodzie. Jedno nieszczęsne potrącenie może zabić na wieki wieków bezcenny kwiat. Czyje? Jakie? Skąd przyjdzie? Przesuwały się, na obraz mgielek wiosennych w parowach gór, życzenia zwrócone w nieistnienie, objawiały się ruchy pragnień dążące w stronę niewiadomą, rosły w tajemnicy przed wolą i wiedzą, aż do ogromu potężnych sił i stawały się jak wybuchowe miny uczuć dusznych, których piersi nie były w stanie objąć i zmieścić w sobie.

Z burzy tej wysunęła się nagle dobroć powszechna i łaska wszechobejmująca. Ona się stała krwią i mózgiem, ona ruchem cielesnym i życiem duszy, uśmiechem ust, wzrokiem i słuchem.

Gdybyż to uczucie trwać mogło wiecznie!

Gdybyż w tym stanie łaski żyć i umierać!

Ale ono nie trwa. Coś wewnątrz niego, w samym nim stało się nagle. Stało się niewątpliwie a znikąd, jak staje się w próżni ton muzyczny.

Rozdzielił, rozciął stan łaski na dwie połowice (jak ton rozcina ciszę), a one się jedna od drugiej posłusznie rozeszły. Wynikła z duszy i poczęła drzeć — tęsknota. Za czymś zupełnie nieznanym, za groźnym, za cudnym, za straszliwym, a tak bliskim, jak bliską

jest własna dusza, własne bicie serca, własny oddech. Coś objawiało się w głębokościach duszy i stanęło przed nią. Serce kołace przed Tajemnicą. Oczy szukają w mroku. Drży ciało.

A gdy jeszcze oczy szukają i ciało drży — już smutek idzie przez duszę. Sam jeden idzie, straszliwy i mądry. Wszystko przejrzał, nad wszystkim dumał.

Przeszedł, przeszedł, wlokąc za sobą czarny swój cień.

Załamał suche, koślawe ręce... Dość ma: obaczył kres...

Serce się wznosi, czoło się dźwiga ku niebu. Oczy i usta pragną. Usta szeptaają<sup>13</sup> błagalną modlitwę o jedną jeszcze poprzednią chwilę:

— Wróć się, wróć się, chwilo łaski...

\*

Łukasz Niepołomski stał we framudze otwartego okna i obojętnie patrzył na zaulek podwórzowy. Obecność w tej nieznannej izbie czy obecność w tym miejscu Ewy sprawiła, że ruchy jego zleniwiły, wola gdzieś zginęła i rozproszyły się myśli. Popadł w stan jakby wycofania się z życia swego i chwilowego powrotu do stanów półświadomych dzieciństwa. Widziało mu się, że jeszcze słucha głosu złotowłosej panienki, że jeszcze wobec niej składa ukłon, a jednocześnie, gdy trwał ów stan siły wrażenia, niosła go złuda do miejsc dawno i zupełnie zapomnianych, do wsi we wczesnej młodości opuszczonej na zawsze. Miał w całej duszy, w oczach, w głowie, w uszach dwoistą świadomość, dwoiste niejako wrażenie.

Ta żywa, piękna dziewczyna wywarła nań urok jak gdyby (osobliwa rzecz!) nurtu głębokiej, czarnej, bujnej wody w rzece rodzinnej. Tam! Wytrysła w duszy jakby kopia przedziwna, jedyna w świecie, oryginału, niepodobna doń, a przecie taka sama co do siły i rodzaju. Wodę tę, śliskimi zwojami, skręty, kłęby pędzącą<sup>14</sup>, przebijało ongi<sup>15</sup> poranne słońce. Nad wartem<sup>16</sup> jej bujały ważki błękitne. Widać było jej dno tajemnicze, niedostępne dla nogi, złote od piasku, czarnozielone od ruchomych porostów. Niegdyś w czasie była chwila, gdy stał nad tą wodą szczęśliwy i kochał ją bez granic wszechsiłą młodego jestestwa nie wiedząc za co i nie wiedząc o tym, czego doświadcza.

Stała się ta chwila i na wieki, nieznaną duszy, zginęła w przeszłości. Teraz odnalazła ją jakowaś władza jak zgubioną uriańską perłę i z wolna pracując, przemieniła w silną a oczywistą ideę. Panienka, co przed chwilą z tego pokoju odeszła, była jakoby tamta woda.

Taka sama. Wiecznie żywa, bezmiernie bujna, jasna, przezroczysta. Ani jeden jej ruch nie był w stanie spoczynku. Wszystko w niej było stawaniem się i żywotem. I była w sposób niepojęty, tajemniczo pociągająca, jak tamta rzeczna woda rodzinnej wsi.

Wspomniał, a raczej ujrzał po wtóre, jak słońce zanurzyło się przelotnie w jej włosach niby w żywiole swym rodzimym, niby w samym sobie — i jęknął cicho. Poczul w sobie dziwne wzniesienie, jak gdyby on, rzeka i ta dziewczyna — to było jedno i to samo.

Starął się otrząsnąć z tego dziwactwa i odegnać je logicznym wywodem.

— Wskutek wytężonego rozwoju pojęć rozumowych czysto — rozmyślał — zaciera się zdolność odtwarzania sobie wypadków z życia minionego z taką samą intensywnością uczucia, jaka im towarzyszyła.

Są momenty, utrwalone w nieświadomym myśleniu, które mają cechę czegoś od naszej zdolności uczucia i myślenia odmiennego, jakowychś wprost poza nami bytujących stanów. Związek między nimi a nami jest luźny nad wyraz, a często żaden. Patrząc tak w odległość, doświadczamy wrażenia, że człowiek składa się z szeregu postaci, które częstokroć nie mają pomiędzy sobą nic wspólnego. Przemiana materii sprowadza ten skutek, że ciało odbudowuje się z nowych wciąż pierwiastków, z tego samego wprawdzie materiału, ale w nowych, wciąż nowych warunkach i formach bytowania. I do duszy wdzierają się pierwiastki nowe. Dawne giną. Człowiek jest jak owa rzeka dzieciństwa. Jak tam wciąż nowe wody płyną w tym samym łożysku, tak samo w nim nieustannie nowe — rzec

Przemiana, Rzeka,  
Kondycja ludzka, Dusza,  
Wina, Kara

<sup>13</sup>szeptają — dziś popr. forma: szepczą.

<sup>14</sup>zwojami, skręty, kłęby pędzącą — dziś popr. forma N.lm: (...) skrętami, kłębami (...).

<sup>15</sup>ongi — dawniej, niegdyś.

<sup>16</sup>wart (neol.) — wartki nurt.

można — duchy przepływają w granicach tego samego ciała. Rzeka jest wciąż tą samą rzeką, lecz któż odnajdzie wody upłynione? Gdzie je odszukać? I jakże odnaleźć dokładne sformułowanie samego siebie?

Istotnie, w plastycznej formie można by je przedstawić chyba tylko jako szereg istot duchowych o najrozmaitszych obliczach. A im bardziej i wyżej człowiek wznosi się na szczeblach rozwoju, tym głębsze w nim zapewne zachodzą zmiany różnice.

Z takiego pojmowania wieloosobowości jaźni wynika nowy świat odpowiedzialności... W tak zwanym zbrodniarzu — któż wie? — karzemy może dawno pogrzebionego człowieka grzechu, może strącamy z Tarpejskiej Skały<sup>17</sup> świętego, który z tamtym ma tylko wspólne imię i nazwisko...

Niepołomski uśmiechnął się z szyderstwem...

Przez całe życie dążył to tego, żeby poznawać, badać, zgłębiać. Wszystko, co jest pod utwierdzeniem, przekłuwać, przebijać, sondować jako przedmiot iglicą badania, zestawiać i wnioskować. Nie miało być w nim i poza nim nic, czego by nie znał, nie ujął pincetem<sup>18</sup>, nie rozciął skalpelem, nie rozdzielił mikrotomem i nie określił za pomocą sylogizmu. A oto przyszło wspomnienie chwili niewiedzy, momentu ciemności, który jednak był jakimś światem tajemnic, a którego niepodobna było niczym ująć, rozłożyć na czynniki pierwsze.

Jedno, z odległych skutków wnosząc, można było o naturze tamtej chwili nadmienić, że tkwi w niej jakiś splot, węzeł sił duszy elementarnych i niewiadomych, z którego na całe życie starczyć może uczuć wszelkiego rodzaju, czyli woli.

Była to radość czy rozpacz, cnota czy podłość? — Nic nie wiadomo.

Zadumał się, zagłębił i ujrzał przed sobą czy o barwie gencjany górskiej i owej wody w rodzinnej wsi, czy zakłętę, czy — wszechświat ducha, czy najmądrzejsze i nieśmiertelne...

Usiadł na prętach żelaznego łóżka i wodząc wzrokiem po nowo najętej izbie posłyszał nagle zza ściany najrubasniejszy śmiech męski i ochrypły, obmierzły chichot kobiecy. Drgnął cały i obudził się do rzeczywistości. Po chwili, chcąc rozpoznać, kto tak pięknie się bawi, wysunął głowę na korytarz. Głośny śmiech wychodził zza drzwi ozdobionych napisem: Adolf Horst, Filozof.

\*

Okolo godziny piątej tego samego dnia pan Pobratyński drzemał wśród połamanych sprężyn starej kanapy, jak zwykle o tej porze. Pani Pobratyńska pruća jakieś zatłuszczone barchany.

Ewa zajęta była reparacją domowej bielizny.

Na drewnianym stołku, tyłem do okna, siedział lokator Adolf Horst. Był przystojny mężczyzna, nieokreślonego wieku (od lat 30 do 50), z twarzą najzupełniej zadowoloną i bystrymi oczyma. Był dosyć zażywny, nie do tego jednak stopnia, żeby go można zaliczyć do grubasów.

Twarz miał starannie wygoloną z pozostawieniem podskubanego wąsika, włosy ostrzyżone przy samiutkiej skórze, co niweczyło niemal bez śladu zarysy zbyt już rozległych kątów łysiny. Ubrany był w całym znaczeniu tego wyrazu porządnie i wykwinicie, aczkolwiek suknie jego były dosyć wytarte i powypychane na łokciach. Tuż u nóg lokatora Horsta leżał śliczny taks, długi i lśniący, nie spuszczać oka ani na sekundę z oblicza swego pana. Pan Pobratyński ocknął się już i poziewał.

Dało się słyszeć lekkie stukanie we drzwi. Brudne barchany, zwinięte jednym zamachem w potężny kłęb, znikły pod kołdrą. Lokal z lekka zatrzęsł się w posadach od podskoków matki rodu dążącej do kuchni dla ukrycia negliżyków poobiednich.

Pan Pobratyński przybrał pozę wykwinicie niedbałą, jedno z arcydzieł swego ducha. Ewa otworzyła drzwi.

<sup>17</sup>Skala Tarpejska — nazwa zbocza w pld. części rzymskiego Kapitolu, skąd w starożytności strącano w przepaść przestępców winnych krzywoprzysięstwa, złożenia fałszywego świadectwa, cudzołóstwa i zdrady stanu, a także niewolników, którzy dopuścili się kradzieży; nazwa od imienia zdrajczyni Tarpei, która zakochawszy się w wodzu Sabinów, wydała Kapitol w ręce najeźdźców, zwiedziona obietnicą małżeństwa.

<sup>18</sup>pincetem — dziś popr. r.m.: pincetą.

— Państwo przebaczą... — mówił Niepołomski, wchodząc do pokoju — pragnę złożyć rządcy domu moje legitymacje. Stróż mię objaśnił, że szanowny ojciec pani właśnie prowadzi meldunki w tym domu...

— Tak jest. Proszę pana... — rzekła usuwając się ode drzwi.

Gość wszedł do *cubiculum*<sup>19</sup> rodziny (niedostatecznie przewietrzanego).

Stary pan z dystynkcją i pewną odmianką wdzięczności przyjął wręczone mu dowody legitymacyjne. Wyszukał okulary, nałożył je na nos i dopiero ministerialnym gestem przedstawił gościowi lokatora Horsta. Zarazem wskazał mu fotel, głęboki jak wanna-nasiadówka. Nowy lokator zapaścił się w głębiny starego mebla nie bez uczucia męstwa. Kolana jego znalazły się na linii krawata, a głowa i plecy utworzyły coś w rodzaju znaku zapytania.

Pan Pobratyński z wolna wydłubywał z szuflady papierosy, karty meldunkowe, przygotowywał pióro i był na tropie flaszeczki z atramentem.

— Pan dobrodziej przybywa tedy do nas z ulicy Wilczej? — rzekł pochylając głowę z uśmiechem poniekąd współczującym.

— Tak, z Wilczej.

— Tu ciszej, choć to i środek miasta... — dodał z ojcowską dobrotliwością.

— Kto lubi ciszę...

— A szanowny pan może woli gwar, życie? Rozmaite są temperamenty.

— Co prawda, to mi wszystko jedno. Nie myślałem o tym nigdy, co wolę: gwar czy ciszę.

— To dobrze, o, to dobrze! To znak, że się pan łaskawy cieszy zdrowiem. W dziesiętym wieku, wieku neurastenii... — mówił stary pan, badając jednocześnie spoza okularów, jakie też wywiera wrażenie jego styl niepowседневni.

Gość nic nie mówił.

W ciągu tego czasu Horst nie spuszczał zeń oczu, mierzył go od stóp do głów, jakby mu brał miarę na ubranie albo na trumnę.

— Nie wiem, czy służba urządziła panu dobrodziejowi wszystko jak należy? — pytał jeszcze pan domu.

— Ja sam urządziłem sobie tam już wszystko, co mi jest potrzebne. Wymagam od służącej, żeby na czas czyściła obuwie, przynosiła bułki, samowar i, co najgłówniejsza, żeby nie wchodziła do pokoju, jeśli jej nie wołałem.

— I żeby, oczywiście, nie otwierała bez specjalnego zaproszenia rzeczy pozamykanych... — dodał życzliwie Horst.

— Złote zasady! — wyrzekł pan Pobratyński.

— Nie wiem, czy to są jakie zasady — mruknął Niepołomski do siebie.

— Pan dobrodziej, jak widzę, żonaty? — zapytał, a raczej stwierdził, patrząc w papiery, rządcy domu.

Chwila milczenia. Potem odpowiedź zimna i twarda jak potrącenie pięścią:

— Tak. Jestem żonaty.

Horst z cicha, z ledwie dosłyszalnym odcieniem wesołości zakaszłał. Ewa przyjęła do wiadomości słowa wyrzeczone przez Niepołomskiego w taki sposób, jakby ją istotnie ktoś pięścią uderzył w głowę.

Uczucie brutalne, obmierzłe, uczucie rozczarowania oblało ją od stóp do głów.

— Czy i współmałżonka pańska zamieszka tutaj? — dopytywał się rządcy ze słodyczą.

— Nie.

Był to ten sam głos twardy i głuchy. Czoło zmarszczone, oczy jak z surowego żelaza...

— Bo gdyby chodziło o szczupłość lokalu albo, przypuszczam, o drugie łóżko... — wywodził pan Pobratyński — zdejmując wskutek emocji okulary.

— Nie, panie. To byłbym żądał, gdyby zachodziła potrzeba. Żona moja... mieszka gdzie indziej. Przebywam tutaj, w Warszawie, właśnie w celu uzyskania z żoną moją rozwodu.

Ewa drgnęła wewnątrz. Olśniło ją światło, owionął zapach. Była to chwila radości, chwila nowa po tylu innych radosnych bieżącego dnia. Rumieniec z policzków spłynął dokądś, jakby na miejsce cichego spoczynku — i stał się rzecznym pytaniem:

„Czemuż się cieszysz, duszyczko moja?...”

<sup>19</sup>*cubiculum* (łac.) — pokój sypialny.

— Rozwód — mówił w zadumie stary administrator — twardy to orzech do zgryzienia, jeżeli ma go się otrzymać w naszym katolickim kościele.

— *Sapristi*<sup>20</sup>! — dorzucił Horst.

— Tak jest, to twardy orzech — rzekł gość. Uśmiechnął się przy tym dziwnie, połową twarzy. Jego suche, śniade, pociągłe rysy jeszcze się bardziej zaostrzyły.

— Znam się trochę na tym — prawił pan Pobratyński — to to, szukając posady, człowiek ociera się o wszelkie sprawy tego padolu, a nadto miałem kuzyna, który był w sytuacji właśnie jak szanowny pan...

— A to pan poszukuje posady? — zapytał Niepołomski dość ostro, z pewnym namysłem, ale najoczywiściej dla przerwania epopei o kuzynie rozwodniku...

— Tak jest, łaskawy panie. W obecnej chwili... Pomimo nader licznych i najsołenniejszych przyrzeczeń, pomimo bardzo wpływowych protekcji... Taka trudność, taki zastój, takie przepakowanie ludźmi!...

— Hm... A w jakiej dziedzinie pan poszukuje zajęcia?

Stary pan rozłożył ręce, podniósł brwi.

— Wszystko wezmę, panie łaskawy, od *a* do *z*, byleby kawałek chleba...

Uśmiech zaszczuty, pokorny, spłoszony, gotów przelać się w mars subordynacji czy w grymas rozpacz i pogardy... Horst ziewał. Nawet ziewanie jego było jakieś wesole i hulaszce.

— Ja tak oto pytam... Nie mam tu stosunków, bo mieszkam właściwie za granicą dla studiów.

— Pan dobrodziej jeszcze studiuje?

— Uczymy się do śmierci!... — uśmiechnął się Niepołomski. — Zajmuję się kwestiami naukowymi.

— A gdzie mianowicie pan... studiuje, jeśli wolno zapytać? — rzekł grzecznie Horst.

— Najłatwiej człowiek uczy się w Paryżu. Tam też siedzę. W Genewie również, w Belgii...

— Tak... — mruknął rządca.

— Wracając do posady... proszę pana, jakież są pańskie... właściwie warunki, no, wymagania, kwalifikacje...

— Pracowałem po biurach, przy buchalterii, pracowałem i w technicznej branży: byłem w Szulcowskich warsztatach magazynierem, byłem nawet ekspedytorem po redakcjach. Ale to... Mam chlubne świadectwa. I mimo to wszystko, łaskawy panie, na mój wiek podeszły wskazują. Młodzi nas biorą — oto rdzeń rzeczy. Stary pan jesteś, powiada jeden z drugim, idź precz! Młody nam składa ofertę na niższą cenę. A młodzi, panie, nieżonaty, może i za dziesięć złotych — bo byle na knajpę i jeszcze na coś starczyło, to świat. A ty utrzymuj rodzinę... I nie ma rady!

— No, bo to i racja.

— Racja? Jeżeli się, łaskawy panie, przepracowało w branży lat okrągłych osiem... nieskazitelnie! „Racja”! O, nie, panie, nigdy, panie!

— Widzi pan dobrodziej — to sprawa życiowa, nie etyczna. Nie ma co!

— Mówiłem... — dorzucił Horst zamykając kwestię.

— Ale ja nie jestem wcale stary. Jestem pełen sił. Dziesięciu młodych — ale co! Diabła czubatego przeskoczę. Ja, panie, za dziesięciu jeszcze obstaję, jak zechcę...

— A, jak pan zechcesz... — zgodził się Horst.

— Stary! Ja, panie, folwark miałem, to, panie, od wczesnego świtania, koń między nogi, służba jak w zegarku!

— Krótko mówiąc, może by mi pan zechciał przedstawić swe świadectwa. Mam tu kolegę, przyjaciela, młodego Krafca.

— Henryka? — zapytał Horst, patrząc szyderczo, spode łba i tak przesywającymi oczami, jakby miał zamiar Niepołomskiego natychmiast wyzwać.

— Nie, Wiktora.

— O — mruknął tamten — bratanek... Gruba ryba. Idealista, Wicek-socjalik. Znam tego kpa i wąpnię...

— Panie dobrodzieju łaskawy... — z nabożeństwem, cicho mówił Pobratyński.

<sup>20</sup>*sapristi* (fr.) — dobre nieba, do licha itp. (emocjonalny wykrzyknik).

— Ten Wiktor Kraft skończył studia w Antwerpii, objął teraz schedę i zabiera się do wielkiego, celowego przemysłu na dużą stopę. Może dużo zrobić, bo głowa dobra i człowiek uczciwy. Uczyliśmy się razem, nawet robiliśmy niektóre rzeczy na spółkę. Właśnie wczoraj wieczorem spotkałem się z nim po dwu latach. Ma on dla mnie pewne zobowiązania. Może by się udało wykołatać.

— Łaskawy panie!

— Kanalskie to jest plemień owe Krafty, ale co mi tam... owszem... — rzekł Horst.

— Zrobimy tak: ja napiszę do Wiktora Krafta list specjalny, a panu dam na rękę drugi, polecający. Jest to bowiem zasada u tych panów, że tylko za dwoma listami...

— Łaskawy panie! — szeptał stary, dźwigając się ze swego miejsca ze złożonymi rękami. Nie było w nim nic z wykwinności wrodzonej ani z elegancji sztucznie nabytej. Stał obok krzesła jak żebrak pode drzwiami. Obwisłe ręce, zdawało się, lada chwila wyciągną się z błaganiem, a kolana o podłogę uderzą.

Dobroczyńca spojrział od niechcienia w stronę Ewy. Oczy jej były spuszczone na ręce, które splotyły się na kolanach, usta ściśnięte, twarz trupioblada.

W owej chwili, bez uprzedzającego stukania, weszła do pokoju osobliwa dama. Była tak olbrzymia, że ledwie się zmieściła we drzwiach. Na głowie niosła płaski, strupieszwały kapelusz, rodzaj prowincjonalnego katafalka, otoczony ruinami ponurej woalki. Wchodząc do pokoju, zdjęła ów pseudokapelusz ruchem zgoła męskim. Ogromna jej twarz, długa, przerźnięta wzdłuż linią nosa, a w poprzek głębokimi zmarszczkami czoła, miała w sobie jakąś niezwykłą prostotę, doprowadzoną do najwyższej granicy. Można by ją było narysować kilkoma grubymi liniami. Twarz ta otoczona była włosami podciętymi „w czuprynkę” równo, a w taki sposób, jak to lubią czynić wiekowi a stateczni gospodarze w Lubelskiem. Włosy te, ściśle rozczesane na ciemieniu we dwie strony, gładko przylegały do skóry, zlepione (prawdopodobnie) pomadą. Luźny kaftan z taniego materiału obojętnej barwy i gładka spódnica okrywały wielkie ciało przybyłej.

— Ciocia! — zapał radośnie Horst, nie ruszając się zresztą z miejsca. — Już wiem, po co — oho! Już wiem... A tu właśnie będzie posada — aha!

— Proszę cię uprzejmie, mości Horst — stękała wielka osoba, zasiadając bez ceremonii na kanapie — proszę cię, zamknij no buzię.

— Pani pozwoli, że przedstawię... — mówił wykwintnie pan Pobratyński. — Pan Niepołomski, nasz nowy lokator, pani Barnawska.

Dama dość niedbale skinęła Niepołomskiemu głową. Niezwłocznie zwróciła się do Horsta:

— Panie, te, panie! Masz zielone?

— A to co znowu! — zachnął się zapytany. — Słyszane rzeczy! Na wizycie?

— No, tylko bez tych tam wszelkich! Ty wiesz, mości Horst, że ja tego nie znoszę.

— Wstydyż się, ciocia! Wiosna radosna nadchodzi, cała przyroda budzi się, że tak powiem, słoneczko, fiołki, a ciocia wieczne swoje z tymi procentami. To nieładnie!

— Ty wiesz, panie Horst, że ze mną żartów nie ma. Pókim dobra, tom dobra...

— Ciocia jest zawsze dobra, ciocia jest zawsze skądinąd...

— Ale jeśli mię tylko kto myśli zarwać, to z miejsca zadzieram ogona i rwę co pary w gnatach!

— Ładny landszaft!

— A osobliwie też z tobą, kotku angorski, ceremonii nie będę stroiła.

— No i jakież kuku myśli mi cioteczka zrobić? Możesz ciocia licytować moje efekta. Owszem! Oddaję ciepłą rączką wszystko z wyjątkiem taksa i portretu *miss* Daisy.

— To tam już moja rzecz, co z tobą zrobię w razie potrzeby. Ja tylko mam zwyczaj ostrzegać.

— Żebym nawet tak chciał, jak nie chcę, to — na szatana! — nie mam fenia<sup>21</sup>. Pan radca świadek!

— Jednak na Marcelin w małym, ale za to w doborowym towarzystwie toś miał w zeszyły czwartek.

— Jużes ciocia wyszpicalowała! Co to za organizacja! Może byśmy jednak o tym przez wzgląd... na obecność... panny Ewy...

<sup>21</sup>nie mam fenia — nie mam ani feniga; nie mam grosza.

— Patrzajcież, jakiś ty moralny... „Przez wzgląd na obecność”... No, ja cię, Horst, ostrzegam po raz drugi.

— Nie słyszałem.

— Żebyś tylko nie żałował!

— Gdzie ja tam będę czego żałował! Złudzenie! Nie ma takiej rzeczy na tym padole, której bym żałował.

— Na nieszczęście ludzkie. Za te pieniądze, coś je przelajdaczył na świecie, można by zbudować szpital na sześćset łózek dla rakowatych!

— No-no — to już ciotka dobrodziejka domy dla rakowatych będziesz budować, i to z własnych oszczędności. A o moich oszczędnościach i ich zużytkowaniu proszę zachować milczenie, powtarzam, milczenie, bo to nie należy do rzeczy.

Pani Barnawska patrzyła na Horsta białymi oczyma bez wyrazu. On zapalił cygaretkę i, uśmiechając się łagodnie, mówił do Niepołomskiego:

— Muszę pana zawiadomić, dlaczego nasze dialogi są tak swoiste i barwne. Pani Barnawska, „ciocia”, jest dobrodziejką naszą, że tak powiem, kamieniczną, a nawet dzielnicową. Może i pan... Co do mnie, ilekroć uczuwam, czego Boże broń! brak gotówki, brnę do tej posępnej Canossy. Ciotczysko jest tylko z wierzchu tak kostropate, ale skądinąd... Filantropia ma w cioci fundament, skarpę... Zaobserwowałem również, że jeśli kto zdycha z głodu, skwierczy na patelni utrapień, łysieje wskutek poderwania kredytu — ciocia zawsze takiego wyrwie z opresji. Takie już serce. A trzeba pamiętać, że przyjaciel w potrzebie *a friend in need is a friend indeed*<sup>22</sup>. Z tym sercem przyjaciółki w potrzebie ciocia przysłała na świat i z tym (już wkrótce, niestety!) umrze.

— Żebyś tylko ty, Horst, pierwej się nie przejechał!

— O, ho-ho — jeszcze czego! Patrzcie no, państwo, na jaki się to ciotczysko koncept zmogło. Nie, matrono nasza! Już się u Świszczakowskiego suszą deseczki, trzyćwiercióweczki. Ja w tym! Mój to będzie akt wdzięczności, czysty gejzer tkliwości serca. Trumieneczka jak pieścidełko, istna bombonierka. Gdyby nie ciocia, i pan Pobratyński niejedną by gorzką chwilę przeżył w tych czasach stagnacji i braku posad. A tak oto ciotczysko pocziwie przyjdzie, pocieszy, pogwarzy, zagra w zielone. Jeśli już nie można w żaden inny sposób, to z musu, z konieczności, łkając w głębi serca, wejdzie na pensję biurową panny Ewy, namówi życzliwie, żeby wziąć do domu trzy „normy” z biura i pisać ceduły do białego ranka. Boć praca uszlachetnia każde stworzenie w rodzaju ludzkim. Nic tak nie uszlachetnia jak wyż wzmiankowana praca.

— Panie Horst, panie Horst — sykał pan Pobratyński niecierpliwie. — W moim domu... takie słowa...

— Przecie nic złego nie powiedziałem. Czy się ciocia obraża? Widzi pan przecie, jak życzliwym okiem patrzy na moje zadumane czoło.

Stara dama uśmiechnęła się pogardliwie i wyniosłe.

Rzekła po chwili:

— Starsz się być dowcipnym, co nie jest rzecz łatwa<sup>23</sup>, a boisz się mojego spojrzenia.

— Ja? Chyba nie, ciociu. Nigdy się jeszcze w życiu nie bałem. Skądże by to teraz?...

— A bo teraz starzejesz się, dobrodzieju, łysiejesz. Strzyżenie przy samej skórze nie pomoże, mizdrzenie wąsiąt, wyszczyptywanie siwych włosów, podczernianie z lekka baczków, czyszczenie starych marynarek od najbardziej angielskich krawców nie pomaga. Ewa nie chce widzieć twych łajdackich uśmieszków i powłóczyстых spojrzeń. Tak, tak — nic nie pomoże wywracanie oczów do góry nogami...

Pan Horst z lekka przybladł.

— A widzisz, trafiam w to miejsce, gdzie cię boli. Ja się znam na szelmostwie ludzkim. — Tak to, tak! Śmierć i ku tobie chyłkiem podąża.

— No, już cię podążać podąża, ale w każdym razie przeżyję ciocię — i to grubo. Ciocia sobie nadwergęza wierzchołki, siedząc wciąż w kurzach sądowych, trudząc się osobiście po najwyższych facjatkach, gdzie właśnie najchętniej siadają wygłodzone a żarłoczne laseczniki. Ciocia wrzeszczysz zbyt często na hołotę, zdzierasz się łażeniem do adwokatów

<sup>22</sup>*a friend in need is a friend indeed* (ang.) — przyjaciel w potrzebie jest prawdziwym przyjacielem; prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.

<sup>23</sup>*co nie jest rzecz łatwa* — dziś popr.: co nie jest rzeczą łatwą.

i komorników. Schnięcie żył... Kiedy nawet sam ten uśmiech... Dziadzio Pitagoras mówi, że najstaranniejsza obłuda nie jest w możności upiększyć śmiechu człowieka o złym serduszk. Bo w śmiechu zdradza się człowieka. A ja? Patrz ciotuchna na mnie: ja się śmieję od rana do wieczora. Ja lubię jeść dużo i tylko rzeczy pożywne, zdrowe, smaczne, drogie, pić również, dobrze i czysto mieszkać, długo spać, mało, a nawet, jeśli to tylko możliwe, nic zgoła nie robić. Więc cóż tu za porównanie? Nie przeczę wcale, że i ja kiedyś, jak mówi Anglik, „przejdę do większości”. To się zrobi. Niepodobna by przecież było przez wieczność całą zalegać w opłacie komornego i tych tam, Boże! procentów, chodzić na szachy do cukierni, spotykać tych samych kapcanów na ulicy i czytać artykuły tych samych wciąż kapcanów w tak zwanych gazetach miasta Warszawy. Mówię: w chwili właściwej dam się na wety pędrakom. Niechże też spróbują, jak smakuje, po najrozmaitszej hołotce, taki oto utracjusz, optymista, trwoniciel nadwartości wydebłonej z surowca przez prostaczków. Uczyni się to jednak wówczas, gdy czas nadejdzie, kiedy już wszystko będzie dokonane tak dalece na tym „padole”, że po indywiduum noszącym chlubnie nazwę Adolf Horst — nawet kura nie będzie chciała zagdakać. Dopiero wtedy. Dziś nie ma o czym mówić...

Ewa niepostrzeżenie, cichaczem wyszła z pokoju do kuchni.

Przez chwilę trwało milczenie. Pani Barnawska, jakby po dokładnym zważeniu argumentu, rzekła dobitnie a z niepowściągniętym<sup>24</sup> sykiem rozkoszy:

— Rozpusta cię zeżre prędzej, niż myślisz.

— Rozpusta... cóż za wyraz lekkomyślny! Ten kraj „ubogi a ciasny” — i rozpusta! *Merum nomen sine re*<sup>25</sup>. Przecież starałem się kształcić wyobraźnię kochanej cioci... Dawałem z własnej podręcznej biblioteczki brukselskie pamiętniki wiecznie interesującej pamięci markiza de Sade<sup>26</sup>, dzieła pana de Harcanville<sup>27</sup> — zarówno *Histoires secrètes des dames romaines*<sup>28</sup> (pamięta ciocia?), jako też *Historię dwunastu cesarzów*, w najzdobniejszym sztychowanym wydaniu. A sztytyski — co?

Coś jak rumieniec poczęło z wolna zabarwiać policzki pani Barnawskiej.

— Widzę, że sprawia cioci przykrą sensację to, co mówię. *Parlons d'autre chose*<sup>29</sup>. Są sprawy, których poruszenie, w istocie...

— Żebym ja nie poruszyła spraw, które ciebie zabolą...

— Mnie nic nigdy nie boli, wracam też do kwestii spadku. Po najdłuższym życiu... Bo co się stanie z kapitałem, z zaległymi procentami, z pakami rewersów, listów *ispolnitelnych*<sup>30</sup>? Kto będzie chodził do adwokatów, dopilnowywał terminów i ścisłego pełnienia licytacji, gdy ciocia powiększy grono dziewic? Jak stanie ta ogromna machina, *excusez le mot*<sup>31</sup>, lichwy, gdy ciocia, oddawszy żalosne westchnienie, bladolica, z wywróconymi oczami, z palcami rękawiczek raz na zawsze — ehe — splecionymi, przez czterech bezimiennych drabów (a może i przez dwóch dla oszczędności) odniesiona zostanie pod kogutka?

Niepołomski miał zamiar wyjść od dawna, ale bawiła go pogawędka tych osób. Siedział tedy bez ruchu, doznając fizycznej uciechy, jak w teatrze, i słuchał, gdy Horst jeszcze mówił:

— Gdybyś zaś ciotka dobrotliwa stygnącą rączką wszystko mnie powierzyła — jakże ja bym misternie uporządkował te wszystkie fajanse. *Sapristi!*

— Przede wszystkim zapłaciłbyś z pewnością w Bristolu, coś tam winien, i zaczęto by cię znowu wpuszczać za upragnione drzwiczki.

<sup>24</sup>niepowściągnięty — dziś: niepowściągnięty.

<sup>25</sup>*merum nomen sine re* (łac.) — słowo jedynie bez odpowiednika w rzeczywistości (dosł. czyste słowo bez rzeczy); czcze słowo bez pokrycia.

<sup>26</sup>markiz de Sade właśc. Donatien Alphonse François de Sade (1740–1814) — francuski arystokrata, filozof i pisarz, a także polityk doby rewolucji; jego nazwisko jest właściwie jednoznacznie kojarzone z nurtem libertynizmu oraz eksplorowaniem tych sfer seksualności, gdzie fantazje erotyczne stykają się z przemocą i występkiem; od jego nazwiska utworzono termin *sadyzm*.

<sup>27</sup>pan de Harcanville — pseudonim Pierre'a François Hughesa.

<sup>28</sup>*Histoires secrètes des dames romaines* (fr.) — sekretne historie dam rzymskich.

<sup>29</sup>*parlons d'autre chose* (fr.) — mówmy o czym innym.

<sup>30</sup>listy *ispolnitelnyje* (z ros.) — dosł. wykonawcze; tu: rodzaj listów wierzitelnych uprawniających do ściągnięcia należności z dłużnika; tytuły wykonawcze.

<sup>31</sup>*excusez le mot* (fr.) — proszę wybaczyć, że użyję słowa; przepraszam za słowo.

— Otóż to, złośliwość... Zapisze ciotka siostrzeńczykowi Kamilowi, a ten będzie spuszczał nawet nie w Bristolu. Bo ja wiem, gdzie taki może wydać? Ani nawet, mówię, kult zabawy nie może się rozwinąć w tym kraju! Jakże mię serce nie ma boleć, gdy o tym dzień i noc myślę...

— Uspokój się, mości Horst, uspokój, wszystko się to jakoś ułoży.

— A tak! My zawsze po polsku, jakoś to będzie... Ale co by to była za pociecha dla nieśmiertelnego oka cioci patrzeć (przypuścimy: z czyścica), jak ja znowu wracam do Po-ola, do jedyne go krawca na kuli ziemskiej, który *gentlemana* ubiera z zastosowaniem do każdej okoliczności jego życia odpowiedniego *suit of clothes*<sup>32</sup>, podczas gdy inni partacze człowieka z gatunku *homo sapiens* odziewają, okrywają szmatami nagość jego gnatów. Cioci się zdaje, że jakiś *silk-hat*<sup>33</sup> od Henryka Heatha, że rękawiczka od Denta, perfuma od Rimmela ze Strandu (oczywiście perfuma o zapachu koniczyny, bo co do orchidei, to prym trzyma — wierz mi ciocia — niezmiennie *Lenthéric z Rue de la Paix*) — że, mówię, te wszystkie rzeczy — jest to rozpusta. I czyby to cioci nie było przyjemnie, żebym odziany w najmodniejszy *dresscoat*<sup>34</sup> od Poola, skropion zapachem storczyków od Lenthérica dla odegnania nieznośnego, bądź co bądź, zapachu, jaki wydawać będzie cioci kochanej *cadaver*<sup>35</sup> — szedł uroczyście i pozornie zmartwiony za trumną. A później „skrzynkę zieloną” (z ciocią w środku) złożywszy pod „czarny krzyżyk” i zasadziwszy na tym miejscu bardzo rozłożysty krzak kaliny (albo jałowca), poszedłbym jeszcze raz zwiedzać świat. No, a cóż ten Kamil prowincjonalny, warszawski obibok? Spuści walory w ordynarnym towarzystwie i na żółtej mogiłce tyle drogiej cioci będzie tańczył kadryla, a może nawet miejscowego kankana z miejscowymi baletnicami... Wstyd mi rumieni czoło!

— Na razie każde z nas zostanie przy swoim. Pan, znakomity podróżniku, panie Horst, przy wspomnieniach i marzeniach o Paryżu, Londynie, wyspie Capri i wyspie Sycylii, a ja przy swych procentach, no, i ciemnocie.

— Ależ ja gotów jestem ciocię oświecać, nawet (na razie) bezpłatnie. Opowiem wszystko sumiennie o życiu gatunku ludzkiego, wszystko, com tylko widział, com z książek ekstra ciekawych a rzadko komu dostępnych wyczytał. Jestże to bowiem życie ta operetka, którą ciotka przepędzasz? Zbijanie kabzy, mieszkanie w Warszawie, w domu własnym przy ulicy Zielnej? A nie jest również życiem wypożyczanie z tejże kabzy i nieplacenie za pokój pojedynczy przy znacznej skądinąd rodzinie...

Niepołomski pożegnał zebranych.

\*

Zbliżał się wieczór, a Ewa nie była w stanie podnieść się z ławki ogrodowej. Oczy jej z rozkoszą spoczywały na trawnikach parku, na prętach brzoź, które omgłiło już listowie, na gałęziach kasztanów, napęczniałych w końcach swych jak lepkie i tłuste kule. Sprawiało jej rozkosz nieprzerywające się i wciąż powrotne zdumienie, że naga ziemia, którą w zimie tylekroć widziała była, miejsca zdeptane i nędzne, obrzydłe, publiczne — stały się teraz siedliskiem cudnych żywotów. Białe listki otwierały oczy z tej ziemi i patrzyły w oczy człowiecze z niewysłowionym wyrazem. Rodził się w duszy niepokój i zamęt, a przecież zwiększał sumę trwałego szczęścia. Gdy wzrok Ewy przenosił się z miejsca na miejsce, chodząc za wiosenną mgiełką błękitną, co się między drzewami rozpościerać zaczęła, nagle zmącił się i stracił siłę swoją. Ujrzała w alei Łukasza Niepołomskiego. Szedł wolno, ociężałe, po prostu — tchórzliwie. Oczy jego skierowane były w jej stronę.

Doznała uczucia niesmaku, przest్రachu, przykrego fizycznego rozstroju. Zorientowała się, że jej serce czegoś bije jak oszalałe, i nie mogła, nie mogła w żaden sposób tego bicia powściągnąć. Niepołomski doszedł do końca ulicy, w której siedziała, i zawrócił w inną. Rzekła sobie, spod oka za nim patrząc, że „na szczęście” zawrócił i odszedł. Skądże więc żal i upadek niespodziany serca? Spuściła oczy na szarą ziemię ścieżki i nie podnosiła ich długo. W pewnej chwili uczuła jakowyś zewnętrzny, mrowiący niepokój i znowu bicie serca. Spojrzała i zobaczyła go o kilkanaście kroków. Szedł ku niej. Zmarszczyła

<sup>32</sup>*suit of clothes* (ang.) — garnitur.

<sup>33</sup>*silk-hat* — cylinder.

<sup>34</sup>*dresscoat* (ang.) — frak.

<sup>35</sup>*cadaver* (łac.) — trup.

brwi, przybrała mimowiednie pozę wyniosłą i obojętną — pomimo bicia serca, surowy wyraz twarzy. Słyszała cichy — bojaźliwy zgrzyt jego kroków, gdy nadchodził. Ogarnęła ją trwoga już o to tylko, żeby nie usłyszała, jak serce w niej bije, bo biło głośno, publicznie, jak dzwon na wieży. Leniwym, chwiejnym, jakimś mglistym krokiem przeszedł przed nią.

Czuła za spuszczoneymi powiekami, że ciemne jego widmo przesunęło się. Odetchnęła z ulgą, całą piersią.

Już sobie poszedł! Gniew na bicie serca i zadowolenie z odniesionego nad czymś zwycięstwa... Teraz tylko podnieść oczy, a później zaraz wstać i iść co prędzej do domu! Przyszła tu, żeby unikać tych przebrzydłych „pokus”, nie słyszeć sprzeczek ojca z matką, wywodów Horsta, żeby rozmyślać przed jutrzejszym porankiem, a oto mogła być zanurzyc się w złem, ulec pokusie. Czy grzechem jest to bicie serca? Czemu serce bije? Czy wola człowieka działa tu, czy nie? Czy tu szatan jest źródłem złego, czy ten „zewnątrzny” człowiek? Jak zwalczyć zgiełk i trwogę serca? Poczęła patrząc w ziemię modlić się żarliwie: „Panie, pomnóż pokorę moją...”.

W owej chwili serce ucichło, a słowa modlitwy przyniosły jak gdyby chustę uciszenia. Słowa stały się w owej chwili niby wieka z drażonego kryształu ukrywające skarby zamknięte, których jeszcze nigdy pod nimi oko nie widziało. Nie były to już wyrazy, lecz poniekąd szkła wypukłe, przez które widać olbrzymi a nieznany świat łaski. Zadumała się nad owymi słowami tajemniczymi i świętymi jak wiosna, jak wychodzenie kwiatów i piórek trawich, jak nadwieczorna mgła podwiośnia. W zadumie podniosła błękitne swe oczy i ze drżeniem ujrzała tego człowieka. Stał o kilkanaście kroków, oparty o poręcz mostka. Był blady, bezsilny i tak boleśnie uśmiechnięty, jakby za chwilę miał być strącony z tego miejsca i upaść na ziemię. Spodziewała się wszystkiego: natręctwa, kokieterii, zalotów — ale nie tego. Ogarnął ją całą, wstrząsnął nią różowy dreszcz wobec jego spojrzenia. Nie była w stanie oderwać od niego oczu, bo nie wiedziała, że patrzy. Nie wiedzieć też kiedy, jak, jakim sposobem, jakim prawem, wskutek czyjej nad nią przemocy, posłała mu z głębi duszy uśmiech najczarowniejszej litości. Wtedy dopiero spostrzegła, co uczyniła, gdy już szedł ku niej.

Znowu spuściła oczy w rozterce i w panicznym rozgardiaszu władz duszy. Było już za późno. Usłyszała jego głos.

— Czy nie pogniewa się pani na mnie, że przerwę jej zamyślenie?...

Znowu ten sam uśmiech pokonał jej wolę. Czuła uśmiech na własnej twarzy, pomimo że chciała przybrać wyraz surowej powagi. Niepołomski zapytał powtórnie:

— Czy nie zrobi to pani przykrości?

Wstała ze swego miejsca jak uczennica, odpowiadając.

— Nie.

— Dziękuję pani.

Usłyszała w tym podziękowaniu brzmienie głębokie, które, rzecz osobliwa, było, również jak poprzednie podniesienie duszy przez modlitwę, niby pryzmatem z tajemniczego kryształu ukazującym odległe głębiny. Nikt jeszcze w życiu tak do niej wdzięcznie nie mówił. Uczuła się jak gdyby obdarowana, wywyższona i uczczona. Tkwiło w tym zawstydzenie i wdzięczność. Gasła poprzednia rozterka.

— Wyszedłem z domu — mówił Niepołomski niby to przyjaźnie i ze swobodą, jakby od dawien dawna łączył ich stosunek znajomości, a jednak ledwie chwytął piersiami powietrze. — Widziałem, że pani przyszła do ogrodu, że pani tu usiadła. — Bałem się podejść...

— Dlaczego?

— Bo tak mało panią znam. Myślałem sobie: obrazi się na mnie jak na natręta...

Nie odpowiedziała nic na to. Tylko znów uśmiech bezwiedny, podczas gdy oczy na ziemię spuszczone.

Od kilku chwil zajęta była pytaniem, a właściwie sprawą, która ją całą z nagłą objęła. Chciała zadać pytanie i cofała się przed nim. Już-już postanawiała wyrzec i zamykała rozchylone wargi. Wtem dusza jej rzekła za nią:

— Czemu pan się rozwodzi z żoną?

Siedział przez chwilę osowiały, jakby przytłoczony tym pytaniem. Potem odrzekł:

— Bo ją znienawidziłem.

— Żonę swoją?

— Tak.

— Dlaczego?

— Jest podła, głupia, przewrotna, do gruntu zła.

— Dlaczegoż się pan z nią ożenił?

— Nie wiem dlaczego. Omyliłem się.

— Czyż można się aż tak omylić?

— Można. I jak jeszcze!

— Ale ją pan poprzednio kochał?

— Dzisiaj już tego nie pamiętam, jeśli nawet tak było. Późniejsze z nią rozkosze zabiły we mnie pamięć wszystkiego. Czasami zdaje mi się, że od samego urodzenia miałem tę jędzę przykutą do ręki.

— Czyliż to można tak nienawidzić drugiego człowieka?

— A cóż z nim robić, jeśli jest taki jak moja miła żoneczka? Mamże ją kochać? Jakim sposobem? Gdyby pani знаła te sprawy... Ale pani ich znać nie może i nie powinna.

— Dlaczegoż to ja nie? — spytała naiwnie.

— Bo... nie. Pani nie powinna nic o tym wiedzieć!

— Proszę pana... a jeśli się pan uprzedza, jeżeli się pan kieruje nienawiścią i tylko nienawiścią?

— Nie przeczę wcale, że mnóstwo spraw muszę oceniać przesadnie i wręcz źle... Ależ cóż stąd? Nie jestem martwym drewnem. Nienawidzę — i to mi sprawia ulgę. Inaczej mógłbym dojsć do obłądu lub samobójstwa. Opowiem pani tylko parę szczegółów, które dadzą miarę całości. Była z urodzenia wyznania protestanckiego. Dla uniknięcia kłopotów ze spowiedziami przed ślubem, braliśmy go w kościele luteranckim. Obecnie, kiedy zapragnąłem dostać rozwód, przekonałem się, że moja żonka przeszła na katolicyzm dla zniszczenia łatwości rozwodu. O rozwodzie decyduje teraz konsystorz katolicki, gdyż obydwoje teraz jesteśmy katolikami. Zrujnowałem się doszczętnie. Po ojcu, budowniczym na prowincji, odziedziczyłem pewien kapitał. Dziś już jestem bez grosza, a sprawa nie posuwała się naprzód ani o krok. Poświęciłem się był pracy naukowej, za granicą prowadziłem studia systematyczne, byłem na drodze do sławy. Teraz jestem rozbitek, zero...

— Proszę pana, a gdyby tak...

— Gdyby co?

— Gdyby zapomnieć! Przestać prowadzić ów proces...

— No, to mi się któregoś dnia sprowadzi do mieszkania!

— No, więc to trudno! Przebaczyć, wszystko z serca odpuścić!

Spojrzała na rozmówcę i aż drgnęła. Twarz jego była oświetlona przez potworny uśmiech. Rzekł krótko, głosem chrapliwym:

— No, to wolę śmierć.

— Jakże pan teraz inny!

— Jak to inny?

— Zupełnie inny.

— Nie mówmy już o tym, proszę pani. Dość mam familijnego szczęścia po całych dniach...

Zatrzymał się przez chwilę, przygryzł wargi. Twarz jego złagodniała. Rzekł cicho:

— Pani często tu bywa na przechadzce?

Nic nie odrzekła. Siedziała ze spuszczoną głową i wyrazem głębokiego rozczarowania na zmartwiałej twarzy.

— Nie — rzekła — nie bywam tu nigdy.

— Czy tak? Więc i jutro... nie będzie pani?

— Nie. Przyszłam dziś — mówiła cicho, głosem suchym, wyniosłym i rozczarowanym — bo chciałam być sama przez parę chwil. Byłam dziś u spowiedzi, a jutro mam przystąpić do Komunii Świętej. W domu nie mogę mieć samotności.

Niepołomski przypatrywał się jej spod oka tak badawczo, że nie była w stanie nie spojrzeć nań. Zatopił wzrok w jej oczy jakby sondę czy hak, usiłując wyrwać z dna prawdę. Widać ją wyrwał, bo z wolna tracił pewność siebie, a wreszcie stropił się i zmieszał.

— Powinien bym odejść — rzekł cicho.

Milczała pokornie.

— Ale tak mi żal odchodzić... doprawdy... doprawdy... Więc pani dziś... u spowiedzi? To niespodzianka!

— Dlaczegoż to niespodzianka?... — spytała z prostotą.

— Wyznaję, że ja grzeszny dawno już nie oglądałem tymi oczyma, pełnymi złości, człowieka, który dopiero co był u spowiedzi. Powiem nawet więcej, że nie od razu uwierzyłbym, gdyby mi mówiono o istnieniu takich ludzi w surdutach i europejskich sukniach.

— Pan nie chodzi do spowiedzi?

— Nie chodzę.

— Dlaczego?

— Nie będziemy dziś o tym mówili przed jutrzejszym obrzędem.

— Ależ dlaczego?

— Spełniałbym rolę szatana, który zasiewa ziarna grzechu w czystej duszy.

— Nie zasieje nic szatan, bo się będę modliła, żeby Pan Bóg dał panu stan łaski i żeby się pan mógł jak najprędzej nawrócić. Gdyby jeszcze pan poszedł do jednego księdza...

— Pani, wszystko! Tylko do księdza — za nic!

— No, dlaczego, dlaczego?! O, to uprzedzenie! Właśnie księży, znając tyle sumień ludzkich, mają możliwość rozważyć, roztrząsać wszystko do gruntu. Oni to rzeczywiście mają moc...

— Och, oni mają moc! Oni wszystko mogą. Już ja to wiem także. Czegóż by to ksiądz nie potrafił. *Un bon curé vaut mieux que dix gendarmes*<sup>36</sup>... Ale co do mnie, to rzecz stracona. Widzi pani... na mnie „łaska” dziecinnych lat już nie spłynie, a modląc się nie mogłaby pani słyszeć wszystkimi władzami duszy i ciała tego, co bym ja na trzeźwo mówił.

— Czystość serca daje taki stan szczęścia!

— Tak, tak! Pamiętam... Dziecinnie lata, majowe nabożeństwa. Spowiedź... konfesjonał... strach... komunie... Więc to pani jest w tej chwili właśnie w łasce u Boga. No, i u ludzi... i u ludzi... — uśmiechnął się łagodnie, po dziecięcemu.

— Proszę pana, śmieje się pan ze swej własnej niemocy.

— Ja się bynajmniej nie śmieję. Ja tylko podziwiam zjawiska ducha — swego i pani... Pójdę już zaraz.

— Tak, już mrok idzie. Niech pan tu sobie zostanie. Niech pan wspomni dziecinnie lata, dawne spowiedzie<sup>37</sup>, dawne uczucia i zapomniane modlitwy. A może nowe nawiną się na usta...

— Już się nie nawiną.

— Ejże! ja bym pana nauczyła tak niewątpliwych, tak niezbędnych, tak własnych.

— Dobrze. Pani dziś jest bez grzechu. Jest pani stokroć bardziej bez grzechu niż ów ksiądz, który wyznania słuchał. Toż pani bardziej chyba może słuchać spowiedzi cudzej niż on. Niech mnie pani wypowiada.

Ewa uśmiechnęła się prześlicznie, niewinnie, a później popadła w długotrwałą zadumę.

— Nie mam po temu prawa. Tylko kapłan może rozgrzeszyć człowieka. I tylko on może słuchać. Ale niech pan powie wszystko. A raczej niech pan powie tylko to, dlaczego pan nie wierzy, nie spełnia obowiązków chrześcijańskich — dlaczego pan nie chce być zbawionym? Niech pan to powie, a ja pana przekonam.

— A to będzie spowiedź czy tylko rozmowa?

Wahała się przez chwilę. Policzki jej zabarwiły się różem. Rzekła z przekonaniem:

— Spowiedź! Częściowa, niezupełna, bo ja nie mam żadnego prawa, ale spowiedź!

Po chwili dorzuciła:

— Dlatego, że może pana nawrócić!

— Dobrze. Cóż to mówiłem?

— Najprzód: dlaczego pan nie chodzi do spowiedzi?

<sup>36</sup> *Un bon curé vaut mieux que dix gendarmes* (fr.) — dobry ksiądz (proboszcz) wart jest więcej niż dziesięciu żandarmów.

<sup>37</sup> *spowiedzie* — dziś popr. M.Im: spowiedzi.

— Nie chodzę dlatego, że ja, chłopiec, który w gimnazjum spowiadał się, modlił, był w stanie łaski i w stanie grzechu — już dziś nie istnieję jako ta sama dusza, podobnie jak już nie istnieję jako uczeń chodzący w mundurku, pomimo że to samo noszę imię i nazwisko i tą samą jestem osobą fizyczną. Dawny, jak to mówią, podmiot zamienił się na przedmiot. W mojej dzisiejszej świadomości, w dzisiejszym podmiocie, czyli w zjawisku istniejącym samo dla siebie, tamta dusza chłopca z gimnazjum odbija się jako przedmiot. To oddziałuje na mnie. Wskutek różnych przyczyn skłania mnie do tęsknoty i rzewności. Ponieważ jednak zdolny jestem do pochwycenia pełni świadomości tego ubocznego działania wspomnień, więc sądzę, że mam też zupełnie dokładne wyobrażenie o moim dawnym świecie duchowym. Podobnie jak ten dawny, odbija się w mej świadomości i mój dzisiejszy pogląd na rzeczy niemal zupełnie tak samo, jak się w niej odbija dzisiejsza wiara pani. Owa precudowna zdolność duszy do przezierania świata zewnętrznego i świata wewnętrznego — jaźń — zmienia się w nas stale. A ta właśnie zmienność jaźni najdowodniej świadczy, czym jest nasza dusza.

— A cóż jest dusza?

— Dusza jest to ocean, po którym kołyszą się fale, emanacje życia. Każda z nich wzdyka się ku słońcu, ku księżycowi, pędzi w przestwory i kona kędyś na piaskach, na zrębach skał... Jesteśmy w stanie spostrzegać te narodziny i śmierć, ale kiedyś dopiero, w chwili najwyższej syntezy, spostrzeżemy, że nad żywotem fal panuje niezłomne prawo i że wszystkie one roztapiają się w niezmiernym oceanie. Analiza, rozbijająca ocean na poszczególne fale, w pewnej chwili cudownej zestrzeli się w radosną, intuicyjną syntezę. Wówczas pojmiemy zasadniczą ciągłość żywota fal i ogarniemy ich dzieje. Ze spotęgowanej zdolności wyodrębniania i rozróżniania, czyli z analizy, wypływa to dobro, że spostrzegając wieloosobowość ducha ludzkiego i jego dzieje, oglądając w dalekiej perspektywie stopnie rozwoju, wyzbywamy się właśnie męczarni wyrzutów, poczucia straszliwej odpowiedzialności za grzechy. Natomiast ta dążność pozwala nam ściślej jednoczyć się z wszechświatem.

— Tak, to wygodna teoria. Spowiedź jest męką. Tymczasem zwalenie odpowiedzialności na kogoś, kto był, a którego już nie ma — to takie naturalne. Dlaczegoż to jednak tylu ludzi wiekowych przechowuje od dzieciństwa aż do grobowej deski wiarę w duszę ludzką, niby kwiat nieśmiertelny? Dlaczego? Dlaczego?

— Są to szczęśliwi ludzie, którzy nie zatapiają się w logikę, w myślenie ścisłe, w rozważanie swego stosunku do wszechświata, do czasów płynących, do gwiazd wiecznych i do nieskończoności przestworów. Wystarcza im pierwotny ruch czucia i pierwotny pęd myśli, które ja również posiadam, ale które mi nie wystarczają. Jest przecie, proszę pani, mnóstwo ludzi, którzy nie zajmują się wcale, dajmy na to, matematyką, a jej wszystkie sztuczki, formułki, koziółki i znaczki mają za *ba* i *bardzo*. To jednak nie dowodzi, żeby matematyka była nonsensem, a tamci nieczuli na jej wdzięki mieli zupełną słuszność, od dzieciństwa aż do starości ją ignorując. Na przykład ktoś, kto ma w umyśle swym, wskutek stałego zajmowania się matematyką, pojęcie nieskończoności i rozumie stale za pomocą pojęć tego rodzaju, ten, doprawdy, nie potrzebuje zupełnie, a nawet nie może zmieścić w mózgu swym pojęcia o „początku świata”. Tymczasem są umysły, dla których „początek świata” jest koniecznością myślową.

— O ile wiem, dość pospolita i powiedziałybym... trywialna niewiara naszych czasów nie jest jeszcze tak nieomylnie konsekwentna i niewątpliwie uzasadniona jak wywody matematyki.

— To zależy, co wcielimy do tego lamusa z szyldem: „niewiara”. Jeżeli ktoś rozumuje logicznie od *a* do *z* — może sobie stworzyć kryształowy pałac tak niewzruszonej konstrukcji, że armaty piekielne go nie przemogą. Logika bowiem — to jest właśnie matematyka. A znowu wszelki rachunek staje się zuchwalstwem, jeżeli ma istnieć siła niestała mogąca dowolnie zmieniać prawa rządzące wszechświatem. Ostatnią sentencję zawdzięcza pani niedoszłemu proboszczowi (Renanowi<sup>38</sup>). Wszystkie poprzednie są moje

<sup>38</sup>Renan, *Joseph Ernest* (1823–1892) — francuski historyk, filozof, pisarz; profesor języków starożytnych w College de France, orientalista, filolog, znawca cywilizacji środkowowschodnich, Biblii i wczesnego chrześcijaństwa; zasłynął jako autor prac: *Historia początków chrześcijaństwa* (wyd. fr. 1863–1883; szczególnie znany jest tom I pt. *Żywot Jezusa*), *Historia ludu Izraela* (1887–1893) oraz *Co to jest naród?* (1882).

i dlatego tak genialne. Ale może ja, proszę pani, wobec jutrzejszego... nie powinienem mówić takimi zwrotami...

— Przeciwnie, muszę o tym mówić, skoro to ma być coś pożytecznego, coś w rodzaju spowiedzi, skoro podjęłam się wyciągnąć z pana ową wstrętną, ordynarną niewiarę. Nie mogę zresztą zostawać w zwątpieniu i zamykać dziś właśnie ran mego rozumowania, które pan pootwierał, pajęczyną pierwotnego ruchu czucia. Czemuż tedy istotnie modlitwa sprowadza do duszy światło jasnego widzenia i rodzi w nas stan szczęścia?

— Poeci dawnego świata twierdzili, że taki stan wyższy, zwany natchnieniem, zsyłają im muzy. Zdaje mi się, że doskonale rozumowanie, tworzenie ścisłych absolutnie konstrukcji pojęciowych sprowadza ten sam stan zachwyty, poczucie szczęścia, rodzi uniesienie górne, które pani nazywa stanem łaski.

— Panie, panie! Kiedyż to, o czym ja mówię, zaiste podane jest duszy z zewnątrz, spada z wysoka — niech mi pan wierzy — idzie z nieba.

Niepołomski milczał.

— Czemuż pan milczy?

— Milczę, pani. Cóż mam powiedzieć? Nie mogę tego potwierdzić, żeby jakiegokolwiek uczucie spływało na panią z wysoka. Uczucie wszelkie jest w pani — w mózgu i w nerwach — to darmo. Tam się rodzi i tam trwa, dopóki nie zginie. O tyle wszelkie uczucie egzystuje, o ile są nerwy. Jeżeli gdziekolwiek nerwów nie ma, tam nie może być uczuć. Nie ma przecież drzewa tam, gdzie nie ma żadnych literalnie jego oznak. W chwili, gdybym utworzył w umyśle swym istotę obiektywną, tak wszechwładną, że mogłaby rządzić najtrafniejszym rachunkiem mego rozumu i najsubtelniejszymi ruchami mojej duszy, owszem, narzucać mojej duszy ruchy jej nieznanne, musiałbym nieodwołalnie dojść do wniosku, że to jest jakieś do nieskończoności spotęgowane *ja*. Byłoby to zgodne najzupełniej z prawami naszej psychiki, ale nie stanowiłoby probierza prawdy. Najbardziej spotęgowane *ja* musi być ograniczone co do czasu swego trwania. Osobowość i czas — są to pojęcia nierozzerwalnie związane. Nie można połączyć w umyśle ludzkim osobowości z brakiem formy czasu, gdyż się to pomyśleć nie da i jedno drugie wyklucza. Z drugiej strony — nasze *ja*, choćby spotęgowane do nieskończoności, może się różnić od nas tylko co do ilości przymiotów, a nie co do ich jakości. Spinoza mówi:

„Gdyby trójkąt posiadał dar słowa, to powiedziałby nam, że Bóg nie jest to nic innego, tylko doskonały trójkąt. Koło powiedziałoby nam, że natura Boga jest kolistą w najwyższym stopniu”.

Toteż niechętnie dochodzę do wniosku, że jest jakiś byt, który nie jest skutkiem jakiegokolwiek przyczyny i przez nic nieuwarunkowany. Ale przypuśćmy... O bycie tym nic innego nie mógłbym powiedzieć, tylko to jedno, że on jest. A gdyby nawet przyjąć za pewnik istnienie bytu bezwzględego, który różni się od *ja* naszego co do jakości jego przymiotów, to należałoby przecież przyjąć tę konsekwencję, że ilości owych przymiotów są nieskończone, a więc wzajemnie między sobą równe. Tyle tedy jest bezwzględne miłosierdzie, co i bezwzględny wymiar kary.

Przyjęcie za pewnik wszechwiedzy prowadzi nieuniknienie do przyjęcia za pewnik przewidywania własnych zamiarów, a przewidywanie własnych zamiarów jest zaprzeczeniem przymiotu najwyższego dobra, owszem, dowodzi współwieczności i współpotęgi złego. Jakże rozum logiczny człowieka nowego zdoła pojąć te zjawiska i uznać je za obraźliwe?

— Czytałam niegdyś zdanie Pascala w jego *Myslach*:

*Rien n'accuse d'avantage une extrême faiblesse d'esprit, que de ne pas connaître, quel est le malheur d'un homme sans Dieu*<sup>39</sup>.

— Ach, Pascala! O Pascalu to Nietzsche najlepiej powiedział... Ale wejrzyjmy w widzenie świętego Jana, w to słowo:

„I wyszedł drugi koń rydzy; a temu, który na nim siedział, dano, aby odjął pokój z ziemi, a iżby jedni drugie zabijali — i dano mu miecz wielki”.

Koń

<sup>39</sup>*Rien n'accuse d'avantage une extrême faiblesse d'esprit, que de ne pas connaître, quel est le malheur d'un homme sans Dieu* (fr.) — Ostateczny to dowód słabości umysłu nie wiedzieć, jak nieszczęśliwy jest człowiek bez Boga (Pascal, *Mysli*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński).

Gdzież jest miłość?

Ewa rzekła:

— Bóg jest miłość.

Po chwili zapytała:

— Skądże się mogło wziąć w ludziach to wyobrażenie, według pańskich dowodzeń tak sprzeczne z naturą ich rozumu?

— Skąd się wzięło... jest to bardzo skomplikowana historia. Gdybym chciał uczynić wywód tego zjawiska, jako mającego źródło zgoła przyrodzone — to pomijając już to, że nie zrobiłbym go dokładnie, mogłaby pani obalić ten wywód jednym zaprzeczeniem albo cytata z Pascala, Chateaubrianda...

— Jeżeli pan nie chce zeznać prawdy, w ogóle mówić o tej sprawie ze mną...

— Nie chcę mówić! Z panią! Ależ przeciwnie! Pragnę o tym mówić... Wyznać przed panią... Chyba nie ma sprawy bardziej dostojnej nad takie wspólne, najdalsze spoglądanie w naszą biedną niewiadomość. W takiej właśnie naradzie dwu dusz mogą z tajemniczych źródeł wynikać objawienia pełne błyskawic, przecucia i chwile twórczych wstępowań po bezcennych, onyksowych schodach w Krainę Zachwytu. Ale boję się... Powiedzą o mnie bliźni: oto libertyn, który dlatego wszczyna podobne gawędy, żeby w jaśniejącej duszy zniweczyć wiarę. Na chwilę nawet nie pomyśli nikt z pocziwych bliźnich, że owe mędrkowania stanowią całkowite *uzija*, czyli jestestwo duchowe półmędrka, alfę i omegę jego duszyczki. A tymczasem ów świat przebyty został własnymi stopami, zdobyty własną myślą i pracą. Nic w nim z cudzej, narzuconej własności, nic z jakiegokolwiek dziedzictwa.

— Czy to nie złudzenie? Czy jest człowiek, który by nic nie dziedziczył? Mnie się zdaje... Ale czy mogę powiedzieć otwarcie?

— Ach, proszę!

— Mnie się zdaje, że skoro tylko człowiek wyrwie się ze sfery uczuć wrodzonych wszystkim bez wyjątku ludziom na ziemi, wówczas nabiera pewności siebie i dumy dlatego tylko, że jest inny od „tłumu”. Gdyby kto dziś zaczął podawać w wątpliwość twierdzenie Kopernika, z pewnością zaraz nabrałby dumy i gardził tłumem.

— Inna jest wiarogodność systemu Kopernika, a inna wiarogodność twierdzenia, że wiadome uczucia są wrodzone wszystkim ludziom. Właśnie to jest najbardziej uderzające, że te uczucia nie są wrodzone wszystkim ludziom na świecie. Są tacy ludzie, którzy ich wcale nie znają.

— O, to ciekawe, to, wie pan, arcyciekawe!...

— Istotnie. Nauka, której się specjalnie „poświęcam”, to jest antropologia, stwierdziła i ciągle stwierdza, że u bardzo wielu tak zwanych dzikich — idee religijne nie powstają i nie istnieją. Są to jednak, o ile sobie przypominam, również ludzie. Że to są ludzie, stwierdzają najdowodniej religie europejskie, które zaczęły o „duszę” tych brudasów troszczyć się na gwałt ostatnimi czasy. Podobnie jak z „dzikimi” ma się rzecz z dziećmi wskutek rozmaitych braków cielesnych pozbawionymi możliwości obcowania ze starszymi od najwcześniejszych dni bytu. Osoby głuchonieme, które ukształcono dopiero w ich wieku dojrzałym, zgodnie świadczyły, że same ze siebie, w stanie naturalnym niejako ich życia, nie miały wcale myśli o Stwórcy!

— Któż zaręczy z ręką na sercu, że badania tego rodzaju mogą być przeprowadzone ze ścisłością naukową i że są obrazem prawdy? Czy pan może za to ręczyć, że dusze „dzikich” przenikniono<sup>40</sup> do dna?

— Ja sądzę, że badania tego rodzaju mają bezcenną wartość. Ale mniejsza o to... Zwróćmy oczy na przeszłość choćby tych samych ludów, które zaległy ziemię i są teraz wessane przez silwasy, pampasy, lianosy, na Etiopów, Malajów, Czerwonoskórych... Spójrzmy w noc historii. Czasami tylko stos kości w polu, czasami tylko ciemne smugi próchnicy w glinie powiedzą badaczowi, że jakiś lud wyginął, potargany przez lby kaptapult albo czerepy granatów. Zdarzyło mi się jedną noc przemarzyć nad omurowanymi fosami Mantui. Czerwona, zgniła, stojąca woda i bujne platany!... Ludzie rozstrzelani, których Goya pochwycił w szpony swego geniuszu!... Ach, raz — małe rycinki sztycharza z początku XVII wieku, Jakuba Callota, zebrane w szereg pt. *Les misères de la guerre*, pozdrowiły mię tak straszliwym krzykiem przeszłości, że m go wyraźnie usłyszałam...

<sup>40</sup>przenikniono — dziś popr. forma: przeniknięto.

— O czym pan mówi?

— Mówię ciągle o tej samej sprawie... O przedmieściach wielkich stolic, o ludziach w walcowniach i tkalniach. Zniweczenie i wytępienie jednych na korzyść innych, byleby stało się zadość widzeniu, jak „jedni drugie będą zabijali”... A nad tym wszystkim, co było i jest, hymn: *Te Deum laudamus*<sup>41</sup>... Tak było zawsze. Nauka o człowieku doprowadza bezstronnego badacza...

— Ten wniosek może być fałszywy! Jak można tak bezczelnie mówić o Bogu! O Bogu! Jak można podnosić na Boga oczy i dotykać Go słowami! Umiera tak samo zabójca jak ofiara, zwycięzca i pokonany, magnat i nędzarz. Któż może twierdzić, że życie nędzarza nie jest częstokroć tysiąc razy lepsze, weselsze, jaśniejsze od życia bogacza? A nie było jeszcze takiego bogacza, który by nie umarł. Cóż mu z miliardów i pałaców, kiedy zjedzą go te same robaki, które zjedzą jego lokaja. A po śmierci... może ów sługa zasiądzie na prawicy Miłosierdzia, a pan wielomilionowy... Bo po śmierci jest sąd, piekło i niebo.

— No, tak. Pewna, bądź co bądź, jest w obecnym stanie pierwsza z tych czterech kategorii. Tę musimy przyjąć do wiadomości...

— Trzeba wiele i żarliwie rozmyślać o śmierci. Wówczas dopiero rozświecła się wszystko. Wielkość życia maleje i nędzne sprawy tutejsze — nie wyłączając wojen punickich, napoleońskich, nie wyłączając władzy miliardów i nędzy ludzi bez dachu — staje się jak proch. Gdyby milioner amerykański był w stanie zajrzeć we wnętrze własnej swej trumny we trzy tygodnie po pompie pogrzebowej — inaczej by żył. Święty Franciszek z Asyżu, największy skarb ładu ziemskiego, wierzył w Boga. Są zakony, które rozmyślaniami o śmierci zajmują się w ciągu wieków, a członkowie ich witają się i żegnają słowami: „pamiętaj, że umrzesz”.

— Natomiast Greczyn niektórzy, imieniem Sokrates, wcale nie zajmował się swoją śmiercią. Przeciwnie, jak świadczy jego uczeń i przyjaciel Plato, nazywał ją rzeczą dobrą, a nawet zyskiem. Tak się właśnie o śmierci wyrażał: „κέρδος ἔργων λέγω”<sup>42</sup>.

Porównywał śmierć do mocnego snu bez marzeń, wzruszeń, cierpień i radości, do snu niezmaconego, który każdy człowiek za największe szczęście uznaje, a którego sam król perski nie zawsze doświadcza. Wszystek czas pośmiertny przedstawiał, w istocie, przemądrze i nieodparcie widocznie, jako jedną noc głuchosenną. Brzmia mi te słowa w duszy: „οὐδὲν πλείων ὁ πᾶς χρόνος φαίνεται οὕτω δὴ εἶναι ἢ μία νύξ”<sup>43</sup>. A czyż nie „zyskiem” będzie ona wieczna noc dla ludzi przeklętych od losu, zaszczytanych przez sfory łotrów, dla ludzi smutnych, zranionych przez straszliwe niedole, dla tych wszystkich, którzy tu spać nie mogą, bo serce ich czuwa, a piersi bez przerwy krzyczą z rozpacz?

Zdarzyło mi się raz we Lwowie, w brukowym dzienniku, między mnóstwem wiadomości pobieżnych, przeczytać opis włamania się władz do pokoju samobójcy w hotelu, i o znalezieniu na stole karteczki z tymi słowami: „Dość już nareszcie tego życia!”. Jakież też było to życie, jak wesoło musiało upływać! Pani, czemu Bóg „zatwardził serce” tego człowieka? Czemu zagasił przed jego oczyma istniejący świat? Jakże szczęśliwa musiała być nareszcie cisza wieczna i spokój, trwające jako jedna noc twardego snu. *Mία νύξ*<sup>44</sup>. Mnich powtarzający za innymi rozkaz: „pamiętaj o śmierci” — jest wobec tamtego z hotelu żołdatem leniwego ducha i umysłu. Nieporównany wśród nas człowiek, Matlakowski<sup>45</sup>, gdy umierał, kazał do siebie przyprowadzić ukochane dziecko, a napatrzywszy go się, napatrzywszy aż do śmierci, zawinął się w koldrę, odwrócił do ściany i rzekł: „No, teraz już będę tego spał”.

— Zdaje się, że ja o tym samym...

— Nie, nie! Oto do czego dążę. Śmierć jest faktem, którego jeszcze nikt nie uniknął. Tak pani powiedziała. I to jest nowa prawda, choć wydaje się być powszechnie znaną od

<sup>41</sup> *Te Deum laudamus* (łac.) — Ciebie Boga wychwalamy.

<sup>42</sup> κέρδος ἔργων λέγω (gr.) — (sądzę, że) dla mnie jest zyskiem; por. Platon, *Apologia Sokratesa*, 40e.

<sup>43</sup> οὐδὲν πλείων ὁ πᾶς χρόνος φαίνεται οὕτω δὴ εἶναι ἢ μία νύξ (gr.) — (bo) całkowita suma czasu jest zatem niczym jedna noc; por. Platon, *Apologia Sokratesa*, 40e.

<sup>44</sup> μία νύξ (gr.) — (jedna) noc.

<sup>45</sup> *Matlakowski, Władysław* (1850–1895) — znany chirurg, ordynator w Szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie, redaktor „Gazety Lekarskiej”, autor ok. 120 prac z zakresu medycyny; jeden z pierwszych badaczy sztuki ludowej Podhala (gromadził tamtejszy folklor muzyczny i słowny, utrwał i analizował typy zdobnictwa itp.), a także tłumacz z angielskiego (m.in. *Hamleta* Shakespeare'a; wyd. tłumaczenia 1894); zmarł na gruźlicę w wieku 45 lat.

początku świata. Skoro zaś śmierć jest tak powszechnym zjawiskiem, więc nie rozmyślać o niej należy, jak to czynią ludzie słabi i mnisi niewolniczego ducha, lecz zapomnieć i nigdy o niej nie myśleć. Jest to wróg, który wcześniej lub później przyjdzie i zamorduje każdego z nas. Należy mieć tyle honoru, żeby pogardzić tym wrogiem. Tak czynią mężni żołnierze i wszyscy na świecie bohaterowie. Bo bohaterstwo jest to nade wszystko pogarda śmierci. Człowiek mądry nie uważa śmierci za rzeczywistość godną myślenia. Przedmiotem myślenia filozoficznego może być tylko życie. Życie jest to ogrom niezbadany, nieprzebyty, jak podbiegunowy las dla samotnego wędrowca bez broni. Jest to wciąż jeszcze puszcza, w której niewyrębana jest ani jedna ścieżka. Śmierć wobec życia, wielkości zupełnie nieznaney, jest wielkością nieskończenie małą, dokładnie i ze wszech stron znaną, śmierć daje pole do marzeń. Jest to godne uwagi, że najbardziej lubią rozwozić się o śmierci ludzie młodszy, początkujący poeci (choć zdarza się to i starym poetom).

Ci ludzie przypominają mi pewne zdarzenie. Byłem raz w Paryżu na wystawie obrazów, w Salonie Wiosennym. Było tam wiele dzieł niezrównanych, istnych dzieł sztuki. Przed jednym z nich siedziałem w kącie kanapki, zatopiony w marzenia, które obraz wzbudzał. Raptem weszły na salę dwie młode, strojne damy. Szły żywo rozmawiając, sprzecząc się, dowodząc. Przebiegały od jednego obrazu do drugiego. Na ten zwróciły swe szkła o długich rączkach (*Judenstocki*<sup>46</sup>), na tamten zerknęły przez ramię. Tu coś do siebie bąknęły. Tam najniespodziewaniej zachichotały. Nawet i mój obraz, że się tak wyrażę, obwąchały z bliska, bez cienia uwagi.

Przebiegły szeleszcząc sukniami jedną salę, drugą, trzecią w ten sam sposób. Widziałem je ciągle, gdyż bez przerwy włożyły mi w oczy ze swymi piórami na kapeluszach, z szelestem swych jedwabów. Kiedy przecwalaowały już przez wszystkie sale, nie zatrzymawszy się przed żadnym z dzieł sztuki, z których każde bez wyjątku było owocem wielkiej pracy, a niejedno arcytworem, dopadły wreszcie owe damy do małych drzwiczek w ostatniej sali. Drzwiczki te prowadziły na strych, do składu rupieci, połamanych ram, niepotrzebnych stalug, płócien i tym podobnych sprzętów. Damy poczęły dobijać się do tych drzwi, szarpać za klamkę, wreszcie kołatać. Ponieważ drzwi były zamknięte na klucz, udały się co prędzej do portiera z natarczywym badaniem, co tam jest za nimi! Chciały to wiedzieć, nie mogły przecie odejść z wystawy nie dowiedziawszy się, co ukrywają tajemnicze drzwiczki. Rozprawiacze o śmierci robią na mnie wrażenie...

— Gdzieś to czytałam, że prawd ścisłych nie można żadną miarą dowodzić za pomocą przenośni, metafor, podobieństw i porównań. Co innego jest, przypuszczam, ciekawość rzeczy pośmiertnych świętej Teresy albo Dantego, a co innego ciekawość owych dam, co jest za drzwiczkami na strychu.

— Ma pani słuszność. Ale owe damy przypominają ludzi mających o śmierci, którzy wcale nie znają życia. Ojciec rodziny, mąż czynu, człowiek ciężko chory nigdy ani przez chwilę o niej nie myślał. A każdy wielki charakter ma ją w najzupełniejszej pogardzie, ów oficer japoński, który wyrok śmierci, wydany nań przez cudzoziemski sąd polowy, przyjmuje bez drżenia jednego mięśnia, z uśmiechem, salutując ją po wojskowemu jak siłę, którą się zna z matematyczną dokładnością!... Oto wszystko. Jest to rzecz znamienna, że cywilizacja starego świata doszła do tych samych wyników, co cywilizacja tak odmienna od naszej, jak japońska. Już stary wyjadacz wszelkich systemów myślenia, znawca doktryn życia i, oczywiście, eklektyk, Cycero, zaklina ludzkość w swych bredzeniach tuskulańskich, powtarzając z patosem myśl od stoików na wieczne nieoddanie pożyczoną, żeby ludzie, przepraszam za łacinę, *mortem vel optare incipient vel certe timere desistant*, to jest, żeby pałali żądzą śmierci (w czym stary adwokat przeholował) albo — co jest sworzniem zwierającym sprawę starego świata, na czym stała wieczna potęga Grecji i wszystkie czyny żelaznego Rzymu — żeby pogardzali śmiercią. Cóż komu przyjdzie z pytań pitagorejczyków: „skąd przybywa duch, dokąd zdąży i po co jest posępne misterium śmierci?”. Cóż komu przyjdzie z pięknych inwokacji Wiktora Hugo:

„Co robi śmierć z naszą duszą? Jaką jej zostawia naturę? Co jej odbiera, a czym ją obdarza? Gdzie ją podziewa? Czy jej używa choć czasami oczu ciała, ażeby dusza mogła patrzeć na ziemię i płakać?”.

<sup>46</sup>*Judenstocki* — znane również pod fr. nazwą *lorgnon*, okulary na długim trzonku umocowanym z boku, podnoszone do oczu w razie potrzeby.

— Jeżeli komu rodzą się w sercu takie pytania, a pan na nie żadnej odpowiedzi dać nie może, to jakimże prawem nastaje pan na ich bolesną ciekawość?...

Już mrok zapadał i ciemność wpływała w ogród.

Drzewa bezlistne jeszcze świeciły się konarami, lecz pnie już zatonęły w pomroce. To, co mówił Niepołomski, nie raziło już Ewy... Przeciwnie, podniosła cisza płynęła na nią z tych słów. Wszystko, czego oczy mogły osiągnąć jeszcze w następującej ciemności, stawało się uroczyście, piękne i namaszczone.

Pnie drzew, poręcze ławek, kształty wygięte drożyn, ścieżek, zarysy różowe dalekich gmachów — wszystko wychylało się z mroku i, stawszy się niejako istotami żywymi, zwróciło ku rozmawiającym uśmiechnięte, przyjazne i braterskie oblicza.

Unosiło się jeszcze nad nimi lśnienie szczególnego światła i wyróżniło je z tysiąca innych zjawisk i kształtów. A lśnienie owo przenikało do głębi duszy, jak promień przenika głębinę wody. Nie takie było w rzeczywistości wrażenie od tych przedmiotów i nie to czuli patrzący na nie, ale można by powiedzieć, że rzeczy te i zjawiska, wrastając w szczęśliwe oczy i w szczęśliwe serca, oddawały z dala pokłony, przesyłały jakoweś znaki, symbole i sygnały. Wynikła z nich świta przyjaciół, tłum sojuszników, przypuszczonych do sekretu, który stał się wspólnym i na najświętsze zawołanie zaprzysiężonym.

Niepołomski podniósł się ze swego miejsca, uklonił i odszedł. Przez chwilę jeszcze widziała jego szare palto w alei, po czym między drzewami. Znikł.

\*

W nocy zasnęła była twardo i przez czas długi spała bez widzeń. Aż oto, jakby z otworzenia ciemnego, wystąpił w całej zbroi sen na podobieństwo tragedii Szekspira.

Działy się dookoła i w niej samej rzeczy straszliwe i wzniosłe. Wszystko było w ruchu i pełne krzyku. Widziała jak gdyby ucztę osób ukoronowanych i zgiełk tuż obok ludzi uzbrojonych. Skądś, z tumanu, nadszedł Niepołomski.

Biegł w popłochu, przeciskał się przez ciżbę osób obcych, brutalnych, ohydnie twardych w spojrzeniu. Miał na ustach jakąś wieść, wiadomość, sygnał czy znak. Wyczekiwała, żeby co prędzej zbliżył się do niej, i nie mogła doczekać, chciała ku niemu biec i nie mogła. Upadła pod jakimiś drzwiami, w których on stał, i zasłoniła go sobą.

A wokół dym, strzały rewolwerowe... Rzuciła się całym ciałem naprzód...

Ale oto prysnęło i pierchło wszystko. Stała nad brzegiem jaru, na wsi, w miejscu, które niegdyś widziała. Zdarzyło się w jej życiu, że jechała była sama od krewnych do stacji kolejowej małą bryczulką zaprzężoną w jednego konia. — Pierwszy i ostatni raz jechała tamtędy przez dolinę pustą, zapadłą, zamkniętą ze wszech stron świata między wzgórzami, jakby w więzieniu.

Był tam szereg stawów, jeden za drugim idących, które z niewiadomych przyczyn skasowano. Na olbrzymich stawiskach były już teraz uprawne pola, łąki, łozy, gęstwiny i rozległe sitowia. Po stawach zostały jeno groble i ruiny upustów. Zarówno groble jak upusty nie wiedzieć czemu sprawiały (wówczas) wrażenie bolesne. Szczególniej upusty — ogniłe resztki młyńskich pogródek, zzieleniałe ślady stawideł. Bystry ruczaj biegł środkiem stawisk i w szumiących wodospadach zlatywał z czarnych palów, hucząc w kilkunastu miejscach, co tworzyło bolesną muzykę. Dookoła doliny po wzgórzach wieszały się nieregularnie rozrzucone chaty długiej wsi. W głębi ze wszech stron czerniał bór liściasty. Była wówczas jesień i ciemny padał mrok na przedziwną kotlinę. Wody pędzące w jej głębi miały jakowys zaciekły, oskarżający ton w swym szumie. Sprawiały wrażenie żywe, podobne do głosu dzikiego chłopstwa, które mamroce między sobą, zmagia się i protestuje w głupocie swej przeciwko czemuś, czego nie rozumie wcale — burzy się i grozi pomrukiem, a jednocześnie tchórzy szelmowsko przed niewiadomymi zamachy. Teraz we śnie Ewa uczuła trwogę i żal, rozpacz i boleść wobec tej wody szumiącej czy tego chłopstwa zmagającego się na nią. Zeszła, niosąc w sercu to czucie ciężkie, poza ostatni staw, w miejsce, na które tylko rzuciła okiem, przejeżdżając wówczas.

Nieliczone sitowia, trzciny skrzypiące, wrzask szpaków, poświstywanie wodnego ptactwa... Mrok pada z dębów wielkodrzewów, mrok duszy samotnej wobec dzicy i krzywdy.

Woda, Tuman

Staw olbrzymi wylał w grobli wyrwę, w której zmieścić by się mogła wielkowiejska kamienica — i uciekł. Po upuście zostały tylko wielkie, pokrzyżowane ruiny, koślawe pale i posplatane belki, niby piszczele zaciśnięte kurczowo, oplecione chwastem, obrosłe dyndającym mchem. Były to zaiste poprzetręcane kły i ohydne gnaty potwora. To, co zostało w tej ruinie, było już tak mocne jak siła zniszczenia i ostało się szczerząc zęby. Woda spadała z obeschłego stawiska szumnym a ponurym ruczajem w dół i wybiwszy głęboką jamę biegła dalej z chyżością. Nad ten to jar, w miejsce nieznanne, którego nie mogła dosięgnąć oczyma, Ewa przyszła we śnie. Czepiała się rękoma leszczyn, tarek, rokitin, spod których lzało się szkliwo zaskórnej wody i patrzeć poczęła w dół. Wraz z bryłami mokrej ziemi zsunęła się ku rzeczulce, cicho sepleniącej w dole. Z oczyma wbitymi w jej chytrą, kryjącą się, ślepą toń, spadała, zsuwała się, szła bezwładnymi nogami. Strach, ciekawość... Aż wreszcie wstąpiła bosymi stopy<sup>47</sup> w zimny, rwący nurt. Głowa jej zwiśla na brzeg, a bezwładne czoło upadło na kępy zielonych chwastów. Było duszno i gorzko na duszy. Ostry zapach wodorostów, staplanych liści...

Przestała widzieć... Aż oto wydzwignął ją i wyniósł z ciemności jakoby ojciec czy inny człowiek. Och, wyszła stamtąd! Spieszyła teraz w nocy ciemnym polem, ciemnym polem... Po zagonach, przez samotne, opuszczone, pozaludzkie pola. Strach ją doganiał, świszczął wiatr. Jakaś droga polna z dawno zaschłymi w mokrej glinie kolejami... Biegnie w dal, woła. O ludzie, ludzie! Piersi zduszone rękoma strachu...

Wtedy to ujrzała nagle a tuż przed sobą ogród, jakoby raj. Daleko wschodzi błękitny poranek. Kwiat oblepił drzewa wiśniowe, wyniosłe różgi czereśni bieleją na błękitach. Och, te drzewa! Rozkosz widzenia ich we śnie, nad szmaragdową murawą, nad rabatami spulchnionej ziemi. Poranek wchodził w ów sad niewidziany. Za wysokim płotem-pleciakiem ze świerkowych splawin, za wrotyma<sup>48</sup> z ledwie ciosanych balas<sup>49</sup> tai się w mroku sad. Trawy w nim w pas. Zwarty gąszcz wyniosłej koniczyny — istny bór! — Gąszczu, gąszczu niedotknięty<sup>50</sup> stopą ni dłonią! Wiatr cię jeno muska, deszcz wiosenny żywi i kąpie, a tylko pszczoły obciążają. Wielkie kule kwiatów napęlił przenajśłodszy miód i ubarwiła je szata całująca w usta i oczy. Tam nisko, spodem... Gdzie oczy padną, zalew łaskawej dla oczu białej koniczyny, jakby mrowie biedy, chłopskiego moc narodu... Tam i sam, tam i sam tkwią, wbite w wiotkie trawy, w miękkie jak dym czy mgła pawłoki mietlicy złotolite lby-gwoździe przydrożnika. Ewa śni — widzi. Wyciąga ręce. Dotknęła dłońmi wrót. Mokre od rosy drewna, zimna ich kora do rąk przystaje. Pchnęła zmurzałe wierzeje. Obróciły się bez szelestu na swych wtkach brzoźowych, obróciły się na czopach zmurzałych...

Otwarły się — ni to drzwi raju. Weszła. Bosymi nogami dotknęła mroźnej rosy. Chłodne, nad miarę bujne i wysokie badyle łechtają kolana, mokre włókna jak węże snują się po palcach nóg. Dreszcz.

Teraz dostrzegła oczyma, spomiędzy czarnych bugajów koniczyny wystrzelające, nietykalne kule ostromleczka. Głowy ich, utkane ze światła księżycowego, najlżejszy oddech niweczy. Podano jej niegdyś do wierzenia baśniowe słowo i uwierzyła, że w tych łodygach tai się biały sok, trucizna wyzerająca żywe oczy.

Ktokolwiek wyciągnie rękę albo nachyliwszy się tchnie, zetrze głowę uczynioną z marzeń. Ktokolwiek zerwie łodygę, temu kwiat oczy wygryzie.

Ewa patrzy oczyma, na wskroś widzącymi, w samotne, białe puchy, rozsiane tu i tam. Wstrzymuje oddech, żeby nie popsuć tkanin wypielęgowanych przez dnie i noce, wychowywanych przez słońce i ziemię. Nim przyjdzie podmuch zabójca, co je zniweczy niechaj sobie samotnie dumają, niech śnią swój krótki a na nic nikomu nieprzydatny sen. Nie ja, kwiatuszki, popsuję wasze główiny... Nie ja... Przenigdy! Pokój wam...

Patrzają się w nią białe, okrągłe, nadobne oczy z czarnych a mokrych traw. Zapach niewysłowiony i milczenie. Oddech tajemniczego zakątka sieje w sercu uczucie rozkoszy i siłocucie młodości. Ogromne krople rosy wiszą na każdym płatku kwiatowym, rosy wielkiej i ociążalej. Słońce olbrzymie — boskie Savitri — powstało. Czerwone światło upada w krople olbrzymie, jakoby połysk wielkiego miecza, słońce strąca każdą kroplę

<sup>47</sup>bosymi stopy — dziś popr. forma: bosymi stopami.

<sup>48</sup>wrotyma — dziś popr. forma N.lm: wrotami.

<sup>49</sup>z ledwie ciosanych balas — dziś popr.: (...) balasów.

<sup>50</sup>niedotknięty — dziś popr. forma: niedotknięty.

oddzielnie — to tu, to tam. Ciężko padają — pac... pac... Rosy padają w mokrą trawę. To w miody koniczyn, to w wiotką kulę ostromlecza. A te, co pozostały, Ewa ogląda każdą z osobna. Przykłada do każdej oczy i spogląda w wewnętrzny każdej świat.

Nad czarnym dachem strzelają w czerwone niebo dwa modrzewie, młodocianymi igły<sup>51</sup> okryte, zielone tak, że serce bije ze szczęścia od ich widoku. W dole nad rzeką złocą się i palą ogniem jaskry. Szumi woda. Senna lekkość napęlnia piersi.

Wśród tej lekkości przyszło ocknienie. Ewa spostrzegła, że głowa jej zwiśla za poręcz łóżka, kołdra spadła na ziemię, a całe ciało jest obnażone. Cichy śmiech objął ją słodkim, czarownym uściskiem na widok nagości własnego ciała. Serce poczęło bić, lecieć... Jeszcze słyszała kapanie wielkich ros na kule ostromlecza, na kępy koniczyny, na swe serce i na rzęsy powiek. Rozkosz cielesna i rozkosz snu, który jeszcze nie odszedł, zdawała się leżeć na jej piersiach i wzdłuż całego ciała. Położyła się rozkosz na gorących ustach — jak usta, na oczach — jak oczy, na piersiach — jak nagie piersi.

Wtedy przyszła, jak gdyby z głębi domu, cichymi krokami<sup>52</sup> straszliwa w swej mocy rozkosz-wiadomość, że on jest tu, za ścianą, której dotknęła wyciągniętą ręką. Ewa oparła na tej ścianie dłoń z rozstawionymi palcami i przymknąwszy oczy, poszła bez tchu, duszą stęsknioną, szybkimi krokami bijącego serca w głąb czarną wiśniowego sadu, ku kropłom rosy, ku ściągłym modrzewiom, ku trawom, boskim arcytworom i ku onemu złotolitemu słońcu...

\*

Rano wczas udała się do kościoła. Ale nadaremnie, ukryta w najciemniejszym kącie, obok wejścia na chór, klęcząc nagimi kolanami na wilgotnych kamieniach, usiłowała modlić się, wzbudzić wczorajszy żal, wczorajszą skruchę i radość mocnego postanowienia. Ten stan wydarty został z jej duszy, wyszarpany z korzeniami. Czuła w sobie obecność wzruszeń, ale zgoła innych. Były mocne i twarde, grubiańskie i niezwalczone dla modlitwy. Zrazu zdawało się, że te wczorajsze dowodzenia Niepołomskiego coś w niej zepsuły, zatrzymały zegar uczuć, ale przekonała się wkrótce, że tak nie jest. Patrzyła na obrazy w ołtarzach i nie widziała ich pozamalarskiej, usiłowanej, niematerialnej piękności, lecz właśnie spostrzegła malarską nieudolność. Spostrzegła nędzę, puciołowatą śmieszność barokowych (a raczej jezuickich) aniołów z wyłocionymi skrzydłami do dźwigania pokładów kurzu. Rzuciła się w oczy tłustość księżulów rozsiadających się wygodnie w konfesjonalach, dreptanie starych jędz-dewotek ku uprzywilejowanym ławkom.

Czuła obrzydliwą niemoc duszy do przełamania tych zewnętrznych, cudzych wrażeń, do stłuczenia zewnętrznej skorupy Kościoła, ażeby dostać się do wczorajszej jego treści. Były chwile, że ogarniała duszę rozpacz. Ewa chciała rzucić się do pierwszego z brzegu konfesjonalu i wszystko to wyznać... Chciała i nie mogła. W ostatniej chwili, kiedy już rękę opierała na ziemi, żeby się podnieść, potworny śmiech ją wstrzymywał. Zapytana w owej chwili, odpowiedziałaby bez wahania, że to szatan szkarłatnymi skrzydłami okrył jej duszę. Czuła ciężar i duszenie. I najstraszniejsza rzecz — doświadczała jakowejś satysfakcji z tego powodu, że ma w sobie takie wzruszenie nieznanne i nowe.

Przestała modlić się. Klęczała jeszcze, siedząc bezwładnie na ścierpłych nogach, z głową opartą o zimny mur. Oczy jej z niecnym uśmiechem patrzyły w głąb kościoła, gdzie jarzyć się zaczęły świece zapalone do nabożeństwa prymarii. Tam to miała przystąpić do Sakramentu Ołtarza. Rozległ się drżący dźwięk dzwonka. Cóż się z nią stało? Co się stało?

Jeszcze raz wzniosła oczy ku górze, porwała po prostu rękami za barki swą duszę i zatrzęsła nią ze wszech sił. Nadaremnie. Nic, tylko zaciekleła дума, śmiech ze siebie...

Było już po nabożeństwie, kiedy powstała ze swego miejsca i nie patrząc na kościół, wyszła. Zdawało jej się, że jest chora, przeziębiona, półumarła. Szła tą samą drogą co wczoraj i ze spuszczonej tak samo oczyma. Tylko dziś śmiała się szyderczo, gdy przyszło, jak w wybuchową minę, uderzyć w myśl, że wraca nie przystąpiwszy... Ale już ani okruszyny żalu! Weszła w ogród i bez wahania podążyła na swoją wczorajszą ławkę. Tak musiała. Zbliżając się do tego miejsca zauważyła poprzez krzewy, ledwo osypane

<sup>51</sup>młodocianymi igły — dziś popr. forma N.Im: igłami.

<sup>52</sup>cichymi krokami (daw.) — dziś popr. N.Im: cichymi krokami.

kłobuczka, że tam ktoś siedzi. Domyśliła się prędzej, niż rozpoznała wzrokiem, że to Niepołomski. Ręce miał oparte na lasce, na nich opartą głowę. Nie widział jej. Mogła przejść niepostrzeżenie. Ale w tej samej chwili wychyliła się jasna świadomość, że to, co się stało, ma swą logikę, sens i porządek. Dlatego nie przystąpiła do sakramentu, dlatego nie mogła się modlić, dlatego wyszła z kościoła, że jego tu spotkać miała. Ponure pytanie, którego sformułować nie sposób, trzymało ją na miejscu. Wahala się i kołysała w sobie. Aż oto — z podniesioną głową szybko podeszła ku niemu.

Podniósł oczy i wzdrygnął się. Spłonął z uśmiechu. Nie zdjął nawet kapelusza, nie wstał. Siedział wciąż tak samo z rękami daleko wyciągniętymi i wspartymi na lasce. Nieoczekiwana radość, uszczęśliwienie spadające nagle a niespodziewanie, jak rześistość deszczu na spaloną ziemię, szczęście wydające na łup wszystko od razu — obezwładniło jego postać. Nie wiedząc, jak się to stało i kiedy, przez chwilę zatonełi oczyma w oczach, wcielili się oczyma jedno w drugie, weszli w przecudowne a rozwarte podwoje szczęścia, w rozkosz mroku spojrzenia jednego we dwu osobach. Ogarnęło ich, nie wiedzieć: krótkie czy długie, nabożeństwo wstępowania oczyma w oczy i zagłębiania się wzajem w ducha przez czarodziejские obnażenia spojrzeń. Ewa uczyła, że ją całą, od stóp do głów, powleka rumieniec, i miała wiadomość o rozkoszy powlekania się nim nie tylko dlatego, że to dawało nieopisany upał szczęścia, ale i dlatego także, że oczy jego mdlały wówczas dwakroć, trzykroć, dziesięćkroć piękniej. Stawał się piękny w uśmiechu i miły jak ów sen nocny o rannych rosach. Był tak straszliwie piękny tylko przez chwilę, ale na zawsze w pamięci właśnie taki pozostał.

— Skąd pani wraca? — zapytał głosem mimo woli cichym, sekretnym, niemal spiskowym.

— Idę z kościoła.

— Ach, tak...

— O czym pan myślał, jak pan tu siedział? — zapytała z kolei, wiedząc dobrze, a jednak nie zdając sobie umyślnie sprawy z tego, że wywoła odpowiedź.

— O pani.

— Cóż pan o mnie myślał?

Jakoś leniwie otrząsnął się i rysując laską na piasku gzygzaki mówił sobie:

— „Są prawdy, których mędrzec nikomu nie powie”.

— Co za mędrzec? — spytała ze swobodą i przepyszną wesołością, roztwierając oczy.

— Nie lubi pani, na przykład, mędrców?

— A skądże ja, dziewczę z parafii, mogę mieć najslabsze nawet wyobrażenie o historiach tak amarantowych, jak o tym, co to jest, na przykład, mędrzec?

— Mędrzec — jest to człowiek szczęśliwy. Z zastrzeżeniem: w tej chwili. Paradoks głosi: *sapientem solum felicem esse*<sup>53</sup>.

— Po łacinie? Uciekam do domu!

— Niech pani jeszcze nie odchodzi. Przecież jeszcze niczegośmy się nie dowiedzieli... Ja przynajmniej nie wiem nawet tego, jak pani na imię.

— A po cóż to znowu może być panu potrzebne?

— Do rozmyślań i spekulacji naukowych — łacińskich, hebrajsko-amarantowych.

— E — wie pan co — nie powiem, jak mi na imię. Po co, na co to panu? Z jakiej racji? Jeszcze pan komu obcemu powtórzy, narobi pan plotek...

— O tym imieniu?

— A o tym imieniu.

— Nikomu nie powiem! Sam będę to imię miał w sobie, jak woda ma czasami w największej swej głębokości słońce ze szczytu nieba.

— Och, jakie zawikłane porównanie!

— Wie pani, jest jedna taka woda na świecie...

— Nic nie chcę wiedzieć o żadnej wodzie na świecie!

— Niech pani zechce usiąść na tej ławce i posłuchać. To jest bardzo interesujące. Proszę powiedzieć mi imię swoje.

— A przecie pan słyszał wczoraj, jak Horścik bełkotał z „ciocią” Barnawską.

— Nie słyszałem... A on mówił naprawdę?

<sup>53</sup>*sapientem solum felicem esse* (łac.) — tylko mądry jest szczęśliwy; tylko mądry potrafi być szczęśliwy.

— Mówił.  
 — I ja, kretyn, nie spostrzegłem...  
 — Nie wypada mi potwierdzać...  
 — Ale pani teraz mi powie. Przecież tylko o imię chodzi.  
 — Fuksja... do usług.  
 — Proszę nie żartować!  
 — Nieładne? Pan wolałby pewno, żeby było — Pelargonja... Ale cóż począć!  
 — Pani powinno być na imię Jasność, Jaśnienie... Czy jest takie imię w kalendarzu?  
 — Nie czytuję kalendarza — panie!  
 — Jak by też to było zdrobniale od Jasność?  
 — Oczywiście — Nitouche<sup>54</sup>.  
 — Ach, jakże można coś podobnego wymawiać! Chciałem powiedzieć... Ja sobie układałem, że Jasne Słoneczko, Błogousta, Jasnotka...  
 — Lepiej języczek trzymać zawsze za zębami. Tę cnotę nad cnotami nawet mędrcom się chwali.  
 — Imię!  
 — No, więc cóż z tego?... Dajmy na to, że powiem. I cóż z tego? Czy panu przybędzie zdrowia, szczęścia, pomyślności albo fortuny? Żeby choć Zofia albo Aniela, albo choć jaka Helena...  
 — A tu co?  
 — A tu... o wstydzie! Nie, to okropne! Nawet...  
 — Pani!  
 — No, niech pan przynajmniej zamknie oczy. A tu dopiero... Ewa... pierwsza grzesznica.

— Ewa. I to na serio?  
 — Niestety! Tak stoi w metryce, a nawet w biurze adresowym.  
 Mówiła to ze śmiechem i w tonie łobuzerskim, a jednak cała znowu pokryła się rumieńcem. Czy jej zlekły się wzroku rozmówcy.

— Ewa... — mówił Niepołomski do siebie, głosem matowym, który zagłębił się w ten wyraz i w nim utonął. — Ewa, po hebrajsku *Jewe*, jest to czarujący czasownik, który w trybie bezokolicznikowym tylko jakby sam dla siebie egzystuje, a znaczy — istnieć. Ewa jest to istność, która była, jest i będzie. Jest to kobieta nieśmiertelna. Ewa znaczy to samo co niebiańska Izys: przebywająca w przestworzach nieskończoności.

Posłyszawszy te słowa, doświadczyła najmniej oczekiwanego w sobie uczucia wesołości. Miała, wbrew woli, chęć dowcipkować, wyśmiewać, ośmieszać, a nawet miażdżyć i do góry nogami wywracać za pomocą drwiny tkliwe tchnienia duszy lecące w dźwiękach i spojrzeń. Skądś wyrosła w uczuciu cierpka złośliwość i chęć potargania tkanin jeszcze niezwiązanych, co się ledwie z nicości wychylały. Roily się słowa zuchwałe i pospolite. Wszystkie wydają się dobre i godziwe. Gotowa by wszystko powiedzieć na złość sobie i na złość słuchaczowi.

Za chwilę ów dziwaczny nastrój znikł. Jakiś przestach i popłoch... „Iść do domu!” — rozkazała sobie kategorycznie. Ale jedno spojrzenie Niepołomskiego, spojrzenie z dołu, spojrzenie żebraka bez sił leżącego przy drodze... Skądże tak przedziwne uczucie prawdy teraz dopiero znalezionej w przepaściach, skąd brzmienie archanielskie wokoło głowy? Skąd uśmiech, w którym zawarła się wiekuistość? Siła i rozkosz w całym jestestwie obojga. Niebieskie oczy jej zdawały się zostawiać w przestworzu niebiański szlak. Współzachwyty przeistaczał się i wyrażał na zewnątrz w bezwiednym naśladownictwie ruchów i wzajem bezcennego brzmienia głosu. Na oczy wół opuszczały się rzęsy, białka zaciągały się barwą błękitną, rysy martwiały i twarze bladły. Słowa stały się przyciszone, przejęte zawstyżeniem, zdradą, spozierające już to naprzód, już poza siebie.

— Idę już. Do widzenia... — rzekła w zamyśleniu.  
 — Dlaczego pani odchodzi?  
 — Muszę do domu. O dziewiątej do biura.  
 — Pani pracuje w biurze?

<sup>54</sup>*Nitouche* — dosł. fr.: niedotykalna; nawiązanie do komediowej operetki Louis-Auguste-Florimonda Ronger zw. Hervé (1825–1892) *Mam'zelle Nitouche*.

— Tak.  
 — W jakim biurze?  
 — W biurze zarządu kolei. W dziale przychodu...  
 — Czy to już dawno?  
 — Trzy lata.  
 — Jakież tam pani ma zajęcie?  
 — Robię „normy”.  
 — Cóż to za normy?  
 — To, proszę pana, dodawanie, czasami nawet odejmowanie, przede wszystkim zaś pisanie. Dziewięć arkuszy, czterdzieści rubryk, czyli 250 linii dziennie.  
 — A pensja, jeśli wolno zapytać?  
 — Wolno. Zresztą, to można zobaczyć w etacie. A tak. Rubli srebrem pięćdziesiąt miesięcznie, tak, panie. Początkowo było 26 rubli i kopiejek 10, a teraz pięćdziesiąt. Słyszysz pan? Jeśli zaś robić dziennie trzy normy, co jest rzecz arcydziwna, to można zarobić jeszcze 30 rubli. Wynosi to jednak dwanaście godzin pracy dziennej, czyli wbrew wszelkim zasadom proletariackim. Odchodzę. Do widzenia...

\*

Niepołomski siedział na „swym” fotelu w mieszkaniu państwa Pobratyńskich. Fotel ów stał w ciemnym zaułku niszy, tuż obok drzwi do kuchni a naprzeciwko wejściowych. W sąsiedztwie fotela, czyli „karła”, mieściła się „serwantka” z wybitymi pół na pół szybami, zakurzony skarbczyk rodziny (szkło czeskie, fajans, flaszeczki, postumenci, figurki świętych, garnuszki z napisami „Pamiętka z Częstochowy”, pudełka z firaneczkami, w których stare opłatki, a nawet książki: *Choix de monuments...*, kilka powieści Kraszewskiego, trzy tomy „Biblioteki Warszawskiej” z roku 1856, *Meir Ezołowicz...*).

Obok szafki, pod prostym kątem do „karła”, „zajmowała miejsce”, według opinii zamężnej córki rodu i jej ironizującego męża, kanapa. Dzieje tego mebla musiały nie być wesołe. Okolice przeznaczone do siedzenia zapadły się były dawno i na czas nieograniczony, tworząc wgłębioną powierzchnię, która stykała się niemal z poziomem podłogi.

To zbliżenie prawdopodobnie dało asumpt Niepołomskiemu do przewrania kanapy „niemal-styczną” w jej niejako wiekiustym a przecie bezcelowym dążeniu do zetknięcia się, wsparcia i zjednoczenia w spokoju wiecznym z wymienioną wyżej prostą — podłogą.

Stary pan Pobratyński nie bez akcentu rzewności (czy dumy) nadawał kanapie w chwilach właściwych nazwę dość zagadkową: zwał ją „palisandrową”.

Nazwa ta budziła uśmiechy melancholijne, jeżeli nie zgoła cyniczne. Jakkolwiek bądź, okolica: kanapa, fotel, serwantka — była miejscem przenajdroższym dla pewnych osób w lokalu. Trudno zaiste uwierzyć, jak owe stare meble, owe, powiedzmy bez obłudy, graty, przeistoczyły się owymi czasami.

Była to ich młodość powtórna, ich zmartwychwstanie z nędzy i nicości. Gdyby ktośkolwiek chciał usunąć „niemal-styczną” z miejsca, które „zajmowała”, gdyby chciał wydłubać z niszy fotel, wrosnięty w światło Rembrandta, zapomnienie i wzgardę, gdyby chciał poprzewracać figurynki, bohomazki i potwornostki przechowywane z barbarzyńską doprawdy pieczołowitością, popełniłby zabójstwo ducha tych miejsc i rzeczy.

Od tej chwili, kiedy stary pan Pobratyński wrócił do domu z wiadomością, że dzięki bilecikowi polecającemu Niepołomskiego otrzymał posadę u Kraftów, krótko mówiąc, na sześćdziesiąt rubli miesięcznie, nowy lokator stał się jego i córki (oficjalnie!) bożyszczem. Zaproponowano mu ze strony miarodajnej, bo ze strony matki rodu, w sposób tkliwie serdeczny a pełen godności, żeby się stołował. Przyjął bez jednej chwili namysłu, i bez wahania zaczął płacić za obiady cenę niepraktykowanie sowitą.

W ten sposób wyrugował Horsta. Przychodząc na obiad i oczekując nań (co zdarzało się zawsze wcześniej, niżby tego okoliczności wymagać mogły), Niepołomski zagłębiał się w czarny fotel i czekał bardzo cierpliwie. Obiady podawano punktualnie ze względu na to, że Ewa przychodziła na nie z biura terminowo co do sekundy. Właściwie nie miała prawa wydalać się na obiad, gdyż regulamin na to nie pozwalał. Ponieważ jednak biura kolejowe znajdowały się w pobliżu, umiała wszystko wykonać w pół godziny.

Od chwili otrzymania posady w „Kraftach” również punktualnie przychodził ojciec rodziny. Ewa starała się zazwyczaj bawić „obcego” w czasie oczekiwania na wazę. Wypadało jej siadać w rogu kanapy, w pobliżu fotela. Pięć, najwyżej siedem minut trwała codziennie ta rozmowa, zwana przez urzędnika od Kraftów dyskursem albo konwersacją. („Przerwijcie no, moi państwo, waszą konwersację — względnie »dyskurs« — albowiem waza wjeżdża na stół...”) Ewa posiadała umiejętność zabierania miejsca na „niemal-styczeń” w sposób iście archanielski.

Było to na brzeżku drewnianym — zapewne — ale nie stanowiło przecież zniewagi i pohańbienia dla starej, poczciwej, sponiewieranej kanapy. Zajmując miejsce, Ewa wsuwała się ruchem fali rzecznej z owego miejsca na ziemi, które znał tylko Niepołomski — w zdradzieckie zagłębienia, zawisała na pochyłościach i upłazach jakby w powietrzu. Nigdy nie bywała tak cudownie piękna jak wówczas. Miała urok błękitnego obłoku, który zawisł na zrębach i szczybach skalistej góry. — Może dlatego, że wstydziła się i za siebie, i za starą towarzyszkę rodu, a wstydząc się za nią, żałowała jej odrobinę, podobnie jak się człowiek wstydzi prostactwa krewnych, a żałuje zarazem ich upośledzenia. Wtedy to oczy jej nabierały wyrazu, którego Niepołomski tak łaknął i pragnął od poranka do wieczora i od wieczora do świtu.

Zaraz po obiedzie Ewa wybiegała do biura. Wracała do domu po trzeciej, czasami znacznie później, gdy pracowała ponad normę. Wówczas ośmio- albo dziesięciogodzinny czas jej pracy miał tę jedną jedyną przerwę półgodzinną.

Gdy wbiegała do domu, gdy rozległ się dzwonek zwiastujący jej nadejście szczególnym drżeniem urwanym, krótkim tonem, wówczas kanarek w klatce przy oknie poczynał głośniejsze szczebiotać... Łukasz dzwigał ze swego kąta wzrok. Oto szelest jedwabny, oto obraz jej, widny oczom już wówczas, kiedy się jeszcze nie ukazała, czarujące objawienie się jej osoby. Lekko błysnęła klamka... Światło w oczach, zanim weszła... Już jest we drzwiach... Oczy zza czarnej wualki<sup>55</sup> ofiarowane czarnemu kątowi. Oczy patrzące zza wualki, spod ronda wiosennego kapelusza! Ledwie znać brwi i rzęsy... Szary płaszczyk usuwa się z ramion. Niewysłowiona jej postać, której piękności suknia nie jest w stanie ukryć, tak dalece, że ta suknia jest tylko uroczą zasłoną... Lekkim ukłonem się nachyla... Widać ją wówczas wszystką w ruchach niezwalzonego powabu, które zdają się wrywać z więzów sukni. Oczy nie chciałyby jej widzieć nagą, a widzą ją mimo chęci.

Spojrzenia obojga rzucają się ku sobie, zwalczając i omijając przeszkody, łamiąc tysiące zapór, wykonywując miliony podstępów. Pięć minut czasu! Na przestarzałym zegarze, którego wskazówki drgają nerwowymi ruchami, widać uciekanie beczennych momentów. Co chwila z trwogą i żalem oczy obojga podnoszą się, badając żółtki ze starości cyferblat, na którym stoi wypisana olbrzymimi literami szerniała, jeszcze w XVIII wieku zapewne, a niedościgle trafna sentencja: *Hora perit, mors aderit*<sup>56</sup>. W łańcuchach wag starego czasomierza co chwila rozlega się ledwie dosłyszalny chrzęst i daje wyczuć lekkie drgnienie, znak, że uciekła minuta. Drgnienie to przebiega przez ciała rozmawiających, miga w ich oczach jak błysk...

Zdawało się obojgu, że nikt na ziemi nie widzi, co się święci, że ani jedna osoba nie spostrzeże ich spojrzeń. Byli przekonani, że spoglądają na siebie najzupełniej normalnie oczyma tak zimnymi jak owe Szopenisko, którego zamorusany biust tkwił na szafie. W istocie — dla pana Pobratyńskiego były „amory” Ewy zaledwie dostrzegalną a dość miłą zabawką. Widział jak przez mgłę owe spojrzenia, ale nie zwracał na nie uwagi. Inaczej *ci-devant*<sup>57</sup> piękność, czcigodna matka. Już pospieszne wyrobienie posady przez człowieka obcego i najwidoczniej hołysza wydało się jej, kobiecie, co przeszła miliardy utrapień życiowych, zdarzeniem nie bez przyczyny.

Powiedziała sobie: nie ma karesu bez interesu — i zwróciła baczne oko. Rzecz prosta, że spostrzegła od razu nie tylko sam fakt, ale zmierzyła głębokość i siłę zjawiska. Zadrżała w sobie na widok owych nagłych przyblednięć córki, gdy dawały się słyszeć kroki „tamtego” — owych ostupień obojga, gdy się witali, owego śmiertelnego uśmiechu, który

<sup>55</sup>wualka — dziś: woalka.

<sup>56</sup>*hora perit, mors aderit* — godzina przeminie, śmierć się przybliży.

<sup>57</sup>*ci-devant* (fr.) — była, dawna, niegdysiejsza.

zdawał się zapalać światło w wewnętrznych istotach obojga i świecił się z ich ciał, gdy się chwytały i ogarniali oczyma.

Widziała i mimowolne pochylenia postaci, i oczywiste tęsknoty rąk skazanych na wieczną rozłąkę. Sama niegdyś przeżyła miłość głęboką dla pięknego swego małżonka i była przez szeregi lat pożerana od szatana zazdrości. Znała się na tej sprawie, którą ludzie zowią miłością. Nienawidziła tej potęgi całą duszą, patrzyła na nią z dalekiego wzniesienia i pragnęła ocalić córki od mąk nieszczęsnego uczucia.

Starszą ustrzegła. Wydała za mąż dość szczęśliwie, szybko, bez trudu i korowodów. Zdawało się jej, że nie mógłby się zjawić na ziemi taki człowiek, który by ją podszedł i dotarł bez jej woli do serca dziecka. Pilnowała umiejętnie, nie jak zimny dozorca, lecz jak czujny kapłan. Strzegła duszy. Stąd to częste napędzanie do spowiedzi, do modlitwy, do rozmyślań i do pracy. Byłaby tego Niepołomskiego, dowiedziawszy się, że jest żonaty i rozwodnik, trzymała za progiem, choćby konał z miłości. Wdarł się, za pomocą wyrobienia posady, do domu jak wytrychem i, co najstraszniejsza, miał już w dziecku sprzymierzeńca. Było za późno. Mama dobrodziejka wiedziała to już, że jest za późno. Musiała (brzydko, ale dosłownie mówiąc) przywarować. Powieki jej przymknęły się, ręce opadły. Tylko usta zacięte drgały a drgały...

Przyjąwszy za pewnik, że już ani religia, ani wyklęcia ze świecami i Ewangelią, ani bicie, ani znęcanie się sposobami domowymi nic by już nie zmieniły, pani Pobratyńska postanowiła zabezpieczyć córkę od szaleństwa i zguby. Otoczyła ją tedy czujnością iście szatańską. Nie masz na ziemi dyplomaty tak przebiegłego ani dyrektora policji o takim sprycie, jakiego dowody (przed samą sobą) złożyła stara dama. Nic się w życiu Ewy nie zmieniło, a jednak była jak w kajdanach czy w kaftanie wariackim. Z każdej minuty godzin pozabiurowych musiała się legitymować dowodami rzeczowymi, a godziny urzędowania w biurze były nie do opuszczenia. Srogi mandryl, dyrektor biura, który bez pardonu dawał dymisję za opuszczanie kwadransów, był tu jedynym sprzymierzeńcem. Ewa nie nadużywała swej swobody. Jej miłość była bezgrzesznym szczęściem. Niepołomski nie szukał schadzek. Od dawna oświadczył się Ewie ze swą i prosił o rękę, ale był skutym dawnym ślubem, więc ani razu nie usiłował widzieć swego bożyszcza poza domem. Wyjątek stanowiły nabożeństwa majowe. Stara matka zabierała na nie córkę, o ile to było możliwe. Łukasz, aczkolwiek nienawidził Kościoła i wszystkie sprawy jego tak dalece, że z natury zimny i spokojny — nie mógł mówić o tej materii bez gniewnego uniesienia, chodził osobno, z daleka, niepostrzeżony na owe, jak mówił, zbiorowe przedwieczorne figle. Dzielili go zawsze od Ewy znaczna przestrzeń.

Chóralny śpiew pieśni polskich, znanych tak dobrze z dzieciństwa, obecność mnóstwa młodzieży, uroczych kobiet — w jasnych sukniach, kwiaty w ręku wszystkich, szczególny zapach bzu wędnącego szybko w gorących dłoniach, na piersiach kobiet, przy ustach ludzkich, buchający z ołtarzy zapach róż — wszystko to wywoływało szczególniejszy nastrój. Zbiorowisko ludzkie w kościele było dla Łukasza tak samo obce, jak obce by mu były rozkwitłe trawy na wielkim błoniu nadrzecznym.

Cóż miał wspólnego z tymi wszystkimi ludźmi śpiewającymi i rozmodlonymi? Nic zgoła. Ogarniał go tylko urok masy żyjącej, rozbudzonej, w której tętni i buja życie obce a na poły znane — właśnie jak życie rozrosłych traw na łące. Ale oto cicha akompaniująca muzyka organu nagle się urywała.

W płynną melodię pieśni, która przypominała plusk fal górskiego stawu w kochanej stronie — jakoby olbrzymi prąd wichru uderzały potężne akordy i poczynały lecieć przez człowieka strugami deszczu, zimna, mrozu.

Krew spłoszona wstrzymywała się pod sercem. Tytaniczny głos tonów, bijących pożegnaniu życiu, przerzynały to tu, to tam spazmy i płacz samotnych piszczałek. Zależnie wołały, wołały w pustyni, nad jeziorem podziemnym, w kraju ciemności.

Wtedy poczynał szukać znajomego kształtu i drogiej barwy czarnego kapelusza z obszernym rondem. Widział ją nieruchomą, z oczyma spuszczoneymi, bladą i zastygłą, jakoby jedną z figur symbolicznych tego kościoła. Suknia jej czarna, spadająca aż do płyt posadzki, wlewała się w oczy czarną falą i dreszczem żywym, rozkosznym ponad wszelkie słowo, przechodziła wskroś ciała. A każdy fałd tej sukni, każde załamanie, każda krzywa linia atlasu obejmującego ramiona stawała się linią najwyższej piękności, symbolem jej ostatecznie wiernym. Łukasz przeziarał wówczas, co Ewa czuła. Wiedział, że ta muzyka,

od której ściany kościoła zdają się giąć i falować, a wyniosłe filary drzeń od tego samego, co biegnie w nim, wzruszenia — sprawia i w niej zamęt, zniszczenie myśli i chaos. Wiedział, że ona tak samo jak on nic w owej chwili nie wie, że jest poddana prawu muzyki, która jest mową duszy. Wiedział, że Ewa słucha, jak i on, mowy swej duszy.

Tony uderzają w duszę, jak pioruny w ciemności nocy. Przy ich niestrzymanym blasku widać mgnieniami oślepiająco jasno ziemię i niebiosa. Ale czyż to jest ziemia, biedna ziemia nasza, siedlisko synów Adamowych, gdy ją widzimy świetlaną w połysku gromowym? Śnią się dalekie, dalekie słowa Apostoła:

„Wziął Anioł kadzielnicę i napełnił ją ogniem z ołtarza, rzucił ją na ziemię, a stały się gromy i głosy, błyskawice i trzęsienie ziemi”...

Byli w takich chwilach oboje jak wędrowcy, co się w nocy piorunowej spotykają twarzą w twarz i oblicza swe, z nagłą wytryste z przepaści nocnej, widzą wśród błyskawic. Radość! Życie! W obydwu duszach zgiełk uczuć, rozruch myśli i lot postanowień, nie wiadomo, jakim sposobem powstałych, nieznanym wcale a nieodwołalnym i raz na zawsze zrosniętym z istotą duszy. Łukasz wpatrywał się szalonym wzrokiem dopóty, aż tamta głowa *musiała* się odwrócić. Zamglone oczy przybywały go nawiedzić jakoby widziadła z tamtego świata. Wolno spływały na nie rzęsy, a po ich cieniu zstępować się zdawał bezcielesny powiew — anioł miłości. Trwało to krócej niż westchnienie pozdrawiające anioła. Łukasz zamykał oczy i pozostawał w swej ciemnicy. Wzbijała się znowu dokoła niego muzyka, wybuchały posępne pieśni o śmierci, które zdawały się, jak Samson, z posad ruszać filary gotyckie, a grubymi wybuchami przetrzącać sklepienie nawy. Krążył tłum ludzki.

Dusza jego składała się wówczas z dwu połowic — z Saraswati oszalałej i Niždali zamykającej powieki, dwu siostr zakochanych w Krysźnie ogarniętym przez miłość wieczności. Wraz ze zniknięciem Ewy zniknęła Saraswati i zostawała Niždali, widząca jasno we wnętrzościach duszy. Stał w milczeniu i wychodził w milczeniu, obojętny na wszystko, ze spuszczonej powiekami, bacząc na to tylko, żeby nie utracić lazuru oczu, które widział tak jasno a niewiadomym sposobem kędyś w toniach własnych źrenic.

Poza tym widywali się tylko w czasie obiadu. Tak okrutną dla siebie zasadę ustanowił Niepołomski.

Postanowiono również, żeby nie mówić do siebie nic takiego, co by mogło zdradzić cień cienia istotnych uczuć. Okazało się wszakże, że rozmowy obiadowe, a raczej milczenie w ciągu tygodni nie jest do zniesienia.

Łukasz powiedział to w dzień, o którym mowa.

Ewa potwierdziła, że tak jest w rzeczy samej. Wtedy szepem „przedobiednim” oświadczył, że uczynił pewien wynalazek: przybił na drzwiach wejściowych puszkę do listów, a nad nią umieścił swój bilet.

— I cóż z tego? — spytała.

— Tam będę znajdował listy pani.

— Moje listy!...

— Tak. Gdy Wasza Przecudność będzie szła na obiad, z biura...

— Ach tak... Prawda... Doskonale! A ja?

— Tu, w domu, nie może pani mieć moich listów. Ktoś może przejąć. Jest to rozkosz nad rozkoszami czytać cudze listy miłosne...

— Nie mogę. Ani jednego listeczka!

— Będę pisywał miejską pocztą do biura — nieczęsto, żeby nie wzbudzać podejrzeń woźnego, który będzie pani listy doręczał. Za każdy list — duży pieniądz woźnemu.

— Dobrze, Galeotto...

— A czy zadowolona z pomysłu?

— Dziękuję, dziękuję... Ach, jak dziękuję...

\*

„Ilekróć pomyślę, że to, co tu piszę, Pani czytać będzie, pióro mi w palcach drży! A przecież sam pragnąłem szczęścia pisania do Pani i sam tę łaskę wyprosiłem. Więc

napiszę wszystko i tylko samą prawdę, nic nie zataję, uczynię przed Panią zeznanie prawdy i wyznanie duszy! I jak w psalmie Dawida — »serce przewrotne odstąpi ode mnie, a o złe nie będę dbał«. Dlatego to pióro mi w palcach drży. Otworzę moje życie i stanę przed Panią, moim ołtarzem. Nic nie może się równać z rozkoszą tego posłania do Pani i nic nie może być męką głębszego rodzaju nad niemoc wyrażenia w słowie. Ale wzniesienie się z barłogu swego i ta radość, że wstanę jako duch i pójdę ku duchowi. Trzepocą się we mnie słowa niezwykłe, ptaki cudnopióre, a ręka drży i opada, gdy je wypuścić i posłać do Pani przychodzi. Pani natchnęła mnie łaską szczerości. Czarodziejskim dotknięciem kwiatu powiedziała jej Pani: wstań, szczerości! Mogę otworzyć oczy i widzieć oczy Pani — o rozkoszy! — oczy, »w których nie masz zdrady«.

Czy pojmuje Pani te słowa bezmiernej czci dla człowieka — »w którego oczach nie masz zdrady«? Bo zdrada jest wszędzie, we wszystkich ludzkich duszach, we wszystkich ludzkich oczach. Nią się ludzie żywią jak chlebem. Ona jest najpospolitszym ich czynem. Gdy ją wykonywują, ogarnia ich najwyższa rozkosz, bo wtedy wysila się, pręży i na najwyższy stopień wstępuje ich rozum — gdy jej doświadczają, najbardziej cierpią, bo wtedy do najwyższej granicy dochodzi ich uczucie. Zdrada jest powszechna jak oddech. A w Pani oczach jak w sercu dziewic czystych, o których mówi święty Jan — »nie masz zdrady«. Obudzę się jutro i z ufnością westchnę: jej serce wierne jest jak serce rycerza. Ręka jej podana — to uścisk honoru. Spojrzenie jej — to spojrzenie na sztandar. To, co wyrzekła — wyrzekła. Jakież to szczęście przyjść do tej duszy i stanąć przed tymi oczyma!... Wszak to w tej chwili spełnia się niedościgłe, wykołysane przez tajemnicze zmagania się i męczarnie ducha Indii: — »ja — jestem: ty«. Weź moją szczerość, najwyższy skarb i największe dostojeństwo człowieka.

Powiem to, co jest we mnie zamknięte, czym żyję... Idę przez Łazienkowski Park. Czekam na Ciebie, choć wiem, że nie przyjdiesz. Chłodny poranek. Mży lekki, mglisty deszcz. Czasami przelata wiatr i korony drzew szeleszczą. Tęsknię za Tobą. Otwiera się moja dusza, jak się nigdy nie otwierała. Przyjmuje w siebie Twoją duszę. Pójdźmy... Zstąpimy ze stromego wzgórza — ramię przy ramieniu — w ciemną aleję. Stopy Twe idą po piasku, pracowicie zdziobanym przez deszcz. Wszystkie słowa, które do mnie mówisz, zapisane są w moim sercu. Powiem Ci, w co ja jedynie wierzę, czego się jedynie boję, czego zupełnie nie wiem, co będę czynił na tym świecie. Wszystko Ci oddam, powierzę Ci najtajniejszy sekret, bo w oczach Twych nie masz zdrady...».

„Na dziwnie przezroczystym, szafirowym niebie zapalają się jedna po drugiej gwiazdy — latarenki mojej tęsknoty. Podnoszę ku nim oczy z myślą pogodną i szczęśliwą. To samo niebo jest nade mną i nad Nim. Nie płaczcie nade mną ciche gwiazdy-siostrzyczki... Czyż nie mam, jak i wy, daru Wszehobecności?».

„Przekonałem się w ciągu tych niewielu dni szczęśliwych, że miłość jest tworzeniem, że jest absolutnie nową emanacją, że jest doskonałą syntezą wszystkiego, którą duch z zewnętrznego świata wyłamuje i na swoje wyłączone dobro obraca. Kiedy Pani wychodzi z obrębu tych ścian, kiedy Pani nie ma w tym domu!... Na próżno mówić... Czymże jest świat bez Pani! świat bez Pani! A jeśli kiedyś zginęła dla mnie ta miłość? A jeśli by chciała odejść i nie wrócić? (Bo człowiek powinien wszystko wiedzieć...).

Wmyślam się i wwiaduję w taki stan, kiedy Ciebie nie ma. Nie! Tego nie można pomyśleć! Tego serce nie może uczuć. Tam już nie ma uczuć i nie ma myśli. Tam już jest tylko lęk. Ja się nie lękam niczego, pogardzam śmiercią — tylko lękam się, że może zaprzestać istnieć Twoja miłość. To jest kres. Tam byłoby już tylko przeczenie bezzasadne, rozkład ducha na cząstki i pierwiastki, byłoby samo tylko badanie zimne i roztrząsające, a bez planu, bez metody i nie wiadomo dla jakiego celu. Tam byłoby czekanie wieczne bez nadziei, zasłuchiwanie się w szmery, w szelesty... Tam byłoby tylko bicie serca pędzące wbrew woli i wiedzy rozumu. Bądź pozdrowiona!».

„Przyszły do mnie kwiaty, by opowiadać wonne fantazje swych płatków. Układają się w przedziwne gamy i z niedosłyszalnym szelestem przepływają w gamy inne, by ukształtować jeszcze wyższy obraz piękności. Róże czerwone, pełne trójce barw-jaśnień: róż żółtych, ledwie rumianych i pąsowych... Zbyt płoniecie, o róże, zbyt jesteście kruche i nieoporne, a niezniszczalne jesteście w pięknie bez granic! Jaśnienia, Jasności, Jasnotki, Pąsy, Szkarłaty! Położę was, róże moje, na białym węzłowie chorego, w którego oczach pali się gorączka, w którym targa się serce, a z rozdartych płuc krew sączy się, sączy długą strugą... Więdnijcie, róże moje, gdyż zbyt piękne jesteście! Jesteście, jak pieśń wysoka, niewyspiewana... Czy nie na tym polega wasz czar, na czym polega urok pieśni, że nie ma w was smutku rzeczy poznanych i dokończonych, że w waszych ogniach płonie życie?... O wiecznie niedospiewana, wiosenna pieśń, o pragnienie przekwitnięcia, dopełnienia i końca! O płatki różane, ukrywające przyszlą swą barwność pod szarymi łuskami pąka! Kocham was, róże moje...

Uwiedły róże na piersi zmęczonej, odpoczywającej w poświęcie księżycy, wśród bieli tkanin, w wąskim, wysokim pokoju. Dziwnie coś we mnie rozkwitło... Oplątują mię powojowo dziwne drobiazgi, nad którymi tylko śmiechem pobłażania wybuchnąć można. Uprawiam drobiazgowy, dziecinny kult pamiątek, które dawniej lekceważyłam. Wzбира we mnie hucznie i radośnie moc życia. Czy Pan zauważył, że ubieram się zawsze na czarno i biało albo szaro? To było jedno z dawnych przyzwyczajęń. (Mniszka). Teraz — czasami — chcę gorąco, żeby mię owionęły radość, różowość, błękit, lazur... To, że w ogóle mogłam wzrok od wieczności odwrócić i ujrzeć chaos i harmonię życia, przejmuje mię rozkosznym zdumieniem... Proszę pisać swoje listy z pozostawieniem na środku marginesu (tak jak ten jest pisany). Każę wszystkie listy oprawić w książkę (najcudniejszą na świecie)”.

„Oczekuję na list mojego adwokata z wiadomością o przyspieszeniu sprawy. Mam mocne podejrzenie, że mój adwokat jest to nikczemnik ostatniego kalibru, ale za to najgorszego gatunku. W dziedzinie badania spraw rozwodowych stałem się tak przebiegłym, że nieraz prześcigam nawet mego adwokata. Mózg można wytresować daleko bardziej szybko niż konia wyścigowego. Ale nie o tym będę pisał... Powiem Pani o rezultacie wówczas, gdy się to nareszcie rozwiąże, gdy to pęknie.

Teraz czekam. Moje obecne życie jest oczekiwaniem. Chwila obecna nie istnieje wcale. Istnieje tylko przeszłość. Czekam, czekam, czekam... Dnie, godziny, minuty... Zamykam się pod nieobecność Pani w tym samotnym pokoju i, żeby nie tłuc się na podobieństwo bezmyślnego wahadła, czytam Szekspira. Obdarty tom znalazłem na dnie kosza, który tu w Warszawie był na przechowaniu u jednego ze znajomych. Nie miałem tej książki w ręku blisko osiem lat. Pamiętam swoje długie nad nim studia przed wyjazdem za granicę.

Było to na piątym piętrze, kiedy wskutek rozmaitych okoliczności (a szczególnie wskutek lekceważenia życia), po cztery dni nie miałem w ustach nawet kawałka chleba ani szklanki herbaty, kiedy byłem obdarty, opuszczony, samotny, zdziczały jak zbłąkany pies, kiedy zdradził mię pewien »nieomylny« przyjaciel. Miałem pustą, niezamiataną izbę, łóżko bez poduszki, kołdrę w zastawie. Pisałem komentarze do Szekspira na futrynie okna (w braku stołu tudzież stołka), atrament wyrabiałem sam z materiałów chemicznych przyniesionych z laboratorium. Spałem wśród kości szkieletu, gdyż »jakoby« zdawałem był wówczas z anatomii. Nie miałem lampy ani świecy, nikt mi nie usługiwał, nikt mię nie odwiedzał i nikt nie istniał dla mnie na świecie. Miałem z głodu coś w rodzaju gorączki.

Wtedy to każdą wolną chwilę poświęcałem Szekspirowi. Za drogowską służyła mi historia literatury angielskiej starego Taine'a. Były to czasy, o dziwo! — największego zbliżenia się do siebie, do człowieka i do sztuki. Samotne dnie z oczyma wlepionymi w symbole, pogarda zewnętrznosci życia, ostrowidzenie istoty rzeczy człowieczych, dotykane tajemnic ducha, świętego świętych istnienia, nagimi igłami nerwów. Śmiech, śmiech pomyśleć, że niejednokrotnie zaniedbywałem wszystko, nawet laboratorium chemiczne, nawet możliwość wystarania się o 14 groszy na kupno wiadomego bochenka chleba, dla tej przyczyny, ażeby nagim, otwartym na oścież mózgiem *pojmwować* (co za wyraz!) dwie tragedie w *Hamlecie* albo cieszyć się wycofaną na osobność potęgą Lira, albo wsz-

czepiać się w ów świat bajek o rodzie ludzkim, plotek o dziejach człowieka osiadłego na ziemi, ażeby z drwiną na spieczonych ustach przechadzać się wśród owego tłumu, rozdzierać, kiedy wola, tajemnicę życia i zaglądać we wnętrza trumien.

Wtedy także *kochałem się* (co za wyraz!) w mojej późniejszej żonie. Nadszedł czas, kiedy rzuciłem to wszystko dla ścisłej nauki o człowieku. Teraz, w ciągu tych dni tak bardzo podobnych do tamtych dni z »pierwszego kursu« — znowu Szekspir. Czy padają na wiersze i nie mogą się od nich oderwać. Moje wiersze!

Jakimże się to stało sposobem, że ów poeta sprzed tylu lat, żyjący i zmarły za ziemią i za morzami — przeczuł mój dzisiejszy dzień i moją wewnętrzną męczarnię?

Gdy raz tę różę zerwę — już jej życia  
Wrócić nie zdołam: musi, musi zwiędnąć.  
Niechże się jeszcze jej wonią nacieszę,  
Póki jest na pniu<sup>58</sup>...

Chodzę po izbie i śpiewam sobie samemu te słowa. Melodie nawijają się na usta wciąż nowe. Nieraz tak dziwacznie silne, że drzę, kiedy lecą przez moje wargi, żeby przepaść w nicłość. Gdybym mógł wytłumaczyć, co to znaczy, gdybym mógł wyjawić, co mówi do mnie ten Maur! Nie mogę wyjawić...

»Gdy raz tę różę zerwę — już jej życia wrócić nie zdołam«... Jestem człowiekiem silnym. Ludzie silni cierpią najstrasliwiej, gdyż nikt nie wie, nikt nie zgaduje, jakie w ich spokoju zachodzą postanowienia. Ów Maur był silnym człowiekiem. Chwilami zdaje mi się, że mam w ręce jego szpadę, że mam jego ciało schłostane od wicherów morskich, a w sobie jego dziką duszę. Toteż jego męczeństwo miłosne widzę z proroczą jasnością. Szekspir wywłóczy z człowieka zrozpaczoną duszę jak kreta z nory i pokazuje wszystkie jej drgawki. Widać wszystko — od słodczy miłosnej, która jest niemal jawną, aż do tego, co pierzcha i kryje się przed wszelkim wzrokiem. Niektóre jego słowa mają siłę błyskawicy czy siłę głodniatego lwa, który wypadł skokami ze skalnej pieczary i ujrzał w oddali sarnę, co ucieka...».

„Położyłam list Pana wśród ogromnych jak cały stół rachunkowych schematów, przykryłam go jeszcze większym arkuszem ceduł przychodu. Z wierzchu położyłam czysty arkusik. Miałam pisać... Podniosłam oczy z myślą radosną, że mogę pisać do Pana. Czy Pan uwierzy, czy Pan uwierzy, co się wówczas stało? Oto dwa dzikie gołębie ukazały się w czystym kwadracie okna. Leciały jeden obok drugiego nad Warszawą, chyżo szyły w powietrzu, pod chmurami. Ruch ich skrzydeł ledwie można było okiem pochwycić. Zaczęłam śledzić oczami, co się też stanie, śledziłam tak długo, dopóki mi nie znikły w błękicie. Widzi Pan... Czyż to jest zwyczajne zjawisko? Nie trzeba mi pisać smutnych rzeczy, których nie rozumiem, nie trzeba martwić słowami »gdyby mógł wytłumaczyć, co to znaczy«...».

„»*Bon vieux marin, franc capitain de haut bord, vous dormiez la nuit, vous — et, le jour, vous vous battiez! Vous n'étiez pas un Paria intelligent comme l'est devenu votre pauvre enfant*<sup>59</sup>...«

Słowa przypominające najwcześniejsze dzieciństwo, wstępną i pierwszą klasę. W notatniku mojej matki, w książeczce oprawionej w zieloną skórkę ze złoconymi brzegami, były te słowa Alfreda de Vigny. Zachwyciły moją wyobraźnię dziecięcą, zachwyciły bardziej bezgranicznie niż wszystko, co mię porywało później. Pierwsze przeczucie i przedpojęcie sztuki... Przez ileż to lat leżały we mnie te słowa.

<sup>58</sup> *Gdy raz tę różę zerwę (...)* Póki jest na pniu — fragment *Otella* (akt IV, sc. 2) Shakespeare'a w tl. Paszkowskiego.

<sup>59</sup> *Bon vieux marin, franc capitain de haut bord, vous dormiez la nuit, vous — et, le jour, vous vous battiez! Vous n'étiez pas un Paria intelligent comme l'est devenu votre pauvre enfant* (fr.) — Dobry stary marynarzu, szczerzy kapitanie z wysokiego brzegu, pan spał w nocy, a za dnia pan walczył! Nie jest pan inteligentnym pariasem, jakim stał się pańskie biedne dziecko; por. Alfred de Vigny, *Chatterton*, akt III, sc.1.

W dzieciństwie upajałem się nimi, nie wiedząc dobrze, co znaczą, deklamowałem je, marszcząc czoło jak człowiek dorosły, jak straszny dla mnie i tajemniczy Chatterton. Mówiłem je sobie głośno dlatego, żeby słyszeć szelest i harmonię szumnotnych wyrazów. A dziś oto przyszedł znów do mnie — i błyszczą jak świętojański robaczek w mroku mojej nocy... Ach, ileż prawdy zawierają te słowa! To mój rodzinny dom, lato na wsi, góry, staw, rzeka, cudowna moja matka...”

„Jedna z najradośniejszych chwil mojego życia była ta, kiedy wyczytałam w liście Pana, że we mnie nie ma zdrady. Tak, nie ma. Mój list nigdy Panu nie przyniesie nic złego. Wiem to na pewno, że nigdy nie wniosę do życia Pana żadnego rozdźwięku, nigdy nie stworzę sytuacji bolesnej, w której trzeba by coś kłaść na szalę i łamać się. Mówiono mi, że dziwnie nadaję się na siostrę miłosierdzia. I rzeczywiście, czasem samej sobie wydaję się siostrą-mniszką, która dusze ludzkie bierze ostrożnie i pobożnie w ręce, jak biedne, pogniecione, więdnące kwiaty. Pod moim tchnieniem może się rozwinąć zwarzone pąki. Chciałabym być jak biały posąg... Prawda, Panie, że biały posąg, choćby był płaszczem purpurowym okryty, białości swej nie traci?...

Musimy dużo zrobić dla ludzi, tak dużo, iżby szczęściem z dokonanych rzeczy zasypać otchłań rozłąki — jak różami... Prawda, Panie? Bo cóż począć? Pan jest Dal, niepochwytana Dal, wyciągająca ręce do mojej Tęsknoty. Idziemy ku sobie — Dal i Tęsknota. Kiedyż spotkają się nasze ręce i kiedyż znowu nastąpi cud, a serce uwierzy, że Dal nie jest legendą... Dwoje nas tylko w czasie i przestrzeni. Prawdziwe i czyste są moje oczy i zawsze będę mogła śmiało patrzeć nimi na Ciebie... Zawsze będę mogła posyłać Ci ten sam błękitny uśmiech pogody.

Błogosławioną niech będzie ta droga, która ku tobie wiedzie, ku zaraniu... Głucha Tęsknota wzywa w moim łkaniu... Dziś mi się marzy tajemniczy eden, dokąd się wchodzi przez wieki raz jeden... Pośród rumowisk i skalnych okruchów marzę komunie nieskalanych duchów, co się poznały w błysku piorunowym i zapłonęły, i świecą dniom nowym...”

„Gdyby dusza ludzka mogła umrzeć i stać się trupem, gdyby dusza ludzka była trupem, a ciało, co je i pije, zostało sobą, byłoby tak z człowiekiem, jak teraz ze mną. Nic przede mną i nic za mną. Kopczyk popiołu leży przede mną na tacy. To Twoje umiłowane listy, Panno Ewo. Przed chwilą je spaliłem. Spaliłem Twe listy. Oto, co się stało. Wczoraj była moja sprawa. Przegrałem ją haniebnie, z kretesem. O rozwodzie ani teraz marzyć! Muszę płacić mojej »żonie« alimenty podwyższone, a to przyszło akurat w sam czas, kiedy jestem już bez złamanego szeląga, owszem, w długach. Adwokat mój radził mi dobrodusznie, żeby wszystkiego już zaniechać. Dać za wygraną. Ponieważ od dawna byłem przygotowany na wszelkie ewentualności, więc ta decyzja konsystorska, nie zastała mię nieprzygotowanym. Byłem przygotowany materialnie i moralnie. I moralnie, Panno Ewo! Wyrzekam się Pani, opuszczam Warszawę, przyjmuję miejsce zarobkowe i jutro — to jest nie jutro, tylko, żal się Boże! dziś — wyjeżdżam.

Tak, dziś wyjeżdżam. Dokąd jadę i gdzie będę — nie zawiadamiam Pani i nie zawiadamie nigdy. Jest to mój ostatni list i ostatnie pożegnanie. Tak długo, tak dziwnie długo piszę. Nie znać w tym piśmie człowieka silnego — nieprawdaż? Nie widać potęgi woli, którą lubiłem się przechwalać. A jednak jestem silnym człowiekiem. Jestem jednym z najsilniejszych ludzi na świecie. Nie — nie! Jestem najsilniejszy ze wszystkich ludzi na ziemi! Opuuszczam Panią dobrowolnie, świadomie, w chwili tej, kiedy mógłbym Cię ujrzeć za parę godzin, kiedy mógłbym... Dniu straszliwy, po cóżem cię dożył!

Cóż mogłoby być z nami, Panno Ewo? Nie mogę Pani poślubić, gdyż mam żonę, z którą skutą jestem aż do tej chwili, kiedy żyć przestanę albo kiedy ona żyć przestanie. Kocham — ach! — nie kocham, lecz czczę w Pani wcielenie czystości, uwielbiam ducha Twego, otaczam najgłębszymi honorami Twój honor. Jestem jak oficer, który ma powierzony sztandar armii. Mógłbym Cię kochać w tajemnicy, oszukiwać, zdradzać, podchodzić Twoich rodziców, może nawet, może nawet... Nie, nie będę Twoim kochankiem!

Oddałem losowi moje szczęście, jak oficer zwyciężony oddaje szpadę nieprzyjacielowi. Nie zobaczę Cię więcej. Widziałem rozpacz i trwogę w oczach Twojej Matki, Panno Ewo, i wzięłem samego siebie za gardło z krzykiem: — Byłbyś ostatnim gałganem, gdybyś nie odszedł. — A zresztą — mówię całą prawdę: Matka Pani błagała mię, żebym Cię nie gubił! Przrzekłem, że się usunę. Usuwa się. Dlatego to — niech Pani o mnie zapomni...

Może po latach życia, może po śmierci, jak poeta wierzy.

u Boga w niebie,  
po wiekach wieków kiedyś spotkam Ciebie  
i tam przynajmniej odetchnę wraz z Tobą...

Czarowne, dziecięce złudzenie! Mój męski rozum wie, że nie spotkam przecie Pani »u Boga«, nie spotkam nigdzie i nigdy.

Oparłem przed chwilą na ścianie rękę, czoło, usta.

Szlochałem. Żegnaj! Pisałem w jednym z listów za dni szczęśliwych, kiedy jeszcze świeciła mi jutrznia nadziei, że proces wygram — pisałem urywek z *Otella*... Jakże to dla mnie w tej chwili straszliwe wspomnienie! Wówczas, gdym to pisał, błąkała mi się w duszy obawa tej chwili. Dziś przyszła sama rzecz! W tej chwili zabijam Cię jak Otello. Stokroć gorzej niż Otello! Tamten zabił i mógł wiedzieć czy słyszeć na dnie więziennego lochu, że trumnę zabito i oddano ziemi. I nic już nie ma! — A ja? Ja zabijam, ale usłyszę w mym miejscu wygnania, po dniach, miesiącach czy latach, że wyszłaś za mąż.

Dosyć — och, dosyć! Dosyć, bo mi się wydaje, że nie włosy mam na głowie, lecz języki płomienia.

Latam w pokoju i dlatego tylko nie duszę się rzemieniem od kufra, który obok mnie leży, że jutro — nie! że dziś, za parę godzin muszę odjechać.

Jechać! Dzień ten świtający podleciał do mnie, jak z dawien dawna ukartowana zasadzka, jak straszliwa pułapka. I oto ja sam, ja sam, przyczyniłem się do tego na siebie wyroku. Ja sam, dobrowolnie Cię rzucam! Czyżem oszalał! Ja sam! Uszanuj we mnie to męstwo niebłagane jak śmierć. Gdy już zapomnisz o wszystkim, gdy już będziesz cudzą, o tym jednym nie zapomnij, bo to było — przysięgam na moją duszę! — ponad wszelkie siły człowieka. Nigdy już nic podobnego w życiu nie spotkasz. I ja nic już takiego w życiu nie spełnię.

To jest we mnie olbrzymie.

Nie dotknąłem ustami ust Twoich. Nie dotknąłem ustami nawet Twej ręki. Ust Twoich... Poznałem Cię czystą jak górskie wody, białą jak śniegi krótkotrwałe na cyplach tatrzańskich, ujrzały Cię moje oczy w dniu spowiedzi... Oblubienico aniołów, siostrzo obłoków! Zachowaj czystość duszy...

Nie mogę wyrzec tej prośby... Zachowaj duszę, która jest naszą, moją i Twoją! Nie! Idź za mąż — i zapomnij o mnie!

Nigdy nie dotknąłem Twoich ust ustami. Żegnaj was, usta, całuję was. Całuję was, przeliczne włosy, przezyste, bezzdradne oczy. Wolno mi jeszcze tylko to jedno: przycisnąć usta do zimnej ściany, za którą Ty we śnie spoczywasz.

Wydało mi się, że śmierć swoją ucałowałem w usta. — Ewo!''

\*

Tego dnia rano, nic nie przeczuwając, Ewa przybiegła do biura i z radością otrzymała list od szwajcara. Jak to się często zdarza w dziejach ludzkiej niedoli, była bardzo, a raczej nadmiernie — można by powiedzieć: bezbożnie — szczęśliwa. Miała zwyczaj czytać listy Łukasza nie zaraz po zajęciu swego miejsca, lecz dopiero w ciągu pracy.

Gdy już wszystkie współpracowniczki były przy stołach i biurkach, gdy wszystkie zajęły się rachunkiem, sam pan naczelnik skrzypiąc lakierkami przewiał do gabinetu, a i ona sama znaczną już ilość swego odrobiła, dopiero wówczas nieznacznie wydostawała spod arkuszy *uczota*<sup>60</sup> umiłowaną kopertę. I tego dnia to samo...

<sup>60</sup>uczot (z ros.) — rachunek, obliczenie.

Słodką radość, sekretna rozkosz powoli, w miarę czytania, przeistaczała się, przeistaczała niepostrzeżenie w kindżał nastawiony przeciwko sercu. A serce ustawało w swym biegu, zatrzymało się złowieszczo, porwane przez zdradziecki a nieubłagany wnyk nieszczęścia. Sto razy zmartwiałe oczy przebiegły pismo. Jeszcze i jeszcze... Gęsty kopec osiadł pod czaszką i nie dawał rozumieć. Ale z wolna coś odplatało się w piersiach, odplatało raz w raz...

Wówczas nagle uczucie, jakby się pod stopami odwalila ściana domu. Zdurnienie na widok zionącej przepaści.

Głowa zwisała nad rachunkowymi płachtami jak lity kamień. Wszystkimi siłami Ewa zapanowała nad swą głową, nad rękami, oczyma — i zaczęła spokojnie pracować. Pomimo zimna w palcach i zdrętwienia nóg, pomimo czadu w głowie liczyła trafnie, bez błędów, wpisywała pozycje w rubryki, nie patrząc na tytuły, bez przeoczeń, a z przeraźliwą dokładnością. Słyszała dookoła głowy swej bicie zegarów, rozmowy, wezwania, odpowiedzi, głosy ludzkie bliskie i dalekie i dźwięki rzeczy martwych. O jakimś czasie, o jakiejś erze bezdennych dziejów tego dnia zrozumiała, że należy jak zwykle wyjść. Spozstrzegła, że mało jest już osób w biurze.

Zadrżała w sobie. Znowu, jak na początku, ścierpła wewnątrz. Poza wszystkim bowiem błąkała się schyłona nadzieja, że jeszcze się ten kielich od jej ust odwróci. A nuż, przyszedłszy do domu, zobaczy, że to wszystko było tylko okropną próbą. A nuż stanie się wszystko znowu, jak być powinno!... Teraz przed tymi podszeptami litosnej nadziei stanął lęk. Ukazywał w miganiu lustra tajemniczego istotę rzeczy. Przeszywał duszę krzykiem rozpacz. Zdało się w duszy w tych chwilach słyszeć jak gdyby grom poza sobą. Zdało się jej, że zaiste ciemny szatan towarzyszy myślom, jak oprawca więźniom skutym w żelaza. Szczęśliwe myśli ciosami potraça i w proch rozbija, a wyszarpuje z mroków jeno te, co są zabójcze jak kindżał nastawiony przeciwko sercu niewiedzącemu nic a nic.

Wyszła spokojnie, rozdając na prawo i lewo zwykle ukłony, uśmiechy koleżankom i kolegom biurowym, portierom i szwajcarowi. Spojrzenie oddane szwajcarowi wybuchło jak jęk... Szła do domu omackiem, gdyż była zaiste na duszy ślepa. Dopiero na schodach ocknęła się i zachwyciła piersiami dużo tchu. Szła szybko na szafot schodów uśmiechnięta śmiertelnie, zdyszana, pełna męstwa, a z ustami pełnymi słów do Boga.

Ujrzała prawdę i poczuła ją jak uderzenie siekierą w głowę. Puszka do listów, umiłowana kryjówka serdecznej tajemnicy, arka dusz, droga istota-powiernica — była wyrwana. Gwoździe, które ją przemocowywały, wyważone przez te same ręce, co skreśliły list. Po gwoździach zostały wylupania w białej tafli drzwi. Ewa poczuła w sercu ból owych wyrwań, czarnych, przeraźliwych jam od gwoździ. Teraz dopiero zatrzęsała się od przerażenia. Stanęła oko w oko z nieszczęściem, jakby oko w oko z zabójcą, który o ciemnej nocy włamie się do sypialni przez okno. Błyskawicami woli chwyciła potrząskane okruchy męstwa. Dygocącymi niejako palcami duszy przytrzymała na twarzy cielesnej maskę spokoju.

Nacisnęła krążek dzwonka. Gdy otwarto, ukośnym spojrzeniem rzuciła się na prawo i zraniła po raz trzeci.

Najgłębiej! Pokój Łukasza był pusty. Przez półotwarte drzwi widniały pręty łóżka obnażonego z pościeli. Pchnęła lekko te drzwi i zajrzała. Obląpił ją za nogi i spętał jęk tego pokoju. Pustka! Bezbrzeżny mrok przedmiotów spojrział w nią jakoby wylupane, krwawe oczodoły.

Ugodziło ją teraz pod serce żegadło zbójce.

Skierowała swe kroki do mieszkania i weszła. Rzuciła spojrzenie na twarz obojga rodziców. Matka była zmieszana, pobladła. Dolna szczęka jej twarzy drgała kiedy niekiedy, a oczy były ciemne i głuche pod zsuniętymi brwiami. Ojca trwożne, jakby szpiegowskie spojrzenie, bolesny wywiad detektywa, przesunęło się po wchodzącej.

Jak na nieszczęście była w mieszkaniu zamężna siostra. Opowiadała coś rozwlekłe i głupio.

Ewa czuła radość w tonie jej mowy. Poznawała dobrze, że Aniela wie, co się z nią, Ewą, stało. Rozumiała, że owo opowiadanie zimne i głupkowate siostra Aniela umyślnie przedsięwzięła i że będzie się ono wlokło do nieskończoności, gdyż na jej to cześć jest uczta.

Zaśmiał się w niej szatan.

Obrzuciła wszystkich wejrzeniem i spokojnie zdjęła kapelusz. Zwracając się do matki spytała:

— Obiad prędko?

— Cóż ci tak pilno? — wtrąciła natychmiast Aniela.

— Pilno mi.

— Hm...

— Łukasz Niepołomski wyprowadził się? — spytała Ewa zwrócona wciąż do matki.

— Wyprowadził się — odpowiedziała stara pani.

— Wyjechał zupełnie z Warszawy?

— Wyjechał z Warszawy.

— Czy był tu z pożegnaniem?

— Był.

— Kiedy wyjechał?

— Dzisiaj.

— A dokąd?

— Nie wiem tego.

— Nie mówił mamie?

— Nie mówił.

— Cóż miał mamie mówić takie rzeczy? Co to kogo obchodzi, gdzie taki facet jedzie...

— wtrąciła Aniela.

Teraz Ewa zwróciła się do niej z niespodziewanym dla samej siebie pociskiem słów:

— Wściekasz się, co? Gryzie cię widok, że ci już piersi obwisły, żeś już kwoka łącząca tam tylko, gdzie Władek każe, żeś już półkłępie, baba — a ja wciąż jeszcze ta sama! Smutne to, rzeczywiście. Żal mi cię, kwoko. Już zębów nie można suszyć po całych dniach do każdego lokatora po kolei. Jak mąż spojrzy, ciareczki po plecach latają. Już piersi wystawiać na nic się zdało, oczami strzyc — to samo. Nikt już nie leci na takie wdzięki...

— Zwracam uwagę — ozwał się nagle pan domu, milczący zazwyczaj czasu trwania sytuacji naprężonych — zwracam uwagę... Jedno słowo Niepołomskiego i Kraft *turnie* mię w ciągu jednej godziny.

— Komuż ojciec zwraca uwagę? — spytała Aniela z beczelnością osoby wyzwolonej, samoistnej, obcodomowej i moralnej.

— Zwracam uwagę tych wszystkich, komu na tym zależy, żebym miał miejsce tak krwawo zdobyte... — mówił wciąż tonem niezwykłym. Twarz miał zmaląłą do wielkości ściśniętego kulaka, pomarszczoną i pełną arcyśmiesznej grozy.

— Już tam ojciec, oczywiście, „wisi na włosku”, już tam pewnie pod ojcem „doły kopia”.

— Milcz! Moja rzecz... Kopia doły czy nie kopia — moja rzecz. A ty milcz!

— Tylko patrzeć, rychło przyjdzie wylany, tylko patrzeć... — mówiła matka zwracając się jedynie do Anieli, jakby tylko ta Aniela była w pokoju, a obok niej nie było nikogo.

— Ale będzie pretekst... — perorowała tamta z bystrością i logiką. — To dlatego, że się Niepołomski wyprowadził... „Jedno słówko Niepołomskiego i Kraft...”.

Stary pan jadł suchą, przedobiednią kromkę chleba, obojętnie i systematycznie. Przeknąwszy piąty czy szósty kęszek rzekł wyniośle:

— Wtedy dopiero będzie wiadomo, co się wykonało. Ale wtedy dopiero, gdy już będzie za późno. Wtedy dopiero nadejdzie żal, lamenty, awantury i inne opery.

— Cóż to wszystko ma znaczyć, filozofie spod Bachusa? Co to ma znaczyć? — zaczęła nastawać matka, odkładając na bok wszelkie względy i zabierając się do ataku.

— Powiedziałem!

— Powiedz wyraźnie! Wyraźnie, niech wszyscy słyszą!

— Powiedziałem wyraźnie. Proszę o zupełne. Nie mam czasu na interwiewy. Biuro nie czeka.

Wniesiono zupełne. Ewa nałała sobie talerz i szybko jeść zaczęła. Widziała, jedząc, błysk noża leżącego obok talerza. Ręka jej drgała, żeby go pochwycić i pchnąć w piersi siostrę Anielę. W głowie miała milczący wrzask namiętności skupionych w jedno. Coś w niej rozrywało się z wolna, jak powróż, na którym zawisł ciężar tysiąca pudów. Z pośpiechem, ale spokojnie zjadła obiad, włożyła kapelusz i nie żegnając się z nikim wyszła lekkimi krokami.

Niby przypadkowo wyszedł za nią tuż-tuż ojciec. Pokaszując i pomrukując dreptał obok, plątał się to z prawej, to z lewej strony. W bramie coś tam zaczął mówić. Ewa nie słyszała, nie była w stanie słyszeć, co mówi do niej ten stary człowiek. Udawała, że turkot uliczny przeszkadza odróżniać słowa. Rzuciła spojrzenie w sposób przykry. Powzięła w siebie, jak przez mgłę, wzrok rozmarzony, oczy zaczerwienione, pełne łez i uśmiech-żał.

Ale w niej nie było miejsca na przyjęcie tych uczuć.

Doznała podwójnej przykrości na widok twarzy i oczu tego człowieka, obcego jej w tym momencie. Powiedziała jakieś zdanie, szereg szybkich wyrazów, o których nie wiedziała, czym właściwie były, i odeszła w swoją stronę.

Niosły ją nogi ulicami. Posuwała się, nie widząc ludzi ni rzeczy. Praca jej ducha polegała na opanowywaniu wybuchów świadomości. Wybuchy te można by przyrównać do nagłych ciosów halnego wiatru, który bije skrzydłami w ciszę nie wiadomo skąd, a z nagłą ustaje nie wiadomo dlaczego i jakim sposobem. Serce zamierało doznając wciąż ścierpienia śmierci. Ręce szukały oparcia. Z chaosu wylaniał się żal czysty — okrutne, martwe, ślepe uczucie. Był on niby systemat bezzębnych, tępych pił ze stali, który niestrudżonym tarcieniem na tafle rozplatać potrafi całkowitą bryłę marmuru, bezkształtny, dziewiczy kloc, stworzony przez wieki wieków we wnętrzościach ziemi. A w pracy tego żalu, jak w pracy pił bezzębnych, była głęboka mądrość, niby mądrość ukryta w słowach duńskiego królewicza wpatrującego się w ogniłą czaszkę śmieszka Yoricka.

W biurze zajęła się usilnie pracą. Rachowanie, konieczność utrzymania myśli w karbach, w stalowych klubach, było dobrym przewodnikiem dla wichrów huczących w duszy.

Godziny biurowe szybko przeszły. Ewa nie chciała wierzyć własnym myślom, że już skończyła się praca.

Wyszła ostatnia. Zadała sobie pytanie, co robić z resztą tego okropnego dnia. Nagle przyszła jej do głowy mała myśl — jak gdyby w mózg wpadło ziarenko szaleju i zrodziło myśl — że wczoraj mogła pisać do Łukasza, a dziś nie może już pisać, bo jego już nie ma. Ta jakby nowa myśl zjeżyła jej włosy nad głową. Tłok popołudniowy ludnej ulicy warszawskiej zagarnął ją w siebie, jak sieć zagarnia rybę. Dała się ciągnąć tłumowi, jakiemuś skrzydłu wielkiego włoku ludzkiego. Nie umiała zdać sobie sprawy, jakim sposobem i kiedy znalazła się w parku. Poszła na miejsce pierwszego spotkania z Łukaszem. Niosła tam coś jakby skargi na niego do miejsc, drózek, drzew... I tam był tłum nadwieczorny. Ławki pozajmowane, pył w powietrzu, szelest sukien, gwar rozmów. Ludzie — w tym miejscu. Ewa zatrzymała się obok pewnego drzewa, w miejscu, skąd widać było ławkę. Oczy jej chore z nieszczęścia, oczy niepragnące nic widzieć, oczy ugodzone — poszły ku tamtemu miejscu.

Miejsce to samo, tylekroć widziane, przedmioty obojętne — wszystko na całym świecie przemieniło się w jedno niezmierzone żalisko, pełne urn i mogił dla nikogo niewidzialnych. Niepodobna było tknąć wzrokiem żadnego przedmiotu. Minął już czas rzeczy tych. Stały się sobą, czyli przestały istnieć.

Nastał zmierzch jasności tych rzeczy wybranych, wyniesionych przez duszę czującą na wysokość symbolów.

Wszystkie odziewały się teraz w szary kir rozczarowania. Och, jakże teraz łkały drzewa, wytracone z łaski serca osieroconego! Jak żałobne stały się drogi, ulice, aleje, trawniki, gaje i klomby. Stary dąb, ukochany, powiernik, brat... Dalekie korony drzew...

Noc nadchodziła. Straszliwa noc! Pozbawiona czaru, nie była przybytkiem, świętym kościołem miłości, lecz nadchodziła z dala, jakoby pustynia mroku zemstą ziejąca, otchłan lęku i morze bezgraniczne zatracenia.

Dźwięk — *nie ma* — straszliwy dreszcz rzeczy martwych przewijał się w szmerze ludzkim, w wietrze, w szeleście liści... Wynurzała się zewsząd potworna i bezdenna nuda, która załamuje najmocniejsze ręce. Wstawał głód duszy nie do zniesienia, który nie ma, czym by się zaspokoił na całym szerokim świecie. Pustka wokoło niema i głucha, a poza nią wszystko wbite w ziemię. Ustała w świecie wszelka praca. Skostniało przedziwne życie ziemskie, które było radością czuwającego ducha i zdumieniem młodocianych oczu.

Upadła olbrzymia siła i skazana została na próżnowanie i zanik. Wykluczone było z tego obrębu wszelkie marzenie. Rzeczywistość, która była minęła, przewyższyła wszystko, co mogłoby się zawrzeć w najśmielszym marzeniu. Ta rzeczywistość była odkryciem

nowego świata, o którego istnieniu nie było wiadomo nic, nigdzie, nikomu. A teraz ta rzeczywistość, ta obiecana ziemia, przestała istnieć bardziej bezwzględnie, niż znika sen po zbudzeniu. Były chwile, że Ewa szarpała ręką rękę dla utwierdzenia się w pewności, że wszystko, o czym myśli, jest w istocie, a ona wszystko dokładnie pamięta. To nie był sen. W zamian nasuwał się dawniejszy świat. Tłoczyły się zapomniane rzeczy, sprawy, myśli sprzed tamtego zdarzenia, sprzed dnia spowiedzi i poznania Łukasza. Stały się teraz te rzeczy złowieszcze a nieprzeblagane. Otoczyły duszę jak zemściwy tłok szachrajów, którym prawo pozwala bełkotać o zyskach. A prawo to — nadał im Łukasz. On! Gdzież tu iść? Jak tu żyć?

Poprowadziły ją dokądś samopas błądzące kroki. Z podniesioną głową i z mgławicami źrenic w oczach szła dumając o sobie, jakby o czymś na zewnątrz bytującym.

„Kto ja jestem? Co ja czynię?” — pytała samej siebie, zanurzając wywrócony wzrok w ciemności wewnętrzne duszy. I odpowiadała samej sobie przez gęstą kratę wewnętrznych łez w tej rozmównicy opuszczenia:

„Jestem samotna, pogardzona dusza. Jestem bez przyjaźni i pomocy. Stałam się, jak rzecz bez wartości, na nic nikomu.

Wszyscy ludzie widzą mój grzech, który w sercu popełniam i który pragnę popełniać — bez końca, bez końca.

Tak mi dopomóż. Panie Boże mój! Ty mi dopomóż, który wszystko żyjące miłujesz, Ty, co jeden wiesz prawdę... Grzech mój jest błękit, który mię ogarnął — Ty wiesz! — który mię ramionami otoczył — Ty wiesz — opasał, objął. Grzech mój jest — oczy — i szelest — i dźwięk przyciszonej mowy. Kocham mój grzech w sercu leżący i nienawidzę wszystkiego, co mię odeń odwodzi. Poza nim jest zgniła ciemność i odrażająca śmierć.

Grzech mój jest krzywa linia rozkwitłych bzów, liliowy hymn, co się w zieloną ścianę drzew tulił, gdy czekała... Grzech mój to szelest brzoźowych gałęzi, szelest niewysłowionego powabu, gdy wtedy łagodny deszcz go uciszał. Słyszac go, nie słyszałam; a teraz przyszedł na serce moje... O mowo brzoź tamtych poranków czekania!

Zwarte krzewy, coście się usuwały za wiatrem, kiedy miał przyjść, a nie przychodził...

Gdzież tu na świecie szukać ratunku? Do kogo iść i w którą stronę?

Nikt mi nic dopomóc nie może ani poradzić. Jestem obarczona ciężarem ponad siły. Smutek wytarga ze mnie wszelką moc. Wszyscy widzą moje omdlenie, przepatrują mój grzech ukryty i sprawia im to nędzną radość. Chcieliby pokrzyżować w ciemności drogi, przestawić znaki, zmylić sens myśli moich. A nade wszystko wyrwać serce, wyrwać serce... A ci, co by mi pomóc chcieli — nie mogą. Jest to sprawa między mną samą jedną i moim losem. Los wygrał sprawę. A ja moją dolę przegrałam. Jestem skazana... A cóż z tego, że nieszczęśliwy jest więzień skazany i litość budzi, kiedy osądzony jest i przeklęty?”

W tej chwili, gdy tak szła niosąc w sobie bezlitosne i miłosierne moce, co jak siostrzyczki za umarłą siostrzyczką płaczą albo jak zbóje w karczmie wśród publicznych dziewcząt szydzą, znowu trafiła pamięcią, jak gdyby w wybuchową minę, na te słowa listu:

„Nigdy nie dotknąłem ustami ust Twoich, nie dotknąłem ustami nawet Twej ręki”.

Porwał ją krzyk i białowargi szept tych wyrazów, dwa symbole jednoznaczające niewątpliwą prawdę.

Ujrzała całą ich głębokość i ogrom, może bardziej niezmierny, niż go widział ten, co pisał.

„To prawda...” — szeptała sobie, brodząc przez chichot, idąc wciąż w świat. „Nigdy nie dotknąłeś ustami moich ust. Ani ja twoich”.

Za prawdą tą tała się, jak hiena, chwila obłąkania z rozpacz. Obrażała teraz Łukasza tysiącem krzywdzących podejrzeń i tysiącem posądzeń. Wbiegła w bramę jakiegoś domu i oparła o mur głowę, bo coś w tej głowie kipiało i paliło czaszkę, a myśl wysadzało z kolein rozsądka. Wywinęło się znikąd (wówczas, gdy tam stała) proste i rozumne marzenie o śmierci. A w marzeniu tym była słodycz — i ani cienia bezmysłu. Był to wyłom, którędy można wyjść z labiryntu potwornych ruin, szczelina, wskazana przez dobrotliwą rękę ohydneho żebraka, co w rowie między pokrzywami spał... Bez tej myśli o śmierci nie mogłaby już żyć. Teraz na wiotkich skrzydłach cichych rozmyślań o rodzaju śmierci, o jej miejscu i czasie, poczęła kołysać się w przestworze nieszczęścia.

Szła ku domowi zadumana, z oczyma zatopionymi w olbrzymiej pustce niebios. W pobliżu domu przypomniała sobie inny werset strasliwego listu.

Grzech, Miłość, Samotność,  
Miłość niespełniona

Powtarzała szeptem:

„Jestem jednym z najsilniejszych ludzi na świecie. Nie — nie! Jestem najsilniejszy ze wszystkich mężczyzn na ziemi”.

I te słowa stanęły przed nią nie jako dźwięki, lecz jako oczywista i dotykalna, niemal bryłowata postać prawdy samej w sobie. Zadrżała w obliczu tej prawdy i byłaby gotowa upaść na twarz przed jej majestatem.

„Jesteś najsilniejszy na świecie — szeptała w zachwyceniu. — Rzuciłeś mnie, mnie, którą tak kochały Twoje czarne oczy! Mnie, która byłam w Tobie i byłam Tobą. Wyrwałeś mnie ze swojej piersi, jakbyś serce bijące wyrwał sobie nieustraszonymi rękoma.

Usta do zimnego wapna ściany, za którą spałam, przykładałeś na pożegnanie. I całowałeś śmierć. A ja nieszczęsna nie wiedziałam! Czemużem się nie ocknęła i nie uczuła, co robisz! Nie zechciałeś widzieć mię więcej. Ostatniego spojrzenia odmówiłeś i mnie, i sobie. O, jesteś silny! Przed Twoją milczącą wolą nie mogłoby się oprzeć nic ani na ziemi, ani na niebie. Ty panujesz nad ziemią, nad sobą i nade mną. Jakże cię uwielbiam! Kazałeś mi zapomnieć, a Twój ostatni uczynek nie prowadzi do celu! Panie mój! Twój rozkaz — tylko ten jeden — nie będzie spełniony. Przenigdy! Umrę. Będę tak samo silna i mężna jak Ty. Gdy trupa mego wywloką z dołu śmierci i rozpoznają, przeczytasz sobie o tym w gazecie. Będziesz wiedział, coś zrobił! Wtedy wszystko zrozumiesz. Ty, silny — coś zrobił. Ty, coś nigdy nie pocałował mię w usta...”

Pomimo że wróciła do domu o parę godzin później niż zwykle, nie pytała jej matka, gdzie była i co robiła.

W pokoju było ciemno. Stary pan siedział przy otwartym oknie. Kulawy samowar jeszcze sapał w ciemności. Ewa nie piła herbaty i nic nie jadła. Szybko rozebrała się, nie zapalając światła i zajęła swe legowisko za parawanem. Pierwszy to raz w życiu wydało jej się w tym domu podle i nędznie. Wieczór był parny. Czula zaduch mieszkania i podwórza, odczuwała fizycznie nędzę plugawego bytowania. Okryła głowę lekką kapą, jakby chcąc ukryć przed sobą świat. Porwał ją wnet nagły sen, twardy sen młodości zmordowanej przez nieszczęście.

Upadła ciałem i duchem, niby kamień w bezdenną toń czarnej wody. Nierychło w nocy — z tego niebytu, z czarnego otworzeliska głębiny poczał wywijać się sen dobrotliwy o czymś niebywałym, o czymś innym od naszego ziemskiego świata. Zaniósł ją tajemnicze potęgi na inny świat, prawdziwie na inny glob, na odosobnioną w przestworach ziemię. Czula lekkość w sercu swym, jak po długotrwałym płaczu w samotności, gdy się uśmiechnie znowu dola.

Nic nie wiedziała o nieszczęściu swym ani o męczarni serca. Snu tego nigdy później nie mogła sobie uprzytomnić ani przypomnieć. Wiedziała tylko o błogosławionej rozkoszy, która była w nim od początku do końca.

Aż oto dotknęło ją nieubłaganą ręką przebudzenie.

Siadła w kucki na posłaniu i chciała dłonią powstrzymać łoskot serca. Jeszcze nic nie wiedziała... Pierwsza myśl wionęła ku niej z ciemności, jak czyjś czarny szept:

„Łukasza nie ma!”.

Objęła ją rzeczywistość rozpaczy obiema rękami za rozpuszczone sploty włosów. Zanurzyła w nie mgliste, chude, koślawe palce. O, któż opowie o wybuchu powstającym znikąd, z dna serca! Podniósł się niepowstrzymany, niezapowiedziany niczym, na obraz drżenia, co wstrząsa skorupę ziemi przed wylewem wulkanu.

Ewa trzęsała się w potach, błagając, żeby tylko aby ten wybuch przeszedł szczęśliwie, przeminął i ustał.

Przechodził. Po nim westchnienie spadało na piersi — ni to kamień rzucony zza płotu przez niewidzialną rękę mściciela. Śniła się krótka chwila pociechy, pociechy błękitnej jak niebiosa między śniadością obłoków.

Ale, jak niknie jasne niebo wśród nawałnicy, tak nicestwiała w obumarłym sercu pociecha. Coś niepochwytne szelestne, idące zza ramion, zdawało się szeptać, w pół śpiewać na nutę współczującą, nie wiedzieć jaką, a okrutną jak ciosy rzemienia:

„Nie — nie — nie!”.

Głowa opadała na ręce i leciała ku ziemi jak głaz z wysoka rzucony wzgardliwą ręką. Poczucie wzgardy na miejscu tym, gdzie były ołtarzowe róże i gdzie stał ołtarz —

nie było do udźwignienia. Oczy nabrzmiewały od łez, serce biło szybkimi ciosy, biegło w bezgraniczną dal, jak wygnaniec po twardym gościńcu ziemi cudzej.

Nigdzie oparcia, nigdzie podstawy do wzmocnienia się duchem. Wszystko zawiodło. Tylko łkanie nocne, zduszone przemocą w piersiach... Tylko łkanie, ostatni pocieszyciel...

\*

Dnie, tygodnie, miesiące...

Ewa nie miała najdrobniejszej wiadomości o tym, co się stało z Niepołomskim. Poczyliła była wszelkie możliwe starania. Na jakie tylko mogła wpaść domysły — wszystko wyzyskała. Była w biurze adresowym, w biurze paszportowym, posyłała zapytania do pism codziennych...

Zewsząd otrzymała odpowiedzi jednobrzmiące: — nie wiadomo. W biurze adresowym — jakże to drżała, kiedy wywoływano nazwisko Niepołomskiego! Powzięła wiadomość, że wyjechał z Warszawy. Wróciła tedy do tego właśnie miejsca, skąd wyszła. W odpowiedziach od redakcji podawano już to stare adresy w Paryżu i Londynie, już odpowiadano krótko i wężłowato: — nie wiadomo. Utworzył się dokoła duszy jak gdyby spiszek, jak gdyby sprzysiężenie ludzi, zmowa instytucyj, rzeczy, zwarty kartel bezlitosnych okoliczności, popierających się wzajem wszelkimi siłami w tym jedynie celu, żeby nic nie można było się dowiedzieć o Niepołomskim. Zdawała sobie sprawę z tego, że to przecie jest złudzenie, a jednak, gdy przychodziła skądkolwiek odmowna odpowiedź — witała ją z uśmiechem pogardy: „wiem, wiem, przyjaciele, co mi powiecie”. Przyszła szybko do przekonania, że Łukasz umarł. Ale i o śmierci nie było nigdzie w świecie otaczającym wzmianki, pogłoski, echa wieści...

Ewa przeżyła to skwarne lato w pracy bez wytchnienia.

Gdyby nie martwe i ślepe godziny mechanicznych dodawań olbrzymich kolumn, sprawozdań z podziału należności za przewóz towarów przez rozmaite linie kolejowe, byłaby oszałała. Toteż robiła zaciekle, zapamiętała, dwa razy, trzy razy więcej niż dawniej. „Odstawiała” po trzy, a nawet po cztery „normy” dziennie bez podniesienia głowy znad papierów i bez oderwania myśli. Nie była w stanie pozwolić sobie na jedną chwilę czasu „swobodnego”. Jej czasy swobodne zapełnione były korowodami myśli podobnych do trupich głów w ślubnych welonach. Spostrzeżono jej zimną pilność, doskonałość jej *wykazów*, nieomyślność rachunków, ogrom pracy i nadmiar gorliwości. Zarobiła w tym czasie wprost „olbrzymie sumy”. Otrzymała zapewnienie najbliższego awansu. Naczelnik biura przyszedł do wniosku i przebąkiwał, że najoczywiściej „norma” dziennie jest ilością za małą, skoro pracownik może wykonać tyle, co panna Pobratyńska.

W tym samym czasie Ewa poczęła się „stroić” (jak twierdziła jej siostra Aniela). W rzeczywistości poczęła ubierać się wykwintnie i subtelnie. Suknie jej nie były oczywiście drogie, bogate i uderzające, niemniej jednak dobrane i obmyślane ze smakiem i niezwykłą pieczołowitością. Nadto — były uszyte w pewien osobliwy, można by powiedzieć, arystokratyczny sposób. Na ulicy Ewa robiła wrażenie panny z wyższego towarzystwa. Ta skłonność do ozdobności stroju zjawiała się powoli, rosła i dojrzewiała. Była w tym doza zemsty, przechodząca aż w dziedzinę cynizmu.

Opuszczona, doznawała w tych skwarnych czasach wszystkich walk aniołów ciemności i wszystkich aniołów światła.

Sama była z wolna, z wolna przemieniona w duch cienia. Dusza jej nie miała już w sobie nic takiego, co ludzkie frazesy zowią kategorycznie cnotą albo występkiem. Szła po ruchomej i sypkiej granicy między dobrem i złem, jakby po grani wapiennej Giewontu. Kochała cień, sekretność i niejasność swych myśli i z lubością przebywała w samej sobie. Znajdowała rozkosz w myśleniu samoistnym, bezpośrednio wysnutym z patrzenia niezmrudzonymi oczyma w świat. Brała ów cały widoczny świat w swój umysł i mięsiła myślą jego odbicie. Dawniej bała się jak śmierci tego, co nauczono ją zwać występkiem. Teraz najskrajniejsza potworność warszawskiej ulicy nie stanowiła dla niej przedmiotu pogardy. Boleść i siła zmagaly się w duszy i rosły ciągle. Nad wszystkim górował śmiech z życia. Śmiała się po sto razy na dzień z Łukasza i jego „wielkiego czynu”, ze siebie tak głupio tęskniącej, z podeptanego kurczęcia, z biedy ojca, z pracy matki, z ciężarności siostry,

z posłańca-tabetyka<sup>61</sup>, podrygującego z ulicy w ulicę pod ciężarem pakunku, z beznosej żebraczki i z paralytyka o białych oczach, wiezionego w wózek.

Kochała się teraz w Łukaszu do szaleństwa. Ale odmiennie, zgoła inaczej. Już on teraz prawie na ziemi nie istniał. U tych krańców tęsknoty stał się zeń nieistniejący bóg, jakowyś Hermes Trismegistos, który rozkazawszy duchom, braciom swym, żeby mu za switę służyli, wstąpił na gwiazdy. Dla sprowadzenia go na ziemię sprzedawała mu się, czyniła mu w sercu ofiary, ustępstwa bez końca i bez rachuby. Obiecywała mu w marzeniach rozkosze raj, byleby przybył. Śniła o tym, żeby zostać jego służebnicą, pragnęła nocami rozkoszy cielesnej z nim, grzechu tajnego, który by złączył duszę jego z jej duszą w potępionej wieczności. Patrzyła obojętnie, jak dusza dawna, dusza miniona — szatanieje. Patrzyła ze śmiechem, jak wśród szamotań dusza brnie z występku w występki, jak popełnia miliony nieznanych jej grzechów — i pragnie wciąż nowych. Cóż z tego, że grzechy te popełniała tylko myślą, tylko żądzą i wolą, kiedy one owładnęły już sercem. Leżały zamknięte w sercu, gotowe do wybuchu, jak iskry w zimnym krzemieniu. Przyszła wreszcie do niejkiej granicy i powiedziała sobie, że życie może nie istnieć, może się nie *rozwidniać* jutro, byleby istniał jeden dzień z nim, dzień dzisiejszy. Życie — to dzisiaj!

Gdyby mogła wiedzieć chociaż tyle, że umarł. Gdyby umarł, odebrałaby sobie życie i wynalazła go w piekle czy w niebie, w raju czy w Azgardzie, wszędzie, gdziekolwiek jest. Ale jakże umrzeć, jeśli on żyje na świecie? Żyła tedy lichwą wydartą z ostatnich okruszyn nadziei. Z okruszyn tych częstokroć wystrzelały nagle złudzenia, olśniewające kraje, nieznanne ziemie. Z założeń tysiąckroć drobniejszych niż ziarenko nasienne rezedy rosły babobaby ufności, cudne wielkokrzewy, zbudowane cudownie i nie mniej ściśle niż systemat Schellinga. Ale kiedy indziej w tę metafizykę odtrącenia wpadały efemerydy potwornych impulsów, ciosy tajemniczych poduszczeń do aktów niesłychanej zemsty... Jedno częstokroć wspomnienie gestu, powiewu, jęku — *niedostrzeżone* czasu dni szczęśliwych — zasiane teraz ręką szatana w ciemności, uderzało w piersi jak nóż, przez tygodnie...

Ewa stała się niewymownie piękna. Gdy pospiesznie szła ulicą, zatopiona w sobie, wyniosła, ze wzrokiem jakby wywróconym na nice i zatopionym w światach duszy — nie było mężczyzny, który by jej nie ścigał wzrokiem i westchnieniem. Były to oczy ptaka konającego, przyćmione przez powieki jak przez całuny. Stała się blada, zimna, wysmukła, przedziwnie mściwa, jak Diana. Jeżeli na kogo wzrok jej padł, to przesywał zapalczym ogniem ducha — na śmierć, niby strzała srebrnego huk siostry Apollina. Zimne błyskanie nieprzeblaganych oczu i wzdardliwy uśmiech — to najczęściej miała dla ludzi.

Wędrowki z domu do biura i z biura do domu były dla Ewy najprzykrejsze. Wówczas rozwijała się najuciążliwsza praca wspomnień, obliczeń, zarówno bieżącego dnia i dni dawnych, nędznych małości i nieskończoności, niewiadomych godzin marzenia i wiadomych, świeżo poznanych wielkości bieżącej godziny — wszystka niezgłębiona, niemająca początku ni końca matematyka osamotnienia. Były pewne przysłowia, które Ewa powtarzała często jako doskonałą dewizę swego życia, jako *słowo* wszechobjmujące. Co rana, spostrzegłszy w sobie coś nowego, mówiła to słowo, stwierdzała z gorzkim cynizmem: „Im dalej w las, tym więcej drzew”. Szła coraz dalej w nieprzebyty las życia.

W ciągu tego okresu czasu kilkakrotnie doznała wstrząśnięć, których później lękała się drżąc na całym ciele. Pewnego razu, idąc po południu ku domowi, pełna usiłowań, żeby wyrobić w sobie chociaż jakiś chiński cień charakteru, rzuciła okiem na tramwaj przejeżdżający i na jego szczycie ujrziała olbrzymimi literami wypisane słowo „Łukasz”. Było to ogłoszenie jakiegoś sklepu czy stowarzyszenia. Drgnęła wtedy, uderzona bezlitosnym prądem i na pół zabita, odrętwiała, w paraliżu duszy przywlokła się do domu.

Kiedy indziej, gdy siedziała na „swej” ławce w parku, poddana mocy prawdziwie żywiołowych nasyceń zgłodniałych uczuć pewnikiem, że inni ludzie także kochają nieszczęśliwie, nienawidzą, cierpią, są nieszczęśliwi, gniją po szpitalach i umierają — usłyszała nagle w rozmowie dwóch przechodzących jegomościów zdanie jak odpowiedź: „Życie życiem być musi, śmierć korzysta z praw śmierci”. Zdanie to każdą sylabą przywarło do duszy tak nieodparcie, jak głowonóg-ośmiornica przywiera do żywego ciała kostnymi ssawkami.

<sup>61</sup>tabetyk (z fr.) — osoba cierpiąca na uwiąd rdzenia kręgowego, charakterystyczny objaw późnego stadium jednej z chorób wenerycznych.

Najcięższą wszelako chwilę stanowiło przejście z matką. W parę dni po wyjeździe Łukasza, w czasie kiedy nie obchodziło jej nic, kiedy była najstraszliwiej „wichrem porwana”, w chwili powrotu do domu spostrzegła na bramie kartę z oznajmieniem, że pokój jest do wynajęcia w mieszkaniu rodziców. Bez jednej myśli w głowie, z furią w sercu, zdyszana wbiegła na schody, przycisnęła dzwonek... Ledwie mogła doczekać się... Gdy wtargnęła do mieszkania, natychmiast wyciągnęła matkę na korytarz i obcesowo zapytała, patrząc jej prosto w oczy:

— Mama ogłosiła, że jest do wynajęcia pokój?

— No, ogłosiłam.

— Ten pokój?

— Ten.

— Pokój Niepołomskiego? — nastawała wbijając w matkę oczy jak noże.

— Czyś już zupełnie oszalała?

— Nie oszalałam, nie! Ja nie dam wynająć tego pokoju! — wycodziła przez ściśnięte zęby.

— Pytam ci się<sup>62</sup>, Ewa, czyś oszalała?

— Jeżeli mama wynajmie ten pokój, jeżeli do tego pokoju... pierwszy lepszy się wnieście, to ja... Przysięgam mamie! Wyjdę na ulicę i, wie mama, pójdę z pierwszym lepszym!...

Stara pani nie spuszczała z niej oczu. Sama zbladła tak samo jak Ewa i trzęsła się tak samo jak ona. Chwyliła córkę za obie ręce i wciągnęła ją do pustego pokoju Łukasza. Tam ją oparła plecami o mur i w oczy zaczęła jej szeptać:

— Musisz o nim zapomnieć, musisz! Zginiesz, jeśli nie zapomnisz!

— To zginę! — odpowiedziała Ewa jednym prawdogłośnym okrzykiem. — Mama myśli, że zginąć — to dla mnie przestraszyć? Dla mnie zginąć!... Podła jestem sobaka, że jeszcze żyję!

— On nigdy nie dostanie rozwodu — mówiła stara nieodwołalnie. — Sprawdziłam sama w konsystorzu, chodziłam do jego adwokata. Ty myślisz, że ja jestem taka głupia jak ty.

— To niech nie dostaje. Nie dbam o rozwód!

— Więc o cóż ty dbasz? Zastanów się i powiedz, czego chcesz?

— Niczego od was nie chcę.

— Nie wróci do ciebie nigdy — przenigdy.

— Dopięła mama swego, więc cóż jeszcze?

— A bo musisz zapomnieć!

— Długo mama pożyje, żeby tego doczekać.

— A kiedy musisz!

— Nie! Nie zapomnę go nigdy — przenigdy! — szeptała w szale z zamkniętymi oczami, z uśmiechem. — Choćby bił, choćby mię kopał nogami, choćby mię włóczył za włosy po ziemi — będę go całowała po rękach, po nogach, będę go wielbiła do ostatniego tchu! Żebym go tylko mogła zobaczyć, och, żebym go mogła zobaczyć! Wie mama teraz? — pytała z okrutną kokieterią.

Stara zakołysała się, zaszlochała w sobie. Twarz jej skrzywiła się boleśnie. Rzekała po chwili:

— Pleciesz bez rozumu. Jesteś zupełnie zwariowana, więc ja od dawna i wciąż myślę za ciebie. Dniami i nocami, dniami i nocami. Rozumiesz mię, czy nie? Ja myślę za ciebie bez ustanku.

— Nie potrzeba.

— Czego nie potrzeba?

— Żeby mama...

— A kiedy ty jesteś moje dziecko. Ja cię na świat wydałam, ja ci darowałam to życie. Twoje życie to ja ci dałam. Gdyby nie ja — nie byłoby cię w tej chwili.

— To niech je sobie mama z powrotem zabierze — to życie! Jeśli tak należą do mamy, to niech mię mama zabije. Ach, żebyście wy mnie zabili, wy, dobroczyńcy!

---

<sup>62</sup>pytam ci się — dziś popr.: pytam cię się; pytam się ciebie.

— Ja po nocach nad tobą czuwałam, kiedyś była tyłą kruszyną. A teraz, jakieś jest kobietą dorosłą, to ja mam iść precz od ciebie? Rozumiesz ty, co mówisz?...

— Nic teraz nie rozumiem.

— To ja też za ciebie pracuję teraz rozumem, tak samo jak wówczas, gdyś miała pięć miesięcy i rok, i dwa, i dziesięć.

— Kiedyś wszyscy dorastamy, starzejemy się. Nikt nie jest dzieckiem przez całe życie, od kolebki do starości. I mama niegdyś była dzieckiem... i ja już nie jestem dziesięcioletnim dzieckiem...

— Ale tego nie wiesz o życiu, co ja.

— A mama nie czuje nic z tego, co ja czuję. Ani najlżejszego drgnienia serca.

— I o tym wiem, co czujesz, bom przeżyła życie i także byłam zakochaną dziewczyną.

— Nie, nie kochała mama tak jak ja.

— Skądże wiesz?

— Bo nie stałaby mama teraz nade mną jak straszny kat. Straszny, bezlitosny kat! Mama to wyгнаła stąd Łukasza pod pozorem troski o mnie, dla mego — cha-cha-cha! — szczęścia. Mama to może wymówić słowo, mamie to może przejść przez usta, zmieści się w piersiach, mamie! — to słowo: „musisz zapomnieć”? Jego zapomnieć, Łukasza zapomnieć!

— Ja ci nie każę, ja cię tylko chcę chwycić za ręce i prowadzić precz od przepaści. Musisz zapomnieć, bo inaczej przepadniesz. Ty o tym nie wiesz, ja wiem doskonale.

— A ja wolę zlecieć w przepaść...

— Wszystko przemija. I ten twój nastrój przeminie. Jesteś młoda, jesteś do ludzi podobna. Na świecie żyjesz i wśród ludzi.

— Nastrój mój — przemienie!...

— Wszystko przemija. Rodzice zapominają o dzieciach. Wiesz ty, co znaczy to słowo? Widzisz, że nie wiesz, nie wiesz! Kiedyś dopiero zrozumiesz, co się zawiera w takim zdaniu: Rodzice zapominają o umarłych dzieciach. Dzieci zapomną o matce, co za nimi aż do szaleństwa przepadała, której serce po milion razy przesywał czarny słupek rtęci pokazujący gorączkę. Chodziła nocą bosa i półnaga podsłuchiwać oddechy, czatowała rankami na przebudzenie, była jak pies wierna, a noc tylko ciemna wie, ile dla nich przecierpiała. Serce jej było pragnieniem ich szczęścia, ręce były narzędziami do budowania ich dobrej doli... Zapomną jak o rzeczy nieużytecznej, zniszczonej, starej, niemilej, gdy będzie sama twarz w twarz ze śmiercią. Odejdą z uśmiechami zwróconymi do życia, do pierwszego pięknego przechodnia. I zapomną... Mężowie zapominają o żonach, które im poświęciły pierwsze bicie serca miłującego i im się tylko oddały. Szaleją, biją czołami o mur, pistolet przykładają do skroni. Zapominają...

— A są tacy, co nie...

— Wszystko odchodzi pod dach Wiecznego Boga. Do tego straszego składu, gdzie już po wtóre nic nie odszukasz. A ja ci tak dzisiaj radzę — żebyś go całkiem nie zapomniała, bo już, widać, na nieszczęście, nie zapomnisz; ani zbyt mocno nie pamiętała, bo nędznie zginiesz. Weź to do serca i pracuj nad sobą. Dzień i noc pracuj!

Ewa w szlochach oparła głowę na piersiach matki. Stały długo, łkając, wcielone duchem i ciałem jedna w drugą, jakoby na nowo jeden, oplątany krwionośnymi żyłami, nierozdzielny twór natury. Ewa ocknęła się pierwsza. Zalane łzami oczy utopiła w oczach matki. Usta, jakby krwi pełne, ledwo, ledwo szeptały:

— Mamo, ja wezmę ten pokój! Będę za niego miesięcznie tyleż samo, co on, płaciła. Tu się przeniosę i zamieszkać. Ja potrzebuję być sama. Będę zarabiała jeszcze więcej, jeszcze więcej. Przecie zarabiam tyle, że mogę to samo zapłacić, co on.

Stara pani patrzyła ponuro w ziemię. Mruknęła:

— Niewiele ci to pomoże, a nam krzywda.

— Więc ja już nigdy nie będę człowiekiem? Żebym trzysta rubli zarabiała miesięcznie, to także muszę siedzieć za parawanem? Wiecznie wasza, wasza...

— A bierz sobie, bierz pokój! Blisko dwieście rubli rocznie jak w błoto rzucił.

*Ci-devant* piękność wyszła z pokoju, wyniosła podnosząc głowę. Tegoż jeszcze dnia Ewa przeprowadziła się do pokoju zajmowanego poprzednio przez Niepołomskiego. Umieściła tam wszystkie swe rzeczy, cały swój dobytek. Pościel zasłała na żelaznym łóżku w taki

Przemijanie, Pamięć

sam sposób, jak było u niego. Rzeczy, które były w użyciu tego lokatora, ustawiła z pietymem. Po powrocie z biura, zamknięta na klucz, całymi godzinami zajmowała się czyszczeniem, myciem, podklejaniem tapet, malowaniem podłóg itd., aż doprowadziła ową izdebkę do stanu jakiejś niewypowiedzianej doskonałości i niewątpliwego uroku. Zmieniła to miejsce w świątynkę czy muzeum. Stare, tandetne graty stały się niemal piękne i dziwnie w swym prostactwie szacowne na lustrzanej podłodze, wobec nieskalanych ścian i przezroczystych okien. Pokój ten pełen był zapachu kwiatów i subtelnych perfum. Na ścianach zjawily się dwie ryciny niejako wydobyte z listów Łukasza Niepołomskiego, a po długich poszukiwaniach i za drogie pieniądze zdobyte u antykwariuszów. Jedna z nich — to był Otello, zbliżający się w nocy do Desdemony, piękny sztych angielski — druga to portret Alfreda de Vigny.

Nikt z domowników nie przekroczył ani razu progu tego pokoju. Doprowadziwszy go do stanu doskonałości, właścicielka zamknęła drzwi na klucz dla wszystkich bez wyjątku. Drzwi były zamknięte pod jej nieobecność. Nie odmykała ich również, gdy była u siebie. Sama sprzątała. Były tam książki, których mnóstwo chłonęła teraz, już to wypożyczone z czytelnicy, już nabyte. Miała w zamknięciu swe listy.

Żyła tak miesiącami w zupełnym odludziu, „nic nie mówiąc” — to znaczy nie wyjawiając ani jednej sylaby olbrzymiej pieśni swej duszy; żyła na pustkowiu, jakby w celi, w lesie czy niedostępnych górach.

\*

Dni powszednie, w znacznej części wypełnione pracą biurową, mijały łatwiej, ale niedziele i święta... Dni świąteczne były długie, pełne smutku potężnego jak noc, smutku, który nie ustępował przed najtęższym wysiłkiem woli-potęgi, jak noc nie ustępuje przed sztucznym światłem człowieczym — smutku, co odchodził wówczas dopiero, gdy dopełniała się jego niewiadoma miara. Rano w niedzielę Ewa zazwyczaj szła do czytelnicy publicznej. W ciągu dwu, trzech godzin przeglądała czasopisma z ostatniego tygodnia.

Na jesieni, już w drugiej połowie września, trafiła się pewna niedziela niezwykła. Ewa dość już długo czytała i powzięła zamiar, żeby wyjść. Sala czytelnicy, pełna kurzu, szelestu, kaszlu siedzących bibularzów, poczęła ją nużyć. Jeszcze jedno jakieś czasopismo tygodniowe — i koniec zabawy. Powrót do domu... Wyciągnęła rękę po pismo, mając już wryty w mózgu obraz ruchliwej ulicy, potwornej i obcej ulicy, obraz podwórza, schodów, drzwi do mieszkania. Przed oczyma miała szpalty równie obce, cudze, odpychające jak obraz ulicy. Czula poza sobą tłum wszędzie obecny, ścigający samotność, tłum natrętny, tłum-goniec i donosiciel... To wszystko, co było w życiu i w pismach, nie miało z nią, z jej sprawami, z jej „kwestią”, z piekielnymi artykułami jej życia — żadnego zgoła łącznika. Zaczęła czytać artykuł w naukowym tygodniku. Przeczytała. Nuda, nuda... Odwraca kartę, żeby zobaczyć następujący artykuł, rezerwuar nudy innego pokroju...

I nagle — trzask w głowie, płomień w oczach, szum w uszach. U dołu artykułu podpis — Łukasz Niepołomski. Nieci się w piersiach początek pożaru, cichy ogień. Jego wężowe języki pelzają wokoło czaszki, wskakują we włosy. Wicher radości buchnie w ów ogień. Adres redakcji...

Złożyła ostrożnie pismo i bez szelestu wyszła. Szum w głowie... Na ulicy powzięła decyzję, żeby iść niezwłocznie. Kiedy indziej, ulegając wrodzonemu uczuciu nieśmiałości, byłaby kwadransami wahała się i trwożyła. Teraz wbiegła na schody i nacisnęła dzwonek jak do własnego mieszkania. Otworzył drzwi stary służący, z którego oczu, policzków, czerepa życie już wszystko wyjadło. Martwe oczy — szczerza ziemia... Obudził w Ewie wstręt-przeczenie, jak widok glisty czy rozdeptanego ślimaka.

— Czy pan redaktor jest w domu?

— Niedziela. Pan redaktor nie przyjmuje.

— Proszę podać mój bilet.

Rozdeptane oczy patrzą na ów bilet, później w twarz osoby z takim zainteresowaniem, jakby patrzyły w otwarty i wystygły piec.

Dwie duże srebrne monety.

Poszedł.

— Nie ma go, nie ma, nie ma!

Ewa marzy. Kombinuje, kłamie, obmyśla niestworzone historie, składa na poczekaniu ambaje, chwytą z przestworza duby smalone i odrzuca jako nieodpowiednie. Jeżeli jej ten dureń nie przyjmie? Co wtedy robić? Jak wtedy postąpić?

— Pan redaktor prosi.

Gabinet redakcyjny. Stosy piśmideł wszelkiego rodzaju. Wycinki, notesy, czerwony ołówek. Kurz. Nuda. Kołatanie ściennego zegara...

Usiadła na fotelu obok biurka. Poprawiła włosy, bluzkę, wysunęła bucik w taki sposób, żeby go pan redaktor spostrzegł od razu i nie odprawił z kwitkiem. Marzyła wówczas:

„Łukaszu, przyjdź, Łukaszu...”.

Czekała w rozterce, w dreszczach, wśród kąsających i tkliwych obaw — pięć minut, dziesięć, kwadrans.

Nareszcie otwierają się drzwi.

Redaktor, z grymasem gniewu, zakładając na nos binokle, ukazuje się jak Wotan wśród ogniów górskich.

Ewa spostrzeża to podstarzałe, ślepnące, łysiejące, na poły bezzębne, wiecznie na pniu podcinane przez „wrogów” megalomaniactwo. Twarz jak stronica zadrukowanej bibuły, dostojne oblicze, zszarzałe wśród szpalt, „zasad”, plotek, oszczerstw, korekt i knajpianego dymu. Ironia, wyniosłość, cmokanie dziurawymi zębami, pochrząkiwanie, idące zarówno z niezgłębioności intelektu, jak i ze „stłumionych wierzchołków”. Ale nawet te lubieżne plotkarskie oczy, zupełnie godne binokli w złotej oprawie — spostrzegają. Na zmiętej twarzy maluje się rozmarzenie i romansowiczowskie zainteresowanie: — Początkująca literatka?...

— Czym mogę służyć? — mówi redaktor ozdobnym szeptem, wśród zgniłych uśmieśnięt, pełnych obietnic sięgających jak można najdalej.

— Raczy pan redaktor darować, że osmieliłam się zabierać jego czas, tak *dla nas* drogi. Ale sprawa wielkiej wagi... Zmusiło mnie to do śmiałości...

— Proszę uprzejmie — mówi z dobrocią potentat, kierownik opinii, zajmując nie tylko właściwą, lecz i taką pozę w bajecznym krześle z poręczami, ażeby najmniej było widać talerz łysiny.

— Jestem studentką z Paryża...

— A... bardzo mi przyjemnie...

— Wracam właśnie z wakacji z powrotem na studia. Mamy jechać w kilka osób. Jedna z koleżanek poświęciła się specjalnie antropologii. Pracowała już dawniej pod kierunkiem pana Niepołomskiego. Właśnie ta koleżanka, która została jeszcze na wsi, poleciła mi dowiedzieć się, gdzie obecnie znajduje się pan Niepołomski. Miał i on obecnie jechać do Paryża... Szukałam adresu tego pana na wszystkie strony i nie mogłam dowiedzieć się nigdzie. Nareszcie poradzono mi, żeby się udać do szanownego pana redaktora, trzymającego dłoń na pulsie naszego naukowego życia...

— Niepołomski — mówi redaktor, sięgając po mały notes z półeczki biurka — Niepołomski mieszka obecnie... Zaraz... litera *N*.

Ewa zatopiła oczy w podłódze, tuż obok dyskretnie ukrywanego pantofla władcy. Czekała z miną obojętną, wśród loskotu serca, które biło jak alarm wiejski w czasie pożaru.

— Niepołomski mieszka — aha — we wsi Zgliszczka, gubernia lubelska, stacja pocztowa Puławy.

— Pan Niepołomski ma własny majątek? — pyta Ewa niskim, obojętnym i zimnym głosem, notując sobie w myśli każdy wyraz, każdą sylabę, każdą literę.

— O, nie, nie! Uczony, literat polski — i własny majątek. Łaskawa pani zepsuta jest przez stosunki paryskie. W naszym społeczeństwie — Boże drogi! Niepołomski jest po prostu nauczycielem w domu hrabiego Szczerbica, znanego dziwaka. Kształci dwu podrosłych hrabiczów w umiejętnościach różnego rodzaju.

— Wobec tego należy chyba przypuścić, że za granicę nie pojedzie i że moja koleżanka niepotrzebnie na niego czeka, a ja niepotrzebnie trudziłam pana redaktora.

— Boże drogi! z największą gotowością, z całym, proszę wierzyć, zapalem... Czy Niepołomski pojedzie do Paryża? Nie wiem tego, ale można by napisać. Był tu niedawno, lecz nic o tym nie wspominał.

— Był w Warszawie? Doprawdy? Jaka szkoda!... Można się było porozumieć, kiedy za pomocą listów... Nam się śpieszy bardzo. Czy dawno był ów pan Niepołomski?

— Był tu jakieś dwa tygodnie temu. Tak, jakieś dwa tygodnie temu... Ale wpadł tylko na chwilę. A pani co studiuje, jeśli wolno zapytać?

— Medycynę... — mówi Ewa, połyskując prześlicznymi oczyma, co wielkiego redaktora przyprawia o niepokojące wzruszenie.

— Prawda, mam list od Niepołomskiego... Zapomniałem. A coś on tam wspomina. Przepraszam, gdzież to ja mam ten list? Drukowałem w ostatnim numerze pisma artykuł, nawet wcale, wcale niezły artykuł z zakresu antropologii. Gdzież ja mam ten list?

Redaktor przewracał stosy swych papierów. Znalazł nareszcie.

— A, jest. Coś tu wspomniał, na co nie zwróciłem uwagi.

Przebiegł list oczyma.

— A więc dobrze się składa. We środę wieczorem Niepołomski będzie w Warszawie. Przyjedzie, jak pisze, na krótko wieczornym pociągiem, a nazajutrz rano wyjedzie z powrotem. Ma być u mnie.

— Więc... we środę... wieczorem? To bardzo dobrze. Można będzie zobaczyć się z nim i umówić. Wieczornym pociągiem kolei nadwiślańskiej.

— Tak jest.

Uprzejmym ruchem redaktor odszukał książeczkę z rozkładem jazdy, wynalazł odpowiednią stronicę i rubrykę i głosem zachwycająco, aż do omdlenia grzecznym wygłosił:

— Siódma dwadzieścia. Jeżeli pani życzy sobie, gotów jestem poinformować Niepołomskiego o sprawie, gdy do mnie przyjdzie. A może pani tu zechce odbyć z nim konferencję. Redakcja nasza jest do dyspozycji dla naszych dzielnych pionierek wiedzy. Ja sam...

— Dziękuję, uprzejmie dziękuję. Zakomunikuję łaskawą greczność pana redaktora koleżankom. Naturalnie, że najlepiej im będzie tutaj zobaczyć się z panem Niepołomskim. Na wszelki wypadek zanotuję adres. A więc: Zgliszczka — pisała Ewa literami, które miały się na wszystkie strony — gubernia lubelska, poczta Puławy, dom hr. Szcherbica.

Za chwilę podniosła się z uśmiechem. Redaktor miał możliwość ujżenia niezwykłych oczu. Oczu tych niepodobna by było za pomocą sztuki malarskiej przypomnieć, nie można by muzyką wyrazić. Jaśniały na wysokościach duszy jak gwiazdy w ciemnym niebie.

Niemal całkowite cztery dni.

Trwały te dni bez końca, były nieprzebyte w swej długości, a zawarły się w nich epoki dziejów serca.

W ciągu tego czasu Ewa załatwiła mnóstwo spraw biurowych za siebie, kolegów i koleżanki, odbywała po południu wielkie spacerunki do Łazienek, w kierunku Czerniakowa i w kierunku Woli. Pomimo wszelkich wysiłków nie mogła zabić, zepchnąć tych dni. Ulgę sprawiała noc i twarde jej sny. Sny te były daleko bardziej rzeczywiste niż rzeczywistość.

Światy ukazujące się tam były miejscem pobytu odpowiednim dla duszy tęskniącej, duszy cierpiącej, były jej kwietnym ogrojem, jej ojczyzną i ziemią.

Rzeczywistość dnia osłonięta była welonem senności, kurzem gęstym i nieprzenikliwym. Dusza tęskniąca nic prawie nie mogła zrozumieć z tego, co się działo naokół i była obca najzupełniej na tym świecie.

Jak potok z tamtej krainy, z ojczyzny snów, płynęły myśli w tajemnicy zrodzone, nieprzerwanymi falami przez dzienny świat. Były to myśli samotne, niezależne, poddane władzy sił nieznanych zgoła i dlatego dziwnie nieliczące ze wszystkim. Częstość wiadomo skąd wypływały słowa:

Modrą wstążką po żółtym piasku cicha rzeczka płynęła...

A ponad tymi słowami, jak czarne motyle, a może jak błękitne, przejrzystoskrzydłe łątewki, snuły się troski i nadzieje:

— Dokąd popłynie ta woda, dokąd popłynie? Czy popłynie do Tarpejskiej Skály, czy popłynie na jasną łąkę, gdzie „żółte jaskry i koniczyna różowa”?

Przechodziły długie godziny głębokich dociekań, jakim sposobem się to stać mogło, że powzięła wiadomość o adresie Łukasza? Dlaczego się to stało?

Usiłowała odgadnąć, czy nie będzie szczęścia za dużo, jeśli go ujrzy. Czy nie wystarczy to szczęście, które jest? Czy złe moce, duchy ciemności, co ją trzymały w więzieniu przez

miesiący tyle, nie wybuchną zemstą na nowo? Dochodziła do niezgłębionego urwiska: czy pójść we środę na kolej? Żyła w takim postanowieniu godziny długie, mordercze, aż do nowego kłębu postanowień. Tymi myślami, jak biedny ślepy robak systematem macek, zbadala swą dolę wzdłuż, wszerz i naokoło. Przeszła wszelkie możliwe kombinacje zdarzeń, obejrzała wszelkie wypadki. Nad najbardziej bolesnymi przypuszczeniami dumiała w ciągu godzin i mocowała się sercem z najbardziej srogimi ciosy. Wiedziała już, co przyjdzie uczuć, gdy Łukasz nie przyjedzie, wiedziała również, co będzie z nią, jeśli się okaże, że ta cała informacja redaktorska była omyłką, nieporozumieniem, niedokładnością.

Wiedziała, co czynić i jak żyć, jeśli Łukasz nie zechciałby z nią mówić i gdyby uciekł. Wiedziała to wszystko.

„Jak to pospolita rzecz — mówiła samej sobie — jestem zakochana w tym panu. Ja jestem zakochana? Ja jestem? Czyliż to możliwe? Czyż to jest miłość?”

Ostatniego dnia, we środę, zaszła najdalej w pracy duchowej, bo aż do kategoriycznych postanowień, jak się zachować. Nie wiedziała, rzecz prosta, czy tego dnia i tego wieczora nie wypadnie jej umrzeć... Wiedziała jednak, jak ma się zachować.

Postanowiła nie ukazać się Łukaszowi. Wytargowała na złych duchach tyle, że niejako zgodziły się na to, żeby go z dala ujrzała. Tak też wobec siebie na to przyzwoliła.

Zobaczy go z daleka, z daleka... Czegóż jeszcze? Wie, gdzie on jest. Czyż to mało? To już wszystko.

Gdy minęły godziny biurowe i zaczęło się odwieczrze, Ewa dla uspokojenia się fizycznie, dla uciszenia zupełnego nerwów, wzięła bardzo gorącą kąpiel. Powróciwszy z kąpeli do domu, poczęła ubierać się jak na śmierć. Włożyła najczystsza, najpiękniejszą, pachnącą bieliznę i najlepsze a najwytworniejsze swe suknie.

„Należy mężnie żyć i wspaniale umierać...” — mówiła sobie wciąż, czesząc cudowne włosy i wdzwiewając jedwabny stanik. Była gotowa na jakie dwie godziny przed terminem, przed ową godziną straszną i cudną.

Nie wychodziła jednak z domu. Pomimo kąpeli była niespokojna. Tarła wciąż ręce. Zapominała. Gubiła rzeczy i myśli. Przez głowę i jakby przez włosy wiały wciąż dreszcze. Tłukła się w ścianach jak motyl w skrzynce blaszanej. Padał jesienny deszcz. Dzień był ohydny.

Krażyły nad ziemią czarne chmury, powłóczyste widma niedoli, głodu i śmierci. Błotne kałuże stały na brukach, a ohydne, ciemne strumienie sączyły się w ściekach. Drzewa pod batem wichru i deszczu sypały na ziemię poczerniały liść, który nogi ludzkie wdeptywały w ziemię. Pnie i konary były oniemiałe, jakby pogrążone w lęku i spodleniu. Park, przez który Ewa dopiero co biegła, ogłuchł, oniemiał, zestarzał się i znikczemniał. Szyby w oknie wciąż i wciąż popłakiwały, zamazane długimi smugami...

Na trzy kwadranse przed nadejściem wiadomego pociągu Ewa wdziała na ramiona krótki i lekki syberynowy<sup>63</sup> paltot i otoczyła czarny kapelusz czarną, gęstą wualką, jak maska. (Wualka miała u dołu szlak, niby ów pas na sukniach żałoby). Ogarnęła okiem raz jeszcze swój pokój — i chyłkiem wyszła z domu. Biegła szybko popod murami do stacji tramwajów. Tam wyróżniła z trudem znaki idącego na dworzec nadwiślański i rozjeżdżawszy się starannie, czy jej kto nie śledzi, wsiadła z pośpiechem. Tłok, który ją otoczył, gwar rozmów, widok osób biegnących po zalanych chodnikach, równych tafłach betonu, lśniących od światła chwiejnych płomyków gazowych w latarniach — wysoko pouginanych kobiet, mężczyzn schylonych pod parasolami — wszystko sprawiało na niej wrażenie jeszcze bardziej podniecające. Jak wracać wśród tego wszystkiego, jeżeli nie przyjedzie? Oto pytanie.

Była jak w gorączce, w ciężkim ucisku mocy ciała. Nie była zupełnie pewna, dokąd jedzie i jakie jest jej uczucie: czy to radość, czy rozpacz? W pewnej chwili uczuła, że ona sama i wszystek ten tłum spieszny, leci i gna na Powązki<sup>64</sup> i że tam wszyscy stłoczeni, dusząc się i mordując, runą w nieoczekiwaną, szeroko rozwartą paszczę ziemi. Szczególnie, kiedy flegmatyczny tramwaj miarowymi ruchy przemierzał długość dzielnicy Nalewkowskiej, kiedy cienie nóg przecinających lśniące tafle chodników stały się gęste jak sieć a szybko

<sup>63</sup>syberynowy — wykonany z syberyny, tj. grubej, gęsto tkanej i bardzo ciepłej tkaniny wełnianej, popularnie używanej w XIX i na początku XX w. do wyrobu jesiennych i zimowych okryć wierzchnich.

<sup>64</sup>Powązki — popularna nazwa najstarszego istniejącego cmentarza w Warszawie; ogólnie: nazwa terenu na styku dzielnic: Żoliborza i Woli, na którym znajdują się cmentarze: katolicki, żydowski i ewangelicki.

jak od drgawek, Ewę obkoczyły setki pytań: co robią ci ludzie, czemu tak drżą i po prostu szaleją w swej pracy? I odpowiadała sobie, że zaiste na pytanie o życiu nie może odpowiedzieć nikt, bo odpowiedzi jest miliard, a na pytanie o śmierci odpowiedź jest jedna i dać ją może każdy człowiek. Śmierć jest zgnicie w ziemi, przemiana ciała i sukien w gnój, w cuchnący gaz, w ów straszliwy zapach Powązek, który była raz tam poczuła w upalny dzień majowy.

Nagle spostrzegła, że tramwaj wolno zawraca w kierunku dworca, a wkrótce ujrzała ciemność szczego pola. Już zeszła noc. Noc pełna wichru i siekących smug wody, noc pełna złowieszczych pojęków w pustce nadwiśla. Noc strachu lecącego polem-pustkowiem. Oto teraz ciemne powrosła, bolesne witki ostatnich pytań opasały mózg: jak też tędy będzie wracała?

Spojrzenie w ciemności życia, szybkie jak błyskawica. Ściśnienie serca trwające długo. Ściśnienie niebolesne, jakoby pieszczota nieskromna rąk cudzych, rąk wstrętnych, których nic nie odrzuci. Ciało przepasał pas dreszczów, a włosienica kłujących lęków pokryła duszę. Lęki drobne i cienkie jak włosy — dookoła, dookoła... Chwila męstwa i znowu ściskanie.

Tramwaj stanął. Ewa wyszła i w gronie ludzi nieznanym znalazła się w sali klasy drugiej. Ale natychmiast wybiegła stamtąd. Martwe spojrzenia osób siedzących osaczyły ją nieznośnie. Lepiej się czuła wśród zgielku tragarzów<sup>65</sup>, loskotu rzeczy znoszonych, turkotu zajeżdżających powozów, świstów lokomotyw, dzwonięń kolejowych i tramwajowych. Wśliznęła się poza gromadę portierów w kapotach rozmaitej a coraz głupszej barwy, którzy uszykowani w szereg, stanęli na ukos przez całą szerokość ogromnej sali.

Zajęła framugę okienną tuż obok kasy, w owej chwili nieczynnej, przywarła do ściany. Jakieś bolesne, zapomniane wiersze, jęk nieznanego poety, przepływają przez duszę, jak wzdychanie wiatru przez różgi nagiego drzewa w ciemności pól:

Na jakieś bezbrzeżne, szalone odmęty  
Z pogodą na czole popłynę.  
I zanim mię wir ten pochłonie przekłęty.  
Zaśpiewam, konając, słoneczny hymn święty...

Ruch, zamęt. Ludzi coraz więcej, pośpiech coraz gwałtowniejszy. Bieganina posługaczów, krzyki, płacz dzieci. Powozy zajeżdżają. Słychać trzask ich kół. Padają ciężary, stękać ludzie dźwigający. Słychać czyjś krzyk rozpaczy: — o Boże! — Ewa czuwa. Wszystko słyszy i wciąga w siebie, śni jej się złuda, że to z jej piersi jęk głośny wybiegł przed chwilą. Teraz po cichu niestrudżonymi palcami odplata zwoje żmii, co okręciła serce i żywą z niego krew wysysa, wysysa.

Wtem loskot ziemi. Ściany głucho oddają ciosy. Pociąg. Drzwi rozwarło. Portierzy zaczęli głośno, miarowo, wyraźnie wykrzykiwać nazwy hotelów. Poczyna sunąć korowód ludzi. Rzecz tak zwykła wydaje się być Ewie jak straszne, tajemnicze misterium. Wlepiała oczy w idący tłum. Na każdą twarz padają jej oczy z przekleństwem, z okrutną grozą, z haniebnymi klątwami tragarzów, którzy są dookoła, ze stękaniami potężnych chłopów. Twarze obce, obce, obce! Krzyk w sercu: „nie ma!”. Wzniosły, ohydny i niezwalczony widok posługacza, który przysiadłszy na ziemi zadaje sobie pasami na plecy kufer i nie może go dźwignąć. I oto nagle buchanie niepowstrzymanej niczym rozpaczy, paroksyzm żalu, egzekucja, łamanie kołem duszy. Świat powleka ciemność śmiertelna. Ciało drży. Śmierć duszy... Nie przyjechał.

Wtem! Tam daleko. Jeszcze za szybą, na peronie, w błysku latarni. Ucieleśniony sen... On! Ujrzała we drzwiach! Trismegistos!

Szedł szybko.

Od głowy, jakby z ran, z otwartych lancetem żył, ścieka zimna krew aż do stóp. Do palców nieruchomych nóg płynie, co przywarły do ziemi jak ciężary tysiącpudowe.

Szedł szybko, mijał portierów z grymasem zniecierpliwienia. Na lewej ręce przewieszony pled, w prawej walizka. Oczy Ewy przywarły. Idą za nim. Znikł we drzwiach, w ciemnym lochu dziedzińca...

<sup>65</sup>tragarzów — dziś popr.: tragarzy.

„To już po wszystkim... cicho — cicho...” — szepcą wargi białe jak kreda do serca bijącego boleśnie. — „Przysięgam sobie. Słowo honoru sobie dałam...”.

I znowu w smutku niestrzymanym:

„To już i wszystko...”.

Wolnymi krokami wyszła przez rozwarte drzwi. W siekącym deszczu, w mroku latającego ognia latarni. Krzyk i klątwy dorożkarzów<sup>66</sup>. Wynurzają się to łby końskie z pyskiem rozwartym przez szarpane wędzidła, z wywalonymi jęzory<sup>67</sup> i strasznymi ślepiami, to tuż-tuż lśnią żelazniwa wzniesionego dyszla, dzwonią brzękadła chomąt. Wrzask nieznośny wywoływanych numerów, klątwy, nazwy ulic, turkot powozów, grzmot ciężki omnibusów — pochłaniają zgubione szepty nieszczęśliwych warg: „Łukasz, Łukasz...”.

Oczy rzuciły się w ciemność. Zdało się, że między dorożkami dojrzała ciemną sylwetkę. Chciała trafić do swego tramwaju, zdążyć na czas... Przemykała się między końmi, wśród latarni i kół, w tamtą stronę...

„Raz jeszcze spojrzeć, duszo moja!... Raz spojrzeć!...”. Nie! Już przepadł. Nie ma już nigdzie.

Ciemność... Szloch... Potrafił ją policjant nastając, żeby odeszła. Krzyczał na nią jakiś stangret. Ktoś klął haniebnymi słowami. Zaczęła w pośpiechu wycofywać się, żeby iść w innym kierunku. Trafić tylko do tramwaju. Usiąść... Zimno!

Ktoś zawołał tuż za nią:

— Numer 2326!

Zadrżała i skuliła się wpół. Myśl:

„Jego głos...”.

Konie biegną wprost na nią. Latarnie powozu oświetliły jego twarz. Uskoczyła w bok, żeby iść, żeby uciekać! Szept honoru: „przysięgam!”.

O krok od niej przesunął się wsiadając do powozu. Wtedy, nie panując nad sobą, w spazmie rozpaczki, krzyknęła z cicha:

— Łukasz, Łukasz!

Wypadł z powozu. Twarz jego widać w przelotnych blaskach. Porwał ją za ręce, za ramiona. Olbrzymie jego oczy ze zgrozą patrzą w jej twarz. Tuż-tuż! Szept w straszliwym uniesieniu:

— Ewunia!

Wciągnął ją, wrzucił półmartwą do powozu. Cisnął dorożkarzowi jakiś rozkaz. Głowa jej w miękkim wgłębieniu powozu. Zmartwiałe wargi pod jego wargami. Serce łomocze pod jego sercem.

Czy to już dobrotliwa śmierć, czy jeszcze życie?

Po setny, tysięczny raz jego usta, kiedy się oderwą, w paroksyzmie trwogi i szczęścia szepczą<sup>68</sup>:

— Ewunia!...

Koła powozu na gumowych obręczach zdają się nie dotykać ziemi. Lecą, lecą, lecą wśród bryzgów wody ulicznej. Łagodny ruch, cichy, ostrożny, miarowy łoskot, jak gdyby tętno wszystkich rzeczy na ziemi... Skórzany fartuch chroni od deszczu, buda powozu od wichru i ludzi. Lecą, zda się, powietrzem, nad ziemią i ludźmi, w czarną rozkosz nocy. Usta szukając jej ust trafiają na szorstką wualkę i usiłują rozedrzeć tę przeszkodę nieskończonymi pocałunkami. Ręce nie ośmielają się wznieść, żeby ją usunąć.

— Po coś to zrobił? Dlaczegoś ode mnie uciekł? — szepcą oniemiałe, bezsilne usta.

— Cicho, cicho.

— Po coś to zrobił? Dlaczegoś wówczas napisałeś straszny list?...

Nieskończony błysk oświetlonych tafeli okiennych, sznur latarniany... Biegną zmoczeni ludzie. Nieskończony korowód. Snują się za oczyma, jako chichot złego ducha. Ewa nie mogła mówić ani słowa. Czuliła wszystko, lecz nie myślała. Pragnienie było spełnione. Czara szczęścia po brzegi nalana. Toć to jest powrót... Nagroda za wszystko, ale jak bezbrzeżnie szczerda! O Boże, Ty, który wszystko wiesz!... Miała jego usta na ustach. Teraz już tylko skończyć to życie. Upojenie bez miary...

Wtem powóz stanął.

<sup>66</sup>dorożkarzów — dziś popr. forma D.lm: dorożkarzy.

<sup>67</sup>z wywalonymi jęzory — dziś popr. forma N.lm: (...) jęzorami.

<sup>68</sup>szepczą — dziś popr. forma: szepczą a. szepcą.

Łukasz ocknął się, z westchnieniem podniósł głowę.

— Co to jest? — spytała boleśnie.

— Już hotel.

— Co za hotel?

— Ja tu będę nocował.

— Ach, prawda!

— Już tu raz byłem. Przyjechałem do Warszawy chodzić pod twoimi oknami w nocy.

Widziałem twój cień przez szybę.

— Ja mieszkam w twoim pokoju...

— Ewuś!...

— Cóż teraz będzie?

— Muszę tu zostać.

— A ja? Cóż teraz będzie?

— Nie wiem. Czy wrócisz do domu?

— Wrócę, oczywiście... Tak, oczywiście, wrócę do domu. A ty?

— Ja tu zostanę.

— Ale jutro? Co jutro?

— Jutro rano odjadę stąd na wieś.

— Do Zgliszcz?

— Skąd to wiesz?

— Wiem.

— Skąd to wiesz?

Cicho, krótko zapłakała. Stłumiwszy jęk rzekła:

— Wszystko jedno! Muszę ci powiedzieć te wszystkie rzeczy, muszę powiedzieć! Gdzie ci to powiem? Antropologia jest to śliczna, prześliczna nauka! Mój Boże! jeśli znowu przepadniesz...

Milczał z oczyma wlepionymi w jej twarz. Wreszcie wyszeptał:

— Chodź ze mną...

— Dokąd?

— Wezmę numer w hotelu. Będziemy sami z godzinę. Później pójdziesz do domu.

— Doskonale! Bierz ten numer, zamawiaj! Tylko prędko! Ja tu cierpliwie poczekam.

Znikł w bramie hotelowej. W chwili jego nieobecności, wbita w kąt powozu, myślała: „Prawda, że to ja z nim... w hotelu... A niech wiedzą, niech wiedzą! Niech się nacieszą!”.

Zacisnęła pięść i biła w próżnię jak w paszczę wroga. Za chwilę Łukasz wrócił. Wręczył dorożkarzowi należność, Ewie podał ramię i szybko, co tchu wprowadził ją w bramę i na schody. Idąc po marmurowych stopniach wysłanych pąsowym dywanem mówił:

— Zamelduję cię jako swoją żonę...

— Tak, tak zamelduj!...

— Mam przecie paszport, opiewający, że posiadam żonę. Nawet i ten przeklęty paszport na coś się przydał.

Zaśmieli się w głos obydwójce. Ewa szła jak we śnie. Śmiała się w weselu duszy, idąc cichym korytarzem rozkoszy. Otworzył jakieś drzwi. Byli sami. Wszedł służący i zabrał paszport. Jakieś dalekie, stłumione odgłosy. Huk miasta przyciszony, miły, senny. W niedalekiej rynnicy plusk deszczu miły, senny. Wszystko to jakby przecudowna uroczystość. Dom ten — to niedostępna świątynia. Jakie to wszystko mądre i doskonałe! Są tu sami... Usiadła w aksamitnym fotelu. Blask świecy padał na twarz Łukasza. Ujrzała jego oblicze nie swoim własnym wzrokiem, lecz wzrokiem miłości. Wąsy, mała broda. Włosy z boku rozczesane... Twarz schudzona i poczerniała. Oczy dziwnie otwarte, głębokie, pełne tajemniczej niepewności. To Łukasz! Ten żywy człowiek to już nie sen, nie marzenie, nie tęsknota, lecz Łukasz! Cóż za przedziwne uczucie, jakie zdumienie! Taka rozkosz! Taka cisza! Taka w duszy jasność! Można wyciągnąć rękę i dotknąć ręki nie obcego człowieka, lecz Łukasza! Powiedzieć: „przyjdź!” — i przyjdzie! Już nie uderza w serce sztylet pustki. Można podnieść oczy i ujrzeć jego oczy. Ach, całować jego usta! Jak on pachnie!

Stanął po drugiej stronie stołu i szeptał do siebie, patrząc jej w oczy, jakby jej wcale nie widział:

— Ἐμοὶ δὲ αἱ μεγάλαι εὐτυχίαι οὐκ ἀρέσκουσι ἐπισταμένῳ, ὡς ἐστὶ φθονερόν<sup>69</sup>...

Głos ten był cichy i senny jak szmer deszczu, jak dalekie tętno życia miejskiego. Głos półbolesny, półradosny, jakby nie jego głos, lecz nabożny werset kapłana. Ewę ogarnął nerwowy śmiech.

— Nie przy nas pisane... — mówiła kokieteryjnie, składając ręce i na bok przechylając głowę.

— Tak, nie przy nas, dawno pisane... To pisał Amasis, faraon egipski, do tyraana Polikratesa. Taki był tyran na wyspie Samos, Polikrates... Człowiek dawny, przedwiekowy, który kochał sztukę i rozkosz. Przywarły słowa do mózgu od chwili tłumaczeń na szkolnej ławce trzeciej księgi Herodota. Tam są przedziwne mądrości! Nigdy o tym nie myślałem i dopiero dziś...

— A co znaczy? Czy ciemna białogłowa może wiedzieć cokolwiek z takich morowych Herodotów?

— To znaczy... Ewo! To znaczy, że „boskość” jest zazdrosna. Znaczą te słowa, że wielkie szczęście, zbyt wielkie szczęście... jakoweś Θεῖόν<sup>70</sup> — złe czy dobre — jest zazdrosne! Należy tedy wyrzec się zbyt wielkiego szczęścia, ażeby zazdrosne bóstwo nie wydarło mi ciebie. Bo ów człowiek najszczęśliwszy, Polikrates, był później przybity do krzyża na górach Mykale, on, któremu śpiewał Anakreon... Przybity do krzyża, patrzył gasnącymi oczyma na kraj swój, na siedlisko swojej rozkoszy, na wybrzeża ukochanych Jońskich Wysp, na świątynię Neptuna i na dalekie, mgliste góry Azji...

Gdy to mówił szeptem, jakby najgłębszą tajemnicę, ją ogarnęła bezbożna wesołość, drwinka pusta i lekkomyślna, nastrój, którego mniej by się mogła teraz spodziewać niż śmierci. Coś z zewnątrz zadało jej pytanie: Czy też szczęście tyle jest warte, ile kosztowało? Dowiedzieć się! A co, ile szczęście kosztowało, przemierzyło się w mózgu i odpłynęło stroną daleką, okolicą, jak grzmot wiosenny... Wraz nasunęła się niemal pewność, że ta potworna myśl sprawdzenia nie wylęła się w mózgu, lecz jest na zewnątrz, wisi postronnie, jak uśmiech zdjęty z czyichś szyderczo skrzywionych ust, jak wzrok ohydnie przymkniętych oczu patrzący prosto w mózg.

Łukasz stał wciąż nieruchomo po drugiej stronie stołu. Był jak zziębnięty czy chory. Zacierał ręce. Oczy jego zatapiały się w oczach Ewy lękliwie, stopniowo, chyłkiem. A twarz jej stawała się powoli więcej niż piękną, więcej niż uroczą, przeistoczyła się w samo piękno, stała się tym, co budzi i żywi miłość i co się w miłość zawiera. Niechętnymi, bezwolnymi krokami zbliżył się idąc po dywanie. Usiadł na krzeselku tuż obok. Później naprzeciwko... Pragnęła, ach, pragnęła, żeby bliżej... Ale nie ważyła się prosić. Czują, że gorący rumieniec pali jej twarz i jeszcze bardziej wstydziła się tego rumieńca. Słowa zamarły i znikły. Suknie dotknęły jego kolan. Czoło się chyliło ku czołu. Pachną włosy. Oczy jej objęły go, oczy błękitny obłok, oczy najcudowniejszy żywioł ziemi. Jak długo trwało co wzajemne zaśnień, owa zupełność i doskonałość szczęścia? Godziny czy minuty? Siedzieli z dala od siebie, stopieni w anielski byt.

— Ty jesteś... szczęście — powiedział cicho.

Uśmiechnęła się zza smutku, tak samo, jak niegdyś uśmiechała się ku niemu podczas majowych nabożeństw zza czarnej wualki.

— Czy naprawdę jestem dla ciebie szczęściem?

— Naprawdę. Przysięgam!

— Jakże to miło słyszeć! Jak miło...

— Ty jesteś boska radość...

— Bardzo dużo przecierpiałam.

— I ja.

— Dlaczegoż to zrobił?

— Musiałem.

— Raz czytałam... O jednym zdarzeniu.

— O jakim zdarzeniu?

— Że tak w hotelu wypili we dwoje jakiś tam kwas...

<sup>69</sup>Ἐμοὶ δὲ αἱ [σαὶ] μεγάλαι εὐτυχίαι οὐκ ἀρέσκουσι ἐπισταμένῳ, ὡς [τὸ Θεῖόν] ἐστὶ φθονερόν (gr.) — nie cieszy mnie wielkie szczęście (wielkie sukcesy), wiem bowiem, że zagraża mi zazdrosne bóstwo; por. Herodot, *Dzieje*, t. III, 39 (40); historia o pierścieniu Polikratesa tyraana wyspy Samos, z listu Amasisa do Polikratesa.

<sup>70</sup>Θεῖόν (gr.) — Theon (Thejon); bóstwo.

— Nie! Jadę do Rzymu.  
 — Kto, kto jedzie? — szepnęła blada jak trup. Powtórzyła to pytanie kilkakrotnie, jękając się i dusząc sylabami.  
 — Pożyczam pieniędzy od moich hrabiów i jadę do Rzymu. Mam duże szanse, że tam rozwód wyrobię.  
 — Czy podobna!?  
 — Wyrobię.  
 — W Rzymie wyrobisz?  
 — W Rzymie.  
 — Kiedy?  
 — Za jakie dwa, trzy miesiące.  
 — A kiedy wrócisz?  
 — Wróć, wróć! I już na wieki...  
 Znowu począł głosić miłą prawdę:  
 — Ty jesteś szczęście!  
 A później pod najgłębszym sekretem i najbardziej cichym szeptem:  
 — Jesteś bardzo piękna...  
 Wstała ze swojego miejsca. Patrzyła na niego z tajemniczym a nowym uśmiechem. Nigdy jeszcze takiego nie widział.  
 Była cudowna. Wicher w mózgu... Straszna wola rozkoszy.  
 Włosy przybrały same szczególną postać i nadały głowie wdzięk niewysłowiony. Jedno złotolite pasemko osunęło się na policzek. Chciała odgarnąć. Poprosił oczyma i błagalnym skinieniem ręki, żeby zostawić tak, jak jest. Wtedy uśmieszek i nowa zorza wstydliwego rumieńca pod tym pasemkiem.  
 — Ewo — rzekł — już musisz iść...  
 — Prawda. Już muszę...  
 — Ósma godzina.  
 — Tak mi żal odchodzić. Strasznie dobrze u ciebie! Z tobą strasznie dobrze! Ach, jak jest z tobą...  
 — Będę pisał do biura. Idź teraz!  
 — Taka to gościnność...  
 Uśmiechnął się szyderczo. Ujrzała jego białe zęby. Wszystek drżał i tarł ręce. Twarz jego stopniowo stawała się surowa, szara, okrutna. Ewa złąkła się czegoś i stała przed nim pokorna. Z nagła łkanie wyrwało się z jej piersi. Oczy błagalne, na ustach słowa niedające się wyjawić:  
 — Nie opuszczaj!...  
 Krótki pocałunek, raczej szybkie muśnięcie ust ustami.  
 Narzucił paltot na ramiona. Prędko wyszli — pod rękę. Schody, brama. Ukłon portiera... Ciemnymi ulicami, po mokrych chodnikach, ciemnymi ulicami, wśród surowych kamienic — bez słowa, bez słowa... Przed bramą domu szybki, mocny uścisk ręki. Znikł w mroku, w wirze i deszczu.

\*

W końcu listopada Ewa otrzymała w biurze następujący list:

Szanowna Pani!

Przebywający w szpitalu miejskim p. Łukasz Niepołomski, na oddziale chirurgicznym, którego jestem kierownikiem, poleca mi prosić Ją o natychmiastowe przybycie. Chory ma płuco przebite kulą pistoletową.

Stan jego jest ciężki i niebudzący nadziei.

Z szacunkiem dr J. Wilgoński

Po krótkich ciosach pytań bez odpowiedzi, ogłuszających jak uderzenie łba stępy, po sofoklesowskim siepaniu się ducha Edypowego, który ciska w niebo pytanie boleści „*ω Ζευ, τι μου δεασαι*”<sup>71</sup> nastąpiła w Ewie osłepiająca jasność — owo „*ταδ ηδν διαφανη*”<sup>72</sup>.

<sup>71</sup> *ω Ζευ, τι μου δεασαι* (gr.) — o Zeusie, cóż mi uczyniłeś.

<sup>72</sup> *ταδ ηδν διαφανη* (gr.) — te oto jasności.

Wszystko się wyjaśniło. Bezbrzeżny zielony ocean nieszczęścia stoi przed oczyma i kołysze się w słońcu. Poprawiła włosy. Uciszyła się rozkazami woli.

Poszła niezwłocznie do gabinetu szefa biura z wystylizowaną naprędce prośbą o urlop. Gdy weszła do sanktuarium w porze nieodpowiedniej, przyjęło ją odpychające mocniej niż pięścią zimne spojrzenie.

Znała już do zbytku dobrze łysą czaszkę, śpiczastą siwą bródeczkę, oczy jesiotra i wargi notorycznego kata. Wyłuszczała prośbę o urlop w sposób trafny i spokojny. Długa twarzyczka władcy nie drgnęła.

Szef nie przestał palić papierosa, a właściwie nie zmienił przerw i dystansów w paleniu. Najsubtelniej skłamanie okoliczności, które przedstawiała, nie wpłynęły wcale na zmianę raz przyjętego za właściwy sposobu otrząsania popiołu o brzeżek brązowej popielnicy.

Mumia była nieczułą na wszystko, nawet na uśmiechy kobiece. Nierychła odpowiedź, odpowiedź bez skazy politowania.

— Pani żartuje!... Skąd urlop! Jak to! Dziś zaraz urlop? Czy pani nie zna przepisów?

— Panie naczelniku!

— Pani otrzymała w zeszłym roku urlop z pensją. Pani chyba żartuje, powtarzam to już drugi raz.

— Nie żartuję, panie naczelniku. Są to okoliczności tego rodzaju. Ciotka, która mię wychowała od urodzenia, jest umierająca. Ja muszę! Zgodzę się na wzięcie na moje miejsce zastępcy, na urlop bez pensji.

— Pani sobie żartuje. Powtarzam po raz trzeci.

— Przecież mam prawo do urlopu co roku.

— Ja przez dwadzieścia siedem lat nie brałem urlopu.

— Więc nie otrzymam nawet tygodniowego zwolnienia?

— Pod żadnym pozorem.

Wyszła z biura nie meldując się nikomu. Przede wszystkim wstąpiła do najbliższej cukierni i wypiła szklankę ohydnej herbaty w celu przejrzenia książki z rozkładem jazdy pociągów. Gdy powzięła wiadomość, że najprędzej może jechać dopiero za sześć godzin, udała się bez namysłu do starej Barnawskiej. Jak ptak wbiegła na schody prowadzące do mieszkania lichwiarki, schody, które w rodzinie zwały się schodami ciężkich westchnień. Ileż to razy chodziła tutaj po pieniądze na życie jeszcze wówczas, gdy była dzieckiem! Ileż to razy dźwigała daninę procentu, ile razy odnosiła znaczną część miesięcznej pensji swojej!

Zadzzwoniła. Nierychło rozległo się clapanie<sup>73</sup> pantofli starej Euryklei i nieufny głos:

— A kto tam?

Ewa wykrzyczała swe imię i nazwisko. Została wpuszczona. Przede wszystkim zdjęto łańcuch, później otwarto z klucza drzwi, wreszcie usunięto zatrząsk. „Ciocia” zajmowała dwa wielkie pokoje od frontu. Całe to mieszkanie było zastawione ślicznymi szafami, które przegradzały pokoje i tworzyły mnóstwo zakamarków. Ewa znała od dzieciństwa owe szafy przesłizane z mahoni, wykładane brązami, o szklanych drzwiach, tajemniczo zasłoniętych zieloną gładką<sup>74</sup>. Powitała oczyma znane miniatury, rozwieszzone po ścianach.

Miniatur było pełno. Stara jejmość była ich kolekcjonistką. Wydawała na to ogromne pono sumy. Wszystkie były oprawne w drogie ramy ze złota, z cennego drzewa, wykładane pięknymi ozdobami z brązu.

Były to przeważnie portrety pięknych kobiet i rzeczy miłosne. Ewa lubiła zawsze, przychodząc z interesami rodziców, w czasie spisywania przez starą wiedźmę pokwitowań, upajać się owymi malowidłami, pełnymi słodyczy i zmysłowej rozkoszy. Na niektóre miniatury stara nie pozwalała patrzeć, inne pokazywała sama z widoczną pychą i zadowoleniem.

Teraz widok tych scen kleszczami ścisnął serce. Skoro tylko stanęła w pokoju i objęła go zgasłym okiem, wynurzył się przed jej duszą miniony dzień młodości i przemknął — smutne widmo.

Księżniczka Vaughan... Ewa podniosła na nią oczy pełne łez i w tym spojrzeniu powierzyła okrutną tajemnicę swej duszy.

<sup>73</sup>clapanie — dziś: człapanie.

<sup>74</sup>gładsa — błyszcząca tkanina.

„Księżniczko, księżniczko! gdybyś wiedziała...”

Tamta patrzyła z uśmiechem radosnym, z zalotną swobodą, jakby chciała wyrazić pogardę dla cierpień.

— Miłość jest wszystkim... — zdawały się mówić jej czerwone usteczka.

Zza szafy ukazała się niespodzianie Barnawska. Ewa co prędzej przystąpiła do rzeczy. Szeregiem kłamstw misternie spiętrzonych udowodniła starej damie, że rodzina potrzebuje niezwłocznie stu dwudziestu rubli, a to w celu pokrycia (nieistniejącego) długu, który teraz miał ich jakoby doprowadzić do wyrzucenia z lokalu. Ponieważ Barnawska już wielokrotnie pokryła była długi starych pensją Ewy, nie opierała się teraz bardzo. Czyniła wstręty raczej dla zwyczaju i powagi lichwiarskiego stanowiska niż zasadniczo.

Skoro Ewa oświadczyła, że sama podpisze rewers, i zobowiązała się pokryć dług ze swej pensji, otrzymała żadaną kwotę wyświechtanymi trzyrublówkami, co uczyniło pakę formalną.

Uzyskawszy pieniądze wałęsała się po mieście aż do końca czasu biurowego — dla niewzbudzenia podejrzeń.

Wróciła do domu w czasie właściwym, zamknęła się w swoim pokoju i pakowała w małą walizkę najniezbędniejsze rzeczy. Wzięła wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Wieczorem, gdy już matka szła spać, a ojciec jeszcze z knajpy nie wrócił, wymknęła się z domu z walizką w ręku, wsadła w pierwszą dorożkę, dopadła dworca, kupiła bilet i pomknęła w dal.

Przytulona w drewnianym kącie trzeciej klasy, rzucona w gwar prostactwa, między chłopów i Żydów, obojętnie patrzyła w okno. Oczy nieruchome, utkwione... Mrok... Księżyc świeci, ale od chmur niewidno. Ów najgorszy na ziemi tyran, tłum obcy, kiedy serce rozdziera niedola. Smugi czarnych pól. Pola niezmierne... Pasy leśne... Polna, nieznaną łaska i cisza... Dobrotliwe samotnie i litosne pustkowie.

Głowa o drewnianą ścianę oparta słyszy żelazną melodię kół i szyn, a serce pojmuje żelazny głos złej godziny. Nieubłagany głos powiada, jak dokonywują się sprawy pomimo nas, pomimo nas... Powoli idą lub lecą szparko w dal, jedne z drugich wychodzą, jakoby ciała z ciał, koła się zazębiają za koła zębate, nie dbając przecie o to, że zmiażdżą zwyciężoną duszę...

Samotna, zwyciężona dusza jedna jedyna jest na tym świecie. Serce, jak mały biedny zajaczek od psów ogromnych, od chartów zaciekłych w olbrzymich zgonionych polach... Przypadło teraz serce, jako zajaczek przypada w kotlinie pod przykopą. Wicher nad nim żaloszny, a w wicherze głosy straszliwe pościgu. Lecz teraz jego krótka minuta pólśnu, spoczynek z otwartymi oczyma. Słyszczyć wszystkie głosy nieszczęścia, lecz piersi nabierają tchu do życia, do chyżego biegu w bezgraniczu pól. Subtelny niepokój nie leci światami, lecz w sobie leży. Siła jego dźwiga ciężką płytę zwierzęcego bytu...

Ewa pamięta wszystko, co było, i niemal widzi, co będzie. Doszła do stanu nieświadomości. Oczy, spod powiek przymkniętych ukośnie raz rzucone, leżą w szybie okna wagonu.

„Straciłam miejsce w biurze... — poziewając, bezdźwięcznie mówią usta. — Rzuciłam dom. Na zawsze, och, na zawsze... Już mię mama nie przyjmie. Tątko by może przyjął, gdyby się nie bał mamy i Anieli... Biedny tątko... Łukasz chory... Ma płuco przebite kulą... Któż to mógł zrobić, mój mocny Boże!...”

„Jeżeli Łukasz umrze... — marzyła bez bólu — trzeba będzie... o mocny, o mocny Boże!...”

Wspinała się na palce i dźwigała duchem. Przez wąską szczelinę między ściśle zwartymi zasłonami rzeczywistości widziała ową chwilę odległą, chwilę swoją i jego, w jakowymś brzasku dalekiego świtania. Widziała tam siebie jako cień idący poza zorzą w czarne pola. Tak niegdyś we śnie...

Późno w nocy ludzie się w wagonie pospali. Chrapanie, smród, kaszel jesienny. Konduktorowie<sup>75</sup> trzaskają raz w raz drzwiami. Jakieś ciemne stacje za spotniałą szybą. Chropowate budynki, szkielety drzew w czerwonym blasku latarni. Splątane badyle dzikiego wina z wiszącym tu i tam czerwonym liściem na ohydny, zadymiony murze budowli stacyjnej. Kosmyki te snują się i płaczą w oczach jak obraz widomy cierpienia samego

<sup>75</sup>konduktorowie — dziś popr. forma: konduktorzy.

w sobie. Wciąż ostry zapach węgla, wieszczący niedolę. Pociąg leci dalej, leci, leci. Głowa o ścianę żelazną oparta słyszy żelazną melodię...

Nareszcie szyba okienna stała się szara, szarobłękitna. Ewa starła z niej rosę i wyjrzała. Błada jutrznia rozwidniła się już nad zagonami, nad ciemnymi moczary. Któż by uwierzył — marzyła Ewa patrząc na potworne kępy rokicin, na czarne rozlewiska i rude role — że wy jesteście również cudownymi łąkami, że staniecie się różnobarwne jak sukienka Józefa, Jakubowego syna... Któż by uwierzył, że ten zgniły i obmierzły moczar będzie zalany od błękitu wód, będzie kwitł płomiennymi smugami jaskrów, będzie zachwycał kępami młodocianego sitowia bardziej niż najpiękniejsza muzyka. Zasnuje się mgiełkami wiotkimi dał, posępna dał, i nieskończone mazowieckie aleje ciągnąć się będą w oczach jak widzenie, a duszę wzywać we świat, w wędrowania dalekie — dalekie... Jakże się to dzieje, że śmierć może się stać życiem kwitnącym, a życie drżące i tęgie staje się śmiercią?

— Raz mówił mi Łukasz — marzyła dalej, oczy mając wlepione w rozkisły, obdarty, chory i półumarły krajobraz — że dzieje ludzkie są jak łąki i pola zbożowe. Gdzież się podziewamy wszyscy? Dokąd idziemy? Jesteśmy ścinani jak te łąki, zżynani jak te zboża, jesteśmy zjadani jak kłosy. I nie ma nas na tej ziemi, jak nie ma teraz traw ani zbóż...

Oto rzeczka. Żelazny na niej most. Łoskot pociągu lecącego nad próżnią. Kłęb białej pary nad rozciapanymi zagonami, nad szklistą w bruzdach wodą. Idzie kłęb pary po grzbietach zagonów jak zmore, wlecze się jako upiór ku niskiej wsi. Znowu wioska, wioszczyzna. Małe chałupy, drogi pełne bajorów. Tam człowiek brnie, wywlekając pracowicie buciory z grzędzawiska drogi. Oto tu ludzie mieszkają w tych budach oblanych gnojem i kałużami, troskliwie pilnując chlewów przy chałupach i gnojówek u progu obór. Wszędzie szkli się woda i zewsząd ścieka wilgoć. Serce przenika gnębiący smutek i niewysłowiona nuda owego ludzkiego życia, na którego obraz patrzą oczy. Przez mgnienie żrenicy na widok tej wsi, kisańcej w wiecznych brudach, widać z okrutną oczywistością, jak między ludźmi nie ma nic wspólnego, ani cienia pobratymstwa, jak nie ma między nimi nic prócz grzechu pożądlivości, grzechu umówionej napaści, legalnego złodziejstwa — i grzechu użycia złupionych bogactw. Jakieś słowo nieśmiertelnego poety, czytane dawno, wraca się wciąż jak natrętny przechodzień w ludnej ulicy, zaglądnący w oczy to z tej, to z tamtej strony:

Jedna jest i niezawodna twemu plemieniu — śmierć.

Śmierć!

Drga w całym ciele to słowo jak potężny cios, ścieka smagającymi dreszczami do stóp...

Świst przeciągły.

Ludzie się budzą. Konduktorowie biegają. Ach, więc to miasto!...

Wysiadła na stacji obmokłej od deszczu, weszła między ludzi zaspanych i zmarzniętych. Czuli się potłuczona i jak z połamanymi żebrami. Najęła dorożkę i kazała jechać wprost do szpitala. Łoskot owej dorożki w ciemnych i pustych ulicach... Miasto obce, nigdy niewidziane, obmierzłe i wstręt budzące.

W duszy spokój i ciche, kobiece, milczące męstwo. Chwilami, jakby ze szczeliny nieznanego ducha, wymknie się tajna modlitwa, żeby aby jeszcze zastać. Ale to krótko trwa. Nakazy co chwila, jak biczowanie ducha krnąbrnego: męstwo, milczenie, trzeźwa praca!

Szwajcar szpitalny przyjął ją jak najgorzej. Patrzył na nieumytą i nieuczesaną, w odzieniu zasypianym kurzem węglowym, jak na coś podejrzanego. Odwracał się plecami i nie chciał rozmawiać. Na szczęście nie był obojętny na blask srebrnych monet. Wyjawił tedy z kolei rzeczy przychylniej, że ów pan Niepołomski żyje, chociaż mu ta nie obiecują. Gorączka okropna, krew ustami... A że doktor Wilgościński przyjdzie dopiero o jakiejś dziewiątej. Co to jest takiego z Łukaszem, co za rana od kuli — tego nie chciał wyjawiać, a zapewne tak stanowczo nie chciał wyjawiać dlatego, że, sierota, nie wiedział.

Usłyszawszy, że Łukasz żyje, chociaż mu ta nie obiecują, że krew... Ewa zapłakała w ulicy, tyłem odwrócona, w sekrecie przed szwajcarem. Poprosiła też zaraz tego człowieka, żeby ją wpuścił, gdy przyjdzie o dziewiątej. Jakoś przyrzekł. Zostawiła tłumoczek i poszła tymczasem w ulice miejskie. Sklepy były jeszcze pozamykane. Trafiła na przecięciu zaułków na kawiarenkę, czyli „cukiernię”. Już tam zamiatano podłogi i wysypywano

Los, Kondycja ludzka,  
Natura, Przemijanie

Obraz świata, Grzech,  
Kondycja ludzka

je piaskiem, a nawet już goście spożywali śniadanie. Ewa zajęła miejsce w kącie i kazała sobie podać kawy. Jakoś na tę „kawę” skrzywiono się, wołała tedy poprzestać na herbacie. W pobliżu siedzieli dwaj panowie, nachyleni ku sobie i zajęci żywą rozmową. Ewa nie zwracałaby na nich uwagi, ale oni swoją zwrócili na nią w taki sposób, że musiała patrzeć i czuć.

Byli obadwaj<sup>76</sup> młodzi (mieli najwyżej po dwadzieścia kilka lat), ubrani z nadzwyczajną, przesadną elegancją. Siedzieli w paltotach i kapeluszach. Paltoty były z jedwabnymi podszewkami, buciki lakierowane, kołnierzyki, krawaty, kapelusze, mankiety najświeższej mody.

Jeden z tych panów był bardzo piękny, z czarnym leciutkim wąsikiem, prawdziwie ozdabiającym górną, pąsową wargę. Drugi miał jedno oko wybite czy zapadnięte, w nim monokl, rysy nie tak piękne jak pierwszy, ale niezwykle, niezapomniane, wpadające w oczy. Uderzyło to Ewę, że ów piękny, wyglądający na eleganta pierwszej wody, ręce miał ohydne jak rataj, wielkie, z ordynarnymi pazurami. Po drugie — pili wódkę w tej „cukierni” i zajadali kiełbasę owiniętą w gazetę. Piwo usłużnie i szybko podawała błada dziewczynka, okryta chustką, przynosząc je skądś z zewnątrz, jakby z ulicy.

Piękny brunet nie spuszczał oka z Ewy. Poczęło ją to drażnić. Spojrzała na niego po swojemu, spojrzeniem młodej, cudnej, hardej dziewczyny, gniewnym i okrutnym — żeby odtrącić o cztery mile. Ale tu, może pierwszy raz w życiu, spotkała się z oporem nie do zwyciężenia. Głębokie oczy tego człowieka nie złyły się i nie cofnęły. Przeciwnie, podszły śmiało, bliżej, jakby do boju. Było w tym spojrzeniu i wyzwaniu coś tygrysięgo. Ewa doświadczyła piekielnego wrażenia, jakby ją za gardło chwyciła ta ręka z grubymi szponami, gruba i ogromna. Usłyszawszy o herbacie obstalowanej przez Ewę, młodzi panowie rozkazali bladej dziewczynie również podać sobie „dwie herbát”. Uczynili to ostentacyjnie, z cynizmem i zadzierzystymi uśmiechami, w których była przesywająca do szpiku kości siła i piękność. Ewa niecierpliwiła się. Spoglądała co chwila na zegarek. Najniespodziewanej brunet z czarnymi wąsikami i również czarnymi pazury wstał ze swego miejsca, ujął za poręcz krzeselka i przysiadł się do stolika Ewy. Ukłonił się z elegancją fryzjera czy subiekta i bez ceremonii wszczął rozmowę.

— Pani z Warszawy?

Była tak przerażona jego śmiałością i spojrzeniem, że odpowiedziała natychmiast:

— Tak, z Warszawy.

— Zarazem poznał<sup>77</sup>. Bo i my z kolegą z Warszawy.

— Bardzo się cieszę...

Młody frant nachylił się ku niej i szepnął dyskretnie.

— Myślisz tu pani szukać kariery?

— Co to pana obchodzi!

— Nic, ja tylko przez życzliwość. Fest z pani kobieta! Przecie i my facety nie gorsze od innych...

— Panie!

— A co się tyczy pieniącha, to mogę pokazać. Jak lodu! Można by pofrajdować choćby i z tydzień.

— Niech pan idzie precz ode mnie! — rzekła Ewa, nie rozumiejąc dokładnie, ale czując w tych słowach coś strasznego.

Młody człowiek zaśmiał się z cicha, mrugając na towarzysza. Tamten siedział z dystynkcją, bez ruchu, patrząc w Ewę swym jednym okiem. Słaby uśmiech wyniosłości czy szyderstwa tkwił na jego ustach.

— Mogę odejść, czemu nie! Jeszcze się sama będziesz prosiła, jak zobaczysz nasze pieniądze...

Wykręcił swoje krzesło w powietrzu i odstawił, mówiąc w kierunku ściany.

— Mojaże hrabini Montekukuli!

Dziewczyna usługująca przyniosła herbatę, ale Ewa nie mogła jej pić. Zapłaciła co prędzej i na gwałt miała się ku wyjściu. Już we drzwiach poprosiła ową kelnerkę o pewną

<sup>76</sup>obadwaj — dziś popr.: obydwaj.

<sup>77</sup>zarazem poznał — przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: zaraz poznałem.

usługę: czy nie mogłaby gdzieś w kuchni czy w sieni oczyścić swego ubrania? Dziewczyna z wahaniem i niechęcią poprowadziła ją do swej izdebki za „salą bilardową”. Była to ciemna nisza z okienniczkiem w górze, framuga w murach zwilgłych, przedwiecznych. Stał tam tapczanik z siennikiem i kołderką. Znalazła się miska z wodą, mydło i ręcznik. Ewa zamknęła się w tej celce, umyła, uczesała włosy i okurzyła suknie. Gdy dziewczyna przysła z powrotem, Ewa była gotowa i mogła wsunąć tamtej pieniądź w rękę. Kelnerka uśmiechnęła się blade, podziękowała... Przez chwilę Ewa czuła szczególne zainteresowanie się życiem tej biednej dziewczyny, jak gdyby to było jej własne życie. Patrzyła w ciemne schowanko z niepowstrzymaną ciekawością...

— Czemu pani nie wypila herbaty? — spytała nieśmiało usługująca.

— Nie mogłam. Zaczepił mię ten jakiś... A mam, wie pani, ciężkie zmartwienie. Jeden człowiek jest bardzo chory... Kto to są ci panowie, nie wiadomo pani?

— Nie... — rzekła kelnerka z wahaniem i słabym rumieńcem.

— Pani wie, tylko pani nie chce mi powiedzieć.

— Boję się ich wydać... — szepnęła cicho. — Oni często gęsto przychodzą nad ranem. To jakieś morowe dranie...

Właśnie w tej chwili w przyległej izbie rozległ się hałas. Młodzi eleganci najadłszy się do syta przystąpili do gry w bilard. Ewa wyszła z kryjówki i zmierzała szybko ku drzwiom. Brunet, który usiłował był zawiązać z nią rozmowę, przeciął jej drogę niby przypadkiem. Gdy go mijala, obtarł się o nią brutalnie ogromnymi dłońmi, z chichotem wyszczerzając śliczne zęby.

Po przybyciu do szpitala w oznaczonej godzinie Ewa zameldowała się do doktora Wilgośńskiego. Był już w szpitalu, ale zajęty. Czekala w wejściowej sieni.

Świat zewnętrzny, nowy a niewiadomy jeszcze, świat zamknięty i pełen praw swoich, świat szpitalny, to państwo przepożęzne, urągające wszystkim mocom ziemi — nie był, oczywiście, łaskawy dla duszy. Był twardą przeszkodą w nieustannej pracy serca, w szukaniu po ciemku, omackiem prostej drogi przy pomocy biednego kija — instynktu. Chwilami przebiegała przez serce trwoga, czy doprawdy Łukasz jest jeszcze na ziemi, czy nie jest on tylko jej obłąkaną ideą, myślą zgubioną w chaosie? Cała zagadka i cała tajemnica istnienia polegała teraz na jednej jedynej zasadzie, na jego krótkim imieniu.

Zegar szafkowy w rogu sieni wymierzył i wydzwonił niejedną kwadrans. Nareszcie szwajcar zjawił się w ciemnościach korytarza, wyszukał oczyma Ewę i wezwał gestem. Szła za nim po pasie linoleum, wśród zapachu karbolowego, cichymi krokami aż do jakichś drzwi. Sądziła, że to już drzwi Łukasza... Powstrzymała oddech i bicie serca. Szwajcar oznajmił, że to gabinet pana chirurga. Weszła. Wysoki przed nią, gruby, łysy brodacz, z wylupiastymi, bladymi oczyma, jak skorupy jaj kurzych — prowincjonalny geniusz od urzynania gnatów — srogi, straszny, gromowładny, wszystek czerwony od przelanej a niewinnej krwi pacjentów, groźny jak belzebub safandula.

— Jestem Ewa Pobratyńska... — wymówiła z niskim, panińskim dygiem. — Pan doktor był tyle łaskaw, że zawiadomił mię listem...

— Tak. Więc to pani... No, tak, zawiadomiłem panią, bo ten wariat kwiczał mi bez przerwy...

— Jakże też on? Panie doktorze... Czy ma się lepiej?

— Ma się! — wybuchnął doktor Wilgośński. — Źle! Moja pani, nie ma co ukrywać... Płuca *durch*<sup>78</sup> przeszyte. Co tylko mogła nauka — dodał uroczyście, wywracając oczy — wszystko zrobione. Reszta w mocy Wszechmocnego.

— Czy mogłabym go widzieć? — wyszeptala błagalnie.

— Ani o tym mowy! Żadnych! Ani mowy!

— Panie doktorze!

Nie przepuszczający nikomu i niczemu, zimny i ostry jak lancet, nieodwołalnie stały jak sama chirurgia — ujrawszy omdlenie i gorzkie lzy tych oczu — natychmiast chrząknął złowieszczo i zmieszał się obskurnie.

— A jak krwotok?!

— Ja tylko w kąciku, ja pode drzwiami...

<sup>78</sup>*durch* (z niem.) — na wylot, na wskroś, na przestrzal.

— Niechże pani zechce wejść w moje położenie... jako lekarz!... Jeżeli coś jest tak wręcz przeciwne wskazaniom nauki... Co tylko mogła nauka, wszystko, co do joty... Muszę przygotować go stopniowo, krok za krokiem.

— Nic nie będziemy mówić. Tylko przy panu doktorze popatrzymy na siebie. Tylko się popatrzymy! I ja zaraz, natychmiast, na pierwsze skinienie!

— Boże, Boże! z tymi romansami, z tymi romansami! Z tymi niebieskimi oczami... — jęczał doktor Wilgoński, kolosalnym krokiem wychodząc z gabinetu i wskazując Ewie drogę za sobą.

Stanęli pod jakimiś drzwiami. Doktor dał znak, żeby została. Została skulona i zmięta jak płaszcz zrzucony z ramion, spłaszczona w jedną jakowąś fałdę.

Wszedł sam, drzwi zostawiając półotwarte. Przyłożyła ucho do szpary i słuchała:

— Mam list od tej panny... — rzekł Wilgoński.

Głos cichy, szeptany i prędki:

— Daj doktor!

— O zaraz — daj doktor! Po co to? Sam przeczytam.

— Daj doktor!

— Pisze, że przyjeżdża...

— Dawaj doktor! Będę krzyczał, będę wniebogłosy... krzyczał!

Ewa, jak łachman na ciele żebraka od wichru, jak źdźbło na polu, trzęsła się bez sił.

— A żeby to wszystkie cholery azjatyckie! Leż pan spokojnie! Łokcie na kółdrze! Już przyjechała. Leżysz pan spokojnie? Łokcie...

— Gdzie jest?

— No, jest. Będziesz pan leżał bez ruchu?

— Będę leżał.

— Bez ruchu?

— Bez ruchu.

Doktor uchylił drzwi. Ewa weszła cicho jak powiew wiatru, minęła pokój niesiona siłą nieznaną. Przykłęka obok łóżka jakby na rozkaz. Rozpalona ręka spoczęła w jej włosach. Oczy toną w łzach i nic nie widzą. W jego oczach szerokich, ognistych — szczęście bez granic. Głos suchy, trudny, oddech chwytny.

— Ewuś... Ewo... — szepce — przepraszam... bardzo, nad życie... Miałem pojedynek z tym... draniem... Szczerbicem...

— Mówić tyle! Żeby to!... Morowe powietrze... z tymi pannami! — jęczy lekarz.

— Bo ktoś wykradł twoje listy z mojego kuferka... Plotki w tym domu... Rozumiesz?

— Nie mów, nie mów!

— Już tylko... słowo... Odezwał się z kpinami w salonie. Trzasnąłem w pysk. Pojedynek. I tak mię... przeszył.

— To nic, to nic! Wszystko będzie dobrze... — zwiastuje mu z błogosławioną słodyczą.

— Nie będzie... dobrze...

— Będzie, na pewno!

— Umrę już... Ewuniu...

— To nic, to nic... — szept coraz cichszy. — Umrzemy sobie, dziecineczko, razem... Razem oboje... Alboż to źle? Mój rycerz — sokół! Mój obrońca! Tu... przestrelili... Tylko cicho, tylko nie mów. Przecie to wszystko jedno. Ja stąd już nie odejdę. Ani na krok! Ja tu już będę...

Położyła złotą głowę na kółdrze. Patrzy mu szczęśliwymi oczyma w oczy, w święte swe niebo. Rozchylone w ekstatycznym uniesieniu wargi śmieją się z cicha wśród łez kapiących. Szepce rozkoszne, melodyjne, pieśniane słowa, zwiastuje mu prawdę cudną a prostą, tak przecie dawno znaną nieszczęśliwym na tym padole:

każemy sobie...

Złote litery, złote litery... wyryć... na grobie...

\*

Za miastem, na wzgórzu pochyłym szła, wyciągnięta w szczerze pola, ulica bez nazwy. Ludzie mieszkający tam nie odbierali prawdopodobnie listów, nikt się tedy o nazwę ulicy nie troskał ani nie spierał. Określano to miejsce rozmaicie: — „za koszarami”, „przed koszarami”, „na górze”, „za miastem”, „na wygwizdnem” — jak komu zresztą serce dyktowało. Ulica tamtejsza powstała niedawno, w stosunku do dziejów odwiecznego grodu. Była tam niegdyś oczywiście droga, a raczej szereg płytszych i głębszych wybojów w glinie. Po koniec XIX stulecia stanęły obok drogi koszary wojskowe, budynki długie, nieozdobne, odmalowane na kolor — brr! — niebieskawo. Z biegiem czasu przed koszarami i za koszarami, słowem: na wygwizdnem, powstały domki, zazwyczaj z ganeczkami — również mało ozdobne — ale wzdłuż drogi.

Ziemia cudnej urodzajności wyhodowała wnet warzywne ogrody i owocowe sady — i tak sobie, jakoś nieznacznie i poniekąd wbrew woli, powstała ulica. Nie było to przedmieście, ani wieś, ani miasto. Człowiek łatwowierny, skory do wniosków i niespoglądający na zjawiska z punktu widzenia materialistycznego, przy tym czytany — mógłby być popaść w ekstazę na widok dworków, ganeczków, parkanów, sadów... Nic z tego! Dzielnica, o której mowa, nie miała nic wspólnego ani z dworkami na Antokolu, ani z żadnymi zgoła Bożymi czeladkami.

Powiedzmy otwarcie: dworki owe były wybudowane przeważnie przez Polaków mojąszowego wyznania — a nadto dodajmy — z materiałów w rozmaity sposób pozostałych od budowy wyż wzmiankowanych koszar. Nie tylko zresztą drzewo, wapno, cegła, kamień, i tym podobne gonty, ale nawet farba, niebieskawo-lzawa, powlekająca ściany, była na całej ulicy jednaka, jeżeli tak można się wyrazić, koszarowo-żydowska. W dworach od frontu mieszkali przeważnie zamożni izraelici, na tyłach mieścili się chrześcijanie najbardziej niezamożni. Mieszkania tam były bajecznie tanie ze względu na odległość od miasta, brak chodników, latarni i prawdopodobieństwo obdarcia z przyodziewku, osobliwie w nocy, każdego, kto nie mając od natury danych sił odpowiednich i okutego drąga zamieszkiwać by zechciał w tych stronach. Droga, obok której stały domy, wychodziła za ostatnim już nie w pole, lecz w najpierwotniejsze pastwisko miejskie czy wiejskie, porosłe najordynarniej jałowcem, stawała się rodzimą, krętą drożyną, a wreszcie w krzakach i wrzosach, jakby ze wstydu, ginęła.

W tej właśnie wygwizdnej dzielnicy, bliżej pastwiska niż koszar, Ewa wynalazła mieszkanie dla Łukasza, kiedy począł do zdrowia przychodzić. Przez kilka tygodni niebezpieczeństwa, kiedy leżał w szpitalu, mieszkała na mieście (w pobliżu szpitala), zajmując ciupkę od pewnej niezamożnej rodziny. Codziennie była przy łóżku chorego, opiekowała się nim, czytała mu, grała z nim w szachy itd. Kiedy dr Wilgoński zdecydował, że dzięki nauce pacjent jest ocalony, i pozwolił już myśleć o kuracji poza szpitalem, Ewa zbiegła miasto wszędy i wzdłuż. Była na wszelkich schodach i we wszelkich izbach „pojedynczych”. Nie była to sprawa łatwa znaleźć dwa pokoje niepołączone ze sobą, a w tym samym domu, z których jeden byłby w zupełności odpowiedni dla Łukasza przychodzącego do zdrowia. Nareszcie w grudniu wyszukała w jednym z drewnianych domów owej zamiejskiej ulicy wszystko upragnione. Dla Łukasza najęła pokój duży, suchy, z szerokim oknem południowym, wychodzącym na ogród i czyste pola — dla siebie z drugiej strony domu wynajęła izdebkę, bardzo zresztą niską, ciasną, brudną i podłą. Wszystko tam wymyśla, wyczyściła, poszorowała. Zniosła rzeczy niezbędne i przed Bożym Narodzeniem w lektyce pod opieką lekarza przetransportowała chorego.

Łukasz pomimo kosztów szpitalnych miał jeszcze dosyć pieniędzy zarobionych w Zgliszczach. Ewa na swoje utrzymanie poczęła zarabiać. Dr Wilgoński, który, jak się notorycznie okazało, miał w sobie poczciwości co najmniej na dziesięciu przeciętnych chirurgów, wyrobił jej pisanie u adwokata, rzecz niebywałą w tym mieście od czasów wiekopomnej pamięci statutu wiślickiego, a może nawet i dawniejszych. Wkrótce jednak to zajęcie urwało się, i to w sposób dość bolesny. Adwokat, człowiek familijny i, co za tym idzie, moralny, pod wpływem żony, osoby również moralnej, wymówił Ewie miejsce ze względu na pogłoski, które do niej były przyłączone, a płynęły za nią jak welon. Nikt nic wiedział, kto ona jest, skąd, jak, „co za jedna”. Wiedziano natomiast, że ma związki z owym Niepołomskim, notorycznym ateuszem, awanturnikiem, nieszanującym polskich hrabiów, pojedyńkowiczem... Dr Wilgoński, raz skompromitowany i posądzony o współnictwo z ateistami i, co za tym idzie, ludźmi bez moralności — pomimo całego swego męstwa,

Praca, Plotka

zdaje się, stchórzył i nie miał już siły do protegowania Ewy gdzie indziej. Zaczęła tedy szukać sama. Nie знаła tam jednak literalnie nikogo, a nadto zajęć, do których mogłaby się przydać, w mieście nie było. Ogłaszała się w miejscowym kołtuńsko-endenckim piśmidle, składała oferty to tu, to tam...

Nie miała tylko „chlubnych” świadectw i „zaszczytnych” rekomendacji, żeby się zupełnie upodobnić do papy Pobratyńskiego. W każdym jednak razie jego maniery, przeszpiegi, metody i sposoby przydały jej się teraz. Między innymi trafiła do pewnego inżyniera powiatowego z propozycją wykonywania rysunków technicznych. Liczyła na to, że Łukasz jej pomoże, będzie dawał wskazówki — liczyła na to, że można będzie przez cały dzień pracować w domu... Inżynier (kawaler podtatusiały)... owszem... patrzył jej w oczy z radością, zgadzał się na wszystko, uśmiechał się arcyzdobnie. Musiała tedy ona popatrzeć na niego w sposób właściwy i zrzec się myśli o tym zajęciu.

Ewa drwiła sobie ze świata. Powiedziała, że znajdzie zajęcie, i znalazła. Zaczęła szyc. Krawieczyna bowiem jest to zajęcie niewymagające, jak doświadczenie uczy, od osób, które mu się „poświęcają”, moralności, o tyle wszakże, o ile płaca miesięczna jednostki nie przekracza pięciu rubli srebrem. Ewa zaczęła od małego, więc nie zwracano zbyt wielkiej uwagi na to, „co ona jest za jedna”. Mówiono o niej w magazynie — „ta jakaś z Warszawy” — i basta. Czasami dodawano słowo „lala” albo inne jakie, mniej estetyczne, a za to bardziej prowincjonalne.

Łączyć na maszynie przykrojone „bryty”, wszywać rękawy, paski, haftki, guziki umiała od dawna, gdyż sama sobie zawsze robiła suknie. Warszawski jej „sznit” i wielkowiejski gust sprawił, że stała się niezbędną dla kroczywni, która była zrazem właścicielką magazynu. Wkrótce te przymioty postawiły pensję Ewy na wysokości 12 rubli miesięcznie. Nie potrzebowała zaczynać od terminu, czyli od stopnia „podręcznej” z pensją miesięczną wynoszącą okrągłą sumę dziesięciu złotych szczerze polskich. O najwcześniejszej rannej godzinie mknęła do domu, w którym mieścił się magazyn, i spędzała tam cały dzień aż do ósmej wieczorem.

Co dzień widywała to samo... Wąskie podwórko, bruk z potwornych głazów, chodniczek z ułamek marmuru. Znały już oczy to dziwaczne, pokręcone podwórko — rodzaj długiej sieni bez sufitu — w które z nagich ścian wpatruje się wieczny żal bolesnymi źrenicami spłaszczonych, sześciobokowych okienek. Znały już oczy ślepe okna z ramami oblażonymi z farby, czarne, zastawione doniczkami... Wieczny smród z owego dołu między kamienicami, z nigdy niewywożonych odchodów, brudy śmietnika odtajałe spod śniegu. Ohydne kloaki, szopy, chlewy... Ewa przelotnie, w biegu wchłaniała w duszę oczyma kolor ścian żółto-czarny, porżnięty zaciekami, porypany od bryzgów brudu. Pamiętała na zawsze przeciąg zimnego fetoru w tej sieni — okienko w czarnej omacnej jamie z szybeczką we drzwiach, przez którą to szybką widać mnóstwo obrazków i bardzo ohydnych świętości na mokrej — mokrej, czarnej ścianie. Tam każdodziennie wzdychała w przelocie do swego Jedynego Boga nad łóżkiem stróża i jego dzieci. Na lewo była pracownia żydowska, w której krzątały się tajemnicze, groźne, do gruntu zniszczone ludzkie kształty-szkielety. W dole, na równi z ziemią okieneczko żydowskiego krawca. Jego czaszka, broda, oczy, śpiew... Ślusarz, suchotnik pracujący we wgłębieniu, ale po prawdzie na dworze... Wszędzie za tymi ścianami stuk młotków, zgrzyt pilników, miarowe kołatanie, nieustający puls nędzarskiej gorączki. Dzieci wyblakłe i oberwane, ślizgające się w rynsztoku. Czarne i żółte wokoło twarze ludzi. Chłód, ziąb, zapach śledzi adwentowych i matki-kapusty. Ach, pewien ślepy i potargany od nędzy człowiek, chodzący z wyciągniętym przed się kijem co prędzej, co prędzej. I jakby stąpał po cierniach! Nareszcie wejście na schody. Okienko i tam!...

Z wysoka pada brzask mistyczny skądś z nieprzemądanego mroku na poręcz schodów i na kilka stopni. Jak dziwnie lśniły te stopnie urobione z brudu, wylaniając się z pomroki! Schody idące w górę i zupełną ciemność, które trzeba umieć na pamięć, żeby sobie nie roztrącić głowy i nóg nie połamać. Lepkie drzwi — i wewnątrz pracowni. Zaduch, skrawki materiałów, śmieci, głuchy trajkot maszyn... Jedenaście panien, zarabiających po sześć, siedem, osiem, aż do dziesięciu rubli... Mała, piegowata „podręczna”, wiecznie uprzątająca szmatki, biegnąca dokądś na miasto z gotową robotą, wyprawiana po sprawunki i w interesach. Popychadło, na którym odmierza swe poniżenie każda z „panien”. Kopci-

Bieda, Praca, Robotnik,  
Pozycja społeczna, Brzydota

szek, osoba za dziesięć złotych miesięcznie. Zapotniałe okna, przez które widać czasami niwkę błękitu albo białą chmurkę-wędrawniczkę. A bliżej wokoło — facjatki z szybami przeważnie zalepionymi papierem. Za prawdziwymi szybami ze szkła — doniczki z moknącymi w nich liśćmi, dach rudy z przedwiecznej, glinianej dachówki. W niej tkwi wielki komin, zawsze dymiący w te właśnie czarne okienka.

Ta okoliczność, że mieszkanie Łukasza oraz pokoik Ewy znajdowały się w dzielnicy zamieszkałej przeważnie przez Żydów, że znajdowały się za miastem, niejako poza obrębem kultury i dobrych obyczajów — miała wielkie znaczenie. Właściciel domu, zbogacony przedsiębiorca budowlany, od którego odnajmowali pokoje, był człowiekiem jeszcze młodym, mniej więcej czterdziestoletnim. Chodził w czarnym surducie do kolan (na szabas kładł tużurek nieco dłuższy), spodnie wypuszczał na kamaszki. Używał kaloszy, kołnierzyków, mankietów ze spinkami. Miał także złoty zegarek i kapelusz-melon. Był to przystojny, wypasiony, silny ojciec rodziny. Dla Ewy okazywał wielką i delikatną grzeczność, a choć po polsku niechętnie mówił, dla niej, choć ze skrzywieniem, robił ustępstwo ze swej urzędowości. Kiedy Łukasz złożył w jego ręce swój paszport, w którym wymieniona była żona Róża, gospodarz o nic nie pytał i nie wchodził w szczegóły. Paszport został Łukaszowi wkrótce zwrócony. Raz tylko uprzejmy gospodarz spytał Ewę pół żartem, gdy ją spotkał wracającą do domu:

— Czemu to państwo żyją jak w rozwodzie? Mąż śpi w jednym pokoju, a żona bardzo daleko w drugim pokoju? To nie pasuje.

— Mąż mój jest chory — wyrecytowała Ewa, pąsowa jak mak... — Mąż potrzebuje ciszy, wypoczynku.

— No, a gdzie to jest napisane, żeby mąż miał mieć koniecznie niepokój od żony?

— Mąż mój nie może zupełnie spać, jeśli obok niego jest w pokoju druga osoba.

— Ja mu się wcale nie dziwię. Ja bym tak samo na jego miejscu bardzo mało spał... — zaśmiał się Żyd. — Ale ja tak tylko grzecznie żartuję. Przepraszam... bez urazy...

Łukasz słysząc z ust Ewy sprawozdanie o tej rozmowie zauważył, że i obcość Żydów w społeczeństwie ma swe dobre strony. Oto te dziwne domy za miastem, jakby przez Twardowskiego wydmuchnięte z piasku lichu wie jakim sposobem, na coś się przydały. Cieszył się, że są sami, że ci, co mieszkają za ścianą, są dalecy, nierozumiejący nic zgoła, że światy ich tak odmienne, a przez to tolerujące się wzajem, jak cudzoziemcy tolerują cudzoziemców w rozległym hotelu Nizy lub Interlaken.

Początek zimy upłynął Ewie i Łukaszowi szybko, jak upływa rozkoszny sen. Chory nie czuł przeszywających bólów w okolicy serca, Ewa nie czuła, że pracuje jak wyrobница. Ciemny „magazyn” w brudnym podwórzu, nora, gdzie ściabały suknie niewolnice dla dostatku i zbytku, była dla niej miejscem błogosławionym. Bo obojętne dla niej było życie i jego jakość.

Była w istocie żoną swego Łukasza, choć nie należała do niego cielesnie. Nie darowała mu nawet pocałunków. Służyła przy jego łóżku jak szarytka, jak siostra bratu, a nade wszystko jak do szaleństwa zakochana narzeczona narzeczonemu.

Gdy przybiegała wieczorem, zaróżowiona od zimna, chyża z tęsknoty, chichocąca, z tysiącem anegdot, dowcipów, pełna szalonej swady człowieka, co skończył przekłętą, dwunastogodzinną pracę, a uzyskał swobodę przyrodzonych człowiekowi ruchów — obydwójce wpadali w nastrój dzieci, w nastrój uczniaków na wakacjach. Wnet skwarzył się na maszynie przyniesiony od rzeźnika befszytk lub kotlet, kipiała herbata... W „budzie” Ewa żywiła się byle jak — bułkami, ochłapkami zimnego mięsiwa, a najczęściej dwoma serdelkami. Herbatę, podobnie jak wszystkie pracownice, gotowała sobie w rondelku ustawionym na żelazku do prasowania. (*Omne tulit punctum, qui miscuit utile dulci*<sup>79</sup>...). Wodę do rondelków dostawały darmo, więc i Ewa. Tylko wykwalifikowane staniczarki i niektóre spódniczarki, zarabiające bajońskie sumy (15 do 18 rubli miesięcznie), wychodziły na prawdziwy „burżujski” obiad w czasie dwugodzinnej przerwy.

Wobec tego stanu rzeczy Łukasz od rannej herbaty musiał czekać na „obiad” aż do wieczora. Ponieważ leżał bez ruchu, na wznak, wciąż w jednej pozycji, więc w ciągu dnia nudził się bestialsko. Czytał stopy książek, pisał ołówkiem etnograficzne i etnologiczne

Obcy, Pozycja społeczna,  
Żyd

<sup>79</sup>*Omne tulit punctum, qui miscuit utile dulci* — pełną korzyść wyciągnął ten, kto połączył przyjemne z pożytecznym; por. Horacy, *Ars poetica*, w. 343.

ramoty i ramotki na ogromnych arkuszach papieru. Wieczorem rozpowiadał Ewie o tym, co napisał, co przeczytał, co przemyślał, co chciał czynić. Marzenia ich snuły się wciąż około faktu, że skoro tylko wyzdrowieje, pojedzie do Rzymu, uzyska rozwód. Wówczas skończy się ich tęsknota...

W końcu stycznia Niepołomski począł siadać — wkrótce podnosić się, chodzić po pokoju. W połowie lutego w ciepłe dni wychylać się począł na dwór. Śniegi leżały duże. Przyszły mrozy.

Wówczas to właśnie zaszła w nim zmiana. Dopóki leżał, wydawało się, że to jest najście chwilowe, fizjologiczny skutek bezczynności. Ale gdy wstawać zaczął, a nie ustąpiło... Nalatujący wciąż na duszę dym czy wiatr, huragan obrazów podchwytujący w lot i wciąż w jednym kierunku nachylający aż do ziemi wszystkie myśli... Szept nieustanny spalonych warg: — Ewa, Ewa...

Gdy powracała do domu, gdy posłyszał dochodzący z dala stuk jej zaśnieżonych bucików na drewnianych schodkach, gdy go owionął chłód drzwi otwartych... — popadał w stan nieprzerwanego szału...

Ramiona podnosiły się i pięście zaciskały jak do bitwy, żeby się siec w pałasze ze sobą samym, żeby zdusić namiętne marzenia. Słyszał szlochanie dumy i godności, słyszał echa złożonych przed sobą przysiąg, nieodwołalnych słów honoru. Ale wszystko ginęło w gęstym kopcju osiadającym pod czaszką, trzeszczało jak łatwopalny materiał wśród sypkich iskier, co w dreszczu leciały po żyłach. Był ponad siły, nad możność zniesienia stan obcowania z nią, uwielbienia jej, dotykania jej rąk, małych dłoni, które były tkliwe i wymowne jak żyjące istoty. Był ponad siły stan spoczywania oczyma w jej oczach, co opromieniały wszystko jak słońce — zasluchiwanie się w jej nowe, niewiadomej genezy pieszczotliwe słowa — patrzenia w cudne uśmiechy — muskania włosów dłońmi, jak najtkliwszymi pocałunkami... Każda suknia, każda wstążka, każdy sprzączek zdawał się patrzeć w oczy z niemym pytaniem, jakoby rój duchów i gnomów gotowych na rozkazy. Wszystkimi siłami woli Łukasz starał się zapomnieć, potargać pajęczynę uludnych kuszeń.

Wmawiał w siebie, że już to, co się w nim dzieje — jest to podłość, ostateczna hańba człowieka prawego — że tego wcale być nie powinno, że nie ma być — zaklinał się, żeby nie było. Po tytanicznych porywach, po wysiłkach duszy w istocie potężnych, po przyrzeczeniach w kłęb zmotanych — nastawały chwile ciszy. Ale wnet, jak spod ziemi, wybuchał inny źródło. Było duszno, smutno śmiertelnie, jakby co minuta miało się ukazać czyhające nieszczęście. Płomiennie uczucie oczekiwania, gdy była nieobecna w domu, rozdymało żyły i napełniało pokój zapachem rozkoszy. W ciszy, dotykanej jak ciemność nocy lub jasność słońca, rozlegały się jej słowa tak wyraźnie, że słychać było każde brzmienie i każdą sylabę. Szelest sukien trwał bez przerwy. Głowa płonęła, serce biło jak zbuntowany niewolnik. Powieki opadały na oczy i niestrzymane obrazy rozkoszy objawiały się daleko wyraźniej niż otaczające, martwe sprzęty. Wtedy to przemykała się w mózgu cicha i skromna myśl:

„A dlaczegoż to właściwie zachowywać te skrupuły? Dlaczego? Szczęście jest jedno, a nieszczęście milion”.

Wówczas wyrывał się znowu jak z objęć diabelskich, wznosił ponad siebie i usiłował patrzeć na wszystko, co się z nim dzieje w tej izbie, z góry, z wysoka.

„Oto — mówił do siebie — teraz jest chwila rozumu czystego, władza, jakby powiedział stary Plato *το αλογον*<sup>80</sup>. Wszystko, co jest poza tą chwilą, jest — *το λογικον*<sup>81</sup> namiętności, apetyty zwierzęce, *cupiditates*<sup>82</sup>, podła szlaka w piecu, gdzie się ma wytopić czyste żelazo. Czyliż ja to miałbym dopuścić do władzy owo *alogon*<sup>83</sup>? Ja, człowiek przyszłego świata? Przenigdy. Choćby tylko dlatego”.

Rzucił się do książek, do studiów, do ścisłego myślenia. Panował nad sobą w ciągu godzin. Ale rzut oka na cokolwiek, na ślad drobnych gwoździaków w obcasie jej bucika, wyciśnięty na białych deskach sosnowej podłogi... Z desek tych, z nikłych, okrągłych zagłębień strzelała w górę cudowna, naga, cielesna mgła. Zaslaniał się od niej rękami, zaciskał przed nią powieki. Lecz ona była w nim, w oczach jego mieszkała od dawien

<sup>80</sup>*το αλογον* (gr.) — alogon; termin filoz. określający to co „nie-rozumowe”, „poza-logiczne”; instynkty.

<sup>81</sup>*το λογικον* (gr.) — logikon; termin filoz. określający to co racjonalne, logiczne.

<sup>82</sup>*cupiditates* (łac.) — żądze.

<sup>83</sup>*alogon* — tu: niedorzeczność; instynkty jako to co nie-logiczne.

Pożądanie

dawna. Cudowne, ledwie rozkwitłe piersi, barki i ręce, biodra i łono były w przepaściach oczu i w mózgu. Rozkosz i radość, dym z najcudowniejszych kadzideł, niewyspiewany czar, tajna pieśń ruchów jej nagiego ciała napelniały duszę. I znowu Łukasz pytał sam siebie:

„Jestże złem to, co ja czuję?”

I czuł w sobie śmiech potężnych zdrowych sił życia, jako odpowiedź na wywody honoru i na zaprzeczenia rozumu. Wtedy także najdokładniej poznał, jak rozkosz jest dobra, jak grzech jest łaskawy, a cnota nieznośna. Cień i blask, przestrzeń i czas były na jego rozkazy. Słodczy marzeń nie miała granic.

Kiedy zbliżała się godzina jej nadejścia, pokój stawał się ciasny i mały niby klatka. Piersi były za małe dla mnóstwa zamkniętych westchnień, nagłych szlochań i bezmieniowych wybuchów. Łukasz tłukł się w izbie od ściany do ściany, od drzwi do okna, od okna do drzwi. Czekał, liczył minuty, sekundy... Uchylił drzwi do sieni, zatapiał w szparze oczy i czyhał z powstrzymanym oddechem. Stał tak przytulony do zimnego muru, drżąc z zimna, rozszarpany przez uczucia głuche i ślepe, przez trwogi wyrafinowane, przez żądzę, zwątpienia, ofiary i żal. Częstokroć wtedy właśnie gromadzili się we wspólnej sieni sąsiedzi, Żydzi z interesami oraz rozmaici przychodnie, i toczyli pod tymi drzwiami miłosnego oczekiwania zaciekle dyskusje materialistyczne, załatwiali interesy i skakali sobie z paznokciami do oczu.

Wtedy Łukasz popadał w stan dzikiego rozstroju, pieniał się, rozpaczał i pękał ze złości. Były chwile, że chwytął za kij, żeby rozegnać chargoczącą zgrają — i znowu zmieniał się w natężony wzrok, w czujny słuch. Tęsknota wbiegała na najwyższy szczyt swej drogi i leżała bez sił. Zostawało tylko błaganie i cichy, ciągły jęk wewnętrzny. Gdy nagle Ewa zjawiała się, gdy nagle wynurzał się z żydowskiego gwaru jej uśmiezek, gdy mknęła ku drzwiom wesoła, różowa, szepcząca swym melodyjnie-gardłowym głosem, gdy surowo karciała za to, że sterczy pode drzwiami przeziębły i blady — nie wierzył swemu szczęściu i ulegał nagłemu zdumieniu, prawie rozczarowaniu, prawie depresji. Patrząc na jej żywą twarz, na oczy iskrzące się, jak wiecznie nowy i wiecznie silny mróz, uciekał na drugi koniec miłości, w kraj zimnych rozważań i nadaremnie wszystko znowu mierzył myślami.

Ewa od dawna spostrzegła, co się dzieje.

Jeżeli przypadkowo spod czarnej sukni wysunął się jej trzewik, jeżeli, zajęta sprzątaniami pokoju, zmywaniem naczyń, przychyliła się w taki sposób, że uwydatniły się piersi — widziała wówczas spod rzes, że ją chwytają jego oczy niby płomienne ręce. I jej myśli poczęły chodzić chyłkiem po elipsach szału i rozpacz. Przysięgła sobie, że skoro tylko on do Włoch pojedzie, wróci do Warszawy. Tam znajdzie sobie z łatwością zajęcie, jeśli nie w dawnym biurze kolejowym, to gdzie indziej w telefonach, telegrafach, biurach technicznych, jako wreszcie kasjerka, urzędniczka itd. Warszawa była jej miastem. Tam czuła się u siebie, wśród cywilizacji, gwaru, rwetesu, pracy. Miasto prowincjonalne było dla niej pustynią, o tyle mającą jakąkolwiek wartość, o ile tu przebywał Łukasz.

Toteż co rychlej pragnęła wrócić do „miasta”, znaleźć się wśród rynków, gdzie na ręce i rozum czekają, gdzie życie wre i myśl bezsennie pracuje. Ale jakże wrócić do Warszawy, do matki, do ojca, do owych prac, gdyby została „kochanką”? Wrócić i stanąć oko w oko z matką — to jeszcze nic. Gdy ją zapyta o wszystko — powie wszystko. Ale wrócić i powiedzieć, że przez czas nieobecności była „u tego pana”? Nie, wtedy już nie ma powrotu. Ściągnąć na siwą głowę matki pewność, wiadomość, potwierdzenie?... Kłamać? Nie, kłamać nie można. Tu może być albo prawda, albo nie ma powrotu. Ewa drwiła sobie ze świata, z całego świata jak długi i szeroki, oraz ze wszystkich jego urzędzeń. Łukasz — to wszystko.

Obmowy, potwarze, plotki — było to dla niej nic, owszem — uciecha, byleby tylko nie mieć na sobie ciężaru, że to, co będą mówić — to prawda. Gdyby Łukasz zażądał ofiary z ciała i duszy, nie zawaha się ani chwili. Ale pragnęła wszystką mocą ducha, żeby nie teraz jeszcze. Wiedziała, że ją czekają straszne przejścia, nim rozwód przyjdzie, słyszała swoją przyszłość, lecącą koło głowy jak świst bata. Toteż pragnęła jednej tylko rzeczy: mieć w sobie siłę śmiechu z potęgi światowej, mieć grunt pod nogami, żeby na nim stojąc żywić do końca miłość i dumę.

Kiedy spostrzegła, co się z Łukaszem dzieje, szalala z rozpaczy. Była jednak w tej rozpaczy nieopisana postać rozkoszy, rozkoszy śmiertelnej. Najdziwaczniejsze pomysły, najsubtelniejsze obrazy śmierci, bohaterstwa... Przeżywała minuty szybkiego decydowania się. Wiedziała, że cokolwiek wybierze, ucieczkę czy oddanie swego ciała, jeśli wykona jedno z tych dwojga, przejdzie na drugą stronę życia. Nazywała to, co się stać miało, najrozmaiciej, stworzyła całą metafizykę zstępowania ku rozkoszy. Mówiła sobie, że to jest żądza pełni życia, wola ducha, który pragnie precudownych, nowych przeobrażeń, wyzwolenia młodości i wywołania na jaw cieniów marzenia. Mówiła sobie, że teraz chce w materii rzeźbić potęgę ducha, stać się zarazem posągiem i rzeźbiarzem. Tłumaczyła się przed nieznanymi mocami, że nie grzech wcale zamieszkał w jej duszy i nie zdrada jakiegokolwiek ideału, lecz właśnie tajemna moc, która chce złamać zamki niewiedzy.

Nie były jej niemiłe szaty oczu Łukasza ani dziwnie zgięta linia jego ust, ani uśmiech przejmujący do szpiku kości, uśmiech, co zdiera szaty i modlitwę wypędza z piersi na usta. Nieraz, gdy siedziała z dala, schylona nad książką, i miała oczy spuszczone, nieraz, gdy sądził, że jest do gruntu zajęta pracą gospodarską, przesywała ją wszechogarniająca myśl nagła, ślepa ekstaza, żeby go uszczęśliwić... Nie mówiąc słowa zdjąć suknie...

Niejednokrotnie drobny wypadek, szmer, głos daleki, sprzęt stojący na drodze odrzucał ten zamysł szatana na zawsze.

Łukasz doskonale panował nad sobą. Nie całował jej nigdy w usta, a w rękę całował szybko i nie patrząc.

Raz jednak bezwiednym niejako ruchem przykrył dłonią jej rękę leżącą przypadkiem na stole. Gdy dłoń jej drgnęła nerwowo, stuliła się i zwinęła w sobie, poczał do niej, do skurczonej, małej pięści szeptał czerwonymi ustami:

— Mały gołąbeczek, trusia bojaźliwa, mój ptaszek biały... Boi się czegoś, czegoś drży... Boi się ręki, która ją głaszcze? Lęka się serca, co dla niej bije?

Ewa płonęła wszystkimi ogniami ciała. Uczuła, jak duszą roztapia się w jedną jedyną litość nad jego cielesnym pragnieniem. Niejasno zdała sobie sprawę, że wszystek rozum przemienia się w myśl najprostszą o konieczności natychmiastowej ofiary. Jeszcze jedno słowo, jeszcze tylko jedno pogłaskanie. On zaczął szeptać jakby do siebie:

— Gołąbek głowę między skrzydła tuli, oczy przywiera w trwodze. Serce w nim bije! Czegóż się boi, o co tak drży?

Położyła palające usta na jego ręce, przycisnęła do wierzchu jego dłoni pąsowy policzek. Poczwała wśród dreszczów rozkoszy, jak tkliwymi palcami drugiej ręki wyjmował szpilki z włosów i rozpuszczał ich pasma. Drżała od sypek dreszczów, mając senną wiadomość, że zanurza twarz w fale włosów... Wtem posłyszała westchnienie. Gdy oczy podniosła, leżał półodwrócony do ściany ze zmarszczonymi brwiami i zagryzioną wargą.

Jakże mu była wdzięczna!

Wychodziła zawsze z jego pokoju natychmiast po herbacie wieczornej. Wracala chyżo do siebie. Zamknąwszy drzwi na klucz, rozbierała się szybko, gasiła światło, rzucała na posłanie i o niczym nie myśląc, zasypiała jak kamień.

Rano, skoro tylko przez zamkniętą okiennicę wsuwał się mizerny, niezrozumiały odblask dnia, wstawała szybko i czyniła wszystko z pośpiechem, żeby co rychlej wyjść z domu.

W drugiej połowie lutego nastał szereg dni mroźnych, suchych, bezwietrznych. Łukasz mógł już odbywać spacer, więc w każdy dzień świąteczny i niedzielny wychodzili z domu za miasto. Jednego popołudnia świątecznego wyszli drożyną na jałowcową górę i dalej aż do lasu.

Już się przybliżał zachód słońca. Powietrze było przeczyste i zimne. Zachodnia lilio-wo-rumiana zorza ciągnęła się nieskończenie pięknie nad równinami i wzgórzami ziemi. Widać było jak na dłoni dalekie, rude kępy dworskich ogrodów, granatowe smugi lasów. Na zachodzie mgielka niebieskawa płynęła przez niebo zorzane, jak zadumany anioł, co, opuściwszy skrzydła znużone od lotu pracowitego, kieruje się ku krańcom świata. W wyżynie niebo było bezdenne, różowo-sine. Ani jednego głosu, ani najlżejszego szelestu. Tylko szczególny głos kroków obojga. Na drodze utartej sanicami drwałów śnieg pod nogami świstał i opornie, zawzięcie pozgrzytywał. Zboczyli z tej drogi i brnęli znowu czas jakiś po głębokim puchu, kierując się to tu, to tam, w ślad zadętych do cna tropów lisich czy zajęczych.

Śnieg ów był sypki, kopny i lotny jak mąka.

W przetrzebionym lesie małeńkie świerki, pogrzebane w okrągłych mogiłach, wychylały ku przechodniom kształty niespodziewane, tajemnicze, krzywe formy — coś jak oczy dziecięce zdumione i zasluchane.

Zagajniki jedliny tworzyły najcudowniejszą baśń bizantyńskich kopulek świątyni, co się w ziemię zapadła.

Małe jałowce, przydęte pól na pól, śniły w nieruchomym zachwyceniu sen o zaklętej królownie. Krzywy dąbek, osypany martwym, rudym liściem, suchym szumiącym szelestem, a przyciągał ku sobie oczy, przykuwał myśli jak znak tajemny, niezrozumiały hieroglif.

Ewa zapuściła oczy w sieć żółtych bylin, nikły ślad ongi-traw, wystający z białej głębin. Szła oczyma przez równie<sup>84</sup> dziewicze, przez wzniesienia i zadumy rozblękitnione albo lekkim, niewiarygodnym powleczone różem, kolorem jednej chwili, na którego widok każde usta muszą się uśmiechnąć — szła przez barwy i lśnienia tak piękne, jak pięknym było jej własne ciało. Nieprzytomnie o tym marzyła, że Łukasz tak myśleć musi. Przeszło, przemknęło burzliwe, szalone wzruszenie duszy... Pochwalała wdzięcznym wzrokiem otocza śniegowe dookoła wielkich sosen, co miały kształt jak gdyby stężałego wiatru, wściekłości pozostałej w postaci widomej. (Wciąż coraz bardziej złotolite stawały się niebiosy). Widziała dookoła siebie cienie powstałe niespodziewanie i nie wiadomo jak niksące, istne sny. Zanim sama zdążyła wnieść się w owe bytowania zadętych świerków, w żywoty fiołkowe cieniów i rumianych świateł na szczytach zasp, już pochłaniała je nicość. A to życie chwilowe cieniów — między narodzinami na puchu nieskalanym i między głuchą śmiercią — wyrażało dla Ewy jakowąś nową prawdę, którą w tej chwili miała poznać. Był dookoła niej żyjący, złożony symbol, co się rozwijał, odsłaniał i ukazywał czytelne litery.

Milczeli oboje. Kiedy Łukasz dla odpoczynku zatrzymał się, Ewa ze zdumieniem i trwogą usłyszała w tym milczącym obszarze bicie swego serca. Samotne serce zdawało się bić między niebem i ziemią, jedyne na niezmiernym, zamarłym obszarze.

Wtem on rzekł ze śmiechem:

— Owa cnotliwość Desdemony, owa wierność i posłuszeństwo wówczas nawet, gdy ją „pan i małżonek” bije, ma dla mnie coś obmierzłego. Właściwie mówiąc, takie cięły zasłużyło na to tylko, co je spotkało. To przecie nie kobieta.

Spojrzała zdumiona. To było tak dalekie od jej uczuć! Jakby potracił! Łukasz nie patrzył na nią, lecz w ziemię, na śnieg iskrzący się od wieczornego mrozu. Miał policzki zabarwione. Broda, dłuższa po chorobie, czyniła go pięknym, jakby nieznanym, jakby innym, odmiennym. Tak był piękny i niezwykle jak wszystko dokoła. Z trwogą rozwierały się oczy, żeby go widzieć do syta. Nie, on jeden nie jest cieniem prześlicznym! On jeden jest wieczny!

— Kochała go wiernie, tego czarnego diabła... — rzekła z cicha, rysując lekką laseczką, którą miała w ręku, długie kresy na puchach śniegowych.

Kiedy tak stali przez chwilę i on nie patrzył, przysła Ewie chętna powiedzenia mu, że go kocha... jak Desdemona. Wywinęła się słabostka, żeby mu powiedzieć o owej odmienności jego wyrazu twarzy. Podniósł oczy jakby przeczuwając... Zobaczyła brwi zmarszczone i ów znany, bolesny uśmiech.

— „Zachować siebie, zostać szczęśliwym — oto instynkt, oto prawo, oto obowiązek...” — mówił z głębokim namysłem, głosem matowym, do siebie.

— Cóż to znowu za cynizm, za egoizm, mój panie?

— To zdanie mądrego Holbacha, człowieka silnej rasy, tej rasy, co to potrafiła ruszyć z posad bryłę świata. Nie na naszą miarę to słowa.

— Zdaje mi się, że i dziś jeszcze dużo nabrałoby się takich siłaczów. „Zachować siebie, zostać szczęśliwym...”

— Doprawdy?

— Myśle.

Podniósł oczy pełne ognia, wyrzutu, jakby pogardy.

— A czy ty, na przykład, potrafiłabyś zostać szczęśliwą wbrew całemu światu?

— Ja?! Cóż tam ja... — szepnęła zmieszana.

— Naturalnie, Desdemona jeszcze w was pokutuje.

<sup>84</sup>równia (daw., geogr.) — tu: równina.

— Nie rozumiem.

— Człowiek z tej samej plejady — Diderot — mówi bez wahania: „Dozgonne małżeństwo jest nadużyciem, tyranią mężczyzny, który sobie przywłaszczył prawo posiadania kobiety”. Cóż ty na to?

— Nic. Mało co o tym wiem. I mało mię tam ów Diderot obchodzi... — mówiła wolno, wciąż rysując laską kresy na śniegu.

Czuła, że za tymi słowami ukrywa się coś innego. Łukasz wciąż mówił jednym tchem, jakby nie ją, lecz siebie przekonywał:

— Diderot mówi: „Szczęście i obyczajność mogą się znajdować tylko w tych krajach, gdzie prawo nadaje powagę instynktowi”. I rzeczywiście — w Japonii panny kąpią się wobec mężczyzn bez najmniejszego zakłopotania. A Japonia — to wielkie społeczeństwo.

— Ach, z tą waszą Japonią! Japonia i Japonia na wszystkich ustach... — rzekła oschle i porywczo.

— Oczywiście — gdzieżby nasza panna mogła kąpać się wobec mężczyzny i nie płonąć ze wstydu!

— No, w samej rzeczy... — mówiła Ewa czując, że się cała pali w ogniach.

— A tymczasem wstydlivość, podobnie jak szata, jest wynalazkiem, uchwałą.

— Doszliście już do takich wynalazków, że rumieniec wstydu młodej dziewczyny jest... wynalazkiem.

— Zaraz ci na to dostarczę dowodu.

— Dowodu!

— No tak. Na wyspach Sandwich damy miejscowe, już nieco po europejsku ogładzone, podpływały ku okrętom nago, dźwigając na głowach jedwabne suknie i parasolki. W te suknie stroiły się na pokładzie wobec oficerów okrętu, ażeby się tym oficerom podobać.

Ewa wciąż rysowała znaki na śniegu.

— Na wyspach Iles des Pins misjonarze wywołali gwałtowny protest, żądając, ażeby dziewczęta przywdziały opaski. Polinezyjki, które usiłowano jako tako przyodzierać, rozbrajały się dla najbłahszych powodów. Uczucia wstydlivości nie zna wcale całe królestwo zwierzęce i ani jedno ze społeczeństw pierwotnych ludzkich.

— No, więc cóż z tego? — spytała Ewa z uśmiechem. — Cóż z tego, że pierwotne społeczeństwa albo zwierzęta? My nie jesteśmy zwierzętami — to darmo — ani z Iles des Pins. Także wzory!

— Chcę cię nieco wyćwiczyć w antropologii. Wstydlivość kobieca jest według mego mniemania wynalazkiem, i to... mężczyzn. Otello wymyślił szczelne szatki dla szanownej Desdemony. Pan jej, małżonek jedyny i władca. Dziedzicznie się to później przekazało córuniom.

Słuchała tego wszystkiego z wyrazem drwiącym na ustach, czego nie chciała się pozbyć. Ale w gruncie rzeczy z nadzwyczajną ciekawością przyswajała sobie wszystkie te szczegóły (już notabene jako swoje najgłębsze przekonanie).

— Dlaczegoż ty zamierzasz zawrzeć związek ze mną? — spytała wreszcie błada i pomieszana.

— Bo cię kocham nad życie swoje! Ty zresztą... Ty już nie jesteś taką! W tobie jest już męstwo człowieka i siła człowieka. Ciebie mąż nie potrzebowałby zamykać w haremie ani okrywać gałganami. Mogłabyś kąpać się wobec tłumu mężczyzn i pozostać dziewicą albo... być wierna jednemu, któregoś wspaniałomyślnie, według duszy swej wybrała.

Szept jego stał się zduszony od uniesienia:

— Ty jesteś Psyche, dusza najzupełniej wyzwolona...

— Nikt nie wie, czym ja jestem!

— „Ludzie — woła natura — którzy wskutek danej wam przeze mnie podniety dążycie do szczęścia przez cały czas waszego istnienia, nie opierajcie się mojemu najwyższemu prawu: pracujcie na szczęśliwość...”.

— Czyżż to są te znowu cyniczne słowa? — spytała surowo.

— Znowu Holbacha. A zresztą... słowa wujaszka Epikura. Mądrość potępiona przez wszystkie ciocie...

Zapanowało dziwne milczenie. Wieczór już spadał. Świerki otaczającego lasu stały tajemnicze, zasnutę śniegiem, w objęciach mrozu.

— Gdzież jest szczęście? — rzekła nagle i spojrzała Łukaszowi prosto w oczy.

On milczał.

— Czy... to... jest szczęście — powtórzyła drżąc na całym ciele.

Zdało jej się, że dookoła ziemia drży i kołysze się w dymach.

— Ewo... — wyszeptał. — Po coś to powiedziała?

I wokoło niego stał teraz milczący las, jakby zapalony ogniem nadprzyrodzonym. Ziemia dygotała. Chwiały się w oczach pagórki i mieniły nękające w nocy doliny.

Martwe przedmioty na mgnienie źrenicy otrzymały twarze przedziwne, wyrazy niesłychane. W ogniu bijącym zewsząd Łukasz posłyszał w sobie postanowienie...

— Dziś... — wyszeptał patrząc w ziemię.

Gdy podniósł oczy, zobaczył, że Ewa ma ręce na piersiach zaciśnięte i załamane. W twarzy uśmiech bladej boleści, szczęście pokory. Oczy bez spojrzenia, usta zakłete w milczeniu od jego woli. Po bujnych włosach, które wiatr przerażenia wzburzył, sła teraz gładząca ręka doli.

Usiadł bezwładnie na obmarzniętym odziemku powalonego drzewa. Ewa stała obok, bezsilna i spokojna. Czowała pewność siebie i jakiś rodzaj zadowolenia z tego powodu, że już nie leży na niej ciężar „wstydlivosti”. Marzyła, jak we śnie, za pomocą dwu wyrazów: dość wyrzeczeń! Łukasz ujął jej rękę i przyciągnął do siebie. Siadła przy nim niewygodnie, z uczuciem, że to jakieś nieestetyczne — oparła głowę (bez uniesienia) na jego ramieniu.

Czowała policzkiem zimno osędzającego futra na kołnierzu i oddalone gorąco ust. Z coraz bardziej niepohamowaną ciekawością czekała na śmiałe pieszczoty, których za chwilę miała doświadczyć. Wargi jej ust stawały się pąsowe, napęczniałe od płomienistej krwi. Zdawało się, że te usta nie mogą się już domknąć i zacisnąć, jak zawsze, jak dawniej. Ręce, ramiona, piersi, stały się twarde, natchnione, ruchliwe, podatne i giętkie, jak lotne ciało ptaka szybującego w powietrzu. Zimne, roziskrzzone niebo, śnieżysty las, pochyła równia obmarzniętej góry — wszystko jak we śnie.

Zakasłał. Wyrwała mu się z rąk, zsunęła z kolan, odwróciła i stanowczo poszła ku miastu. Była piękna w swych prostych sukniach, a jakby naga. Z wyżyny nieba świecił już księżyc i nasycił blaskiem tajemne kryjówki.

Zapadał w głębiny śniegu i błyszczał miliardami promiennych kryształków, iskier błękitnych i pomarańczowych. Oczy Ewy pochłonięte były przez gwiazdy nieba i te gwiazdy ziemi. Śniło się, że słyhać trzask światła zaziemskiego i ciepło martwych promieni księżycy.

Jak wietrzyk przewinął się w duszy zapach myśli:

„Idę sobie teraz po drodze szczęścia... Gwiazdy... Droga szczęśliwej doli... Dokąd prowadzi, dokąd idzie gwiazdzista droga?”

I inna myśl, jeszcze bardziej wyraźna:

„Taka jest moja droga szczęścia... Gwiazdy...”

Cisza długa duszy, cisza tak wielka jak w tym całym, szerokim obszarze. Nareszcie myśl ostatnia — ni to płacz nie wiedzieć czyj, ni to i krzyk strażniczy, po którym wzdrygnięcie w nogach, ni to hasło radości:

— „Żegnaj!...”

Gdy oboje wstępowali na strome schodki prowadzące do mieszkania, Łukasz trzęsącymi się rękoma z lekka popchnął ją do swego pokoju. Zamknął drzwi na klucz. Tymi latającymi rękoma zapalił lampę. Stała wciąż przy drzwiach. Zbliżył się i spojrzał w oczy. Po raz pierwszy ujrzał nowe ich spojrzenie. Patrzyły spod górnych powiek daleko — daleko... Były zagasłe, przeraźliwe, bosko żyjące, a jakby umarłe. Zdumiał się i przeląkł, patrząc w to błękitne spojrzenie, obnażone a pełne wyniosłości, jak kielich cudnego kwiatu, który ręka od lodygi i ziemi z szaleństwem oddarła. Chwytał w swe oczy to spojrzenie-miłość.

— Czyliż ta chwila — czyliż to nie jest szczęście? — zapytał jej ze łzami.

— Szczęście... — wyszeptała spomiędzy szcękających zębów.

Wtedy to poczał szybkimi rękoma, jak wariat, rozpinać, rozrywać jej stanik, ścigać siłą ciasne rękawy, targać na ramionach guziki koszuli, zdzierać spódnice, urywać tasiemki...

\*

Popłynęły dnie miłości szczęśliwej. Stało się czynem oddanie serca, duszy i ciała. Zstąpił na ziemię, jak uroczystość, czas poświęcenia łaskawego na wszelkie żądanie, dobrotliwego dla rozszalałych wybuchów, dla kaprysów i porywów drugiego ducha i innego ciała. Otworzyły się wrótne ogrodu, gdzie można płakać ze szczęścia albo płakać wskutek niezdobytých dla słowa cierpień miłości — i kresów ich pod cienistymi gałęzmi drzew raj. Łzy tamte przepływają z oczu w oczy, wysychając na ukochanej twarzy, uśmiech jest wspólny jeden we dwu ustach.

Dreszcze przechodzą z ramion w ramiona i wracają na dawne miejsce, przynosząc wieść o wzruszeniach tajnych, o uczuciach poza wszelkim wyrazem zdolnym do wyjawienia ich bytu i siły. Pocałunki splatają nie ciała, lecz zaiste splatają dusze. Ciała nie mają dla siebie tajemnic, a dusze dążą do objawienia i do wykrycia swych najgłębszych istności.

Rozkosz cielesna, zmazująca z duszy smutek miłosny, ucisza jej niezgłębioną, wszystko z posad ruszającą muzykę. Cisza i szczęście w objęciu. — Serce wyniosłe i nieunoszone, które niebezpieczeństwem wzgardziło, a zaślubiło ofiarę, serce wierne, pokorne i samochcąc unizone, serce — niezgłębione zjawisko — bije w cudownych rytmach dziewiczych piersi, w wiecznie ruchliwej fali ich, w czarodziejskiej ich tajni.

Szczęście tętniące w nim, pracowicie mierzące czas, było pulsem całej przestrzeni świata. — Świat był to hymn, pieśń tworząca, która wychwała tworzenie. A początek i koniec życia był w uderzeniach tajnego serca.

W czasie tych dni miłość stała się zapomnieniem, zniszczeniem egoizmu, wydarciem z człowieka miłości własnej i napełnieniem go egoizmem innej ludzkiej istoty. Były to chwile łaski, chwile podźwignienia<sup>85</sup> nad ziemię i przemienienia natur. Przez niesłychane wzniesienie i zamianę dusz istoty cielesne stały się nowe, cudnie odmienne i nieznanne sobie nawzajem. Czulość ich wszakże i zdolność pojmowania się wzajem doszła w tym samym czasie do zenitu, z którego, jak z góry Nebo, wszystko widać. Zatracić siebie dla tamtej istoty — toż to rozkosz! Oddać jej wszystko, nawet szczęście posiadania, nawet widok cielesnej piękności, nawet samą miłość, dla sprawienia radości o jednej sekundzie trwania — toż to rozkosz! Wszystko łatwo wykonać. Do najgłębszej tajemnicy dojść łatwo. Wszystko można zrozumieć i wszystko obejrzeć ze czcią wzrokiem oczyszczonym z samolubstwa. Ziemiska niewiedza przeistacza się raz w raz w płomyki świadomości, w symbole poznania — co gasną zapadając w mrok, ażeby się, jak gwiazdy za nadejściem nocy, znowu odrodzić.

Głowy stały się ukoronowane świetlistymi koronami z promieni księżycy, a z głębi nagich ciał wynikać się zdawała promieniejąca jasność. Były chwile, że on widział w niej Dianę-bóstwo, a ona widziała w nim Hermesa, równego bogom. Tworzyli rozkosz, która była posłuszna ich woli, a zarazem rozkazująca im samym, żeby ją tworzyli. Była wśród nich ciągle, była ich własnością, a nie znali jej, podobnie jak nikt nie znał orfickiej tajemnicy w dolinie Tempe.

Nastały dzieje pewnego bukiecika fiołków. Był bukiecik pomiędzy obojgiem ust i był na piersiach, w których serce święte wiecznie bije. Stał się wonią pocałunków i zapachem odkrytych ramion. Listki jego były rozsypywane na łonie śnieżyście białym — i zagradzały drogę ustom do ust. Wargi obojga całowały go jednocześnie, a oczy jednocześnie wgłębiały się w jego ciemną toń.

Dzieje pewnego rysunku, który sztycharz angielski dla świata ocalił... Grecka idylla, gdzie para szczęśliwa objawszy się śni wśród kwiatów. Dumanie nad tym, że w życiu ich stało się na jawie to, co sprzed wieczności chciał wyczarować geniusz... Prosty, cudny, zabawny aż do śmieszności rysunek. Chciał wyrazić to, co było w ich życiu, tę woń i urok, chciał bezsilnymi kreskami wyrazić szczęście, zatrzymać na wieki uśmiech, przykuć do

<sup>85</sup>podźwignienie — dziś popr.: podźwignięcie.

papieru westchnienie... Darmaś się silił<sup>86</sup>, Artysto, drogi, kochany człowieku, wierny przyjacielu w nieznanym morzu ludzkości...

Dzieje szarego płaszczka i bonnetki<sup>87</sup> tego samego koloru. Dzieje szarego irysa... I dzieje trzech róż, co przez jedną noc smutku uschły na sercu...

\*

„Nie zdołam wyrazić słowami rozdarcia, którego doświadczam. Siadłem tutaj, w tym pokoju hotelowym, żeby pisać, bo to jedyna ucieczka przed zaciskaniem się serca, wzmagającym się bez miary. Lecz cóż napiszę? Po co jadę? Dokąd jadę? Czymże jestem? Gdzie jestem? Chwilami w wagonie zdawało mi się, że zwariowałem i światem lecę. Porzuciłem Ciebie. Teraz widzę, jak marnym i nędznym jestem człowiekiem. Istnieję tylko przez Ciebie. Nigdy w życiu nie doświadczałem takiego zamętu w uczuciach, takiego ucisku myśli, nawet wówczas, gdy do Zglicz uciekałem. Wówczas dźwigała mnie męska wyniosłość...

Próbowałem w wagonie czytać przewodnik po Rzymie, ale ilekroć otworzyłem książkę, drgał w uszach dźwięk jakiegoś głosu. Jestem strudzony od uczucia smutku, jakbym przeszedł o głodzie kilkanaście mil albo przetrwał chorobę. Czego się dotknę i na co spojrzę — wybucha płaczem. Łka przestrzeń za mną i przede mną, wypominając wciąż jedno imię.

Nie mogę pójść na pocztę, bo już za późno, a marzę, że mógłby tam być list od Ciebie. Cóż bym dał za to, żeby go znaleźć. Jutro rano z tego Krakowa wyjadę, a wieczorem będę w Wiedniu. Żeby prędszej! Nie pocałowałaś mię, gdy wsiadałem do wagonu. Płakałaś. Teraz mi tego pocałunku najbardziej żal. Och, kiedyż znowu Twe usta... Wiem, że mię kochasz. Kochaj! Najśodsza!... Oszalałbym straciwszy Ciebie. Nie istnieje czas i przestrzeń. Jestem z Tobą i Ty jesteś ze mną.

Czy znajdę list na poczcie jutro rano, czy znajdę list w Wiedniu? Noc, noc! Zegary na wieżach jęczą. To czas leci. Głosy ich przerażające i pełne okrucieństwa szybią w powietrzu. Hejnał mariacki zaciska oczy pociesze, dusi za gardło nadzieję. Czy do Ciebie doleczą te głosy, czy je posłyszysz splakana, we śnie posępnym pogrążona? To ja stać będę nad Tobą. Usiądę przy Twym łóżku... Złe przecucia — i owo najgorsze, że Cię więcej nie ujrzę, zdaje się stać za drzwiami i rękę kłaść na klamce. Głowa boli, szum w uszach i rozłamanie moralne.

Lichy ze mnie teraz podróżnik. Słyszę uszyna nie dźwięk dzwonek, lecz głosy zadźwiękowe, mało co widzę, choć patrzę na przedmioty, a w gruncie rzeczy widzę tylko smutek własny na przesuwałej się ziemi, na obcych twarzach. Nic mię nie pociąga. Wygasła we mnie siła ciekawości. Nie ma nic gorszego nad jazdę koleją w takim nastroju. Jakże doskonale pojąłem dziś tę prawdę, że wszystko, cokolwiek bym zrobił w rozwodowej sprawie dla naszego szczęścia, cokolwiek bym przedsięwziął, zobaczył, czego się nauczył, do czego dotarł i co zdobył — niewarte jest jednej chwileczki uświęconej przez Twój niebiański uśmiezek. Żegnam Cię z takim uczuciem, jakie powinno zmaczać wszystkie względem Ciebie przewinienia.

Twój do śmierci — Łukasz.

PS. Nie napisałem tutaj tego, co czuję. Jakieś słowa literackie... Na to, co czuję, nie mogę schwycić nazw, słów prawdziwych. Ale mnie zrozumie Twoje serce otwarte na miarę anielską i może prawdę przeczytają poprzez zasłony słów Twoje oczy widzące. Żegnam Cię”.

„Piszę te kilka słów z Wiednia. Mam na sercu Twój list. Dostałem go w Krakowie. Nie było czasu czytać, więc go tylko przycisnąłem do serca — i na kolej. Czytałem w wagonie.

<sup>86</sup>*darmaś się silił* — przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: darmo się silił.

<sup>87</sup>*bonnetka* a. *bonetka* — rodzaj damskiego nakrycia głowy; czapeczka zasłaniająca boki głowy, uszy i policzki dzięki wiązaniu pod szyją oraz daszkowi wzdłuż całej przedniej krawędzi kapturka, tworzącemu mniejszą lub większą „budkę”.

Teraz na sercu. Tak mu lżej, tak lżej, gdy na nim leży list! Zdaje się, że to Twoja głowa leży na piersiach, że Twoje jasne, jasne włosy snują się przed łzami oczu. Och, Boże. Twój list... Umieję go na pamięć jak precudne wiersze... Nie jest to list, lecz pocałunek... Noc znowu ciemna nade mną, a w sercu coraz dokuczliwsza kolka tarniny, coraz złośliwsza drzazga żalu. Pamiętasz naszą wiosenną rozmowę rok temu w ogrodzie? Rozwodziłem się wówczas szeroko i długo, chciałem Ci zaimponować uczonościami i greckościami...

Dziś szedłem tutaj przez olbrzymią aleję. I oto pewien konar drzewa, jedna grupa przypominała mi tamto miejsce. Z całej rozmowy został tylko obraz konara... Twoje oczy, gdyś słuchała, i Twe usteczka... Upadłem na ziemię duszą i szlochałem. Jakże Cię Kocham! Jakże Cię miłuję, małżonko moja, powiernico serca, oblubienico duszy! Jutro znów dalej. A przecie, gdy załatwiam wszelkie czynności tej podróży, to właściwie nie czynię nic, nie podróżuję, nie zbliżam się do Rzymu, lecz tylko wciąż oddalam się od Ciebie. To jest jedyna czynność moja. Wszystko, cokolwiek się dzieje, to tylko ciągle i nieskończone oddalanie się od Ciebie. Ten i ów człowiek do mnie mówi, odpowiada na moje pytania, dowodzi lub zaprzecza, a ja tak rozmawiając z ludźmi rozmawiam tylko z Tobą, jestem z Tobą i patrzę bez końca w Twe oczy. Chciałbym być niebem, jak Plato w swym wierszu lirycznym — i chciałbym posiadać wszystkie oczy na ziemi, żeby patrzeć na Ciebie”.

„W Tarvis. Moja pamięć zatrzymała się na jednym punkcie jak skazówka zegara i oznacza wciąż tę samą godzinę. Ach, kiedyż tryby tego zegara znowu się ruszą! Kiedyż tędy będę do Ciebie powracał jako człowiek wolny! Miejsca obce, niech was co prędzej zobaczą, gdy będę wracał! Niech zegar zatrzymany pocznie odmierzać godziny życia nowego, życia pełnego prawdy i siły, wielkości, olbrzymich dzieł i odkryć!”

„Jechałem w nocy z Wenecji. Światło smugami padające obok żelaznego mostu w czarnej wodę — hieroglify smutku, promieniste pismo klinowe, które mozolnie czyta dusza, żeby złożyć sobie samej pieśń nie do śpiewania, słowo miłości. Rano. Widać drzewa oliwne. Bluszcz oplata wysokie pnie. Rowy obrzeżające kwadraty pól. Wzdłuż tych rowów wciąż drzewa oliwne. Wszakże to w ogrodzie oliwnym przecierpiał godzinę swoją Chrystus?... Modlił się: »odwróć ode mnie kielich goryczy«... Ty, która umiesz się modlić, to znaczy obcować z Bogiem...”.

„Nie mogłem się powstrzymać, żeby na jedną noc nie stanąć w kochanej Florencji. Mieszkam w hotelu Porta Rossa. Z okna mej izby widzę wieżę Duomo. Gdybym był tym listem, za kilka dni byłbym w Twoim pokoiku, może na Twoich ustach, może na piersiach Twoich... O białe piersi, piersi moje... Prześniłem na was złoty sen mojego życia. Dziś utraciłem już prawie wiarę, że moje usta mogły bez przeszkody i bez rachuby tulić się do boskiej linii, która was dzieli czy łączy, a oczy moje mogły zasypiać w olśnieniu waszej piękności. Mamże wierzyć, że to, co mię teraz ze snu porywa jako straszliwa krzywda, to w moim życiu na pewno było? Rozkosz mojego czoła, Twoje ramiona, Twa szyja przeświecająca spod jasnych splotów...

Jestem sam, straszliwie sam. Obok mnie jedyni towarzysze — pled, laska i tom starego Montaigne'a. Tyle zostało ze świata, w którym Ty żyjesz. Toteż ręka nie może się rozstać z pledem i laską. Tam, w ulicach, wre życie włoskie. Światła elektryczne jednostajnie lśnią w oddali. Przed pół godziną duet uliczny z towarzyszeniem mandoliny przygłuszył gwar. Słowa pieśni miłosnej brzmiały w uchu. Pieśni miłosnej... Jakież to dziwne słowo, jakie dziwne zdarzenie! Alboż inni ludzie kochają? Skądże im może być wiadomo, że istnieje miłość. Miłość jest to przecie moja sprawa. Jest to stan mojej duszy. Melodia wbiegła do izby, jakbyś Ty sama wbiegła do izby i o coś nagle zapytała. Doświadczyłem uczucia, jakbym się po dziecięcemu zachłysnął...

Patrząc w ulice tego obcego a tak swojskiego miasta, jakże zazdroścę młodym ludziom, którzy prowadzą pod ręce śliczne kobiety, co idą dokądś, do tajemnych miejsc ich

miłości!... Ja tylko jeden, wygnaniec, szukam w tłumach, czego oczy nie znajdują, patrzę z przeraźliwą ciekawością, wiedząc na pewno, że nic tu nie ma. Oczy poszukujące znajdują tylko wygnania, bo każda rzecz i każde miejsce jest torturą dla żywych spojrzeń miłości.

Jeździłem dziś tramwajem elektrycznym na górę, do Fiesole. Spomiędzy kęp cyprysów, zza róż i wistarii wiosennych patrzyłem na Florencję. Stary, odwieczny mur. Fale przypołudnika z kwiatami jak nasz pocziwy, lubelski oset przewalają się przez jego grzbiet niby dzieci przez ręce i kolana ojca. Fale kwietne i zielone płyną, kapią, wiszą soplami, pełzają ku południowi. Gdybyś tu była! Miłość mieszkająca w moim sercu jest jak cień: zjawia się nieoczekiwanie na rogach ulic, ukazuje się na gzymsach domów, siedzi smutna pod gałęziami drzew — znika i znowu po chwili wraca.

Z każdej róży florenckiej, co się z muru zwiesza, czyha westchnienie za Tobą. Tęsknota daje poczucie oddalenia, poczucie obce ludziom „normalnym”. Wiecznie w tym uczuciu oddalenia jest coś nowego, coś nieznanego, nieustanna trwoga i, jak w muzyce, niezniszczalna energia. Umiałem dawniej żyć samą nienawiścią, być jak granat naładowany japońskim prochem *szimozę*.

Umiałem służyć samemu sobie do tego celu, żeby myślą zabijać. Teraz Ty dałaś mi poznać syntezę życia i ukazałaś melodię miłości. Przez Ciebie osiągnąłem dobro nieznanne mi dawniej, które było we mnie ukryte.

Zasiałaś we mnie łaskę duchowego spokoju. Toteż miłość moja do Ciebie godna jest gruntownego badania i szczegółowego opisu. Jest to bowiem sprawa najdostojniejsza, fenomen nierównanej wartości, historia przetworzenia się duszy, przejścia z jednej formy w inną formę, czyli historia jej postępu. Utrwała się i przekazuje pokoleniom chwila lotnego natchnienia Mozarta, niejeden kaprys Chopina. Czemuż nie mogę wyrazić tej prostej a tak doskonałej mądrości, która mię uczyniła innym aż do gruntu. Miłość moja do Ciebie jest to czysta rozkosz, wielka i wieczna radość, spokój i pogoda — niby pogoda roztoczona w niebie nad precudnymi wzgórzami Toskanii, które widać ze stopni starorzyskiego teatru we Fiesole”.

«Rzym! Jeszcze włosy zakurzone, skóra na twarzy schłostana od wiatru, czarna od kolejowej sadzy. Ale już jestem w izbie własnej. Postanowiłem zająć pierwszą lepszą, byleby była, oczywiście, tania, jak najtańsza. Byłoby mi wszystko jedno, czy okno moje otwierać się będzie na śmietnik, kuchnię hotelową, czy na ogród kwiatowy. Któż by uwierzył! Oto wprowadza mię stara jędza z zawieszonymi wąsami do izby, otwiera okno i ukazuje ręką najczarowniejszy ogród! Tuż przed oknem, pod dolną jego ramą — palma daktylowa. Śni nieruchomo pień jej luszczaty, a gruzły żółtych, niedojrzałych daktyłów leżą między liśćmi jak w misie. Daleko widać zagaja kameliowe, rosnące w kątach ogrodu jak u nas leszczyna i bez. Zwiędłe krwawe i białe płatki zaścielają ziemię. Nazwałem zaraz ten gaj gajem mojej oblubienicy. Czy ten wypadek, że otrzymałem taką izbę, nie zwiastuje czegoś dobrego? Powiedz! Powiedz! Izdebka mała, ciasna jak kaftan wariata, o ceglanej podłodze. Cóż z tego? Cóż z tego, że fundusze są minimalne, że z nich we dwoje nie wyżylibyśmy tu, jak była mowa, żadną miarą.

Trzeba będzie szukać na gwałt roboty. Ty jesteś ze mną w ciszy tej izby. Będę tu sam całymi miesiącami, niepragnący niczyjego towarzystwa. Ty *jesteś* ze mną. Ach, teraz już każdy dzień upłyniony będę zwał za siebie, jak tragarz zwał z ramion przydźwiganą do celu pakę cukru. Z rozkoszą notorycznego lichwiarza obliczam zyski na czasie, na szybkości pociągów, na krótkości noclegów w tej drodze, którą poznałem. Każda moja myśl zaczyna się w taki oto mądry sposób: — Gdy będę jechał z powrotem... — Obmyślam przespiewgi i podstęp. Już byłem raz w kancelarii wielebnych *patrów*. Ale o tym nie będę pisał, ja się do tego biorę z zakasanyimi rękawami. Och, księża! Teraz moja sprawa z wami! Wygram ją, wygram!”

„Czekam już kilka dni na pierwszą konwersację z pewnym dygnitarzem w skromniutkiej rewerendzie. Nic, nic, ojcuzkowie: ja umiem czekać. Choćbym zginął, to się i tak doczekam!

Broda moja pod słońcem Italii, miasto<sup>88</sup> szernieć, przybrała kolor jeszcze bardziej niezdecydowany. Zdaje mi się, że stanie się kiedyś podobną do kwiatu nasturcji. Ale za to co za oczy! Jakże piękne mam oczy!

Biada Ci, Ewo! Jeżeli nie będziesz mi wierna, uzyskawszy od zacnych kapłanów rozwód, pojmę tu w Mieście Wiecznym jakowąs grubo posażną Seforę i będę się trudnił, zależnie od posagu, już to pasterstwem (po pierwszym *s-t* konieczne!), już wyrabianiem podobizn sera szwajcarskiego, albo zgoła założę tawernę pod miastem w Bosco Sacro.

Nim to jednak nastąpi, jestem skądinąd, wyznać należy, dosyć niezamożny. Dziś dałem do podzelowania buty. Jutro tedy będę jeszcze piękniejszy o całe podeszwy. Dziś, niestety, siedzę w domu bez podeszew, a nawet na łóżku, z podwiniętymi nogami, albowiem posadzka z cegły nie jest wcale ciepła. Czy się nie lękasz, że to wszystko może we mnie zapalić miłość do mojej *ongiś* żony?

Drżysz, Ewo! Jestem od tak dawna zanurzony w celibacie... Szatany tęsknoty, szatany marzeń o Tobie mieszkają we mnie. Wylewam tedy na cały ów Rzym czarę żółci z cytryną i mówię mu, jak Jonasz pewnej Niniwie: — Bodajbyś skisła, ty księżna Niniwo, która mię tu trzymasz siedzącego na łóżku w skarpetkach (dziurawych!)”.

„Ewo! Dostałem w tym Rzymie zarobek, »posadę«, jakby zaraz powiedział pocziwy papuś. Było to tak. Pewnego razu, czytając w domu, gwizdałem sobie aryjkę polską. Gwizdałem raz i drugi. Aliści rozlega się pukanie do drzwi. — Otwieram — jegomość nieznamy. Mieszka w tym samym hoteliku, tylko niżej i znacznie lepiej. Przedstawia się, nazwisko niemieckie — Gertler — ale pyta, czy mówię po polsku. Polak z Wiednia. Jest to polskość po bardzo zniżonej cenie, po prostu — cztery sztuki za grosz. A przecież aryjka polska zwabiła go do mnie. Gadu-gadu z kiepska po polsku. Jest dosyć znacznym urzędnikiem w ambasadzie austriackiej. Po długich z nim gawędach powziąłem wiadomość, że w owej ambasadzie można znaleźć zajęcie, nawet zyskowne. Tłumacz z jej poręki rozmaite dokumenty historyczne w sekcjach naukowych, zbierają dane, piszą referaty.

Otóż — wyobraź sobie — przydał mi się język starosłowiański, grecki i, *mirabile dictu*<sup>89</sup>, polski! Już od kilku dni siedzę w biurach Watykanu i pracuję. Tłumaczę, jak obecnie, stare dokumenty na niemieckie. Określonej pensji nie mam, bo jest to zajęcie od sztuki i od nawału roboty. Ale widziano już moją pracę i już mi to nie uciecze. Taki antropolog da sobie radę! Sprawa idzie niezłe. Zapracuję się i, jeśli tylko nie zdechnę, będę wolny i wiecznie Twój”.

\*

Pomiędzy dniami szczęśliwej miłości i dniami osamotnienia Ewy zaległa wielka zasłona. Zdawało się na początku, że zasłona jest cienka jak płócienna chusta, a ruchoma jak chmura. Ale gdy długie poczęły mijać dni, chusta otworzyła tajemniczy swój wymiar wszerz i stała się daleką okolicą, krajem rozległym, wielką ziemią.

Nad krajem tym leżała wieczna noc. Nigdy tam nie wstawało zza widnokregu słońce i nigdy nie jaśniała zorza z zachodu. Gdy oczy przywykły do mroku, ujrzały zarysy tej krainy wygnania, kształty na niej żywiące, a nawet drogę, co się wlokła w nieskończoną dal, drogę, po której miały iść stopy skazane.

Ileż to razy, brnąc w swe wygnanie, Ewa marzyła, żeby spotkać istotę współwygnaną, ktokolwiek miałby nią być: żebrak spijający w rowie przydrożnym czy pies sparszywiający, odpędzany kijem i krzykiem od każdych drzwi. Ale nie było nikogo. Nikogo!

Była sama jedna, jedyna, jak ostatnie drzewo nasienne w pustkowiu po wyciętym lesie. Z tego to zapewne bytowania w samotności wyrodził się w duszy jakby nowy organ poznawczy: drapieżna, dzika czujność.

<sup>88</sup>miasto (daw.) — tu: zamiast.

<sup>89</sup>mirabile dictu (łac.) — aż dziw powiedzieć; rzecz zadziwiająca.

Samotność, Wygnanie,  
Błądzenie

Czego za światła, w dobie radosnej miłości nigdy by oczy nie zobaczyły, to teraz było jedynie jawne. Zarazem mnóstwo przedmiotów dawniej oczywistych znikło teraz z powierzchni ziemi i zostało złożone w duszy, w jej podglebnych składach, chodnikach i zaułkach. Kraj samotności, przez który Ewa szła w swym niestrudzonym pątnictwie, był krajem najbardziej bezwzględnie należącym do Boga. Błąkając się tedy w ciemnościach świata zewnętrznego, błąkała się w Bogu. Kraj podziemny był krajem duszy. Kryjąc się przed światem zewnętrznym, kryła się w duszę swą tak zupełnie, jak kret kryje się w macierzystą ziemię.

Tam to jedynie mogła wyrażać cierpienie swoje bezgłośnymi krzykami, co stały się językiem jej codziennym, mową jej pospolitą. Tam jedynie mogła iść naprzód i wracać co prędzej po własnych śladach, rzucać się jak lis w kluczowe skoki dla zmylenia pogoni nieszczęścia. Z zewnątrz okryta była własnowolnym milczeniem, kamienną ciszą i lodowym spokojem. Jak dawniej — chodziła do magazynu mód, jak dawniej — żyła życiem normalnym. Owa idiotyczna praca w magazynie, trawienie dni w gronie głupkowatych wyrobnic igły, wędrówki z domu do magazynu i z magazynu do domu — były to nawet konieczne dla niej podniety do życia. Gdyby tego zabrakło, już by nowych szukać, a tym bardziej znaleźć nie była w stanie. Podobnie było niegdyś w biurze kolejowym. Tylko tamto było kaprysem dziecka wobec tego, co na nią teraz upadło.

Miała przeczucie, że zaszła w ciążę.

Brak znanych objawów, szczególna fizyczna żarłoczność, silne a dawniej nigdy niedoświadczane bóle głowy i twarzy, nagle zawroty zjawiające się bez przyczyny i przechodzące bez skutku, rozdrażnienie, nieustający ogień w gardle, a nade wszystko obmierzły smak w ustach — wszystko to zaczęło ją osaczać, ogarniać i z wolna nauczać. Żyła w nieustającym pościgu obawy wśród symptomatów czyhającego nieszczęścia.

Zdarzało się, że wszystkie owe zwiastuny przycichały.

Wówczas oddychała całą piersią. Ale wkrótce... Budziła się rano z nieznośnym smakiem w ustach, który, wzmagając się stopniowo, doprowadzał do mdłości — i oto furie rzucały się na nią z poczwórną pasją. Nie miała wcale dokładnej wiadomości o tym, co się z nią dzieje. Wiedziała przypadkowo, ze sluchu, stąd i zowąd cośkolwiek. Teraz te wszystkie wiadomości poczęły wyrastać jak przeraźliwe gorgony, chimery, harpie, lby psie i sowie, jak strzygi i drzewa wielkokrzewy, jak straszne góry otaczające dolinkę życia. Szła pamięcią za każdym z owych podań, docierała szalonymi skokami do źródła, skąd, z czyich ust wytrysła każda w przeszłości (obojętna wówczas) wiadomość lub półśłówko — i oceniała wartość każdej z tych wieści rozumem tak wyostrzonym, że niemal tworzyła sobie z niewiedzy i nicości prawdę istotną. A na drzewach owych prawd wyszarpanych z mroku rozsnuwały się nieskończone pasma, włókna i nici przesądów. Była przez te nici opasana i zaplątała się w nich jak mucha w pajęczynie. Każda chwila dawnego życia, to jest czasu, kiedy była razem z Łukaszem, teraz dopiero stała się zrozumiałą. Każda z owych chwil wchodziła w miejsce swe i łączyła się z innymi za pomocą powinowactwa, hierarchii i nieubłaganego porządku. Wszystko stało się zrozumiałe, jako przyczyna i skutek.

Zjawiska wylupywały się ze zjawisk. Zdarzenia na pozór proste otwierały swe łona zamknięte, w których tały się przerażające widoki. Leciał z tamtej, prześnionej krainy ku duszy polotny, syпки szelest długowłosych brzoź, naginganych od ciepła suchego wiatru. Płynęła stamtąd na zgaszone oczy falista chelb zbóż, snująca się poprzez lany młodego żyta i rozłogi pszenicy.

Zamarły widok kopuł bzu pachnącego, w deszczu zmoczonych, wlewał się w oczy zalane łzami. I tak objąwszy ciało, opasawszy duszę, złe moce rzucały skalę na piersi z krzykiem potępienia: — tam się urodził twój grzech! — Widziała wtedy wzrokiem użyczonym, podczas gdy włosy jeżyły się na głowie, a w uszach syczał świst i łopot tajemniczych skrzydeł nieszczęścia, wszechmoc namiętności. Widziała kształty ich czyste, figury pozbawione wszelkiej osłony. Patrzyła na to, jak one służą tylko samym sobie.

Badala je w jasnowidzeniu, przez nieskończenie zbliżające szkła nieszczęścia, z ciekawością i uwagą nieznaną ludziom, którzy chwilowo bytują poza krajem niedoli. Widziała różnorodność namiętności, ich rodzenie się, rozwój, bujanie w przestwór i zgon. Dostępny dla jej czulego poznania świat namiętności był nieskończenie cudaczny, jak świat chorób, jak świat drobnoustrojów albo jak świat z dna morza. Były godziny, że z wlepionymi

w swą przeszłość oczyma, z rękami wbitymi we włosy pytała się minionego świata z krzykiem i rozpaczą:

„Któżes ty jest? Skądżes się wziął na nieszczęście ludzkie? Kto cię utworzył i — na co? Kto oddał dusze ludzkie w twoje wszechmocne szpony?”.

Odpowiedzi nie było nigdzie.

Było poczucie władzy nieodwołalnych wypadków. Była ponura pewność, podobna do takiej, jakiej doświadczyłby człowiek patrzący na to, że miejsce, gdzie wykwitły przenajcudniejsze okrążki i listki korony kwiatu jabłoni, zajęła powłoka gruba mięsista, w której z dnia na dzień rozchodzą się twarde i tłuste komory owocu.

Stawanie się, żywot i przemoc faktu, dokonywanie się jego poza wszelką siłą i wbrew wszelkiej woli prowadziło duszę coraz dalej i dalej w kraj subtelnej ciemności. Z chwilą gdy dusza poznała cośkolwiek z rzeczy i spraw ciemnonocnych, cierpienie oswoić się, przywyknąć, pogodzić się i spocząć nie dało jej ani na chwilę.

Co prędzej gnało ją dalej. A gdy upadłszy na ziemię wbijała palce w grunt znany i zlewała go krwią łez, zaciskało sprzączki smyczy i wlokło ją zduszoną na śmierć, gdy trzpienie wbijają się w podzuchwowe gruczoły, a rzemień dławi gardziel.

Nieraz, zdruzgotana na śmierć, postanawiała, leżąc pod progiem szaleństwa, nie dać się światu. I cóż z tego, że będzie miała dziecko nieprawe z człowiekiem, który ją samą zostawił i gdzieś za granicą przepadł? Rodziły przecie i rodzą młode dziewczęta dzieci, chodzą długo ciężarne, bezkształtne, rozdęte, a później wracają znowu do pięknego świata, widzą znowu oczyma bez i jaśmin, słyszą znowu wesołą muzykę i męski śmiech. Ubierała się starannie, szła do magazynu, pracowała spokojnie, brała w siebie przemocą wesołość i spokój. Ale nagły poryw wymiotów wśród pracy — spojrzenia śmiertniczości ironii ciskane przez koleżanki — tłumna ich a najżywsza radość na widok jej strwożenia — szept szczęścia wśród ich zastępu, gdy nie mogła ukryć, co się z nią dzieje, i truchlała — wszystko to wracało ją nazad do ziemi nieszczęścia. Porywał ją spazm wewnętrzny przed światem, wielka, ponad wszystko bojaźń prawa umówionego między ludźmi w ciągu wieków przeciwko ciężarnej dziewczynie.

Gonił ją ulicami śmiech kobiety, który depce nogami i włóczy w błocie. Smagały ją zjadliwe a milczące spojrzenia. Trzepały się nad nią czarne skrzydła słów plugawej zniewagi. Biły ją po głowie kije drwin męskich, ulicznych piosenek o ciężarnej dziewczynie, które była niegdyś słyszała. Stawała się znowu dla samej siebie niczym już więcej, tylko przedmiotem pośmiewiska. Przeobrażała się z wolna w stojącą u pręgi, na którą ludzie ze wszech stron i z całkowitą rozkoszą miotają swoją zemściwą głupotę, pluja niecnym swoim dowcipem, mszczą się za pomocą grubego i brudnego konceptu. Nie mogła sobie zrobić tej ulgi, żeby uwierzyć ku pocieszeniu serca, że ta złość świata jest tylko czasowym jego skażeniem i zależnym od mnóstwa przyczyn zepsuciem. W strasznej niedoli swej przychodziła do drzwi gorzkiej prawdy, że ścigająca zemsta jest jedną z najbardziej normalnych właściwości natury ludzkiej. Sama jedna jako ciało i sama jedna jako dusza, przybiegała do domu i padłszy na łóżko miotała się po nim, nadaremnie prosząc bezlitosną śmierć, żeby ją grzeszną zabiła.

W tych minutach zaszczucia przychodziło kiedy niekiedy, ale bardzo rzadko, przedziwne uczucie: uczucie wielkości. Zdawało się wówczas, że ją dźwiga i unosi ramię mocnego demona. Stawała się czymś zgoła odrębnym od świata i była od niego niewątpliwie wyżej. Stała wówczas poza ludzkimi uczuciami, troskami, poza drzeniem i lękiem w obliczu niedoli, które są przecie stokroć gorszymi od niedoli samej. Przeobrażała się w czystą siłę cierpienia, która się wznosi ponad życiem ludzi i ponad nędzą ciemności, wreszcie ponad życiem własnym. Siła jej wówczas stała blisko wszechrzeczy, a jednak w odosobnieniu od wszystkiego, co jest rzeczą i sprawą. Przenikała wszystko aż do samego dna jak powietrze — i spoglądała we wszystko na wskroś jak światło słońca. Subtelną i potężną władzą siła cierpienia uderzała w sprawy ludzkie, i oddzielała jedne od drugich nieomylnie, cicho i dobrotliwie.

Gdy bolesne oczy ciała błędziły po nagich ścianach, po miejscach obnażonych z wapna, po rysunku powstałym z wypaści i pęknięć, sęków i skaz, wzrok cierpienia widział pismo czytelne. Z kresek, plam, z osędzielisz kurzu i połysków zabląkanego światła tworzyły się lica szczególne. Zarysy ich zabijały nadzieję i strącały w przepaść pociechę, gdy dźwigając się, znikąd powstawała — rosły znaki przeklinające i rysy jakoweś, które można by nazwać

nutami poznania. Zdarzenia, wypadki, fakty przemieniały się na nuty pisane po ścianach, na martwe znaki, według których dusza snuła symfonię swoją zaświatową. Symfonia była olbrzymiego zakresu, straszliwej piękności, niestrzymanej siły. Oczy ducha widziały nuty, a słuch pełen był zaświatowej symfonii.

Wykwitał na rozchylnych ustach i w wyschłych oczach uśmiech zwycięski. Powiew wzniesłego podwyższenia, gardzące wszystkim uciszenie ochładzało znużone skronie. Wówczas dusza na własny swój użytek, dla samej siebie tłumaczyła wypadki, sądy ludzkie, uczucia przeżyte, rzeczy widziane, dnie szczęścia i noce rozpacz. Przekładała sobie nędzę żywota na nowy język, który był jej językiem, i wiązała z nich po bielonych drewnach ścian jakoby napisy, aforyzmy, zdania nieodwołalne. Z tych zdań, łagodnie, znikąd przychodzących, wysnuwała się mądra, niezłomna, nieomylna wiedza duszy, jej *pismo*.

Lecz chwile tych halucynacji prędko mijały, gdyż rozwiewała się wiedza duszy pod uderzeniami maczugi.

\*

Ostatni list Łukasza Ewa otrzymała w połowie maja. Później przestały przychodzić. Minął cały czerwiec i mijał lipiec. Zarazem w tymże okresie czasu ustaliła się w umyśle Ewy pewność, że jest przy nadziei. Zmieniła się zupełnie jej figura. Ewa czuła już w sobie ruchy płodu i bicie jego serca.

Nie mogąc ukryć tego stanu przed oczyma ludzkimi, przestała w dzień wychodzić z domu. Magazyn mód porzuciła zupełnie. Dnie spędzała u siebie w izbie. Późnym wieczorem, okryta chustką wymykała się na miasto po pożywienie, które kupowała w coraz odleglejszych zaułkach miasta, częstokroć na drugim jego krańcu, dla uniknięcia wszelkich z ludźmi stosunków i dla zatarcia wszelkiego po sobie śladu. Mieszkanie miała zapłacone za cały rok wówczas jeszcze, gdy je wynajmowała wspólnie z Łukaszem. Na żywność traciła bardzo niewiele. Trochę pieniędzy zostawił jej był Łukasz, trochę miała zarobionych w magazynie. Jadła tylko chleb i wędlinę. Do tego miała specjalny gust, a nawet całodzienne łaknienie. Jadła późno w nocy gotując sobie na maszynie herbatę. Sypiała długo w dzień, do dwunastej.

Około dwunastej w południe zjawiał się był dawniej listonosz. Toteż teraz, w ciągu długich tygodni, około dwunastej stale na niego czekała. Czekala leżąc na wznak, z oczyma półwidzącymi, z których kątami płynęły łzy bezsilne i martwe. Przychodził dawniej ów stary człowiek z rudym zarostem tak punktualnie, że mogła była czekać nań patrząc na skazówki zegara. Był wówczas jak wykonawca, jak ścisły przestrzegacz woli Łukasza. Był wówczas jak dobrotliwy zwiastun miłości i jak najzyczliwszy powiernik. Dawała mu za każdy list złotówkę albo czterdzieści groszy. Uśmiechał się też, skoro tylko drzwi uchylił. Na jego twarzy zmęczonej od astmy, w oczach okrażonych czarnymi obwódkami rozniecał się przelotny, nikły blask. Znała odgłos jego kroków w podwórzu, na czterech drewnianych schodkach, znała sposób stukania do drzwi.

I teraz codziennie ścisłała w ręce srebrny pieniądz. Trzymała go w dłoni przez całą noc, śniąc na jawie i śniąc we śnie, że rano list nadejdzie. A po ocknięciu wszystka zmieniała się w słuch, w czekanie na znany odgłos kroków. I nieraz zawodne, mściwe zmamienie dawało jej słyszeć daleki, znany łoskot. Bił odgłos w jej serce, podwajał szybkość jego uderzeń — zbliżał się, zbliżał się... Z zamkniętymi oczami, nieruchoma, prosiła się tego głosu, żeby się zlitował — i chłodziła jak kamień, gdy tonął w nieskończonej ciszy. A straszliwa cisza otaczała ją znowu i przywalała ją znowu jak pole wielkiej gliniastej ziemi. Schodziło na nią fizyczne bezczucie albo najcudacniejsze zachcenia.

Były dnie, w których ciągu żyła złudzeniem najdoskonalszym, że wcale nie stało się to, co się stało. Do nieskończoności natężone pragnienie niosło w chwile młodości, kiedy jeszcze nie znała Łukasza i była wolną dziewczyną. Leżąc na krzyżu, z rękoma zasuniętymi pod głowę, z oczyma utopionymi w bielonych deskach powały, śniła na jawie, że w czerwcową noc po całodziennej pracy w zaduchu biura, po strudzeniu mózgu, kości, mięśni i nerwów — idzie sama jedna w ciemny Łazienkowski park. Z dała pachną jaśminy i różowe akacje. Nie ciągle, nie stale, tylko kiedy niekiedy szeleszczą wielkie drzewa.

To stary, ukochany dąb na wzgórzu... Ach, jak szeleszczą te wielkie drzewa, drzewa widma żyjące! Jak dziko, jak uroczo! Z dala, z dala, z otwartego gdzieś okna dolatuje nokturn Chopina. Muzyka smutna, a pełna siły najbardziej głębokiej... Muzyka smutna, a niezawierająca w sobie ani rezygnacji, ani wyrzekania.

Smutek i spokój splywa z tej tajemniczej, z tej bosko pięknej muzyki w ciemnoszelestny park, między widma drzew. Nie ma w niej grozy i nie ma rozrzewnienia, co kruszy wyniosły smutek i we lzy się wylewa. Nokturn ów — druga noc, druga obok tamtej... Jak noc — nokturn ów zawierał w sobie smutek, który mógłby ogarnąć cały ród ludzki i wystarczyć dla wszystkich dusz, co cierpią na tej ziemi. Jak wielka, cicha, tajemnicza noc, był siłą niewiadomą, zamkniętą w sobie i wiecznie żywą, co zachęca, ażeby mężnie i wyniosłe iść swoją drogą przed się, iść daleko, z oczyma utopionymi w gwiazdy ciemnego nieba. Jak noc wołał i porywał ku nieskończoności. Szła też wówczas, pełna młodych sił, jak powietrze przesycone zapachem jaśminu, owiana szelestem czarnych drzew, jak ciemność pełna tonów nocnej muzyki Chopina.

Co chwila podsuwali się ku niej z uliczek jacyś ludzie, zaglądali w oczy, i szeptali jakieś słowa i zagradzali drogę propozycjami. Słowa te spadały koło niej jak rzucone kamienie. Nie słyszała ich prawie, spojona uczuciami. Na zaczepki najbardziej bezwstydną odpowiadała w myśli krótką zniewagą:

„Odstąp, głupcze! Jestem człowiekiem spracowanym. Chcę odetchnąć po mojej niewoli. Chcę być sobą przez małą chwilę, i czuć, co daje niebo, noc i muzyka. Chcę być sama jedna z moją nocą, z moją muzyką i moim jaśminem...”

Na wspomnienie tamtych chwil palce jej zakrzywiały się jak szpony — wyprężyła się w tył, a z gardła wypadła skowyt rozpacz. Wiedziała to oczywiście, że tamto już przeszło na wieki i skonało bezpowrotnie. Nie tyle żałowała swej dziewiczości, ile swej duszy dziewiczej, wolności wewnętrznej, dumy człowieczej, zachwyty i porywu serca. Mówiła sobie, że zdradziła nie tyle rodziców, ile wieczność. Toteż dobrowolnie poddawała się widzeniom i złudom. Mamiła się całymi godzinami (aż do wybuchu rozpacz), że wcale nie oddała się Łukaszowi, że była jeszcze tą samą, co dawniej. Wszystko skupiło się we wspomnieniu szarego płaszczyka, dawniej, panieńskiej okrywki. Iluż to uczniów, studentów, iluż poetów ów szary płaszczyk budził ze snu, gdy chodziła na pensję! Skoro się ukazywał na ulicy, ileż serc młodzieńczych biło i ile oczu gorzało. Lubiła zarzucać jedną jego połę, gdy szła z pośpiechem... Mówiono jej o tym i pisano w tajnych liścikach, że poły tego płaszczyka — to skrzydła anioła...

Dziewictwo, Wolność

Lubiła teraz nawracać snieniem do tamtych dni, ale nade wszystko lubiła marzyć o chwilach, kiedy się opierała Łukaszowi, kiedy się broniła na zabój... Widziała znowu dzień wietrzny w czasie marcowej odwilży, kiedy stali na pochyłości góry. Był wtedy szczególnie wzruszony, miał oczy pełne łez, a w ustach słowa tak zachwycające, tak miłe, tak cudne!... Musiała była odejść, a on w tym miejscu zostawał. Kiedy na pożegnanie przywierali do siebie wzajem ustami, zdawało się jej, że już przestała żyć i leci w rozkosznym, zimnym wicherze razem z nim, jako pył, jako pył ziemski. Zimny wiatr okręcał jej suknię około jego nóg, a zimowy płaszczyk dookoła jego ramion. Byli spleceni i mieli oboje jak gdyby te same skrzydła. Upadła wówczas przed nim na kolana, objęła jego nogi rękoma. Była to rozkosz nad rozkosze patrzeć nań z dołu, na związanego rękami, gdy w swym krótkim futerku nachylał się i uśmiechał. Dookoła był mokry śnieg. Dziko szumiały gałęzie świerków. Słyszała teraz w sobie szum tych drzew i razem z szumem leciała w wicherze.

A w parku, w ciemną noc! Siedzieli przytuleni, sami jedni, oddani sobie nawzajem duchem i ciałem. Słyszała i teraz jeszcze, jak w nim biło wzburzone serce, czuła ustami ogień jego policzków. Słyszała jeszcze błagalny szept...

Nigdy jednak nie ważyła się wchodzić myślami razem z nim do tamtego pokoju. Stawała na tym progu z załamanymi rękoma, jak obca dusza, i biła nieszczęśliwym czołem o te drzwi. To było bliskie tak bardzo, że nie można było spojrzeć nań z dala. To było tajne, sekretne i wykonane pod przysięgą. A teraz oto zdradzone zostało wszystko.

Najgłębsza rozkosz nocna, o której wiedział tylko on sam, Łukasz i ona sama — rozgłoszoną została po rogach ulic przez straszne, obce siły, poznana jest przez najbardziej wstydnějších szyderców, przez wrogów najbardziej mściwych!

Pewnego odwieczera, w drugiej połowie sierpnia, Ewa siedziała w oknie swej izby martwo patrząc w podwórze domostwa.

Coraz częściej zdarzał jej się teraz ów stan pozornego odrętwienia. Roztyła się i zbrzydła. Oczy miała podkute, rysy zgrubiałe i jakby opuchłe, cerę żółtawą. Sypiała coraz dłużej i wstawała coraz później. Już od miesiący nie rozmawiała z nikim, chyba w sklepiku. Raz tylko odwiedził ją gospodarz domu, zubożony Izraelita. Wszedł chyłkiem, niby od niechcienia. Usiadł na stolku i, rozglądając się pilnie po stancji, gawędził. Oczy jego długo zatrzymywały się na twarzy Ewy i zatapiały się w niej z uwagą. Ją wówczas poczęło przebiegać mrowie. Pot zimny oblał ramiona i plecy. Czowała, że ten człowiek ma zamiar coś z nią zrobić, że on to, nie kto inny, jest teraz jej władcą. A jeżeli on wie wszystko? A jeżeli już zawiadomił rodziców? A jeśli za chwilę powie, że ojciec już przyjechał albo Aniela?

W tej samej chwili rzuciły się myśli trwożące, że on ją komuś wyda, że ją z mieszkania wypędzi, że na mocy jakichś praw każe zabrać... Przeczowała, że na nią czyha siła fizyczna, brutalna napaść, zamach, który nie będzie końcem, lecz najwyższym spotęgowaniem niedoli.

Gospodarz „grzecznie” rozmawiał, czynił figlarne aluzje do jej stanu. Dopytywał się od niechcienia, gdzie jest mąż, czemu tak długo nie przyjeżdża. Odpowiedziała bladymi ustami, że niedługo już... przyjedzie... Żyd jeszcze raz poczęł żartować. Oczy jego zamglili żądza, którą Ewa już nauczyła się rozpoznawać. Wtedy uczuła, jakby ją ktoś ciał w głowę ostrzem siekiery. Powiedziała sobie wtedy, że musi umrzeć. Od owej chwili, która w jej umyśle wciąż była przytomną, minęły tygodnie nudy tak głębokiej, że nieszczęście w niej byłoby pożądaną rozrywką. Żyła w zupełnej ciemności, w gnuśnym zaniedbaniu. Stała się jak rola zarośnięta zielskiem. Nic już nie było przed nią i nic za nią.

Nie chciało się jej wracać do znanych cierpień, a nowych leniła się poznać. Straciła wiarę w to, żeby mógł istnieć jakiś inny świat uczuć, zgubiła w ciemności wiadomość nawet o tym, że żyją ludzie na świecie. Ziemia dla niej była pusta. Myśl wygasła, wola ginęła. Czasem jeszcze miotaly się nerwy, jak odruchowo miotają się członki zwierzęcia związanego powrozami. Nastąpiło bezwzględne bankructwo wszystkiego, już teraz rzadko kiedy widziała, jak jej, stojącej nad przepaścią, ziemia spod nóg się sypie. Nadchodził bezwład. W tej nocy okrutnej i nieskończonej nawet wspomnienie o Łukaszu uległo zaćmieniu. Pamiętała o nim nie jako o człowieku, lecz jak o czymś, co ma w sobie światłość. Ta światłość — to był przede wszystkim bolesny żal. Jak człowiek w nocy i ciężkiej gorączce pogrążony, który nie wie nic dokładnego o świetle słonecznym, a tylko o nim śni, czuła za sobą, w tej stronie, dokąd Łukasz pojechał, brzask gasnący. I to światło już nicestwiało.

Domyślała się, że i ono wkrótce pożarte zostanie przez ciemność, że nie będzie w jej sprawie życiowej nic a nic znaczący, tak samo jak nic nie znaczy matka, ojciec, Aniela — jak wszystko, co niegdyś było, a później przestało być, a wreszcie żadnego literalnie nie ma znaczenia. Pisała jeszcze wciąż listy i pod dawnym adresem wysyłała je do Rzymu, ale po co to czyni, co to ma za sens — już nie wiedziała.

Jeżeli do czego zwracały się jeszcze uporczywie jej pożądania, to do jedynej sprawy... Do sprawy nicości.

Nie być! Gdybyż to ktoś zakradł się zniecka i zabił ją w północy! Wszystko już przeżyła. Strwoniła swe szczęście, a teraz, obskoczona przez skutki, przez pętlice, stryczki i węzły męczarni, nie może znaleźć wyjścia. Jeżeli nawet jest gdzie wyjście, to bezwład nie da się dowlec. Myśl sama sili się jeszcze nadaremno i próżno kołacze to tu, to tam.

Resztkami obumarłych władz pragnęła nieraz dowlec się do jakiegokolwiek kresu i ujrzyć jakikolwiek widnokrąg. Na próżno! Bezwładność jak płynny muł oblegała duszę...

W upały sierpniowe po całych dniach wysiadywała przy otwartym oknie, z głową opartą na obu rękach, wpatrując się w przeciwległy kąt podwórza, gdzie stała nowa, drewniana kloaka. Wiązała, płatwy, drzwi, gonty, schodki i ściany tego budynku wryły się już w mózg i stały się symbolem śmierci. Jeżeli, choćby przypadkiem, zwróciła oczy w tamtą stronę, już ich nie mogła oderwać. Myśli wpadały jak w łóżyska i kluby, jak w zaciosy i fugi, którymi nieodwołalnie mknąć musiały. Sam żółtawoszary kolor desek natychmiast przyciągał i porwał ku sobie.

Śmierć, Brud,  
Samobójstwo, Ucieczka

W mgnieniu oka tworzył się schemat umysłowania o nicości. Skóra z lekka cierpła, przez włosy leciał syński mróz, oczy wlepiły się w tamten kąt podwórza. Jak dojść do nicości. Oto są drzwi pokoju. Drzwi te otworzyć. Cztery schody prowadzą na podwórze z wąskiej sionki. Podwórze. Trzydzieści kroków. Znowu schodki. Pięć schodów...

I drzwi. Któż je otworzy? Kto udźwignie rękę ciężką jak skała? Kto udźwignie nogi ciężkie jak góry? Kto wsunie i przekręci klucz w zamku? Tam już by łatwiej.

Zamknąć tylko oczy, westchnąć do Boga, rzucić się głową na dół, w otwór szeroki. Przez chwilę będzie bardzo źle, ohydnie. Rozkraczone nogi, zadarta spódnica... Ale za to stanie się nicość. I noc. *Jedna noc*. Stanie się owo greckie tajemne słowo. Nareszcie się skończy i przetnie ucisk duszy. Bo „dość już tego życia”. Nie będzie wcale ciężaru hańby leżącego na piersiach i na czole. Ani cuchnącego wokół powietrza cnoty obywatelskiej. I bólu w sercu, i żalu, i czekania. Już nikt nie przyjdzie z drwiącym swoim pyskiem, nikt nie zhańbi spojrzaniem posiepaka. Nikt już nie spoliczkuje przymrużaniem oczu. Noc jedna cicha...

I tego dnia, o którym mowa, siedziała jak zwykle. Myśli jej ociężałe snuły się około tego pewnika, że pieniądze, które posiadała, już są na wyczerpaniu. Mieszkanie zapłacone do końca roku, to prawda, ale z czego żyć, gdy wyjdzie ostatni grosz? Przeliczyła troskliwie swój zapas, myśląc się, jak zapisał, przy każdym obliczeniu.

Wkrótce i tym rachunkiem niby ciężką pracą zmęczona, zapadła w zwykły półsen o nicości. W chwili gdy tak siedziała, przesypując nędzne myśli jak piasek, spostrzegła jakiegoś pana chodzącego po podwórzu to tu, to tam, zagląającego z kolei do wszystkich sionek.

Był to śliczny młody człowiek, zapewne dwudziestokilkolletni, wysmukły blondyn, z małym, jasnym wąsem, ubrany w strój angielski, w pończochy, grube trzewiki; jasną marynarkę i mały, zielonkawy kapelusz z piórem.

„Strój od Poola, od jedyne go krawca na świecie, który człowieka ubiera...” — uśmiechnęła się Ewa do wspomnienia o Horście.

Zdziwienie jej nie miało granic: taki człowiek na tym podwórzu! Bywali tam tylko mniejsi i więksi starozakonni handlarze, żołdaci i służące. Tymczasem młody człowiek spostrzegłszy Ewę w oknie przyjrzał się jej z uwagą i do jej właśnie drzwi skierował kroki. Usłyszała wkrótce jego stąpanie. Zmieszła się i nie mogła zatamować bicia serca, pomimo że rozum mówił wyraźnie o jakiejś chwilowej pomyłce. Dało się słyszeć pukanie, drzwi się uchylily i nieznajomy nie zdejmując kapelusza wszedł do stancyjki.

Gdy uchylił wreszcie kapelusza, Ewa mimo woli spostrzegła, że jest bardzo ładny. To ją jeszcze bardziej zawstydzilo.

— Przepraszam... — mówił spokojnie wykwinny pan — czy nie tutaj mieszka panna Ewa Pobratyńska?

— Tak... mieszka...

— To pani?

— Ja... — mówiła Ewa stojąc bezradnie i zwijając w palcach jakiś strzępek.

— Proszę pani... Przychodzę tutaj z polecenia pana Łukasza Niepołomskiego.

— Łukasza! — krzyknęła zapominając o wszystkim. Oczy jej splonęły od płomienistych łez, usta owiał uśmiech. Serce porwało się i nagle ścichło jak przycięte mieczem. Złożone ręce przycisnęły je i zdawały się błogosławić przychodnia, dobrego zwiastuna.

Młody pan stał obojętnie, z bezwzględną jednak ciekawością spod oka patrząc na Ewę.

— Gdzie jest Łukasz? — zawołała.

— Pan Niepołomski jest w Rzymie.

— Wciąż w Rzymie?

— Musi się pani przygotować na coś gorszego.

— Gorszego...

— Pan Niepołomski jest w więzieniu.

— W więzieniu!

— Wszystko to pani w paru słowach wytłumaczę. Muszę naprzód powiedzieć, kim jestem. Nazywam się Szczerbic.

— Hrabia Szczerbic? To pan kulą przestrzelił Łukasza?

— Tak, to ja. Miałem z nim sprawę honorową i przestrzeliłem go w pojedynku.

— A!... Więc to pan.

— Teraz otrzymałem od niego polecenie.  
— Do pana pisał?  
— Nie pisał sam, lecz ktoś z moich znajomych w Rzymie pisał do mnie na skutek jego prośby.

— Cóż on zrobił takiego?

— Dokładnie pani powiedzieć tego nie potrafię, gdyż sam nie wiem. Przyjaciel mój pisze w ogólnych wyrazach, że Niepołomski, który dostał się jako płatny dietariusz do ambasady austriackiej i był używany do kopiowania starych dokumentów, niektóre najcenniejsze akta zdołał wynieść z archiwów i posprzedawać antykwariuszom amerykańskim...

— Łukasz?!

— Wkrótce się to jednak wykryło. Schwytano go na gorącym uczynku kradzieży jakiegoś cennego rękopisu i tym sposobem dostał się do więzienia już w maju.

— Ach, już w maju, już w maju... — szepnęła.

Oczy jej były rozjaśnione, jakby posłyszała najpomyślniejszą nowinę. Teraz już wszystko wiedziała. W duszę spłynęło odbicie dawnej rozkoszy miłosnej i stało się jakby uczuciem szczęścia samego.

To pochłonięcie w ciągu krótkiego momentu na nowo, od jednego porywu i rzutu duszy, całych dziejów miłości było dla Ewy czymś tak nieoczekiwanym i nowym, że zapomniała o obecności nieznanego pana. Dusza jej w owej chwili była jak ciemna, zapomniana woda pod nawisłymi drzewami w pejzażu Jana Stanisławskiego — jak posępna, sama dla siebie bytująca samotnia, w którą z wyżyny niebios wpadła srebrna strzała gwiazdy. Gwiazda, niewidzialna dla oczu, przebiła wodę do dna i brylantowy wizerunek swój roznieciła w odrętwiałej wodzie. Nim czarna, nim wieczna noc wróci, opuszczona woda przez chwilę piastuje w łonie swym gwiazdę wieczną, świeci nią samej sobie w mrokach... Stała się na chwilę jasność i napełniła mrok.

Hrabia Szczerbic przyglądał się Ewie, z wolna otwierając żółty pugilares. Usiadł swobodnie na brzegu stołu i z przegródek pugilaresu wydobywał papierowe pieniądze. Ona podniosła na niego oczy i z pewnym zdziwieniem przypatrywała się jego sposobowi bycia. Lekki uśmiezek pogardy wygiął jej wargi. Przyszła do głowy myśl, że i ona jest szlachcianką, równą temu jakiemuś tam hrabiczowi. Cóż to za wychowanie siadać tak na brzegu stołu wobec kobiety i w cudzym mieszkaniu?...

Spojrzała na niego jeszcze raz i nagle *uczula* za pośrednictwem fizycznego bólu w piersiach, że to ten przestrzelił płuca Łukaszowe. Krew jej uderzyła do głowy. Straszny gniew! Rzucić się z pazurami i poszarpać tę buzię! Zamieć myśli:

„Szubrawiec! Szuja! Szpicel! Czytywał cudze listy miłosne i zużytkował do plotek ich treść!”

Hrabia Szczerbic wydobył wreszcie pięćdziesiąt rubli rozmaitymi banknotami i położył je na stole.

— Proszę pani — rzekł chowając szybko pugilares — pan Niepołomski prosi mię za pośrednictwem mego przyjaciela, żebym pani dostarczył nieco pieniędzy do chwili jego powrotu. Nie wiem, co to znaczy, kiedy on myśli wrócić. W każdym razie zostawiam obecnie pięćdziesiąt rubli. Jeśli pani będzie potrzebowała mej pomocy, proszę mi dać znać listownie — Zygmunt Szczerbic w Zgliszczach. To wystarczy.

Straszliwy gniew rozrywa węgły rozumu i bucha w pola obłądu. Porwie te pieniądze i rzuci mu w pysk! Jeszcze chwila...

— Jakże teraz zdrowie pani? — zapytał grzecznie.

— Dziękuję... — syknęła, wszystka szkarlatna od wewnętrznych ogniów.

Szczerbic spojrzał na nią spod rzęs wzrokiem dziwnym, przeszywającym, a jednak struchlałym. Ledwie dostrzegalny uśmiech szyderstwa, który tkwił na jego wargach, niestwiłał i znikł. Ewa pod wpływem uczuć, które nią raz w raz wstrząsały, stała się prześliczną, stała się taką, jaką była w istocie. Wynikło coś królewskiego ze złamania i ze skrzywdzenia tej piękności. Haniebna krzywda, co się słała dokoła jej postaci bezsilnej i zbezczeszczonej, wystąpiła teraz z oczywistością. Szczerbic poczuł, jak potwornie rysują się papierowe pieniądze, które złożył przed chwilą na sosnowym stole. Niesmak, wstyd, żal czy rozpacz, jak zaduch ogarnęły go ze wszech stron. Ewa milczała.

Młody hrabia ujął swój niezwykle kapelusz i z lekka kłaniając się nim, niezgrabnie wyszedł za drzwi.

\*

W końcu września Ewa ponownie była bez grosza. Sumę zostawioną przez Szczerbica wydała prędko, a raczej strwoniła bezmyślnie. Sprawila sobie dwie nowe suknie, letni kapelusz, płaszcz (szary), kupowała wciąż paki lakoci i cukierków.

Nie była w stanie oprzeć się natarczywym pokusom i dziwnym smakom, które nią rządziły. Dopóki miała jeszcze trochę pieniędzy, żyła, jak dawniej, w stanie doskonałej bezmyślności. Kiedy wydała niemal wszystko, od razu wpadła w rozpacz. Ponieważ Łukasz i teraz nie dawał znaku życia, wyrosło do niebywałych granic poczucie, że on jest w więzieniu. Po nocach wmyślając się w to, co się z nim dzieć może, Ewa doszła do przedziwnych jasnowiedzeń. Były pólсны, w których ciągu przebywała z Łukaszem w mrocznych czeluściach — i były dnie, że nie mogła sobie przypomnieć jego twarzy, głosu, ruchów. Wówczas napadała ją furia przerażenia. Rwała włosy, tłukła głową o ścianę i w ciągu godzin wzywała go, żeby przyszedł. Oczy jej straciły wszelki zgoła wyraz i były pełne straszliwych snów. Rozkudłana, w poplamionym szlafroku błąkała się wśród czterech ścian swej izby.

W czasie jednego z takich dni, po południu, przyszło na nią ostateczne nieszczęście. Wałęsając się po izbie, miotana przez rozpacz, uczuła, że zwisa nad nią niżej i niżej zabójcza myśl. Miała wrażenie, że ta myśl skręca się w pewien kształt, w senną, krzywą postać, i daje jej znaki. Nie chce wyraźnie oznajmić prawdy, lecz każe się samej domyśleć. Ewa rzuciła się w szale po kątach, uchodząc przed tą myślą. Zakrywała twarz rękoma i jak wroga biła nieszczęście pięściami. Wreszcie, oparta o ścianę, wysłuchiwała wszystkiego w urywanych loskotach serca:

„Łukasz wymyślił owo więzienie. Jest to pozór. Przysłał przez tego Szczerbica pięćdziesiąt rubli, żeby się odczepić. Odczepić się raz na zawsze. Swej dziewczce... pięćdziesiąt rubli...”

Przeżywszy tę myśl, Ewa ścierpła, zziębła i osłabła. Usiadłszy na brzeżku łóżka, myślała, co pocnie ze sobą i z tym dzieckiem, które w niej żyło. Zdawało jej się, że siedzi na brzegu gliniastego parowu, gdzieś w Sandomierskiem. W dali Wisła...

Wtedy poczęła się w niej dusza szamotać, targać i szaleć, jak zbrodniarz wleczony do policji... Aż od jednego zamachu i od jednego ciosu woli postanowiła. Oczy jej stały się dzikie i złe jak u psa na łańcuchu. Porwała ze stołu piękny, starożytny *fermoir*<sup>90</sup>, który jej Łukasz na pamiątkę zostawił, i rozbiła ten sprzącznik o ziemię na drobny mak. Potem zaczęła się ohydnie śmiać i upadła twarzą w łóżko.

Nazajutrz rano, po zupełnie bezsennej, *białej* nocy, odziewszy się w najlepsze suknie, zabrała resztę pieniędzy i wyszła na miasto. Na targowisku miejskim po długich poszukiwaniach wynalazła chłopca, który był przywiózł drwa do miasta i z pustą furą wracał w stronę Zgliszcz. Chłopina zgodził się chętnie podwieźć ją do pałacu, choć go to, jak mówił, narażało na zboczenie z gościńca. Wziął za to ledwie trzy razy tyle, co taka usługa mogła kosztować. Wysłał słomą siedzenie między drabinkami i Ewa pojechała. Postanowiła w nocy, nad ranem, zrobić ten krok, żeby powziąć wiadomość od młodego Szczerbica, czy jej przypuszczenie o Łukaszu trafne jest, czy nie. Dłużej już sama ze sobą nie mogła tego roztrząsać. Nie miała już ani żdźbła siły. Pojedzie tedy do tego człowieka. On jeden przyszedł w ciągu nieskończonych dni... A gdy będzie z nim razem w jakimś pokoju, padnie mu do nóg i będzie całowała jego buty, żeby jej tylko prawdę powiedział, co jest w liście o Łukaszu. Któż wie? Może on da jej do przeczytania list swego przyjaciela? Może jej oczy wyczytają w tym liście słowo pociechy? Przez jeden kwadrans zajmie swymi sprawami pięknego hrabiego Szczerbica! Wyżebrze z niego prawdę, wypłacze istotę rzeczy.

Cóż z tego, że powie mu wszystko, że będzie zmuszona więcej wyjawić, niż on w jej listach miłosnych wyczytał (— co za los i co za śmieszność!), cóż z tego, że zmuszona będzie zdjąc ze siebie wszystkie zasłony, że mu przedstawi nagość swych grzechów — cóż

<sup>90</sup>*fermoir* (fr.) — zamykany przybornik na biurko, sekretarzyk (dosł. zamek, zapięcie).

z tego, że ten człowiek obaczy jej trwogę, upadek, rozpacz i nicstwo, które dotychczas widział jeden jedyny — Bóg?... Cóż z tego? Jeśli jej powróci cień nadziei, że Łukasz jest ten sam, którego pokochała... Jadąc na furze i odpowiadając na kretyńskie pytania gadatliwego gospodarza, nie myślała o problemacie, który był celem tej podróży. Rada była, że jedzie przez puste pola, przez nieznanne równiny, wśród zrudziałych ściernisk, które cichy deszczyk z lekka pokrapiał. Patrzyła na porane role o barwie brunatnej i rudej — i czuła, jak w nich pod deszczem rodzą się siły wieczne, z których powstaną znowu trawy, chwasty i krzewiny. Patrzyła na obłoki zwisające, jesienne zasłony polskich pól...

O jakie dziesięć wiorst od miasta chłop pokazał jej aleje zgliszczańskie, kępy drzew i białą w nich kamienicę, zwaną pałacem. Ewa ścierpła na ten widok.

Wtedy to przyszło jej na myśl, że w tym pałacu wezmą ją przecie za kochankę młodego Szczerbica. Cóż ona powie? Przesunęli się przed jej zamyślonymi oczyma jacyś lokaje, fagasy, służące dworskie. Poczula, że w duszy jej zrywa się znowu burza. Żeby zażegnać to najstraszniejsze z nieszczęść, postanowiła nieodwołalnie wracać do miasta. Prawie wszystkie pieniądze wydała już na furmankę. Zostawało jeszcze parę złotych.

Chłop podwiózł ją do miejsca, gdzie z gościńca należało zboczyć na prywatną drogę dworską. Ewa kazała stanąć i wysiadła. Włościanin odebrawszy swoją należność pomedytował zapewne na ten temat, czy nie udałoby się jeszcze cokolwiek wydebić, wreszcie zaciął konia i dobrodusznie pojechał dalej. Mogła teraz do woli śmiać się ze siebie. Śmiała się też do woli, brnąc po głębokim piasku szerokiej drogi. Doszła wkrótce do alei wysadzonej odwiecznymi lipami. Przytulił ją do swego serca lekki, jesienny szum wielkich drzew. Pogłaskał ją po głowie roztrzaskanej i podniebny szelest lipowy. Usiadła w rowie, na przykopie pokrytej wilgotną, przyżółkłą trawą, i wśród szeptania usychających liści zapadła się duchem w siebie samą, w głębokie, podziemne chodniki jestestwa. Stowarzyszył się z nią śmiech, nieodstępny obserwator, i okazywał to tam, to sam z błyskawicowym jasnowidzeniem nędzę jej bytu. Aż oto wskazał nareszcie to, co było najtajniejsze w niej samej. Szepnęła samej sobie:

„Dziecko!”

Poczęła śmiałymi myślami wdzierać się w norę tego zagadnienia. Rzuciła się w siebie samą z bohaterstwem. Zimny pot zrosił jej czoło, drżały nogi z rozdętymi żyłami, biło serce... Cóż uczynić, jeśli ją Łukasz zdradził? Rzucił? Dokąd pójść? Jak przestać żyć, jeśli będzie żyło to dziecko? Pomyślała ze śmiechem, że, chcąc żyć, trzeba powrócić do Warszawy — z tym dzieckiem. Z odcieniem szczególnej satysfakcji, wśród dzikich zapędów gniewu uprzytomniła sobie siostrę Anielę, Horsta, Barnawską — a nade wszystko swój głupkowaty zachwyt dla Łukasza, swoją dla niego cześć. Rozmowy o tym z matką... „Choćby bił, choćby kopał nogami...”

Spojrzała w pola osierociałe. Odmieniła się niepogoda. Deszcz ucichł. Miękkie chmury rozpadły się i potworzyły ze siebie szeregi kształtów idących stronami. Słaby, czysty, jesienny blask oświecał miękkie podorywki — i owe białe, dalekie chmury. Te same to były pola, które niejednokrotnie widział Łukasz. Tu mieszkał, tu był... Był!

Nie jest legendą, snem, rojeniem dziewiczym ten człowiek, którego imię leży na pierśsiach jak ogromna szkarłupa ciosowego kamienia na grobie. Jakże to było fenomenalne, jak niezbadane, że on był w istocie, był na tej drodze... Łukasz tu był! Po trawie tej ślizgały się jego oczy, może o niej zadumane, kiedy tą drogą przejeżdżał. Ujrzała go pośród drżenia szczęsnego w grzesznym swym sercu, w oczach pełnych winy, jak tą drogą samotny przechodził. Widziała żywo jego głębokie, posępne oczy, usta, które tak rzadko nawiedzał uśmiech... Objęła myślami jego czoło umęczone — i odpuściła mu z głębi serca.

Nic się nie zmieniło, nic nie polepszyło w niej samej. Była tą samą, wyśmiewającą się z duszy swej, depcząca nogami serce. Wstała z tego miejsca i powlokła się z powrotem w stronę miasta, myśląc wciąż, jak śmiesznym bez miary jest nieszczęście, jak głupim i potwornie niedoleżnym jest człowiek zaplątany w jego sieci i od niedoli powalony na ziemię...

\*

Kobieta, Dziecko, Matka,  
Samobójstwo, Samotność,  
Obowiązek

Jesień. Po dniach suchych, po niezdrowych spiekach, co napełniały całe powietrze pyłem dróg, po długotrwałych upałach jesiennych, co utrzymywały na gałęziach drzew zagasłe już liście, nastały dni wichru, noce zalane burzą.

Zdarzało się w ciągu ostatnich dni ciąży, że Ewa chodziła na pocztę. Bóg wie po co. Chodziła, żeby czekać pode drzwiami, na kamiennych schodkach gmachu. Wstępowała na owe schody i patrzyła w czarne drzwi. Wchodzili i wychodzili ludzie zajęci, zaambarasowani, weseli albo zrozpaczeni. Naznaczała sobie terminy tego rodzaju: gdy ów pan wyjdzie, to ja zaraz pójdę, bo z nim razem wstyd... A gdy wychodził, nazywała jakiś inny kres pod wpływem głupich przesądów. Raz zaczepiła urzędnika pocztowego, który siedział za drewnianą balustradą, czy nie ma listu *poste restante* pod adresem „Ewa”. Dowiedziawszy się, że nie ma, wyszła z pośpiechem, zdruzgotana od wstydu. Ale od tego dnia chodziła stale pod drzwi pocztowe.

Spotykała tam wielokrotnie człowieka-starca w lachmanach, opuchlaka, sparaliżowanego na rękę, nogę i mowę. Zazwyczaj drzemał na pocztowych schodach. Zasnęła nagle, skoro tylko siadł. Chrapał i kiwał się arcyśmiesznie. Gdy się ocknął, bełkotał do siebie niezrozumiale, siedząc ze skurczonymi nogami. Miał na tych nogach grube buty, z których zostały tylko cholewy, a przyszwyy, podeszwy i obcasy tworzyły jakoweś strzępy związane do kupy szpagatem<sup>91</sup> od cukru. Obiedwie<sup>92</sup> kieszenie rudego paltota miał odarte i zwisające, jakby na dowód, że w tych kieszeniach nie posiada żadnych walorów obieg w kraju mających, żadnej w ogóle własności prywatnej.

Pewnego razu, widząc Ewę wstępującą i zstępującą ze schodów, człowiek ów przestał wydrapywać wszy ze siebie, ze swych europejskich sukien, gałganów i włosów. Coś półzrozumiale zagadał. Pojęła tyle, że on tu wyczekuje na listy jakiejś pani, pani Zatockiej. Stojąc tak bezradnie na schodach, Ewa popatrzyła na owego człowieka. Ujrzała go spoza swego snu, jakby przez gęstą mgłę. On jeden jej nie wyśmiał. Towarzysz... I oto, schyliwszy się nisko, pocałowała go w opuchłą twarz, pogłaskała ręką jego rękę trzęsącą się od pijackiego delirium. Poszła wówczas do siebie, szlochając z cicha i na przemiany śmiejąc się z cicha.

Powstała w niej teraz zdolność do tworzenia ze siebie dziwacznych podobizn. Przyłknąwszy raz oczy, nie tyle śniła, lecz miała pewność, że jest motylem. Wyfrunie przez to okno przekłete, wyfrunie raz na zawsze...

Innego dnia, patrząc się w puste obszary podmiejskie, w zeschłe ścierniska porznięte rowami — uroiła sobie, że jest psem biegnącym w kraj tymi polami, polami... Nagle poczęła szeptać żałośnie:

— Już teraz drugi pies tam za mną nie pożenie<sup>93</sup> polami, polami...

Ocknienie z takich zamroczeń wpędzało ją w najstraszliwsze doły rozpaczy. Miała za sobą, przed sobą, wszędzie i zawsze wielkooki strach. Straszły ją rachunki w biurze, nieskończone schematy i słupy cyfr. Wewnętrzny dreszcz przebiegał ciało i wicherzył myśli. Drżała na wspomnienie pomyłek, których się mogła była dopuścić. Buzia naczelnika, plugawy ryj z czyhającymi ślepiami, z uśmiechem przypominającym do złudzenia błysk światła na gumowym kaloszu... Straszły ją oczy Horsta, przerażały oczy matki i siostry. Widziała nieraz poza sobą zimne kamienie pod czołem Barnawskiej, gdy jej tłumaczy skłamaną historyjkę, żeby wyłudzić pieniądze. Spychała ją w otchłań lęku wieść przebolesna, że Łukasz został zraniony... Straszyl ją świat cały, a nade wszystko śliczny, ciemny brunet, którego spotkała niegdyś w cukierni, a później wielekroć na ulicy. Szyderstwo jego oczu przebijało jak nóż zbójceki. Bała się wszystkich ludzi i często bez przyczyny oglądała na wszystkie strony.

\*

Onego wieczora świecił księżyc. Chmury skrzydlate leciały z zachodu na wschód przed nieruchomą światłością tarczy. Zimny blask spadał w okno, rozwidniał izbę, obchodził kąty jak wzrok szpiega — i zniknął nagle w pomroce.

<sup>91</sup>szpagat — gruby sznurek.

<sup>92</sup>obiedwie — dziś popr.: obydwie.

<sup>93</sup>pożenie (daw., starop.) — pogoni.

Już kilkanaście godzin Ewa siedziała na swym barłogu, szcękając zębami, w bólach. Czasami jeszcze zrywała się w szale i wałęsała po izbie. Nadeszła wreszcie godzina, w której ciągu straszliwe skurcze, wynikające wbrew woli, łamać zaczęły raz za razem jej krzyż, brzuch, uda.

Szukając przeciwko nim ratunku opierała się plecami o ścianę i, wobec każdego napadu, za pośrednictwem tłoczni brzucha, podległej woli, przychodziła sobie z pomocą.

Ręce jej, jak czujne pomocnice obdarzone rozumem, raz w raz badały tajemnicę dzieła, straszliwy akt dokonywany się poza granicami rozumu. Usta były suche jak drzazgi, język spieczony i chropawy. Kolana trzęsły się i nogi w łydkach kurczyły. Kilkunastominutowe ataki wzmagających się bólów zaczęły powtarzać się, wzmagać, przeszywać na wylot jak rozdzierający sztylet, jak cienka szpada, którą ktoś mściwy a rozszałaby zadaje cios po ciosie. Strach i szal! Ręce chwyciły krawędź łóżka, stopy wparły się w słomę siennika. Przerażliwe ognie zaczęły latać po kościach i tańczyć przed oczyma. Najsroższy ból rozdarł wnętrzności na poły. Zdawało się, że ból ów rozsadzi kości i rozerwie nogi. Czula w sobie zgrzyty czegoś twardego. Wrażenie, że pól brzucha pękło. Jeszcze jeden, drugi ból, jakoby wbijano na pal... Ruchem rąk, bez wiedzy o tym, co czyni, namacała główkę dziecka. Dzika podnieta pchnęła ją w odmet wytwarzania nowego, świadomego bólu.

Oto wywalily się barki małe, tułów... Nowo narodzony, zwałany w mazi płodowej, wysunął się między uda. Oplątywały go sznury pępowiny grubości małego płaca. Ręce matki brodziły w pętłach, w skrętach tętniących krwią żywą, bijących jakoby samo serce. Ewa nie widziała, co się dzieje. Czula tylko ulgę zwierzęcą i leżała z uśmiechem, bez ruchu. Ale oto wśród skrwawionych wód płodowych, w zwojach tętniących coraz słabiej, coraz słabiej — rozległ się krzyk.

Porwała się przerażona, namacała palcami i dłonią zacisnęła usta noworodka jeszcze zalepione śluzem.

Włosy zjeżyły się na głowie.

— Łukasz — szeptała — Łukasz! Na pomoc!

Rozejrzała się wokół, wokół. Światło księżycy smugą białą, nieruchomą leżało na podłodze, ostrym klinem, zimnym, bolesnym przerzynało ścianę. Cisza wszędzie. Nie ma nikogo.

Poznawszy za pomocą oczu, że jest sama, Ewa zadrżała od smagań strachu. Poty zimne, mokre, śliskie. Cała spocona leżała bez poruszenia, nasłuchując, czy nie idą Żydzi z sąsiedniego mieszkania. Zdała sobie sprawę z tego, czy też mogli usłyszeć krzyk.

Kilka obłąkanych myśli latało w sklepieniu czaszki, pod zwichrzonymi włosami. Uczucie jakiegoś biło śmiertelnie skrzydłami w głębi piersi.

Nowy ból, towarzyszący odklejaniu się i wyłonieniu łożyska, zmusił ją do nowej pracy fizycznej. Drżała teraz z zimna czy ze strachu i rozgrzewała swe ramiona oszalałymi dłońmi. Gdy wreszcie wszystka masa łożyska wypadła między uda na ciało małej istotki, Ewa poczuła, że jest wolna. Jasna myśl, jak błysk piorunowego ognia, oświetliła jej wszystko.

Niezłomna wola, jakby czyjś rozkaz, pchnęła ją z łóżka.

Ewa wstała na równe nogi. Ciepłe smugi krwi sączyły się po jej kolanach i łydkach. Od jednego zamachu zwinęła cztery rogi prześcieradła i wszystko brzemień wraz z niemowlęciem, łożyskiem i sznurem pępowiny porwała w ręce. Cicho na palcach podeszła do drzwi. W ciągu chwili nasłuchiwała. Przez uchyloną szparę patrzyła w sionkę. Było cicho. Wiatr sennie jęczał. Słyszała jedynie rozgłosne ciosy swego serca. Ujrzała podwórze.

Leżało w cieniu domostwa, światło księżycy stało na dachach, na ostrzach sztachet i płynęło przez parkan na ściany sąsiedniej posesji.

Wybiegła. Nie wiedzieć kiedy, od jednego susa znalazła się na schodkach prowadzących do kloaki. Lekko wskazującym palcem odrzuciła haczyk. Weszła cicho jak duch, bezszelestnymi nogami. Ujrzała nagle przed rozwartymi oczyma, w ciemnym otworze — grząską i płynną powierzchnię. Powierzchnia cała zalana światłem miesięcznym.

Z cichym okrzykiem podniosła ręce i z tajną rozkoszą, z niezwalczoną siłą, z całej mocy rzuciła prześcieradło w otwór dołu. Nachyliła twarz i szpiegowała oczami, co się dzieje. Ujrzała, jak się płótno z wolna rozwarło, niby kielich olbrzymiego kwiatu nakrapiany wielkimi placami czarnej krwi. Malutkie rączki, podobne do pylników tulipana,

Morderstwo, Matka

prędko — prędko otwierały się i zamykały. Brzuszek wyprężył się. Małe kolanka zginały się raz w raz, raz w raz, coraz szybciej. Posłyszała żalosny krzyk, jakby podziemne stękanie. Wówczas, źgnięta zbójcekim nożem straszliwego żalu, rzuciła się głową w otwór, z wyciągniętymi rękami, żeby ratować. Ratować! Boże wszystkowiedzący — ratować! Piersi jej grzmotnęły się o coś twardego, głowa odwalila na bok. Mrok zaslonił oczy. Nastala cisza.

Ocknąwszy się, powzięła zmysłami wiadomość o tym, że głowa jej leży w kale, a ręce ściskają kurczowo płatwę poprzeczną. Wspomnienie... Rzuciła głowę przed się i przez otwór kloaki ujrzała już tylko płynną powierzchnię dołu, zalaną przez oślepiająco jasne światło miesięczne. Nie było nic. Jeno na tym miejscu, gdzie widziała była prześciera-dło pokryte czarnymi plamami, rączki i nóżki szarpane od drgawek — było nieznaczne wgłębienie, jakby wkłęśnięta mogiłka.

Cichy śmiech radości wstrząsnął przemarzłe piersi. Zerwała się z miejsca i jak mogła najszybciej wionęła do izby. Szarpały ją bóle wewnętrzne, srogie i nieprzerwane. W bokach ból jak najmocniejsze rwanie próchniejącego zęba. Wściekły ból w krzyżu, przesywający kręgosłup od końca do końca.

Od pachwin do kolan jakby wypruwano żyły. Szczękając zębami, poczęła wic się po izbie na drżących łydkach — w kółko, w kółko, na wzór owych obręczy, co ją wewnątrz coraz silniej ściągaly. Chwyliła haust wody z garnuszka, żeby spalone wargi ochłodzić. Ale zimno przerażające pchnęło ją, żeby na rozgrzewkę biegać, biegać...

Ściany izby poczęły wirować, światło księżyca, okno, stolik, łózko — wszystko leciało pędem — a wokolo, a coraz niżej, niżej... Dopadła swego barlogu i runęła weń, szlochając głucho, z cicha, sennie wyjąc, żeby zaś nie poslyszeli sąsiedzi.

\*

Ani złamanego szeląga, ani jednego strzepa, który można by sprzedać. Nic!

Siedziała przy oknie z oczyma wlepionymi we drzwi kloaki. Strzegła tych drzwi za dnia i w nocy, za dnia i w nocy przez dwa tygodnie. Patrzyła pilnie, czy z nich nie wyjdzie tajemnica. Mrowie wilgotne, nigdy niedoświadczone, lechtało ramiona, gdy myślała, że zajedzie wóz do przewożenia brudów, a obcy ludzie, chłopcy cuchnące, z rozjuszonymi oczyma, z pyskami pełnymi moralności, wyniosą na światło tajemnicę. Była już jako tako zdrowa. Mogła chodzić bez wielkiego bólu. Wydalając się na miasto, przechodząc przez podwórze, przypasywała pod suknią gruby jasek, żeby się przed sąsiadami okazać, jak dawniej, ciężarną. Chodziła z umysłu ociężale, przewalając się z nogi na nogę. Gdy ją idącą wyszydzali żołnierze, oficerowie i młode piszczyki miejskie, wystające całym popołudniami na rogach zaułków, śmiała się doskonale. Osypywała ich wszystkich (w myśli) najhaniebniejszymi wyzwiskami, które była, nie wiedząc o tym, poslyszala u progu szynków — które zrodziły się w niej we snach straszliwych — które wylęgly się w jej duszy...

Jedno jedyne marzenie, silne tak samo jak moc życiowa, karmiło ją teraz i trzymało na nogach: uciekać!

Jeżeli zdoła uciec niepostrzeżenie, ślady mogą się zatrzeć do cna. Żyła tu pod obcym nazwiskiem, pod imieniem Rózy Niepołomskiej, żony Łukasza. Któż ją odnajdzie w Warszawie, gdy tam zamieszka pod swoim własnym nazwiskiem? Wrócić do wolności, do piękności, do stroju kobiecego! Zarabiać na utrzymanie, jąc się roboty! Zatarła, zagrzebać, zaklepać wszystko, co było! Uciec od siebie dzisiejszej, wyrwać się ze siebie samej! Nade wszystko — uciec od tego miejsca kaźni, z tej izby, w której zamknięte jest wraz z nią ciche piekło!...

Wycyściła już była swą jedyną suknię. Powypierała plamy krwi z podłogi. Powynosiła nocami przekrwiony barłóg z łózka. Zatarła wszelkie ślady, zniszczyła wszystkie własne sprzęty, papiery, aż do ostatniego gałganka. Nie zostawiła na miejscu ani jednego sznurka, ani jednej nitki, która by ją mogła zdradzić.

Obmyśliła wszystko bez wyjątku, przygotowała się do drogi. Tylko na bilet nie miała złamanego szeląga.

Już bardzo dawno nie jadła nic gotowanego, nie piła nawet herbaty. Żyła kawałkami starego chleba. Oszczędnie kruszyła ostatni bochenek, przewidując, że może przyjdzie

jeszcze długo czekać. Wiedziała doskonale, że musi coś przedsięwziąć dla zdobycia przynajmniej trzech rubli na bilet kolejowy. Zważyła już wielokrotnie myśl jazdy bez biletu i odrzuciła ją ze względu na obawę zaplątania się w dochodzenie, kto ona jest, skąd i dokąd jedzie. Musiała jechać swobodnie, gdyby można, drugą klasą, ażeby jak najmniej zwracać na siebie uwagi.

W jej przebiegłych planach, w szeregach myśli niedościgłe śmiałych, wśród kombinacji nad wyraz sprytnych zawsze przesuwiał się właściciel domu, krótkopoty Żyd.

Stokroć już zamierzała prosić go o „pożyczkę”. Udzieliłby tej pożyczki na pewno, gdyby go się zapewniło oczami, minami i z pomocą nic niemówiących frazesów, że później, kto wie, może... Ale i to mogłoby zwrócić jego uwagę, skierować na nią jego uważne oczy. Odrzuciła tę myśl daleko od siebie i na zawsze. Przebiegała myślami domy i sklepy tego miasta, twarze widziane, stosunki... Budowała i burzyła plany podejść, szachrajstw, kłamstw, wyłudzeń...

Tak opłątana przez myśli troskliwe i pomysły ostre aż do szału — siadywała przy oknie, zawsze mając spojrzenie zwrócone na drzwi kloaki. Jeżeli tam ktokolwiek wchodził, drżała, dopóki nie wyszedł. Najłżejszy ruch, gwar, głos na dziedzińcu przyprawiał ją o szalone bicie serca.

Pewnego razu Ewa spostrzegła, nie zdając sobie zresztą z tego sprawy, że żona właściciela domu wraz z dziećmi wyjechała dokądś dorożką. Odjeżdżający czynili nadzwyczajny hałas, kilkakrotnie wsiadali do wehikułu i wracali z gadaniem do domu, widocznie po zapomniane drobniaki. Ich krzykliwe zachowanie się drażniło i przerażało Ewę. Stąd zapewne o wyjeździe licznej rodziny wiedziała. Po wydaleniu się całego tłumu dzieci w sąsiednim mieszkaniu było cicho. Około godziny pierwszej z południa Ewa posłyszała, że tam ktoś podśpiewuje. Domyśliła się, że to szanowny gospodarz. Znowu nasunęły się splątane o nim myśli, pomysły wydobycia od niego trzech rubli...

Drzwi gospodarskiego mieszkania otwarły się. Słychać było majufesowe<sup>94</sup> podśpiewywanie daleko wyraźniej. Potem zgrzyt klucza w zamku. Ewa dobrze słyszała chropawy trzask.

Uczuła jakby to w jej głowie ów głos coś otwarł na oścież. Gospodarz przez chwilę stał w sieni. Ewa wiedziała, co on tam robi. Mieszkając w tym kącie tak długo, poznała doskonale (a raczej wyczuła cieleśnie) wszelkie obyczaje, przyzwyczajenia i tajemnice domowe.

Gdy cała rodzina żydowska wydalala się z domu, chowano klucz w pewną szparę węgielną. Ewa nieraz go tam widziała, przebiegając przez wspólną sionkę. I teraz posłyszała znany, charakterystyczny szmer, gdy gospodarz starannie zasunął klucz między bale.

W myśli Ewy stanęło niejasne postanowienie, plan całkowity od początku do końca, lecz osłoniiony jeszcze welonem tajemniczym. Przymknęła powieki i z uśmiechem patrzyła w doskonałą konstrukcję swego planu. Serce z lekka, radośnie biło. Namietna żądza wykonania natychmiast była i ponad wszystkim. Powstały niespodziewanie ból głowy począł uwierać w skroni. Tymczasem echo kroków Żyda oddaliło się, przycichło i zgasło.

Wstała wówczas i cicho, na palcach poszła ku drzwiom.

Wyrzała przez uchylone. Deszcz padał na dworze. Było zimno. Liście żółte we mgle... Żal w sercu... Wiatr miotał drzewkami furtki. Z zagryzionymi do krwi wargami pobiegła na podwórze, przemknęła się chyżo pod ścianą domu i wyrzała na ulicę. W oddali widać było postać gospodarza ociężałe wlokącego się pod parasolem ku miastu. Ewa natychmiast wróciła do sieni, spokojnie (choć z pośpiechem) wydostała ze szpary klucz i bez wahania otworzyła drzwi do lokalu sąsiadów.

Odrażający zaduch nieprzewietrzanej siedziby powstrzymał ją na progu jak zakłęcie. Słuchała pilnie, pilnie...

Gdzieś w głębi mieszkania cykał zegar. Pamiętała, gdzie chowano pieniądze, kiedy tu niegdyś płaciła komorne za chorego Łukasza. Było to w bocznym pokoju. Chciała otworzyć drzwi, ale te właśnie były zamknięte na klucz. Drzwi to były niewielkie, całkowite, z dużym zamkiem zewnętrznym i z zawiasami od strony wejściowej. Ewa skombinowała, że bez trudu można te całe drzwi wyjąć. Ująwszy je za zamek i dolną, żelazną zawiasę, wydobyla rygiel zza odstającego haka i wydzwignęła z zawias.

<sup>94</sup>majufesowy — tj. szabatowy; mejufes: szabatowa pieśń.

Weszła do izby następnej. Natychmiast rzuciła się do ohydnej komody, nakrytej wyświechtaną serwetą, i próbowała odsunąć szufladę. Szuflada nie była zamknięta na klucz, lecz mocno zatarasowana. Ewa znalazła jakiś stary gwóźdź, porzucony za łóżkiem, i za jego pomocą zdołała odsunąć szufladę. Teraz już była zmęczona, spracowana, drżąca. Krew biła w kościach skroni, serce drgało w piersiach, różowe mgły zasłaniały oczy. Straszliwe paroksyzmy strachu, od których cierpła na całym ciele, paraliżowały ruchy rąk. Dygotającymi palcami wyszukała pudełko, które była niegdyś bez uwagi spostrzegła. Z trudem oderwała pokrywkę. Było dużo rozmaitych papierkowych pieniędzy. Przez chwilę dumiała spokojnie, z łokciami opartymi o brzeg grata — czy nie zabrać wszystkiego. Roztropność nakazała dla niepoznaki wziąć tylko tyle, ile trzeba na drogę. Ewa pomyślała jeszcze, że musi zjeść kawałek mięsa, wobec czego dobrała jeszcze drugie trzy ruble. Zamknęła uważnie pudełko, ustawiła je w tym samym miejscu, zasunęła komodę. W to samo miejsce rzuciła zardzewiały gwóźdź.

Niemąlo miała trudu, zanim wstawiła drzwi w zawiasy i zamek. Ukończyła tę czynność wszystka w pocie, drżeniu, ogniu i łzach. Zmiotła oderwane kruszynczki wapna, obejrzała wszystko uważnie, wysunęła się do sieni i zamknęła pierwsze drzwi na klucz. Tam schowała klucz w wiadomej szparze. Wróciła do siebie. Odetchnęła całymimi piersiami. Wzniosła ręce ku skroniom. Chwiała się, chwiała na nogach przez długą chwilę — aż runęła przy łóżku na kolana. Wstąpił w jej piersi jęk modlitewny, szloch wyzywający przed obliczem Boga, który ją widział, strzegł i wyrwał...

Po chwili — jedno spojrzenie, ostatni cios oczu we drzwi zamkniętej kloaki. Krwawa pieczęć położona na tamtych drzwiach. Krzyk duszy rozerwanej od miecza. Ostatnie przekłęte słowo na tę izbę... Wybiegła...

Szła szybko, bez podnoszenia oczu, chwytając usilnie dech w piersi. Bił ostry, zimny, przenikający deszcz jesienny. Na pierwszym rynku dopadła do dorożki i kazała się wieźć na dworzec. Była bez kapelusza, bez chustki, w starym staniku i wyświechtanej sukni. Siedziała w rogu nastawionego pudła, wtulona w głąb, ze szklanymi oczami, które patrzyły w próżnię. Szeptala samej sobie bezmyślne, radosne słowa, tryskające życiem i szczęściem.

Na dworcu wsunęła się niepostrzeżenie do sali klasy trzeciej, usiadła w najciemniejszym kącie. Pociąg w stronę Warszawy miał nadejść dopiero po upływie dwu godzin. Siedziała tedy jak na szpilkach. Kiedy nareszcie prawie pusta sala napępniać się zaczęła, kupiła sobie w bufecie wędliny i pieczywa. Następnie nabyła bilet. Szybko zaspokajając głód, bacznie wciąż lypała oczyma, czy czasem nie wejdzie na salę Żyd, właściciel domu. Każde otwarcie drzwi przejmowało ją śmiertelnym drżeniem...

\*

Zmęczona, bez sił dowlókła się ulicami, które jej się wydały szumne nie do zniesienia, przed dom rodziców. Weszła wyniośle w bramę i oddała zwykle skinienie głową stróżowi na jego życzliwy ukłon. Udała się na schody kuchenne i bez żadnego planu w głowie, co ma mówić rodzinie, jak ich przywitać, stanęła u drzwi.

Z zupełnej prostracji duchowej wyrosło wtedy niespodzianie uczucie pychy. Teraz dopiero zrozumiała, co uczyniła przyjeżdżając tutaj... Cóż za straszny krok postawiła! Tu przyszła po tym wszystkim, co było! Jakże tu wejść do mieszkania? Snuły się w głowie kłamstwa jakiegoś, głupkowate pomysły, awantury zełgane — i znikwały natychmiast. Przez chwilę marzyła, żeby odejść na zawsze od tych drzwi i nigdy już nie zbliżyć się do tego progu. Pycha wzbierała w piersiach. Chęć namiętnej klótni z matką i Anielą... Błyski, płatki gniewu poczęły latać przed oczyma.

Oparła się plecami o ścianę i dumiała. Dumiała, co począć... Obok był zlew należący już do mieszkania rodziców. Odpadki gnijące w nim — to już były resztki ich stołu... Płacz w piersiach... Szlochanie... Suche rżenie bóleści... Ręką chwyciła się za krawędź tego zlewu. Była tak zmęczona! Miała nozdrza zasypane sadzą węgla, w oczach nieodstępnie widziała Żyda, pod sobą drżące nogi, w piersi serce pełne drgającego lęku. Przybyła teraz jeszcze owa klótnia, niepowstrzymana niczym, z matką i siostrą — owe nieznośne, potworne kłamstwa, które należało podjąć i z precyzją wykonać. Teraz wykonać te wszystkie kłamstwa? To ponad siły!

Nagle otwarły się drzwi i służąca z wrzaskiem stanęła przed Ewą.

— Matko Boska Cudowna! Przecie to panienka!

— No i czegoż tak wrzeszczysz? — z cynicznym śmiechem zapytała Ewa.

— Matko Boska Cudowna! — trzepała wciąż Leośka drżącymi wargami, nie spuszcżając z Ewy wytrzeszczonych oczu. Miała minę tak głupią, tak nadzwyczajnie głupią, że Ewę opanowała wyniosła złość, pasja rozgniewanej „panienki” na wiecznie głupią służącą.

— Panienka! — jeszcze raz wybełkotała ta istota „do wszystkiego”.

— Czy pani jest w domu?

— Pani?... A jest. Gdzieżby miała być?

— A pan?

— A pana nie ma. Jezus, Maryja; Jezus, Maryja!

— Gdzież pan?

— A no... nie wiem. Przecie-że w knajpie.

Niespodziewanie w oczach Leośki zamigotała jakaś twórcza myśl. Oczy te stały się chytre i badawcze. Podeszła do Ewy bliżej, szybko ujęła prawą jej rękę, potem lewą rękę. Obiedwie te ręce podniosła do góry, pod światło, i szczegółowo obejrzała dłonie, jedną po drugiej. Spostrzegłszy, że te tak wypieszczone niegdyś ręce są spracowane, pokłute, pozbijane i szorstkie, Leośka pokiwała nad nimi głowiną, uśmiechnęła się do nich przedziwnie, jakoś świadomie, mądrze a miłosiernie, i jedną po drugiej z szacunkiem pocałowała. Ewa nie spostrzegła nawet tego zachowania się Leośki. Jej oczy były zamglone od widoku znajomych sprzętów kuchennych.

Służąca, zdobna już w całkowitą głupotę wyrazu twarzy i obfitująca w nadmiar kretyńskich ruchów, wciągnęła ją do kuchni. Sama, wierzchem dłoni obtarłszy wargi, weszła do pokoju. Ewa ze spuszcżonymi oczyma stała obok komina. Czula teraz, że krew ucieka z jej twarzy, że milionem szybkich drgań zdaje się spadać aż do ziemi, spadać dalej i dalej. Trzęsła się od śmiertelnego strachu, chwytiała oddech i strzępy jakichś podłych, ohydnych myśli.

Odgłos pantofli! Drzwi do pokoju rozwarły się z trzaskiem. Ewa ujrzała przerażliwy gniew w obliczu matki. Nie była to twarz, lecz pędząca chmura. Oczy wypęczniałe od straszliwych łez. Wielka twarz stała się dwakroć większa. Rysy twarde, szare, jakby z piaskowca wyciosane. Usłyszała krzyk wyrwany z głębi piersi:

— Precz! Łajdaczka! Precz!

Dwie zaciśnięte ręce, kamienne pięści, przeleciały przed oczyma. Uciszyło się serce. Już, już nareszcie!

Tak, lepiej, że już wybuchło — i że tak właśnie. Nareszcie spokój — i poczciwa, wyniosła, ostatnia pocieszycielka — pycha. Ewa zabrała się do odejścia. Cyniczny uśmieszek wygiął jej wargi. Wycedziła przez zęby:

— Jeszcze dotychczas nie byłam łajdaczką. Może teraz zostanę.

— Milczec! Nie waż się mówić do mnie! Ty — szelma!

— Może mię mama przestanie poniewierać przy służącej. Także!

— Milczec! Szelma, szelma!

— Proszę mię zostawić w spokoju! Nie przyszedł do mamy, tylko do ojca. Przyszedł zobaczyć się z ojcem. Mam do niego interes.

— Precz!

— Pójdę, tylko zobaczę się z ojcem. Czy mogę zobaczyć się?

— Nie!

— Tyś mi opowiadała... — zwróciła się ze spokojem do Leośki — że pan jest w domu.

— Nie w domu, tylko w knajpie. Gdzieżby pan teraz wysiedział w domu? Nie w domu, mówiłam, tylko w knajpie.

— W której?

— Ale niechże panienka zaczeka! Gdzież to panienka będzie po knajpach ganiała? Żeby znowuż nie można było z panem się w domu rozmówić? Rodzonej córce? Słyszane rzeczy! To już rzeczywiście! O, niech panienka usiądzie na stołku — o, przy ogniu!... Ogrzać się! Przecie cała mokra — i trzęsie się... Żeby rodzonemu dziecku ogrzać się w kuchni nie dać — to już honor, jak Bożię szczerze kocham!...

Leośka frygała po stole statkami i przewracała na kominie fajerki.

— Milcz i ty, fładro! Pójdziesz *wont* — razem z tą! *Wont* — obie!

Matka, Córka, Obyczaje,  
Ojciec

— Przecie że pójdę z takiego znowu zapowietrzonego domu! Żeby pani wiedziała, że pójdę — razem z panienką! *Takie matkie mieć*, to Jezus, Maryja!

Rozległ się w przedpokoju brzęk dzwonka. Leośka rzuciła rondel, który trzymała w ręce, i w podskokach pobiegła. Po chwili slychać było przez otwarte drzwi jej szept:

— Panienska, panienska...

We drzwiach kuchenki stanął stary pan Pobratyński.

Przekroczył próg cichymi krokami, ociężałymi ruchami. Ewa podniosła na niego strudzone oczy. Nie ruszyła się z miejsca, myśląc sobie dobrotliwie i spokojnie, że on, jak zawsze, zaakceptuje rozkazy matki. Ale starszy pan szedł ku niej z uśmiechem jasnym. Gdy był o krok, przyciągnął ją do siebie i przycisnął tak mocno, że jej zabrakło tchu w zgnicionych piersiach. Ogarnął obadwa<sup>95</sup> jej ramiona trwożnym ramieniem i pociągnął ją siłą we drzwi pokoju. Głaskał jej głowę, twarz, ręce.

Z jakąż radością poczuła znajomy zapach cygar i kochany zapach fiksatuaru! Szłoch jeden, drugi...

Matka stała we drzwiach. Z krzykiem, zapalczywie, ledwo chwyając dech w piersi — wołała:

— Nie waź mi się brać jej do domu! Ja tej dziewczki nie przyjmuję! Słyszysz!? Nie przyjmuję! Szelma! ścierwo! Słyszysz?! Nie przyjmuję! Szelma, ścierwo! Nie przyjmę nigdy, przenigdy! Tak mi Panie Boże dopomóż! Nie przyjmuję! Słyszysz?!

Stary pan podniósł wyblakłe, zalawione oczy. Wzrok jego pierwszy raz w życiu był kamienny i straszny. Stary pan mówił półgłosem:

— Milczec, milczec! Zejdź mi z drogi, bo teraz zabiję! Zatlukę! Na śmierć zatlukę!

\*

Lustrzane tafle w ramach imitujących łagodny mahoń, stoliki z blatami naśladowanymi żółty marmur z Sieny, różowy grecki, *rosso antico*<sup>96</sup>, albo bezcenny zielonkawy — posadzki udające mozaikę kościoła Świętego Marka — niby brązy, którym w fabryce nadano umyślnie cechę starości... Wszędzie, gdzie oko pójdzie, lśniące jaja albo greckie ample świeczników elektrycznych. Tam i sam zwinięte węgle żarowe lampek, umieszczone w brązach kształtu kwiatów, w podobiznach pąków różanych, owoców, łodyg, rozsiewały światło rozpustne i lubieżne, pąsowe i niebieskie, a powtarzając się po stokroć w lustrach, sprawiały wrażenie nieokreślonych połysków i drżenia sprzętów. Gdzie indziej — lampy schowane w kłozach obwieszonych rżniętymi szklami tworzyły źródlika barw łagodnych a różnorodnych. Niewolniczy, wiecznie równy, sypki żar lamp łukowych, białe światło w szklanych kielichach, nie żarzy się, lecz trwa niespracowanie, wyobrażając duszę wiernego lokaja tłumu.

Wszędzie bezduszone rozwidnienie, perłowe albo nieznośnie błękitne, powolne a niewyczerpane w sile swej nieskończonej. Wielkie szyby okienne jak tonie niezgruntowanej wody. Wieczny ruch drzwi od ulicy, bezszelstnych, chodzących w tył i naprzód — wieczny ruch drzwi prowadzących do kuchni — niby wieczne działanie potwornej gęby i kiszki odchodowej. Zawsze jednakie twarze lokajów, obłudnie eleganckie, chytrze uległe, pod pozorem jowialnego wesela brutalne i znudzone aż do wściekłości. Oto stoi kilku tych mężów z wypomadowanymi głowami. Marzą o własnych kawiarniach i o legiach własnych kelnerów. Przyszli obywatele, filantropowie, znawcy sztuki oraz patrioci. Míny i teraz mają uroczyste, ale wskutek bezsenności twarze porysowane, poryte i jakby podeptane. Są poważni jak kapłani oczekujący na chwilę wykonania tajemniczego obrzędu. W gruncie rzeczy, stojąc drzemią. Wyzyskują tę chwilę czasu, by wytchnąć po nocy wiecznie bezsennej. Białe ich fartuchy snują się jak żałobne linie szat tajemniczych. Powietrze nasycone i przesiąknięte błękitnym tytuniowym dymem. Niezliczony, nieustający, nieprzebrany tłum mężczyzn. Oficerowie, studenci, wykwiłne damy, których stroje nadają pozór i kształt widomy męskich rojeń i samotnych widziadeł namiętnego snu. Połyskujące cylindry, wykwiłne paltoty z podniesionymi kołnierkami, modne gorsy, jaskrawe krawaty, wąsy, wąsiki, brody najróżnorodniejszego kształtu i barwy, oczy

Sluga

<sup>95</sup>obadwa — dziś popr.: obydwu.

<sup>96</sup>rosso antico (wł.) — czerwień antyczna.

zawsze bezwstydnym. Tam i sam stolik drogocennych kokot w wielkich kapeluszach i szleszczących sukniach.

Wobec tego motłochu, który gada o rzeczach nieznanach, gestykuje, szepce, który wybuchając śmiechem i drwi — Ewa, zamknięta w klatce kasjerki niby w konfesjonale, jest samotna jak w głębi lasu lub na puszczy. Piękność jej powróciła, jak po zimie powraca wiosna. Znowu jak królewski diadem wznosiły się nad czołem szczerozłote włosy. Czoło stało się białe, nieposzlakowanej barwy, jak kora brzozy — oczy, zawarły w sobie tajemnicę życia i tajemnicę duszy, stały się głębokie, ukrywające w sobie niedocieczony świat. Na ustach osiadł uśmiezek okrucieństwa. Na nowo poczęła teraz ubierać się wykwintnie, perfumować i pieścić sobą. Włosy jej uczesane były w sposób niezwykle, skromny, a przecież zwracający wszystkie oczy. Ręce wypiękniały od gruntownych zabiegów około ich utrzymania. Już tak od kilku miesięcy urzędowała w najwykwintniejszej cukierni, w zakładzie urządzonym na wzór europejski. Miejsce to wyrobiła jej Barnawska przy pomocy filozofa Horsta. Ta dobroć i zapobiegliwość Barnawskiej o dobro Ewy miała tło zgoła utilitarne. Chodziło o odbiór sumy pożyczonej podstępnie przed rokiem.

Stary pan Pobratyński stracił był posadę. W domu panowała skończona bieda, ledwie osłaniana dawniejszymi resztkami egzystencji.

Skoro tylko Ewa zjawiła się na horyzoncie, Barnawska przystąpiła niezwłocznie do wyszukania dla niej „odpowiedniej” posady — w tym celu, oczywiście, żeby można było wejść na pensję jej miesięczną. Aczkolwiek wszelkie pozory były doskonale zachowane (mówiło się wszem i wobec i każdemu ciekawemu z osobna, że Ewa bawiła przez rok u krewnych pod Wilnem), to jednak wynaleźć jakieś lepsze miejsce trudno było nad wyraz. Dokądkolwiek zwrócono starania — zewsząd pod rozmaitszymi pretekstami następowała odmowa. Tymczasem Barnawska nie myślała czekać. Puszczony został przez nią w żywy ruch sam Horst. I dziwna to była dla wszystkich rzecz: ten abnegat w parę dni wynalazł miejsce. Początkowo Ewa odrzuciła ze wstrętem tę najnieznośniejszą dla niej propozycję siedzenia w kasie cukierni, ale pod naciskiem złowieszczych pogroźek Barnawskiej, pod wpływem namów rodzicielskich i zachęty ze strony przyjaciela Horsta — przyjęła.

Adolf Horst mieszkał jak dawniej w korytarzu rodzicielskiego mieszkania. Ponieważ jednak stary pan Pobratyński nie miał już częstokroć „drobnych” na poobiednią „małą z kieliszczkiem” — Horst chodził sam i już nie do dawnej dziury, lecz właśnie do pierwszorzędnej cukierni. Miał tu swój kącik, który zajmował stale, mniej więcej od godziny czwartej po obiedzie do późnej nocy. Stoliczek Horsta miał szczególniejszą siłę przyciągania towarzyszy. Byli tam starzy i młodzi, mniej i więcej zamożni. Horst ich oświecał, wtajemniczał, oprowadzał po Europie, bawił opowiadaniem. Tu dopiero miał możliwość wyładowania całokształtu swego systemu filozoficznego oraz kolekcji pikantnych anegdot.

Wesoły stoliczek mieścił się tuż obok „łóż”, w której królowała znana już i podziwiana „panna Ewa”. Ilekroć powiodła oczyma po ciżbie, widziała zawsze i przede wszystkim okrągłą głowę Horsta, jego psa i przyjaciół.

Słyszała ciągle jego monologi, jeszcze nie zaczął się zmierzch, jeszcze nie płonęło światło, a już Horścik miał swą kompanię, całkowity zespół tworzący codzienne *symposion* — i mówił w takie, dajmy na to, słowa:

— Pozwólcie mi, optymaci<sup>97</sup>, którzy spoglądacie na ten padół przez najdokładniejszy teleskop (mam oczywiście na myśli ucho od kuffla), żebym was dziś ściślej zapoznał z usposobieniem i najistotniejszym kierunkiem myślenia kmiotków polskich. W te spostrzeżenia o naturze kmiotka polskiego, której fenomena zaraz tu wyłuszczyć, zaopatrywałem się w doczesnej wędrowce bardzo starannie! Będę mówił, współlikieraci moi, absolutnie bezinteresownie, z najgłębszą i najszczerzą ufnością, że ani wesołe pepeesy, ani mniej wesołe endusie<sup>98</sup> nie zwrócą na to, co tu będę wieszczę, najprzelotniejszej uwagi. Nazwą

<sup>97</sup>optymaci (z łac. *optimus*: najlepszy) — w staroż. Rzymie konserwatywne ugrupowanie polit. zawiązane w 2. poł. II w. p.n.e., skupiające *nobiles* (rym. szlachtę, gł. potomków bogatych rodów senatorskich) i występujące w obronie ich interesów przeciw dążącemu do demokratyzacji ustroju państwa stronnictwu *popularów*; optymaci byli przeciwni awansowi społecznemu i politycznemu *homines novi* (dosł. „ludzi nowych”), nienależących do *nobiles*.

<sup>98</sup>pepeesy (...) endusie — członkowie PPS (Polskiej Partii Socjalistycznej) i ND (Narodowej Demokracji).

to objawami ciemnoty i zapowiedzą, czego Boże broń! za pomocą proklamacji, że oni tę właśnie ciemnotę zniweczą, skoro tylko dorwą się do władzy. Nie będę wam, o wybrani, udawadniał<sup>99</sup>, że do władzy dorwie się najprzód ten, który najbardziej schlebiać będzie rodzimej ciemnocie, a znowu najbardziej ten się zmęczy, kto będzie niszczył ciemnotę, kto jej wypowie walkę najbardziej nieubłaganą.

Albowiem ostatni, którego sprawiedliwość nakazuje zwać lekkomyślnym, będzie walczył jednocześnie z dwoma wrogami. Jakże wyż wzmiankowany może odzierzyć władzę? Przenigdy! Mędrzec dążący do władzy winien snobizm (w języku polskim kołtunizm, czyli kołtuństwo) uczynić najistotniejszą częścią swego „programu”, dać kołtuństwu możliwość rozkwitu, nazwać kołtun najpiękniejszymi naukowymi nazwami i popierać go entuzjastycznie.

Nigdzie bowiem kołtun tak nie zakwitł z prawików, jak w Polsce (*plica polonica*). Biada obcinającym kołtun polski! Kłonicie ich nie miną. Tyle co do teorii. Przechodzimy do wypadków.

Wypadek pierwszy.

Była w pewnym powiecie (dajmy na to, że rzecz dzieje się w Piotrkowskiem) wielka suma pieniędzy. Dawne jakieś, wojewódzkie pieniądze. Procentując przez kilkadziesiąt lat, urosły te sumy do monstrualnej wielkości. Zwiedzieli się o nich dwaj „ludzie dobrej woli”, dwaj młodzi obywatele ziemscy i po dokładnej deliberacji postanowili czynić wszelkie możliwe starania o przeznaczenie tych sum na przeprowadzenie szosy bitej z powiatowego miasta do jednego z miasteczek najbardziej zapadłych. W istocie — cała okolica byłaby niezmiernie zyskała, bo ziemia tam urodzajna, gospodarstwa dobre a tylko drogi łącie diabelskie. Władze miarodajne przystały na wyasygnowanie owych sum na budowę szosy, o ile na to przystaną gminy, których obszar nowa droga miała przecinać. W to naszym szlachcicom graj! Kije sękaty w garść do obrony od burków — i od chaty do chaty z agitacją! Jeden z nich przez szereg lat był sędzią gminnym, znał tedy ludzi, stosunki, wady, obyczaje, okoliczności, przywary. Wojtka tak zaczepi, Ignacego tak zagadnie, Magdę podmówi, żeby swemu przelożyła. Robota szła jak po maśle. Chłopy jeden w drugiego, każdy na osobności przytakują. Któż by też ta nie chciał szosy murowanicy? Przecie i wóz, i koń, i transport... A czy ta na jarmark, czy ta na odpust... Jednym słowem! Obeszli szlachcice moje wszystkie sześć gmin, zmachali się setnie, ale rzecz ukuli. Jedność, zgoda, karność! Dobra nasza! Nawet już bodaj z „szlachtą polską...”<sup>100</sup>.

Przyszedł nareszcie tyle oczekiwany termin wielkiego zebrania. Zeszły się na jedno pograniczne miejsce wszystkie sześć gmin. Przyjechał komisarz włościański, przyjechał i sam gubernator. Przyjechała i szlachta gromadą. Moi szanowni inicjatorowie jeden po drugim wchodzą na stolik i palą świetne mowy. Chłopi przytwardzają ochotnie. Nareszcie wstępuje na stolik komisarz włościański i mówi:

— Tak jakże, chłopcy, zgadzacie się przeznaczyć owe sumy powiatowe na budowę szosy?

Okrzyk wszystkich sześciu gmin, jakby jednego człowieka:

— Nie chcewa! Nie chcewa! Nie chcewa!

Wypadek drugi.

Trzeba zdarzenia, że w pewnej dziurze (łomżyńskiej) zjawilo się w tych fatalnych czasach grono czułościowych inteligentów zwane pogardliwie przez rdzenne miejscowe kołtuństwo „ochroniarzami”. Grono to ujrzało nagły a niewątpliwy ratunek na wszelkie „niedomagania” w bardzo powszedniej oświacie i z furią godną lepszej sprawy postanowiło w wyżej wzmiankowanej dziurze własnymi siłami zbudować ochronę wzorową. Tkliwe indywidua tego grona wyimaginowały sobie, że potrafią wydobywać dzieci ze świętych, ale śmierzących, „ognisk” rodzinnych, z chałup-szkarlatynek i w swej flisackiej ochronie za pomocą dokładnego a ściśle naukowego freblo-patykowania umysłów urabiać przyszłych „obywateli” i tym podobnych „członków”...

Imaginujcież sobie, współbiesiadnicy, co się dzieje! W środku pól czterech pobliskich, graniczących wiosek było gromadzkie pastwisko, wspólna własność. „Wspólnota” — *if*

<sup>99</sup>udawadniał — dziś popr.: udowadniał.

<sup>100</sup>z „szlachtą polską...” — niedokończony, domyślny cytat z *Psałmów przyszości* Zygmunta Krasińskiego: „Jeden tylko, jeden cud / Z szlachtą polską polski lud”.

*you please*<sup>101</sup>: „opole”... Jeden z najbardziej zacieklejch „ochroniarzy” zwołuje wieś, do której pastwisko należało, wygłasza płomienną i (samo przez się) absolutnie niezrozumiałą orację z cytatai poetów, prozaików — i proponuje:

— Obywatele! puście nam w wieczystą dzierżawę pół morgi waszego pastwiska w tym miejscu, gdzie będzie najbliżej do każdej z trzech wiosek. My na tym pasku ziemi zbudujemy wzorowy murowany dom szkolny za kilka tysięcy rubli i oddamy go na własność waszej gromadzie. Dzieci wasze będą miały prawo do bezpłatnej nauki w tej szkole na zawsze. Żadnych kosztów ani na budowę, ani na utrzymanie szkoły wieś wasza ponosić nie będzie. Żadnych nigdy nie będziecie płacili podatków. Ileż będziecie żądali za dzierżawę roczną pół morgi tego pastwiska?

Po długiej naradzie wieś wyniosła odpowiedź:

— Dacie nam po 50 rubli rocznej dzierżawy.

— A ileż — spyta idealista — kosztuje dzierżawa morgi najprzedniejszej roli uprawnej w tej okolicy?

— Kosztuje dwanaście rubli.

— To pół morgi pastwiska czemuż ma kosztować pięćdziesiąt?

— Bo będziet na tym placu stawały budynek, dom murowany.

— Ale ten budynek rejentalnie będzie opisany jako wasza własność i wasza szkoła...

— Tak to ta ono, ale taniej nama nieporada z dzierżawy spuszczać...

Wypadek trzeci itd. . . . .

Światło elektryczne cicho weszło jak duch — i odtąd żywie w naczyniach. Światło wylupane z nicości w głębinie ziemi przez pracę niewolników, których płuca potargał kaszel gruźliczy. Światło stworzone przez mękę nędzarzy, których domowe ognisko oświetlał kopeć lampki naftowej. Całościennie tafle lustrzane tworzą teraz złudzenie mnóstwa sal, dalekości, przestrzeni. Odbijają w sobie tłum krążący. W oczach i mózgu tworzył się wieloraki, olbrzymi obraz, wielekroć odbity w ścianach korowód postaci wesołych, migotliwych, pochód strojów, przemarsz widziadeł o kształcie ludzkim, niosących na licach wszystkie uczucia, od szczęścia — do rozpacz — wizję nieskończoną rodu ludzkiego. Nawet mając oczy spuszczone, rachując, pisząc, Ewa widziała przed sobą to sunące pasmo ludzkie. Jakże często w tej ciżbie mężczyzn, wyrostków, chłystków, starców zjawiała się jakaś twarz urocza, młodociana, jakiś owal lub profil niewiarygodnie piękny, zadziwiający i bezprzykładnie miły! Oczy nie mogły się odeń oderwać... Częstoć jakiegoś oczy błagały godzinami albo napastowały w ciągu nieskończonych wieczorów.

Ewa musiała wyuczyć się spokoju, zdobyć formę twardej obojętności, pewną postać ponurej tyranii. Ugrzeczniona, dobrotliwa bezczelność, łaskawa pogarda niewiedzenia... Łagodny uśmiezek ślicznych ust mówił: — Patrz sobie, koteczku, patrz!... Patrz, śliczny paziu... Wypatruj piękne oczęta... A choćbyś patrzył dzień i noc, i cały adwent, i cały karnawał, i wielki post, nie, sierotko, nie wypatrzysz jednego drgnienia brwi. Wiem ci ja, o co ci idzie. Chciałbyś mię dławić tymi białymi rączkami o szlifowanych paznokciach, chciałbyś rozgniać mi usta i piersi... Wiem, wiem. Nic z tego, nic, bo jestem, widzisz, wierna Łukaszowi, którego może na świecie już nie ma...

Oczy jej widziały tłum, myśl dostrzegała natężenie zabawy (aczkolwiek rządziła nieustającym prawie rachunkiem), lecz to, co w oczach widzi, ta władza, która jest zdolnością widzenia, dostrzegała zarazem światy dalekie, dalekie... Za spokojnym uśmiechem, w miarę kokieterijnym, który był jak maska papierowa, wdziana na twarz od godziny dziewiątej rano do późna w noc — żyło senne marzenie, niezmiennie trwałe, niemal tak samo jak światło elektryczne w amplach. Marzenie o tym, że kiedyś to wszystko musi się skończyć, że kiedyś zniknie z oczu ten korowód bladych cieniów, wszystek ów orszak ludzki i tłumy chłopów, o których bąjał Horst... Oczy patrzące w ścisk wieczorny widziały miejsca i tłumy inne, dalekie, dalekie...

Tam pójść! Ciepło radości na wzór słońca jesieni ogrzewało zmurszałe serce wobec tego marzenia, że kędyś na ziemi jest samotnia, gdzie na bardzo długo można znaleźć ciszę taką i taki błogosławiony spokój, jaki przepływał przez ową dawną, dziewiczą noc... Ewa czuła, że jest to marzenie zgubne, że stokroć gorsza jest dola tych, co ni dachu, ni

<sup>101</sup> *if you please* (ang.) — jeśli państwo sobie życzą; jeśli wolicie.

chleba nie mają wcale, co klną życie dla głodu, lecz mimo to marzyła... Niekiedy przebiegał znajomy dreszczyk... Oczy latały jak nietoperze i padały w ciżbę ze zgrozą, chyłkiem przesywając wszystko od drzwi do drzwi.

Lęk... Zimno...

Ciche kwilenie gdzieś za uszami, jakby w ścianie. Malenieczkie rączki drgają, małe kolanka tłuką się o siebie. A nuż wysunie się z tłumy Żyd, właściciel domostwa — i spojrzy! Włosy przez moment jeżyły się i niedosłyszalny, suchy trzask sypał się wewnątrz uszu. Mroźne iskierki mknęły po krzyżu, po udach, po nogach... Dumanie, szybkie jak owe iskry, które uciekać, jak wysunąć się z kojca, jak niepostrzeżenie skoczyć w ulicę, którymi zaułkami gnać do domu. Dumanie, czy biec do domu, czy biec wprost nad Wisłę. Czemu nad Wisłę? Tam... Nad Wisłę...

W znużoną bezsilną duszę sphywała pociecha: powiedzieć Łukaszowi... — Tylko to jedno: powiedzieć mu wszystko, wszystko, jak było — a potem wszystko już jedno! Ale umrzeć, ale zginąć, ale pójść do kryminału i nie powiedzieć mu wszystkiego, jak było, nie wyskarżyć całej duszy!... Na samą tę myśl ciało drżało i serce tłukło się z bóleści.

Gdy wreszcie późna noc kończyła dobę przeżyta i Ewa opuszczała „budę”. Horst również zachęcał pieska do porzucenia zakładu. Na ulicy przyłączał się do powracającej i towarzyszył jej do domu. Z biegiem czasu przywykła do jego asysty. Nieraz była z niej zadowolona. Gdy miasto ogarniała dżdżysta noc, gdy chodniki stały się lśniące od lepkiej wilgoci, a latarnie o spłoszonych i lękliwych płomykach, rada była, gdy obok niej szedł wierny towarzysz. Dawniej, przed rokiem, nie znosiła jego cynizmu, sposobu mówienia, jego osoby i towarzystwa. Teraz przeciwnie — on to właśnie był dla niej przyjemny, jego sposób widzenia rzeczy poniekąd najrozumniejszy, a rodzaj zachowania się najbardziej naturalny i poprawny.

Horst nigdy nie mówił do niej o swych uczuciach. W kawiarni darzył ją płomiennymi spojrzzeniami, ale spod oka, kiedy był pewny, że tego nie spostrzeże. Nigdy nie uściskał jej ręki, kiedy razem wchodzili na ciemne schody i rozstawali się w ciemnym korytarzu, dążąc do swoich izdebek. Było jej przyjemnie (o czym zresztą nigdy nie myślała), że on kocha ją wytrwale, a bez wynurzeń. Nigdy w rozmowie ich nie było wspomnień przeszłości, nigdy żadnej wzmianki o Niepołomskim, nigdy aluzji do spraw, które się zdarzyły podczas nieobecności Ewy w Warszawie. Horst był jak lekarz i pedagog. Rozmawiał wiele, ale tylko o tym, co jest teraz, o sprawach nowych, bieżących, wesołych, o tym, co mogłoby Ewę zająć i wciągnąć w życie.

Ona wiedziała doskonale, że ją pocziwy Horst dla siebie obłaskawia. Z tych jego mądrych zachodów śmiała się dobrotliwie, z cynizmem, który rozpostarł się w jej duszy. Owszem, nieraz zażywała filozofa, darząc go niepostrzeżonymi i nieobowiązującymi do niczego okruciami łaski. Czasem skinęła na niego wychodząc z miejsca pracy, gdy się dla niepoznaki ociągał, czasem posłała mu nawet dziwaczny i nic nieznaczący uśmiech, jak się daje grosz dziadowi, co na nasze miłosierdzie czyha pod bramą. Nauczona doskonale, co to znaczy życie zupełnie samotne i odludne, chowała na czarną godzinę przyjaźń wiernego Horsta. Zresztą i teraz nieznośna była dla niej samotność. Nie cierpiała ulic zadymionych sinawą, gęstą, zimną mgłą.

Gdy oko zanurzało się w jej nieskończoność złowieszczą, czuła w sobie lęk i popłoch. Domy z oślizgłymi ścianami straszły ją swymi kształty bezmyślnie i bezładnie spiętrzonymi, latarnie snuły się w oczach żywym a bolesnym korowodem. Czuła wówczas, że jest sama na świecie, że sama jedna idzie w mroku bez granic po żywym cementarzu, gdzie się błakają tłumy trupów. Dokądkolwiek szła, wszędzie potrącało ją to, co już było. Nie istniało dla niej nic a nic z tego, co rzeczywiście jest, a istniało tylko to, co było i wcale już nie istnieje. Stokroć chwytiała się na sekretnych marzeniach o tym, że teraz jest jeszcze to samo, czego już w rzeczywistości zupełnie nie ma. Ach, jakże łkał wówczas w samotnym sercu natarczywy widok ruchliwego miasta!

Olbrzymie domy i olbrzymie kramy, zgiełk bez ustanku i wieczny pęd naprzód, a ona jedna jedyna stoi w środku bezmiernego wiru, nie mogąc ani iść naprzód, ani tam wrócić, skąd wyszła. Dookoła biedni ludzie, wciąż w popłochu, całymi gromadami oddani drgawkom pracy, wiecześnie osaczeni manią prześladowczą, okropnym a nieśmiertelnym widziadłem głodu i chorób — ludzie ubodzy, zawsze i wszędzie posępni, groźni nawet wówczas, kiedy hulają, jeżeli nie sami przez się, to przez obraz i sposób swojej hulanki...

Miasto, Tłum, Cierpienie

Miasto nocne było jak jej dusza pełna lęku, rozterki, o której nie wiadomo nic, po co jest i jaki ma cel. Najboleśniej z trosk, że cierpienie i rozterka nie posiadają żadnego celu, że są same dla siebie, że cierpienie nie ma nigdzie nagrody... Wieczny a nieopisany smutek ludu i wieczny jego ferwor, jakby ferwor głupiej maszyny stalowej... Nigdy niedający się zapelnąć ogromem pracy ogrom potrzeb... Owo wiekuiście to samo życie nędzarzy... Straszliwe głupstwo takiego życia... Ohydna brzydota prac i brzydota lic ludzkich skażonych w pracy bydłejcej...

W tych tłumach spostrzegła teraz siebie. Jedną z tłumy... Skoro samotna szła ulicami, doświadczała uczucia, którego nie można słowami wyrazić. Czowała, gdyby tak powiedzieć, że jest przykuta do potwornego tłumy, a jest samą, lecz że w niej, w niej jednej, jest to całe wielkie miasto. Czowała, gdyby tak powiedzieć, że ona to jest z konieczności żywy głos niezmiernego zbiorowiska domów, ludzi zamkniętych w tych domach i ludzi pędzących z ulic w ulice. Głos zamknięty w niej wiedział wszystką cyniczną prawdę i rozsądzał piersi, żeby się wyrwać. Lecz ona sama nie wiedziała — i nie mogła go wydać. Więc tylko samotne wzdychanie niemocy, wzdychanie za wszystkich tłoczyło piersi — i głęboki smutek, korona cierniowa — oplatał głowę.

\*

Pewnego razu, gdy późną nocą zdążyli do domu. Horst po długim milczeniu rzekł:

— Czy nie chciałaby pani zapoznać się z panią Niepołomską?

— Z kim?

— Z panią Niepołomską.

— Nie rozumiem... Kto to... taki?

— Żona Łukasza Niepołomskiego, który mieszkał u państwa rok temu.

Ewa posępnie milczała. Rzekła wreszcie:

— Dlaczegoż to pan proponuje mi tę znajomość?

— Wydało mi się, że mogłaby pani dowiedzieć się czego o Niepołomskim od tej pani.

Ewa chciała zakrzyknąć nań, ale zamilkła, uległszy jakby zachłystnięciu od tych słów Horsta. Szła nie wiedząc, że idzie, nie pamiętając, gdzie jest. Dawno już, dawno wytracała w sobie to nazwisko: — Niepołomski. Nie chciała o nim nic wiedzieć, nie chciała o nim myśleć, podobnie jak człowiek chory na suchoty nie chce wiedzieć o swym nieszczęściu, które z nim jest zawsze i wszędzie, utajone poza wszystkimi jego myślami i poza każdym jego uczuciem.

Opanowawszy siłą wrazenie, mówiła do Horsta:

— Skądże to panu przyszło do głowy? Nie rozumiem doprawdy!

— Et... proszę pani. Wiem, co mówię i robię.

— Jakimże to sposobem pan się mógł zapoznać z żoną Niepołomskiego?

— Jakim sposobem? Szukaliśmy tu przecież pani po całym świecie. Szukaliśmy śladu, cienia, poszlaki. Udało mi się przypadkiem posłyszeć o egzystencji tej damy. Byłem u niej, myszkując, czy się czego nie dowiem o miejscu pobytu jej męża, bośmy przecież nie wiedzieli, gdzie on się podział. Już jeżeli Barnawska nie mogła trafić na ślad pani...

— Cóż to za kobieta?

— Tak... kobieta jak inne. Mieszka na ulicy Złotej, numer 40. Zechce pani, to ją odwiedzi, nie — to nie. Zresztą nie mówmy o tym, bo to panią denerwuje.

— Mnie nic nie denerwuje. Jestem spokojna i najzupełniej wesoła.

— Świetny stan. Ja również jestem zawsze, jak wiadomo, spokojny i najzupełniej wesoły. Toteż podoba mi się coraz bardziej ostatnie usposobienie pani.

— Najzupełniej mi to jest obojętne, co się panu podoba.

— A naturalnie! Tak być powinno...

\*

W najbliższą niedzielę około godziny pierwszej Ewa udała się na ulicę Złotą i weszła do bramy domu oznaczonego numerem 40. Zatrzymała się przed listą lokatorów i czytała spokojnie. Ale oto oczy jej trafiły na nazwisko: Róża Niepołomska. Ewa doznała uczucia

zdumienia i lęku na widok tego nazwiska. Było już tak daleko, a oto znowu zbliżyło się do niej to nazwisko. Przyczołgała się na górę zapomnienia i znowu staczała się do jaskini przeklętej. Stała bezradnie, z oczyma utkwionymi w listę lokatorów i nie mogła poruszyć się z miejsca. Wicher gorący zahuczał dokoła głowy... Daleki grom zatrzęsł posadami duszy.

Ocknęła się i poszła wprost na schody bocznej oficyny pod numer wskazany na liście lokatorów. Wkrótce stanęła przede drzwiami. Gdy miała nacisnąć krążek dzwonka, zastanowiła się, co ona tu robi, po co tu idzie. Co powie? Pierwszy popęd uczucia doradzał powiedzieć czystą prawdę. Rzucić tę prawdę pod nogi żonie Łukasza i doprowadzić ją do stanu drżenia, do stanu rozpaczliwej niemocy, zrównać jej stan ze swoim. Wtedy by można coś skorzystać, wyrwać w rozmowie, w kłótni czy bójce jakąś o nim wiadomość! Wyznać, kim się jest — to działać otwarcie, bez obmierzłych wykrętów i ohydneho milczenia.

Już podniosła rękę i już się dźwignęła ciałem i duszą na stopień tego szafotu, gdy nagle znów się cofnęła.

Uczuła się jak naga na placu. A jeśli nic się nie dowie? Po cóż mówić o sobie? Po co? Inna pobudka zawładnęła duszą, wykrętnie ubrała się w słowa Alfreda de Vigny: „*Seul le silence est grand et tout autre est faiblesse*<sup>102</sup>...”. Więc wrócić się z tych schodów i cofnąć do izby swej na niedzielną nudę spoczynku?

Wszystkie wahania połknęła nagła ciekawość: jaka też ona jest? Byłaby ostatnią gęsią, gdyby jej powiedziała wszystko o sobie. Po co? Przypatrzy się jej, przypatrzy tej towarzysze w czekaniu na Łukasza Niepołomskiego. Pośmieje się z niej wewnętrznie, odniesie tryumf, że ona to jej wydarła męża, i pójdzie z powrotem do domu.

— Otwórz, siostró — wyszeptła ze śmiechem, opierając czoło na przybitym do drzwi bilecie wizytowym Róży Niepołomskiej. Podniosła ociężałą rękę. Zadzwonila.

Dały się słyszeć kroki. Drzwi otwarto. Weszła. W ciemnym korytarzyku stała jakaś osoba. Trudno ją było tam rozpoznać.

— Czy mam przed sobą panią Różę Niepołomską? — spytała Ewa.

— Tak jest. Czego sobie pani życzy?

— Chciałam prosić o chwilę rozmowy.

— Proszę uprzejmie.

Ewa weszła do dużego pokoju z alkową. Okno wychodziło na ogrody. Było widno, jasno w tym mieszkaniu.

Ewa odwróciła się czym prędzej, żeby zobaczyć osobę idącą za nią. Przez chwilę nie panowała nad gwałtownością swego wzroku. Stała przed nią kobieta jeszcze młoda i dosyć ładna.

Była to szczupła (nieco za szczupła) szatynka z rysami nadzwyczaj regularnymi, które jednak wkraczały w granice zbytnej ostrości. Wszystko w tej twarzy było prawidłowe, narysowane prostymi niejako liniami. Bardzo piękne, mądre, szerokie czoło miękko i miło otaczały włosy rozczesane w sposób oryginalny, a jakby z umyślnym dążeniem do postarzenia twarzy. Usta i równy, chrząstkowaty nos tworzyły spokojne, „greckie” linie. Oczy były zimne, pełne rozumu i stanowczości. Przenikliwa siła skupiała się w bladoprzezroczystych źrenicach, pełnych promieni światła.

Pani Niepołomska przez chwilę cierpliwie i uprzejmie czekała na nazwisko Ewy, a nie mogąc się doczekać, z pewną stylową oziębłością wskazała jej ręką niski fotel w środku pokoju. Ewa czuła dobrze, że należało przedstawić się, i myślała nad tym, co ma czynić. Miała nadzieję, że inną w tym miejscu zostanie kobietę. Od pierwszego wejrzenia poznała, że się zawiodła. Niespodzianie dla samej siebie rzekła:

— Przede wszystkim... muszę pani powiedzieć swoje nazwisko...

— Pani nazwisko — to Pobratyńska. Panna... Ewa Pobratyńska...

— Czy pani mię zna?

— Nie znam pani.

— Skądże?...

<sup>102</sup>*Seul le silence est grand et tout autre est faiblesse* (fr.) — tylko milczenie jest wielkie, a wszystko inne to słabość.

— Domyśliłam się. Gdy pani tutaj weszła i spojrzała na mnie, pomyślałam sobie natychmiast, że to właśnie panią zgubił mój niepokromiony małżonek.

— Z czegoż to pani wywnioskowała?

— Ze spojrzenia oczu.

— Nie wiedziałam, że moje oczy zdradzają tak karygodnie wszelkie tajemnice.

— Zdrady nasze rodzą nowych zdrajców w nas samych, w naszych rękach, oczach, ustach.

— Nie popełniłam zdrady względem nikogo. Chyba względem własnej duszy i względem wieczności. Może względem rodziny. Ale i rodzinie mojej nie przyrzekałam nic takiego, czego by później...

Pani Niepołomska siedziała bez ruchu. Broda jej oparta była na dłoni, łokieć ręki na poręczu fotela. Patrzyła z dołu na Ewę swymi spokojnymi oczyma, które były bladoniebieskie jak mgła daleka a przejrzyste niby woda górską. Niepochwytny dla wysłowienia wdzięk spokoju i rozumu widniał w jej całej postaci. Jednakże Ewa dostrzegła, że jej przeciwniczce krew z wolna uderza do głowy. Widziała, że krew ta nie zalewa policzków, tylko nieznacznie, stopniowo rozczzerwienia uszy, rubinowymi liniami podkreśla dolne powieki, rozpała wargi. Ewa czuła niemal za tamtą i rozumiała, co się w tamtej dzieje. Było jej to przyjemne i zajmowało to przede wszystkim, że ów urok spokoju łamie się i pęka pod uderzeniami wrażeń.

„Nerwy w niej grają...” — myślała wobec samej siebie.

Chciała korzystać z tego stanu rozdrażnienia i postanowiła podnieść go do potęgi. Spytała tedy ze skrajnie złym uśmiechem:

— Czy pani kocha jeszcze swego męża?

Róża Niepołomska nie odpowiedziała. Powieki jej zakryły z wolna oczy. Suchy, nerwowy kaszel zakrzusił ją na chwilę. Gdy znowu podniosła głowę, spytała cicho i grzecznie:

— Nie dowiedziałam się, czego pani właściwie życzy sobie ode mnie?

Ewa nie była przygotowana na to pytanie. Rozumiała, że grunt wysuwa się spod jej stóp. Wypadnie iść, a nie dowiedziała się nic. Nic! Przez mgnienie oka myślała o tym, że teraz przyjdzie zstępować po ciemnych schodach, że się będzie wlokła ulicą, wróci do domu — tak samo nieszczęsna, tak samo zdeptana i podarta na strzępy. Straszny żal nagle wybuchł w piersi i stoczył się po sterczących głazach, po targających korzeniach w bezdenną wyrwę nicości. Siedziała sztucznie uśmiechnięta, poruszając w bezradnej ręce ściągniętą rękawiczkę, która jej się wydawała ciężką jak sztaba żelaza. Nie miała siły wstać i nie miała tyle siły, żeby podnieść oczy. W wicherze uczuć rozszarpujących serce trzymała się oburącz jednego marzenia, żeby dowiedzieć się czegoś nowego o Łukaszu — i wyjść. Choć małą, choć drobną, na nic niezdatną pogłoskę, choć wiadomostkę, choć echo wieści...

Usłyszała głos tamtej, który jej się wydał jakimś dalekim, odległym, przyciszonym:

Jak kwiat człowiek powstaje i skruszon bywa.

Przemija jako cień<sup>103</sup>...

Ewa podniosła zbolale oczy. Smutny, aż do śmierci smutny wzrok utopiła w oczach przeciwniczki. Oczy Róży były szczerze i prawdopodobne bez granic. Uważnie i głęboko patrzyła w Ewę. Uśmiech bolesniejszy od gorzkiego płaczu stał na jej ustach.

— Tak, niegdyś — mówiła — miałam i ja chwile szczęścia. Wstałam i ja z domu moich rodziców jak kwiat. Byłam człowiekiem dla samego siebie istniejącym, jak kwiat. Łukasz dostrzegł mię i ułamał, ażeby nosić przy piersi, pókim mu pachniała. Później spostrzegł, że dosyć. Wszyscy, kogo kochałam, pomarli. Rodzice, brat. Zostałam sama z nim. Gdy mię chciał rzucić na ziemię, broniłam się zapamiętała. Pani to zresztą musi wiedzieć lepiej ode mnie, bo nie byłam w stanie wszystkiego złego zapamiętać, którym, z podziwieniem ludzi, tworzyła. Dopiero później przypomniałam sobie. Musiał pani mówić, bo lubi o mnie mówić źle, jak najgorzej. A pani przecież była teraz najbliższą jego sercu... Nowym jego kwiatem...

<sup>103</sup>Jak kwiat człowiek powstaje i skruszon bywa. Przemija jako cień (...) — por. *Księga Hioba* 14,2, szczególnie w tłum. Jakuba Wujka.

— Tak, mówił mi o pani.

— Więc wciąż mówi źle? — spytała Róża z uśmiechem nader dziwnym dla Ewy.

— Istotnie... mówił źle.

— Już mię to dzisiaj nie boli. Już to nie wpływa na mój spokój ani na sposób mówienia o nim. I tego spokoju nie wyrzeknę się już za nic!

— Nie kocha pani Łukasza? — spytała Ewa powtórnie, cicho, nachylając się ku niej.

Róża spojrzała ociężale. Płomień szczególnej namiętności błysnął w jej oczach. Nie-rychło odrzekła:

— Nie może pani widocznie zrozumieć mię. Zadawałam istotnie Łukaszowi rany ciężkie, ciosy wszelkiego rodzaju. Walczyłam z nim bez wyboru broni, a to w tym celu, żeby mię kochał jak wówczas, gdy byłam jego narzeczoną. Dochodziłam w tej walce do granic zemsty. Wszystko to było.

— Mówił mi o tym.

— Aż jednego dnia ujrzałam, pomimo i wbrew woli, wszystkie rany jego duszy, które mu zadałam, i wszystkie jeszcze niewykonane zamachy moje na niego. Zadrzałam ze zgrozy.

— Już go pani nie kocha?

— Cóż mam powiedzieć? Od tego momentu już nie knuję nic złego przeciwko niemu. Może pani teraz łatwiej zorientuje się, że nie mogę odpowiedzieć na pytanie, czy go kocham.

— Przebaczyła mu pani, że panią opuścił?

— Nie wiem tego. Czyż ja to mogę dziś wiedzieć?

Wyrzekłszy te słowa, Róża po namyśle wstała i z wdziękiem wydobyla z szuflady starożytnego biurka dziwnie piękny safianowy portfel, w którego środku była oprawiona fotografia Łukasza z lat dawnych. Fotografia była urocza, pigment włoski bez retuszu. Łukasz na nim był uśmiechnięty złośliwie, ale porywająco, mądrze, głęboko. Oczy jego patrzyły jak żywe. Zarost był inny, włosy wzburzone.

Ewa przywarła oczyma... Róża usiadła na swym miejscu, nie wypuszczając z rąk fotografii. Siedziały obok siebie, stykając się niemal ramionami, zapatrzone w wizerunek Łukasza. Żrenice ich zaszyły łzami. W oddali huczało miasto, czas leciał... One nie wiedziały, że upływa. Róża rzekła cicho:

— Teraz wydaje mi się już nie tylko we śnie, ale często na jawie, że go kiedyś spotkam nieskończenie stąd daleko. Wtedy on ujrzy moje przemienienie i zobaczy rany, które w gniewie i zemście zadał mojej duszy. Wówczas ujrzę go takim jak tu, na fotografii... takim samym, jak był wówczas. Staniemy się znowu równi sobie, podobni do siebie, oczyszczeni z brudów, które nas pokryły. Pozdrowimy się wtedy jak za wiosennych dni naszej młodości.

— Ale jak przyszła ta zmiana? Jakim sposobem tak nagle? — pytała Ewa z doskonale utajoną nienawiścią.

— Znużyło mię złe. Znużyło mię do cna, jak fetor. Obmierzło mi wszystko, com robiła. Wtedy to wynikła konieczność wycofania się z tej matni. Zarazem ukazało się ślepym oczom moim, pomimo mej chęci i woli, to, co mię już nie zawiedzie nigdy, co mię już nie oszuka i nie okłamie.

— Jakże w sobie znaleźć taką skłonność?

— Nie wiem, pani. Trzeba jakoś dotrzeć do tego, żeby uczuć nadzwyczajną rozkosz w pohamowaniu swych żądz.

„Tędy cię wiedli... — pomyślała Ewa. — Bardzo to mądrze ukartowane.”

Róża mówiła dalej z błyszczącymi oczyma, choć cała jej postać nie zatracala spokoju.

— Trzeba znaleźć w sobie przyjemność zrzeczenia się swych nałogów cielesnych, pogardzenia nimi. Wtedy już łatwiej dostać się do kraju jasności, jakby się w mozole i upałach przeszło łańcuch gór, przełęcz strzelistą, gdzie się zdobywa każdy kamień i każdy krok okupuje bezmiernym wysiłkiem. Od tej chwili poskromienia siebie i zobaczenia oczyma ran Łukasza ja przynajmniej wszłam do doliny spokoju, dostałam się na jasną łączkę, która doprawdy jest początkiem wieczności. Sądzę, że uczucia, które tam ożywiać nas będą, takie są właśnie. Teraz widzę, że byłam chora, a mogłam przecie w tym samym czasie być zdrowa. Moje wyzdrowienie dokonało się bez mojej woli i żadnej w tym mojej

nie ma zasługi, jak bez mojej zasługi istnieją kwietne doliny i liściaste lasy na południowej stronie Tatr, a straszliwe głązy i rozwarłe przepaście na ich szczytach.

Chwilę milczała, a później rzekła, uśmiechając się czarownie:

— Jednej jeszcze tylko rzeczy pragnę gorąco. Oto spotkać Łukasza i wszystko, com mu zrobiła złego, wyznać. Jego wszystkie rany założyć tą cudną pajęczyną, co snuje się u nas w jesieni nad złotymi rżyskami...

Ewa słuchała. Jej powieki były przymknięte. Do serca nie trafiały te łagodne słowa. Zamknęła je wszystkie w jeden wyraz — „deklamacja” — i odrzuciła od siebie.

Biedziła się nad tym, jak zadać pytanie o Łukaszu, jakiego użyć wybiegu, żeby się czegokolwiek dowiedzieć. Ach — i gdybyż jej wyrwać z rąk tę fotografię!

Rzekła nie podnosząc oczu:

— To wszystko stosuje się do pani. To wszystko charakteryzuje piękną duszę pani. Ale mnie chodzi o jedno: jaki jest stosunek pani do Łukasza! To w danej chwili interesuje mię najbardziej. Jeżeli Łukasz nie jest już dla pani tym, czym był dawniej...

— Któż to powiedział?

— Pani sama!

— Bynajmniej!

— Ach, ciągle w koło... Jest to przecie pewnik niezbity, że nie chciała pani zgodzić się na rozwód i że ten upór był źródłem wszystkich nieszczęść. Cóż z tego, że pani doskonale swą duszę, skoro zgody na rozwód dotąd nie ma...

Ewa mówiła to już w sposób gwałtowny i posępny. Teraz w pamięci jej poczęły ukazywać się cierpienia, a nade wszystko konieczność wyjazdu przymusowego do Rzymu, wyjazdu wtedy!... Złowieszcze iskry błyskały w jej oczach. Róża Niepołomska siedziała na swym fotelu, oczy mając wbite w ziemię. Po długim, głębokim namyśle mówiła z bolesnym uśmiechem na ustach:

— Nikt teraz... nie zwracał się do mnie z tym żądaniem.

— Bo rezultat wiadomy!

— Kto wie, jak by dziś wypadł rezultat... Moja by to dziś była rzecz powiedzieć tak lub nie. Ale i ja jestem człowiekiem. Należy mówić do mnie jak do człowieka.

Ewa ciągnęła swoje:

— Czy Łukasz obchodzi panią jeszcze do tego stopnia, żeby go pani mogła ratować?

— Ratować? Z czego ratować?

— No, z jego terażniejszego nieszczęścia.

— A cóż się stało Łukaszowi?

— Żeby go wydobyć z tego więzienia! Może pani ma jakie środki, znajomości, stosunki?

— Z więzienia? Łukasz jest w więzieniu? Gdzie?

— Nie wie pani tego? W Rzymie!

— W Rzymie... — szeptała Róża blada jak śnieg, wstając ze swego miejsca i nachylając się nad Ewą, jakby chciała utaić przed światem to, co szepnie:

— Cóż on zrobił takiego?

— Kradł.

— Łukasz kradł? — szeptała wciąż Róża.

Twarz jej była śmiertelnie blada, krople potu oblały czoło. Ręce jej poczęły drżeć. Oczy utonęły we łzach. Równa, spokojna, delikatna twarz złamała się od boleści, jakby ją nagła siła nieszczęścia spoliczkowała strasznymi rękoma. Bez sił, szlochając upadła na swój fotel i zasłoniła twarz dłońmi. Ewa dopięła swego: pogrążyła przeciwniczkę w stan podobny do swego. Nadto powzięła pewność, że Róża o Łukaszu nic jej powiedzieć nie może. Obejmowała okiem nagość jej ramion, bioder, piersi, nóg — i myślała:

„Chuda... Chociaż takie miewają czasem ładne uda i są namiętne. Nie! Już do niej po mnie nie wróci. Po mnie nie wróci!...”

Patrzyła jeszcze przez czas pewien z żalem i dziwną radością na dłonie i łokcie tamtej wciąż drżące od płaczu. Później, rozglądając się po pokoju, spostrzegła portfel z fotografią, leżący na dywanie. Schyliła się, podniosła i niezdecydowanie zatrzymała go w dłoni. Wstała ze swego miejsca, ziewnęła od wewnętrznego zimna... Gdy Róża nie przestawała płakać, rzekła cichym głosem:

— Żegnam panią... Już muszę iść...

Nie otrzymała odpowiedzi, więc poszła ku drzwiom, radując się za każdym krokiem niebiańsko, w głębi serca, wskutek wciąż dochodzącego odgłosu płaczu, i płacząc sama. W milczeniu, przyciskając do serca fotografię, zstępowała ze schodów.

\*

Pewnego dnia, zatopiona w myślach, spostrzegła, że ktoś jej się pilnie przygląda. Czuła na sobie wzrok nieprzyjemny. Mężczyźni patrzyli na nią ciągle z wiadomym jej wyrazem. Teraz jednak odczuwała na sobie wzrok nieznośny. Podniosła od niechcenia oczy i ze drżeniem spuściła je na swą kasę maszynową. Przy kontuarze, zastawionym pudłami cukrów, stał hrabia Szczerbic. W kapeluszu i paltocie wybierał pomadki, wskazując je rączką laski — a jednocześnie rzucał przeszywające spojrzenia w stronę Ewy. Gdy mu pakowano nabyte słodycze w duże pudło, od niechcenia odwrócił się tyłem do kontuaru i bez przerwy patrzył w stronę kasy. Po chwili, gdy mu subiekt z eleganckim ukłonem wręczał pakę obwiązaną kolorowymi bibułkami, młody pan zbliżył się do kasy trzymając między palcami kartkę z sumą należności. Ewa ujęła kartkę i poczęła układać srebrne pieniądze reszty na miękkiej ceratce. Twarz jej była spokojna, ruchy rąk zdecydowane, ale serce łomotało w piersiach i nogi skostniały. Szczerbic powolnymi ruchy zbierał drobne monety i chował do portmonetki. Czynił to najwidoczniej dłużej, niż należało. Ewa podniosła oczy na jego twarz, zdobywając się wszystkimi siłami ciała na spokój. Młody hrabia patrzył na nią spod oka. Dostrzegłszy jej oczy wzniesione, nieznacznie uchylił kapelusza — i wyszedł.

Tej nocy Ewa źle spała. Człowiek ów z jej najgorszych momentów życia stawał przed oczyma jak upiór, budził ją z półsnu, nachylał się i składał straszny swój ukłon. Bała go się w nocy. Rano ów lęk rozwiał się, ale został nieokreślony niepokój, bojaźń, wzmogła się podejrzliwość. Żyd właściciel znowu począł snuć się w myślach, a nawet w oczach...

Około godziny trzeciej, z południa, gdy w kawiarni najmniej było osób, znowu wszedł hr. Szczerbic. Widać było po jego sposobie zachowania się, że w kawiarniach nie bywa. Szukał przez chwilę miejsca, zmieniał je, wreszcie usiadł w taki sposób, że twarzą zwrócony był do Ewy. Nie zdjął ubrania. Jego lekkie, drogie karakułowe futerko i kapelusz zwracały uwagę nawet w tej pierwszorzędnej cukierni. Kazał podać sobie kieliszek wina i „Times”. Gdy po raz pierwszy podniósł do ust kieliszek, skierował oczy w stronę Ewy i spotkawszy się z jej spojrzeniem znowu złożył jej lekki i szybki ukłon. Ona odpowiedziała obojętnym i dość niedbałym skinieniem. Teraz nie lękała się już tak bardzo. Owszem — było jej troszeczkę przyjemnie, że ten śliczny i wykwintny pan, na którego zwracały się oczy wszystkich, zarówno kelnerów, jak gości, poznał ją i pozdrowił.

Następnego dnia, wieczorem, podczas największego natłoku osób, Szczerbic znowu przyszedł do kawiarni. Tym razem krótko bawił. Wychodząc zbliżył się do kantorka Ewy i rzekł do niej półgłosem:

— Nie jestem pewny, czy pani przypomina mnie sobie...

Uśmiechnęła się i z nieporównanym wdziękiem podniosła głowę. Szczerbic mówił szybko:

— Pragnąłbym z panią porozmawiać o niektórych ważnych rzeczach, które pani dotyczą. Kiedy się skończy to zajęcie?

— Wieczorem.

— Późno?

— Tak, późno.

— Nie chciałbym, żeby pani z mego powodu uległa przykrym posądzeniom. Czy nie mógłbym którego dnia widzieć się z panią?

— Tylko w niedzielę mam czas wolny.

— A... więc w niedzielę.

Ktoś z płacących przerwał rozmowę. Hrabia odszedł na drugi koniec sali do szafy z gazetami i jedno z pism czytał dosyć długo, jakby dla dania Ewie chwili czasu do namysłu. Gdy miał wychodzić, a właśnie przy kasie nikogo nie było, zapytał:

— Może pani będzie w kościele Świętego Aleksandra przed godziną dwunastą w niedzielę? O dwunastej będę przed kościołem. Moglibyśmy idąc Alejami rozmawiać swobodnie. Czy dobrze?

— Dobrze... — rzekła z pośpiechem, żeby tylko odszedł i nie narażał jej na pytające, jadowite, podejrzliwe, szpiegowskie spojrzenia Horsta.

W niedzielę ubrała się w najlepszą swą, czarną suknię, włożyła paletko, sięgające ledwie do pasa, jedyny dawny zabytek zeszlórocznych elegancji — na głowę czarny kapelusz, otoczony grubą, jakby żałobną wualką, czarne rękawiczki. Błada jej twarz, prześliczne smutne oczy zza tej czarnej zasłony przeglądały niewymownie. O dwunastej wyszedłszy z kościoła, zobaczyła Szczerbica idącego chodnikiem. Gdy wysunęła się z tłumu i podeszła do niego, ledwie ją poznał. Długo krocząc obok niej nie odrywał oczu od jej wysmukłej, czarnej postaci. Był to jeden z ostatnich dni lutego, dzień wyjątkowo słoneczny. Bryły i skiby śniegów spadały z dachów na chodniki, woda huczała w rynnach. Wróble radośnie szczebiotały, nastroszywszy pierze, po żelaznych sztachetach i w nagich gałęziach drzew. Ewa czuła, że Szczerbic jest nią zachwycony. Było jej to przyjemne. Szła obok niego dużymi, „modnymi” krokami, z wdziękiem nienaśladowanym. Gdy osób było mniej na trotuarze, powiedziała:

— Cóż to pan hrabia miał mi zakomunikować?

— Przede wszystkim muszę pani zrobić wymówkę za to, że mię pani nie zawiadomiła o zamiarze... o zmianie miejsca pobytu... o wyborze zajęcia. Jestem przecież opiekunem pani.

— Pan? Moim opiekunem?

— Doprawdy tak jest, tak jest!

— Nie wiedziałam.

— Ale teraz będzie to pani brała pod uwagę?

— Muszę troszeczkę pomyśleć, muszę pomedytować, jak to jest. Wracając do rzeczy... Proszę powiedzieć, co pan hrabia chciał mi zakomunikować?

— Tak. Mam dla pani wiadomość. Czy mogę mówić otwarcie?

— Tak — tak... Ale... z oględnością...

— Chcę tylko zapytać o to, czy pani wciąż... To jest... czy pani chce wiedzieć, co się dzieje?

— Chcę wiedzieć — mówiła Ewa gwałtowniej, idąc coraz szybciej.

— Pisał do mnie znowu, po raz drugi, mój przyjaciel o Niepołomskim.

— Cóż pisał?

— On jeszcze nie jest na wolności, ale jest już osądzony. Odsiaduje teraz karę więzienia... — mówił Szczerbic szybko, ze zrozumieniem duszy słuchaczki, jakby ze siebie wyrzucał te szczegóły.

— Panie! — rzekła Ewa z gwałtownym wybuchem — zaklinam pana, niech mi pan powie całą prawdę.

— Daję słowo honoru szlachcica, że mówię prawdę.

— Więc owo więzienie i... te wszystkie sprawy nie są wymysłem?

— Czyim wymysłem?

— Ach! moim wymysłem...

— Rozumiem... rozumiem... Nie, nie są wymysłem. Doszła pani tedy do takich słupów granicznych. Biedna pani, nieszczęśliwa pani...

— Nie jestem wcale biedna! Jestem, jak pan widzi, tylko nisko podejrzliwa i bardzo podła!

— Och, ordynarne wyrazy — na oznaczenie uczuć cennych.

— Cóż jest w tym drugim liście?

— Nic ciekawego. Są pytania o panią. Na te nie mogłem odpowiedzieć wcześniej, bo tam, gdzie pani mieszkała, powiedziano mi...

— Pan tam był? — spytała Ewa czując, że się pod nią nogi zginają, a straszny wstyd bucha do głowy krwawymi falami.

— Niech się pani uspokoi... Żadnych obaw! — mówił Szczerbic cicho, jakoś sennie, dobrotliwie. — Wiem tylko ja jeden. Temu Żydkowi zapłaciłem...

— Zapłacił pan? — jęknęła.

— I zagroziłem, że go zniszczę, zmiażdżę, gdyby pisnął.

— O czym? — mamlala dygocąc na całym ciele.

— O jakichś tam, o jakichś tam... pewnych... długach, należnościach...

Odetchnęła lżej, lecz szła bez sił.

— Zrobiłem pani przykrość wspominając... Sądziłem, że to pocieszy...

— Po co się pan w to mieszał! Po co? Po co? — bełkotała wciąż, czując, że jej włosy powstają na głowie, a zęby szczękają z przerażenia.

Nagle olśniła ją okropna myśl, że teraz Żyd może do niej odnaleźć przez tego Szczerbica drogę, że ją chwyci, skoro się tylko zbrodnia wykryje. A nadto — toć ona jest teraz w mocy tego Szczerbica.

Ogarnął ją szal tak straszliwy, że o mało nie rzuciła się na ziemię, żeby ze siebie rwać suknie, targać włosy i krzyzczeć co tchu w piersiach. Oto była już spokojna, miała dach nad głową, miała pracę, żyła po ludzku. Mściwy los zesłał na nią tego człowieka i wszystko runęło w dawne bagno.

— Pani Ewo... — mówił Szczerbic głosem łagodnym i coraz bardziej miłościwym — wiem, że zrobiłem pani wielką przykrość wspominając o tych sprawach. Ale musiałem to powiedzieć, żeby wszystko wysświetlić! Tylko tym sposobem pani się uspokoi. Wiem to aż nadto, że słyszeć ode mnie, człowieka obcego... Ale ja pojąłem... Była pani w okropnym położeniu...

— Niech pan już do mnie o tym, przez litość, nie mówi!

— Nie będzie już o tym nikt mówił na tym świecie! Jedno słowo z ust ludzkich już o tym nie wyjdzie! Przysięgam pani! Teraz pomówmy, czemu pani przyjęła miejsce kasjerki?

— Nie mogę mówić o takich drobiazgach.

— Nie jest to drobiazg.

— Gdyby pan wiedział wszystko!

— Była pani w okropnym położeniu. Ale dlaczego było nie zwrócić się do mnie?

— Nie mogłam. Niech pan tylko zechce sobie wszystko uprzytomnić...

— No tak. Skończmy!

Byli przy bramie prowadzącej do Łazienek. Weszli tam.

Ale ziemia pokryta była tającym śniegiem i rozmiękła głęboko. Musieli wrócić. W odległości kilkunastu kroków od tego miejsca stał szereg dorożek. Szczerbic wahał się przez chwilę, a wreszcie zdecydował się na propozycję:

— Gdyby pani nie obraziła się na mnie, tobym poprosił, żeby wsiąść do dorożki i przejechać się po Łazienkach. Czas śliczny, a chodzić niepodobna.

Ewa była zmęczona, jakby przeszła kilka mil drogi. Nie mogła już iść. Zgodziła się, nie myśląc wcale o tym, co robi. Wsiadli do jednokonnego powozu z nastawioną budą i wolno zjechali w pustą zupełnie ulicę parku. Czarne, obmokłe drzewa, niezliczona ilość gałęzi, prętów i czarnych witek, różg chwiejnych i polotnych zaścielała widnokrąg. Ewa siedziała w rogu powozu, patrząc przed siebie szklanymi oczyma. Nozdrza jej były wyęzione od trudnego oddechu, ręce bezwładnie leżały na kolanach.

Szczerbic patrzył na nią bez przerwy, nie mogąc nasycić oczu jej piękną bez granic. Pukle jasnych, jasnozłoty włosów wykwitające w tyle głowy spod ronda czarnego kapelusza, spod węzła czarnej wualki, rysy przesłiczonej twarzy, jakby pochłonięte przez cienie zasłony, postać urocza tak bliska niego, a tak nieskończenie daleka... Doświadczył uczucia niewymownego smutku z prostej racji istnienia doskonałej piękności, którą miał tuż obok siebie. Zachwyt wzmagął się i już nie palił, lecz gorzał w sercu jak roztopiony ołów.

Szałeństwo, niby tajny szatan, popychało do jakiegoś niewiadomego kroku. Rzucić się do jej kolan! Dotknąć ustami jej czarnej sukni, leżącej bez ruchu nadobnymi liniami!

Wybrać jedno muśnięcie po twarzy przez jej ręce, przez te cudze, obce, zaprzędane ręce o wąskich dłoniach i palcach z niczym co do piękności niedających się zrównać! Szczęście bez granic i rozpacz szarpiąca szamotały się w piersiach, szlochając i wyjąc. Łzy, jak gdyby bryzgi zdziżalej wody morskiej, wpadały do gardła i paliły ogniem gorczy.

Jakże się rozstać z myślą o niej! Czyż podobna odwrócić oczy i odejść? Czyż jest na ziemi cośkolwiek poza nią? Ach, nie ma nic! A trzeba było zrozumieć, że ona to właśnie jest cudzą własnością, cudzą kochanką, cudzą metresą, cudzą dziewczką do nocnych uciech! Ta!... Ona!... Bogini Diana, nieśmiertelna!... Promienistość słoneczna zamknięta w kształt kobiecy... Trzeba to było zrozumieć.

Szczerbic milczał.

Chciał odnaleźć w niej coś wstrętnego, cechę gminności, prostactwa, chamstwa, coś, co by mogło zmierzić, coś, co by się dało rozdać, rozwinąć w przypomnienie... Szukał.

Ale, jakby na przekór, wysuwała się sama przecudność.

A nadto — poza nią, poza fizyczną pięknnością, jak za przezroczystym szkłem, ukazywała się niepostrzeżenie rozkosz kobiecości, nieznana, głęboka, czuła dusza — niezmierna władza ugłaskań, spieszceń, złagodzeń wszystkiego, co jest w tym życiu smutkiem i niedolą. Oto zobaczył teraz, czym może być ta kobieta... zakochana. Uczuł, jak to ona otaczać musi umiłowaną duszę atmosferą blasku, zapachu, uśmiechów...

Ale to ona właśnie jest kochanką owego draba!...

Chwytały go teraz nieznane dotychczas drgawki w piersiach, ruch fizyczny i kłańcanie paszczy nienasyconej. W oczach straszliwe, krwawe obrazy. Obrazy, co włoką za włosy aż na brzeg i spychają, strącają z Tarpejskiej Skały...

Postanowił mówić obojętnie, z przyjaźnią. Nie dać poznać ani cienia, jak na szlachcica przystało. Wystąpi w jej i Łukasza interesie, złoży dowody jak najoczywistszej opieki nad jej miłością. Tak. Znaj pana!

Nie mógł jednak otworzyć ust. Więc milczał.

Oczy jego steżały w nieruchomym zachwyceniu. Nie mogły się teraz oderwać od profilu głowy, przepysznie, jakby z orlą dumą osadzonej na ramionach, od rozwarcia bark, w którym osiadło niezwalczono piękno kobiecego kształtu. Od ruchu powozu promienie włosów poprzemykały się spod ronda to tu, to tam, napełniły wzrok i mózg widzeniem złotym. A gdy tak milczał w dziwnym zaklęciu, śniło mu się na jawie że jest dzieckiem ledwie podrosłym, które patrzy na jakieś prześliczne jezioro w Alpach — może na Klöntalersee, a może na Grimsel...

Od chwili do chwili przemyskał nieznośny wstyd, że to on, Szczerbic, ulega czarowi tej... kasjerki z cukierni, która z innym miała dziecko nieprawie! Były sekundy, że usiłował wyskoczyć z powozu i pójść precz od tej romansowej *donny*. Dać jej pieniędzy, wyrzucić z dryndy i wyrzucić z myśli wiadomość o jej istnieniu. Nieruchome, zastygłe oczy nie mogły odejść. Bezsilne usta wyrzekły z dobrocią:

— Czy się pani już uspokoiła?

— O, już.

— To może byśmy wspólnie rozpatrzyli pewien projekt?

— Proszę pana hrabiego...

— Nie trzeba tego tytułu.

— Przepraszam, jeżeli panu to sprawiło przykrość.

— Krótko powiem. Obecnie mam zamiar wyjechać na Riwierę. Bardzo być może, że wypadnie mi być w Rzymie.

— Ach, mój panie!...

— Chce pani, żebym się widział z Niepołomskim? Dobrze. Daję pani słowo, że się z nim zobaczę, wszystko powiem, co pani każe, oddam mu listy...

Ewa pod wpływem nagłego impulsu pochylała się, chwyciła rękę Szczerbica, przycisnęła ją do ust, zanim zdążył zrozumieć, co to się dzieje. Po jej twarzy płynęły ciche, obfite łzy. Plakała tak długo, długo, niepowstrzymanie, zagryzając ze wszech sił drżące wargi. Powóz przebył długą aleję, wyminął domek z posągami dwu półnagich bogiń. Widziała przez łzy — drzewa, posągi, dach domu, ale gdzie jest, dokąd jedzie, nic nie wiedziała.

Poczęła mówić jak dziecko splakane, które we łzach ulgę odnalazło:

— Jaki pan dobry! Jaki szlachetny, szlachetny! Gdybym ja stąd uciec mogła, pojechać tam, do Rzymu! Czemu ja głupia nie pojechałam? No, głód, to głód, robiłabym wszystko, wszystko! Gdybym mogła otoczyć go opieką, zasłonić sobą świat przed jego wyklutymi oczyma, jak to już zrobiłam, gdy go pan kulą przestrelili...

Szczerbic miał teraz oczy przymrużone i skierowane na plecy dorożkarza. Coś kombinował czy liczył.

— Proszę pani — rzekł niespodzianie, z oczyma błyszczącymi jak brylanty — jeśli sobie tylko pani życzy... Niech pani jedzie do Rzymu! — wyszeptał gwałtownie.

Roześmiała się dobrotliwie. Wydał jej się arcyzabawnym ze swą nieznaną jomością życia.

— Mówię poważnie — nastawał hrabia. — Jeżeli takie jest życzenie pani, to niech jej pani wykona. Jest to obowiązek!

— Ależ za co? Moją pensję prawie w całości zabiera lichwiarka, od której pożyczyłam pieniądze. Resztę biorą rodzice. Te suknie, co mam na sobie, biorę na kredyt za poręczeniem lichwiarki Barnawskiej. A muszę się ubierać przyzwoicie, bo to należy do mego fachu.

— Wszystko to — lichwiarka, rodzice, cukiernia — wszystko to nic nie znaczy.

— Dla pana — tak, ale dla mnie!

Szczerbic uczynił znak ręką, że nie chce mówić przy dorożkarzu. Jednocześnie zawołał na tego woźnicę, żeby stanął. zaproponował Ewie chwilę przechadzki w oddalonej części parku, nad wodami łazienkowskimi.

Dorożkarzowi kazał poczekać. Wśród drzew leżał lód na szerokich drożynach. Szli ostrożnie. Gdy byli daleko od powozu. Szczerbic zaczął mówić z żywością:

— Pani Ewo! Przysięgam na mój honor, że w tym, co proponuję, nie mam żadnego wyrachowania, że nie knuję żadnego zamachu na panią, że nic złego nie mam na myśli. Jestem winien wobec Łukasza Niepołomskiego, a nadto... a zresztą... Tak się wszystko złożyło! Otóż proszę — niech pani jedzie do Rzymu i zostanie tam aż do chwili uwolnienia narzeczonego z więzienia. Ja wszystko zapłacę.

— Nie! — krzyknęła spoglądając na niego spode łba oczyma, które przez mgnienie złowrogo zaświeciły.

— Jeszcze nie powiedziałem. Zapłacę długi, które pani ma, uwolnię panią z więzów i pożyczę tyle, ile będzie trzeba na drogę i na przeżycie w Rzymie. Gdy pan Niepołomski skończy karę i zacznie pracować, oddacie mi wszystko.

— Wzięłam od pana kilkadziesiąt rubli... Ale wówczas... Byłam bez sił. Teraz mogę robić. Nie jestem jeszcze tak podła, żeby się miała sprzedawać.

Szczerbic śmiał się idąc o krok za nią (gdyż szła szybko i wyprzedzała go).

— Lepiej jest zginąć w tym jarzmie i dać się jarzmu zadusić, niż je potrzaskać na kawałki i wyjść na wolnego człowieka. Cóż ja pani proponuję? Używa pani wyrazów...

— Już ja wiem, co mówię.

— Nie, pani się myli. W stosunku do mnie... Na początku tej rozmowy powiedziałem: daję słowo honoru, że nie knuję podstęp. Pani na to nie raczyła zwrócić uwagi...

— Czy pan się mną interesuje tylko ze względu na Łukasza? Czy nic innego? Niech pan da na to słowo honoru!

— Nie, na to nie dam słowa honoru! — krzyknął wyniosłe. — Są i inne względy. Piękność pani powinna zasiadać na tronie, nie wśród kelnerów i lowelasów modnego szynku. Myślę sobie, że dobrze czynię, wydobywając panią z tego odmetu pospolitości. W zysku, wyznaję, miałbym to szczęście, że mógłbym... z oddali patrzeć na panią, czasem rozmawiać, myśleć, że jestem czymś... że jestem...

Spojrzała na niego z podziwem. Ujrzała oczy jego napełnione mgłą. Cicho wyszeptwała:

— Nie mówmy już o tym... Proszę pana!

— Pojechalibyśmy, jeśli była taka wola pani, w jednym pociągu, ale w osobnych wagonach. Stawalibyśmy w innych hotelach. Moglibyśmy wcale nie rozmawiać ze sobą, jeśli była taka wola pani. W Rzymie moja rola byłaby taka, żeby pani ułatwić widzenie się z mężem i wyrobić pozwolenie na częste odwiedzanie go. Najęłaby sobie pani mieszkanie, z łatwością znalazła pracę...

— A pan?

— Ja nazajutrz po załatwieniu spraw pani pojadę na Riwiere. I więcej pani dręczyć nie będę.

— Tak. To cudowny projekt!

— Ów mój natychmiastowy wyjazd z Rzymu?

— Nie.

— Więc co?

— Nie wiem! Nie wiem! A tutaj... Moi rodzice, cały mój kochany, cacany świeateczek, który by mię po powrocie godnie przywitał. Jakbym spaliła siedemnaście wsi!...

— No więc?

— Powiedzą, że z panem pojechała za granicę i że pan mię po prostu...

— Woli pani „dobrą opinię” w swoim świeateczku niż wyzwolenie duszy Łukasza i swojej z kajdan? Ja pani mówię jeszcze raz: oddacie mi wszystko, gdy będziecie mogli!

On może zarabiać gdziekolwiek — we Francji, w Niemczech — byle nie w Austrii... — dodał z niemiłym uśmiechem.

— Jego żona zgadza się na rozwód... — szeptała Ewa w zamyśleniu, na wpół do Szczerbica, na wpół do siebie, cicho, jak głęboką tajemnicę. — Mogłabym mu zawieźć dar — własną jej ręką wystawione żądanie rozwodu. Moglibyśmy wziąć tam ślub. O Boże mój! Boże mój! Po co mi pan to wszystko ukazał? Co ja teraz, nieszczęsna, pocznę? Jakże ja teraz będę miała noce!

— Cóż panią wstrzymuje?

— Ojciec.

— A ojciec pani czym się trudni?

— Mój ojciec... — rzekła z błędnym uśmiechem — szuka zawsze posady. Jest to moje jedyne, kochane, najmilsze, niewinne, bezradne dziecko. Stary malec... Jeżeli go i teraz rzucę, to już z kretesem zginie. Och — już wtedy zginie! Ma długi, a właśnie znowu stracił posadę.

Szczerbic skrzywił się nieznacznie i w milczeniu począł zapalać papierosa.

— Widzi pani, taka jest na to rada. Obecnie wiele bym dać nie mógł, ale, na przykład, spłaci się długi ojcowskie, i to zaraz, jeśli, dajmy na to, nie przekraczają tysiąca rubli. Po powrocie z zagranicy mogę wyrobić ojcu pani posadkę — synekurkę. Pani mi w drodze za granicę wyjaśni, co staruszek mógłby robić.

Ewa szła naprzód zamyślona, zasłuchana, machinalnie przytakując głową.

— Więc tak — mówił Szczerbic, kończąc palić papierosa — wynotuje pani długi swoje i ojcowskie. Nadmienię, że wołałbym, aby te długi nie przekraczały na ogół tysiąca rubli. Mam teraz do rozporządzenia pewną sumę i wołałbym ją zaoszczędzić na sprawy zagraniczne. Widzi pani — jestem jej mości do usług ministrem spraw wewnętrznych, zagranicznych, a nadto finansów. Kiedy moją monarchinię zobaczę?

— Nie wiem. Kiedy?

— We czwartek.

— We czwartek. A o której godzinie? — pytała półsennie, patrząc weń wielkimi, oszołomionymi oczyma.

— Gdyby pani mogła przyjść o godzinie dwunastej w południe na wystawę obrazów. Dobrze?

— Doskonale. Właśnie mam wtedy chwilę wolną i to niedaleko od mej budy.

— Będziemy się krótko widzieć. Przyniesie mi pani następujące dane: ile mam dać pieniędzy na spłacenie długów natychmiast — i — kiedy wyjeżdżamy?

— Kiedy wyjeżdżamy... — powtórzyła głosem przerażenia.

— Niech pani zachowuje zupełny spokój. Dla niepoznaki — owszem, niech pani będzie w wesołym usposobieniu. Przecie pani pojedzie do narzeczonego! Nasz wyjazd musi nastąpić przed pierwszym marca. Droga na Wiedeń, Pontebbę i Wenecję.

Wracali ku dorożce. Szczerbic miał twarz rozpromienioną i wesołą. Ewa posuwała się krok za krokiem, poślizgując się na lodzie. Gdy stanęli przy stopniu powozowym, młody hrabia rzekł:

— Niech pani teraz sama powróci do domu. Ja tu zostanę.

— Ale pan przemoczył sobie obuwie.

— To nic. Jestem przyzwyczajony.

— Cóż pan tu będzie robił sam w tej alei? — spytała naiwnie, siedząc już w powozie.

Szczerbic uśmiechnął się gorzko. Wskazał poza sobą ślady bucików Ewy i rzekł po francusku:

— Będę tutaj przypatrywał się temu, co dla mnie z pani pozostało.

Uśmiechnęła się jak do brata wyjawiającego uczucia wrodzone i dawno wiadome. Podała mu rękę. Rzucił dorożkarzowi srebrnego rubla i skłonił się Ewie. Powóz potoczył się w górę alei.

\*

O naznaczonej godzinie Ewa kupowała bilet wejścia w kasie wystawy obrazów. Czyliła to oglądając się podejrzliwie na wszystkie strony. Po białych stopniach z marmuru szła cicho i bojaźliwie. Ręką przyciskała zbiegane serce. Minęła jedną salę i drugą. Tak

dawno nie była w tym przybytku, niedostępnym dla nieszczęśliwych! Obrazy, nawet li-che, wywierały na nią wrażenie, które było urokiem. Snuły się w oczach jakby tłumy uczuć cudzych, pochody wstrząśnień duchowych obcych, które na nią, idącą samotnie, nagle zwróciły uwagę, skoro tylko weszła. Cisza ją ogarnęła i zaraz szczerzy żal, subtelne żądło włoskiego sztyletu.

Szczerbic stał w głębi trzeciej sali. Nie było tam nikogo. Widok jego milej postaci, łagodny uśmiech i dobrotliwe spojrzenie uciszyły wzburzenie. Podała mu rękę z radością, jak obrońcy od wszelkiego złego.

Szepnął zaraz:

— Jedziemy?

— O panie!

— Jedziemy?

— No... tak!

Tyle nocy nie spała, tyle godzin walczyła ze sobą i wszystkim, żeby wreszcie powiedzieć to słowo. Oto je wyrzekła. Oczy zaszyły szybkimi łzami, którym, jak żebrakom, ukazywać się nie wolno.

— Czy pan mię nie opuści?

— Nie! — wyrzekł głosem szczególnym, któremu nie mogła nie wierzyć.

— Czy pan mię nie zgubi?

— Nie!

— Jestem teraz w ręku pana, jak rzecz.

— Dałem słowo — mruknął. — Kiedy wyjeżdżamy?

— To od woli pana zależy.

— Musi pani natychmiast wyrobić sobie paszport. To musi pani wykonać sama, ale w najgłębszym sekrecie przed domownikami. Dobrze?

— Dobrze. Naturalnie... — mówiła z wypiekami na twarzy.

— A wykaz długów?

Ewa wyciągnęła spod rękawiczki kartkę z notatką długów swoich i ojcowskich. Było tego razem czterysta kilkadziesiąt rubli. Szczerbic wydobyl niezwłocznie z pugilaresu pięć storublowek i wręczył je Ewie. Musiał polecić jej, żeby schowała te pieniądze, gdyż je dzierżyła jak na pokaz w drżących rękach. Sto rubli wręczył jej nadto na wydatki i kosztą podróży do Wiednia.

— Gdy pani wyrobi paszport, da mi pani znać przez posłańca. Proszę napisać jeden jakiś wyraz. Nazajutrz wyjeżdżamy. Jadę w jednym z pociągów tylko dlatego, że muszę opiekować się. Przecie pani nie była jeszcze za granicą. Gdyby nie to, pojechałbym sobie wprost na Riwierę. To już wszystko.

— Wszystko... — szepnęła rozpalonymi wargami.

— Ach, jeszcze jedno! Byłbym zapomniał. Dowiadywałem się o ojcu pani, ale skąpe mam informacje. Wiem tylko, że mieszkał niegdyś na wsi, później był tu i ówdzie, wreszcie u Kraftów! Wszak prawda?

— Mieszkał... Miał własną wioskę... Był u Kraftów.

— Otóż właśnie. Niezupełnie dobrą miał tam notę, ale nic złego. Proszę powiedzieć ojcu, żeby się zgłosił do kantoru nowego domu komisowo-handlowego pod nazwą „Unitas”. Ja tam jestem jednym z członków założycieli i współwłaścicielem. Niech go pani pošle, niby to przypadkiem zasłyszawszy, że tam można dostać miejsce. Mógłby tam być magazynierem. Będę w tym, żeby go zaraz umieszczono.

Ewa ścisnęła jego rękę.

— Pożegnaj już panią, gdyż lada chwila ktoś mógłby nadejść. Do widzenia... w wagonie!

— Do widzenia...

Usiadła na kanapce w środku sali i zapadła w marzenia. Władze duszy zgasły. Drze-mała. Ciche śnienie przesunęło się jak obłoki jesienne, miękkie i chłodne. Płyną obłoki w odległy kraj, w omglone równiny, gdzie topolowe aleje i łany zbóż, gdzie ledwie widoczne wiatraki machają skrzydłami...

„Po cóż ten człowiek to wszystko robi? Jaki ma w tym cel, żeby mi dawać tyle pie-niędzy? Dlaczego chce dać posadę ojcu?...”.

Uczuła, że łzy spływają po jej policzkach, a nie miała siły ich otrzeć.

Myślała ociężale i obojętnie:

„Czy też to jest rzecz dobra, czy zła, wyjednać posadę ojcu, dać chleb i spokój matce? Czy też to jest cnota zostać nadal w kawiarni i żyć tutaj z roku na rok, aż do chwili zupełnej zguby? Co by też kazał w dniu dzisiejszym uczynić Łukasz? Czy on pochwali to, co zrobiła, czy ją za to odtrąci, że wzięła od Szcherbica pieniądze?

I znowu szereg tych samych myśli:

„Dlaczego Szcherbic dał mi te pieniądze? Co ma za cel, jaką myśl? Czy on jest szlachetny, czy lotr?

Jakieś słowo okropne przesunęło się obok zmysłu słuchu — słowo ciemne jak otwór lufy rewolwerowej, słowo niewątpliwe jak trzask złamanej kości. Uśmiechnęła się do tego słowa mężnym uśmiechem. Wejrzała w nie spojrzeniem nieustraszoną. Nagle przesunęła się myśl:

„Żyd... Właściciel domu...”.

Od jednego drgnienia — porwała się na nogi. Dotknęła palcami pieniędzy schoowanych za stanikiem, żeby się przekonać, czy je posiada. Zapięła się, poprawiła suknie i cichutko wychodziła, żeby się wymknąć niepostrzeżenie. Gdy była w połowie pierwszej sali, ujrzała Horsta siedzącego na zielonej kanapce pod palmą. Trzymał rączkę laski przy ustach — kapelusz miał na głowie — oczy utkwione w jakiś obraz. Wstał, gdy się z nim zrównała, i skłonił się oziębłe. Twarz jego miała wyraz drwiący, zwykły, lecz w oczach tlał jadowity płomyk.

— Pan tutaj? — spytała zmieszana, pokrywając to zmieszanie tonem nienaturalnie szyderczym. — Nie wiedziałam, że pan popiera sztuki piękne...

— Ach, bo pani mię zawsze nie doceniała, a ja tymczasem jestem sobie daleko więcej wart, niżby na oko sądzić można.

— Doprawdy? A czy się pan tylko nie przechwala?

— Przysięgam na dydka, że nie! Prawdę mówię. Więcej jestem wart od niejednego hrabicy, chociaż się wywodzę z najprozaiczniejszych burżujów.

Ewa wyciągnęła do niego rękę na pożegnanie.

— Niech pani jeszcze nie odchodzi — mówił z zapalem — na ulicy rozmawiać źle, w tej budzie pani — niepodobna, a ja mam powiedzieć wiele ciekawych rzeczy. Niech na pani sobie tu usiądzie...

Zajęła miejsce na sofie — z pytaniem:

— No, cóż to tak interesującego ma mi pan powiedzieć?

— Przede wszystkim muszę zrobić wymówkę... to jest, uwagę, że spotkania na wystawie należą do rodzaju bardzo *shocking*<sup>104</sup>. To nie uchodzi!

— Panu nic do tego!

— Oczywiście. Toteż chciałbym mieć mile prawo do robienia pani uwag...

— Tego towaru nie kupi tak łatwo.

— Nawet gdybym się uroczyście oświadczył o rękę pani?

Ewa zwróciła nań łagodne oczy i poczęła się śmiać dobrodusznie. Po chwili rzekła:

— Oto mi przynajmniej godny kandydat do stanu małżeńskiego. No, a *miss Daisy*?

— *Miss Daisy* była osobą płatną.

— Cóż się stanie z portretem tej „płatnej osoby”?

— Będzie umieszczony nad szafą w bibliotece.

— Czy można wiedzieć, gdzie się znajduje szafa i zawierająca szafę biblioteka?

— Wszystko to jest w mej głowie.

— Fiu!

— Pani nie zna jeszcze problemu pod nagłówkiem: — Adolf Horst! Świsnę — i będą natychmiast tysiące rubli. — Tupnę nogą i natychmiast wyskoczą...

— Żydzi z weksłami.

— Wcale nie! Wyskoczą: salony, karety, lokaje, liweranci<sup>105</sup>...

— Niechże pan tupie co tchu i zapłaci Barnawskiej nieprzeliczone dłużki.

<sup>104</sup>*shocking* (ang.) — szokujący, rażący, niestosowny.

<sup>105</sup>*liwerant* — dostawca, pośrednik.

— Powoli, powoli... Tupnę tylko na rozkaz pani... Bez tego... dla mnie nie ma... Jeszcze mi pani nic nie odpowiedziała, więc po cóż miałbym sobie psuć miłe wczasy z ciocią-Jagą?

— A prawda, że to jeszcze jakoś nie odpowiedziałam. Ale bo też pan... Żeby pan zaczął staropolskie „konkury”, „starał się” o mnie, zbierał mi o rannej rosie konwalijki, wzdychał choć trochę, grał pod mym oknem na mandolinie, harmonijce albo choć na drumli. Żeby pan, na przykład, zapłakał z miłości. Co, panie Adolfie? A tu tak — prosto z mostu: moja panno z kawiarni — zrobię ci łaskę — ożenię się z tobą. Ale ja wiem, dlaczego to tak... prosto z mostu...

Horst siedział z pochyloną głową. Zamruczał:

— „On nie płakał, nie jęczał”...

— Któż to jest ów — „on”?

— No, Szczerbic.

— Ejże, panie, panie!

— A co, śliczna panno Ewo?

— Byliśmy zawsze przyjaciółmi, dobrymi sąsiadami. Żebyśmy się zaś nie podarli...

Więc — nasze kawalerskie!

— Nie ma strachu! Pani wie, jakie uczucia żywię.

— *Sapristi!* Jak to pan mówi. „Uczucia” i „żywię”. Tego właśnie — ani w ząb, jakie to są uczucia?...

— Żartuje sobie pani.

— Żartuję.

— Co pani robi? — zaczął szeptać coraz ciszej. — Co znaczy ten Szczerbic?

— Nic panu do tego! Jak pan śmie!

Zerwała się z miejsca i chciała odejść. Pochwycił ją za rękę.

Twarz miał brunatną, niemal czarną. Oczy mu posępnie gorzały.

— Puszczaj mię... pan!

— Nie, nie! Niech mię pani słucha. Oto Barnawska już wie o stosunku pani z tym Szczerbicem i gotowa powiedzieć matce. Ojcu już powiedziała.

— Pan ją uwiadomiłeś?

— Ja

— I cóż pan myślisz na tym szpiegostwie wygrać?

— Wszystko. Chcę panią uratować od zguby. Bo teraz — to już zguba!... Ja znam życie. Któż je zna, jeśli nie ja? Ja jeden wiem, co należy robić. Toteż — przysięgam! — ja nie dam, ja nie dam!

— Ja również... znam!... Precz! Wiem, co robię.

— Nie pozostaje mi więc nic innego, tylko zabić tego szubrawca!

— Zabij go pan z łaski swojej. Tkliwy Werter!

— Zrobię to prędzej może, niż pani sądzi.

Ewa śmiała się serdecznie, marząc, jak o szczęściu, o chwili wyjazdu. Przypomniła sobie jednak słowa Horsta, że Barnawska powiedziała już ojcu o znajomości ze Szczerbicem. Spytała tedy:

— Więc ta jęzda już powiedziała memu ojcu, że ja znam się z hrabią Szczerbicem? To jest prawda czy wymysł?

— Powiedziała.

— Zaraz do niej pójde i rozprawię się.

— Co pani chce robić? Jeśli pani rozdrażni babę, to ona może zgubić i panią, i całą rodzinę. Niech pani weźmie pod uwagę moją propozycję. Jest to wyjście ze wszystkiego. Przekona się pani!... Jest to tak proste...

— Panie Horst, jesteś zabawny ze swymi aspiracjami do kobiet tak nisko upadłych jak ja.

— Kocham panią nad życie! Nie chłopiec lekkomyślny to mówi, lecz ja, Horst...

— Ech, nudny pan jesteś ze swą miłością „nad życie”. Niby ja nie wiem... Chciałoby się być moim „narzeczonym” z półtora roku — prawda? Chce mi pan towarzyszyć do Barnawskiej?

— Ja? Po co?

— Mówiłam panu, że się rozprawię z jędzą. Może będę potrzebowała męskiej pomocy. Skoro mię pan tak kocha — (Horst i „kocham nad życie”...) to niechże mię pani broni w potrzebie... W przeciwnym razie gotowam pomyśleć, że umie pan być tylko agentem ciotki Barnawskiej.

Uśmiechał się złowieszczo. Kiwał głową, gdy zstępowali ze schodów, milczał, gdy szli ulicami w kierunku mieszkania Barnawskiej. Skoro zadzwonili, musieli według zwyczaju, czekać dość długo. Nareszcie szczęknął opuszczony łańcuch, a zgrzytnął klucz w zamku i odsunął się zatrask. Stara służąca, po wielu pytaniach i troskliwym skonstatowaniu tożsamości osób, wpuściła ich do przybytku. Barnawska siedziała na fotelu obitym czerwona skórą, z kolosalnymi nogami obwiniętymi we flanele i opartymi o mały taborecik. Czuprynka jej była świeżo uczesana i obficie zwilżona pomadą.

— We dwoje... — zawołała radośnie — czyżbyście już byli po słowie?

— Jeszcze niezupełnie... — odrzekła Ewa, siadając naprzeciwko starej damy. — Przyszłam właśnie poradzić się ciotki. Co do mnie... Lękam się, że pan Adolf jest dla mnie za młody, za lekkomyślny... Przy tym niedoświadczony...

— Swoich zaś doświadczeń życiowych panna Ewa nie chce ryzykownie ekspensować tylko dla mego szczęścia... — mówił Horst, zwrócony do Barnawskiej jak do sprawiedliwego sędziego.

— Rzeczywiście... — podchwyciła Ewa — wolę już sama dźwigać brzemię moich nieprawości, niż najmować współtragarza. Widzi ciotka, że jestem szczerą.

— Bądź sobie szczerą czy nieszczerą, to mię ani grzeje, ani ziębi. Źle robisz... — perorowała Barnawska z poważnym a dobrodusznym wyrazem twarzy. — Horsta ja znam, dziecko, do gruntu. Któż go zna lepiej ode mnie? A jednak ja ci radzę, ja właśnie. Rozważ — ja radzę. Musiałabyś trzymać *to to* w łapie — to pewna.

— Ja sędzę — podchwycił — że może już lepiej trzymać *to to* w zamczystejszej spiżarni.

— Ale gdyby się zaprzął do roboty! Przecie to jest, moje dziecko, skończony inżynier z paryskich dróg i mostów, chłop zdolny, zdrowy jak bizon. Wałkoń dziś — nie przeczę — któż by mógł przeczyć?... Ale ten sam wałkoń, gdyby tylko chciał, mógłby lekko zarabiać kilkanaście tysięcy rubli rocznie. Sama bym dopomogła.

— Ależ to z ciotki swatka! — zachichotała Ewa.

— No, już cię wolałabym cię widzieć żoną Horsta niż donną hrabiego Szczerbica.

— Panie Horst!... Słyszysz pan? — rzekła Ewa z wyzywającym uśmiechem. Nozdrza jej rozdęły się, przez oczy przeleciał błysk.

— Nie... bo ciotka jest pobożna, widzi pani... — szeptał cicho Horst.

— Cóż to, chcesz mnie może wyzwąć na pojedynek? — spokojnie pytała Ewy Barnawska.

— Nie, wcale! Pani jesteś na pewno poza linią strzałów pojedynekowych. Ja tylko proszę pana Horsta, żeby sprawdził swoje informacje, których pani udzielił, u mnie, u źródła.

— Jestem gotów, panno Ewo.

— Na czymże pan opierał swe przypuszczenia, że ja mogę zostać „*donną* hrabiego Szczerbica”?

— Na kilku spostrzeżeniach i własnym niepokoju.

— Słowem na twoim dotychczasowym postępowaniu — dorzuciła Barnawska. — Co tu zresztą długo gadać? Krótko ci i jasno powiem: wyjdź za Horsta, jak Bóg przykazał, to wszystko będzie dobrze.

— Zapłaci naprzód, co pani winien... — ciągnęła Ewa.

— Zapłaci, co mi winien, a ty byś za to — dodam: — musiała ręczyć — no, potem zapłaci mi twoje długi, twego ojca długi. On się na to zgodził. Słyszysz? Bo już mię ta twoja cała rodzinka poczęła nudzić. Ja ci powiem, że ze mną nie ma żartów. Wezmę którego dnia i trzasnę wami. Wylecicie na żebry jak z procy. Ani się obejrzyś!

Ewa patrzyła na starą damę przygasłymi oczyma. Dzika zemsta... w głębi piersi... w spokojnym sercu.

— Cóż ty na mnie ślepkami łypiesz? — mruknęła stara zimno i nie ruszając się z miejsca. — Rób, co radzę. To moje ostatnie słowo. Trzeba się wziąć w kupę, romansowa panno! Znów może gdzie wyjedziesz, zabrawszy moje pieniądze — i szukaj wiatru w polu. Ganiaj z wywieszonym ozorem po tropach jak ogar za zajączkiem. A mnie to po co?

— Jeśli tylko zechcę, to wyjadę... — rzekła Ewa spokojnie. — Cóż mi pani może zrobić?

— A ja cię mogę zamknąć w kryminale, heliotropie pachnący!

— Mnie? — jęknęła.

— Ciebie, złotowłosa Elsinoe<sup>106</sup>!

— A za cóż to, ciociu, za co? — pytał tkliwie Horst, przysuwając bliżej swe krzeselko.

Jakby w odpowiedzi na ten jego ruch, Barnawska przygarnęła ku sobie chustkę, leżącą na pobliskim stolyczku, a wraz z tą chustką leżący pod nią przedmiot jakiś niewielki a ciężki.

— Za co, kochany Abelardzie<sup>107</sup>, to moja sprawa. Z twoich zaś spojrzeń szatańskich, bladolicy rycerzu, nic a nic sobie nie robię.

— Zawsze jednak niech pani w taki sposób w mojej obecności do panny Ewy ani jednego słowa więcej nie mówi — *bon*<sup>108</sup>? Żeby niby zgody między nami nie psuć. Najlepsza jest, wypróbowana przez ojców inkwizytorów, metoda: *maxima, cum charitate et minima sanguinis profusione*<sup>109</sup>...

— Tak będę przemawiała, jak zechcę.

— Zapewniam panią moim burżuazyjnym słowem honoru, że nie przemówi pani w podobnym tonie ani jednej sylaby. Wracajmy do rzeczy. Panno Ewo!

— O co chodzi? — spytała budząc się z głębokiej zadumy.

— Miała pani rozmówić się z ciocią Barnawską. Proszę.

— Rozmówić się — ach, tak! Chce mnie, jak pan słyszał, zamknąć w kryminale. Nie wiem jeszcze za co, ale się nic a nic nie boję.

— Dobrze, motylku, dobrze. Rozmów się ze mną.

— Bo ja rzeczywiście jestem motyl. Już byłam raz motylem... Gdyby pani wiedziała? Któż uwięzi motyla? Trzeba go złapać, a później szpilką przebić. Lecz motyl, który siada gdzie chce, nawet na czole Psyche, tylko rozłoży złociste skrzydła — i już jest w niebie. A ja jestem motyl.

— Jest na wszystko prawo — i na motyle złociste... — śmiała się dobrodusznie Barnawska.

— Wykonawczyni i, że tak rzekę, pomocnico prawa! Znów powracamy do niemiłego tematu.

— Ty, która czynisz według prawa i której każdy krok zgodny jest z literą prawa, dajże wszystkie weksle mego ojca i wszystkie moje rewery, kwitki, notatki, gdyż to wszystko w tej chwili zapłacę.

Barnawska nie ruszała się z miejsca. Jej zimna twarz wyrażała spokojny namysł i, pod maską tego spokoju, ostrożną ciekawość.

— Czekam na rewery! — mówiła Ewa dźwięcznym głosem. Jednocześnie wydobyła pieniądze i zwitek ich pokazała Barnawskiej.

— Fiu-fiu! Ostro idzie — mruknięła stara.

— Czy dostanę rewery? — mówiła Ewa głosem rozszalałym, który w sobie z całej mocy powstrzymywała.

— Ciekawam, czy też ojczulek i mamusia wiedzą o tych nowych źródłach dochodu?

— Wiem o nich ja i mój narzeczony, Łukasz Niepołomski, który przyjechał do kraju i będzie mię bronił od zniewagi — szeptała Ewa w natchnieniu, w górnym nastroju, z oczyma wzniesionymi w niebo. Łzy toczyły się po jej policzkach. Wierzyła całą duszą w kłamstwo, które z radością wygłaszała.

Barnawska mlasnęła ustami. Zaraz też wydobyła z zamczystej szuflady swój gruby, skórzany portfel i założywszy kopalne okulary poczęła szukać w nim i przewracać gorliwie.

— Kiedyż to Niepołomski powrócił? — spytał Horst zachrypniętym głosem.

— W tych dniach.

— Widać teraz jeździ z ambasadorami...

<sup>106</sup>*Elsinoe* — imię bohaterki dramatu Zygmunta Krasńskiego *Irydion*, kochanka cesarza Heliogabala.

<sup>107</sup>*Abelard* — filozof średniowieczny, znany ze swego romansu z Heloizą.

<sup>108</sup>*bon* (fr.) — dobrze.

<sup>109</sup>*maxima, cum charitate et minima sanguinis profusione* (łac.) — z jak największym miłosierdziem i jak najmniejszym rozlewem krwi.

— Przez swego przyjaciela, hrabiego Szczerbica, przysłał mi te pieniądze, żeby mię nareszcie wykupić z niewoli lichwiarskiej, żeby mego biednego ojca uwolnić ze szponów lotrowskich. Żona Łukasza już się zgodziła na rozwód.

— Co pani takiego opowiada? — zaśmiał się szydyczko.

— Niech pan do niej pójdzie i zapyta w moim imieniu, czy to nieprawda.

— Pójdę, pójdę.

Barnawska ułożyła na stole szereg kartek, kwitków na małych arkusikach i na dużych arkuszach. Poczęła liczyć pisząc cyfry szyferkiem na małej tabliczce. Dodawała głośno, jak gdyby obok niej nikogo nie było w pokoju. Gdy wreszcie po długich deliberacjach podsumowała wszystko i ogłosiła sumę, Ewa położyła na stół pięćset rubli i zażądała reszty.

Po chwili sama brała jeden rewers po drugim i sprawdzała rachunek.

Upewniwszy się przy świadku Horście, że ani ona, ani nikt z jej rodziny nie jest nic winien Barnawskiej, zgarnęła kwitki i z rozkoszą poszarpała je, podarła, potargała na drobne kawałeczki. Otworzyła lufcik i całą garść frygnęła za okno.

Wtedy wstała i przesadny, paniński ukłon złożyła przed matroną, która śmiała się z niej grubo i serdecznie.

Pokoik Ewy znajdował się na czwartym piętrze hotelu Suisse w Nicei. Szklane drzwi wychodziły na długi i wąski balkon z żelaza, biegnący wszerz całego gmachu. Siedząc w głębi pokoju, leżąc na łóżku — Ewa miała przed oczyma morze. Z wysokości czwartego piętra gmachu stojącego na samym brzegu nie widać było wcale ziemi. Było się jak gdyby zawieszonym w powietrzu nad morzem.

Ewa już miesiąc mieszkała w Nicei, wciąż w tym samym pokoju. Przybyła na wybrzeże francuskie z Rzymu (wraz ze Szczerbicem), ponieważ Łukasza Niepołomskiego tam już nie zastała. Przed jej przyjazdem wypuszczony został z więzienia i znikł. Władze więzienne nie umiały o nim nic powiedzieć prócz tego, że został odwieziony do granicy francuskiej, do stacji Ventimiglii. Nic więcej, pomimo najściślejszych poszukiwań. Ewa nie mogła, nie śmiała, nie czuła się na siłach, żeby wrócić do kraju. Usłuchała tedy rady Szczerbica i udała się do Nicei. Obiecał czynić poszukiwania Łukasza we Francji. Przypuszczał, że może Niepołomski zechce grać w Monte-Carlo dla zdobycia pieniędzy...

Ewa przyjechała do Nicei. Pędziła życie jednostajne, senne, bezbarwne. Przebywała najczęściej w swojej izdebce na czwartym piętrze. Ze Szczerbicem prawie nie widywała się.

Przekazami pocztowymi przysyłał jej pieniądze na opłacenie pensjonatu. Czasem spotykała go na spacerze, gdy sama szła ku Villefranche. Raz rozmawiała z nim dłużej w kawiarni Regence na Avenue de la Gare, gdy tam usiadła w dzień gorący.

Bała się bardzo Szczerbica. Jeszcze w Wiedniu kupiła sobie byłą (za jego pieniądze) rewolwer i nie rozstawała się z nim ani na chwilę. W Rzymie, mieszkając w hotelu, czekała wciąż po nocach, że przyjdzie do jej pokoju. I teraz w Nicei, aczkolwiek uspokojona, trzymała zawsze broń przy sobie. W pokoiku wąskim i ciasnym stało wygodne krzesło na biegunach. Wysuwała je na środek pokoju i w pół leżąc, zatopiwszy oczy w morzu, rozmyślała w ciągu nieskończonych godzin. Kochała dzienny błękit morza, albowiem owijał się koło ran jej duszy jak gdyby pas błogosławiony, jak gdyby chusta gojąca. Kochała głęboką, bardzo ciemną noc nad wodami. Na wprost jej okna, w dalekim bezmiarze głębin zatopionych w mroku, gdy mistral wzdymał wały morskie i walił nimi w skały wybrzeża, błyskała morska latarnia. Kochała błysk latarni i żyła się z nim duszą tak dalece jak z niczym teraz na ziemi. Zdawało się, że to chmury lecące krzeszą ogień z morza. Czekala zawsze z utęsknieniem nocami na światło nocne. Oto i tej nocy... Nareszcie! Przeleciał elektryczny, milczący znak — raz-raz! Nastawał poprzedni mrok. I znowu — światło — raz-raz! Otchłań ciemności wylewała z odległych samotni, z tajnych okręgów pustyni ryk i wzdychanie na ludzki brzeg...

Ewa cicho mówiła do samej siebie, po prawdzie do tych odległych, piorunowych błysnięć — spowiedź powszechną wylewającą się z duszy. Bo tam był anioł groźny nad niezgruntowanymi wodami... Skrzydła jego od zachodu na wschód... śniło się, że z jego niezmiernej ręki, kołyszącej kadzielnicę ponad otchłiskiem, pada ognisty miecz w dalekie rozcieki, skąd wracał może bezsilny od pracy rybak lub żeglarz, który stracił ostatnią nadzieję. Przy tym świetle niemyym a tak nieskończenie wymownym — poczynala widzieć z poczworną siłą swe sprawy. Oczy jej zagłębiały się w duchową pomrokę, a rozum

stawał raz w raz w wielkich olśnieniach. Rozważała w głębi duszy swej, co ma czynić. Czuła głębokością serca, że nie zobaczy już nigdy Łukasza. Tęsknota stoczyła jej duszę, a żal zniweczył jestestwo. Wyjścia nie było. Tak miało zostać na zawsze. Niedługo jej mówił: „Gdy mię porzucisz, będę straszliwie nieszczęśliwy...”. Te słowa własną jej krwią były wypisane w sercu. A teraz — on to ją właśnie porzucił. Cóż mogło wyrazić straszliwą prawdę tego pewnika? Nasuwało się proste pytanie: czy można żyć jeszcze, jeszcze dalej? I, jak powtórnym brask morskiej latarni, świetlała odpowiedź, że trzeba — albo przestać żyć — albo spodlec i ohydnie pogodzić walkę wewnętrzną ze sprawami życia. Należy wybrać. Ale coż wybrać? Kochać i tęsknić — marzyć, żeby przyszła znowu chwila rozkoszy cielesnej, żeby wszystkie inne na szereg lat zatłukła swoim ogromem?

Nowy błysk myśli, co, zda się, na morzu wyrósł i przebiegłszy otchłań ciemności przesywał wskroś duszę, błysk nowy, bezlitosny w swej nagości: któż to jest Łukasz?

Wszakże Łukasz jest to mężczyzna jak tysiące tysięcy innych na świecie. Kochał dawniej inne kobiety i podeptał je, odchodząc w swoją stronę. Kochał żonę i odchodząc podeptał ją na miazgę. Ten, którego tak uwielbiała! Dla którego poświęciła wszystko — został w pamięci z całą okropnością męskiego pożądania. Ponad duszę, ponad najlepszą część ludzkiego jestestwa zapragnął bardziej rozkoszy cielesnej! Nie pytał się, czy połamie ciało, czy zdepcze duszę. Jego żądza zmysłowa była ponad wszystko.

Znów nowy, senny, daleki znak z czarnego morza: — a ty sama, a ty?

Ja jestem — wyznawała — tak samo grzeszna jak on. Wszakże nie dosyć by było ujrzeć jego twarz jedyną na ziemi. Wszakże nie dosyć by było utonąć w ukochanych oczach. Zawrzeć ustami rozpalone usta... Wszakże tli się w piersiach nieugaszone pragnienie wieczyste nowego grzechu z nim!

Och, być przezeń znowu przewróconą, zduszoną, pokonaną! Zesłać w uścisku jego dłoni — i ustąpić! Poczuc na sobie jego ciężar. Zamknąć oczy i dobrowolnie oddać mu się na łaskę. Na łaskę! Ustami czuć jego usta, nasycić się jego ciałem i oddać mu na własność swe ciało...

Myśli rozpieczęły się w nicość. Zostało tylko drżenie spalonego ciała. W pamięci wspomnienie fizyczne Łukasza. On jeden był i jest na świecie! Widziała oczyma przedział boczny w jego włosach, kołnierz i rękawy szarego surduta... Słyszała jego szept, gdy po chorobie wbiegł do jej pokoju i chwycił przemocą oddech przestraszonymi płucami. Widziała najdroższy uśmiech, rodzący się w surowej twarzy, rodzący się jak zorza nad ciemnością morską. Była bliską jego ust. Usta różowe... Białe zęby w głębi ciemnego zarostu... Wargi szepczą bezmyślne wyrazy, w których zamknęło się szaleństwo rozkoszy. Padały teraz te wyrazy w jej serce, na ramiona, na plecy, na piersi, uda, jak jego pocałunki obłąkane, gdy kazał zdejmować suknie i przyciągał bezsilną na swe kolana.

Załamanymi rękoma dusiła serce walące w piersiach i usiłowała spętać szaleństwo. Zbliżała się do siebie samej ze wspomnieniem zabitego dziecka, z łańcuchem piekielnych dni i nocy. Wlokła samą siebie pod pręgierz. Stawiała sobie przed oczy hańbę bezgraniczną i wstyd poznany.

Błysk źrenic powitał nowy błysk światła w morzu. Rozmyślanie stało się zimne, chłopszące, jak samo morze, które się drze w ciemności.

Grzech!

Zuchwały krzyk w duszy: czy jest grzech?

Skąd się wziął, dlaczego przyszedł? Jest, jak mówił wówczas młody ksiądz, przeciwko niemu rozum własny, inny rozum, zewnętrzny, wielki a niezmierny... Jakże się może dokonać grzech wbrew woli tamtego rozumu? Jakim sposobem wynika bunt cielesny, bezprzykładna żądza, jak przed chwilą? A z żądz tej jakim sposobem jedna za drugą wychodzą zbrodnie? Wspomniała wszystko od początku do końca, ujrzała dawną wolę i dawny rozum, jak samochcąc podniosły się z nicości i wydzwignęły ponad Boga. Mogła teraz dokładnie odróżnić dawną niewiadomość od terazniejszej wiedzy — i cicho, cicho uśmiechała się, patrząc na siebie dawną, minioną, przeszłą, skończoną...

Nowy, silny krzyż światła latarni przerąbał ognistym ramieniem otchłań. Dusza Ewy dzwignęła się i podniosła. Mówiła do ciemnego morza:

„Dążyłam do swego celu. Cel mój był — Łukasz. Podeptałam wszystko, co było na mojej drodze. Podniosłam rękę na Boga. I odstąpiła mi łaska. W tym dniu, gdy byłam

w lasce, ukazał się przede mną Łukasz. On się stał wieczną pokusą mego serca. Jest. Dlaczego tak się stało?

Teraz — mówiła nie spuszczać oczu ze świetlistych pełgań — muszę dać woli boskiej zadośćuczynienie, które będzie karą za moje grzechy. Kara, jaką ponoszę, sprawi, że sprawiedliwości boskiej stanie się zadość. Za zniewagę Boga dźwigam na ramionach moje cierpienie. Potrzebne jest Bogu moje cierpienie. Z niego wyrasta, jedynie z niego, najcudniejszy kwiat ziemski: skrucha. Ze skruchy, jakoby z kwiatu, ulata zapach: mądrość pokuty. A z pokuty staje się tajemniczo — świętość.

— Tak to — dumiała — z mej nocy, gdym zabiła dzieciątko, wyrasta moje cierpienie. Z cierpienia kwiat ziemski: skrucha”.

Śmiech głuchy zabulgotał we łzach przepelniających piersi. Głowa zwiśla na poręcz fotelu, gdyż myśli płynące przez głowę obróciły się w głupstwo. Poczęło ćmieć<sup>110</sup> w całym jestestwie głuchonieme, samo w sobie bytujące cierpienie. Obmierzłym stał się czas, sam dla siebie bytujący — przestrzeń pusta... Czas, nienapełniony niczym oprócz ćmiącego bólu, ukazał się jak wróg żywy, pełen mocy diabelskiej. Stał przed oczyma olbrzymi, nieprzebrany i niezwyknięty, jak Liguryjskie Morze.

Rozdarł ciemności błysk nowy i rzucił w duszę niczym niezachwianą niezłomność pragnienia.

Zniweczyć czas pusty! Rozedrzeć długość jego szaloną i zmiażdżyć ją w sobie! Nie czekać już i nie drzeć całym ciałem na rozkaz złudzeń oczu i pamięci! Nie pragnąć już rozkoszy cielesnej i nie pamiętać o nocy rodzenia. Nie pamiętać, nie pamiętać, nie pamiętać! Na wieki zapomnieć!

Odejść i spocząć między łądem i falą wieczną...

Głębokie drżenie wewnętrzne. Czy to tam szatan świetlisty przez środek ciemności idzie?

Zalśniły ruchome odmęty wodne. Poślizgnęło się światło morskie z fal na fale. Zdało się oczom skostniałym, że ujrzały w mroku... Marzenie dziwne i straszliwe.

Śniło się im widziadło mocnego anioła, który zstąpił z niebios i stoi w głębiach nocy, odziany obłokiem.

Postawił prawą nogę na morzu, a lewą na ziemi. Stojąc tak na morzu i na ziemi, podniósł rękę swoją ku niebu. Skądże w uszach te słowa straszne, równe morzu i niebiosom, wichrowi i wschodzeniu słońca, które drżeniem prędkim przejmują jak od trzaskania piorunu?...

„Przysięgał przez Żywiącego na wieki, który stworzył niebo i to, co w nim jest — i ziemię, i to, co w niej jest — i morze i to, co w nim jest — że czasu już nie będzie<sup>111</sup>...”.

\*

Najbliższymi sąsiadami Ewy w numerach hotelu Suisse była para małżeńska Anglików, ludzi niemal starych.

W stadle tym mąż był to mężczyzna wysoki, zawsze *fashionable and stylish*<sup>112</sup>, w monoklu, który wrzucał z niezrównaną wprawą. Był wysoki, chudy, łysy. Małżonka ubierała się wytwornie, ale zawsze czarno i jak gdyby niezmiennie w te same suknie. Zarówno na twarzy męża jak żony panował jednaki wyraz. Ewa znała te dwie osoby ze spotkań przy stole, w czytelnicy i na windzie hotelowej. Kilkakroć zamieniła z nimi nieco słów.

Uważała, że wyraz twarzy obojga musi być „angielski, dżentelmeński”, wyższy, taki właśnie, jaki należy nosić przedstawicielstwu wielkiej rasy. Jakież było jej zdumienie, gdy pewnego popołudnia żona-Angielka zastukała do jej drzwi i weszła do numeru. Oczy przybyłej patrzyły dziwnie, jakby z obłudą, nie widząc — na podobieństwo ludzi wielkiego świata, którzy nie chcą poznać na ulicy tych, z kim zapoznano ich wbrew woli. Ewa

<sup>110</sup>ćmieć — dziś popr. forma: ćmić; tj. ledwo dostrzegalnie świecić.

<sup>111</sup>Przysięgał przez Żywiącego na wieki (...) że czasu już nie będzie — cytata z *Apokalipsy św. Jana*, wg Biblii w tłumaczeniu Jakuba Wujka.

<sup>112</sup>*fashionable and stylish* (ang.) — modnie i elegancko.

wstała ze swego miejsca i zapraszała damę na kanapkę. Tamta usiadła i długo mówiła z przymusem o rzeczach obojętnych, kalecząc francuszczyznę imiesłowami i seplenieniem. Widać było, że za tą pozorną swobodą rozmowy kryje się coś innego, coś nad siły tej Angielki. Twarz jej była coraz bardziej ciemna od bezbrzeżnego spokoju, nieruchoma jak maska. Nieznośnie i boleśnie dla patrzących oczu przyklejony był do tej twarzy miękki uśmiech towarzyski. Ewa czekała.

— Czy pani nie wybiera się jutro do Monte? — zapytała niespodzianie Angielka, podnosząc głowę ciężką jak młyński kamień.

— Do Monte-Carlo? — szepnęła Ewa pochylając się ku niej. — Nie byłam tam nigdy!

— Nigdy!... Przepraszam... Sądziłam, że gdyby pani jechała...

— Gdybym jechała, pani, to co?

— Gdyby pani... jutro... to... może byśmy pojechali razem.

— A państwo wybierają się?

— My... — zaśmiała się szyderczo — my... tak.

Oczy jej przez chwilę z wyrazem badawczego pytania spoczywały na twarzy Ewy. Boleść bez granic przesunęła się przez tę twarz, ale w tejże chwili znikła pod połyskiem miękkiego uśmiechu.

— *A propos...* — rzekła po chwili. (Kaszel nerwowy odjął jej mowę). — *A propos...* czy pani nie byłaby w możności... nie byłaby łaskawa... na dni kilka... pożyczyć nam kilkuset franków? Pieniądze nasze z kraju lada dzień... — szeptała coraz ciszej. — Mąż mój pragnąłby... mąż mój...

Ewa siedziała bezradnie, zaskoczona w sposób jak najbardziej nieprzyjemny. Miała przy sobie około trzystu franków... Szcherbica. Doznawała formalnie łamania duszy kołem na widok męki tamtej. Wahała się przez chwilę, piastując jakąś niedorzeczną nadzieję, że może Angielka sama cofnie swą prośbę. Ale tamta nie miała zamiaru cofać tego, co wyrzekła. Twarz jej poryta została przez zmarszczki, bruzdy, stoczona przez cienie głuchej rozpacz. Ewa wstała ze swego krzesła i, nie mogąc znieść błagalnego wzroku, ujęła chude a wypięszone, bezsilne, żółte ręce.

— Mąż pani gra? — spytała skrycie.

— Tak, pani... — wyszlochała.

— Wszystko przegrał?

— Wszystko.

— Cały majątek?

— Cały, co do joty...

— Co do joty?

— Jeżeli pani nie może... Ja już odejdę, gdyż... Przepraszam...

— Ależ nie! Nie! — krzyknęła Ewa. — Pani nie pójdzie! Dam wszystko, co mam!

Wszystko, niech pani weźmie.

Rzuciła się do komody, wydobyla wszystkie pieniądze i wcisnęła je w suche, drgające ręce. Angielka nie mogła liczyć. Patrzyła z jakimś roztargnieniem nieznośnym to tu, to tam. Kilkakrotnie wykonała ruch, jakby chciała powstać i, wskutek napastujących mdłości, wychodzić. Ewa zatrzymała ją jeszcze delikatnie, osadzając na miejscu.

— Państwo dawno tu już jesteście? — spytała niby o sekret.

— Siedem miesięcy.

— Więc... Duży to majątek, dużo przegrał?

Zapytana chciała odpowiedzieć, lecz coś jak czkawka, suche histeryczne łkanie wyrwało z ust wyrazy.

— Jutro z panią pojedę do kasyna! — krzyknęła Ewa. — Jutro przyniosę wam szczęście. Mąż pani wygra.

Angielka chwyciła ją za rękę i przyciskała tę rękę sobie do piersi, do gardła, do serca, do ust, z cicha, bezsilnie skowycząc...

\*

Następnego dnia około godziny dziesiątej rano Ewa oczekiwała na dworcu miejskim na spóźniający się pociąg z Cannes. Towarzyszyła parze cudzoziemskiej. Dzień był ohydny, wietrzny i zimny.

Mr Dwarf chodził szybko po pustym peronie oszklonej sali stacyjnej, żartował, prekomarzał się z Ewą co do jej wrażeń mających dnia tego nastąpić w domu gry. W trakcie tych rozmówek co chwila zwracał się w stronę Cannes. Zaciśnięte usta milkły, a dokoła nich roily się drgające zmarszczki. Mrs Dwarf dotrzymywała mężowi kroku i zdawała się cieszyć chwilami z jego dobrego humoru. Ewa czuła doskonale, jak potworne uczucia kryją się za uśmiechami tych ludzi, ale było jej wesoło w ich towarzystwie.

Kiedy niekiedy spoglądała na nich spod oka i przelotnie marzyła: gdybyście mogli wiedzieć, ile jest wesołości we mnie wesołej, gdybyście mogli wiedzieć, jakim głupstwem jest wasza ruina wobec mojej ruiny! I to ja właśnie wyświadczam dobrodziejstwo panu Dwarf z Anglii! Zajączek z Polski i dwie zbiedniałe angielskie żabki...

Pociąg zdyszany, obmokły od deszczu nadbiegł niespodzianie i pomknął dalej, ledwie mieli czas wskoczyć na stopnie wagonów. Tunele, błyski światła dziennego, morze huczące od wichru, z białą runią pian, zielonoszare fale... Pola różane, lasy palmowe, wreszcie Monaco. Winda, snująca się po pochyłości w cieniu stromej skały, wyniosła odurzoną Ewę i jej milczących teraz towarzyszyw podróży pod drzwi kasyna. Pani Dwarf ujęła Ewę pod ramię i wprowadziła, pan Dwarf ułatwił formalności w biurze na lewo od wejścia.

Wkrótce Ewa otrzymała różową kartę wstępu i znalazła się w sali gry. Była godzina dwunasta, światło zza chmur wpadało przez olbrzymie okna. Dwarfowie zbliżyli się do stołu pierwszej z brzegu rulety. Osób było jeszcze bardzo niewiele i dużo krzeseł wolnych. Ewa była tego dnia wykwintnie ubrana. Kapelusz i suknie, które miała na sobie kupiła w Nizy. W hotelu posiłkowała się małym źle zawieszonym lustrem. Teraz stojąc przy stole gry, spostrzegła swą postać w jednym z ogromnych zwierciadeł między oknami. Nie mogła od siebie oderwać oczu. Spoglądała ukradkiem a raz w raz. Musiała sama pochwalić się za piękność. Była zdziwiona własną wspaniałą urodą.

Słońce południa i wiatr morski nadały jej twarzy nową, złotawą barwę. Spąsowiwały usta, niby poranna róża, co z pąka wykwitła pod ciepłym słońcem, nim ludzie ze snu powstali. Jeszcze bardziej rozwarły się błękitny oczu. A był w nich teraz jak gdyby połysk błyskawicy. Sama z rozkoszą patrzyła na niezrównany kontrast bujnego pukla złotych włosów wybuchających spod ronda czarnego kapelusza, na swe barki rozkwitłe, na przesłiczne linie piersi. Całkowita postać miała w sobie lekkość chmury czy dymu, a zarys głowy był jeden jedyny na ziemi. Cicha, namiętna radość zapaliła się w piersiach. Było to bowiem oczywiste, że piękność jej w tym tłumie nie ma współzawodniczki, że ani jedne męskie oczy, które ją dnia tego ujrzą, już obrazu jej nie zapomną nigdy, przenigdy. Wodziła oczyma po stropie, ścianach, filarach, po dziwacznych stołach gry, lecz zajęta była tylko sobą. Czuła wciąż, że w niej drży chybka i niewstrzymana nadzieja. Och, coś się tego dnia stanie! Coś się przybliży. Gdzież jest i co to? Zwracała w napływający tłum oczy niby to bezmyślnie, niby obojętnie, a w gruncie rzeczy bez wytchnienia czekając, że w tym tłumie ujrzy... Tak niegdyś na kolei...

— I wtedy tak było. I wtedy tak strasznie... przyszedł...

Uśmiechnięte usta rozchylały się, a śliczne zęby tłukły się ze szczękaniem, gdy samej sobie podszeptowała jego imię.

Mr Dwarf grał. Stawiał na rozmaite cyfry ostrożne *enjeu*<sup>113</sup> po 5 franków.

Przegrywał i wygrywał małe sumy. Ewa zatrzymała na nim przez chwilę wzrok, nie była jednak w stanie zająć się jego sprawą. Siedział wyprostowany, poważny, bez monokla. Twarz jego była szara, zęby ściśnięte, wyraz twarzy doskonale obojętny. Oczu ani na chwilę nie podniósł od znaków i przedziałów zielonego sukna. Pani Dwarf trzymała w ręku pokratkowaną papierową tabliczkę z cyframi, które uważnie szpileczką przekłuwiała. Lewa jej ręka nieznacznie była wsparta o ramię męża. Ewa tylko spostrzegła, że palce tej ręki jak szpony były wbite w sukno surduta. Przybywało osób coraz więcej. Ewa znalazła się w pierwszej linii tłumu otaczającego stół rulety. Czuła oddechy mężczyzn stojących za nią i obok. W pewnej chwili ośmieliła się postawić pięciofrankówkę na liczbę sześć (suma liter imienia „Łukasz”). Patrzyła, jak gałka w kole rulety, odbijając się, skacząc płochliwie,

<sup>113</sup>*enjeu* (fr.) — stawka.

prawie kokieteryjnie biegła, zatrzymywała się, wahała i mknęła znowu. Serce drgnęło. Pięciofrankówka znikła zagarnięta przez grabki croupiera. Coś jak fatalna ulga. Powrót do pewności, że miłosny sen o Łukaszu — to sen tylko. Gdy się raz wyśnił, już nie powraca nigdy, przენigdy, choćby człowiek miał władzę króla królów. Podniosła oczy na croupiera, który zagarnął jej pięciofrankówkę.

Był to przystojny mężczyzna w średnim wieku, kędzierzawy, siwiejący brunet. Miał włosy krótko ostrzyżone, małe wąsy, sympatyczną twarz. Zachowanie się jego było spokojne i poważne, bez afektacji, jak u poważnego urzędnika, który godnie i należycie spełnia swe obowiązki. Ewa poczęła zasluchiwać się w brzmienie sakramentalnych formuł, które ciągle wygłaszał, i dusza jej dumając znalazła się w poddaństwie i rozpostarcu pod monotonnymi słowami. Leżała daleko, w nocy. Morze ciemne i szalone. Przeszywający błysk latarni. I wciąż te słowa, sens wszystkiego na ziemi: *Faites votre jeu, messieurs*<sup>114</sup>. Słyszała w tych dźwiękach głos siły niczym niezachwianej, wyraz okrucieństwa, które się samo żywi, okrzyk potęgi, która porywa wyciągniętą prawicę na własność swoją wieczną i użytek — luk i koronę.

Ocknęła się ze swego zaśnienia i powiodła okiem po znacznie zwiększonym tłumie. Zrozumiała, że Dwarf musiał wygrać. Dość pokaźny stosik złota leżał przy jego rękach. Anglik łamał słupki złożone z monet dwudziestofrankowych, stawiał po kilka to tu, to tam, na pewne cyfry, na *manque*<sup>115</sup> lub *passé*<sup>116</sup> i na rozmaite kombinacje zwane *cheval*<sup>117</sup>, których nie pojmowała. Po ponownym obrocie rulety znowu grabki croupiera podsunęły panu Dwarfowi porcję luidorów. Ewa spostrzegła twarz pani Dwarf. Była to twarz dziewicza, niemal dziecięca. Wargi napełnione krwią dyszały radośnie. Oczy spuszczone. Ręka wciąż na ramieniu męża.

Serce Ewy uderzyło, a oczy zaciągnęła mgłą wzruszenia. Nie chciała teraz popadać w stan smutku, o którym wiedziała dobrze, że czeka na nią wszędy poza murami tego domu. Postanowiła bawić się. Powiodła z uwagą oczyma po tłumie. Gdy wszystkie oczy wbite były w koło rulety, sama jedna, obojętna na wyniki gry, mogła obserwować bezkarnie. Toteż oczy jej przerzucały się z twarzy na twarz. Wlokły się przez rysy zdławione, podeptane i jakby wykręcone z zawias a nastawione według innej, przygodnej zasady — przez oblicza zimne i uważne niby cyfry niezblaganego rachunku — przez mordy wynędzniałe, głupie i spoliczkowane raz na zawsze od bezgranicznego, wielookiego strachu — przez facjaty, w których nie ma już nic a nic prócz nieustannych drgawek nerwów i fizycznej boleści.

Naprzeciwko Ewy i croupiera siedziała staruszka z siwymi włosami, które okrywał starożytny stroik. Twarz cioci-rezydentki w zapadłym dworze Podola czy Polesia, zażywej jejmości lubiącej kawę i plotki. Teraz pod tą starą skórą, rozprażoną i sczerwieniałą jak na pieczonym jabłku, wre zgrzybiała krew, niby klej stolarski zagotowany w skorupie nad płomykiem lampy — wszystkimi porami, wszystkimi nadtrząśnięciami ziejie szalona namiętność. Ciało drży i śmierdzi, drżą ręce, głowa się trzęsie, oczy zachodzą łzami, u nosa zwisa co moment kapka. Wyschnięte palce o skórze szklistej, poprzecinanej żyłkami krwawymi, posuwają złote pieniądze, tkają je to tu, to tam z beznadziejną rozpaczą, cofną i znowu niosą w rozterce śmiertelnej — a raz w raz przekłuwają cyfry w papierku. Patrząc na tę starą Ewa poczuła taką odrazę jak do kupy podmiejskiego nawozu. Miała myśl, że gdyby tak silnie z góry uderzyć pięścią w to stare czupiradło a nacisnąć ją z całej siły jak purchawkę, to pękłaby szarozielona powłoka, a z wewnątrz buchnął pewnie kurz czarny, gąbczasty, cuchnący...

Nie mogąc znieść widoku starej kłepy, a nade wszystko nie mogąc znieść widoku lekkiego a prawie niepostrzeżonego uśmiechu croupiera, gdy wzrok jego padał na tę starą damę, Ewa wysunęła się z tłumy i odeszła w głąb sal. Tam, wśród krążącej ciżby, odcznęła. Szła przed się, od jednej rulety do drugiej, trafiła do stołów, gdzie grano w *rouge-et-noir*<sup>118</sup>. Tam zajrzała przez ramiona w twarze grających, tu objęła okiem jakąś figurę, profil, pochwyliła jakiś gest — i szła dalej. Widziała dwu Duńczyków czy Szwedów, któ-

<sup>114</sup>*faites votre jeu, messieurs* (fr.) — proszę obstawiać, panowie.

<sup>115</sup>*manque* (fr.) — w grze: wycofanie stawki.

<sup>116</sup>*passé* (fr.) — w grze: podwojenie stawki.

<sup>117</sup>*cheval* (fr.) — dosł. koń; w grze: obstawienie dwóch sąsiednich numerów jednym zetonom.

<sup>118</sup>*rouge-et-noir* (fr.) — czerwone i czarne.

rzy śmiali się doskonale i gwarzyli głośno, garnąc ku sobie lub odsuwając bez cienia żalu stopy złota. Notowała sobie bezwiednie w pamięci zmiętoszone twarze strojnych kokot. Zapamiętała szczególnie jedną, wysmukłą, bladą, bardzo piękną, gdy przegrawszy stawkę na *inverse*<sup>119</sup> przemieniła się w strzęp, w jakiś badył złamany i odeszła przymknawszy czarne, dziwnie wydłużone oczy. Zamyśliła się przez chwilę nad obliczem starego człowieka, w którym malowała się niewysłowiona jasność duszy... Cóż tego tu przygnało? — marzyła chwilę. Wzniosła się szybko na jakąś wyżynę, patrząc z boku na posępne łuki brwi pewnego gentlemana i na zapadłe jego oczodoły, w których, jak w gniazdach, czatowała duma i żądza. Przez chwilę panował nad jej myślami wyraźny obraz życia jakiegoś dandysa z uczernionymi nie tylko wąsami, ale i brwiami, później widok twarzy najoczywistszego hulaki, birbanta, knajpiarza, który się teraz zwijał w kłębuszek po kapitalnej przegranej i chuchał w swoje nieszczęście.

I oto nagle, tak nagle, że nie mogła pojąć, co to się stało, poczęła myśleć o ojcu. Stała przed nią jak żywy, uroczy, lekkomyślny... Usłyszała jęk zamknięty w jego sercu. Ujrzyć go jeszcze! Jeszcze tylko raz w życiu spocząć na jego piersiach, poczuć pieszczotę drżącej ręki, gdy głaszcze nią włosy i coś poważnie, bardzo poważnie, bardzo mądrze i wskutek tego bardzo śmiesznie wywodzi! Gdyby tu był! Czemuż go nie ma tu, gdzie jest cały świat? Czemuż przemarnował życie na szukaniu posadek, czemuż zadręczył swą piękną głowę w małoszkowej gonitwie za nędzną i śmieszoną pracą? Gdyby tu przybył i zaczął grać! Wszakże grają wszyscy, a on wygrałby na pewno! Te stopy złota przeszłyby prawowicie do jego kieszeni, bo złoto kocha tych, którzy je lekceważą, którzy nim gardzą.

Tęsknota popchnęła jej wolę. Napisać do ojca, żeby przyjechał, posłać mu na drogę pieniędzy! Zamieszkać w Nicei — razem! Ujrzyć go tutaj, być z nim ciągle, wyrwać go z nędzy i przeklętych brudów niedoli. Pędzić tu życie lekkomyślne i wesołe, życie bez troski i wiecznych łez, wiecznych moralów i wzdychań matki! (Postanowiła wysłać list zaraz po powrocie do Nicei).

Właśnie przesunął się obok jakiś pan, wykwintny starzec, różowy, spokojny, wesoły. Szedł obok młodej, strojnej damy, gładząc od niechcienia śnieżnobiałe *whiskers*<sup>120</sup> — przyszyrzyżone i zaczesane ozdobnie. Gwarzył wesoło, przymrużając piwne oczy.

W pewnej chwili, mijając stół gry w *trente-et-quarante*, wysunął z bocznej kieszeni kamizelki biały papier tysiącfrankowy i przeprosiwszy uprzejmie swą towarzyszkę, postawił na *couleur*<sup>121</sup>. Dama przystanąła i przechyliwszy głowę obserwowała grę. Stary pan chwilę czekał, żując wstawionymi zębami i uśmiechając się dobrodusznie. *Tailleur* rozłożył karty i wnet posunął mu tysiąc franków. Starzec ujął obadwa białe papiery, wsunął je z przelotnym uśmiechem do kieszeni i, raz jeszcze przeprosiwszy swą towarzyszkę za chwilę zwłoki, ze spokojem i powabem ciągnął rozmowę.

Ewa szła za tą parą przez chwilę i oto niespodziewanie, jak wszystko, co się z nią przytrafiało w tym miejscu i w tym dniu — wybuchł w jej sercu ku temu człowiekowi spazm nienawiści, morderczy paroksyzm zemsty za jego właśnie anielski spokój. Ujrzała rozwartymi oczyma niskie, czterosztywne okna magazynu mód, ciupy ciemne, pełne wilgoci i wiecznego smrodu, podwórze zalane błotem, nagie mury sąsiednich kamienic pokryte wieloletnią sadzą. Ujrzała głowy szwaczek schylone nad cudnymi sukniami ostatniej mody. Dzień jesienny, kiedy przez brudne szyby sączy się do izdebek mętne światło, a śniady jego półton pada między liście roślinek moknących w doniczce na ramie opuszczenia. Uczucie całej gromady tamtych dziewcząt, złość, mściwość, nienawiść — wysłannice podłości, które w ich duszach zaszczepiła nędza żywota. Ewa zatrzęsała się od straszliwego śmiechu i ze ściśniętymi zębami szła dokąś, z powrotem, ku wyjściu. Nie miała jednak zamiaru opuszczać kasyna.

Ze zdumieniem spostrzegła, że służba zapala nad stołami lampy ze światłem skoncentrowanym. Góry złota poczęły jaśnieć z podwójną siłą. Wówczas uległa powszechnemu ożywieniu. Porwał ją połysk i żar tego życia. Ogarnął ją i wciągnął namiętny a przyciszony szmer. Coś jak niezwalczony szelest poczęło płynąć w jej żyłach. Błądząc w gromadzie ludzkiej, co chwila stawiała wobec samej siebie odbitej w wielkich lustrach. Patrzyła na swe złote włosy, bardziej teraz złote od stosów pieniędzy na zielonych stołach. Patrzyła

<sup>119</sup>*inverse* (fr.) — odwrotność, przeciwieństwo.

<sup>120</sup>*whiskers* (ang.) — bokobrody.

<sup>121</sup>*couleur* (fr.) — kolor.

w swe oczy i kołysała się z dziwną przebiegłością w doskonałym rysunku swych kształtów, w nieposzlakowanym pięknie ramion, piersi i bioder.

W pewnej chwili, gdy tak stała patrząc w zwierciadło, ujrzała w nim poza sobą idących ku wyjściu Dwarfów. On wrzucał machinalnym ruchem monokl i wypuszczał go z oka. Na twarzy pod dolnymi powiekami miał ogniste wypieki, wargę obwisłą, głowę bezwładną na chwiejnej szyi. Pani Dwarf prowadziła go pod rękę. Była spokojna, cicha, nieznośna w swej ciszy i trzeźwości. Ewa domyśliła się. Ale nie było w jej cudnych piersiach ani cienia współczucia. Śmiała się, że to przecie jej pieniądze przegrali. Wolno podeszła do pary posuwającej się wraz z tłumem ku drzwiom.

Dotknęła ręką ramienia pani Dwarf. Ta spojrzała na nią zgasłymi, obojętnymi oczyma, ale nie mogła ze siebie wyłamać ani jednego dźwięku.

— Czy już wszystko? — spytała Ewa.

Skinienie głową.

— Dokądże państwo teraz?

Skinienie głową. Oczy zamknięte. Usta nieme.

Ewa odsunęła się i wróciła na salę. Szła przed siebie. W oczach miała ciągle tę parę. Wspomnienie ruchu monokla, który Dwarf wrzucał w oko — dziwnie podniecało gniew. Myśli miały się nieporządnie szybkimi ruchy<sup>122</sup> skorka. Rozjątrzenie, pasja, niecierpliwość — wybuchały jak proch i szybko jak proch — gasły. Głowa płonęła. W oczach był jakiś niebieskawy dym...

Zatrzymawszy się przy jednym ze stołów gry, stała długo bez ruchu, zatopiona w chaosie uczuć. Wszystko, co się dookoła działo, widziała i słyszała, a jednak była od tego miejsca jak najdalej. Podniosła oczy i spostrzegła Szczerbica. Stał naprzeciwko w tłumie, po drugiej stronie stołu.

Gdy dostrzegł spojrzenie Ewy na siebie zwrócone, skierował się ku niej. Miała chęć, zamiar, powzięła nagle postanowienie ucieczki przed tym człowiekiem. Podeszedł i witał ją cichymi słowami. Nie mówiąc nic do siebie, odeszli z tego miejsca i machinalnie zbliżyli się ku oknom, gdzie było najmniej osób. Szczerbic zatrzymał się i mówił:

— Jak to szczęśliwie się składa, że panią tu spotykam! Właśnie miałem zamiar prosić, czyby pani nie zechciała zobaczyć się ze mną...

— Pan ma coś dla mnie? Wiadomość?

— Niestety! Nie mam nic. Nic! Pisałem do Paryża. Przepraszam... czy pani tu sama przyjechała?

— Nie. Przyjechałam z pewną parą Anglików. Państwo Dwarf...

— Ach, Dwarf. Znam. Pani gra?

— Nie. Nie mam szczęścia.

— I nie chce pani zupełnie próbować?

— Nie mam szczęścia! — rzekła z rozdrażnieniem, które jej ani na chwilę nie opuszczało.

— Szczęście raz jest, drugi raz go nie ma.

— A pan wygrywa? — spytała, żeby tylko coś powiedzieć.

Wobec gwaru panującego w tej sali musiała nachylić się ku niemu i mówić głośno.

— Czy pani uwierzy? Wygrałem — i nawet dużo. Gram ostrożnie i tylko *trente-et-quarante*. Ale już jadę.

— Jedzie pan? — szepnęła blednąc.

Oto teraz dopiero zadała sobie pytanie, cóż ona zrobi ze sobą? Dopóki ten Szczerbic był tutaj, była spokojna o siebie, choć nie chciała go widywać. Ale teraz... on jedzie?

— Pan do kraju?

— Do kraju... — mówił cicho, patrząc jej w oczy.

— Oczywiście...

— Pani tu myśli zostać czy wrócić?

Coś jakby lzy zamigotało w jego wpatrzonych oczach.

— Ja... widzi pan... Cóż tam ja! Pan przecie wie. Pan jeden jedyny wie wszystko...

<sup>122</sup>szybkimi ruchy (daw.) — dziś popr. forma N.lm: (...) ruchami.

Rozpacz przetrząła jej twarz. Stała jak spoliczkowana. Spłoszona ręka poprawiała włosy wymykające się spod kapelusza. Szczerbic milczał. Patrzył nie odrywając oczu, myśląc głęboko. Ciche westchnienie odemknęło jego wargi. Zaczął mówić:

— Może Niepołomski jest w kraju. Przecież powinien pani szukać — prawda? Czy pani jest tego pewna, czy pani?...

— Czego pewna? Czego?

— Czy pani jest pewna, że on będzie szukał? Ja nie chcę powiedzieć o nim nic złego — przysięgam pani! — ale sam nie wiem. Mówię tylko o istocie rzeczy. Czy pani jest pewna?

— Widzi pan... Widzi pan... Tego już nie wiem.

— Niestety, najbiedniejsze!... — szeptał w szale, zbliżając się ku niej, jakby ją ramionami chciał zasłonić od świata.

— Czego pan chce?

— Ja nic przecie — nic a nic! Tak sobie oto mówię.

— Więc po cóż to mówić? Nie wszystko można mówić. Człowiek subtelny nie mówi wszystkiego, co myśli czy tam... czuje, wie...

— Pojadę do kraju, będę w Warszawie, poszukam... Może był u mnie, może tam w mieście... u Żydka...

— Tak, tak! — szepnęła z zaciśniętymi pięściami.

— A może w domu u rodziców...

— Tam niech pan nie chodzi!

— Nie pójdę, nie pójdę!

— A ja cóż mam czynić ze sobą? — spytała z posłuszeństwem.

— Właśnie... Sądzę, że pani... powinna zostać...

— W Nicei?

— Przez czas pewien w Nicei, a gdy tu będzie zbyt gorąco, wtedy na przykład w Montreux, gdzieś w górach Szwajcarii... Pani napisze do mnie do Zgliszcz, dając mi znać. Bez adresu nie mógłbym skierować Niepołomskiego — w razie... Prawda?

— Tak.

— A więc pani napisze do mnie.

— Ależ ja... Niech pan tylko pomyśli... — zawołała raptownie, przypominając sobie. — Zdaje mi się, że pan rozumie, o co chodzi...

Mówił ze spuszczonej oczami, prawie nie otwierając ust:

— Daję pani słowo, że teraz dla mnie nie będzie stanowiło żadnej literalnie różnicy, gdyż wygrałem, a już więcej grać nie mam ochoty. — Gdy tu jechał — wtedy, wyznaje, było mi trudniej, teraz... pokażę pani...

Mówiąc to wydobyl jednym zamachem z bocznej kieszeni surduta gruby pęk białych biletów bankowych po tysiąc franków. Kilka z nich, pięć czy sześć, jakby w roztargnieniu, wsunął w rękę Ewy.

— Panie! Co pan... ze mnie... robi! Co pan ze mnie!...

— Odda mi pani! — rzekł odtrącając jej ręce. — On mi odda, ten Niepołomski!

— A jeśli on się nie znajdzie? — pytała z naiwną bezczelnością — to z czegoż ja panu oddam te pieniądze? Ja nic nie mam, nic a nic. Jestem kasjerką z cukierni — więc jakże ja mogę... Panie!

Szczerbic łagodnie ujął dłonie i wskazał jej stoły gry.

— Niech no pani spojrzysz — śmiał się z dobrocią — niech się pani przypatrzysz, jak się zapracowuje pieniądze. Ja te również zapracowałem, te moje pieniądze. Mogę zaraz podejść i za dziesięć minut mieć w kieszeni całego majątku dwadzieścia centimów...

— Ach, to wszystko. Mój mocny Boże!

— Cicho — cicho... Nie trzeba o Bogu mówić.

— Pan nie wie, co się dzieje ze mną...

— Mógłbym powiedzieć to samo: pani nie wie, co się dzieje ze mną. Mówi w jednym miejscu Schiller:

„Ona mi to wyznaje! W przecudnych oczach zwróconych ku mnie maluje się miłość dla innego...”

Szeptał to, śmiejąc się nieprzyjemnie, z oczyma wlepionymi w ziemię.

— Ja bym dla pana dała sobie uciąć rękę. Oddałabym dla pana dziesięć lat życia! Pan mię jeden w Warszawie znalazł i dał mi jeszcze odetchnąć nadzieją... Ale czyż można należeć do dwóch mężczyzn? — spytała z bezczelną prostotą. — Niedobrze i nie wolno odtrącać takiego głębokiego i czystego umiłowania, jakie niezmiennie mam dla pana! Że pierwiastki, które dałam innemu, nie wchodzą w zakres tego, to nie moja wina, to nie ode mnie zależy.

— Ja pani teraz nie robię już wielkiej nadziei co do Niepołomskiego — rzekł twardym głosem. — Zupełnie nie wiem, co to jest za człowiek. Nie wiem.

— Powiedz pan, jeżeli wiesz coś pewnego!

— Nie wiem. Jutro pojadę.

Uściskał jej rękę i odszedł. Gdy go już straciła z oczu, nagle wysunął się z tłumu i podbiegł znowu. Nachylił się do samych jej oczu. Szeptał głosem przeszywającym:

— Wszakże dotrzymałem danego słowa. Nieprawdaż, pani Ewo? Dotrzymałem słowa co do joty, ale to co do joty. Tak czy nie?

Usłyszała w tym zapytaniu krzyk duszy. Ujrzała w jego bladej twarzy spazmy namiętności, w oczach rozpaczliwą żądzę, w ustach skrzywionych i dygocących błaganie, które za chwilę mogło wybuchnąć szlochaniem, zniewagą, przekleństwem. Z oczyma tak w nią wlepionymi jak krzywe haki stał nieruchomy, wahający się. Nagle bez pożegnania odszedł i znikł.

Ewa spoglądała za nim przez czas pewien, wyczekując, że jeszcze wróci. Pragnęła słyszeć jego przedziwny, zdyszany głos. Dawne echo przeżytych uczuć... Widzenie tych samych uczuć jakby spod spodu, z innego punktu...

Chciała powiedzieć prawdę... Podziękować serdeczniej za wszystko co dla niej uczynił, zaprzeczyć temu, że jest względem niego niewdzięczna. Chciała mówić do niego o mnóstwie jeszcze spraw, które zjawily się w myślach. Ale w pewnej chwili uczuła, że Szczerbic już na pewno odszedł i że na pewno nie wróci. Ukłucie żalu...

Trwoga nieznośna jak powiew zimnego wiatru pędzącego przez puste pola... Dreszcz ohydneho egoizmu przeszył ciało. Siadła na miękkiej kanapie w pobliżu okna.

Od stołów gry szedł ku niej nieustający pogwar, szelest i jakby łoskot bezgranicznej rozkoszy i bezgranicznej rozpaczy tych serc, co pod blaskiem niskich lamp szalenie biły. Słyszała, co się dzieje, bo nie mogła nie słyszeć, ale już dawno stąd odeszła duchem. Błąkała się i chwiała po obcych miejscach. Czowała, że coraz jest gorzej, że ją zła dola potraça i pędzi z jednej wizji w drugą, z kraju uczuć podłych w coraz podlejszy. Nie mogła dać sobie rady i nie mogła zapłakać. Widok krzywdy bez granic wydierał z piersi krzyk, a krzyk nie mógł się wydrzeć i zamierał w zduszonej piersi.

Krążyło koło niej, oddalało się i znowu szło pytanie, co to są za ludzie, ci przy stołach gry? Co ich przypędziło ze wszystkich końców świata? Po co wydierają sobie w męczarni garście złota, kiedy ono do niczego nie służy? Czemu są jak poszarpane członki Dionizosa, które się wzajem na próżno szukają?

Obok ręki leżała zmięta gazetka miejscowa. Ewa zaczęła ją machinalnie czytać, nie bardzo wiedząc, po co to robi i co czyta. Wśród mnóstwa banalnych plotek wydrukowane było grubymi czcionkami kilkakrotnie powtórzone zdarzenie. Łódź rybacka nie wróciła tego ranka z sześcioma ludźmi. „W burzy dzisiejszej nocy zginęli — mówiła druga wiadomość. — Szukano ich wszędzie, ale nie dotarli nigdzie. Jeden zostawił pięcioro dzieci, drugi troje, trzeci był to młody rybak, bezzenny”. — Jeszcze jedna wiadomość — we dwanaście godzin później: „nie znaleziono nigdzie”.

Wszystko, co było w życiu Ewy, teraz wyszło jak wyzwolony tłum zbirów. Osaczył ją najniższy motłoch uczuć, co się wyrwał zza drzwi więzienia. Zamknęła oczy.

Machinalnie podniosła do ust chustkę i ocierała wargi.

Przeniknęła myśl tak niepochwytana, że ledwie ją można było pojąć — myśl o tym, że „Łukasz” jest to pewnie widziadło — nic więcej. Usta same wyszeptały:

— Już go na świecie wcale nie ma. Zabił się.

Głuche, bezsilne szlochanie bez łez jak suchy kaszel wydarło się z ust. Serce nie biło swą własną, znaną drogą, lecz zdawało się skakać w poprzek tej drogi. Jeszcze myśl:

„Gdzie teraz odnaleźć... Szczerbica?”.

Krzyk z głębi duszy:

„Łukasz!”

Senny obraz Dwarfów idących dokądś z kasyna — na dół, na dół... Żal sięgający do szpiku kości i ścisnienie serca na wspomnienie twarzy pani Dwarf.

Później cisza — i znicestwienie wszelkiego wrażenia. Dobra, długa chwila ciszy. Och, żeby tak zawsze żyć w tej ciszy, leżeć jakoby na posłaniu w domu rodzinnym, za młodych lat, za dni minionych. W tej ciszy świętej tylko jedno przeszkadza, jedno dokucza i nie daje śnić...

Co parę chwil leci z zewnątrz, zza okien osłoniętych wielkimi storami... Wicher? Nie, to nie wicher... Czyżby krzyk rybaków z tej samotnej w morzu łodzi?

Daleko, strasznie daleko... Słyszać! Wciąż!

Głos tęgi, łoskot i głuchy dźwięk *w-wach*. — Cisza — i znowu *w-wach!* — *w-wach!* — Cisza — i znowu!

— Morze! — wyszeptwała otwierając oczy.

Teraz na wspomnienie morza uderzył w nią strach bez granic, boleść prawie fizyczna. Serce ścisnęło się i stuliło w sobie, jak ptaszek w nocy osierociał wśród piorunów. Słysząc, jak fale, wzdęte daleko, padają na wysokie skały, jak pękają olbrzymie wodne banie i jak jęczą, zapadając w głębinę. Ewa wstała ze swego miejsca i zbliżyła się do okna. Podniosła brzeg story, odchyliła go i patrzyła w noc głupimi, szeroko rozwartymi oczyma. Twarda ciemność uderzyła jej oczy.

Wiatr kwiczał ślizgając się po ogromnych szybach okien.

Deszcz prał w nie długimi lejcami. Z podmuchów wichru wyrzywały się raz w raz oszalałe skoki morza.

Otchłań ciemności wylewała z paszczy swej ryk bałwanów i strumienie zdruzgotanych kamieni.

I oto znowu jakby krzyk w morzu...

Myśl-dreszcz przeleciała tajemnym szlakiem nerwów:

„Nie warto żyć na świecie! Och, nie warto! Wszędzie to samo. Wszędzie krzywda, podłość, przemoc! Wszędzie! Nie ma nigdzie sprawiedliwego sądu i obrony!”

Odwróciwszy się spostrzegła, że ją pilnie obserwuje jeden ze służących kasyna, badając widocznie, czy nie żywi zamiaru odebrania sobie w sali życia. Uczucie wzgardy i wyniosłości pchnęło ją naprzód. Poszła przez zatłoczone sale, ulicą, która się przed nią otwierała zawsze. Szeptano. Minęła wspaniałe westybul, odepchnęła olbrzymie drzwi i znalazła się we wicherze. Wicher! Jakby na nią od dawna czekał. Palmy skrzypiały w nim, miotając na wsze strony swe olbrzymie wachlarze. Marmurowy chodnik, biegnący na dół, zalany był wodą i lśnił się. Tępe światło bań elektrycznych, które wicher na wysokich słupach kołysał, ukazywało ów chodnik w dziwnym i strasznym świetle. Ewa biegła czując, że deszcz przemoczył już jej stanik i zalewa ramiona, że nogi w płytkich lakierkach nurzają się w wodzie i marzną.

Czy to krzyk w morzu, czy w niej?

Słuchała.

Aż oto chodnik urwał się w jakimś miejscu. Brnęła przez szyny, podkłady, znowu przez szyny. Upadła na ziemię. Nogi jej wlatywały między zwrotnice jak w potrzaski z żelaza, pantofle wykręcały się na stopach.

Wicher zerwał z głowy wualkę i kapelusz, rozplątał włosy. Nie wiedziała teraz, dokąd biegnie i gdzie jest.

Nieznana siła popychała ją naprzód w tę stronę, skąd dochodziły straszliwe głosy morza.

Rybacy wołają, rybacy...

Zdławione serce jęczało posłusznie: „Idę już, idę...”

Nie wiedząc o tym, że idzie, słyszała rozlegające się raz za razem stękanie zbieganych wód. Coś, jak gdyby jęk ludzki, wypadało z dołu, spod ziemi, i opasywało żebra arkanem rzemiennym, ciągnąc ku sobie. Szloch, których przenigdy nie zapomni dusza, przetrzącały nogi i zginały kolana.

Modlitwy jakieś, które charczą obumarłe gardziele i wykrztuszają konające usta, lkały nadaremnie, niewysłuchane w tej nocy. Ewa stanęła na brzegu skały. Poczula nagością kolan, nóg i brzucha przepaść zimnego oddechu. Rozwarte jej oczy widziały w grubym mroku latające sznury i węzły pian. Ot — tam — to morze szaleje, wścieka się. Rade by

skoczyć na jej nagie ciało! Zrozumiała biednym swoim rozumem, że to na nią zarzucają pętlice te dzikie siły. Chwyliła się ręką za serce i upraszała jeszcze tylko o chwilę spoczynku. Ale o słuch jej uderzyło to, co było najstraszliwszego w jej życiu: senny osłuch cichutkiego kwilenia...

Rączki stulają się i rozwierają. Kolanka dygocą od tego zimna... Zaraz zagaśnie, zagaśnie ten głos...

Zatrzęsła się wszystka, jakby ciało jej było słupem piasku, złamała się w sobie — i z krzykiem zleciała na dół.

Ręce jej konwulsyjnie chwyciły chropowate żelazne ogniwa łańcucha bariery, nogi wlokły się jak poodrąbywane, po jakowych kamiennych schodach. Dzikie piany skakały jej do ramion, do oczu, rzucały się pod zmoczone suknie.

Stękanie konających, ryk pijanych żołdatów, dźwięki zgrozę i milczenie siejące stały dookoła. Ewa odgarnęła z twarzy rozpuszczone włosy, które wichur z węzłów wyzwoliła. Uczuła w sobie waleczność jak w chwili porodu.

Rozejrzała się wkoło po chluszczących kłębach i pianach, po mroku nieprzewyciężonym spokojnymi oczyma, ścisnęła zęby, żeby nie krzyknąć wniebogłosy z szalonego uniesienia. Stała między pianami i we wrzask dzikich wód rzuciła głupie wyznanie:

— Zabiłam, tak! Ja sama z własnej woli zabiłam!

Wszystkiemu w sobie i za sobą nakazała ciszę. Była w pełni rozumu, wiedziała o tym, że ma rozum, ale rozum był bezwładny, na podobieństwo króla, z którego by zdarto szaty i osadzono nagiego wysoko — wysoko, na samym szczycie gilotyny.

Myśli, jak szczękająca broń, roznosiły łoskot po głowie. Trwała tak przez chwilę w zachwycie nadczłowieczym, w smutku swoim-nieswoim, w uczuciu zgłębienia ludzkiego nieszczęścia. Czuli, że teraz w sobie dźwiga tłum ludzi tam na górze widziany, a dźwiga z własnej woli, gdyż nie może nie dźwigać. Nigdy dotychczas niedoświadczane przeczucie niezblaganych praw rządzących grzechami ludzkimi, jakby w sądzie, przez moment zgłaszało pozew i obronę, o dziwo! w jej ubogim sercu.

Dreszcze zimna, bijące po krzyżu raz za razem jak ciosy ognistego bata, wyrwały ją z odrętwienia. Poczęła brnąć w górę po schodach zalanych wodą, trzymając się rękami zimnych ogniów żelaznego łańcucha. Wyszła znowu na szeroki plac pełen zwrotnic, szyn, czerwonych i zielonych latarek. Wichur był tam w budach strażniczych ledwie oświetlonych, jęczał dokoła słupów żelaznych. Pociąg z hukiem i skowytym zwrotnic przeleciał obok. Ewa była już zupełnie spokojna.

Widziała w zamyśleniu jego ogniste latarnie, twarz maszynisty czarną i ponurą. Zaznała gorąca kadłuba lokomotywy. Uśmiechnęła się z okrucieństwem do myśli, jak straszonym głuptasem jest maszynista oddający się, licho go wie dlaczego, piekielnej pracy... Drżąc z zimna i szczękając zębami, biegła dokądś przed siebie. Nie mogła pojąć jednej tylko rzeczy: po co było zeskakiwać w morze? Czy miała rozwarłe i wbite w noc.

Jak i gdzie znaleźć numer hotelowy i ciepłą pościel?

Myśli wyczerpały się i krążyły około jakichś drobiazgowych zachceń, które z kolei mdlały i gasły.

Trafiła znowu na wąski pochyły chodniczek i biegła po nim. Biegła długo, ściskając w lewej ręce rondo kapelusza, który jej wiatr zerwał był z głowy. Stała nagle przed oświetlonymi drzwiami knajpy Gambrinus, jakby wydrążonej we wnętrzościach skały, na której szczycie wznosi się sławne kasyno. Z rozkoszą wbiegła do wnętrza. Z uciechą poczuła, że już jej deszcz nie bije, a wichur na wskroś nie przeszywa. Usiadła na pierwszej z brzegu sofie i poczęła wyżywać, skręcać w pukiel i spinać swe włosy. Poprawiła kapelusza, uporządkowała suknie. Trzewiki były zgoła potargane, pończochy mokre aż do kolan. Knajpa była dość ciemna i, zdawało się, zupełnie pusta. Jedna lampka elektryczna paliła się w całej wąskiej a długiej sali. Salę tę przegradzały kępy kamelii i oleandrów w wazonach. W głębi było wielkie lustro, które odbijało w sobie lampę elektryczną i salę, tworząc złudzenie dalekości. Jeden jakiś człowiek spał, siedząc przy stoliku, z głową złożoną na rękach.

Nierychło podszedł do Ewy kelner, drab w wyświechtanym fraku. Między jego kamizelką i majtkami widać było kolorową, ale i tak brudną koszulę. Patrzył na Ewę podejrzliwie, spode łba, obojętnie podciągając portki podpasane skórzanym paskiem. Kazała

podać sobie *fiasco*<sup>123</sup> dobrego wina. Skoro tylko przyniósł, duszkiem wychyliła kielich — jeden z drugi. Ciepło z wolna, z wolna rozszerzyło się w jej piersiach, ramionach, nogach. Ogień zamigotał w oczach. Wypiła jeszcze jeden kieliszek i z rozkoszą uczuła, że pokonane dreszcze uciekają za dziesiątą górę. Oparła się plecami o ciepłą poduszkę sofy i wnet poczęła zapadać, zanurzać się, pograżać w cichy półsen, półjawę.

Wszystko ucichło, uspokoiło się. Słyszała dziwny szelest w uszach — ni to skrzywienie częstotliwe świerszczyków jesiennych w ścierniskach na wsi. W oczach piasek gorący. Wczuwała się z rozkoszą w ciepłe smugi błędzące po ramionach, po skórze głowy, po udach, po stopach...

Nie chciała zasnąć. Żeby aby nie zasnąć! Już kilkanaście razy postanawiała zadzwonić na kelnera i spytać go, gdzie by tu, w Monaco, można znaleźć numer ogrzany w hotelu i pościel. Miała jednak nieprzełamany wstręt do draba, który jej wino podawał. Nie mogła wskutek tego udźwignąć ręki, żeby zadzwonić. Jednakże ani na chwilę nie utraciła przytomności i nie przymknęła oczu. Poczęła marzyć...

Marzyła, pograżona w sen na pół zapomniala, że siedzi sama, jak zawsze, na stopniach z granitu, co już tysiące lat trwają. Wysmukłe trawki kołyszą się za wiatrem. Wyrosły w szczelinach pomiędzy olbrzymimi blokami marmuru. Żal ich stopą podeptać. To Fiesole. W dali widać błękitne Apeniny, góry spalone od słońca — jednobarwną smugę. Ciepły stamtąd wiatr leci i zapach drzew pomarańczy. Tam w dole, pod stopami, arena starorzymskiego teatru. Tędy wyrzucano rozszarpane ciała, a tędy wpuszczano lwy. Cichy śmiechek przewija się przez wargi. Dziwna rzecz, że tutaj teraz nie ma knajpy z ostrygami i białym winem...

Słychać kroki. Mały, nawiany przez wiatr żwirek zgrzyta pod stopami nadchodzącego. To idzie Łukasz. Serce słyszy jego kroki, a ciężki czar przygniata piersi. Nareszcie go się doczekała! Nie, nie odwróci głowy! Niechaj on pierwszy! Łukasz idzie po stopniach, po stopniach, po stopniach... Niesie na rękach dziewczyneczkę. Różane jej ciało rozkryło się od wietrzyka. Okrągłe kolanko wystaje spod ciemnej chusty. Pięta różana, maleńka jak zawiązek jabłka, huśta się na powietrzu. Toczona rączka z fałdami bogatymi tuż przy dłoni wiewa w zapachu pomarańczy. Maciusieńka dłoń, boski prawzór ludzkiego kształtu. Doprawdy — to jest myśl Stwórcy o kształcie człowieka!

Paluszki jak szypuleczki tulipana, przecudnie piękne kształty stawów, przeczyste i niesłychanie śmieszne paznokietki. Paluszki przezroczyście pod słońce, w których nieskazitelna krew płynie w żyłkach nie grubszych od żyłek w liściu. Otworzyła oczy i uśmiecha się do błękitnego nieba, do chmurków cherubinowych na wysokościach.

Dokądże on z nią idzie? Gdzie niesie dziecko? Druga rączka objęła go za szyję, a bezwładne paluszki błędzą po jego uchu. Dokąd też on tak idzie z dzieciną? Czy też ona wyżyje, czy też się zdrowo, córeńka, uchowa?

Ocknienie. Knajpa! Kelner!

Trzeźwa myśl o jeździe w przedziale kolejowym, w wagonie tramwaju przez nieskończenie długą Avenue de la Gare, myśl o windzie w hotelu. Rozterka. Założyła nogę na nogę, ścisnęła kolana i przytuliła plecy coraz szczelniej do oparcia kanapy, żeby zaznać jak najwięcej wewnętrznego ciepła. Jeszcze chwilę poczekać, jeszcze tylko tę chwilę... Podnieść rękę i zadzwonić. Podnieść rękę. Nagle usłyszała dźwięk, który ją pchnął z miejsca i otrzeźwił do cna. Ktoś obok niej, z tyłu, ktoś w tym miejscu wymówił po polsku:

— Zbawicielu! Zbawicielu!

Szept ten był tak strasznie bolesny, tak śmiertelnie głęboki, że zerwała się na równe nogi. Oczy jej padły w głąb sali i ujrzały w lustrze odbicie postaci człowieka, który spał. Siedział tyłem do Ewy, a twarzą do lustra zwrócony. Łokcie jego rąk były oparte na marmurowym stoliku, a twarz ukryta w dłoniach. Ewa stała na miejscu, patrząc w lustro i usiłując zobaczyć twarz. Nagle spostrzegła, że prawa ręka nieznajomego bezwładnie opadła na marmurowy blat stołu, że z wolna sunęła po nim i kurczowym ruchem pochwyliła rękojęść rewolweru, który tam leżał.

Szept straszliwy tych samych wyrazów.

Biała ręka wzniosła się i nagle znalazła tuż przy skroni. Ewa skokiem rzuciła się napróżd. Nie wiedząc wcale o tym, co czyni, znalazła się przy tym człowieku. Porwała

<sup>123</sup>*fiasco* (wł.) — butelka.

obiema dłońmi kościstą, suchą rękę i wydarła z niej rewolwer. Ujrzała z bliska twarz nieznaną, szarobiałą, coś jakby twarz Dawida z nieśmiertelnego posągu Michała Anioła. Zdało się jej, że to biały kamień szarym kurzem przysypany patrzy na nią z półmroku. Oczy skamieniałe, z których siła widzenia uciekła. Źrenice stały się dwiema czarnymi a nieruchomymi próżniami. Czoło sfałdowane, a każda zmarszczka stężała na zawsze... Usta zatrzęsnięte na zamek szatańskim uśmiechem. Ewa nie wiedząc wcale o tym, co zrobiła, upadła na kolana i bezmyślnie okrywała pocałunkami ręce nieznanego.

— Nie, nie! — szeptała w paroksyzmie.

Nim jeszcze jego ślepe źrenice przestały być martwymi dziurami, usta odemknęły się i dziwny głos, głos cichego niepokoju zapytał po polsku:

— Któż tu jest? Kto tu?

— Co pan chciałeś zrobić! Jak pan śmiesz podobną myśl? — krzyczała teraz w szale, zrywając się na nogi i wymachując rewolwerem, który trzymała w rozpalonej dłoni.

Na to odpowiedział ów cichy i niewinny głos:

— Już nie mogłem, już nad siły... I dlatego...

— Kto pan jesteś? — krzyczała coraz głośniej.

Nieznamy milczał, jakby sobie coś z mozołem przypominał. Rzekł głośniej:

— Kto ja jestem? O to chodzi, kto?... No, cóż... Pół-Polak. Adwokat spraw z kretesem przegranych. Zawsze chybiający bombiarz...

— Co takiego? Bombiarz?

— Rzucam papierowe bomby w strupieszale polskie narodzisko...

— No, więc rzucaj pan sobie swe bomby!

— Ba! Kiedy nie warto. Kołtun skrzył polską duszę. A przy tym i ja sam... Siła w ręce stężała... Siła w ręce...

— Ale kto pan jesteś. Nazwisko pańskie!

— Nazwisko? Nazwisko — Bandos.

— Bandos — jest to literacki pseudonim poety Jaśniacha.

— To, ja! Jaśniach...

W owej chwili oczy tego człowieka otrzymały siłę widzenia. Ramiona jego porwały się, brwi posępnie zsunęły, a między nimi wyrwały się dwie pionowe zmarszczki.

— Kto panią uprosił do zajmowania się moją osobą i moimi sprawami? — spytał głosem cichym a tak złowieszczym, że się o krok cofnęła.

— Sama się upoważniłam.

— Śliczny Apoloniusz z Tiany, zbawiający ludzi wbrew ich woli!

Mówiąc te słowa, bezwiednym ruchem poprawił na sobie surdut, wstał z krzesła i powtórnie przedstawił się:

— Jestem Rudolf Jaśniach — literat.

— Moje nazwisko — Ewa Pobratyńska.

Widocznie nie mogąc ustać na nogach, siadł znowu i rozglądał się szczegółowo po tym miejscu. Brudny kelner, z hałasem rozsuwając krzeselka, odkręcił drugą lampkę elektryczną. Jasny blask padł na twarz i postać Jaśniacha. Ewa ujrzała dokładnie twarz jeszcze piękną, ale znoszoną i zdartą, wypełzłą od słońca i deszczu. Niezbyt gęsty, a dziwnie piękny zarost był jeszcze prawie młodzieńczy, a włosy na głowie już zupełnie siwe, rzadkie, tworzące dobrze już widoczną łysinę. Oczy były podkrążone niemal czarnymi podkowami, usta granatowe. Dziwnym w tej twarzy zjawiskiem były oczy. Miały w sobie coś z węgla, który się jeszcze żarzy, ale już powleczony jest martwicą popiołu. Dzikie, nienasycone szyderstwo i głęboka nadczułość zdawały się walczyć w tych oczach i wyganiać się z nich nawzajem. Jaśniach ubrany był ze skromnością, ale czysto i wytwornie. Ruchy jego stały się teraz prawidłowe, spokojne i przyzwoite. Widać było tylko, że siły są zupełnie wyczerpane, że nie jest w stanie trzymać się na nogach. Siedział z rękoma ciężko i bezwładnie leżącymi na kolanach. Dziwnym swym, szyderczym, nieznośnym wzrokiem wpatrywał się w Ewę.

Ona rzekła wesoło:

— Jestem przekonana, że pan — na skalce — doszedł do dużego pugilaresu — a teraz... zostało w bocznej kieszeni „dwadzieścia centimów”.

Kiwał potakująco głową.

- Dużo pan wygrał?
- Dużo.
- A dużo też pan przegrał?
- O, dużo! Przegrałem już ostatni sen.

*„Glamis hath murdered sleep, and therefore Cawdor shall sleep no more! —  
Macbeth shall sleep no more<sup>124</sup>!”*

- Nie rozumiem.
- Bo też nie należy do rzeczy najłatwiejszych dokładne zrozumienie mowy bombiarza, który sobie w łeb strzela.
- Chciał strzelić...
- Strzela sobie w łeb tylko ten, kto tego mógł chcieć.
- Zakazuje się panu chcieć tego.
- Mógłby mi tego zakazać tylko ten, kto by mi był poprzednio dał siłę, żebym chciał...
- Ja w imieniu tej właśnie władzy!
- Musiałaby pani przebyć poprzednio wszystkie siedem sfer O-Sir-Isa: mądrość, miłość, sprawiedliwość, piękność, wspaniałość, wiedzę, nieśmiertelność — i zejść dopiero do tej spelunki. A pani nosi pantofle?
- Cóż to za pytanie?
- Chciałbym wiedzieć, czy pod jednym z nich siedzi — mąż?
- Noszę pantofle, nawet w dniu dzisiejszym mokre i podarte, ale męża... niestety...
- To może pani zechce zostać moją żoną, żebym mógł zająć wakującą posadę.
- Ależ naturalnie! Tylko musi się pan jeszcze odegrać.
- Nie, już nie! Już mi teraz nie potrzeba. Zresztą — najniższa stawka pięć *franciszków*, a ja nie mam nawet na zapłacenie za kieliszek wina, który tu przed swą śmiercią wypilem.
- Pożyczę panu trzy tysiące franków. Ale pan powie, dlaczego to już panu nie są pieniądze potrzebne?
- Od czasu, kiedy w Polsce idee zostały wydeptane obcasami proboszczów, szlachciców, fabrykantów i szanownych panów dziennikarzy, kiedy, uważa pani, rozmnożyły się tam „stany posiadania”, nie miałem innego wyjścia, tylko zdobyć pieniądze i tworzyć „stan posiadania” dla wydeptanych ideów<sup>125</sup> za pomocą... pieniędzy. Słyszała pani kiedy podobne chryje? Tymczasem — wygrałem — przegrałem — dwadzieścia centimów. Trzy tysiące franków? A jeżeli przegram i to?
- Ha! Wówczas...
- Widzi pani — po raz drugi kłaść w retortę te wszystkie czynniki, z których się wyprodukowuje odczynnik woli...
- Wówczas pożyczę panu jeszcze jeden biały tysiąc.
- Czy pani dziś wygrała?
- Ja... dziś? A tak.
- Skąd pani do mnie przyszła?
- Któż to wie?
- Należałoby przypuścić, że pani jest posłem z kraju Agni, z ziemi intelektu tworzącego, z okręgów ducha czystości...
- Chodźmy, panie literacie!
- Ale pani będzie przy mnie, gdy zacznę grać?
- Będę.
- Nie odejdzie Agni na krok, na krok?
- Na krok!
- Idźmy.
- Muszę jeszcze oczyścić swe suknie i poprawić włosy. Niech pan mi od tego kelnera przyniesie, z łaski swej, miotełkę, bo ja go się grubo lękam.

<sup>124</sup>*Glamis hath murdered sleep, and therefore Cawdor shall sleep no more! — Macbeth shall sleep no more* (ang.) — Glamis sen zabił, dlatego też Kawdor / Nie zaśnie; Makbet nigdy nie zaśnie (Shakespeare, *Makbet*, akt II, sc. 3, tłum. Józef Paszkowski).

<sup>125</sup>*ideów* — dziś popr. forma: *idei*.

Jaśniach znikł w zagłębieniu sali. Po chwili wrócił w towarzystwie pomarszczonej wiedźmy, ohydnej powierzchowności, która pomogła Ewie oczyścić się i uczesać. Po chwili trzy tysiące franków znalazły się w ręku Jaśniacha. Płacąc za wino swoje i Ewy, zmienił jeden tysiąc na złoto. Wyszli. Właśnie przebiegała winda i zagarnęła ich na górę.

Była godzina dziesiąta, gdy wchodzili na salę gry. Teraz tłum był największy. Dookoła każdego stołu tłoczyły się nieruchome gromady. Ewa ujrzała znowu odpadki ludzkie, bandę jednostek. W blasku lamp wszyscy wydawali się dziwnie zmętniałymi od troski. Patrzyła teraz obojętnie na tych gentlemanów i damy, których wszystkie uczucia, namiętności i popędy zostały sparaliżowane przez jeden nałóg. Rudolf Jaśniach przez czas dosyć długi stał w odrętwieniu przy *trente-et-quarante*. Ewa niby cień fizyczny jego figury tkwiła bezradnie albo ślaniała się w miarę jego poruszeń. Zaczął wreszcie stawiać dwudziestofrankówki na rozmaite strony. Parę razy wygrał, lecz i przegrywał. Był spokojny, zadumany.

Ewa tymczasem myślała, że zarówno on jak inni mają zmysły znieczulone, nerwy dziko drgające, a głowy wypchane jedyną wiedzą skierowaną ku temu jedyne pytanie — z której strony należy stawiać pieniądze — z prawej, czy z lewej strony białej kresy na suknie. Od niechcienia patrzyła na rysy dziwnej twarzy Jaśniacha i usiłowała zrozumieć, co ona tu właściwie robi obok i w towarzystwie tego człowieka. Przez jeden moment tkwiło w jej piersiach przeświadczenie, że jej dola życiowa, jej los — to obcowanie z nieznanymi mężczyznami, z gatunkiem cudzym jej i wrogim. Inne kobiety znają jednego, dwu, a ona zna ich już tyłu!

— Ja jestem piękna... — westchnęła.

I oto pierwszy raz w duszy jej ukazała się radość, wynikająca z racji obcowania ze Szczerbicem, Dwarfami, tym Jaśniachem. Była pewna, że ten nowy kompanion przegra wszystko i, wbrew woli, wbrew samej sobie, pozwalała przemykać się myśli, co też się wówczas z nim stanie. „A jeśli to jest jaki lotr...” — pomyślała niepostrzeżenie.

Nachyliła się, żeby lepiej widzieć. Jaśniach postawił dwa białe papiery po tysiąc franków każdy we dwa miejsca stołu — i po chwili trzymał w ręku dwa nowe. Wówczas wszystkie cztery postawił w jedno miejsce — i cztery nowe sfrunęły ku niemu ze strony croupiera. Czynił to wszystko ocieżale, automatycznie, jak człowiek wtrącony przez chorobę w ciężką malignę. Wziął wygrane pieniądze i tylko przesunął je palcem na drugą stronę białej kresy. Ewa schyliła się jeszcze niżej i ciekawie patrzyła ponad ramiona. Serce poczęło kołatać w jej piersiach. Croupier rozłożył karty i przysunął Jaśniachowi osiem tysięcy franków. On wziął z tej górki papierów cztery, włożył zgniecione nerwowo w boczną kieszeń surduta. Dwanaście tysięcy zostawił na miejscu. Croupier rozłożył karty i wnet przysunął gracze niby książeczkę, złożoną z dwunastu arkuszków<sup>126</sup>.

— Może dosyć? — szepnęła Ewa.

Odwrócił ku niej oczy zamglone, smutne i senne. Ujrzała, że grube krople potu okryły jego czoło, łysinę i zagłębienie koło nosa.

— Jeszcze tylko... chwilę... — westchnął.

Książeczkę z dwunastoma tysiącami schował do kieszeni, a dwanaście tysięcy *enjeu* porozstawiał to tu, to tam ruchami zdecydowanymi, aczkolwiek nad wszelki wyraz obojętnie. Wyglądał jak człowiek, który na pewno wie, co czyni, gdyż tak musi. Kilka jego papierów kasjer zagarnął, ale na inne rzucił mu w dwójnasób. Wystarczyło tego na stawkę z dwunastu tysięcy. Nowa wygrana. Jaśniach wygraną schował w kieszeń, a tę samą stawkę przesunął na *noir*. Cały stół począł interesować się jego grą. Szczęście znowu dopisało.

Croupier z jadowitym uśmiechem rzucił mu nową paczkę. Jaśniach schował ją do kieszeni i raz jeszcze zarzykował tę samą sumę. Ewa patrzyła znieruchomiałymi oczyma, z zapartym oddechem na szalone szczęście gracza. Serce prawie nie biło. Zgnieciona pustka stworzyła się w piersiach. Dokoła stołu szeptało, gdy nowa wygrana znikła w kieszeni Jaśniacha.

— Dosyć! — kazała Ewa.

— Jeszcze ten... jeden... Jeśli...

<sup>126</sup>arkuszków — dziś popr. forma: arkuszy.

Tym razem grabki kasjera z dość widoczną skwapliwością zagarnęły przegrane dwa-  
naście tysięcy.

— Dosyć... — zdecydował Jaśniach.

Wyszedł z tłumu, ścigany szyderskim spojrzeniem croupiera i szeptem, sykiem, za-  
bójczym śmiechem nienawiści całego tłumu.

— Pięćdziesiąt dwa, pięćdziesiąt trzy... — mówił do Ewy, idąc powoli, ociężałe ku  
wyjściu: — Cóż to znaczy w stosunku do tego, co by trzeba...

— Lepiej może było mieć to, co przed godziną?

— Nie, lepiej jest mieć to, co teraz. Ale to mało.

— Zarobić w ciągu kwadransa pięćdziesiąt kilka tysięcy franków — to mało!

— Pan Rockefeller, pan baron Rotszyld w ciągu każdej godziny...

— Ach, co to mnie obchodzi! Chodźmy już stąd!

— Chodźmy, chodźmy...

Ewa ani się spostrzegła, kiedy się znalazła w przedziale wagonu zdążającego do Nicei.  
Jaśniach siedział naprzeciw niej. Był spokojny. Milczał uparcie. Głowa jego chwiała się  
i drgała, zależnie od skoków pociągu. W pewnej chwili nachylił się i zapytał:

— Proszę pani — do kogo właściwie należą owe wygrane pieniądze?

— Do pana. Odda mi pan trzy tysiące — z potrąceniem za wino i bilet w windzie.

— No nie. Takim znowu łapserdakiem nie jestem.

— Ja nie potrzebuję tych pieniędzy.

— A gdzie pani właściwie mieszka?

— Hotel Suisse.

— I długo tu pani myśli zabawić?

— Nie wiem. To nie zależy ode mnie.

— Bo widzi pani...

— Cóż tam nowego?

— Widzi pani — byłem już raz na Korsyce. — Gdyby się pani zgodziła...

— Pojechać tam razem z panem?

— Razem ze mną. Ja bym tam pani opowiedział...

— I tu można bardzo wiele opowiedzieć. Nikt nie przeszkadza.

— Nie, tu podle. Stamtąd — do kraju?

— Cóż pana tak ciągnie do kraju?

— Widzi pani...

— To niech pan sobie wraca.

— Teraz jeszcze nie mogę. Jeszcze śmierć mam w kosteczkach. Szpik w kościach  
zmarzł. Muszę odtajać.

— Pan jest jakieś niezmierzone czupiradło.

— Bagatela!

— Toteż wie pan co: rozstańmy się na dworcu w Nicei. Dobrze?

— Jutro odchodzi statek na Korsykę o godzinie piątej. Tak się dobrze składa. Jecha-  
łoby się jak przez Kocytus pod przewodem cudnego widzenia. Niech pani przyjedzie do  
nicejskiego portu. Pojedziemy do miasta Ajaccio. Ja swoim dworem, pani swoim. Mamy  
wspólne pieniądze.

— Mówiłam, że to są pańskie pieniądze.

— Wszystko pani wytłumaczę. Owszem, jeśli je pani przeznaczy, to je wezmę.

— Jak to — „przeznaczyć”?

— Potem. Wytłumaczę na Korsyce.

— Ale pan już się mną rozporządza, jakbym była pańską żoną.

— Albo „kochanką”? Nie, pani. Ja się w pani nie będę kochał, nawet się nie będę  
umizgał. Może (a nawet z pewnością!) napiszę jaki misterny sonet na wieczną cześć wło-  
sów pani, ust, oczu, ale stąd do miłości olbrzymi kawał drogi. Będzie to może ładne jak  
u Owidiusza albo Petrarcki, ale zimne...

— Jak to pan wszystko wie, jak będzie i co będzie.

— Bo ja wszystko wiem. Zresztą pani mi darowała życie. Kto pani jest? Skąd pani  
przyszła do tej tawerny? Tego nie wiem.

— Przyszłam na nogach — z morza. Wie pan? Na pewno z morza. A otóż i Nicea.

- Zaraz poznałem, że w pani jest zawarty płomień, przenikający wszystko na ziemi  
— Agni<sup>127</sup> ksiąg wedyjskich.  
— Żegnam pana.  
Wyskoczyła z pociągu i rzuciła się w tłum osób, zdążający ku tramwajom.

\*

Nazajutrz o godzinie czwartej przyszła do portu. Padął drobny, rześisty deszcz. Pełne morze było siwe od pian. W zatoce panowała wprawdzie cisza, ale było ponuro i groźnie. Kadłuby statków przybyłych, wciąż dyszące i ociekające zużytą parą, wielkie żaglowce z mnóstwem poprzecznych rej, płaskie łodzie pełne słupów marmuru i płyt ciosanego kamienia, mnóstwo pak, beczek, kuf, worów. Ewa brnęła wśród bagażów po mokrym wybrzeżu i już z dala ujrzała Jaśniacha.

Zbliżał się do budki kasjera odchodzącego statku ulokowanej na wybrzeżu. Ewa dała mu znak ręką, żeby się zbliżył. Gdy nadszedł, niemal bez przywitania zażądała, żeby jej zwrócił pożyczone wczoraj trzy tysiące franków. Poeta zaczął rozpinać dziwnie obszerny waterproof i wykopywać z głębokiej kieszeni pugilares.

W trakcie tych czynności zapytał:

- Więc to pani nie pojedzie?  
— Oczywiście, że nie pojedę.  
— Mam pani oddać połowę — dobrze?  
— Czego połowę?  
— Wygranej. Dwadzieścia siedem tysięcy.  
— Ma pan mi oddać moje własne trzy tysiące. Cóż za piła!  
— Niech pani weźmie sobie połowę. Mnie te pieniądze i tak nie zbawią, bo to na mnie za mało. Za dużo znowu, żeby przeżyć. Może pani zrobić coś dobrego.  
— No więc — mówiła po głębokim namyśle — niech mi pan pożyczysz jeszcze dziesięć tysięcy.

— Służę.

Wzięła trzynaście banknotów po tysiąc franków, kiwnęła Jaśniachowi głową i odeszła. W pewnej chwili stanęła i obejrzała się przez ramię. Spostrzegła, że dziwadło stoi na miejscu i patrzy za nią. Rzekła głośno:

- O której odchodzi statek?  
— Za godzinę z górą.  
— Może tu jeszcze przyjdę pożegnać się z panem.  
— Czekam.

Poszła szybko. Pewien właściciel karetki, który odwiózł pasażera do portu, zaproponował, żeby wsiadła. Wskoczyła do pudła i kazała się zawieźć do hotelu Des Anglais.

Wbiegła szybko do hotelowego *parlour* i kazała lokajowi poprosić hrabiego Szczerbica. Za chwilę wezwany stał przed nią. Dziwne zdumienie targnęło jego twarz.

Ewa przystąpiła bliżej i podniosła na niego oczy szczerze i czyste. Dość długo nie mogła mówić ani słowa. Nareszcie oświadczyła:

- Przyszedłam prosić pana o łaskę, o łaskę!  
— Wszystko!  
— Przyszedłam prosić, żeby pan zechciał wziąć ode mnie z powrotem, com od pana pożyczyła.  
— Ach! — westchnął. — Z ochotą.  
— Ileż jestem panu winna? Przepraszam, przepraszam za to pytanie po stokroć, po milion razy!  
— Wygrała pani?  
— Wygrałam.  
Począł liczyć w pamięci, patrząc w okno. Kilkakrotnie pociągnął ręką po czole.  
— Wczoraj pięć tysięcy... — dopomogła.  
— Tak... A tak! Wczoraj pięć tysięcy.  
— W Warszawie pięćset rubli.

<sup>127</sup> Agni — bogini ognia i światła słonecznego.

— Tak, w Warszawie pięćset rubli.  
 — Droga...  
 — Wie pani — nie mogę tak na razie. Ja obliczę — i powiem jutro.  
 — Nie, jutro nie! Wie pan? Oddam teraz dziesięć tysięcy franków.  
 — Nie należy mi się tyle!  
 — Jeżeli będzie cokolwiek nadto — bełkotała pospiesznie — to po obliczeniu zwróci pan Niepołomskiemu albo... mnie samej. Jeżeli będzie za mało, to dodamy. Zgoda? Dziś bardzo mi się spieszy. Bardzo mi pilno. Pan to zrozumie i przebaczy!  
 — A dokądże pani tak dąży?  
 — Spieszę się, muszę co przędzej!  
 Przelotne zwróciła na niego spojrzenie, gdy stał po drugiej stronie fotela blady jak trup, z oczyma wbitymi w ziemię.  
 Wsunęła mu w rękę paczkę pieniędzy. Nie oponował.  
 Tylko ręce jego drgnęły, a brwi zsunęły się szybko. Miała już odejść i uczyniła ruch ku przerwaniu tej rozmowy.  
 Wtedy to cicho wymówił, nie podnosząc oczu, słowo po słowie:  
 — Niech pani pójdzie do mnie. Mieszkam tutaj, na piętrze.  
 — A po cóż to ja do pana? — spytała z naiwnym zdumieniem.  
 — Niech pani ze mną zostanie!  
 Zaśmiała się z cicha, maleńkim, szyderczym śmieszkiem, w którym zmieściło się może naigrawania.  
 — Tym się skończyła opieka nade mną! Nad „moją miłością”!  
 — Tym! — rzekł. — Tym się skończyła! Kocham się w pani. Zostań ze mną! Bądź moja. Rzucę wszystko: ten tam kraj... Sprzedam wszystko i tu zamieszkać. Otoczę cię zbytkiem, szczęściem, rozkoszą. Nie znasz tego wszystkiego, więc nie możesz pogardzać. Pojedziemy do Paryża. Będziemy tam mieszkać razem. Utoniemy w tym boskim mieście. Chcesz? O boska moja, o przecudna! Bez ciebie nie ma życia na tej czarnej ziemi, bez ciebie nie ma powietrza, nie ma słońca. Bez ciebie jest śmierć na ziemi! Cóż ja mam począć? Zdradzam? Tak, zdradzam. No tak, zdradzam — do wszystkich diabłów! Ty zdradzisz? No tak! Ale będziemy szczęśliwi! O dziecko! będziesz szczęśliwa — to ci przysięgam na cienie mojej matki! Poznasz szczęście! Szczęście wesołe, radość życia! Po cóż masz cierpieć, ty, najpiękniejsza z kobiet na świecie, ty, stworzona do rajów, ty, Ewo! Pomyśl! Cóż nas mogą obchodzić wszystkie religie, prawa, przepisy, ojczyzny, kodeksy?  
 — Panie hrabio...  
 Począł szeptać jednym tchem, chwytając powietrze ustami:  
 — Wynajmiemy willę w Antibes, w Avignone — gdzie zechcesz! A teraz pojedziemy do Paryża. Zobaczysz Paryż na wiosnę. Ujrzysz przepych, skosztujesz, co to jest potęga pieniędzy! Będziesz się ubierała u Wortha albo u Paquina, u Rouffa albo u Raudnitza — gdzie zechcesz. Na twe usługi będzie Lebouvier, Doucet i Callot! A jeśli cię to znudzi czy zmęczy — pojedziemy znowu nad morze, na wyspę White, na Majorkę albo na Sycylię... Ewo! gdy patrzę na ciebie, serce mi pęka ze szczęścia! Gdy ciebie nie ma, łamię ręce po całych dniach i tłukę się z kąta w kąt po całych nocach. Uśmiezek twoich maleńkich ust przebywa w mych piersiach jak światło w ciemnej pustce. Twoje włosy są wiecznym pragnieniem moich ust. Twoje oczy, które na mnie nigdy nie patrzą, mieszkają wiecznie w moim spojrzeniu. Ja oprócz ciebie nie widzę nic na ziemi! Kocham się w tobie! Miłuję cię nade wszystko! Zlituj się!  
 Ocknęła się jak ze snu. Była uśmiechnięta, a miała pełne oczy łez. Szybko, jak złota błyskawica, mignęła we drzwiach i znikła w wichrze i deszczu na ulicy. Szcherbic runął na kanapę.  
 Ścisnął konwulsyjnie czoło rękami...  
 Biegła szerokim, mokrym chodnikiem promenady Des Anglais, marząc wółprzymnie.  
 — Pojadę na ową Korsykę... Pojadę! Ucieknę z tym czupiradłem! Schowam się przed Szcherbicem. Brr! Już mu oddałam pieniądze! Kazałby mi rozbierać się do naga — nie, nie! Za nic na świecie! Nie chcę już za nic na świecie!

Wbiegła do hotelu Suisse i dostała się windą na swoje piętro. Kazała podać rachunek i zapłaciła należność, zmieniawszy tysiąc franków. Rzeczy miała mało i wszystkie prawie w walizce. W kilkanaście minut była gotowa.

Stary tragarz zjechał z nią windą i poniósł walizkę na plecach. Szła za nim w deszcz, w szarugę, lekce sobie wając wszystko, co się dzieje. Czowała jedno, że dobrze robi, uciekając od Szczerbica. Gdyby nawet nie chciała, musi.

Cóż pocznie ze sobą? Gdyby tu została, Szczerbic by ją zwyciężył. Zwyciężyłby na pewno! Miły, słodki... biedny Szczerbic! Jeszcze przed sobą widziała jego oczy dzikie, zbiele, obłąkane. Jeszcze miotaly się przed nią jego prześliczne, białe ręce. Tak, teraz błąka się po swym pokoju, tłucze się z kąta w kąt, łamiąc te piękne, białe ręce. Musiałaby ulec jego wariackim prośbom, gdyby tylko została w tej przeklętej Nicei. Jakże można było nie widzieć, co to się dzieje, do czego to zmierza! Dawał pieniądze, a ona brała, podła wariatka!

Któż to daje pieniądze za darmo, któż za nic bierze pieniądze? Straszliwe słowo znowu przemknęło przez mózg w drganiach bólu. Ludzie, podli ludzie! Ukuli na siebie kajdany i sami się w nie zakuwają. Można przejść przez najwstrętniejsze bagno i zostać czystą jak gronostaj, ale nie można wyjść czystą spomiędzy ludzkich sądów. Ukamienują, „koniecz- nie ukamienują”... O, jak bezmierną łaskę wyświadczył jej Jaśniach! Wyrwał ją z toni, wydzwignął z przepaści, wykupił z objęć Szczerbica! I cóż to za przedziwne zrządzenie losu: ona wyrwała mu z ręki rewolwer, a on ją odwiódł od ślicznych ust Szczerbica.

Sam zaś nie jest niebezpieczny — och, nie! — Gdyby nawet Łukasz zastał ich miesz- kających w jednym hotelu, nie przerazi się. Zresztą ten Jaśniaszek oświadczył, że kochać jej nie będzie.

Szła szybko, coraz szybciej w te tropy za posłańcem. W pewnej chwili przypomnia- ła sobie radosną myśl: „Już nie jestem winna ani grosza Szczerbicowi. Ani grosza! Ani fenia! Przeciwnie, on mi jest winien. Czyż to nie cud? Co więcej — nie jestem winna i Jaśniachowi. Przeciwnie, jeszcze on mi jest winien — i to ile! W gruncie rzeczy nie wygrałam w Monte-Carlo. To on tam wygrał”.

Zastanowiła ją ta dziwaczna myśl: oto jak ciche widziadło ukazała się w oddali świą- tynia złotego cielca na skale w Monte-Carlo.

„Nie jesteś tak znowu bardzo zbrodnica, świątynko... marzyła. — Mnie nieszczęśli- wej przyniosłaś wyzwoliny”.

Tragarz przynagłał do pośpiechu, gdyż syrena statku raz w raz rozlegała się, nękając wrzaskiem całą dzielnicę. Ewa pobiegła w kierunku budki kasjera. Było już późno i kasjer, stary wiarus Rzeczypospolitej, z wymówkami i oficerskimi dąsami raczył wpisać na kartę nazwisko Ewy, sto razy dopytując się o nie i sto razy dziwując się, że takie nazwiska mogą egzystować na kontynencie europejskim. Nareszcie załatwiono wszelkie formalności. Ewa dostała się na pokład i umieściła swe rzeczy. Wskazano jej kajutę, gdzie miała mieć za towarzyski dwie czarnookie i czarno odziane Korsykanki.

Jaśniach stał na pokładzie. Przybycie Ewy powitał obojętnym spojrzeniem, jak gdyby najnaturalniejsze i z dawna obmyślane zjawisko. W gumowym płaszczu i czapeczce po- dróżnej wyglądał jak zielony topielec, wydobyty przed chwilą z dna zatoki. Zapoznawszy się z kajutą, Ewa wyszła do niego na pokład. W porcie było zimno i obmierzłe. Wszystko zostało zalane błotem, czarne od rozmiękłego węgla i śliskie. Żelazne łańcuchy windy parowej wciąż jeszcze warczały i dzwoniły nieznośnie. Skrzynie towarów, padając na dno statku wprawiały go w stan drżenia. Nareszcie odsunięto pomost. Odczepiono statek i, wydawszy wiele gwizdań, syczeń i pomruków, puszczono w ruch maszyny.

Długo Ewa zajęta była fizycznie tym, co się działo ze statkiem: lawirowaniem wśród innych stateczków, galarów i parowców. Nareszcie ujrzała ze zdziwieniem, jak dwie latar- nie strażnicze z prawej i lewej strony poczęły zbliżać się szybko do statku. Ujrzała morze — wzdłuż położone, ujrzała idące fale. Ciemne chmury zwiwały nad łańcem morskim. Gdzieś w niedościgłej odległości słabo bielą jaśniejsza pręga. Z każdą chwilą równiny morskie stawały się twardsze. Wydawało się, że jest to brunatna, sucha ziemia, porznięta w olbrzymie, nieprzejrzone skiby i bryły. Ale oto skiby poczuły łamać się, pękać i wspinać jedna na drugą. Sucha rola zmieniła się w oczach w złomy granitu. Ciemnowode tafle i bryły odziały się w piany i strzeliste bryzgi. Łąd, białe miasto Nicea, szereg światła na długiej promenadzie angielskiej, daleka, daleka morska latarnia...

Oto jej błysk — raz-raz. Wszystko poczęło wyginać się, zwięzać i biec chyżo ku sobie. Nagle dziwne, bolesne ściśnienie serca, ściśnienie nieznośne... Wszystko, cokolwiek jeszcze wzrok pochwycić może, spajać się poczęło w jedno słowo, w jedno jedyne... Szczerbic...

Wiatr zadął ze wschodu. Stało się z nagłą zimno.

Parowiec jął wznosić się ruchem od przodu na tył, jakby się wspinał na grzbiet rumaka i jego skokami.

W piersiach szloch za znikającą ziemią, w czaszce głucha niewiadomość, oczy ze zdziwieniem, a później ze straszną trwogą poczęły przywierać do fal, wznoszących się wyżej i wyżej jak śpiczaste dachy.

Ewa zeszła do sali jadalnej, stanowiącej zarazem salon statku, i kazała podać sobie filiżankę mocnej herbaty.

W pobliżu siedział gruby obywatel korsykański, którego już była zauważyła z tego powodu, że bez przerwy jadł tudzież pił. I obecnie wciągał *birrę* z beczkowatego kufła ogromnymi haustami. W rogu salonu tuliły się trzy niewiasty. Zaledwie kelner przyniósł w filiżance jakąś dziwną, czarną i gęstą niemożliwość, gdy obywatel zajadacz doświadczył nieprzyjemnego (i to nie tylko dla niego) uderzenia waporów pokarmowych do gardła, uderzenia, które w okolicach miasta Kielc (trudno zdecydować, czy trafnie i z jakiego tytułu) zwie się *hepaniem*. Za pierwszym atakiem nastąpił niezwłocznie drugi, znacznie intensywniejszy. Pożeracz jadła i popijacz piwa spojrzął na całą okolicę wzrokiem szczególnie badawczym, jakie też to, co się stało, wywiera wrażenie, a w istocie rzeczy nie zwiastującym nic dobrego. Przez czas pewien wydebiał ze siebie jakoweś zduszone, okropne jęki i wycia oraz częstotliwe gdakania, aż do chwili stanowczej. Ewa z podziwem zobaczyła, jak nagle zatkał sobie ogromną dłonią jamę ustną, wywalił na wierzch oczy i, rycząc po osłemu, runął przed siebie. Najprzód pędził wprost na Ewę, później zatoczył piorunujące półkole, huknął się ramieniem o drzwi prowadzące do bufetu. Stamtąd jak kula bilardowa poleciał ku kajutom i na szczęście znikł w jednej z nich za portierą. W tej-że chwili dały się stamtąd słyszeć takie głosy, że Ewa z samego współczucia doświadczyła nudności. Spojrzała na Korsykanki siedzące w rogu sali i spostrzegła, że wszystkie trzy będą za chwilę chorowały jak na komendę.

Wówczas w skok uciekła do swej kajuty, wdrapała się na górną szufladę, zwaną łóżkiem przez usługowego portiera, przyłożyła głowę do ściany i zastosowała swą skolataną osobę do kaprysów statku. Kołysanie jego było zmienne jak jej własny los. Zdawało się natrząsać z bezsilności człowieka. Kiedy bowiem zaczynał już zanadto męczyć i nużyć jednostajny, nieznośny sam przez się ruch statku z tyłu naprzód, uderzała z boku dla rozmaitości fala nieznaną, jakby dla spowodowania ostatecznego zawrotu głowy.

Ponieważ jednak wszystko można przetrzymać (z wyjątkiem, oczywiście, samej śmierci), więc Ewa przetrzymała figle statku i wyszła spośród nich z honorem, aczkolwiek i ze skłonnością do mizantropii. W sąsiednich kajutach rozgłośnie cierpiano.

W tym czasie doświadczała uczucia wstrętu i do samej siebie. Miała odrazę do wspomnienia ostatniej rozmowy ze Szczerbicem. Nie mogła wyznać tego przed sobą, ale w istocie rzeczy sprawiała jej niejaką uciechę afekty hrabicza. Nie wiedząc niby, wiedziała o jego uczuciach. Była ich pewna. Przywykła jeszcze w Warszawie do faktu, że on w niej kocha się beznadziejnie, „platonicznie”. Ani razu nie myślała o tym na serio, ale miała go w myślach za swego człowieka, w taki sam sposób, jak się jest pewnym swego zdrowia, nigdy o tym nie myśląc i nic o tym nie wiedząc. Jeżeli co było w tym stosunku świadomego, to mniemanie, że on nigdy nie przekroczy granicy opieki, idealnej rysy, którą sam swym słowem honoru nakreślił. Było dawniej tak przyjemnie czuć się w pewności (nie myśląc o tym), że Szczerbic jest zawsze na rozkazy, zawsze jednako patrzy, zawsze jednako milczy, zawsze tak samo wszystkie trudności usunie! Głęboki, mądry, subtelny, własny jej *komtuś*<sup>128</sup>, miły przyjaciel, bezinteresowny opiekun. Miło by było dawniej nawet poafiszować się z nim odrobinę: niechże tam sobie rozmaici Horstowie i inna hołotka myśli i gada, co zechce. W gruncie bowiem rzeczy nie było nic, tylko jakaś wykwinna koleżeńskość, zrozumienie się w stanach duchowych, można by powiedzieć krótko, dla zwięzłości: dyskretna a jednostronna miłośćka.

<sup>128</sup> *komtuś* — pol. zdrobnienie z fr. *comte*: hrabia.

Teraz wszystko najbrutalniej rozdarło się, jakby ktoś muslinową, krótką sukienkę dziewcziną nagle pijacką ręką zadarł do góry. Zapraszał mię po prostu do jakiejś willi w Antibes! Wygrał sporo w Monte, więc zapragnął nająć sobie pannę, wziąć na utrzymanie dziewczynę, z którą tyle dotychczas miał ambarasu. Zrobił to bez zabiegów — prosto i otwarcie. — Chcesz pójść do mnie na utrzymankę? — dobrze, mogę cię wziąć, aczkolwiek wiem o tobie wszystko.

Tak, on wie wszystko — pomyślała naraz zupełnie inaczej, w głuchym, złodziejskim unicestwieniu. — Jeśliby zechciał mścić się, toby mógł, ile się zmieści.

Zakryła twarz rękami i z ulgą oddała się morzu na samowolne kołysanie. Poczęło ją morze kołysać na swych wieczystych falach. Wynosiło ku górze niby można ręka piastująca małe dzieciątko, które nic jeszcze nie wie, i przerzucało przez wysoki grzbiet, dźwigało znowu i niosło — het-het! — niosło...

Pragnęła myśli odmienić, ale nie dawały oderwać się od Szczerbica. Nie mogła tego spostrzec w sobie, ale to z nią było w istocie, że głęboko bolała z rozczarowania. Taki to był ów Szczerbic... Po to wszystko urządził, dlatego był układny, wspaniałomyślny, bohaterski, dumny, żeby tym pewniej i niezawodniej zdobyć. To także środek... Przez chwilę nie czuła nic... Aż oto nagle — zdziwienie, jakby się odwaliło dno statku, a ona leciała w tonie morza: tęsknota do jego białych rąk, do oczu pełnych rozpacz, do skrzywienia w męczarni łagodnych ust... Mogła to wszystko uciszyć jednym skinieniem — i nie uciszyła...

Przez chwilę znowu leżała bezuczuciowo... Aż nagle gdzieś na szczycie nowej fali wytrysło z duszy nowe uczucie goryczy, a tak głębokie, jakby wychodziło z rany przesywającej duszę. To zdrada, to postępek Szczerbica nagle stał się lustrem, w którym zobaczyła postępek Łukasza. Nie myślami, lecz raczej w chwili przebolesnego błędzenia serca po omacku, uczyła, że Łukasz tak samo dbał tylko o jej uściski, o pieszczoty, o „zwierzęcą” uciechę.

Przypomniała sobie wyrafinowanie w rozkoszy, którego ją powyuczał. Przypomniała na zimno te słowa szczególne, lubieżne, okropne, słowa o przerażającej głębokości i władzy, słowa potwory, które wówczas były koniecznym dopełnieniem radości, ostatecznym przysmakiem i etykietą szczęścia.

Nagle uderzenia rzucały statkiem jak gdyby go chciały strącić z obranego toru i cisnąć w odmęt.

Stopniowo ogarniało Ewę ciche drzemanie, pełne widzeń, przypomnień, przelotnych odczuć tego, co już nie istnieje. Warszawa... Kwietniowa noc... Rojowisko ludzi w ulicach... Podle prace, które ludzie dla wygody innych dźwigają, wloką, ciągną. Młode dziewczęta, biedne woły w jarzmie... Trudzą się i szamocą, żeby wcześniej czy później zostać ofiarami kawalerów... Iść w służbę do tych mężczyzn, do tych łotrów i zapewniać im uciechy...

Spała snem, w którego ciągu wie się o jawie, słyszy i widzi wszystko. Około godziny trzeciej w nocy dało się słyszeć długotrwałe gwizdanie. Statek zbliżał się (i wszedł wreszcie) do portu Calvi, już na Korsyce. Ktoś o tym mówił za portierą kajuty. Ewa zerwała się z szuffady i wyszła do sali, a stamtąd na pokład.

Deszcz drobny, rzęśisty wciąż padał. Błękitna, nieruchoma smuga latarni morskiej przerywała czarną noc i czarną wodę zatoki. Wszystko absolutnie ginęło w mroku, nie wyłączając brzegu, gdzie błyszczał jeden jedyny oświetlony prostokąt — prawdopodobnie drzwi szynku. Ruchome figury gęstej ciemności, czyli kapitan i ktoś drugi, w gumowych płaszczach, z wciągniętymi na głowy kapturami, stukając olbrzymimi buty o cholewach do pachwin, przesunęły się w świetle latarni. Gadali coś pomiędzy sobą po korsykańsku czy owo zgoła po morsku, gdyż zrozumieć tego dla osoby płci żeńskiej z Królestwa nie było sposobu. Kilka łodzi zachłupało u brzegów statku dla zabrania pasażerów, poczty i towarów. Łodzie te zabrały i schorzałego grubasa, który wciąż jęczał, wydawał krzyki niespodziewane i wciąż jeszcze znosił karę za swe prostoduszne obżarstwo tudzież piwne opilstwo. Kiedy go już postawiono nogami na lądzie, kiedy już uchwycił się rękoma zbawczego słupa latarni, jeszcze i tam piał jak kura chora na pypcia i wciąż jeszcze wymiotował bezpośrednio w Morze Śródziemne. Latarnie zginęły, gwar przewoźników ucichł.

Nie było co robić na mokrym, ociekającym wodą, śliskim pokładzie. Ewa zeszła do kajuty. Położyła się na legowisku i natychmiast zasnęła snem kamiennym.

Kiedy statek wyszedł z portu, był już jasny dzień, godzina szósta. Ewa ocknęła się, ubrała i poszła na górę. Zaledwie z otworu prowadzącego na pokład wysunęła głowę, ujrzała długi zachodni brzeg Korsyki, lecący przed oczu w nieskończoną dal. Została tak na schodach przez długą chwilę, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Było to niewiarogodne widziadło. Nigdy sen nie mógłby być tak fantastycznie piękny. Ledwie ockniona patrzyła w ten widok, na poły wierząc temu, że sen już się skończył, a to, co się widzi, to już jest jawa. Olbrzymie łańcuchy gór ślepyimi złotami, nakreślonymi przez skoki piorunu z wyżyny w dół, spadały tam w morze. Chropawe, dzikie, bezpłodne skały, ledwo-ledwo porosłe niską zielenią — góry rude, szaropopielate, czerwone, błękitne, granatowe — jedno za drugim — bez końca! W wyżynie, na ich łańcuchu, na szczybach poprzecznych — biała, osierocona i bezradna chmurka, przejrzysta jak ogon komety. Wargi Ewy poczęły szeptać dawno — dawno, od szkolnej ławy uwięzły w pamięci precudny wiersz Lermontowa o chmureczce, co nocowała była w szczelinie góry granitowej... Rzęsiście łzy popłynęły z oczu na bezcenny widok tego wiotkiego i zwiewnego obłoczka, obrazu dawnego jej życia. — Już nie ma takiej Ewuni... — cicho jęczały usta.

U podnóża prostopadłych ścian trzaskały się i pieniały, lecąc z oddalenia szalonymi skoki, poranne fale morza. Wełny najprzezroczyściej niebieskie, nagle i w tejże samej chwili najintensywniej zielone, tryskające bryzgami białymi — co, jak oko zasięgnąć zdołało, obsiadły skałę fałdą ruchomą śniegu. W jasnym powietrzu unosiły się nad statkiem wielkie, białe rybitwy. Co chwila któraś z nich rzucała się z piskiem w ogromny warkocz zielonych fal, zostając na szlaku statkowym. Już z dawna wstało słońce, ale go za łańcuchami gór Korsyki nie było widać. Fale w oczach przybierały kolor damasceńskiej stali. Góry w świetle stawały się coraz groźniejsze. Otwierały się przed oczyma ich nieprzejrzane wnętrza i trzewia, ciosane toporem wieczności. Urok ich dziki ścigał się w oczach z urokiem morza. Oto ukazał się widzialny zewsząd olbrzymi cypel czerwony, nagi od stóp do głów, jakby był stosem gliny spalonej na kolor cegły. W szwach tylko tej góry czerwonej — Monte Rosso — którymi wody z wyżyny ściekają, a które muszą być groźnymi parowymi<sup>129</sup>, zieleniła się jakaś roślinność.

W łańcuchu szczytów, szeregiem jeden za drugim idących, ukazała się na najwyższym cyplu okrągła wieża dziwnego kształtu, coś jakby wielki móździerz, otworem zwrócony ku górze. Słońce na tej wysokości padało na czarne głązy bastionu i krzywy jego kształt dziko lśnił w szerokim niebie. Ewę popchnął naprzód niewymowny zachwyty. Tajemnicza strażnica, usadowiona tam na wysokościach łańcucha granitów, nad tym morzem bez końca wściekłym i huczącym, nad ziemią bezludną i bezpłodną, była najwyższym wyrazem bezczelności człowieka, była jak jego krzyk zuchwały, rzucony w słońce, w poświsty wichru pełnego morza i w głębię ziemskich przepaści.

Ewa szła przez pokład, oddając się coraz bardziej urokowi dzikiej na górach amfory. Przypadkiem rzuciła oczy w innym kierunku i spostrzegła Jaśniacha. Siedział sam na ławce wyższej części pokładu. Ręce jego leżały na balustradzie statku, płaszcz był rozpięty, czapka zdjęta z głowy. Ewa doznała ściśnienia serca na jego widok. Nie był to człowiek, lecz literalnie — pajęczyna. Czaszka, zapadłe oczy, kości twarzy, wychudłe ręce. Teraz na tej twarzy wyschniętej i posępnej leżał nieruchomy uśmiech zachwyty. Bandos miał oczy wlepione w strażnicę na górach. Gdy Ewa podeszła bliżej, tylko przelotnie i z widomą niechęcią rzucił na nią okiem. Po chwili mówił:

- Jakże pani... się czuje?
- Nieźle. Panie, a co to za wieża?
- Ba! Żebym to wiedział!
- Od czegoż pan jest jakiś tam... pisarz?
- Od tego, żeby wyd(ł)awcy mieli przecie co obdzierać.
- No, dobrze, ale kto mógł wynieść na te straszliwe góry taką nową górę?
- Jakieś to musiały być morowce! Pewnie jacy, mniej zresztą obyci w świecie, Ligurowie, może Kartagińczycy, stamtąd, z południa — może Rzymianie.
- Wszystko... może... ale po co?

<sup>129</sup>groźnymi parowymi (daw.) — dziś popr. forma N.Im: (...) parowami.

— A po to, żeby czatować na szanownych bliźnich, których się kocha jak siebie samego. Bliźni czasem skradał się pod te skały albo płądrował w dolinach.

— Kto by tu mógł co ugryźć, którędy lądować?

— A jednak pchali się tutaj najrozmaitsi — panowie Wandale (takich bym chciał zobaczyć!), Ostgotowie, Grecy z Bizancjum, Frankowie, Saraceni, nie mówiąc nic o robójniczych frantach z Pizy, Lukki, a osobliwie z Genui. Ach, śliczna pani! cóż to za wieża... Ona jest może nawet tak piękna jak pani. Wyobraźmy sobie drabów, którzy tam siedzą, żołdatów, którzy czatują patrząc w to przecudne morze i oddychając wiosennym zapachem macchii. Jakie musieli mieć oczy, jakie uśmiechy... Czy pani pamięta pieśń, którą śpiewali...

— Z trudnością mi to przychodzi pamiętać.

— Ich pieśń o morzu, o skałach, o żoldzie możnych panów z Lukki! A wyobrazić sobie kawalerów, którzy żeglują z daleka na swych galerach schłostanych pianami, żeby się nocą wdrzeć na skały i wydusić tamtych za pomocą stryków, wyrznąć nożami, wytracić do nogi! Wmyślmy się, pani złotowłosa, w to słowo *pirata*, zbój morski! Wpatrzmy się w to morze chluszczące na ścianę brzegu. Czyliż to nie jest widoma dusza pirata, zbója morskiego? Zanim spalił łodzie nadbrzeżne rybaka, zabrał sieci napelnione, musiał czyhać po nocach i ciężko pracować za dnia. Zanim podpalił chatę, musiał się wspiąć po tej stromej skale. Jakże nędznym jest zbój dzisiejszy, wygrywający przy stole w Monte-Carlo w przeciągu kwadransa wartość życia setki umierających i własność stworzoną przez tysiące żywych...

— Przesada. Nie cierpię!

— Szkoda. Myślałem, że pani lubi przeżywać dzieje ludzkie.

— Ja ledwo mogę dać sobie radę z własnymi dziejami, a pan mi tam każe przeżywać „dzieje ludzkie”.

— Nie każe, tylko radzę. Pewien bardzo mądry staruszek, Ralf Waldo Emerson, tak mówi: „Nie szukajmy na zewnątrz wiedzy naszych dziejów; nauczmy się wyczytywać je w nas samych”. Twierdzi on, że historia powinna przestać być szpargałem i że trzeba koniecznie wygrzebać historię ze szpargałów. Historia, według niego, powinna chodzić wcielona w każdym człowieku. Wymaga on od człowieka, żeby mu dał uczuć, jakiego jest wieku, ile wieków przeżył. I mówi jeszcze:

„Jeśliś jeszcze nie odbył twojej wojny krzyżowej i twojej rewolucji francuskiej, spiesz się, bo inaczej nie będziesz mógł należeć do pokolenia dzisiejszego”.

— Już raz słyszałam, słyszałam...

— Co pani?

— Ach, nie warto mówić! Słowa!

— To by znaczyło, że pani już przeżyła jakąś ruinę Psammenita, tryumf podłego Kambizesa, jakąś wojnę krzyżową i rewolucję francuską.

— Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. I, co prawda, nic mię to nie obchodzi.

— Mówię o rzeczy bardzo zrozumiałej, więc tylko zupełna niechęć pani może to odtrącać. Jak sobie pani zresztą chce...

Odeszła na sam koniec statku. Błądząc to tu, to tam, widziała ciągle Jaśniacha. Siedział znieruchomiały, zgarbiony, z oczyma utopionymi w widoku morza. Zbliżywszy się usłyszała, że nuci półgłosem jakąś pieśń, jakieś zawodzenie... Oparła się łokciami o poręcz jego ławki i z dziwną rozkoszą słuchała przejmującego głosu. Jaśniach śpiewał samemu sobie hymn Walta Whitmana, niedającą się przelożyć pochwałę bytu, psalm wzniosły wyrwany z piersi człowieczeństwa:

*Flood-tide below me! I watch you face to face;  
Clouds of the west! Sun there half an hour high!  
I see you also face to face*<sup>130</sup>.

*Others will enter the gates of the ferry, and 'cross from shore to shore;*

<sup>130</sup>*Flood-tide below me (...) face to face* (ang.) — Fala odpływu pode mną! Patrzę wam w twarz; / Chmury zachodu! Słońce tam, o pół godziny nad horyzontem! / Ciebie też widzę twarzą w twarz.

*Others will watch the run of the flood-tide;  
Others will see the islands large and small*<sup>131</sup>...

Głos jego wzniósł się i stał śpiewem. Oczy nappełniło natchnienie.

*Fifty years hence, others will see them as they cross, the sun half an hour high;  
A hundred years hence, or ever so many hundred years hence, others will see them;  
Will enjoy the sunset, the pouring in of the flood-tide; the falling back to the sea  
of ebb-tide*<sup>132</sup>,

*It avails not, neither time or place — distance avails not.  
Just as you feel when you look on the river and sky, so I felt;  
Just as of you is one of a living crowd, I was one of a crowd;  
Just as you are refresh'd by the gladness of the river and the bright flow,  
I was refresh'd*<sup>133</sup>...

— Co to jest, co pan śpiewa?

— Pieśń do wieków, wyciąganie ramion do rodu ludzkiego, do ludu, który będzie na ziemi, do tych, co przyjdą i zginą jak my. Skarga i radość. Jakież słowo zawierało więcej pociechy i jakaż pociecha była smutniejszą nad ten głos jednego z gromady do jednego z gromady, który kiedyś cierpieć będzie na tej samej ziemi.

— Jakiś poetycki demokratyzm?

— My wszyscy (zaczynając od Mickiewicza) weszliśmy w lud i staliśmy się ludem (z wyjątkiem, oczywiście, paru świadomych karierowiczów i wielu zupełnie niewinnych kretyniąt). Przeżywamy za lud dzisiaj, zanim on sam zacznie to przeżywać, wojny krzyżowe i wielkie rewolucje. I lud je przeżywa, ale nie wie. My to przeżywamy za niego ze świadomością. Ten, kto się świadomie zgina w hak i zamienia w pas transmisyjny, kto się dobrowolnie zarzuca na ogniwa i na zębate koła świata, żeby go ze wszech sił ciągnąć, musi przecie wszystko wiedzieć o ludzkiej.

— Ale czy tylko nie jest złudzeniem to uczestnictwo poetów w ludzkiej? Ten, kto je z glinianej miski, ten, kto nie ma własnego łóżka, nie wiem, czy jest zupełnie „równy” poecie podróżującemu na Riwierę...

— A do jakiej warstwy społecznej należał Juliusz Słowacki, Adam Mickiewicz, do jakiej klasy należy Stanisław Wyspiański? Ich dzieło, ich praca należy do ludu i oni sami są robotnikami stojącymi w szeregu ludowym. Weszli w lud i stali się ludem. Ale lud — jest to cierpienie. Więc ktokolwiek gasi czy łagodzi cierpienie, nabywa całkowitą łaskę ludu. Jedni zdobywają tę łaskę męczarnią nad siły, a inni — zrzuceniem niepotrzebnych ochłapów ze swego obciążonego stołu. Więc też lud — raz jest obrońcą męczarni samotników, wyznawców bohaterstw, stróżem ołtarza poezji i zwolennikiem świętych, a drugi raz jest przeciwko nim, gdy otrzyma ziemię, lasy, pastwiska, parcele z dawnych folwarków i tym podobne resztki pańskiej uczy. Lud też wyda ze siebie Szele<sup>134</sup> i wyda Okrzeję<sup>135</sup>. *Vulgus est caecum*<sup>136</sup>. Ale on jeden zawsze jest święty, ponieważ on jest to wieczne cierpienie.

Całą prawdę wiemy o tym my jedni, poeci.

Poeta, Literat, Lud,  
Robotnik

<sup>131</sup>*Others will enter (...) large and small* (ang.) — Inni przestąpią bramki wiodące na prom i przepłyną z brzegu na brzeg; / Inni będą patrzeć na fale odpływu; / Inni będą widzieć wyspy wielkie i małe.

<sup>132</sup>*Fifty years hence (...) ebb-tide* (ang.) — Pięćdziesiąt lat stąd inni zobaczą je, jak przecinają słońce o pół godziny nad horyzontem; / O sto lat stąd, a może wiele setek lat stąd, inni je zobaczą; / Będą się cieszyć zachodem słońca, wlewaniem się fali przyprływu i rzucaniem w tył do morza fali odpływu.

<sup>133</sup>*It avails not (...) I was refresh'd* (ang.) — Bez znaczenia czas i miejsce, odległość nie ma znaczenia. / Tak jak ty czujesz się, gdy patrzysz na rzekę i niebo, tak i ja się czułem; / Tak jak ty jesteś jednym z tłumu żyjących, i ja byłem jednym z tłumu; / Tak jak ciebie odświeżyła radość rzeki i blask, / Tak i ja byłem odświeżony.

<sup>134</sup>*Szela, Jakub* (1787–1866) — przywódca ludowy w czasie rabacji galicyjskiej 1846 r.

<sup>135</sup>*Okrzeja, Stefan Aleksander* (1886–1905) — robotnik, rewolucjonista, członek PPS i Organizacji Bojowej PPS, skazany na śmierć i stracony na stokach Cytadeli Warszawskiej 21 lipca 1905 r. za zamach bombowy na komisariat (cyrkuł) policji w Warszawie.

<sup>136</sup>*vulgus est caecum* (łac.) — lud jest ciemny; nieświadomy jest lud.

Tę zbójcką wieżę tam na wysokościach wzniosły, dla obrony interesów kupców z Genui, spracowane ręce ludu. Nie budowali jej handlarze w atlasach i bisiorze, lecz strudzona brać kamieniarska, żołnierze, zbóje — przeciwko braciom swym, tak samo półnagim — żeglarzom, żołdakom, zbójcom morskim, tak samo zostającym na żołdzie czyimś, jak oni sami...

— A gdzie też ja jestem, poeto? — spytała Ewa z drwiącym uśmiechem. — Gdzie się przytulę? Pan już sobie znalazł stanowisko — i wcale niezłe — (Tyrteusz...). Pan jest z ludu, w tym oto płaszczu zagranicznym i cudzoziemskiej czapeczce, wzorowanej na czapczkach lordów angielskich, którzy z próżniactwa podróżują — ale ja?...

— Można być w eleganckim kostiumie i żyć w rzędzie ludu, a można być w strzępach, gałganach, boso i z gołą czupryną, a należeć do „burżuazji”.

— No, to już są, przypuśćmy, *des figle* mądrości...

— Bynajmniej. Jakiś, dajmy na to, „poseł do dumy”, *quasi*-chłop, choćby wdział cztery najbardziej cuchnące sukmany, dwie czapki baranie i wetknął w nie trzy pawie ogony, będzie i tak fagasem renciarzy rolnych, podczas gdy elegant w surducie z angielskiego kortu i we francuskim szapoklaku będzie stał w rzędzie ludu, jeżeli tam stanie duchem. Mnie się coś zdaje, że i pani pomimo swej wykwinności należy do nas. Bo lud, jak to sformułował w nieśmiertelnym prawie swym wielki poeta — to „człowiek cierpiący, człowiek tęskniący i człowiek wolny na duchu”. Jest w naszej przeszłości pewne imię, które dla mnie jest światłem w ruinach: Stanisław Worcell<sup>137</sup>. Litewski magnat, wykwinny i subtelny pan, który zstąpił w lud i stał się jednym z ludu...

— Gdybyż to tak rzeczywiście było! Gdybyż to można do czegoś należeć, jak fala należy do morza! Gdybyż można uwierzyć, że jest jakiś olbrzymi lud, który czuje wraz ze mną...

— Lud-Duch... — podszepnął Jaśniach zsiniałymi wargami.

— Lud-Duch... — powtórzyła z uśmiechem. — Gdyby uwierzyć, że on to złamie wszelkie kajdany, a umierającym dźwignie głowę strudzoną, złoży ją na swym łonie i twarz ich szlachetną obróci ku niebu. Och, Boże! Czuć się w rodzinie myślami nieogarnionej, krążyć w niej, jak fala krąży w morzu! Być tym samym, czym są w tym morzu wszystkie inne fale, a być sobą — falą wolną, falą wspaniałą i piękną, którą wyniosła piana wieńczy! Bo pan nie wie — mówiła — co jest samotność. Samotność jednej jedynej kobiety, która jest sobą. To jest, jakby się było w tym oto morzu chrabąszczem, który na swoim dziurawym liściu huśta się po falach. Ja wiem, co znaczy być samotną w całym rodzaju ludzkim. Więc gdzie jest ów pański lud?

— Trzeba go szukać wokoło siebie oczyma pełnymi zapału i pełnymi uniesienia, gdyż tylko prawdziwe uniesienie może człowieka spoić w jedno z ludem. Uniesienie długo trwające jest to ów z Apokalipsy „kamyk biały, a na owym kamyku imię nowe napisane, którego nikt nie zna, tylko ten, który je przyjmuje...”.

Statek odbił się od wybrzeża i, skierowawszy bieg swój na zachód, zataczał w morzu rozległe koło.

Ukazała się w grzywach pian latarnia morska stercząca na wysepkach Iles Sanguinaires, które wystają z fal śpiczastymi cyplami. Statek wyminął te wyspy i wszedł w granice zatoki Ajaccio. Fale tam były słabsze i coraz bardziej słabsze. Morze pod ciepłym słońcem stawało się ciężkie, uśpione.

Przedziwnymi kręgami, mieniącymi się jak barwy na szyi pawia, lelejały się fale, na których uroczo i cudnie poranek się kołysze. Na tych błękitnozielonych zwojach i baniach lekki statek pomykał środkiem cichej zatoki pod promienistym słońcem jakby przez senne jezioro Czterech Kantonów. Widniały obadwa błękitne brzegi. Nad tymi wody cichego szemrania — stały olbrzymie łańcuchy i zwały gór pogruchotanych, zwalonych jedne na drugie, spiętrzonych wzajem na się: Bastelica, Bocognano, Monte d'Oro, Monte Ro-

<sup>137</sup> Worcell, Stanisław Gabriel (1799–1857) — działacz polit. i publicysta, krzewiciel idei socjalizmu utopijnego (autor rozprawy ideologicznej *O własności*), członek masonerii, a w młodości pod pseudonimem Grzymomir Tukan działacz Towarzystwa Szubrawców w Wilnie (1817–22); brał udział w powstaniu listopadowym na Wołyniu, został odznaczony Orderem *Virtuti Militari*; po upadku powstania przebywał na emigracji, był członkiem Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, następnie jednym z założycieli Gromad Ludu Polskiego, należał do Zjednoczenia Emigracji; przyjaźnił się z Giuseppe Mazzinim.

tondo... Od ich szczytów dalekich, śnieżystych powiał chłód, dźwigający na skrzydłach zapach niewysłowiony, miodowy zapach macchii.

W tej części statku nie było nikogo. Ewa stała obok Jaśniacha i patrzyła na rozwartry widok. Przejął ją dreszcz zgrozy.

Poczuła, że płynie do miejsca swego przeznaczenia, że zamyka się w skalisty obręb, z którego nie ma już dla niej wyjścia.

Na pokładzie zjawił się bosi *mousse*<sup>138</sup> okrętowy i począł przygotowywać do wywieżenia pawilonu okrętowego.

W chwili właściwej majtek ów wspiął się na sznurową drabinę i jak pająk zawisł w powietrzu. Patrząc na niego Jaśniach znowu otrzymał dar owego uśmiechu, który już Ewa widziała na jego twarzy, a który ją napawał trwożną czcią dla tego człowieka.

Niespodzianie dla samej siebie, jakby pod wpływem widoku tych gór i pod wpływem cudnego zapachu macchii, zbliżyła się jeszcze bardziej do posępnego towarzysza drogi. Ogarnęło ją i popchnęło ku niemu niewyjaśnione wzruszenie. Nie wiedząc dlaczego, zdrżała... Ale wraz z tego drżenia wyłoniło się nieodwołalne, żelazne powzięcie duchowe:

— Panie — rzekła cicho, dotykając ręką jego ręki — muszę panu powiedzieć, kim ja właściwie jestem. Musi pan to wiedzieć.

— A mnie to po co? Ja nie chcę!

— Ja... zabiłam swe własne dziecko.

Twarz Jaśniacha zeszywniała w tym samym co przedtem uśmiechu, ale nie zmieniła się ani o jotę. Ręka jego poczęła gładzić łagodnie dłoń Ewy. Oczy były zwrócone na okrągłe i poszarpane cyple gór. Zdawało się, że nie dosłyszał tego, co powiedziała. Czuła tedy konieczność powtórzenia tego samego, wymówienia głośno... Ale przycisnął jej rękę, jakby na znak milczenia.

— Patrz, Ajaccio!... — mówił cicho. — Tam się w ciasnej uliczce urodził Napoleon, którego niedościgły Hoene-Wroński nazywa „człowiekiem całej kuli ziemskiej”. Pomyśl, ilu on ludzi zamordował, aby spełnić swe dzieło. Podnieśmy się ku niemu — i patrzmy mu prosto w oczy nieustraszoną żrenicą. Stańmy się jego następcami z ducha.

Już z wolna statek przybijał do przylądka, na którym stoi Ajaccio. Zanim skołatana nawę przymocowano linami do kamiennego bulwaru, widać było zgromadzonych tam mieszkańców głębokiej, zapadłej prowincji. Zeszło się pół miasta patrzeć na przybyszów. Oglądano ze szczegółową bacnością każdą osobę kroczącą przez pomost, a szczególnie każde odzienie, niesione przez danego reprezentanta Europy na samotną wyspę Korsykę.

— Oj, do licha, Kielce! — jęknął Jaśniach. — Tylko w Kielcach (no — może zresztą i w Suwałkach!) da się widzieć takie twarze między urzędnikami z powiatu, guberni i *palaty*<sup>139</sup>... Kielce! Jak mi Bóg miły...

— A toż to przecie także chyba lud... — zemściła się Ewa, wyswobodzona już z poprzedniego nastroju. — Trzeba, żeby się pan wzbil na wysokość uniesienia.

Jaśniach zachichotał krótko i dziwnie smutno. Zmierzył Ewę niewyjaśnionym spojrzeniem i wielkimi krokami ruszył ze swym tłumoczkim we drzwi komory celnej.

W małym hoteliku, już niemal zamiejskim, przy ulicy Cours Grandval, mieściły się na trzecim piętrze sąsiadujące ze sobą pokoje Jaśniacha i Ewy. Łączył te pokoiki balkon z białego marmuru, wychodzący na stronę południową.

W izbach tych było pełno słońca, pełno zapachu wielkich fiołków, świeżej woni macchii, przesycającej korsykańskie powietrze — i pomarańcz, których sad rozległy rumienił się w dole. Palmy siedziały wszędzie, już tłumnie, przy najlżejszym powiewie południowego wietrzyka cicho a sucho szeleszcząc. Eukaliptusy wybuchały w wyżynę, ponad domy czteropiętrowe.

W rogu ogrodu przechylało się przez jego wielki mur ciemnoróżowe drzewko gorzkiego migdału, nęcąc wzrok, jak dziecko prześliczne, rozbawione w promieniach słonecznych. Wszystkie gałęzie miało oblepione kwiatem, a liścia jeszcze ani jednego.

Stało się ono dla oczu Ewy, gdy je po raz pierwszy ujrzała, „gałęzią odpuszczenia”. Tak je nazwała. W dobie przybycia, późnym wieczorem usłyszała słowika, a następnego ranka, wnet po przebudzeniu — kukułkę. Te głosy ozywały się w ucho i zostały wysłuchane przez

<sup>138</sup>*mousse* (fr.) — chłopiec okrętowy.

<sup>139</sup>*palata* (z ros.) — sala sądowa.

serce jako pozdrowienie ze świętej, dalekiej ojczyzny, jako głosy przebaczenia wszystkich grzechów, które była popełniła. Tej nocy po przybyciu Ewa spała nadzwyczaj twardo, kamiennym snem, który (zdawało się jej w chwili ocknienia) trwał przez mgnienie powieki.

Wczesnym rankiem puściła się w drogę. Idąc gościńcem nadmorskim, prowadzącym na zachód, zaznajamiała się ze srebrnoszaty<sup>140</sup> gajami oliwy i dumiała wśród ich koślawych pniów, pod powikłanymi konary, które do niej wyciągały swoje cieliste ramiona. Patrzyła z zachwytem, jak się te gaje wynurzają z tła ciemnej zieleni i pną w górę po skałach, błyszcząc na nich gdyby szronem okryte. Witała się z winniczkami zstępującymi ku morzu ze słonecznych stoków górskich; gapiała się gapieniem wielkim na zagajniki kasztanów — i na niezmiernie ponad ich koronami obszary kamiennej pustyni. Tu i owdzie zatrzymywała ją (zatrzymywała w dosłownym znaczeniu tego wyrazu) prześliczna wistaria, wiosenna krasa Południa, błękitnymi sploty przesypana się z wyżyny nagich murów na drogi bite, zwisająca, jak bajeczne włosy nimfy Kalipso, ze sztachet zaczarowanych ogrodów.

Ani się spostrzegła, ani obejrzała, kiedy bardzo daleko odeszła od wielce brudnych ulic tak często wymienianego w historii nowożytnego miasta Ajaccio. Skręciła nieco z drogi bitej i była na samym brzegu morza. Słońce już bardzo przygrzewało. Weszła też z rozkoszą w prześliczne *templum*, za rubież cienia wielkiej pinii nadmorskiej. Ta pinia miała korę szarą, porzniętą w grube skiby, pień zaś pochyły i rozwidlony ku szczytowi na kilka konarów o barwie czerwonożółtej. Aczkolwiek tak wielka, tak daleka i aż nadmorska — wielka pinia przypominała sosnę znad Świdra, jak siostra przypomina siostrę. Igły miała dłuższe, szyszki o kształcie inakszym, ale tak samo żywiczne obary i ślepe osmoły ciekły z jej ran na grubą korę i, tak samo jak w gałęziach tamtej, mały ptaszek sikorka, poświstując samemu sobie, wydłubował smaczną strawę z lupinek szyszki.

Ewa utkwiła w tym miejscu. Siadła na małej skałce pod pinią, podparła głowę rękoma. Nogi jej stały na suszy, lecz już w tym miejscu, dokąd przychodziło morze. A przychodziło do bujnej i wyniosłej trawy, jak gruby kozuch osłaniającej głęboki granit. Błękitne, przezroczyste fale, wydłużając się i płaszcząc, czołgały się do stóp. Zawsze jednakim głosem zwierzały coś słuchaczce, niby niemowa, który by usiłował dźwiękami wyrazić głębinę i ciemne tajemnice swego żywota. Dookoła była wielka cisza. Wiatr sączący się przez gałęzie pinii sprawiał szum, który jeszcze podwajał wyrazistość ciszy. Ewa popadła w otupienie duchowe i w bezmoc fizyczną. Oczy jej spoczywały na każdej fali idącej do brzegu — chłoneły ulotny błękit przelewający się w jej głębi przezroczystej do zielonego zatajenia. Śniło się, że to ów błękit, tak śliski i ruchomy, wydaje morski szum... Kiedy zaś oczy wznosiły się wyżej, gdy ogarniały zatokę i to miejsce rozpostarte, gdzie się zatoka przemienia w dalekie, nieskończone morze — dusza leciała...

Wygięta, miękka linia — ni to okrągły wał na widnokręgu — świetlista jak samo światło, nieruchoma, a przecież idąca ku oczom, linia nieskończona, niemająca początku ni końca — wydzieriała z piersi serce. W piersiach zostawała próżnia, żądza ogromu — i wdychanie z tej próżni ku nieskończoności. Ku czemuś bez granic, ku miejscu za światem, ku widokom pozaziemskim dźwigały się opuszczone ręce. Ani cienia wiedzy o tym, co to za uczucie. Konieczność... Nie — tylko pragnienie obszaru, wchłonięcia<sup>141</sup> ogromu. Żądza ta nie dawała się osaczyć myślom i okryć nagości swojej znaną formą pojmowania. Była to jakowaś wiedza wewnętrzna, bytująca za murem myśli. Dźwigała się z duszy niby zapach z obszarów macchii...

Jak posiąść to wszystko, co jest, jak zdobyć, pochłonąć i swoim uczynić istniejący świat? Jak owołać tym wszystkim, co było, i tym, co będzie? Jakże to może być, że owo błękitne morze i sine góry, i bytujące w nim senne wyspy, ten wszystek nieznanny świat — stał przed wiekami taki sam, a nas nie było? Jakże to może być, że nas nie będzie, a on na wieki taki sam zostanie? I obejmą ten świat oczyma inni! Nazwą go swoim własnym inni, nieznanymi, niewiadomymi. Przed wiekami morski pirata uderzał tę zatokę zbójceckimi oczyma... Rzymianie, włoscy tyrani, Frankowie... Ogarnął ją młodzieńczymi oczyma Napoleon — i śnił tu, może w tym samym miejscu, swój sen o potęgach, a który to sen był mniejszy, nędźniejszy niż późniejsza rzeczywistość potęgi... Zdobył zatokę,

<sup>140</sup>srebrnoszaty (neol.) — odziany w srebrne szaty.

<sup>141</sup>wchłonięcia — dziś popr. forma: wchłonięcia.

morze, zamorski ład, kraje, państwa, narody, królów — a oto nie ma go wcale... Znikł jak fala.

Kiedyś chwycą to morze inni i — utoną w nim wraz z pamięcią ludzką o ich pracy. Przejdą, staną się obcy, przechodnie, goście. Nie będzie do nich należała ta ziemia i nie będzie należało morze, bo nie należy do nikogo. Morze jest dla wszystkich, lecz wszyscy mu są obcy. Wszystko wyrzuci ze swego wnętrza i ciśnie ze wzdardą na ludzki brzeg. A ziemia trupy rozpuści w sobie, pożre je i jak skąpiec przemieni na swoją korzyść. I nie ma nikt swego własnego miejsca. Gdyż przemijamy jak fale, które zalśniły pięknnością na słońcu, zestarzeją się, splaszczą i umrą.

Morze szumiące wyszarpywało z duszy nie te wyrazy, lecz uczucie, które się poniekąd w tych wyrazach zawiera. Morze tym uczuciem władało. Przemyczało je nieskończonymi falami jak ranę zropiałą. Przemyczało je wielokroć. I rana myśli stała się czystą a bezbolesną. Uczucie stało się przezroczyste i nieustraszone jak morze. Wzniosło się w górę i rozszerzyło.

„Po cóżem ja je wtedy zabiła?” — myślała Ewa bez trwogi, bez żalu, bez wzruszenia. — „Gdybym je teraz miała ze sobą!”.

Nie byłabym tutaj — marzyła — tylko w Warszawie. Suszyłabym pieluchy, a Aniela nazywałaby je bękartem. Horst by je obrzucał swymi spojrzeniami, a Barnawska mówiłaby o nim swe aforyzmy. Lepiej mu tam! lepiej mu tam, gdzie jest! Lecz jego nie ma, jak mnie nie było i jak mnie nie będzie. Stało się gnojem, jak ja się stanę... — nuciła opierając głowę o pień chropawy wielkiego drzewa.

Zstąpił na nią spokój, ukojenie, zdrowa niezdolność do uczuć. Płynął przez nią szum drzewa. Przerzucała się przez jej duszę wzdychająca chleb morza; patrzyła w morze i uśmiechała się. Gdyby w słowa zamknąć jej uczucie, toby może te słowa były:

— Morze! Jakże jesteś piękne, jakże zdrowe, jak prawe! Jakże jesteś wierne samemu sobie i godne chwały swojej. Ty jesteś jak miłość: całe zawierasz się w sobie. Wszystkie niemoce zwyciężasz nieśmiertelnym uniesieniem, wszelkie choroby skazujesz na zapomnienie. Oddałabym ci moją duszę poranioną, żebyś ją wzięło i kolebało w sobie, ty kolebko piastująca siłę i wielkość!

Dalabym ci ciało me nagie, żebyś je kołysało na łonie swym wieczyście młodym. Ciało moje jest piękne, a stało się godne pogardy. Ty jedno jedyne umiałobyś wymyć z głowy przekłete myśli, wypłukać niekończonym chlustaniem ropę wspomnień nikczemnych! Powiedz mi! Wszak miałam prawo zrobić tak, jak zrobiłam. Dzięki mnie przyszło na świat, lecz nie ja chciałam, żeby się zrodziło. Nie ja je z nicości poczęłam. Byłabym z nim na rękę ścigana jak zbrodniarka, a ono byłoby przekłete przez cały rodzaj ludzki. Narodziło się z najczystszej miłości, a było bękart. Ocaliłam je od nędzy istnienia wśród ludzi, którzy ścigają bękarta jak wściekłego psa.

Morze! Ty umiesz obmywać grzechy, wracać dziewictwo i oplukiwać plugawość rodzenia dziecka! Wróć mi dziewictwo! Wróć mi duszę moją dziewiczą! Wróć mi siłę, kiedym jeszcze nie znała mężczyzny i żądz kobiecych, które on we mnie wynalazł.

Było już późno, kiedy się z zamyślenia ocknęła. Czas było wracać do hotelu na południowy *lunch*. Poszła szybko. Przybyła właśnie na chwilę, kiedy siadano do stołu. Nakrycie jej znalazło się przy nakryciu Jaśniacha, który już był zeszedł na dół. Był mizerny, ale nieco bardziej ożywiony i rozmowny. Przy stole kilka zaledwie osób. Dwu Anglików, jedna Angielka i trzy wstrętne Niemkinie, bełkocące bez przerwy i tylko między sobą o tym, że morze to jest bardzo piękne — *nicht wahr?* — morze jest bardzo piękne — *o, ja!* Wreszcie oficer marynarki francuskiej. Z owych „Anglików” pierwszy nazywał się Sapalski, a był z pochodzenia... Niemcem; drugi zwał się Herman Landau, co również słabe dawało świadectwo, o jego anglosaskości. Rzeczywistą była tylko Angielka, a to już stwierdzały, gdyby nawet chciała zaprzeczyć, jej zęby, fryzura, kodak itd. Właściciel hotelu, z miną profesora farmakognozji, z krzywymi binoklami na nosie, które stale spadały, i to w sos pomidorowy, gdy go osobiście do stołu podawał z pieczołowitością godną subtelniejszego specjału, czułe sprawił wrażenie rybami morskimi i dwakroć obnoszoną pieczenią. Za to inne jego frykasy, nie wyłączając sera *broccio* (po korsykańsku *brucz*), zgromadzona publiczność międzynarodowa, z wyjątkiem młodego wilka morskiego, miała ostentacyjnie za niemożliwość. Młody oficer był czarny jak Murzyn. Miał przepyszne, lśniące oczy,

Morze, Kondycja ludzka,  
Obraz świata

Morze

Matka, Dziecko,  
Morderstwo, Obyczaj,  
Małżeństwo, Przekleństwo

Morze, Dziewictwo,  
Odrodzenie

którym samochcąc dodawał wyrazu burzy morskiej. Golił cały zarost z pozostawieniem włosów na podgardlu. Włosy nosił długie, spadające pasmami.

— Zupełny Kamil Desmoulins<sup>142</sup>... — mruknęła Ewa do Jaśniacha, patrząc zresztą dla niepoznaki na opatrzonego właściwym brzuszkiem Hermana Landau.

— Tamten! Ba, jeszcze jaki! Cóż za wspaniała fizys. Śnią się takiej bestii wielkie czyny, gdy wyjeżdża z tej zatoki na jakimś tam torpedowcu! Jak to on musi mierzyć wzrokiem burzliwe wały pod Monte-Rosso! A za kilkanaście lat będzie z niego opój z czerwonym nochalem, zawalidroga, tyran dla majtków i wróg tych, co go wyścignęli w karierze...

Młody oficer, pilując tępym nożem gnat pieczeniowy, przysłuchiwał się tej polskiej mowie z udaną obojętnością. Udawał również, że nie zwraca uwagi na Ewę. Ale niedługo trwała ta wyniosła mistyfikacja. Wkrótce mu oczy zamigotały jak u kota i uśmiech rozmarzonego żaka przewijać się począł na wargach. Ona nie zwracała na niego uwagi, ale również pozornie. Była wesola. Była pierwszy raz wesola od dawien dawna. Śmieszyło ją wszystko. Tak niegdyś, za dawnych lat (to znaczy przed trzema laty...) cieszyło ją życie, gdy widziała, że szaleją za nią każde męskie oczy.

Przyszła na nią teraz pasja, żeby ze siebie rzucić zmorę. Zapragnęła pokokietować południowca, Napoleonika z podgardlem *à la Cavour*, Kamila Desmoulins, zajądającego ser korsykański zwany *broccio*. Rzuciła mu od niechcenia jedno spojrzenie (oczy niezupełnie przewrócone, ale marzące — uśmieszek), a później zamknęła powieki na cztery spusty, jakby w tej sali, na miejscu, gdzie siedzi czarny marynarz, znajdował się kredens, gospodarz w binoklach lub piec kaflowy. Majtek przybierał kolejno miny, już to najpardoniej rozmarzone, już szatańsko groźne, pąsowił i zamyślał się, kokietował smutkiem dno swego talerza albo uśmiechał się z banalnym cynizmem jak uczeń fryzjerski. Ewa nie raczyła go już dostrzec. Łaska została wyczerpana i cofnięta.

W sobie czuła pustkę weselną, uciechę morską, zdrowie i nicość myśli. Gdy wstała od obiadu i wyszła majestatycznie razem z Jaśniachem na werandę ogrodową, oficerek wsunął się na balkon. Zmieszany i różowy jak pensjonarka, przedstawił się Jaśniachowi jako Paul Mottez i prosił o zaprezentowanie go Ewie. Przyjęła go wyniosłe i zmierzyła takim wzrokiem, że znowu najeżył się jak bałwan morski. Po chwili wykonał zamiar powzięty: zaczął wyładowywać ze siebie kilka wyrazów rosyjskich, których się nauczył z miłości dla zaprzyjaźnionego mocarstwa w czasie odwiedzin przez narodową eskadrę portu w Kronsztadzie. Ewa wstrzymała jego zapędy krótkim i suchym jak pieprz frazesem, że nie rozumie tych słów. Jest Polką — no i tak dalej... Po chwili banalnej rozmowy odeszła do siebie, szeleszcząc złowieszczą jedwabną spódnicą. Gdy szła po schodach do swego pokoju, zanosila się od śmiechu, od istotnego śmiechu. Miała dziwne uczucie, że słońce, gdy szła na spacer, przenikło<sup>143</sup> przez skórę jej ciała, że nasyciło ją światłem. Byłaby nadto przysięgła, że żyły ma pełne zapachu macchii.

W pokoju swym nie mogła usiedzieć. Wyniosła krzeselko na balkon i poczęła napać się widokiem ogrodów, wonią pomarańcz i fiołków, nade wszystko różowym drzewczkiem odpuszczenia.

Nierychło, pokaszując, przywłócił się na górę Jaśniach. Zaraz wypelził ze swojej nory na jaśnie białego balkonu i rozpostarł się na długim leżaku. Wyglądał na tle iskrzącego się marmuru z Carrary jak brzydka, szara liszka. Słońce raziło go w oczy, więc je (oczy) przymknął i osłonił czoło białą czapczką. Chude ręce zwisały jak u trupa, długie gnaciska tkwiły bezładnie jak złożone cepy. Ewa przypatrywała mu się z ironicznym uśmiechem. Przyszła jej do głowy dziwna myśl, po co też taki „gad” żyje na świecie? Jeżeli bowiem żyje ten z dołu Kamilek Desmoulins — no, to zrozumiałe. Może wleźć na wieżę, gdyby tam powiewała jedwabna halka, może się wdrapać po gładkim murze na wieżę w Pizie, jeśli mu stamtąd posłać powietrznego całuska. Skoczy do studni, gdyby tam wrzucić pachnącą różę... A taki! Gdyby mu powiedzieć: — Jaśniachu, Jaśniachu, kocham cię! — zastanowiłby się z pewnością, przede wszystkim, czy on ma prawo kochać się, a następnie, czy już wszyscy ludzie także kochają, a dopiero na końcu, czy mu to nie zaszkodzi na kaszel i system nerwowy.

<sup>142</sup>Desmoulins, Camille (1760–1794) — adwokat, publicysta i polityk, w czasie rewolucji francuskiej 1789 r. stronnik Dantona i adwersarz Robespierre'a.

<sup>143</sup>przenikło — dziś popr. forma: przeniknęło.

— Jest jedno miejsce w *Hamlecie*, gdzie ten utrapiony mówi: „Tabliczki! Warto, abym na nich umieścił, że można się uśmiechać, a być lotrem<sup>144</sup>!”. *My tables — meet it is I set it down...* Pamięta to pani? Gdy spotkał ducha... — rzecze Jaśniach, nie podnosząc głowy ani powiek.

— Nie pamiętam.

— Jest to nieśmiertelne.

— Cóż w tym jest tak nieśmiertelnego?

— Chciał zapisać co prędzej tę myśl, która się wysunęła, jako odkrycie, ze wszystkiego, z całego ogromu życia. Widzi pani — chciał zapisać prawdę, która stała mu przed oczyma przez chwilę jako ostatni wynik, jako różnica zostająca z całego życiowego obrachunku, ze wszystkiego waru spraw otaczających, z uwag nad ludźmi, nad ich czynami i nad naszą o nich myślą. Jest to ostatnie, co jest. Ostatnie słowo, zamienione przez cierpienie na brylant prawdy. Jeśli takiej myśli nie zapisać, to się rozwieje, zniknie. Bo te myśli są najtrudniejsze. Znikają jak cudne sny.

— A to i panu zdarza się mieć takie myśli? — spytała, żeby tylko coś powiedzieć.

— Drwi sobie pani ze mnie. A jednak tak jest, niestety! Czasem przesywają mię te myśli nieznośne. Zwykle w takich razach nie mogę pisać.

— Dlaczego?

— Bo leżę jak kłoda albo jestem zabity na duszy, i wszystko mi jest jedno. Jest „taka” myśl, ale coż z tego, że jest? Po coż ona i na co komu się przyda? Niech przepada wraz ze mną!

Ewa zamilkła. Ponieważ nie patrzył na nią, więc poziewała w sekrecie. Po znacznym odstępnie milczenia rzekła:

— Jeżeli pana osaczy kiedy owa niezwykłość myślenia, a nie zechce się panu pisać, proszę mi zwierzyć ustnie owe myśli. Niech je pan podyktuje. Piszę bez błędów ortograficznych.

— Che-che!

— Naprawdę — bez błędów! Takie myśli poety Jaśniacha-Bandosa mogą nawet mieć księgarską wartość.

— Powiedzą księgarze, że podrobione *ad hoc* przez socjałów, tym bardziej że autograf nie jego.

— Z treści poznają lwie pazury.

— Prędzej strzępy lwiego ogona. Ale niech tam! Jeszcze trochę rozjuszę dziennikarzy i wszelkiego rodzaju renciarstwo. Niech pani pisze.

— Ale w czym? Nie ma papieru.

— Toteż niech pani kupi zielony kajet na Place des Palmiers. Jest tam po lewej ręce taki sklep. Flaszkę atramentu tudzież godziwą obsadkę ze stałówkami.

— *All right!*

— Na tytule można napisać: *Testament zdychającego*<sup>145</sup>

\*

Cały czas wiosenny upłynął wśród dziwnych, choć monotonicznych zdarzeń. Jaśniach był coraz ciężiej chory. Chudł, nie sypiał i popadał w rozstrój coraz cięższy. Nie zdając sobie sprawy, jakim się to dokonało sposobem, Ewa poczęła się nim opiekować, jak szarytka czy siostra. O każdej porze dnia i nocy wchodziła do jego numeru i spełniała wszelkie czynności, których służąca hotelowa z pewnością by wykonać nie chciała. Jeżeli podczas dnia Jaśniach leżał w łóżku, co się najczęściej zdarzało, „opiekowała się jego spokojem”.

Miał ten termin głębokie znaczenie. Ponieważ najbliższy szelest, świergot ptaków, daleki okrzyk dzieci, pianie koguta, szczekanie psów, kroki na schodach, szcęk nożów w kuchni, rozmowa w sąsiednim pokoju i tak dalej — przyprawiały go o rozpacz, trzeba było temu wszystkiemu zapobiegać. Wynikły stąd tysiączne a najpocieszniejsze awantury. Trzeba było wykupić i wyłapać w całej dzielnicy koguty, osobiście wypędzać ze strychu zagnieżdżone tam koty, miauczące oczywiście po nocach. Samo się przez się rozumie, że

<sup>144</sup>Tabliczki! Warto, abym na nich umieścił, że można się uśmiechać, a być lotrem — fraza „*My tables — meet it is I set it down*” z aktu I, sc. 5 *Hamleta* Shakespeare’a w tłum. Józefa Paszkowskiego.

<sup>145</sup>*Testament zdychającego* — Zob. na końcu *Dodatek*.

przemysłni Korsykanie podpuszczali później koguty, ażeby je wkrótce za drogie pieniądze sprzedawać i za jeszcze droższe ściągać. Szczególnie jeden szybkonogi kałakut, wrzaskliwy jak roznosiciel gazet, stał się straszliwą wprost zmorą Jaśniacha.

Kogut ów budził go już około godziny pierwszej po północy z lekkiego drzemia, które wówczas jedynie, jak błogosławiony anioł, zstępowało na nieszczęśliwego. Piał zaś ten potwór tak piekielnym głosem i tak nienasyconie, że sama Ewa poczytywała go w końcu za Belzebuba, ucharakteryzowanego na sposób koguci. Jaśniach wymyślił machiawelski sposób napasienia wyżej opisanego koguta chlebem namoczonym w spirytusie i pochwylenia, gdy się spije. Ale przebrany diabeł nie był bity w ciemność i ani myślał wziąć się na owe moczone kawały chleba. Dziesiątki szybkonogich chłopaków, opłacanych sówicą, ściągały to piejące wcielenie piekieł — nadaremnie — w ciągu jakich dwóch tygodni. Roztropność nakazuje przypuszczać, że owe pościgi korsykańskie nacechowane być musiały życzliwością dla koguta, nie dla Jaśniacha. Polowali na dręczyciela dwaj litościwi *quasi*-Anglicy (Sapalski i Herman Landau), strzelając wielokrotnie z rozmaitej odległości ku zgorzeniu całego kwartału, a rzecz prosta, bez skutku. Zdrowi ludzie śmiali się do rozpuku i opowiadali sobie, trzymając się za boki, epopeję z kogutem. Śmieszna jest bowiem dla człowieka nędza ludzka. Sam Jaśniach leżąc na swym balkonie parskał nieraz ze śmiechu, gdy zgraja chłopaków, przewracając się, skacząc przez mury i rowy, ściągała szybkonogiego.

Wytworzyła się wkrótce kontragitacja przeciwko schwytnemu Belzebuba. Powstała partia stawiająca sobie za zadanie obronę jego życia i praw obywatelstwa. Na czele owego stronnictwa stanęła długozęba i płaskociała Angielka, która z oczywistą niechęcią znosiła w swej obecności piękność Ewy. Córa Albionu nie szczędziła grosza dla sparaliżowania zamachów na wolność i *habeas corpus*<sup>146</sup> kogucie. Dzięki temu (po części) kogut ryczał najspokojniej tuż pod oknem Jaśniacha i doprowadzał go do szału. Sama obawa, że straszne pianie nocne rozlegnie się, nim świt zarumieni wody zatoki, wprawiała chorego już z wieczora w stan rozpaczy. Toteż kiedy nareszcie pewien czarnooki młodzian wszedł do pokoju trzymając pod pachą wcielonego diabła, który hupał powiekami z udanym zdumieniem, Ewa wraz z milionem podziękowań rzuciła mu luidora. Tegoż dnia mniemany kogut w mocnych pętach na nogach skazany został na deportację i wywieziony przez Ewę osobiście na drugą stronę zatoki aż do Bastelicaccia.

Dzieje nie mniej złożone od kogucich miało szczekanie pewnego psiaka w domku stojącym tuż nad morzem. Ewa musiała codziennie nad wieczorem udawać się do właścicieli psa z prośbą o zamknięcie go na noc. Ileż to razy biegła nad ranem, kołatała do okien i, odpędzana grubiańsko, prosiła o zamknięcie szczeniaka! Zaznajomiła się bliżej w ciągu tego czasu z kucharzem i wszelkiego rodzaju fortelami skłoniła go, żeby siekał cicho swoje frykasy albo wychodził z siekaczem w góry, poza ściany hotelu. Wszyscy mieszkańcy domu byli przez nią zobowiązani do zachowywania się w taki sposób, żeby Bandos mógł mieć niezbędną ciszę. Każdy z tych zabiegów wymagał osobnego kunsztu, opłacony był niemalym wydatkiem starań, miłości własnej i upamiętnił się dobrze. Ludzie nie wyrzekali się swych praw do hałasu, do śmiechu, do szczekania obcasami — za darmo. Każdego z nich trzeba było jakoś zjednać dla „sprawy”, niemal kupić od niego prawa hałasowe.

Sprzymierzeńca w tych pracach i zabiegach codziennych znalazła tylko w młodym oficerze marynarki. Spostrzegła nieraz z podziwem, że niektóre z jej obowiązkowych zabiegów zostały uprzedzone. Ten i ów uciszył szczekającego psa, uśmierzył wrzawę dzieci, przyciszył wrzask werandowych gości. Działo się to na prośbę oficera, pana Mottez.

Pewnego razu znalazł on sposobność zakomunikowania Ewie, że nawet torpedowce, manewrujące pod jego komendą za cytadelą, wyrzucają swe świsty w sposób przyciszony i tylko z dala od miasta. Wszystko to dlatego, żeby nie nękać „jej męża”.

Zjawiska te stanowiły zewnętrzną politykę życia.

Ale miało ono niemniej złożone tajnie wewnętrzne, o których pan Mottez nie miał najslabszego pojęcia, gdyż były zamknięte między ścianami dwu izb i stanowiły życie, jak sądzono, „męża i żony”.

<sup>146</sup>*habeas corpus* (łac.) — dosł. żebyś miał ciało; nazwa ang. ustawy z 1679 r. zakazującej organom państwa aresztowania obywatela bez prawomocnego wyroku (nakazu) sądu.

Gdy Jaśniach słabł coraz bardziej, Ewa zmuszona była, niejako materialnie, wejść we wszystko. Płaciła jego rachunki w hotelu i załatwiała wszelkie sprawy. Sprowadzała lekarzy i lekarstwa. Ponieważ zaś te wszystkie lekarstwa ani myślały pomagać, a było ich mnóstwo, musiała sama orientować się wśród ich ogromu, zgadywać, które mogą skutkować dobrze, a które winny być wylane do zatoki dla zatrucia krabów i fląder. Lekarz, Włoch ogromnie sympatyczny, wygadany, bywalec, niewiele zajmował się chorym. Paplał pociechy, komplementy, słuchał, pukał, wywracał oczy, wzdychał, łapał franki i wyносił się z ukłonem. Ewa sama wzięła na się z konieczności rolę lekarza. Zaczęła systematycznie zaznajamiać się z chorobami swego towarzysza. To ją zbliżyło ku niemu. A skoro raz zbliżyła się do jego pościeli z miłosierdziem siostry, weszła, nie wiedząc o tym, w obszar litości nad nim i brnęła coraz dalej. Główna choroba — była to tak zwana anemia, nieco trafniej, aczkolwiek z anglosaską gruboskórnością zwana przez długozębą Angielkę *consumption*<sup>147</sup>... Najboleśniejszym wszakże objawem tej choroby była bezsenność i rozstrój nerwów.

Jaśniach prawie zupełnie nie sypiał. Sen jego było to półświatłe drzemanie, gdzie dzikie widziadła splatają się z jawą, męczarnia zabójcza, nieustająca, głucha. Świat dlań już nie istniał. Na świecie bowiem były dlań tylko krzyki, łoskoty straszliwe, zdrowe śmiechy ludzkie, połyski rznące oczy jak ostrza mediolańskich sztyletów, zgrzyty i bóle.

Szczęśliwą była ta noc, kiedy drzemał i dostrzegał tylko widziadła. Były bowiem noce bez widziadeł, to znaczy — jawa. Wtedy oszalałe nerwy miały nim jak martwym sprzętem. Wstawał z łóżka: biegał cichymi krokami po izbie jęcząc z cicha, żeby nikogo nie budzić. Biegał tak w kółko, w kółko, w kółko. Znużony padał na pościel, żeby się tam więc, rzucać, przewracać. Głowa leżała to w nogach, to w głowach łóżka. Poduszki zwijał, skręcał, przerzucał, ciskał. Zatykał uszy, zamykał oczy, liczył, myślał ściśle, przeklinał, wzdychał i jęczał cicho, żeby nikogo nie budzić.

Ewa słyszała wielokrotnie w nocy te jego awantury, przygody i męki, ale nie miała odwagi wejść.

Jednakże, zmożona przez litość, otworzyła pewnego razu w nocy drzwi i stanęła na progu. Chciała mu pomóc w jakikolwiek sposób. Nie wierzył oczom, gdy weszła. Leżał przez chwilę z otwartymi oczyma, zdumiony i przerażony. Usiadła przy łóżku i poczęła głaskać ręką jego zimne czoło. I oto pod wpływem tych pogłaskań wszystko w nim ucichło, uspokoiło się momentalnie. Usnął twardo na parę godzin. Siedziała wówczas rozradowana, patrząc na jego sen, i doświadczyła po wtóre uczucia, które ją było nawiedziło dawno-dawno, kiedy to pocałowała opuchlaka na schodach pocztowych.

Gdy się rano obudził, pierwsza rzecz, o której zaczął mówić, to był wyrzut, że go powstrzymała od śmierci w Monte Carlo. Tłumaczył jej bardzo mądrze i nieodparcie, że takie życie jak jego nie jest już życiem — i nie ma z istotą bytu ludzkiego na ziemi nic prawie wspólnego.

Wszystko, co mówił, było prawdą, głęboko przezeń obmyśloną. Patrzyła na niego przez chwilę nie swymi oczyma, lecz jakoś inaczej... Słyszając, co mówił, uczyniła z odrazą mocne postanowienie, że go będzie pielęgnowała.

I tak się stało.

Drzwi były teraz stale uchylone. Skoro, przecknąwszy się z twardego snu w głębi nocy, posłyszała, że nie śpi, że się miota, że wstaje, siada, błądzi, pali światło — wstawała i narzuciwszy szlafrok szła go „uciszać”. Zdarzało się czasem, że samo jej ukazanie się uspokajało go natychmiast. Kiedy indziej musiała siedzieć długo, mówić do niego, układać mu głowę, znieruchomić ręce na kółdrze. Znosiła bez protestu tysiące przykrości, których jej nie szczędził z egoizmem bez granic i miary, właściwym ludziom ciężko chorym. Nieraz czytała mu ulubionych pisarzy — Rabelais'go, *Confessions* Rousseau'a, Shelleya, Poego, wybrane „święte” miejsca z Maeterlincka, Verlaine'a, wreszcie *Fedona* Platonowskiego, we własnym, cudnym przekładzie Jaśniacha. Czytała z cicha, głosem szczególnym, stłumionym. Pod wpływem szmeru jej słów nieraz zasypiał. Zdarzały się wszakże noce okropne, kiedy nie pomagały bromy, weronale, chlorale i wszelkie inne trucizny. Drżał całym ciałem, dygotał, trząsał się, kurczył, zwijał. Mówił wtedy, że się strasznie czegoś boi, a nie znajdując dla siebie miejsca, chciał co chwilę zrywać się i ucie-

<sup>147</sup> *consumption* (ang.) — gruźlica.

kać. Musiała wówczas siadać przy nim na łóżku, opierać głowę na poduszce obok jego głowy, trzymać go za ręce i dać mu się wpełń obejmować. Zmuszała go obecnością swojego ciała do spokoju. Ta jej obecność i poświęcenie jakoś go zwyciężało.

W Ewie zbudziło się wówczas miłosierdzie bez granic.

Gdyby dla uspokojenia nieszczęśliwego trzeba było oddać mu się w sposób najohydniejszy, uczyniłaby to była bez zastanowienia, chociaż miała cielesną do niego odrazę. Na szczęście nigdy nie wyjawiał tego żądania.

Nieraz usta jego dopadły jej rąk, usta zimne, rozszalałe, i przywarły na nieskończoną chwilę. Nieraz ręce latające, rozpierzchłe, obłąkane, ręce-nerwy chwyciły jej włosy i przycisnęły ich sploty do serca. Ale nie była to miłość cielesna. Była to miłość umierającego dla anioła pocieszyciela. Było to powitanie przez jego zmysły konające zjawiska innego świata... Była to straszliwa, nieznana ludziom wdzięczność, wytryskająca z bezsenności, dla cudownej siły, która sprowadza sen.

Zdarzało się też, że Ewa usiadłszy na brzegu pośłania, gdy uśmierzyła szal bezsenności, sama zmożona śmiertelnie, zasypiała przyczepiona do krawędzi łóżka, do brzegu poduszki, zwinięta w nogach pośłania. Czuliła przez twarde swój sen każde nagłe drgnienie ciała Jaśniacha, drgnienie, co jest jakby zemstą choroby za chwilę jej unicestwienia, obrzydłe drgnienie chorych nerwów. Wówczas przez sen obejmowała go, żeby uspokoić, zamagnetyzować i zmusić do ciszy. Częstość dopiero wonny poranek majowy, wstępujący przez otwarte okno, wzdychanie fal zatoki, dalekie odgłosy szumów pełnego morza — budziło ją. Ogarnięta wstydem, gnała do izby sąsiedniej. Szła do siebie na palcach, padała na poślanie i zasypiała na kilka godzin.

W tym nurcie bezwzględnej, czynnej litości, w zupełnym poświęceniu się i samozaparcu był jednakże odrębny wart, coś w rodzaju rzeki w rzece. Im bardziej Ewa poświęcała się dla dobra Jaśniacha, im bardziej się poniżała, żeby każdą sekundę jego życia otoczyć parkanem opieki, tym bardziej czuła się bliską swego duchowego celu. Ten jej bezwiedny cel — było to zdruzgotanie w sobie Łukasza. Nigdy teraz nie marzyła o nim, jak dawniej, jak jeszcze w Nicei.

Nigdy już nie marzyła o nim samym. Marzenia jej o nim obecne, jeżeli je tak można było nazwać, były potajemne, a krążyły około tego jednego wypadku, jak się na nim zemścić. A zemsta polegała na tym, żeby bezgraniczną łaską miłosierdzia otoczyć Jaśniacha i na tej drodze dojść do najwyższej, do najdalszej doskonałości. Nie było to wyrozumowane ani uplanowane w drodze uczuć, lecz powzięte, można by powiedzieć, poza wszystkim. W każdej minucie teraźniejszego życia śnił się sen nieskończony, że Łukasz niespodzianie skądś przyjdzie i ujrzy ją śpiącą na łóżku Jaśniacha. Marzenie nasycalo się męczarnią Łukasza, gdy to ujrzy. Jeżeli jakiś zewnętrzny wypadek przerywał ten nieustający całokształt snu na jawie, sen po przerwie zaczynał się później od tego miejsca, gdzie się skończył — i snuł dalej. Tak trwało ciągle. Był to koszmar mroczny i posępny. Litość dla Jaśniacha wychodziła zeń, jak światło wychodzi z nocy. Gdyby Jaśniach zażądał, żeby została jego kochanką, jako zalotnik, mężczyzna, człowiek, odepchnęłaby go z zabijającą pogardą. Ale gdyby trzeba było oddać mu się, gdy szaleje i nie ma miejsca swego na ziemi, uczyniłaby to bez wahania dla zagłady jego męczarni. I w tym zdecydowaniu duchowym był jednak rdzeń tajemny: marzenie stałe, żeby Łukasz widział, gdyby się Jaśniachowi oddała.

Ten splot sennych, niewyrozumowanych konieczności otaczał jej wewnętrzne życie koroną niewiedzącej. Uśmiechnięta i żywa, wesoła i czynna, nosiła w sobie siły niewiadome — pełne obrazy bólesci Łukasza, całkowite epopeje tego, co się stać może później, zdarzenia dokładnie znane i plastycznie widzialne. Nieraz myślała o sobie, że najoczywistszej już o Łukaszu zapomniła. Już on dla niej jest obcym człeczyną. Nikczemnik Niepołomski, który ją uwiódł. Toteż zabiła jego dziecko („bachora”) — i basta. Teraz jest wolną, swobodną, a nadto wiedzącą kobietą. Uczyni ze sobą, co zechce i jak zechce. Jest tu na wyspie „kochanką” poety Bandosa. A tak — „kochanką”! Ktoś o tym przecie musi zawieść plotkę do Warszawy i puścić ją między ludzi. Może ten Niepołomski posłyszy plotkę. Może się nieco zaciekawi...

I oto znowu widziała go, jak staje za drzwiami, jak zagląda przez szparę, jak ukazuje się na progu w wyłamanych drzwiach ze swoją wszechmocną twarzą! Och, wtedy, marzyła, być w łóżku Jaśniacha! Leżeć obok niego!

Parę razy, ciężko znużona czuwaniem przy swym chorym, wyjeżdżała na kilka godzin w góry kolejką górską do Vizzavony lub Corte. Wracała zawsze na noc, żeby być na zawołanie. Te wycieczki w pustyni, gdy pociąg idzie krainą baśni cudownej, nad przepaściami, w tunelach — wyrwały ją z obecnego życia. Toteż polubiła je niesłychanie. Przepaście bez gruntu, obrosłe macchią, sprawiały wrażenie miękkich dolin rozkoszy. W głębi, jak smużka śniegu, wysnuwał się niedościgły prawie dla oczu, przecudny potok Golo. Skał nie było widać. Zbocza granitów utkane były cudną zielenią, jakby dlatego, by człowiek nieszczęśliwy, idący nad otchłaniami, nie poranił oczu, nie przeraził serca, nie skaleczył znużonej duszy. Monte d'Oro i Monte Rotondo, zanurzone w śniegach, wznosiły się jak dwie wieżycy niezmiernej świątyni z tych dolin niczych, gdzie króluje wieczysta pustka i wonna, niezmacona cisza.

W połowie czerwca zaszła potrzeba przeniesienia się z Ajaccio w góry do Vizzavony, gdyż nad morzem było już zbyt gorąco. Dwa razy Ewa jeździła do ślicznej górskiej stacji (tak przypominającej Zakopane) w celu wynalezienia odpowiedniego pokoju. Trudno było znaleźć izbę, która by odpowiadała wszelkim warunkom neurastenika.

Za drugim pobylem w Vizzavonie, po zamówieniu pokoju najbardziej nadającego się na legowisko Jaśniacha, postanowiła darować sobie jednodniowe wakacje: pojechała na drugi kraniec wyspy do portu Bastia. Przenocowała tam w hotelu i cały ranek spędziła w porcie. Tyłem odwrócona do starego miasta i jego brudów, o jakich się nawet Żydowinom chęcińskim nie śniło, siedziała na skraju zapomnianego stosu cegieł.

Morze było ciche, błękitne, zadumane, a gładkie jak tafla zwierciadlana. W dali przed sobą Ewa widziała gołym okiem obłok gęstego błękitu zatopiony w nieruchomości morza. Dziwiła ją ta chmura, bytująca na fali, ale była obojętną duszą, jak wszystko. Pociągała oczy kolorem swoim i przykuwała je do siebie. Nie można było nie marzyć, patrząc na to błękitne zjawienie w błękitcie, na fantastyczną dalekość kształtu sennego. Bezmyślna nazwa „Łukasz” wracała na usta. Wyraz ten oznaczał teraz tę gęstą chmurę, tę błękitną chmurę tak daleką, daleką, daleką...

Ale oto nad zatopionym obłokiem zawisła inna śnieżnie biała chmura i ciemniejszą barwę rzuciła na tamten błękit. Wtedy na sennym obłoku dały się widzieć lekkie rysy, skazy podłużne i poprzeczne.

— Toż to góry dalekie, toż to ziemia... — wyszeptała Ewa do siebie.

Gdy zapytała przechodzącego marynarza, co to widać, odpowiedział jej ze zbyt przesadną galanterią, że to jest właśnie wyspa Elba. Właśnie ona!

— Elba — powtórzyła Ewa.

Nie widziała od tej chwili mnóstwa żaglowców w tym porcie, które zwiły swe ciężkie, szerniałe, schłostane od wichru płótna na ogromne reje — nie widziała pasażerów, zjeżdżających z miasta, żeby wsiąść na odchodzący parowiec do Livorno — nie widziała ruchu i nie słyszała gwaru. Oczy jej wciąż były przykute do ślicznej, sennej, dalekiej Elby.

Wstał z morza lekki wiatr. Osłepiająco płonęło słońce. Wody morskie były wciąż ciche, lecz tworzyły się po nich w matowych pianach połyskliwe miedze, przedziwne dróżki i ścieżyny, jakoby polne szlaki, wygony i uwrocia między wiosennymi rolami. Były chwile, że całe morze stawało się kryształowe, były chwile, że gięło się w seledynowe przeguby — i znowu nieruchomiało. Wówczas wszystek ogrom wodny miał jedną barwę bez cieniów i odmian. Parowiec wydobył się z wolna z portu, wyszedł na pełne morze... Pomknął w kierunku wyspy Caprai, ciągnąc za sobą smugę białego dymu i dwa szerokie skrzydła na morskiej równinie... Znikł...

Ewa siedziała na tym samym miejscu wpatrzona w wyspę tajemniczą.

W pewnej chwili oczy jej zapłonęły gniewem, ogniem nieugaszonym, długotrwałym.

Szepnęła do siebie:

— Tak!

Rzekłszy ten wyraz, wstała z miejsca i jeszcze przez chwilę mierzyła wyspę oczyma. Wracała do miasta. Przechodząc obok wielkiego posągu Napoleona, spojrzała ku niemu, wzniosła oczy z uśmiechem zachwycenia. Zdało się jej, że ten posąg teraz dopiero ujrzała na placu.

— Hasło nasze — *Elba!* — wyszeptała z tym samym uśmiechem na ustach!

Pośpieszyła na dworzec i tegoż dnia wróciła do Ajaccio.

W kilka dni później przewiozła pieczolowicie i nad wyraz starannie chorego Jaśniacha do Vizzavony. Umieściła go w numerze z góry obranym. Zaopatrzyła we wszystko, co by mu tylko mogło być potrzebne.

Zostawiła mu nawet ze „wspólnych” pieniędzy, którymi, trzeba dodać, wyłącznie rozporządzała, pięć tysięcy franków. Resztę, to znaczy trzydzieści tysięcy z górą, umieściła w torebce zamiszowej na szyi i w skórzanym ręcznym saku. Zapakowała rzeczy z pośpiechem i następnego ranka, nie mówiąc Jaśniachowi ani słowa, umknęła do Bastia. Tam wsiadła na statek odchodzący do Livorno. Z Livorno, nie zatrzymując się wcale, pojechała koleją do Genui, a stamtąd wprost do Genewy.

\*

Siedziała w małym ogrodzie hotelu w Glion, w altanie zwróconej ku jezioru. Altana była szeroka, zastawiona kilkoma stolikami. Dziwny poranek zasłal jezioro półprzejrzystą szeregą. Nie było chmur, ale nie było i słońca. Góry stały wyraźne, w lekkich obłokach. Na jeziorze leżał jeden złocisty pas, nikle odbicie niewidzialnego blasku...

Ewa w milczeniu patrzyła na jezioro i mimo chęci słuchała rozmowy studentów z Lozanny, którzy przy sąsiednim stoliku raczyli się tanim winem i podejrzanymi konceptami. Rozmowy te bawiły ją i jakoś pocieszenie nauczały — może dlatego, że prowadzono je w języku polskim i rosyjskim, a może dlatego, że były bezdennie młode. Tworzył się w mózgu taniec myśli czarnych i białych, ponurych i urwisowskich.

Młodzi jegomoście mówili o wszystkim, mówili także o Ewie, i to w sposób wysoce podkasany. Ponieważ nie zdradziła się od początku ani jednym poruszeniem powieki, musiała teraz siedzieć i słuchać wszystkiego. Nasłuchiwała się też słowiańskiego chamstwa, którego sobie nie skąpili. Rozprawiali już o jej włosach, oczach, czynili domysły, co też to może być za „ryba”, jakiej narodowości, sfery towarzyskiej, pochodzenia, konduity... Szczególniej jeden z tych młodzieńców, szczupły szatyn z długim nosem, przystojny bardzo i sympatyczny, gadał na jej temat dużo i śmiało, a oka nie spuszczał ani na chwilę. Żeby ich złudzić do reszty, wydobyla z torebki tom Karola Baudelaire'a, który była wzięła na drogę z podróźnej biblioteczki Jaśniacha — i pozornie zatopila się w czytaniu. Wówczas mówili jeszcze swobodniej. Było to dla niej przez pewien moment coś nawet uroczego w tej łobuzerskiej paplaninie, którą podsłuchiwała. Na tle błękitnej tafli jeziora, w obliczu śnieżnych ołtarzy, to ich bezczeszczenie ludzkiego życia miało smak odurzającej przyprawy. Ale znudziło się wkrótce.

Podparła głowę na rękę i zadumała się, patrząc w głębie dalekiego jeziora, na smugę tamtego brzegu, na odbicia gór zatopionych szczytami w głębiach. Zapomniała niemal o uczującej studenterii.

Nagle jedno słowo przeszło ją na wskroś, jak cios zadany ręką nożowca. Wymieniono nazwisko Niepołomskiego. Nie poruszywszy się, nie odwracając głowy, blada i przerażona, w śmiertelnej ciszy słuchała.

Jeden mówił:

— Możecie sobie zawiązać węzełek na czym wam się żywnie podoba, żeby pamiętać o tej najprostszej prawdzie. Jeżeli męty i szumowiny społeczne mają prawo zrzeszać się dla wykonywania swych strajków, to mają również prawo zrzeszać się posiadacze. Parobek strajkuje we żniwa, a właściciel wyrzuci parobka — w adwent — z mieszkania pospołu z progeniturą<sup>148</sup>. Wówczas ustanie.

— *Jeden?*

— Nie *jeden* — tylko wszyscy. Nie obawiaj się pan dobrodziej: szlachcic polski ma głowę na karku. Szlachta polska tak się zrzeszy paradnie do wyrzucenia parobków strajkujących we żniwa, jak tego nigdy nie potrafią wszystkie razem parobki. Bo, proszę osoby, wśród parobków wiele jest bydlaka i lizusa, a wśród szlachty filantropa i miłośnika parobków — bardzo wątpię...

— Chłopy polskie — to tchórze nad tchórzami! — rzecze inny w głupekowatym zapale.

— Polaczek w ogóle — to... Ech, co tam!

<sup>148</sup>progenitura — potomstwo.

— Naprzeciw! — wtrącił jakiś głos północny — po mojemu Polaki... naprzeciw!  
 — Co pan tam! Łupić kasy, drzeć złotówki z monopolów — byle po ciemku i w za-  
 ulkach... Powiedz mi pan, kto teraz wytrzebi to bandyckie morowe powietrze?  
 — A przyjdzie przyszły porządek — tak on i *wytrzebi*...  
 — Dam ja panu porządek!...  
 — Polaczek, jeżeli już do czego, to do ożenku z posażkiem — o tu dopiero! Niepo-  
 łomek!  
 — Sypią teraz parowym stateczkiem w jednej kajucie na Nową Zelandię. Co? Jak pan  
 sądzisz?  
 — *Milady* zzuje lakierowane pantofelki, omdlałymi palcami rozepnie gazowy sta-  
 niczek! Wyobraź pan sobie, jakie ona musi mieć koszule, z jakiego jedwabiu hałeczki,  
 kiecuszki, jakie to tam pończochy!  
 — Szymek, napij się, bo zemdlejesz!  
 — Za taki milion mogła nakupić w Paryżu fatalaszków.  
 — No, milion...  
 — A mówię, że milion...  
 — Zawsze miałem awersję do tego Niepołoma. Więzień Chillonu! Arogant, dekla-  
 mator, markiz!  
 — Każdy argument w dyskusji — to... Zaratustra.  
 — Dajcie mu pokój! Co się wściekacie, że sprzątnął *Milady*! Smarujcie go sobie na  
 czarno, a on tymczasem wali w świat i drwi z was wszystkich.  
 — No, karierowicz, jakich tysięcy! I cóż nowego!  
 — Niezupełnie. Któryż by z was potrafił przejść taką aferę jak on tę w Rzymie i nie  
 zginąć, nie złamać się na drzazgi, lecz znowu śmiało wejść między ludzi. Wejść po to, żeby  
 się podnieść. I podnieść się rzeczywiście. Teraz zostanie, czym zechce. A to chłop z głową  
 i może zajść daleko.  
 — No, już wy tam z tymi wielkościami gałganów!  
 — Są gałganstwa wynikające ze zgnilizny i są upadki wypływające z nieszczęść. Ten  
 Niepołomski nie jest przecie łotrem.  
 — A niech jego! Szkoda *Milady*... Taka dziewczyna — i takie pieniądze. Jak on ją  
 podszedł?

Ewa usłyszała teraz po wtóre nazwisko i szczegóły. Skombinowała wszystko. Roz-  
 mowa młodych panów skoczyła na temat zupełnie inny. Klócili się o coś pospolitego.  
 Nadaremnie słuchała, tamując z całej siły bicie serca. Posłyszane wiadomości uderzyły ją  
 w głowę jak kłonicie pijanych chłopów. Teraz szybko ważyła i kombinowała to wszyst-  
 ko. Decydowała się już w chwili samej kombinacji. Jedno było pewne... Brzask jakiś  
 w oczach... Kilkakrotnie zakasłała się nerwowo i nie mogła powstrzymać tego kaszlu. Czu-  
 ła, że może za chwilę rzucić się na ziemię, że za chwilę może nie wiedzieć o tym i rwać  
 włosy, skowyczeć z rozpaczony... Chciała tedy wstać i iść... Iść! Lecz nie mogła udźwignąć  
 z krzesła swego ciała. Wszystko jeszcze krążyło w oczach i w głowie: białe lody gór, je-  
 zioro, drzewa, miasteczko Chillon, ci ludzie spokojnie rozmawiający. Nieopisane uczucie  
 duszności...

Pojęła to jedno, że tylko od tych ludzi może dowiedzieć się wszystkiego. Ale cóż  
 zrobić? Jak się dowiedzieć? Wspomniała, jak po przebudzeniu wspomina się sen, że jeden  
 z tych drabów ścigał ją i napastował oczyma. Trzeba tedy z tego wydobyć wiadomość.  
 Ale w tej chwili... rozmawiać... uśmiechnąć się... Wstała z ławki i zapłaciła kelnerowi za  
 śniadanie. Gdy jej wydawał resztę, poszukała oczyma długonosego szatyna i wycisnęła na  
 swe usta uśmiech, jakby krew wyciskała z rany.

Potem wyszła wolno z ogródka i skierowała się ku jezioru. Szła po równej, białej  
 szosie, łagodnymi sunącej skrętami. Nie oglądała się. Czuła na głowie ciężar, jakby miała  
 na włosach olbrzymią czarną przyłbicę. Toteż głowa chwiała się w tył i naprzód. Spod  
 przyłbicy włosy zdawały się rosnać w górę, w olbrzymie zwoje. Niosła w piersiach strach  
 i zimno. Nic już nie wiedziała, co teraz będzie. Jakieś w oczach krwawe obrazy. Widoki  
 sceny zrodzone z wyrazów przed chwilą słyszanych. Te widoki gonią, tłoczą, spychają  
 z Tarpejskiej Skaly...

Na jednym ze skrętów drogi obejrzała się. Student ów biegł na przelaj ogromny-  
 mi krokami. Spojrzała na niego zalotnie... znowu zalotniej... i jeszcze raz, jak ulicznica.

Wówczas właśnie przechodził obok. Miał minę nieskończenie głupiego zwycięzcy. Szedł to przed Ewą, to za nią, to blisko, to z daleka. W zachwyceniu rozpaczliwym nie widział go znowu. Dopiero znalazłszy się na samym brzegu jeziora, w przystani łódek, spostrzegła stojącego w pobliżu. Usiadła na kamiennej ławce i podniosła oczy. Zbliżał się po cichutku drapieżnymi krokami, melancholijnie kiwając laseczką. Uczuła do niego odrazę straszliwą aż do żądy wydarcia mu ślepiów, a zarazem potrzebę wywiedzenia się wszystkiego. Rzekła po polsku:

— A pan umie może i wiosłować?

— Umie... — wybełkotał kiwając idiotycznie oszołomioną głową.

— No, to wsiądźmy w tę łódź, ale bez przewoźnika.

Młody człowiek skoczył w łódkę z takim impetem, że o mały włos nie wpadł w wodę i o mały włos nie wyrzucił przewoźnika. Po chwili — skontraktowany przezeń właściciel łodzi wysiadł na brzeg, a Ewa zajęła jego miejsce. Odbili od brzegu. Student wiosłował z wzorowym zapalem i odbijał od ładu szybko nad wyraz, szybciej, niż mógłby to uczynić najbardziej zawołany wilk morski. Ewa milczała. Nareszcie zdołał przemówić:

— Jakie to szczęście słyszeć mowę ojczystą w ustach...

— Dobrze, dobrze... z mową ojczystą... Niech pan wiosłuje.

Nowe rzuty wiosła, tak zapalczywe, że łódź pomknęła jak rumak wyścigowy. Gdy byli już dość daleko od brzegu, rzekła:

— Pan studiuje w Genewie?

— W Lozannie, pani...

— Czy dawno?

— Już czwarty rok.

— Ach, tak...

— A pani? Jeżeli wolno zapytać...

— Ja nie studiuje ani w Genewie, ani w Lozannie...

— Jakże się ciesze! Typ naszej studentki...

— Właśnie mam zamiar zapisać się na uniwersytet... Nie wiem tylko, gdzie...

— O, w Lozannie! Naturalnie, że tylko... Ja pani dam szczegółowe wskazówki.

— Dziękuję panu. A czy kolonia polska w Genewie dosyć jest teraz duża?

— Kolonia kobieca, jak zwykle, ogromna.

— A mężczyzn, jak zwykle, mało?

— Ledwie paru.

— Zapewne wszyscy panowie, których widziałam tam, na górcie — to kompania genevska?

— Tak jest. Zgadła pani. Niedawno było ich więcej, ale kolonia zmniejszyła się.

— Ktoś, jak słyszałam, wyjechał.

— Słyszała pani całą naszą rozmowę! To skandal... Muszę panią jak najsolidniej przeprosić we własnym i kolegów...

— O, panie! Ci, co wyjechali, to jak słyszałam, młode małżeństwo?

— Tak jest, świeżo upieczone i polukrowane stadło.

— Przepraszam, jak nazwisko nowożeńca, bo niedobrze słyszałam, choć panowie dosyć głośno krzyczeli.

Młody człowiek zastanowił się, nim dał odpowiedź. Przypatrywał się Ewie spod oka, jakby badał, czy nie ma przed sobą osoby niepotrzebnie ciekawej. Ewa nie wyglądała widocznie na figurę sprawującą urząd, gdyż powiedział:

— Nowożeniec — to niejaki pan Łukasz Niepołomski, antropolog, dość nawet obiecujący.

— A oblubienica?

— Oblubienica? (Jakież to śliczne słowo!) Oblubienica to tak zwana *Milady*, spadkobierczyni pewnego wściekłego bogacza z Kaukazu, panna Rylska.

— Panna Rylska... Rosjanka?

— Nie można powiedzieć żeby Rosjanka, ale trudno twierdzić, żeby tak znowu koniecznie Polka. Matkę miała Rosjankę, ale ojciec „korzenny” Polak, wychował ją na Polkę. Był to sławny przedsiębiorca, dyrektor najrozmaitszych fabryk, wynalazca, twórca trustów, nawet tutaj w Europie, właściciel domów handlowych i bankierskich w Petersburgu, Moskwie, Warszawie, Wiedniu. Musiała pani słyszeć.

— Może i słyszałam.

— Tknęty czymś tam, przeniósł się do lepszego trustu, zostawiając jedynaczce studnię pieniędzy. Usamowolniona sierota, bo matka umarła dawno, przyjechała tutaj na studia. W głowie tej najrozmaitsze pomysły uszczęśliwienia świata — bardzo oryginalne nawet... Pełno też dzikich marzeń, samodzielnych, do niczego niepodobnych planów.

— I ów pan Niepołomski zdołał wydrzeć panom taki kasek?

— A widzi pani! I w dodatku — nie wiem, jak on to zrobił. Bo czas był krótki. Ledwie przyjechał.

— A czy ładna?

— Niebrzydka, wcale sobie nawet... Choć mówić o tym w tym miejscu, wobec...

— Jakże się to stało? Niech mi pan opowie, bo pasjami lubię takie historie. To wygląda jak w romansie.

— A czy tylko pani nie przybywa do nas również z jakimi krociami?

— Bardzo być może! Kto to wie? Ale nie o to przecież chodzi, skąd ja jestem i jaka, tylko o to, jakim sposobem odbywają się w Genewie mariaże. Kto jest ów świeżo upieczony mąż? Mówi pan, że niedawno przyjechał? Jakże mu było?

— Łukasz Niepołomski.

— Łukasz Niepołomski...

— Przybył do nas z kraju... Ale co my, proszę pani, będziemy sobie psuć humory cudzymi mężami albo, na przykład, cudzymi żonami? Czy nie lepiej...

— A nie, nie lepiej. Ja jestem systematyczna. Jeżeli pan wszystko systematycznie i grzecznie opowie, to...

— To co, pani?

— To później poprawimy nasze humory. Lubię ploteczki.

— No, dobrze, będę plotkował, ale pani mi *à conto*, w kształcie zadatku powie...

— Nic nie powiem, dopóki mi pan nie wyłuszczy prawdy o tamtym...

— No, więc cóż? Przybył — to znaczy, przyjechał koleją. Zamieszkał. Chodził do biblioteki publicznej. Czytał zawzięcie. Milczał, był z daleka. Znowu czytał. Co to jeszcze? A tak... Parę razy widziałem go w towarzystwie naszym, polskim. Jakies ciemne wersje zaczęły obijać się o kolonie *à propos* tego pana. Wszyscy, a szczególnie wszystkie zainteresowały się nim nadzwyczaj. Wreszcie, ponieważ był zapisany do towarzystwa, na jednym z zebrań zadano mu pytanie, czy to prawda, że siedział w więzieniu za kradzież? Nie byłem wówczas obecny, znam to ze słyszenia...

— A to ciekawe! Cóż ten pan odpowiedział?

— On wówczas odpowiedział... Cóż to on wówczas odpowiedział? Przepraszam bardzo... pani zna tego pana?

— Nie. Ale proszę... mówić!...

— Odpowiedział, że rzeczywiście siedział w jakimś mamertyńskim kryminale. Wyznał nawet, za co. Oto za kradzież jakichś dokumentów w Rzymie. Czy jeszcze plotkować?

— Jeszcze!

— No, wobec tego, chciało go, wie pani, zjednoczone państwo cokolwieczek wyłać z towarzystwa. Głosowano. Wówczas to jako młode lwicę wystąpiła w obronie byłego kryminalisty owa *Milady*. Spiorunowała towarzystwo „pryncypialnymi” tyradami...

— Pan to już słyszał na własne uszy, prawda?

— Nie, ja to znam ze słyszenia. Ale wobec tego, że kwestia jest prawie wyczerpana, może byśmy przeszli do porządku dziennego...

— Zaraz. I ślub wkrótce nastąpił?

— A jakoś wkrótce. Bo to zwykle tak bywa: miłość, a zaraz potem... tak jakoś wkrótce — ślub.

— Czy są w Genewie?

— O, nie! Natychmiast wyjechali! Wyjechali na Nową Zelandię. Będzie temu ze dwa miesiące... z górą jakoś. Będą tam pono prowadzić studia antropologiczne w dzikich archipelagach, gdzie to — Borneo, Celebes, Jawa, Sumatra — pani wie? — u dołu mapy.

— Pan był na ślubie?

— Byłem.

— W kościele katolickim?

— W katolickim... Widzę, że to wszystko panią nad miarę interesuje...

— Nie. Już dosyć. No — więc co? Co mi pan chciał powiedzieć? Niech pan teraz mówi!

— Ja istotnie chciałem powiedzieć... Chciałem to pani już dawno powiedzieć, że ja... to jest, że gdybym mógł pani powiedzieć... Ale gdzież to! Takich oczu, jak pani, jeszcze żadna kobieta na ziemi, jak świat światem, nie miała i nie będzie miała! Przysięgam! Pani ma tak cudne włosy, tak cudne włosy, że to jest po prostu... skandal! Ale pani ma, oprócz tego, usteczka. Jednym słowem... Co ja zresztą mogę o tym powiedzieć? Pani wie, pani to sama wie doskonale, lepiej ode mnie. Ale cóż z tego?

— Tak, z tego nic. Pan mieszka stale w Genewie?

— W Lozannie, pani, Rue Fribourg 32... Stanisław Liwicki... Rue Fribourg 32. Tu zaś na wzgórkach hotel Cigne, ale *dépendance*... — dodał melancholijnie, zatapiając oczy w oczach słuchaczki.

— Niech się pan tak bardzo nie wzrusza, bo to panu może zaszkodzić. Ja pana zapytawałam o adres dlatego, żeby się dowiedzieć, gdzie pan zamierza wysiąść. Bo co do mnie, to wracam już do Montreux.

— A czy mnie nie byłoby danym to szczęście, żeby wrócić tam z panią?

— Wolalabym, żeby pan wysiadł tutaj.

— Tutaj, to jest niby... żeby wysiadł w jezioro?

— Jak pan uważa.

— Ja uważam, że tutaj naokoło jest jezioro.

— Ach, to nie do zniesienia!

— Więc pani znajduje, że w ubraniu?

— Nie jestem spragniona widoków helleńskich.

— Rozumiem. A gdybym też, dajmy na to, utonął?

— Nie przypuszczam, żeby aż do tego doszło. Zresztą gotowa jestem złożyć wieniec za 25 franków na pańskiej świeżej mogile i iść za karawanem w czarnej sukni. Mam wcale ładną czarną suknię.

— Ale z żalem w sercu, czy chociaż z odrobiną żalu?

— Z odrobiną żalu na obliczu. Kolegom pańskim to wystarczy. A i panu chyba? Przecie pan, oczywiście, nie wierzy w nieśmiertelność?

— Nie wierzę, pani. Ale jakaż materialna może mię czekać nagroda? Jaka? Bo gdyby mię czekała materialna nagroda, na przykład, w tej chwili... A w takim razie... Gotów jestem po jej uzyskaniu natychmiast skoczyć w wodę i notorycznie, eksperymentalnie utonąć w oczach pani. Jaka? Bo gdyby mię czekała materialna nagroda, na przykład, w tej chwili... A w takim razie... Gotów jestem po jej uzyskaniu natychmiast skoczyć w wodę i notorycznie, eksperymentalnie utonąć w oczach pani.

Ewa śmiała się głośno, głośno, patrząc w niebo. Łódź niesterowana i niepopchnięta od dawna wiosłem, kołysała się na drobnych falach, idących w stronę brzegu. Ocknąwszy się ze swoich śmiechów, Ewa rzecze:

— Pan skłamał, panie Liwicki!

— Liwicki — do usług.

— Panie do usług, pan skłamał, twierdząc, że Łukasz Niepołomski ożenił się z panną Ryłską.

— Nie mam zwyczaju kłamać w razach, kiedy nie zachodzi po temu nieodwoalna potrzeba — dumnie „odparł” Liwicki.

— Widocznie zachodziła potrzeba. Tego pan nie wie, że Niepołomski jest żonaty!

— *Da liegt der Hund begraben*<sup>149</sup>! Pani! ów przekłety Niepołomski dostał rozwód już wówczas, kiedy tu na moje dzisiejsze utrapienie przyjechał, a może nawet później. Dostał rozwód dzięki pieniężnemu poparciu, którego nie szczędziła *Milady*. Słowem, że dostał rozwód, bo za pieniądze można, proszę pani, dostać dwa rozwody, a nawet trzy. Przysięgam, że byłem na jego ślubie! — krzyczał machając prawą ręką.

— Czy może mi pan dać jakiś dowód, że ślub ten odbył się? Jakiś dowód... niezbity? Pańskie słowo... tak... Ale dowód, dowód! Ja muszę pokazać to osobie...

— Mogę pani dać dowód... Mogę przynieść kopię aktu ślubnego. Przyniosę to pani do mieszkania, tylko kwestia — kiedy? Wie pani — przyniosę jeszcze dziś — dobrze?

<sup>149</sup>*Da liegt der Hund begraben* (niem.) — tu leży pies pogrzebany.

— Dobrze, przynieś pan! Koniecznie!  
 — Ale gdzie go mam przynieść?  
 — Hotel Grammont. Nazywam się Ewa Pobratyńska.  
 — Więc nie — Niepołomska?  
 — Nie, nie Niepołomska! — chichotała. — Ba! jakże pan to może wydostać dziś? Jakim sposobem?  
 — Pojadę do Genewy... Za godzinę odchodzi pociąg. Wrócę wieczorem.  
 — Ale teraz, panie! Teraz!  
 — Co teraz?  
 — Czy pan jest rzeczywiście człowiekiem dobrego wychowania?  
 — Pochlebiam sobie!  
 — A więc... Cóż mam robić? Chciałabym być natychmiast sama, i to tutaj, w tej łodzi!  
 — W tej łodzi! Znowu — w tej łodzi!  
 — Czy nie zechciałby pan opuścić mię? Do brzegu nie jest tak znowu bardzo daleko. Niech pan to zrobi! Albo — ja sama skoczę! Nie mogę!  
 Student spostrzegł jej ruch. Twarz jego wyciągnęła się i sposepniała. Siedział obojętnie, z wytrzeszczonymi oczami.  
 — Czymś panią do żywego dotknąłem... Ale czym — przez Bóg żywy! Przepraszam... Gdybym mógł był wiedzieć!  
 — Nic, nic! Muszę być sama, panie! — krzyknęła.  
 Bielmo rozpaczy zasłaniało jej źrenice. Dłonie splatały się i załamywały konwulsyjnie. Zęby były wyszczerzone, twarz strasznie blada. Student siedział osowiały, ze zwieszoną głową. Myślał głęboko. Wyszeptał:  
 — Gdybym mógł być przez jedną sekundę tak przez panią kochany! Przez jedną sekundę!  
 — Precz, precz! — jęknęła.  
 — A to opera!...  
 Stał z wolna w łodzi, rozkraczywszy nogi na burtach. Spojrzał na odległy brzeg i mruknął z fanfaronadą:  
 — Skoro jesteście niemili damie, należy usunąć się. Rozumiem. Ale jeśli te gałgany patrzą z brzegu na moje dzieje i zobaczą finał, toż to bydło pochoruje się ze śmiechu.  
 Zebrał się w sobie i od jednego susa skoczył w wodę. Przez chwilę zanurzył się głęboko — wychynął — i, przebijając raz jedną, drugi raz drugą ręką, począł systematycznie i szybko płynąć w kierunku brzegu, ku białym domom Montreux.  
 Ewa odetchnęła. Rzuciła się na spód łodzi, twarzą na dół. Poczęła rwać na sobie suknie, targać włosy i lkać głośno, głośno, co w piersiach tchu. Łódź, niesterowana, kołysała się na wodzie to tu, to tam. Wiosła, przytwierdzone do burtów, drgały bezsilnie...

\*

Nazajutrz Ewa ocknęła się ze snu bardzo późno. Wbrew wczorajszemu oczekiwaniu spała długo i twardo. Kładąc się do łóżka, sądziła, że zstąpi na nią bezsenność Jaśniachowa. Pamiętała jeszcze, że złożyła głowę na poduszce, drżąc na całym ciele i płacząc bez przerwy. Tymczasem usnęła zaraz i bez przebudzenia leżała na tym samym boku niemal do południa. Była spokojna, obojętna, zimna. Cieszyła się świadomością, że wczoraj przetrwała już wszystko i że wszystko tam na jeziorze wypadło już z jej serca, jak potworna, jak ciężka ropa z rany.

Och, wczoraj. Na jeziorze!

Siedziała teraz przed lustrem i przyglądała się sobie.

Z lekka, niepostrzeżenie dotykała myślami tej sprawy, że już jej nic nie łączy, nic nie łączy z Łukaszem Niepołomskim. Nic a nic! Wspomnienie pewnej pieszczoty, której sama nauczyła była Łukasza i którą sama wynalazła, szybko jak cios noża wbiło się w serce. Nic już nie łączy... Tylko tego wspomnienia nic i nikt nie wydrze! Łukaszek teraz (w taki sam sposób) całuje, pieści i posiada inną. Ta inna — to dla niego taka sama kobieta. Może brzydsza, a może nawet piękniejsza... A każdy mężczyzna — toć taki sam Łukasz,

tylko może piękniejszy (na przykład — Szczerbic, na przykład — student Liwicki). Było, przeszło, przeminęło. A teraz nie ma śladu. Gdyby zaś było się chowało, gdyby żyło?

Czyż nie lepiej, że jest gdzieś na polu nawozem albo że je psy rozwlekły po rowach z kałem? Nie ma rzeczy złych na tym świecie...

Żeby to było wiedzieć dawniej — dumiała z głową opartą na ręce — to po cóż było rzucać Jaśniaszka. Już pewno zmarło mu się, biednemu, i leży sobie zapewne teraz gdzieś tam, na cmentarzyku, otoczonym szarymi ścianami w górach Korsyki. Wszystko jest przypadkowe — ziewnęła — jakoweś przelotne i cudze. Wszystko jest bezład i zaduch cmentarny. O niczym nic nie wiemy i wszystko ktoś robi za nas.

Znowu dreszcz przeszył serce, dreszcz niezwalczony. Wspomnienie owej pieśczoły i pewnik, że już przenigdy! Nagle dusza straciła nad sobą władzę, stała się racą, która z ciała wybuchła, wydarła się z jego więzów. Wężem strzelistym poszybowała w wyżynę, rozprysła się w pył i nicość...

Na szczęście ktoś zastukał we drzwi. Schroniła się za kotarę niszy, która jej służyła za sypialnię, i stamtąd zawołała niemal radośnie:

— *Entrez*<sup>150</sup>!

Uchyliły się drzwi i z ostrożnością wszedł ów studencina wczorajszy. Rozejrzał się uważnie po numerze i, aczkolwiek nikogo w nim nie zobaczył, na wszystkie cztery strony pokazywał meblom, szafom, fotelom i firankom jakiś papier.

Ewa widziała tego człowieka w przedziale między połowami kotary. Domyśliła się, że on tak demonstruje kopię aktu ślubnego. Wyciągnęła zza kotary rękę i kazała podać sobie papier. Liwicki zbliżył się na paluszkach i wręczył jej dokument ozdobiony pieczęciami. Chciał, kłaniając się i krygując, unieść cokolwiek kotary, ale skarcony surowo, cofnął się i pokornie zasiadł w foteliku przy drzwiach w grzecznej pozie petenta. Ewa przytuliła się na sofie i czytała uważnie ową kopię aktu. Nie było żadnej wątpliwości: odwróciła się ostatnia karta.

Zmieniła ów arkusz i rzuciła go do pudełka z drobiazgami. Rozparła się i później w krześle i zarzuciwszy ręce pod głowę patrzyła przed siebie. Ujrzała teraz, jakby po raz pierwszy, tę niszę i pokój sąsiedni. Spozrzęła, że tu i tam posadzka wysłana jest grubym sukniem milego koloru. U okien firanki z pąsowego aksamitu, które można przesuwac na grubym metalowym walcu. Szerokie łóżko żelazne ze srebrzonymi gałkami, marmurowa umywalnia, sztych z reprodukcją obrazu Correggia w szerokich ramach.

Jak czysto! Przez jasne szyby widać jezioro, spoczywające w leciuchnej, złotawej mgłę. Nieruchome. Smugi w nim i pola jakoweś o barwie lodu. W jednym miejscu lśni słońce jak rozprysnięta gwiazda. Dalekie łańcuchy gór za Lemanem, płaskowzgórza zasypane śniegiem. Smuga lasu pnie się w góry skaliste, jak strzęp odzieży tytana. A tam góry stają się małowiele wyraźniejsze od obłoków. Białe, śnieżyste białe smugi chmur otaczają pasmem ów kraj. W pewnej chwili te smugi poruszyły się, popłynęły...

Ewa została wobec odsłoniętych gór bez jakiegokolwiek uczucia, w pustce zupełnej. Uczucie głuchego żalu do nieruchomego jeziora utonęło w dziwnym huku pod czaszką.

— Uwolnił mię od siebie... — wyszeptala cicho, żeby przypadkiem nie usłyszał tamten, siedzący przy drzwiach.

— Uwolnił mię — powtórzyła raz jeszcze.

Wstała ze swego miejsca i bezwiednie podeszła do lustra, wprawionego we drzwi szafy. Spojrzała w siebie z nienawiścią; zmierzyła się oczami od stóp do głów i szepnęła idiotycznie:

— Jestem zupełnie wolna.

W lustrze tym zobaczyła, że portiera się rozsuwa i że Liwicki stanął w jej sypialni. Widziała jego surową, pobladłą twarz i zmrużone oczy. Oczy te były zmrużone od rzeczywistego męstwa. Był szczególnie silny, naiwnie dziki, rozkazujący, gotowy do skoku w przebiegłym zaczajeniu się u portiery. Milczała patrząc, jak tam stał na tle czerwonej zasłony. Widząc jego nienasycone spojrzenie i ręce-szpony, wsunięte w kieszenie, uczyła od jednego zamachu doli, że musi — albo oddać się natychmiast temu człowiekowi, albo natychmiast umrzeć. Trzeciego wyjścia nie było.

---

<sup>150</sup>*entrez* (fr.) — tu: prosię wejść.

— Jestem przecież wolna... — szepnęła z czarownym, bezbrzeżnie niewinnym uśmiechem, rozciągając kokardy, na które zapinał się przód jej szlafroka.

Na poły obnażona, z uśmiechem zwróciła się do niego i wyciągnęła ramiona. Porwał ją z pomrukiem i zamknął w swych barach. Nie wiedziała, kiedy i jak uniósł ją niby piórko i rzucił na posłanie łoża.

\*

Szła już długo, bardzo długo, a jednak nie czuła najłżejszego znużenia. Przeciwnie, była coraz bardziej podniecona. Coraz pełniej oddychała. Gotowa była iść tak bez końca, pomimo upału i kurzu. Ta lewa aleja dla pieszych Avenue du Bois-de-Boulogne wciągnęła ją w siebie i wabiła dalej, wciąż dalej.

Na końcu drogi snuły się przed oczyma jakoweś drzewa okryte przedziwnym kolorem — zarazem różem i błękitem. W uszach huczał nieustający grzmot karet, otwartych i zamkniętych powozów, powozików, dogeartów i fiaków, zdążających na pola wyścigowe w Longchamps. W oczach snuł się wielki świat.

Tysiące kapeluszków damskich, strojów motyli, doskonałych sukien męskich, pyszne konie, olśniewające pojazdy, służba w bogatej liberii. To życie spokojnie huczne, bryzgające bogactwem w sposób tak objęty przepisami, że niemal skromny, życie pełne burzy, mieniające się mnóstwem barw, nęciło i oślepiało. Olbrzymi, ruchomy wąż barw i połysków, widzialny z daleka, urzekał. Ewa marzyła, patrząc nań. Chwilami porywała ją pasja nieprzeparta, żeby się dostać w ten szereg powozów i zająć swe miejsce.

Upajająca siła piękności, wykwitku kultury, przepychu sprawiała rozkosz, zasłaniającą wszystko. Jakże teraz śmiała się ze siebie, siedzącej w płatniczej budce cukierni w Warszawie, śmiała się dobrodusznie a nienasyconie. Na pół świadomie rozkrzewiała w sobie radosne i porywające uniesienie na widok blasku, połysku i barw.

Przybyła była do Paryża tej samej nocy, po dokonaniu „zemsty” nad Łukaszem. Sprawili jej tajną, głuchą i złowieszczą radość zimne pożegnanie ze studentem, kiedy najbezwzględniej został zachwycony. Mówiła sobie: — Niech no troszeczkę potęskni — i to bez skutku... Niech się dowie, jak to się tęskni. Jak się to w ciemne noce szuka koło siebie konającymi z rozpaczny rękoma. Młody jest — to mu się przyda.

Przybywszy do Paryża (nie wiedzieć po co) chciała zagłuszeń, zamurować owej „zemsty” nadlemańskiej. Czasami wybuchała w niej istna padlina wstydu. Nagle przychodziła rozpacz.

Przychodziła nie wiadomo kiedy, jak ów Złodziej z *Apokalipsy*, o którym „nikt nie wie, której godziny przychodzi”.

Wówczas zrywała się z miejsca i uciekała przed sobą — w kraj, w przestrzeń, w miasto. Chodziła i jeździła po najrozmaitszych norach, kabaretach, teatrach, cyrkach, zaułkowych budach. Błąkała się późnymi wieczorami w szumnych ulicach. Czuła w sobie jamę po wyrwaniu duszy. Było jej brak nadziei, jakby brak płuca. Tak długo żyła samą tylko nadzieją! Wszystko, co było z nią w Warszawie, w Nicei, na Korsyce, to była przecie tylko jakowaś doczesność. Główną sprawą życia, jego zasadą, było czekanie na Łukasza i marzenie o spowiedzi u jego kolan z dokonanych uczynków. Bo on przecie wygnał kapłanów i sam jeden został dla niej kapłanem. A teraz wszystkie owe wyniosłe męczarnie zagasły jak ogień zalany wodą „zemsty” nadlemańskiej.

W pustce po wyrwaniu duszy została jakoby para brudna i czarna. Ta para zwiąjała się w mętne kształty, a one przybierały postaci coraz nowych zagłuszeń, dziwacznych pomysłów i wciąż nowych poszukiwań zapomnienia, jakies bezprzedmiotowe nienawiści, odrazy, awersje budziły się w piersiach jak Gorgony.

Chodziła i jeździła po tym obcym mieście szukając rozrywek, niezwykłych widoków, rzeczy nowych, uderzających, fenomenalnych. Wszystko jej nie zadawałniało<sup>151</sup>, choć wszystko było nowe i dziwne. Czasami jakiś szczegół najbardziej pospolity, ale dla niej nowy, budził całe światy pożądań.

Pojechać do Ameryki, wstąpić na medycynę w Lozannie, zostać szarytką, rzucić się w wir polityki i społecznictwa, pozować jako modelka Rodinowi, a nade wszystko żyć

<sup>151</sup>zadawałniać (daw.) — dziś popr.: zadawałać.

jakimś życiem ogromnym, huczącym, pełnym hałasu, rozgłosu i awantur. Wypadków nowych, nowych, wciąż nowych.

Teraz, gdy tak samotnie szła chodnikiem alei, ta natężona energia poczyniała budzić się znowu. Przyszedł pomysł, żeby kupić sobie konia, świetną amazonkę i codziennie o tej samej godzinie jeździć po tamtej stronie Avenue. Marzenia runęły w tę stronę. Zatonęła w myślach, gdzie to i jak kupić takiego konia. Obliczała w myśli, ile też to mogłoby kosztować. Tysiąc, dwa tysiące franków?... Koń musi być kary, dzikus. Amazonka. Kapelusz dziwnego kroju, zupełnie, co do joty, jak na owej miniaturze „księżniczki” Vaughan. Właśnie taki! Otoczy go wualką pąsową (właśnie taką i tak związaną!). Każe kapelusz specjalnie takiego kształtu robić *ad hoc* u Reboux. Była tam już przecie! Widziała tłum pracownic. Blask elektrycznych lamp, olbrzymie, długie stoły. Schylone nad stołami twarze. Kwiaty, kwiaty sztuczne, miliony kwiatów! Od godziny ósmej rano do dziesiątej wieczorem wciąż w palcach kwiaty sztuczne, kwiaty, kwiaty. Przypatrywała się twarzom „tych dziewczyn” i uśmiechała się jadowitym uśmieszkiem przy wyborze kapelusza.

Patrzyła z satysfakcją, wywróconą na nice, na niewysłowioną, nieprzebraną, obfitą jak żywioł uprzejmość ładnej panny od przymierzania. Teraz pójdzie tam znowu, wezwie najgłówniejszego kierownika — och, zawoła tego psa! — i obstaluje sobie kapelusz-cylinderek zupełnie nieznanego kształtu. Każe tak go właśnie nazwać: „Vaughan”. Jeżeli nie zechcą robić, to przerzuca swą „klientelę” do Virota albo Loysa. Muszą, gałgany, wykonać!

Gdzie trzymać konia? W jakichś remizach w Longchamps czy w Auteuil? To daleko. Ale postanowiła tam jechać i czynić pierwsze kroki. „Oszukają. Och, oszukają na pewno — ale o to mniejsza. Przecież to poznać, czy koń jest piękny i silny. Na tyle ma rozumu. Zresztą w każdej chwili, gdy się znudzi, sprzeda go byle komu i za byle co”.

Poszła szybciej w kierunku lasu. Na zagięciu alei, wśród największego tłoku powozów, karet i pojazdów wszelkiego rodzaju, rzuciwszy okiem w tłum, ujrzała wlepione w siebie oczy. Wydała cichy okrzyk i na chwilę kroki wstrzymała.

— Szczerbic.

Siedział w otwartej karecie na przedniej ławce, tyłem do furmana, a naprzeciwko jakichś wiekowych a strojnych dam.

Rozmawiał z nimi wesoło i żywo, jednocześnie zatapiając oczy w Ewę. W pewnej chwili uklonił się jej nisko i grzecznie.

Kareta posuwała się tak wolno w łańcuchu powozów, że Ewa mogła ją wyprzedzać. Czyniła to skwapliwie, żeby nie czuć na sobie wzroku Szczerbica. Czowała, że się rumieni i zdradza z tym, co było nad Lemanem. Ale już w owej chwili wiedziała także, że teraz stała się nowa rzecz w jej życiu. Doznała wrażenia, że teraz dopiero przypomniało jej się istnienie tego Szczerbica.

„Ach, prawda! Toż jest jeszcze na świecie Szczerbic. Miły *komtuś*... Jak to łamał rączki białe w Nicei, jak lkał, gdym wybiegła z rozmównicy...”

Przyspieszyła kroku i znowu poczuła, że jest czerwona.

„Ożeń się ze mną. Inaczej — nie!” — szepnęła przez zaciśnięte zęby. — „Pieniądze mi wypychał w ręce, a później: — »Zostań u mnie, mieszkam tutaj na górze«...”

Kareta posunęła się szybciej i oczy Szczerbica znowu się rzuciły na Ewę. Czowała je na sobie znieruchomiełe i zastygłe.

Nie patrzyła w tę stronę. Szła ze źrenicami utkwionymi w dal, z twarzą surową. Ale już wówczas czowała konieczność rozmowy z nim. Zdziwiła się, że może być surową względem niego, względem Szczerbica. Jak to? Względem Szczerbica?

Dlaczegoż to być surową? Dlaczego? Jaki powód?

Wszakże już nie ma powodu surowości. Już nie ma powodu! Już Łukasz przestał istnieć i dusza jej, Łukaszowi zaprzędana, przestała istnieć.

Nagle uderzenie bóleści — jakby odwet za wszystko, co uczyniła — przebiło jej serce. Nie czuła, że idzie, nie wiedziała, że żyje. Stawiała kroki machinalnie...

Wtem — powiew przyjemności... Poczucie, że w tej chwili musi być śliczna... Idzie cudownie. Coś tygrysięgo w sposobie stawiania kroków. Gibkość radosna. Szczerbic, ujrzawszy ją, musiał mieć wrażenie cudu. Prosty przypadek ujrzenia jej na ulicy — wiedziała to — był dlań nadzmysłowym zjawiskiem, wizją oszałamiającą. Jakoby dawne wspomnienie przesunęła się myśl, że Szczerbic to jedyna istota zrośnięta z jej nadziejami, że on

jedyny w tym ogromnym mrowisku ludzkim zna jej imię i dolę. Podniosła oczy w jego stronę i uśmiechnęła się cichym, jasnym, pożądliwym uśmieszkiem. Stała się w owej minucie nieuchwytnie i niewysłowienie a bezmiernie piękną. Chwilą uroku, dziwności, porywu. Coś obcego przesunęło się i porwało ku sobie ciekawość.

On widział jej uśmiech, nie zmienił jednak swej pozy ani nie przerwał rozmowy z kwintnymi pudłami w karecie. Ewa postanowiła wrócić — ale wnet złąkla się, że go straci z oczu i już nie odszuka w tym ogromnym Paryżu. Uczuła, że musiałyby go szukać, a nie znajdując, mogłaby popaść w kolejne tęsknoty, wypalone głęboko w duszy. Szukać nerwowo, budzić się z nagłą w nocy i, jak rozkoszy, czekać świtu... Żadnych już tęsknot! Któż zasługuje na tęsknotę? Czy warto tęsknić? Dosyć się już natęskniła i z tak doskonałym skutkiem, że teraz — basta na zawsze!

„Więc co? — myślała. — Czekać, aż raczy wyleźć jaśnie wielmożnymi krokami z tego powozu? Nie może pewno wyleźć, bo to muszą być wysoce arystokratyczne pudła. Bogate ciotce — co? Nie może kompromitować się dla jakiejś tam, samotnie drepcącej do lasku. To siedź, gapo! Wiele sobie robię z twojego towarzystwa!”

Uśmiechnęła się do siebie złym uśmiechem, który teraz coraz częściej gościł na jej twarzy, i myślała na wpół pośepnie, na wpół z diabelstwem.

„Ten Szczerbic to jest moja ostatnia pamiątka po Łukaszu... Tak — tak! Warto by z nim poflirtować!... Komtuś! Właśnie poflirtować! Przyjemny musi być flirt z tymi, którzy się w nas niegdyś durzyli, a których teraz spotykamy na nowo. Tak już wszystko znajome, nie trzeba zachodów, poznawań, miłych kłamań przedwstępnych, krążeń i wybiegów...”

Pojazd ze Szczerbicem gdzieś się oddalił i znikł z oczu. Ewa nieprzyjemnie złąkla się, gdy spostrzegła, że skamieniałe oczy już na nią nie patrzą. Szła ociężałe w chwilowym, a bardzo głębokim rozczarowaniu. Była już w lasku i widziała stawy błyszczące w oddali. Miała zamiar wrócić raptownie i unieść ze sobą rozczarowanie, zamknąć je w ściśniętym sercu. Na przekór wszystkiemu postanowiła wrócić do poprzedniej myśli o karym koniu. Widziała go przed oczyma wysiłkiem woli, czuła odór potu, gdy będzie pod nią rwał się i skakał.

Każe sobie zrobić perski munsztuk i będzie panowała nad tym zwierzęciem. Do wysokich bucików każe przyprawić małe, ale nadzwyczaj różące ostrogi. Będzie się ogier miał z pyszna!

— Witam panią! — zabrzmiał tuż obok, zza ramienia, głos Szczerbica.

— Witam pana — odrzekła chłodno.

Teraz nie uczynił na niej żadnego wrażenia. Byłaby nawet zdolna przysiąc, że jest nierada z jego „przyczepki”.

— Pani tu sama?

— Jak pan widzi. Spostrzegłam pana jadącego w powozie. Teraz zjawił się pan skądś z boku czy z tyłu. Którędy pan?...

— Wyprawiłem te szanowne zwaliska, z którymi, jak pani widziała, jechałem.

— Ażeby nie spostrzegły, jak pan będzie lekkomyślnie rozmawiał... wprost na chodniku...

— Są to moje kuzyny. Pani się dziwi temu, że nie chciałbym, aby wiadano o naszej znajomości. Byłoby to dla pani poniżające, gdybym musiał tłumaczyć... Bo przecie pani nie znają! Są pewne zwyczaje, których przełamać...

— Rozumiem. Panie, czy pan nie wie przypadkiem, gdzie tu można by kupić konia pod wierzch, ale siarczystego, dzikusa. Żeby to, wie pan, rżał, kopał doły kopytem, żeby był pyszny, z grzywą wzburzoną, rozbestwiony, z pianą u pyska. Musi być kary, kary jak noc, z aksamitną sierścią, z małym łebkiem. Oczy ma mieć koniecznie krwawe!...

— To dla pani taki potwór? — spytał Szczerbic ciekawie.

— Oczywiście.

— Ależ gotów jestem wyszukać!

— Nie prosiłam o wyszukiwanie. Prosiłam tylko o wskazówkę, dokąd się zwrócić.

— Czyż pani da sobie radę z załatwieniem takiej sprawy? Przyszłe pani człowieka, który wszystko...

— Zastrzegam, że dziękuję nawet za radę, jeżeli pan chce mi wyświadczyć usługi. Nie potrzeba mi wcale „człowieka”. Człowieka!

— Ależ!

— Nie mówmy już o tym. Pan długo jeszcze zostanie w tym Paryżu?

— Nie wiem. Zdaje mi się, że wyjadę. A pani, jeśli wolno zapytać?

— Zdaje mi się, że ja tu zostanę na stałe — tu lub gdzieś we Francji. A może w Lozannie... Jeszcze nie zdecydowałam.

— Doprawdy? A do Warszawy... już nie?

— Nie.

Szczerbic milczał przez czas dość długi. Nareszcie z wahaniem się zapytał:

— Przepraszam bardzo za natarczywość, ale tak chciałbym wiedzieć...

— Co takiego?

— Wszak spotkała już pani pana Niepołomskiego?

— Nie.

— Dotąd nie? To dziwne.

— Rzeczywiście dziwne.

— Dziwne dlatego, że był tu u mnie w Paryżu niejaki pan Horst...

— Horst? — zawołała w popłochu.

— Horst. Jeden z tych wielkich fabrykantów, bogaczów. Spotykałem ich dawniej w towarzystwie. Teraz koło tego właśnie jakoś jest dziwnie kuso i cienko. Zdziwiłem się, gdy mnie zaszczycił swymi odwiedzinami, bo nigdy go nie estymowałem, a tu tym bardziej, gdzie żyję na uboczu, w zupełnej ciszy...

— Cóż on mówił?

— Właśnie bardzo wiele mówił o pani.

— O mnie?

— Dopiero od niego dowiedziałem się, że jest to pani dobry znajomy. Rozpowiedział mi przede wszystkim, że Niepołomski był w Warszawie...

— Kiedy Niepołomski był w Warszawie?

— Zaraz po naszym wyjeździe, w marcu.

— Po naszym wyjeździe, w marcu... — powtórzyła cichym, struchlałym, jak gdyby rozsiekanym głosem.

— Był u rodziców pani. Wtedy widział się z nim ów Horst i, niech sobie pani wyobrazi mój gniew, nagadał Niepołomskiemu, że pani wyjechała no... ze mną jako... Pojmuje pani, co ten człowiek...

— Pojmuję.

— Wówczas Niepołomski, podobno, wpadł w straszną pasję rzucił się na niego. Zrobiła się burda. Zaraz następnego dnia Niepołomski znikł z Warszawy i już go tam więcej nie widziano.

— Ach, więc... to... tak... — suchy szloch-śmiech. — I już go więcej nie widziano...

— Ów pan Horst wybrał się wówczas do Paryża — mówił Szczerbic z szyderstwem — ażeby się osobiście i naocznie przekonać, czy prawdę powiedział Niepołomskiemu. Śledził mię, widać, długo, aż wreszcie strapiony przyszedł z zapytaniem o panią. Twierdził, że działa w imieniu rodziców. Nie umiałem mu nic powiedzieć, odkąd pani zniknęła mi z oczu w Nicei, a plotek nie powtórzyłem.

Ewa szła teraz w zamyśleniu. Głowa jej była podniesiona, niemal zadarta do góry. Ośleple oczy z dołu patrzyły na szczyty drzew. Usta się uśmiechały cudacko. Zachichotała głośno, obrzydliwie i tak niemilo, że Szczerbic aż się nieco odsunął.

— Wracając do konia... — paplała pośpiesznie — pan mi pomoże! Przyszle pan takiego draba, który wskaże, gdzie to należy pójść...

— A dokąd mam przysłać?

— Dokąd? Hm! Place de la Nation 12. Trzecie piętro. A więc Łukasz Niepołomski był na naszym trzecim piętrze, w mieszkaniu, w Warszawie?

— Tak mówił Horst.

— A Horst gdzie jest teraz?

— Wrócił zapewne do Warszawy.

— Pan to na pewno słyszał, że Niepołomski był w Warszawie, u nas w mieszkaniu?

— Tak, pani, słyszałem — cicho odrzekł Szczerbic.

— Niepołomski był w naszym mieszkaniu w Warszawie i tam mu Horst powiedział, że ja zostałam pańską kochanką i że z panem puściłam się za granicę. No tak. To wszystko jest w porządku.

Poczęła cicho nucić:

Czarowna, cicha noc majowa  
Przepojona wonią bzu...

Szczerbic mówił zająkliwie, głosem głębokim i współczującym:

— Niech się pani uspokoi!...

— A pan... na przykład... pan mógłby na to przysiąc, ale przed Bogiem, przed Panem naszym Jezusem Chrystusem, że Niepołomski był w Warszawie, i to teraz na wiosnę, kiedyśmy wyjechali — że Niepołomski był w naszym mieszkaniu i słyszał od Horsta, że ja zostałam pańską kochanką i razem z panem wyjechałam za granicę?

— Mogę na to przysiąc przed Bogiem, że powiedziałem pani szczerą prawdę, jakem ją słyszał, że powiedziałem tak wszystko, jakem od tego Horsta słyszał. Niepołomski był w Warszawie, kiedy my stamtąd wyjechaliśmy. Horst mu powiedział, że pani wyjechała ze mną. Wówczas on znikł i już go tam więcej nie widziano.

— No! jak tak, to wszystko jest w porządku. O to przecie tylko chodzi. Czegóż się tu klócić, spierać?

— Niech pani tak nie mówi!

— Ja nic. Jestem zupełnie, zupełnie spokojna. Bo przecie tutaj, prawa, panie? żadnego piśmiennego dowodu na to, co pan powiedział, być nie może. Jakiż tu może być dowód na piśmie? Skąd by tu wziąć taki dowód! Skąd wziąć, o Boże! Prawda, panie?

— O czym pani mówi?

— Mówię o tym, że i tak wszystko jest w porządku. O to tylko chodzi, czy rzeczywiście tak było. Bo skoro tak było, to o cóż się klócić, spierać?

— Czy pani wróci teraz do siebie?

— Ja? A tak, oczywiście.

— Może bym mógł odwiedzić panią do domu? Pani tak pobladła...

— Nie, nie, nie! Och, nie! Teraz nie chcę być w domu, w pokoju, w mieszkaniu! Teraz za nic, za nic nie chcę być w mieszkaniu! Troszeczkę się przejdę. Tak tu przyjemnie... Tyle mi pan naopowiadał! Ten Horst pocziwina... On tam mieszka u nas. I pan taki pocziwy! Widzi pan, przypomniałam sobie swój własny pokoik, tam u nas... Mój ojciec jest bardzo stary. Bezsilny, rozdeptany, stary człowiek. Tacy ludzie jak mój ojciec... Nietzsche mówi, że są tacy, którzy istnieją tylko gwoli służbie i pożytkowi ogólnemu i tylko po to istnieć powinni... Mój ojciec... I dopiero ten Niepołomski tam przyjechał! Nareszcie przyjechał. A tu mnie nie ma! I wtedy ten Horst pocziwina...

— Żałuję, że to wszystko pani powtórzył...

— Och, nie! Wyświadczył mi pan wielką, wielką łaskę. Bo widzi pan, teraz się wykryła najważniejsza tajemnica. Teraz przynajmniej wiadomo, że Łukasz Niepołomski jest w porządku. Przynajmniej on jest w porządku! A o to tylko chodzi. Widzi pan: on zawsze był, jest i będzie w porządku!

Oczy jej zabłysły straszliwie, gdy szepnęła:

— Tylko ja jestem niezupełnie w porządku. Cha-cha!

W bliskości, a na uboczu od szlaków powozów była ławka między wielkimi drzewami. Tam usiedli. Ewa końcem parasolki rysowała na piasku jakieś ogromne znaki. Pisząc je, pochylała się całym ciałem.

— Zdawało mi się przed chwilą — rzekła w zamyśleniu, a jakoś bardzo poważnie — że jesteśmy w Łazienkach. Tak niedawno!

— Pani jeszcze pamięta to zdarzenie?

— Pamiętam. Ja mam dobrą pamięć. Właśnie przyszło mi na myśl jedno pytanie. Ale to zresztą...

— Co, co?

— Na to nie można po prostu dać odpowiedzi.

— Ja dam odpowiedź na każde pani pytanie!

— Nie, na to dać nie można.

— Niech pani spróbuje!  
 — Chciałabym dowiedzieć się bardzo prostej rzeczy: czy pan wcale nie wiedział o tym, że... dajmy na to... Ale to darmo pytać...  
 — Dlaczegoż... darmo pytać!  
 Uśmiech zapamiętały i drapieżny na jej ustach przemknął.  
 — Bo ja i tak panu nie uwierzę...  
 — Ale o co chodzi? Proszę!  
 — Czy pan wcale nie wiedział, że Łukasz Niepołomski ma przyjechać do Warszawy zaraz wówczas, w lutym, w marcu? Czy pan tego nie wiedział, gdy pan ze mną dobrotliwie rozmawiał w Łazienkach?  
 — Czy ja tego... Nie, nie wiedziałem! Daję na to moje nieskalane słowo honoru.  
 — A drugie pytanie...  
 — Odpowiedzi mojej również pani nie uwierzy.  
 — No, cóż tam... ja... Drugie pytanie: czy pan wówczas miał zamiar... Ech, co to zresztą warto! Minęło!  
 — Proszę na wszystko!  
 — Czy pan miał zamiar już wówczas powiedzieć mi to, co w Nicei? Zresztą — nie chcę już słyszeć odpowiedzi!  
 — Dlaczego pani taka rozdrażniona?  
 — Nie jestem rozdrażniona! A może zresztą i jestem. Jeżeli jestem, to przecie tym lepiej.  
 — Dla pani gorzej.  
 — Ale dla was lepiej.  
 — Dla was, to znaczy... nie wiem... Dla kogo lepiej?  
 — Dla was, dla paniczów, panów, panków.  
 — Jakoś to dla mnie zbyt tajemnicze. Nic nie rozumiem.  
 — Ech, rozumie pan! Tylko wewnętrznym rozumem, diabelstwem rozumu. Wie pan, że Niepołomski ożenił się drugi raz?  
 — Niepołomski... drugi raz! Co pani mówi!  
 — Tak, tak — i to bardzo dobrze, bardzo bogato. Uzyskał rozwód i ożenił się w Genewie. Bardzo dobry zrobił wybór, bardzo. To człowiek z głową. Teraz pojechał ze swą nową, można by powiedzieć, trzecią żoną na Ocean Indyjski, do Australii, na wyspy Borneo, Celebes, Jawa. Będzie prowadził studia naukowe. Pan wie, gdzie są właściwie wyspy Iles des Pins?  
 — Co prawda — to nie wiem...  
 — Niepołomski będzie na pewno na owych wyspach. Panują tam bowiem najdziwniejsze obyczaje, które wniwecz obracają nasze pojęcia towarzyskie. Na mieszkankach typu wysp będzie się mógł naocznie przekonać, czym jest moralność. A pan wie, czym jest moralność?  
 — Nie wiem. Ale teraz rozumiem rozdrażnienie pani.  
 — Moralność, widzi pan, jest to wynalazek, rodzaj postanowienia obowiązującego wszystkich, rodzaj uchwały gminnej, czasowo przestrzeganej z gminnym pietyzmem.  
 — To wszystko być może. Ale po cóż mamy o tym myśleć i takimi sprawami się trapić...  
 — Ja się też nie trapię niczym. Niczym!  
 — Gdybyż to tak było w istocie! Nie należy się trapić. Należy brać życie z jego strony świetlanej, słonecznej, jasnej. „Żyj — naśpisz się do syta w trumnie” — mówi mój ojciec. Cała mądrość życia, nie wiem jak tam dla kogo, ale dla mnie zawiera się w tej angielskiej piosence:

To-morrow the sun may  
 Be shining, although it is cloudy to-day<sup>152</sup>...

— Nie rozumiem nie tylko mądrości, ale nawet jednego słowa.

<sup>152</sup>To-morrow the sun (...) to-day (ang.) — Jutro słońce zaświecić może, choć jest pochmurno dziś.

— Jutro może nam słońce zaświecić... — mówił Szcerbic cicho, głosem, który się ledwie z jego ust wymykał. Tchu brakło.

Ewa spojrzała na niego z ukosa i spostrzegła wzruszenie. Sprawilo jej to satysfakcję. Uśmiechnęła się ohydnie. Śmiertelna nienawiść, jak zbrodniarz skradający się ku ofierze, chyłkiem przeslizgnęła się po jej twarzy. On znowu jął powtarzać swe angielskie przysłowie z pewnym upojeniem.

— Chodźmy stąd! — rzekła wstając porywczy z miejsca i idąc naprzód w głąb pustej, bocznej uliczki.

Szcerbic szedł obok w milczeniu. Gdy byli w głębi drzew i naokoło nie było widać nikogo, nieśmiało, trwożnie, prawie z rozpaczą usiłował pochwycić jej rękę. Wyrwała tę rękę natychmiast i zwróciła na niego piekielne, iście czartowskie oczy.

— Jeżeli pan ośmieli się... raz jeszcze!

Patrzyła mu prosto w oczy zezem odpychającym. Szczególniejsza przyjemność, rozrastająca się do rozmiarów radości, szerzyła się w niej, gdy widziała, jak jego gładkie, starannie wygolone, a w owej chwili pąsowe policzki drgają od ściskania szczęk, drgają boleśnie i wściekle, drgają raz w raz. Szukała w głowie sposobu, jak by postąpić, żeby te szczęki zaciskały się coraz szybciej i coraz szczelniej... Poszła znowu naprzód, jakby wcale nie wiedziała o tym, że on obok, nieco z tyłu idzie. Gdy zaczął mówić, zatrzymała się i zwróciła na niego bezlitosne oczy.

— Cóż pani chce zrobić ze mną? Znowu odejść? Znowu gdzieś uciec?

— Zrobię, co zechcę.

— Nie, nie!

— Cóż pana to obchodzi, co ja ze sobą zrobię?

— Jużem mówił... Jużem... tam w Nicei...

— Ach... na górę?! Cha-cha...

— Nie, nie! Tylko nie odchodź! Na samą myśl, że znowu znikniesz — szaleństwo! Teraz cię zobaczyłem i pomyślałem, że to Bóg mi cię zesłał.

— O, tak, Bóg panu sprzyja w zamiarach.

— Myślałem, że pojechałaś do Paryża, więc się tu przywlokłem. Ten Horst powiedział mi, że cię nie ma w Warszawie. Co chcesz, żebym zrobił? Powiedz! Niepołomski nikczemnie cię zdradził... Słuchaj... ożenił się z inną...

— Przede wszystkim — ja nie jestem wcale dla pana jakaś ty...

— Jesteś dla mnie! Nie będę mówił inaczej... No, w tej chwili... Powiedz, co mam zrobić, żebyś mię nie opuściła. Zażądaj, czego tylko chcesz.

— Jestem wolna. Staraj się pan o moją rękę. Kto wie?

Szcerbic zachłysnął się.

— No — i jakże? — nastawała.

— Dobrze, dobrze, doskonale! Ale jedno pytanie...

— Tysiąc pytań!

— Czy mogłabyś pokochać mię tak jak Niepołomskiego? Odpowiedz! Mówisz zawsze prawdę, więc odpowiedz!

— Tego nie wiem.

— Tak, nie możesz powiedzieć, że mię pokochasz. Chciałabyś sprzedać mi się za najwyższą cenę. Dobrze — ja kupuję. Ale oddaj mi swoją miłość. Przysięgnij, że o nim zapomnisz.

— Nie zapomnę o nim nigdy, nigdy, przenigdy! I niech pan już do mnie nie mówi, bo pójdę!... Jeżeli pan ma zamiar jeszcze o tym...

— Muszę o tym mówić! Nie zapomnę nigdy twoich oczu, gdy przyszedłem do owej nory żydowskiej... tam w mieście, gdzie mieszkała. Twoje oczy wówczas! Oczy patrzące z nieba. Oczy zabite. Taka miłość, jak twoja wtedy, gdym wspomniał o Niepołomskim.

— Niech pan już przestanie...

— Pomyśl, czy nie lepiej...

— Cóż takiego?

— Jeżelibyś została moją żoną... Trzeba by przełamywać milion trudności... A gdybyś nią wreszcie została, to okazałoby się, że nie możemy żyć razem, bo ty kochasz Niepołomskiego...

— No, więc rozejdźmy się teraz...

— Życie świata mojego jest to życie, którego nie znasz... — mówił cicho. — Nie mógłbym żyć poza tym światem. Muszę żyć w kraju. Tam mam ojca, który włada majątkiem całej naszej rodziny, więc i moim. Mogę żyć, jak chcę, i robić, co chcę, ale dopóki jestem nieżonaty, dopóki jestem częścią rodziny. Ożenić się bez woli ojca nie mogę. Wydziedziczy mnie albo ograniczy do minimum moją schedę. A pomyśl, czy mógłby się zgodzić na moje małżeństwo z tobą. Powiedz bez gniewu.

— Wygląda to tak, jakbym ja konkurowała o pana. Ja wcale o to nie stoję, żeby zostać pańską żoną.

— Jakie mój ojciec piastuje ideały, to ci scharakteryzują aforyzmy, które umiem na pamięć, bo je ciągle wygłasza i wypisuje w listach. Dobry to zresztą człowiek... „Chłop różni się od bydłęcia tylko tym, że ma dwie nogi”. „Tylko ludzie posiadający własność mogą czytać książki”. „Dbaj o siebie, mój synu, bo Bóg daleko, a złodziej blisko”. „*Je suis seigneur et je serai seigneur*<sup>153</sup>, a co przeciwko temu knuje hołota, to mnie nic a nic nie obchodzi”... I tak bez końca.

— No — ale cóż to wszystko mnie obchodzić może? Niech pan słucha papy, a całość sama się złoży.

— Chcę powiedzieć, że ludzie stworzeni są do szczęścia. Wszyscy ludzie — więc ja i pani. — Szczęście można znaleźć tylko w związku wolnym. Kocham cię, więc jestem twoją. Kocham cię, więc jestem twoim. Przypomnij sobie tylko, co w twoim życiu sprawiło pragnienie małżeństwa. Łukasz został złodziejem, a ty zabiłaś dziecko. Jakże byliście słabi! Nie śmieliście rzucić światu rękawicy. „Należy raczej zdruzgotać małżeństwo, niż dać się jemu zdruzgotać”...

— Ach, jaki pan jest wymowny! I cytaty z filozofów... Każdy z was, kiedy chodzi o przekonanie kobiety, ma w głowie i ustach szeregi cytat. A ja panu powiem, że właśnie mam odrazę do filozofów i poetów. Natomiast w złości swej zacytuję panu doskonały aforyzm pańskiego papy: „Bóg daleko, a złodziej blisko”.

— Ja się na panią o to nie gniewam, choć to takie niegrzeczne i ordynarne.

— Niech mię pan nie oszczędza! Jestem zła, bardzo zła, smutna, nudna. Świat i życie wydają mi się jako objawy tylko złego. Wszystko jest podłe. Podłymi i wstrętnymi są wszystkie nasze uczucia, żądze, cele, ideały...

— Czy te drzewa, co już tyle przeżyły i tyle czasu tu stoją — także są podłe i wstrętne? Drzewa żyją wraz z człowiekiem. Są one podobne do jedynej sztuki, do muzyki. Budowle, obrazy, rzeźby, najcudniejsze objawy sztuki żyją swym życiem własnym, być może życiem tych, kto je z nicości utworzył. Tylko drzewa żyją życiem powszechnym, w którym i nasze życie się mieści. Kiedy po latach witać się ze znajomymi drzewami, znajduję się w nich zmiany niemal takie same jak w sobie. Wzruszenia nasze są w ich kształcie, zmianach i szumie.

— Drzewa!... Przecie to już tyle razy było... Lato, zielone drzewa i trawniki. Ach, jakie zielone! I będą zielone, gdy ja zginę w dole. Żeby chociaż były dla odmiany niebieskie, fioletowe, karmazynowe. Trzeba by chyba udawać zachwyt, czyli wpaść w snobizm, a jak mówi Horst, w „kołtunizm”, żeby coś w tym całym świecie odnaleźć. Niech zgaśnie i nie wstaje słońce! Nie, panie! — Czuję się wolną od wszelkiej blagi, udanych uczuć, skłamanych i umyślnie pozmienianych wrażeń. Nie znoszę obłudy i podnoszenia uczuć, które nie zasługują nawet na to, żeby ich nagość słowem okryć. Wie pan — Paryż mię już zmęczył.

— Wyjechać...

— Tak, trzeba będzie...

— Pani mi powie, dokąd.

Ewa milczała dość długo. Rzekła spokojnie, otrzepując z pyłu atłasowy rękaw sukni:

— Nie.

— Dlaczego?

— Pan mi na nic niepotrzebny. I ja panu nie jestem potrzebna. To jest — wycedziła przez zaciśnięte zęby — byłabym potrzebna, przydałabym się, ale ja nie myślę...

Szczerbic boleśnie westchnął.

<sup>153</sup>*Je suis seigneur et je serai seigneur* (fr.) — jestem panem i będę panem.

— Widzi pan — prawiła z głębokim przeświadczeniem — wszystko oducza mię marzyć. Chwilami zdaje mi się, że nigdy marzyć nie umiałam. Marzyć o przyszłości... Co to jest? Ja marzyłam o przeszłości... Żyję jak pierwsze lepsze indywiduum na dwu nogach, o których tak stanowczo mówi ojciec pański. Trzeba by mi teraz jakiejś religii, która by mi powiedziała, jak tu dalej wierzyć w cokolwiek, jak tu dalej żyć, kiedy się nie ma wiary w nic, a nade wszystko, nade wszystko wiary w siebie. Cokolwiek tknąć w duszy własnej czy cudzej, to poza zasłonami tylko codzienna żądza i pospolity apetyt...

— Skąd takie myśli?

— Kto ma takie myśli jak ja, ten nie powinien by już żyć. Mam nieraz wrażenie, że względem ludzi czymś głęboko, głęboko zawiniłam i że należałoby ich prosić o przebaczenie. Ale jak to zrobić, gdzie, kiedy? Opanowuje mię to szczególnie, gdy mgła, deszcz, wichur. Wtulam się wówczas w pelerynę i siedzę, jak zawsze, bez żadnego zajęcia. Myśli lecą...

— To tam, na Place de la Nation?

— Tam. Ach nie, nie tam... Już nie mieszkam w tym miejscu. Wracajmy! Ja żartowałam. Tu taka pustka, taka pustka obmierzała...

\*

W mieszkaniu swym na Place de la Nation Ewa przepędziła lato. Kilkakrotnie w najgorętszych tygodniach wyjeżdżała na wybrzeże bretońskie i rozbijała się w swych wykwiutnych toaletach. Wszędzie za nią włóczył się Szcherbic — z dala, z dala.

Rzadko z nim rozmawiała, a progu jej mieszkania nie przekroczył ani razu. W jesieni po powrocie do Paryża bawiła się coraz wystawniej. Strwoniła już była w ciągu tego czasu około dziesięciu tysięcy franków. Miała pełne kufry sukien, stosy pudeł z kapeluszami, szuflady rękawiczek, najrozmaitsze kształty parasolek, walizy bielizny i fatalaszków modniści.

Ginęła oczywiście w tym zbiorowisku elegantek, ale nie była zupełnie zapoznaną. Miała swój światek wielbicieli, którzy tracili na próżno czas i mienie, żeby dotrzeć do jej zacisza. Nade wszystko było dwu, którzy bardzo często, a niejednokrotnie z dnia na dzień, patrolowali w narożnej cukierni Becka, oczekując na jej wyjście. Skoro się ukazała, wlekli się za nią ordynarnie ulicami, dokądkolwiek szła. Jeżeli jechała omnibusem, jechali również. Gdy siadła do fiakra, zawsze przynajmniej jeden z nich towarzyszył jej jak detektyw. Byli nad morzem, dopóki tam była, i wrócili do Paryża, gdy tu przyjechała. Nie zwróciłoby to wszystko jej specjalnej uwagi, gdyż była przyzwyczajona do lowelasów i ich manewrów, jak myśliwiec do natury i obyczajów zwierza. Tymczasem twarz jednego z tych młodych panów uderzyła ją od pierwszej chwili, gdy go spostrzegła, i niepokoiła ją już stale.

Nie mogła sobie żadną miarą przypomnieć, gdzie ona tego człowieka widziała, ale żywiła w sobie bezwzględna pewność, że już raz doń przemawiała po polsku, i to w okolicznościach straszliwych. Nie wiedziała wcale, o czym z nim mówiła, ale tkwiło w jej pamięci wrażenie ohydne i groźne. Nieraz w nocy wynikały przed nią w ciemności oczy tego człowieka, oczy drapieżne, okrutne, srogie i, co do siły spojrzenia — jedyne. Był to przystojny, prawie piękny brunet o cerze smagłej, śniadej, z leciutkim wąsikiem nad rubinowymi wargami. Ewa przemierzała myślami wszystkie swoje dni i im bardziej wczuwała się we wrażenie rozmowy z tym człowiekiem, tym trudniej było cokolwiek przypomnieć. Gubiła się i gmatwała w domysłach i usiłowaniach. Doszła do jednego powzięcia, że to było w Polsce, na prowincji i w najgorszych chwilach życia. Wspomnienie owo po prostu cuchło<sup>154</sup>. Powiedziała sobie tedy, że to musiała być jakaś brutalna zaczepka w okresie ciąży, w dobie nieprzytomności. Na tym poprzestała, starając się (oczywiście na próżno) o tym nie myśleć.

Nie знаła się w Paryżu z nikim. Uczęszczała po dawnemu do teatrów, na operę, do kabaretów i teatrzyków na wszelkie widowiska i zabawy. Bardzo często była tym wszystkim zmęczona, jak niegdyś ciężką pracą w biurze, u szwaczek albo w cukierni. Ale już nie mogła przestać tak żyć. Musiała codziennie wyszukiwać sobie nowe zabawy, nowe podniety i za ich pomocą zużywać dzień.

<sup>154</sup>cuchło — dziś popr. forma: cuchnęło.

W odwieczera dżdżyste i słotne, kiedy Paryż stawał się czarnorudy i oślizgły od ciemnego błota, w godzinach, kiedy nie było gdzie iść, tłukła się w ścianach swego mieszkania i „była zamknięta w chillońskim lochu melancholii”. Zjawiały się w głowie złe myśli i ziewała wygasła próżnia wzruszeń minionych. Ażeby nie dać się „chillońskiemu świństwu”, układała plany nowego życia. Miała przed oczyma dwie zmy. Nie myślała o nich nigdy na serio, gdyż o niczym nie myślała w taki sposób. Ale zmy stały u progu jej domu i każda myśl twórcza wiedziała o nich, że stoją.

Pierwsza zmy — to była pewność, że Szczerbic wie o tym, co zrobiła z dzieckiem. Druga zmy była ta, że wkrótce, a przynajmniej kiedyś, wyszastają się pieniądze. Nie mogła ich nie rzucać, nie ciskać na prawo i na lewo, bo nie mogłaby żyć bez ciskania, ale drżała licząc, wciąż licząc to, co zostało. Nieraz już snuło się w myśli marzenie, żeby szaleć coraz bezmyślniej, bujniej, wspanialej, prędko wydać wszystko i dojść do tego krańca, który gdzieś tam ukazywał się poza wszystkim. Nie wiedziała jednak, co to za kraniec... I na myśl o nim — wzdrygnięcie ohydne. Gardziła nim... Znowu skupowała suknie, mantyle, kapelusze, buciki, *Dent's gloves*, najwyszukańsze pończochy, bieliznę, perfumy...

Poza dwiema zmyami stała u jej drzwi pewna konieczność, mglista, niejasna mgławica.

I oto pewnego dnia, kiedy przez okno wlewało się chmurne światło, mgławica nasunęła się przed oczy. Ewa siedziała na niskim foteliku. Wysokie i szerokie okno sięgało do samej posadzki, a wychodziło na wielki, zwirowany plac de la Nation. Z tej wyżyny widać było na krańcach horyzontu mdłą linię lasu, skrawek pola. Ewa podparła głowę obiema rękami i patrzyła w dal senną, mglistą, zadymioną. Nuciała lekką piosenkę...

Ciężkie powieki przymknęły się niepostrzeżenie i gdy usta jeszcze szemrały melodię, gdy oczy jeszcze widziały daleki szlak, gdy uszy słyszały łoskot i zgiełk uliczny, dusza patrzyła w krajobraz daleki, w rzeczywistość bardziej istotną niż wszystko, co działało na zmysły. Jakże dziwnie uczuła się szczęśliwą! Och, tak... Mała, niziutka trawa... Traweczka jak mech... Zmoczona wszystka wodą, obciążona nad miarę kroplami, które na wątych piórkach leżą. Kępką samotną ścielą się ubożuchne, białe, górskie kwiatki. Około sosnowych pniów leżą brunatne place zeschniętych igieł. Na każdej gałązce i na każdej igle świeci się woda. Słońce przenika w szczeliny między gałęziami i na mokre, blade trawy kładzie urok niewysłowiony. Jakież urok! Kształty znikome odziewków, krzywe linie gałęzi, liliowe cienie igieł... Z czarnej ziemi wystają tu i tam pniaki drzew dawno ściętych. Teraz je dopiero ujrzała... Rozmyte przez niezliczone strumienie deszczu, pożarte przez zgniłą pleśń... Każdy z tych pniaków — to chyba twarz... Lica straszliwe, przekłete i odtrącone! Tylko dla nich to jasne słońce nie świeci, deszcz żywotwórczy tylko ich jednych nie pielęgnuje. Wiatr dla nich — to niszczyciel. Toteż łkanie tych pniaków nieme w samotni, głos, którego nikt nie dosłyszy!... To Vizzavona...

Spod nikłej murawy wynurzają się okrągłe i podługowate kamienie, szare i cętkowane barwiście jak skóra żmii. Młody świerczek wyrasta z wilgotnej ziemi. Cienki jak kwiat, jak delikatne pióro. Jasna jego zieloność wyrывa się z czarno-leśnej masy, wyciąga ręce blade i przezroczyste. Las zadumany, nieruchomy. Sinozielone mchy jak delikatna oszczędliwa stroją pnie. Odziewki drzew stają się w słońcu seledynowe...

Aż oto nad szczytami drzew, w niebiosach, objawiły się niewiarogodne kształty gór. Jesienne, świeżo spadłe śniegi okryły je od podnóża do szczytów. Pierwszy to raz wyszły z chmur czarnych, z mgieł gęstych, z deszczów ulewnych. Oczy witają się z nimi jakby z obłoki wiosny, co spadły na zręby gór i rozsypały się na pochylniach przepaści — a wrócić już po wtóre na skrzydła wiatrów niebieskich siły nie mają. Chłód. Niemal zimno. Taka cisza... Potok samotny, potok wieczny wlece po ostrych kamieniach swój szum, swój szum...

Ocknęła się. Podniosła głowę.

Odrza! Przed oczyma — bure, faldziste obłoki, jak gdyby wymiona olbrzymie, obciążone do pełnej miary, wlokły się ku wschodowi w dymach, tuż ponad dachami, raz w raz poganiane przez wicher.

Wędrowcy posępni, idący w swą własną drogę. Splacheć rudej roli, tak daleki, że widzi się jakoby chmura... Ta jego wkładka w horyzont nastęczała się oczom i uporczywie, ościeniem nastawiła myśl o miejscu na ziemskim padole, gdzie spocząć wreszcie trzeba.

Zmoczone dachy, nasiąkłe wilgocią... Oślizgłe i odęte mury... Wiatr uderzał w szyby — ni to pierś i skrzydła pierzaste, poławiane kędyś w chmurach. Och, jakże wzdychał wiatr!...

Naraz z ciemnych i skłębionych mgławic — wyszła myśl niezłomna: nie ma innej rady, tylko wyjść za mąż za Jaśniacha. Bez niego niepodobna wracać do Warszawy. Jeżeli za niego wyjść — to można wracać. On wszystko przebaczy. Wszystko wyznać! Ach, jemu wszystko wyznać! Niechby naznaczył pokutę, jaką by chciał! Oddać mu resztę pieniędzy na te jakieś tam jego cele. Przyłożyć ręki do tego, co każe robić, przyłożyć ręki, ale tak, żeby martwe rzeczy poczęły chodzić, żeby kamienie wzdychały! Rzucić się jeszcze do nóg światu i przebłagać świat! Strasznie pracować... — wyszeptala z namiętą, z dziką rozkoszą...

A Szczerbic? Zadrżała jak od zimna i znowu ściągnęły ją dreszcze. — Mógłby się mścić... Mógłby powiedzieć Horstowi. Horst Barnawskiej. Teraz tamte małpy nic jeszcze nie wiedzą. Ale czyżby Szczerbic był zdolny? Jeśli go podrażnić tym wyjściem za Jaśniacha — może być zdolny. (Oni są zdolni do wszystkiego, jeśli im się nie oddać).

Gdyby zaś można mieć jego słowo honoru — „nieskalane” — gdyby przysiągł... Nazywać się — Jaśniachowa. Któż znajdzie? Zamieszkać w Krakowie, w Lozannie... Zerwać wszelkie stosunki z Barnawską, z Horścikiem i z tym... Szczerbicem. Ale jakże z nim zerwać, kiedy on wie? Nie można wrócić do kraju, póki on nie da uroczystego słowa honoru. A jak zażądać, jakim sposobem zażądać? Kiedy zażądać?

Przymknęła oczy i rozważała przebiegle, kiedy zażądać. A wszakże od dawien dawna wiedziała, kiedy zażąda tego słowa honoru. Zaciśnęła mocniej powieki i z wolna popadła w głuchy, cichy, półrozkoszny nie-sen. Obrazy piękności, którymi mogła władać dowolnie, napełniły pokój... Dumanie stawało się nienasycone, nieposkromione, mocne jak szpada idąca na przebój.

„Dobrze...” — rzekła sobie nareszcie.

Westchnęła. Oczy objęły daleki szlak lasu. Serce biło cicho, jak wiosło, co ledwie się porusza w mdlejącej dłoni.

Nagły dźwięk dzwonka wyrwał ją z sennego odrętwienia. Wstała z miejsca i wyciągnawszy przed się ramiona zdusiła w piersiach krótki szloch. *Concierge*'ka, od której wynajmowała swe dwa pokoiki, podała jej list, przyniesiony przez czyjegoś lokaja. Ewa rozerwała kopertę i nie miała chęci czytać listu. Domyśliła się, od kogo. Szczerbic pisał:

„W tych dniach wyjeżdżam do Warszawy. Może pani ma jakiegokolwiek do kraju zlecenie. Załatwię wszystko z miłą chęcią. Czekam na łaskawą odpowiedź w kawiarni Becka na rogu placu”.

*Post scriptum* opiewało:

„Gdyby pani raczyła sama pofatygować się na chwilę do wymienionej kawiarni i ustnie polecić mi, co mam w Warszawie wykonać, byłbym bardzo wdzięczny”.

Ewa przez chwilę z uśmiechem i przymkniętymi oczyma ważyła ten list na dłoni. Wreszcie rzekła do *concierge*'ki<sup>155</sup>:

— Czy ów posłaniec czeka?

— Tak.

— Proszę mu powiedzieć, że *dobrze*.

Gdy tamta wyszła, Ewa poczęła ubierać się — i to od stóp do głów. Bicie serca nie pozwalało myśleć o niczym, zastanawiać się trzeźwo. Tylko sprawa kostiumu. Kładła na siebie wszystko najwykwintniejsze... Jakież ciemne złudzenie, należące już do przepastnej krainy oblędu, czarowało, że to Warszawa, że to Łukasz przyjeżdża... Struchlenie cielesne tak znane, tak znane... A za nim stoi najgorszy ze śmiechów, najbezwstydniejsza z mądrości... Wszystko to razem... Prędko była gotowa i bez jednej myśli w głowie wyszła.

Szczerbic siedział w pustym pokoju wykwinnej cukierni nad kieliszkiem wina i gazetą. Ujrawszy Ewę, przybladł mocno i nie mógł się zdecydować, żeby usiąść na swym miejscu.

— Nie wiedziałam, że pan już jedzie... — rzekła bezmyślnie.

— Tak, pani. Już pojedę. Ojciec mię wzywa.

— Zostanie pan w Warszawie przez zimę?

— Zostanę. Tak, zostanę w Warszawie przez zimę. Zresztą... na wsi.

<sup>155</sup>*concierge* (fr.) — dozorca, dozorczytni.

— Dziwnie się pan pokierował w tym roku: lato w Paryżu, jesień w Warszawie... Któż to widział?

— Rzeczywiście. Może w przyszłości poprawię się.

— Trzeba koniecznie.

Uśmiechnął się i z prawdziwie arystokratycznym wdziękiem uklonił.

— Pani tu zostaje?

— Zostaję.

— Cóż mam uczynić w Warszawie?

— Gdyby to panu nie przyczyniło zbyt wielkiego kłopotu... Ale tylko w tym wypadku!

Po pierwsze — czy ojciec mój zdrow? Czy ma zajęcie? Co robi? Wszystko o ojcu.

— Rozumiem.

— Może by można jakimś sposobem — i o matce. Ale nie od ojca... Może w ostateczności... Choć — nie, nie!

— Oczywiście, że nie od Horsta.

— Niech pan za żadną cenę nie mówi Horstowi, gdzie ja jestem i co ze sobą robię. Owszem, gdyby go można jakimś sposobem wyprowadzić w pole...

— Dobrze. Nie będę się z nim widział, ale to zrobię. Obmyślę.

— Najważniejsza rzecz — to żeby mi pan przysłał adres ojca dokładny, ale biurowy. Chcę do niego pisywać.

— Tak.

— Wszelkie o nim szczegóły byłyby dla mnie po prostu, po prostu...

— Mogę tedy pisać do pani według obecnego adresu?

— Czy może pan pisywać? No... tak. Choć to wszystko... Ach, po co my to mamy wlec, ciągnąć? Może... niech pan wcale nie zajmuje się tym wszystkim!

Mówiła to już oschle i zimno, w sposób niemal obrażający. Szczerbic siedział bez ruchu, sztywno. Twarz jego była obojętna, oczy bez wyrazu. Cień wściekłości, wzdrygnięcia szaleństwa przesunęło się po jego twarzy, ale natychmiast znikło, spędzone aktem woli.

— Więc pani do Warszawy teraz nie pojedzie?

— Ja do Warszawy? Chyba pan żartuje? Cóż ja tam będę?... Zresztą, jakżebym mogła tam jechać... — mówiła wlepiając oczy w marmur stolika — toż tam czeka na mnie...

— Kto?

— W miasteczku... wyszeptła.

— Co takiego? — rzekł Szczerbic.

— Pan przecie wie!

Parsknęła udanym śmiechem. Raptownie umilkła i mówiła jednym tchem:

— Dopóki żyje ów Żyd, nie mogę przecież wrócić!

— A on żyje, niestety.

— Pan wie, że żyje?

— Wiem. Ale jest ta pociecha, że on będzie milczał, dopóki ja żyję.

Ewa znowu zachichotała niemądrze — i rzekła:

— Łaska pańska na pstrym koniu jeździ.

— Moja łaska nie jeździ na pstrym koniu.

— Doprawdy? A gdybym też tak zażądała dowodu, że ów Żyd nigdy nie przemówi... To jest, że on się nie dowie, gdzie ja jestem, co ja jestem za jedna?

— Dowodu? Jakież tu można dać dowód?

— Muszę mieć poręczenie, i to, wie pan, na piśmie.

Szczerbic spojrział na nią uważnie i długo rozważał. Twarz jego drgnęła i bezgraniczna czułość, niezglębiona litość zasłoniła jego oczy.

— Biedna sieroto! — jęknął z miłością. — Takie to radości zapełniają noce pani?... — Co takiego? — odpaliła z udaną wyniosłością.

— Ot — nic. Tak sobie. Melancholizuję, smęcę rozmowę. Więc jakże to ma być pisany ów dokument, ów cyrograf?

— Ma być pisany przez pana, ma być stwierdzony honorowym słowem, że nigdy ów Żydek nie dowie się, gdzie ja jestem. Że nawet w sądzie, nawet zaprzysiężony nic nie powie.

— A pani sobie tak po prostu sądziła, że on mógłby się dowiedzieć, gdzie pani jest... ode mnie? *Dear me*<sup>156</sup>!

— Ech, ja tak tylko!

— Nie, nie! Ja się nie gniewam. Dobrze, napiszę ów cyrograf. Mogę go napisać krwią spod serca, że nigdy ani ów Żydek, ani nikt inny nie dowie się ani jednego wyrazu o tym, że to pani tam była. Chce pani, żeby to teraz napisać? — mówił z uśmiechem.

Gdy to mówił, we drzwiach pokoju ukazał się adorator Ewy, piękny brunet. Stał na progu przez chwilę, z oczyma wlepionymi w rozmawiających. Gdy nareszcie znikł, ona rzekła z pośpiechem:

— Tak, teraz napisać!

— Chyba nie tutaj?

— Dlaczego?

— Jakże to tutaj układać?

— A gdzież?

— Niech pani pójdzie do mnie... — rzekł z prostotą.

Uśmiechnęła się łagodnie. Patrzył na nią spokojnym, wyjaśnionym wzrokiem. Widział za czarną wualką błękitne jej oczy i przecudowną półbarwę lic. Usta różane, włosy pozłocistymi pasmami spływały ze skroni. Była w owej chwili piękna jak widzenie anielskie. Uczucie radości i rozpaczliwej tęsknoty, uczucie goszczące w duszy, uczucie z lat, kiedy jej jeszcze nie widział, gdy stał przed pewnym obrazem w starej pinakotece czy w muzeum Brera... Jestże to Mary Ruthwen, żona van Dycka, czy *Widzenie dziewicy* przez Leonarda da Vinci?

— Daje pan słowo?

— Już dałem słowo, że napiszę.

— Nie! Inne słowo.

— Daję... — tchnął przez łyż.

— Dobrze. Pójdę.

Jeszcze raz westchnął z głębi piersi, a raczej chwycił piersiami powietrze. Straszna radość, opanowana wszystką siłą ciała, przemknęła po jego twarzy. Zapłacił natychmiast za kieliszek wina. Wyszli.

Wiatr mიაł co chwila sukniami i dużym, w tyle głowy związanym wualem Ewy. Szła lekko, chyżo, z niewymownym wdziękiem. Lekkomysłność i wesołość malowały się na jej twarzy. Szcherbic raz jeden podniósł na nią oczy: widział tylko uśmiech... Przyjął go do swego serca jak płomyk ognia ofiarnego. Sennie, leniwie, mglisto myślał o tym, jak kształt jej postaci jest dziwnie niestały, pastelowo kruchy i zmienny — jaka w niej jest przewaga przejść sferycznych z jednego organu w drugi — jak zatracone w niej jest łamanie się jakiegokolwiek linii, jak nie ma prawie linii... Jest tylko boska całość, nierozdzielność, jedność, niby w ułamku posągu Afrodyty z Knidos, która została z jednym ramieniem i dziewczymi piersiami, a jest sobą, wiekuistym bóstwem... Usiłował odgadnąć, na czym polega nieuchwytność wdzięku postaci Ewy. Bo piękno jej ciała było wieczne, bytujące poza namiętnościami ludzkimi. Tłumaczył sobie sposobem szkolarskim, że poruszenia jej ciała odbywają się nie w zakresie linii prostych, lecz przedziwnie krzywych, zaokrąglonych w przejściach z jednego kierunku w drugi, z jednej płaszczyzny w drugą. Ruchy jej miały coś wspólnego z muzyką: zmienność i niespodziewaną żywotność.

Szli z ulic, w ulice, skręcali w zaułki, mijali przechodniów, nic do siebie nie mówiąc. Nareszcie wkroczyli w dziedziniec wylany asfaltem. Na środku był basen wodny, w którym od kropel deszczu marszczyła się ciemna wilgoć. Ewa szła w odrętwieniu. Obejrzała się kilkakrotnie, czy ich nie ściga brunet z cukierni... Dziwnie przykro uraził ją szelest kroków, gdy mijali dziedziniec. Został w oczach bluszcz rozpięty na ścianie i paskudnie śmiejąca się głowa fauna ponad basenem. Szcherbic szedł o pół kroku naprzód. Minęli jakiś korytarz i wstąpili na pierwsze piętro. Na odgłos dzwonka otworzył drzwi lokaj w czarnym fraku, Francuz, człowiek stary, gruby, z ogromnymi faworytami. Zgięty wpół, pomagał Ewie ściągnąć z ramion syberynowy paltocik. Szcherbic otworzył drzwi i wpuścił ją natychmiast do niewielkiego salonu. Stały tam skromne, czarne meble, pianino, szafka na nuty. Na ścianach były kolorowe miedzioryty angielskie z XVIII wieku. Nad kominkiem ogromna,

<sup>156</sup>*dear me* — ależ skąd; ojej (itp. wykrzykniki emocjonalne).

pigmentowa, prześliczna reprodukcja Mony Lizy. Ewa usiadła na kanapce i natychmiast, z pośpiechem, zaczęła przeglądać tekę ze sztychami. Serce w niej dziwnie drżało i zimno nieznośne ścisnęło wnętrze.

Pomimo tego rozstroju nie mogła nie poddać się urokowi dzieł arcyzmu, które miała przed oczyma. Były tam prześliczne — można doprawdy powiedzieć: boskie — *surimona*, japońskie kolorowe drzeworyty z pozdrowieniami, trzymane w barwach nikłych a rozmaitych nieskończenie, były podobizny utworów Segantiniego, Vatenabe Gauguina, niektóre sztychy Goyi i czupiradła Hogartha, dawne staloryty angielskie z Perditą, Musidorą, Georgianą Devonshire Gainsborougha, z Nelly O'Brien Reynolds... Ewa trafiła na reprodukcję *Źródła miłości* Segantiniego i poczuła na widok tego cudu sztuki, że za chwilę zapłacze. Szczerbic siedział po drugiej stronie stolika i pomagał przewracać ryciny. Kiedy niekiedy wskazywał delikatnie na pewne szczegóły, na barwy srebra, wytłoczenia i połyski barw, jak gdyby logarytmy kolorów w drzeworytach Japończyków, tłumaczył, co znaczą napisy u Goyi, Hogartha, Reynolds, Tomasza Gainsborougha, Beardsley'a. Nie widziała go i nie mogła podnieść oczu. Bała się, że będzie wskutek depresji oddychać szybko i że on to spostrzeże. Ze wszystkich sił tłumila rumieniec; który palił się i rwał na twarz z głębi ciała.

— Jakże napiszemy nasz cyrograf? — rzekł wesoło.

— Nie wiem, jak się to pisze... — mruknęła półsmutnie. — Widzi pan, chciałabym jeszcze kiedykolwiek być w Warszawie.

— Chce pani, żebym dał słowo, że nie zająknę się przed nikim o tamtej smutnej chwili? Czy tak? Że nawet w sądzie?

— Ja nie wiem, czego chcieć... Bałam się pana.

— I teraz jeszcze boi się pani?

— I teraz jeszcze.

— Przysięgam na Boga, na ten krzyż, na mego ojca, na pamięć matki, na mój honor, na tę moją prawą rękę, na moje nazwisko, że nigdy pani nie skrzywdzę!

— Już pan raz przysięgał. Ja nie wiem zresztą, po co to robię. To jest z mej strony głupie i podłe!...

— A teraz boi się pani jeszcze?

— Nie. Już o tym nie mówmy!

— Och, tak. O czym innym! Dobrze?

— Dobrze.

— A co by pani sprawiło przyjemność? Mój Boże, gdybym ja wiedział! To jest, właściwie, przecież wiem...

— Pan gra?

— Gram trochę... „sobie, nie komu, swe, nie cudze rzeczy”...

— Proszę mi zagrać...

— A jak znudzę?

— Toteż grać bardzo ładnie.

Usiadła głębiej w swym miejscu, zasunęła się w kącik. Szczerbic odwrócił krzesło, znalazł się przy fortepianie i począł grać natychmiast.

Spłynęła melodia przedziwna, przesywająca, żalonna. Tony te spadły na Ewę niespodziewanie i wraz oplątały ją wszystkie niepojętymi pętami. Czuli narzuconą bezsilność, jak gdyby jej związane ręce i nogi. Głos główny, głos żalony jak sztylet zamierzał się do ciosu i niby zdradziecka ręka odskakiwał przed uderzeniem. Zamieć tonów porywała na wysokość, pędziła wyżej, i wyżej kędy już nie ma tchu. Aż wreszcie — szczyt. Niebo rozwarło. Jasne śmieją się chmury. Ulga spływa w powiewach prześlicznej muzyki... Oto chwila, kiedy rozwiązuje się niemy język samotności i język niemych jej pociech, błędzących nad przepaściami. Jeszcze jeden, jeszcze jeden niedostępny gradus do najwyższego ołtarza, skąd ukojenie spada lekko i lekko jak płatek zwiędłej róży po falach cichego wiatru. Ręka ojcowska, kojąca, miękka dłoń na czole. Łzy kapią na włosy nierządne, na oczy bezwstydną, na ramiona całusom męskim wydane, które on wyhodował w czystości. Cichy i mroczny wieczór w opuszczeniu i beznadziei. Lecz jeszcze radosne marzenie o przyszłych dniach drży w sercu. Prosi się serce ostatnim swoim uderzeniem: zabrzmi raz jeszcze, o melodio miłościwa...

Lecz oto nagły cios! Głos niewiadomy, potężny i obcy wszystkiemu, co jest na świecie, wybuch z rozgwaru tonów. Wszystko to, co jest w rosyjskiej duszy, a czego nie ma w żadnej innej, wszystko, co się zawiera w niewytłumaczalnym i jedynym słowie — *swirepyj*<sup>157</sup> — rzuciło się na duszę. Porwał wszystko i poszarpał wicher szaleństwa. Skurcz boleści wstrzymał serce w biegu. Wychynął z nicości jakowyś potworny dialog rozpętanych gniewów. Dały się słyszeć wrzaski, pomruki i groźby potworów przeciwko samotnej duszy, trzęsącej się w pustce i poharbieniu. Oto upadła już jej głowa i bez sił leży. A i wówczas nie ustaje, lecz wzmaga się rozpacz. Lecą dźwięki! Nie — to nie dźwięki! To promienie księżycy na ścianach izby w mieście dalekim, to jęk ponocny, to płacz dzieciątka uduszony... To skarga rozpostartej na ziemi, zdeptanej i skarżącej się głębinie, która pochłonie ją, jak innych pochłonęła... Ostatnie niedokończone nuty porwały świadomość i, zdało się, zniszczyły ją zupełnie.

Szczerbic przerwał na chwilę.

— Co pan grał? — zapytała.

— To? Niektóre miejsca z pierwszej części *Symfonii patetycznej* Czajkowskiego. Ale już dosyć!

— Nie! Jeszcze!

— Co grać?

— Jeszcze to!

— Nie chcę, nie mogę. Zagram pani takiego *Motyła* Griega. Dobrze?

— „Motyla” — cha-cha!

— Dlaczego się pani śmieje?

— Tak sobie... Przypomniałam sobie pewnego motyla. Był czas, kiedy byłam motylem. Czy pan uwierzy? Nie, za nic nie chcę słuchać *Motyła*. Tamto, panie!

Gdy Szczerbic zaczął grać znowu *allegro* pierwsze i drugie tejsze Symfonii, cicho wstała ze swego miejsca. Idąc bez szelestu po dywanie, zbliżyła się do niego. Stała z tyłu, za krzesłem. Uczyniła to niemal bez wiedzy o tym, co robi, wbrew woli, ze wstydem, który jednak nie panował nad samowolnymi ruchami. To muzyka dźwignęła ją, kazała wstać z miejsca i iść ku fortepianowi. W locie błysnęła myśl, że nigdy Łukasz nie sprawił jej takiej rozkoszy, żeby dla niej samej grać, jak gra Szczerbic. Szczerbic zaś gra dla niej jedynej i mówi do niej przez usta muzyki.

Zdyszana, pąsowa od ognia wstydu stała jak ciche widmo. Gdy przewinął się pewien akord przewodni, grający półodwrócił głowę. Głęboka radość świeciła się w jego oczach jak samolśniący blask. Posunął po dywanie lekkie krzesło w pobliżu stojące i podał je Ewie. Usiadła. Musiała usiąść tak, jak stało krzesło: nieco za nim, a tak blisko, że ramieniem opierała się o poręcz krzesła.

Począł znowu grać. Na twarz jego występował i gaśł żywy ogień. Ewa z wolna — z wolna zsuwała się i podpadała pod władzę muzyki. Widziało jej się w marzeniu mocnym jak rzeczywistość, że gdzieś w kraju jest w pobliżu traktu, gościńca, polskiej naszej drogi, zalanej garusem<sup>158</sup> marcowego błota. Spozregła w gęstej mgłę małą dziewczynkę, drobne dziecko opuszczone. Nogi jej w dziurawych trzewicznach toną w bloku tak gęstym, że za każdym krokiem naprzód i w tył padają strzały i bryzgi. Sukienka na niej „szkocka”, chusteczka żółtawa na głowie. Wicher dmie. Ze starej, obłamanej, wyschłej topoli lecą liście. Co to za dziecko i czyje? Nawija się na usta, wypowiedziane przez muzykę, słowo najbardziej polskie: — sierota. Widok tej nędzy i tego smutku, któremu nic się poradzić nie może, sprowadził nieoczekiwany zwrot do gniewu i odepchnięcia, do wyniosłości i pogardy. Melodia powtarzająca się, kierownica marzeń, poczęła mętnieć, posunęła się w mglistość, zostawiając po swym odejściu niezwalczony zaród siły. Wszystko w melodii tej stało się brakiem normalnego biegu, wszystko stało się bezwzględny wyładowaniem innerwacyjnych stanów uczucia. Natomiast dała się uczuć ślepa i bezwzględna rozkosz namiętności. Ewa zacisnęła zęby, rozwarła powieki i brnęła w rwący a bezdeny nurt uniesienia.

Przejścia stały się coraz bardziej zrywane, przeistoczyły się w szarpaniny, w przeskoki, gdzie ginęły samoistne stany duszy. Wszystko to poczęło tworzyć tło przerażające, jak

<sup>157</sup> *swirepyj* (z ros.) — okrutny.

<sup>158</sup> *garus* — maź.

gdyby kratę, zza której raz w raz błyskają okrutne, dzikie, podłe i rozwścieczone oczy. Zdało się, że serce nie zniesie tego nadmiaru napięcia, gdyż wszystko, co ma wybuchnąć, zrywa się w zaraniu ni to westchnienie dziecięce, które pięść zbójcka dławi w małych piersiach i uciska na zawsze. Nasunęły się przed oczy Ewy asocjacyjnie jakoweś mętne obrazy i myśli nowe. obce od początku do końca. Widziała w pewnej chwili coś strasznego, jakby błysk noża, który ma piersi rozdrzeć i wynaleźć serce ludzkie znikczemniałe.

Ach, z jaką ulgą westchnęła, posłyszawszy w tej otchłani przecudny śpiew... W echu dalekiej pieśni, w tym tchnieniu odległej mocy ludzkiego żywota, jakiż to był wyraz niezgłębionej mądrości. Uśmiechnęła się z rozkoszą. — Połysk w oczach, zalanych łzami, i radość w sercu: wszakże to tylko morze tak wiosenną swoją pieśń śpiewa.

Szczerbic nie mógł grać dłużej. Głowa jego zwróciła się bezwładnie. Ręce przyczółgały się do rąk Ewy. Patrzył w nią rozszalałymi oczyma.

Nie odbierała mu rąk i nie mogła wydrzeć swego wzroku z jego oczu. Pod wpływem niespodzianego natchnienia zaczęła mówić cichaczem:

— Czy są takie grzechy ludzkiego życia, żeby już nigdy nie mogły być zmazane, zartarte, zglądzone? Czy są takie występki, których życie późniejsze już niczym, niczym zasłonić nie zdoła? Czy grzechy są niezniszczalne na wieki, czy one są same w sobie, czy są urojeniami naszej duszy? Czy natura ludzka nie może stać się po wtóre czystą, znowu taką jak przezrocze diamentu co do mocy i znowu tak żywą, tak śpiewającą jak wody morza?

— Nie wiem, Ewuniu...

— Wszyscy nic nie wiemy.

— Ewuniu!... Czy mogę tak mówić?

— Możesz.

— A ty będziesz mówić do mnie jak do brata?

— Dobrze! Ale jacy my ludzie wszyscy jesteście strasznie biedni!...

— Ach, jacy biedni! Każdy z nas — to „mieszanina rośliny i upiora”, jak powiedział ten pyszałek, który sam — żał się Boże!... Dlaczego byłeś dla mnie zawsze tak okrutna?

— Nie mogłam...

— Wszakże wiesz wszystko, czym ty dla mnie...

— Miewam nieznośne sny, częste widzenia w półdrzemaniu. Jestem tutaj, przypuścimy, a widzę takie coś obce, nigdy niespotykane, cudactwa, pejzaże, sceny... Gdyś grał, widziałam... We mnie niewiele już jest rośliny. Daleko więcej upiora.

— Po cóżeś ty to wówczas zrobiła, po cóżeś ty to?... — wyszeptał.

— Czy ja wiem?...

— Tak mi ciebie strasznie żal!

— A nie można tak, żebyś mię sobie czymś obrzydził, żebyś we mnie dostrzegł coś wstrętnego, odrażającego, żebyś zupełnie przestał?... Nie można?

— Nie. W tobie jest moje wszystko. Wszystkie moje namiętności. W twej duszy jest to, czego ja nie mogę poznać, a czego nie znam, bo jest tylko w tobie jednej. To jest wiecznie a niezmiennie nowe! We mnie tego nie ma ani cienia, a ja to jedno lubię, och, lubię do szalu! Ty jesteś zupełnie jak ta muzyka. Jak muzyka jest z zewnątrz, a jest moja własna, tak samo ty. Czy wiesz, że ja do samego siebie mam odrazę, nawet do swej miłości dla ciebie mam odrazę, a kocham twoją miłość dla Łukasza... Gdybyś mogła uwierzyć, jak kocham twoje kaprysy! Bo wtedy najbardziej — za tobą, już mi znaną, jest jakaś inna, znowu inna! Ja już nie żyję moim własnym życiem, tylko żyję tym, co jest w twoim usposobieniu, w twojej wesołości, w twoim smutku, w twoich niespodzianych zadumach. Wiem prawie zawsze, co ty czujesz. Ale tylko wówczas, kiedy uczucie już przyszło! Ale skąd przyszło? Przeczuję, co zrobisz, i to w chwili najdziwniejszego kaprysu, ale dlaczego taki a taki kaprys porzucisz? Pragnę mieć w swej duszy wszystko, co jest w twej duszy, a wiecznie mam w duszy próżnię. Dlatego to — poszepnął w uniesieniu, z uśmiechem — ja strasznie kocham twoją zbrodnię. Gdy cię nie widzę, jakoś potwornie cieszę się i czatuję. Często postanawiam wyrwać cię ze siebie, zadać sobie harakiri ducha. Ale wówczas poczynasz, nie wiedząc o tym, nęcić mnie, wabić mię... o, jak ta *cantilena*...

Wydobył z klawiatury ów głos główny, przewodni, ów promień wodzący marzeń... W pewnej chwili cisnął go w pustkę klawiszów i znowu mówił:

Grzech, Wina, Przemiana,  
Morze

— Uciec przed tobą — to znaczyłoby uciec przed sobą. Więc jakże cię mam znienawidzić?...

— Znienawidziłbyś mię, gdybym tu została na noc.

— A ty nie kochasz, nie?

— Już mówiłam.

— I nigdy!

— Straszna jest władza grzechu. Diabeł mię opatrzył błogosławieństwem, utulił, uciszył, tchnął we mnie ducha. Nigdy nie popełniaj takiego grzechu! Idę wśród świata pod cieniem szkarłatnych skrzydeł jego siły. Była taka jedna chwila w kościele, kiedy mię ten demon zgwałcił. Od wszystkiego uciekłam i ode mnie wszystko uciekło. Czuję się jak samotny tułacz. Co tobie po mnie i co mnie po tobie? Chciałbyś odziedziczyć ten spadek po innym? Ty — po innym!

Szczerbic mówił w zadumie:

— Dlaczegoż nie zobaczyłem cię, gdy byłaś panną. Ach, gdybym cię był zobaczył wówczas!

— Ty chciałbyś — zachichotała z okrucieństwem — ty... pierwszy chciałbyś mię posiadać, nieprawdaż?

Nagle zaskowyczał w obląkaniu.

— Jeszcze go kochasz?

— Nie mów do mnie... — odrzekła, usuwając ręce i zakrywając nimi twarz.

— Niepodobna przepołowić duszy i niepodobna przepołowić ciała. Wy to jednak potraficie. Potraficie oddawać się jednemu, a innego kochać. Och, Boże!

Nie spostrzegła, kiedy obok niej ukląkł. Nie broniła mu, kiedy odjął jej ręce z twarzy i otoczył sobie nimi szyję. Skłoniła głowę i o jego skroń oparła czoło. Patrzyła mu w oczy cichymi oczyma. Głęboka ich objęła zaduma. Minęły długie chwile. Zaczęła mówić cicho i z duszy:

— A mógłbyś dla mnie być bratem? Mógłbyś? Byłbyś dla mnie braciszek Siżyś... Mówiłabym ci wszystko, może tak samo, jakem niegdyś mówiła Łukaszowi. Tylko... żebyś... tego nie chciał...

— Ale usta, raz jeden usta! Twoje usteczka maleńkie, twoje usteczka różane!

— Nie mogę.

Niepostrzeżenie, szybko, nim się spostrzegł, sposobem podstępny ujęła jego rękę i przycisnęła ją do ust z szeptem;

— Niech pan będzie dobry!

— Jemu oddałabyś się natychmiast, gdyby się tylko zjawił... Prawda?

— Tak.

— I jego kochasz, tak oto opierając czoło o moje czoło?

— Tak. Ale chciałabym ci powiedzieć o śmierci. Co byś myślał? Mnie się wydaje, że bywają wypadki, kiedy śmierć nie jest oparta na błędzie myślowym. Wydaje mi się, że może być konsekwentnym i moralnie słusznym czynem. Może nawet być kwintesencją etyki!...

— Śmierć — to znaczy — samobójstwo?

— Mniejsza o to! Codzienna moralność wyklucza taką śmierć z zakresu postępowania etycznego. I o ile ją sądzi jako przeciętny wypadek, to ma nawet rację. Ale z drugiej strony, ze strony moralności „przeciętnego indywiduum”... Jeżeli ktoś wie, że zdradził wszystkie swe siły duszy, jeżeli wie, że zabrnął w cuchnące szuwały, a jest choć odrobinę — do licha! — moralnym szlachcicem... Przecie jest w człowieku coś własnego, jak gdyby stary ryngraf rodzinny, co czasem zostanie najostatniejszy z bankrutami... Jeżeli taki człowiek umrze... Mój miły i dobry panie!... Jeżeli taki człowiek umrze... Nie masz dla kobiet na świecie przebaczenia. Grzech woła. Wszystko się płacze, owija się wokoło ciała jak nieskończenie długie badyle błotnych grzybieniów. Na wierzchu nenufar uroczy...

— A czy nie zdarzyło ci się czytać żywota Marii Egipcjanki, pisanego przez biskupa Sofroniusza? Ja chowałem się w gimnazjum jezuickim, więc takich rzeczy wchłonąłem bardzo wiele. Jest w tej cudownej baśni miejsce, gdzie święty starzec Zosimas czeka w dniu Zmartwychwstania nad brzegami Jordanu, by udzielić Marii, która dziko żyje w puszczy, świętej komunii. Włożył w koszyk kilka fig suchych i palmowego owocu, nieco soczewicy

w wodzie moczzonej, święta wychodzi z puszczy i po drugiej stronie rzeki stoi w jasności księżycyca...

— A czy ty jesteś... Zosimas? Maria Egipcjanka zgładziła grzech swój, przez czterdzieści lat nago i w dzikości leżąc na pustyni, w upale i na mrozie, w płaczu i rozpacz. A teraz wszystko jest tak podłe! Ja byłam czysta. A teraz jestem brudna, nikczemna, łotrzyca, szelma, obwalona dookoła grzechami. I nigdy już tamto nie wróci! Nie mogę już być czysta, bo nie mogę wybrnąć, nie mogę dać sobie rady! Powiedz, co ja mam zrobić?

— A gdybyś... postanowiła nigdy nie wychodzić za mąż i nigdy, nigdy... Nigdy nie być niczyją! Czy mogłabyś zrobić to dla mnie, żeby nie być... ani jego, gdyby do ciebie wrócił?

— I cóż by ci z tego przyszło? — (W myśli poprzysięgła sobie: „Dobrze... Jak najszybciej, jak najszybciej wyjść za Jaśniacha!”).

— Ja żyłbym tak samo. Bylibyśmy tak, z dala od siebie, jak ów Zosimas i Egipcjanka. Dopóki...

— Dopóki co?

— Aż może przyszlaby miłość...

— To tylko podstęp z twej strony... — rzekła uśmiechając się blade. — Mówisz, że mnie już kochasz od dawna cielesnie. Chcesz czekać na chwilę, gdy zapomnę Łukasza — i tobie się oddam cielesnie. Nic więcej w tym nie ma. Zresztą ja... gdyby wrócił i kazał, musiałabym być posłuszną, bo ja...

Nachyliła się ku niemu i z zamkniętymi oczami, spaśowała niespodziewanie, dała świadectwo prawdzie:

— Bo ja go kocham.

Po chwili dodała ze spokojem:

— Ale on już nie wróci i nic nie rozkaże. Więc co? Mogę być twoją ślubną siostrą.

— Ale przysięgnij!

— Nie będę już nikomu przysięgała. Wszystko, co by mnie z tobą łączyło, byłoby jednostronne. Tylko tak: moja dobra wola i moja zła wola. Chcesz?

— Tak nie mógłbym ci wierzyć. A myśl, że ty możesz być z innym, odbiera mi rozum!

Ewie przysłała do głowy szatańska myśl, żeby mu powiedzieć, jak to w Montreux spędziła pół dnia w łóżku z człowiekiem prawie zupełnie nieznanym. Mały uśmiezek chybotął się na jej ustach. Ale odrzuciła tę myśl jako niepraktyczną. Drapieżne marzenie, że teraz będzie posiadała pełną władzę nad Szczerbicem, jak zapach narcyzowy snuło się wokół jej zmysłów. Szepnęła z cichą pasją:

— A ty przysięgniesz, że nie zbliżysz się do żadnej kobiety, ale do żadnej — nigdy?

— Przysięgnę!

— Że wszystkie twe namiętne myśli, wszystkie sny, wszystkie zmysłowe obrazy będą należały do mnie?

— Przysięgnę!

— A na co przysięgniesz?

— Na co każesz!

— Jak poprzednio: na Boga, na krzyż, na honor, na nazwisko?

Uśmiechnął się. Chciał coś wyrzec i nagle umilkł na długą chwilę. Usta poruszyły się i nie mogły wydać słowa.

— Co? — szepnęła laskawie.

— Nic... Pewne cudne słowo, pewne złudzenie...

— Jakie?

— *Dans le véritable amour c'est l'âme, qui enveloppe le corps*<sup>159</sup>. Mówi ten Nietzsche, że jest to najbardziej wstydlive słowo. Może ono ogarnie nas i ciebie odkupi!

Nagle wstał z klęczek i w obląkaniu krzyknął:

— Ewo! A gdzie ty byłaś, dokąd pojechałaś z Nicei?

Parsknęła opryskliwie:

— Byłam na Korsyce.

— Z kim?

<sup>159</sup> *Dans le véritable amour c'est l'âme, qui enveloppe le corps* (fr.) — w prawdziwej miłości to dusza jest powłoką dla ciała.

— Z poetą Jaśniachem.  
 — Czy byłaś jego kochanką?  
 — Nie.  
 — Czy mówisz prawdę?  
 — Mówię, co mi się podoba.  
 — A powiedz to jedno, wyznaj przed moją duszą czy całowałaś jego usta, czy jego usta? — żebrał, wpijając się w nią oczami.  
 — Nie całowałam go w usta.  
 — Wspomniałaś mi niegdyś, że mogę starać się o twoją rękę. Ja dowiedziałem się o twojej wyprawie. Portier z hotelu Suisse powiedział mi, dokąd pojechałaś. Byłem tam. Mieszkałaś z tym człowiekiem.  
 — Mieszkałam obok niego. Pokoje nasze były obok...  
 Oczy jej zaszyły mgłą. Usta jakoś przedziwnie drgnęły. W tym drgnieniu ust miłość Szczerbica zawisła jak w pętlicy i konała. Ewa mówiła, patrząc w próżnię z pogardą:  
 — Ta wasza rozpusta! Wszystko byście zrobili dla tej rozpusty! Dla tej krótkiej, potwornej chwili zabilibyście przenaajsświętszą czystość miłości! Ohydni rozpustnicy! Tylko Jaśniach.  
 — Dlaczegoś wówczas uciekła? Po coś to zrobiła?  
 — Nie zrobiłam wówczas nic złego. Zaręczam panu hrabiemu. Gdybym wówczas została w Nicei, byłabym zrobiła daleko gorzej. Ach, puść mnie już! Pójdę do domu.  
 Szczerbic oparł głowę na jej rękach. Czowała, jak drżenie tajemne po nim przebiega. To drżenie przejmowało ją wstrętem, ale zarazem budziło w niej samej dreszcz namiętny. Myślała z politowaniem, jaki on jest słaby. Czowała, że nic na ziemi nie będzie w stanie uciszyć w nim tego wstrząśnienia, tylko to jedno, gdyby mu się oddała. Patrzyła w zamysleniu na jego śliczne włosy. Wola jej wahała się na prawo i lewo. To chciało jej się odepchnąć tę głowę bezsilną, wstać i wyjść. To znowu podpływał impuls nieokreślony, żeby pieszczotliwie zapuścić palce w pachnące włosy. Dała się unieść ostatniemu. Szepnęła cicho:  
 — Siżyś...  
 Uśmiechnął się.  
 — Już pójdę.  
 — Wrócisz do swego domu?  
 — Tak.  
 — Cóż tam będziesz robiła?  
 — Tak sobie, jak zawsze. Będę rozkładała i składała smuteczki swego życia.  
 — To lepiej zostań u mnie jeszcze godzinę. Będę ci grał Griega... Chcesz... *Wiosnę?*  
 — Nie. Już nie chcę muzyki. Twoja muzyka otwierałaby drzwi do tamtego pokoju. Ty tam śpisz, prawda? Bądź szlachcicem!  
 Namyslała się przez chwilę, głęboko, w końcu rzekła:  
 — Powiedz... przebaczysz mi wszystko?  
 — Wszystko!  
 — I ja tobie. Już pójdę.  
 Wstała. Podawszy mu prędko rękę, wysunęła się za portierę. Poszedł za nią. Narzucił na ramiona palto i sprowadził ją za rękę ze schodów. Na ulicy przywołał fiakra i pomógł wsiąść do powozu. W ostatniej chwili, kiedy podawała mu dłoń na pożegnanie, zapytał:  
 — Czy bardzo znudziłaś się u mnie?  
 — O, nie!  
 — A czy przyjdiesz jeszcze?  
 — Przyjdę, przyjdę z pewnością.  
 — Kiedy przyjdiesz, siostrze?  
 — Choćby jutro.  
 — O tej samej godzinie?  
 — O tej samej.  
 Wsunął się na sekundę do powozu i szukał w ciemności jej ust z cichym, głuchym szlochem. Odchyliła go dobrotliwie a silnie. Ścisnęła mu rękę. Gdy zeskoczył i gdy karetka się potoczyła, przez mgnienie oka doznawała jakby przetrącenia i paraliżu duszy.

Miała wiedzenie żywe o tym, co musi być w chwili śmierci. Ujrzała w ciemnościach duszy swojej uśmiech Łukasza, uśmiech ówczesny, gdy jej coś żywo mówił, o czymś przekonywał, a przekonawszy zbliżał się na palcach i zamykał usta pocałunkiem. W jednym teraz olśnieniu uczyła wszystko szczęście miłości i niezgłębioną otchłań jego utraty. Jęknęła. Za chwilę wszystko minęło. Fala olbrzymia nakryła sobą i wypełniła przepaść. Został tylko dziwny szum w uszach, zemdlenie serca i szybkie szczękanie zębów.

Pociąg kurierski gnał w stronę Wiednia. Była późna, jesienna, wietrzna i dżdżysta noc. Między Salzburgiem i Wiedniem kurier ten miał się zatrzymać tylko kilka razy. Podróżnych było bardzo niewiele, toteż Ewa ugłaskała dostępne od bawarskiego serce austriackie za pomocą małej korony i sama była w przedziale. Rzeczy wysłane zostały do Wiednia już dawniej. Ze sobą miała tylko małą, ręczną walizkę.

Jechała teraz do Wiednia (a właściwie do Kaltenleutgeben), żeby odnaleźć Jaśniacha, który w tym zakładzie, według zebranych informacji, przebywał — i doprowadzić do skutku swoje względem niego zamiary.

Gdy Szczerbic opuścił Paryż, Ewa mieszkała tam jeszcze blisko dwa miesiące. Czasami odbierała listy z Warszawy od tego „ślubnego brata”. Zarówno wówczas, gdy był w Paryżu i gdy u niego często, nieraz do późnej nocy bywała, jak i w tych listach, łączyła ich czysta i górna ekstaza, w której na pozór nie było nic zmysłowego. Nie była kochanką Szczerbica. Nigdy nie ucałował jej ust. Parę razy tylko miał szczęście dotknąć ustami jej ręki. W listach nie prosił nawet o widzenie się, o przyjazd do Warszawy, o spotkanie na ziemi. Lubiała jego listy i tęskniła za nimi. Często tęskniła za nim samym. Szczególniej za muzyką... Gdyby ją sprawiedliwy sąd badał o to, czy kocha Szczerbica, nie mogłaby potwierdzić, ale nie mogłaby i zaprzeczyć stanowczo.

Teraz dążyła, żeby zostać żoną Jaśniacha i być wierną ślubowi czystości, zawartemu ze Szczerbicem. Postanowiła przemienić się w miłosierdzie i w pracę bez granic...

Znużona nieprzerwaną jazdą z Paryża, spała na skórzanej kanapce. Zaspiając pamiętała o tym, że ma na sobie w zamszowej torebce ukryte na piersiach dwadzieścia kilka tysięcy franków, więc kładła się do snu w taki sposób, żeby leżeć na piersiach. Pociąg lecący nadzwyczajnie szybko kołysał ją do snu. Spała twardo.

Ujrzała w zwidzeniu olbrzymie komnaty grubo pomalowane wapnem, izby bez podłogi, olbrzymiej wysokości, wysypane grubo żółtym, suchym piaskiem. Ściany były nagie, jednolite, białe bez końca i chropawe od suchego wapna. Szła z trudem po stopniach zasypanych piaskiem i oto dowlokła się wreszcie do drzwi tak olbrzymich i wysokich jak ściany. Ujęła dłonią okrągłą gałkę, która miała służyć za klamkę, i z przerażeniem spostrzegła, że zarówno te drzwi, jak klamka były wapnem powleczone. Uchyliła drzwi i ujrzała odrazą serca pustą izbę, ale pustą w sposób niewypowiedziany. Doznała uczucia śmiertelnej boleści, która tylko we śnie nawiedza ludzi. W tej pustce izby było umyślowienie nicości, która jest treścią śmierci. Zimno przeszło ją do szpiku. Co mogło być w tej izbie? Czemu tak straszna jest jej pustka? Czemu ta pustka tak okropną się wydaje? Siła odrazy i przerażenia nie dała spoić się wrażeniu w jakąkolwiek odpowiedź. Ewa co prędzej przytknęła drzwi i poszła w innym kierunku. Trafiła na inne drzwi, na mniej wysokie, weszła do sieni i poczęła wlec się po schodach wyżłobionych w piasku, po schodach niezmiernie stromych, wysokich jak drabina. Znowu ogarnął ją popłoch, zawrót głowy i mdłość. Poczęła wołać o ratunek, krzyczeć przez sen długo i przeraźliwie.

Gdy się o tyle o ile zaczęła budzić, strach się z wolna — z wolna zmniejszał, ale niepokój był w stopniu bardzo znacznym. Czy miała zamknięte, choć już nabierała świadomości, że owe straszne izby i schody — to sen...

Ulga nareszcie oświeżyła jej serce. Oczy odemknęły się nieco. Leżała tak samo, jak się była układała: piersiami na poduszce. Półuchylonymi oczyma z radością patrzyła na szlak ceraty chodnika, którą wybita była podłoga przedziału, i powtarzała wciąż w duszy, że dzięki Bogu to sen. Nagle spostrzegła nogi... lakierki...

„Jakiś jegomość tu siedzi... — pomyślała nie mogąc jeszcze podnieść się i otrząsnąć z męki sennej. — Wszedł, drab, kiedym spała... Podły konduktor go wpuścił... I jak tu teraz wstać? Pewno mam nogi odkryte do kolan, bo zimno”.

Wspomniała, jakie też ma na nogach pończochy i czy jedwabna jest podszewka u sukni, którą miała na sobie. Podniosła niepostrzeżenie oczy i spod rzęs usiłowała spojrzeć na

nowego pasażera. Ale zobaczywszy jego twarz, zdrętwiała na nowo owym sennym zdrętwieniem, które ją dopiero co, przed chwilą opuszczać zaczęło. Naprzeciwko, w kącie drugiej ławki, siedział młody brunet, który ją ścigał wszędzie w Paryżu i nad morzem.

Czytał książkę i zdawał się najmniejszej na Ewę nie zwracać uwagi.

Ona przymknęła oczy i z całej siły powstrzymywała bicie serca. Sen i widok tego człowieka na jawie złączył się teraz w jedną elipsę zdumienia. Coraz silniejsze bicie serca zmusiło ją do nagłego powzięcia zamiaru, że za żadną cenę nie zostanie z tym jegomościem w jednym *coupé*<sup>160</sup>. Postanowiła wysiąść na pierwszej stacji, gdzie się pociąg zatrzyma i skoro się tylko zatrzyma. Drżały w niej wnętrze i serce, gdy miała się ruszyć, a czuła, że już musi, musi podnieść ręce. Szybkim gestem ogarnęła nogi suknią i usiadła na swym miejscu ze skutecznym usiłowaniem niezwracania najlżejszej uwagi na towarzysza. On również na jej ruchy nie patrzył. Czytał jakiś romans francuski, rozcinając karty długim sztyletem korsykańskim.

Ewa dojrzała ów nóż. Znała te „koziory” i lubiła się nimi bawić w Ajaccio. Wiedziała, że jest tam z boku napis: *Morte al nemico*<sup>161</sup>, a z drugiej strony: *Vendetta Corsa*<sup>162</sup>. Wszystko w tej chwili działo się z nią w sposób jak gdyby przewidziany od dawna, wyroczny i niezmiennie logiczny. Każde przelatujące, przemykające się chyłkiem uczucie, wrażenie i przywrażenie było poniekąd dawno gdzieś zapisane jako prawny paragraf. Impuls odwagi... Spojrzała wprost w twarz tego człowieka z wyzwaniem i pogroźką. On ani myślał na nią patrzeć! Czytał spokojnie swą książkę i widać było na twarzy, że żywo zajęty jest treścią. Ewa doznała zawodu...

W tej samej chwili od jednego razu i w całej pełni przypomniała sobie, gdzie widziała tego draba. Stała jej w oczach nędzna cukiereńka z podłogą grubo wysypaną mokrym piaskiem, bilard w ciemnej izbie, usługująca dziewczyna — i figury dwu dandysów. Toż to ci sami! Oto jest ten, który ją wówczas zaczepił. Jakże go mogła zapomnieć. Skąd on się wziął w Paryżu? Czemu ją śledził i co tu robi? Czy to jest lowelas, czy też jaki szpicel? Ale to nie szpicel... Lecz i nie lowelas... Cóż więc za jeden? Co on zamierza z nią zrobić? Bo on z nią zamierza coś zrobić, on ją ściga!

Dreszcz przeleciał, dreszcz innego jakiegoś porządku, jeszcze nigdy w życiu niedoświadczany. Zmierzyła okiem odległość między sobą i walizką, która leżała przykładowo na górnej półce — właśnie nad głową bruneta zatopionego w lekturze. Rozważała wszystko za pomocą kombinacji szybkich jak błyskawice, w jaki sposób wysiąść z wagonu tak, żeby tego nie spostrzegł. Jak wysiąść? Nie mogła zostawić walizki, gdyż tam miała paszport, papiery, listy Łukasza i Szczerbica, notesy, rachunki, zresztą niezbędne sprzęty podróżne. Czekwała na chwilę szczęśliwą, siedząc bez ruchu, z przymkniętymi powiekami, ale nie spuszczać z oka lowelasa ani na chwilę. Obserwowała jego figurę, ubranie, sposób bycia. Był w istocie bardzo zgrabny, przystojny, widocznie silny. Miał na sobie nowiuteńki *riding-coat*<sup>163</sup> z atlasową podszewką, najmodniejszego kroju, świeżą i wykwinaną bielizną, ładnie i modnie zawiązany krawat. Syberynowe palto wisiało obok. Na białej karcie książki i na jasnożółtej okładce Plona wyraźnie odrzynały się duże ręce w ciemnobrunatnych rękawiczkach...

Ewa przypomniała sobie teraz te ręce. Jakże je mogła zapomnieć?...

„Zrozumiałeś to nareszcie — miotała weń myślami — że trzeba na te racice włożyć rękawiczki, że je trzeba zakryć, ty, felczerze z miasteczka, aktorze prowincjonalny, pomocniku pisarza gminnego, któremu laury okolicznych endeków ze dworów spać nie dawały — ty piszczyku od szwindlarza-bankiera, subieckie z drogerii, laborancie z apteki, ależ nie! ty, kelnerze, kelnerze z knajpy, otwartej do czwartej rano!”

Nagła myśl, myśl nowa i zupełna ogrzała jej głowę, omotaną lodowatymi dreszczami. Dosłyszała kroki konduktora. Przywołała go. Senny *Schaffner*<sup>164</sup> ze swą latarką w ręku wsunął głowę do przedziału. Widać było, że się wstydzi, ale widać było również, że został opłacony przez tamtego... Ewa łamaną niemczyzną, z wtrącaniem mnóstwa wyrazów

<sup>160</sup>*coupé* (fr.) — przedział.

<sup>161</sup>*Morte al nemico* (wł.) — śmierć nieprzyjacielowi.

<sup>162</sup>*Vendetta Corsa* (wł.) — korsykańska zemsta.

<sup>163</sup>*riding-coat* (ang.) — płaszcz (tu: żakiet) do jazdy konnej.

<sup>164</sup>*Schaffner* (niem.) — konduktor.

francuskich, pytała go, czy nie ma w pociągu przedziału dla dam. Konduktor tłumaczył jej, że owszem, jest taki przedział, ale już zajęty przez trzy panie, które śpią...

— To trudno — rzekła — ale ja muszę przejść do przedziału dla dam! Pan mię przeprowadzi, panie konduktorze.

Brunet czytający książkę ocknął się ze swego zajęcia lekturą i, jak się zdawało, z trudem i niechęcią słuchał, o co rzecz idzie. Rzekł do Ewy po polsku:

— Jeżeli to ja przeszkadzam pani w tym *coupé*, to je natychmiast opuszczę. Wszedłem tu, gdyż nigdzie nie znalazłem miejsca.

Nie odpowiedziała ani słowa, jakby obok niej nie było nikogo, jakby nie słyszała wcale, że w tym miejscu ktokolwiek mówił. Pośpiesznie zebrała swe rzeczy, walizkę, futerko, kapelusz i wysunęła się z przedziału, starannie zamykając drzwi za sobą. W korytarzu włożyła futro, naciągnęła rękawiczki i gdy konduktor uchylił drzwi ciemnego przedziału, w którego zaduchu chrapały jakieś wiedzmy, wśliznęła się tam. Przez pozostawioną szparę we drzwiach obserwowała korytarz. Korytarz był zupełnie pusty. Młodzieniec nie wyszedł za nią z przedziału. Widziała płomyk świecy chwiejący się od ruchów pociągu, słyszała turkot i zawodzący jęk wagonów. Postanowienie jej było nieodwołalne. Chciała jednak, żeby konduktor nie dostrzegł, kiedy wysiądzie. Nerwy drżały w całym ciele. Jakież powiewy uczuć... Walizczkę miała przy nogach. Wszystko gotowe. Pociąg leciał, wzdychając, leciał, leciał... Nareszcie długi i przeszywający świst rozdzielił ciszę jakby na dwie połowy.

Gdy pociąg zwalniał biegu i stawał. Ewa wychyliła się z przedziału i znowu zbadła korytarz. Nie było nikogo. Przemknęła się jak upiór, na palcach, ku drzwiom w drugim końcu korytarza w stosunku do tamtego przedziału, zsunęła się ze schodków i chyżo pomknęła w noc i wicher. Nim pędem dobiegła do stacji słabo oświetlonej, już jej pociąg gwizdnął i odszedł. Nie wiedziała, gdzie jest, jak się nazywa to miejsce. Czowała niewymowną radość, że odtrąciła tego człowieka. Jeszcze łamało jej duszę senne widzenie i w ocknieniu widok tamtego. Stacja, na której się znalazła, była prawie pusta. W bufecie świeciło się i kilka ciemnych figur żłopało tam piwo. W salce klasy drugiej zastąpił jej drogę portier jakiegoś hotelu, proponując swoje usługi i karetkę. Nie pytając, jak się ów hotel nazywa, poszła za portierem, który jej formalnie wyrwał z rąk walizkę. Za chwilę jechała w ciasnej landarze o dzwoniących szybach, śmiejąc się do rozpuku ze swej przygody, a raczej z przygody „tamtego”. W głębi karety, na wprost drzwiczek wejściowych, było wprawione lustro. Ewa zobaczyła w nim swą potwornie powykręcaną twarz — i znowu roześmiała się z całego serca. Była znużona i bardzo rada, że za cenę straty części biletu wyśpi się przynajmniej i wypocznie doskonale. Wszystko w niej teraz uspokoilo się. Ręce bolały, nogi ciężły, jak po fizycznym strudzeniu.

Karetkę kręciła się po rozmaitych zaułkach, turkotała po brukach uśpionego miasta, aż wreszcie stanęła. Portier z tryumfem wy dostał Ewę z wehikułu i z wielkim dzwonieniem intromitował ją do sieni hotelu. Nie śmiała jakoś zapytać, jak nazywa się miasto, w którym jej nocować wypadło. Szła posłusznie za ładniutką *Stubenmädchen*<sup>165</sup>, która ją prowadziła na piętro po schodach wysłanych grubym dywanem.

Hotelik był mały, ale czysty, cichy i bardzo, widać, solidny. Za chwilę Ewa znalazła się w dużym pokoju z aksamitnymi meblami starego fasonu, obwieszonymi wyrobami szydełkowej roboty. W głębi stało łóżko żelazne z mosiężnymi galkami. Zapłonęła elektryczność, zasyczał piecyk kaloryferu. Pokojówka starannie i długo przyrządzała pierzyny, wygrzewała kołdry i poduszki. Załatwiła wreszcie wszystkie swe sakramentalne, niemieckie czynności i, złożwszy życzenie dobrej nocy, odeszła.

Ewa siedziała przez czas pewien, patrząc bezmyślnie w żar lampki elektrycznej. Bawiła ją ta przygoda i radowała nadzieja snu. W hotelu i za murami panowała zupełna cisza. Jeszcze przez chwilę słychać było gwar przyciszony, stąpanie kroków po dywanie korytarza — i znowu wszystko ucichło. Tylko monotony szep w kaloryferowych rurach...

Poczęła rozbierać się pośpiesznie. Przygotowała sobie świecę, zapalki — i co tchu zrzucała suknie. Była już tylko w bieliźnie, tyłem do drzwi zwrócona, kiedy posłyszała jakby szelest otwartych drzwi. Sądziła, że to pokojówka wchodzi po coś jeszcze, ale wstydząc się swego negliżu nie chciała odwracać głowy, dopóki tamta nie spełni czynności

<sup>165</sup>*Stubenmädchen* (niem.) — pokojówka.

i nie wyjdzie. Nie słysząc jednak jej kroków rzuciła okiem w stronę drzwi — i skamieniała na miejscu. Brunet z przedziału kolejowego stał obok niej. Stał o krok, jak widmo. Zanim zdołała pomyśleć, otworzyć usta, potężnym ruchem ramienia wymierzył w jej odkryte piersi cios olbrzymiego noża.

— Ani słowa! — wyszeptał.

Została tak z otwartymi ustami i rozwartymi oczyma. Patrzyła w niego, we wszechmocne, straszliwe jego oczy. Dech zamarł w piersiach. Nogi się zgięły. Wicher potężny zapchał płuca i nie dał odetchnąć. Nie zdziwiła się też, gdy ją chwycił za gardło, rzucił na łóżko, przywalił sobą i spytał:

— Gdzie masz pieniądze?

Wskazała oczyma na piersi. Zerwał zamszową tasiemkę, szarpiąc ją kilkakrotnie, jakby chciał urwać razem z głową ofiary, i cały worek z pieniędzmi schował do bocznej kieszeni swego surduta.

— To wszystko? — spytał.

— Wszystko.

— Jeżeli wydasz parę z gęby, jeżeli piśniesz, zabiję na miejscu!

Wycharczała:

— Zabij, zbójcu...

— Będziesz krzyczała?

— Będę.

Wtedy znowu zdusił jej gardło straszliwą swoją dłonią.

— Będziesz krzyczała?

Skinęła powiekami. Dwa pazury podsunął pod dolne szczęki. Ciemność osaczała źrenice.

— Nie będę... — jęknęła.

— No, to leż spokojnie i czekaj.

Drugą ręką, nie zdejmując strasznej prawicy z gardła Ewy, począł rozbierać się w sposób niesłychanie pośpieszny i wprawny. Zrzucił w mgnieniu oka palto, żakiet, kamizelkę...

— Chcesz dobrowolnie? Czy mam siłą?

Zwinęła się jak żmija, wyprężyła w kabłąk, wyrwała mu z rąk i dopadła zębami jego ręki. Ale zanim zdążyła po wtóre chwycić dech w piersiach i poprawić ukąszenie, wydać krzyk, już ją ponownie powalił i zdusił. Wpół stojąc, wpół klęcząc nad nią, wciąż rozbierał się szybko. Czyniąc to, zaczął sapać i belkotać głosem szalejącym z namiętności, podśpiewywać w obłąkaniu i zachwycie:

— Choćbyś się nie wiem jak opierała, to musisz, ptaszku, musisz! Musisz! Och, musisz!... Czekam ci ja dawno na ciebie... Czekam ci ja latami... Ani tu w Europie, ani tam w Ameryce, ani tam na morzu, ani nigdzie przenigdzie nie mogłem cię zapomnieć... Będziemy się, dziecko, kochali ze sobą... Już ode mnie — skomlał żałośliwie — ptaszeczku, nie ucieczesz, już mi się nie wyślizniesz, jużes ty, cudo, moje...

Dławiąc się, ostatnim tchem wykrztusiła:

— Puść!

— Dasz się?

— Puść!

Rozgiął nieco i rozwarł palce.

— Ktoś ty jest? — lkała.

— Na cóż ci to wiedzieć, kto ja... Jestem twój pan i basta. Słyszysz? Tak będziesz mówiła jutro rano w hotelu i wszędzie w drodze, że jestem twój mąż. Słyszysz?

— Słyszę.

— Razem pojedziemy?

— Razem.

— No widzisz. Popatrz się na mnie! Brakuje mi to co? Czegóż ty się, dziecko, tak męczysz? Pobawimy się tutaj, a jutro we świat! Ile masz pieniędzy?

— Dwadzieścia dwa tysiące franków... — stękała w obłąkaniu.

— No, i to dobre. A kwit na rzeczy, coś je wysłała do Wiednia, gdzie jest, w tym saczku?

— Tak.

— No, to dobrze.

Schwyciwszy chwilę właściwą, kiedy na mgnienie oka odjął z jej gardzieli ręce, skoczyła piorunowym ruchem w bok, wydarła się, i do drzwi z krzykiem...

W tej samej chwili porwał ją, zwinął w swych stalowych dłoniach, zdławił i bezsilną położył na łóżku.

Straciła przytomność. Gdy się ocknęła, była już pod nim, we władzy jego potężnych, dzikich, rozkosznych uścisków.

\*

Obudziła się z namiętnego omdlenia, z półsnu. Dźwignęła się, wsparła na łokciu. Oczy miała zawleczone szarą mgłą.

Nie mogła nic dojrzeć, nic spamiętać. Myślała jej się, że to już nastąpiła śmierć. Więc to jest owa tajemnicza śmierć, „tajemnicze misterium śmierci”... Ktoś do niej mówił tak dawniej... A teraz już była śmierć. Stała się śmierć — i jest cisza. Wąty brask wsącza się do numeru przez zapuszczoną storę. Na owalu lampki elektrycznej połyskuje światelko.

Patrzyła na nie w zamyśleniu o czymś dalekim, dawnym, pełnym uroku. Gdzież podziało się życie? Kto ona jest? Gdzie jest?

Nie mogła tego dociec. Miała na sobie lekki sen, jakby sen ptaka, który śpiąc wydaje okrzyki, porusza głową, a nawet jak słowik nuci półgłosem. Lekкими poruszeniami, pochyleńiami, zakrętami poczęło jednak kształtować się przemyślenie nocnego przeżycia. Nareszcie drgnęła w głowie percepcja.

To nie jest śmierć. Jest to poranek w hotelu...

Poczęła miarkować sny i przedstawienia. Ujrzała tego człowieka. Uderzyło ją to, że on śpi czuwając. Patrzyła na to, jak śpi, czuła jednak, że nawet we śnie wie o wszystkim, wie nawet o tym, co ona w tej chwili myśli, co zamierza czynić, co knuje, śpi także jak ptak dziki...

„Musi wiedzieć wszystko, gdyż inaczej zginąłby natychmiast... — myślała jej się sennie. — Ludzie schwyciliby go natychmiast, zgładziliby go jak wściekłego psa... Toteż on w każdej chwili swego życia musi na nich czatować, podchodzić ich, gdy się nie spodziewają...”

Zdjęła ją jakaś szczególna trwoga wobec jego potężnej męki wiecznego czuwania. Rozkosz cielesna rozjątrzona przez niego jeszcze żyła w sennym ciele. Skądś, z głębi ciała znękanego pieścizotami wywinął się uśmiech i ozdobił usta, napęczniałe od pocałunków. Schyliła się niepostrzeżenie i tajemny, powietrzny pocałunek złożyła na zmysłowych ustach śpiącego. On nagle rozwarł oczy i uśmiechnął się.

Otoczyła go nagimi ramionami i odegnała sen pytaniem:

— Bałeś się też we śnie, żebym cię nie zabiła teraz, jakieś tak spał?

— Co się miałem bać! Już mię teraz nie zabijesz. Bo i za co?

— No, któż może wiedzieć? Gdybym cię też przebiła — a chociażby długą szpilką od kapelusza. Taką szpilkę wbić w serce...

— Ech — mruknął, ziewając — zgnilabyś w kryminale za mężobójstwo. Prawo by cię nie minęło, moja rybko. Prawo jest wszędzie.

— Prawo prawem, alebyś już nie ziewał, tylko byś ty gnił, i to nawet nie w kryminale, tylko w glinie dolno-austriackiej. Masz szczęście.

— A żebyś wiedziała, że mam. Moje serce znajome z żelazem. Żelazo ci się po nim ślizga jak po kryształach. Zobacz, jeśli chcesz...

Odsunął koszulę i pokazał olbrzymią, siną bliznę na lewej piersi wzdłuż żeber. Odsunął wyżej i pokazał pod obojczykiem szwy i zrosty.

— To ty jesteś nożowiec, rzeźmieszek? — spytała ciekawie.

— Co tobie, sikoro, do tego, kto ja jestem? Jestem wielki pan i tyle!

— Kawaler Gredin du Château-Lapompe.

— Dobrze, dobrze! Jakież to pan może tak znać świat jak ja? Byłem w Ameryce, byłem na wojnie transwalskiej, jechałem na statku, co prawda jako palacz, z Władywostoku do Triestu. Znam Paryż, Londyn, Kalkutę i Ladysmith...

— Cóżes ty tam robił?

— Chodziłem za wojną. Bo gdzie się wilki gryzą, tam jest zawsze co zbierać... Wiesz ty o tym?

— Ja też od razu przypuszczałam, że ty musisz być szpicel...

— Szpicle nie miewają takich pieniędzy, jakie ja mam. A ja mam pieniącha. Chcesz wiedzieć? Gram w karty, gram w ruletę, jeżdżę, wracam, znowu wyjeżdżam. Zupełnie jak hrabia Szczerbic...

— Szczerbic... — drgnęła. — A ty znasz Szczerbica?

— Ja znam wszystkich, którzy mi są potrzebni.

— Tak... Powiedz mi jednakże, bo jestem strasznie, strasznie ciekawa... Prawda, że ty jesteś były... felczer?

— Felczer! — zachichotał — wściekłaś się czy co, u dydka? — Ja — felczer?

— No — a nie kelner z podłej restauracji w jakim Radomiu albo Suwałkach?

— Na złość i nie kelner.

— A jak ci na imię?

— Zgadnij!

— Nie zgadnę. Jakieś imię... Wicek, Wojtek, Walek... Powiedz prawdziwe. Może jakie lepsze. Czasem bywają furmańskie imiona dosyć solidne.

On leniwie przeciągnął się, ziewnął swobodnie — przez chwilę patrzył w sufit, wreszcie przymrużywszy oczy rzekł z cynicznym uśmiechem:

— Na imię mi Łukasz.

— Patrzcie! Już miałam jednego kochanka Łukasza. A to ci się udało, to ładne imię.

— Doprawdy? A gdzie się też chowa ta kruszyneczka, co ci ją to tamten Łukaszek na pamiątkę zostawił?

— Daleko się chowa, daleko. U jednej starej babci, u dobrej babuleńki, we wioseczce za górceczką...

— Za górceczką, za wysoką... — nucił kiwając głową.

— E, to ty jesteś znający detektyw... Ale skądże ci przyszło pytać się o takie ta babskie sprawunki?

— Tak sobie. Zdawało mi się, że ty może je prędzej gdzie frygniesz, choćby w dół pierwszy lepszy, bo to się ognistym paniąkom przytrafia... Ale skoro powiadasz... Ty się mało bawisz, wiesz ty o tym? Chciałaś niby to w Paryżu i tu, i tam, ale czyż to była zabawa? Sumienie cię burżuazyjne stargało jak siarczyste womity. Niechże cię nie znam!

— Mnie zabawa nie bawi.

— E, bo nie umiesz. Zabawa zabawie nie równa. Widzisz, jak ja cię poduczę...

— Mnie się zdaje, że ty mało, bardzo mało wiesz o zabawie.

— Dlaczego, ko-kotko?

— Bo jesteś przecie wielki ryfa z małego miasteczka, gruboskórne dragalisko w cienkich kortach, szuja rodzima...

— E, widzisz, ale ja mam znowu to, czego wielu nie zna nawet, powiedzmy, po łóbkach.

— Ciekawam, co to może być...

— No — oczy. Ja ci od razu przejrzę wszystko do samiutkiego dna. Mam takie oczy jak te promienie *Iks*.

— To widać wy wszyscy, bandyci, macie takie oczy, bo skąd wy już nie kradniecie i ciegoście nie splugawili! Powiedźże mi choć swe bandyckie imię.

— Imię i nazwisko. Poczekasz, zanim usłyszysz. Już się ta o nie dopytywał niejeden dygnitarz, boby se szczęście rodziny ufundował, żeby się też dowiedział. Strasznie są ciekawi, jakim się też herbem pieczętują. Tobie nie powiem, bo jakem wspomniał o tym robaczku, co to u babuleńki, to ci tak zaraz ślipeczki błysnęły!...

— No?

— Jak cię życia nauczę, życia naprawdę, to ci ta może i odkryję moją tarczę rodową. A teraz bądź do czasu ciemna jak tabaka w rogu.

— Widzisz, jak się zdradzasz, żeś dotąd flirtował tylko z pokojówkami i praczkami.

— Niekoniecznie. Kokotami bywają rozmaite. A ja mam tę właściwość, że mówię prawdę w oczy, co nas, panów, bardzo często cechuje. Dziecko takim ludziom jak my niepotrzebne. Ja żyję dla siebie i ty żyj dla siebie. Dziecko niech niańczy matolek, co

siedzi na ziemi, ma warsztat, kopyto w łapie, łózko, pierzynę. A ja jestem po to, żebym chodził. I ty to samo. My jesteśmy wędrowcy.

— O mnie nie decyduj.

— Nie? A mnie się zdaje, że ty byś już nie usiedziała na miejscu. Powiedz no mi, czybyś usiedziała? Czy to nie lepiej kochać się z każdym ładnym chłopcem, który w oko wpadnie, z silnym, ze zdrowym — jeździć po krajach, hulać, grać, włóczyć się, używać, ciągnąć za sobą blondynów i ogorzałych — niż siedzieć z jednym, który ci po dwóch latach obmierźnie i któremu ty obmierzniesz, znosić jego fochy, nudy, choroby?... Zachodzić w ciążę i rodzić, rodzić?... Co, jak myślisz?

— To moja rzecz, jak ja myślę.

— No, oczywiście. Ja ci tam nic nie narzucam, oprócz siebie, rzecz prosta. Biorę od człowieka zawsze tylko to, co mi jest potrzebne, a z resztą rób sobie, człowiecze, co chcesz, i myśl sobie, co chcesz...

— E, to ty jesteś filantrop!

— Dziecko... — mruknął ponuro. — Nienawidzę bachorów! Po co ja mam cackać bachora? Nie mam czasu. A znowu wiem dobrze, co to jest życie bachora bez rodziców. Małe to, słabe, nie da jeszcze rady starym draniom. Nie poradzi nożem, nie dosięgnie. A bez noża — jakże człowiek wyżyje? Depce to każdy, kto ma nogi, bije każdy, kto ma ręce, klnie na nie każdy, kto rusza żuchwami. Ja mam zostawić po sobie bachora, drugą taką skopaną, poparzoną psinę, jaką byłem sam! Po co? Mało to tego mrowia ludzkiego? Zobacz Londyn, Chicago... Przecie człowiek — to odrażająca padlina. Ile tego jest! Zobacz na wojnie! Kadłuby bez łbów, wyrwane bebechy, potargane kikuty... Żeby tak mamusia zobaczyła — fu!... — I prawda. Musi wojna trzebić toto armatami, boby się pozżerało!... I żeby choć pozżerało!... Ale się, sobacze, gniotą, duszą, zasmradzają jedni drugim miejsce i strawę, zarażają się chorobami — i dopiero, powiada, wszystko się odbywa według prawa. Socjologia, powiada, tak, socjologia owak... Takie prawo... Dam ja ci, sobaczy synu, prawo...

Ewa słuchała na pozór obojętnie... Ale w głębi drgnęła w niej dusza do tych słów, jak dzwon szarpnięty.

„Toż to jest prawda, co ten nikczemnik mówi... — myślała. — On ją uwalnia od win. On ją rozgrzeszył”.

Rzekła niedbale:

— Dobrze, dobrze, filozofie spod czarnej topoli. — Używać... A kiedy i używanie, włóczenie się i tam dalej — i to wszystko wreszcie się znudzi?

— A nieprawda! Już co to, to nieprawda. Patrz na wielkich panów. Nic nie robią, tylko obdzierają świat z jego majątku i używają, a nigdy im się nie nudzi. Dlaczego? Bo znają sposób na zabawę, umieją zachować porządek w używaniu.

— A ty się nigdy nie nudzisz?

— Nie, blondynko, ja się nigdy nie nudzę. Nie mam na to czasu. Mam, widzisz, milion rzeczy do zrobienia. Jestem wciąż w ogniu. Jakże mi się ma nudzić? Na przykład wczoraj... che — che... Wziąć cię z pola, z wagonu, taką dużą, wolną, bogatą pannę... taką ładną... i trzymać cię dziś rano tu, w tym łózku, razem ze wszystkimi pieniędzmi — jak myślisz? — na to trzeba mieć łeb na karku, a w nim milion myśli.

— Pewnie, przyznaję. Ale między wami, obwiesiami, pewnie wielu jest takich, którzy potrafiliby tak samo pastwić się nad bezbronną kobietą. Cóż to tak nadzwyczajnego? Mogłeś mię zamordować. Gdyby mi pękła jakaś żyłka w gardle lub w płucach, kiedyś mię dusił, już bym nie żyła. Gdzież byś podział trupa? Złapałoby cię. I cóż za spryt twój? Powiedz no, a ty ciągle tak żyjesz?

— Czasami spoczywam po całych tygodniach. Ale jak przyjdzie na mnie, to zaczynam grzać, i wtedy miesiącami!

— A nie boisz się, że z tego wszystkiego zostanie cztery ściany?

— No... cztery ściany, to cztery ściany. — Nie lubię o tym głądzić. Ja nie wikary. To i ty będziesz kiedyś leżała w jeszcze węższych czterech ścianach, a przecież o tym ciągle nie myślisz.

— Owszem, myślę.

— Ja już byłem w tych ścianach, to wiem, co w nich jest.

— Byłeś?

Dziecko, Obraz świata

— Czym był? Zobacz...

Odsunął brzeg rękawa i pokazał na rękach dziwne znaki poprzeczne. Oczy jego stały się głucho, głucho zadumane. Uśmiech nieopisany, jak połysk tajemniczy wewnętrznej potęgi, wypętlął na wargi, gdy samemu sobie, podśpiewując, mówił:

— Wagonik — *da* — wagonik zakratowany... Machorka... dziegieć... Stukają kolby żołdackie. — *Pieriesyluszka*... I wyslizgane deski nar, i miliony wszów, i miliardy pluskiew... Brodiagi, doliniarze, Żydy, bandy pajęczyniarzy, dzikie chłopcy koniokrady, zbóje nocne, tam gdzieś zamyślony arystokrata szopenfeldziarz albo klawisznik. Długie — oj — długie noce! Paraszka pachnie... Etap... *put'* — *dorożeńka*, *put'* — *dorożeńka*... *Da* jak cię raz ucapi, *da* poratunku nie ma...

— Powiedź, za co?

— Nie powiem. A może kiedy, jeśli zobaczą, że my się naprawdę pokochali ze sobą...

— A dawno cię puścili?

— Puścili... Już się ta nacieszysz wolnością, jak cię stamtąd wypuszczą. A *wolnaja wolutuszka* pachnie, oj, pachnie! I warto za nią łba nadstawić. Lubisz ty morze?

— Och, lubię! Jeśli jest co na świecie, co bym jeszcze lubiła, to chyba morze.

— Ale, miewo moja — ocean?... Wielki — głęboki? Tamten ocean! Jak przyjdzie tajfun w szyi La Pérouse i pocznie ludzkie pudło do piekła i do nieba frygać! A w niebie bure obłoki, jak te myśli szalone tegoż człowieka! A nad nimi mewy we wicherze! Wiesz ty... pojedziemy razem we światy. Z tobą — we światy! Pojedziesz?

— Pojadę.

— Bo widzisz, ja mam udział w jednej kopalni w Klondyke. Ale trza pieniędzy. Te twoje dwadzieścia tysięcy — to kropelka w oceanie. Trzeba by kilkakroć sto tysięcy. Wówczas można by sztucznie poderwać całą sprawę szwindlami, wydrzeć wspólnikom akcje, samym zacząć grzać — i miliony. Jest taki jeden, co by to zrobił... Straszny to drań, ale on jeden jedyny. Cóż, kiedy teraz goły jak bizun amerykański. Trza by zebrać pieniądze szybko, oj szybko! Z Wiednia na Triest, na Morze Czerwone, na Celebes, na Sumatrę... Są tam takie wyspy...

— Tak, są. Jest wyspa Nowa Zelandia... — szepnęła uśmiechając się czarownie.

— To nie po drodze, to daleko...

— Tak, to daleko.

— Do Wiednia! Trzeba jechać!

— Jakże ty myślisz zdobywać te pieniądze?

— Jak zdobywać? Hm...

— Gięda, co?

— A tak. *Saba-gięda*... Czy ten Szczerbic ma pieniądze? — spytał niespodzianie.

— Skądże ci to do głowy przyszło?

— No, tak, ciekawość. Gra on w karty?

— Zdaje się, że gra.

— A nie widziałas, żeby tak dużo przegrywał, wygrywał?

— Nie myślę, żeby on grywał z byle kanałią w karty. W ruletę to grywał.

— Co, ruleta! Ruleta — to dla mopsików strzyżonych i kózek angorskich, żeby się czymś wzruszały. A ty mówisz dobrze po francusku?

— Cóż za skoki myślowe! Mówię po francusku.

— A po angielsku?

— Nie umiem ani słowa.

— A może byś się tak nauczyła?

— Od razu, w parę dni, co?

— Bo ja, uważaj, potrzebuję. To, że mówisz dobrze po francusku, uwolni mię od lajdaka.

— Od kogoś z przyjaciół?

— No, jest taki. Ja niby to bełkocę ułamkami wszystkich języków, ale na grandę rozmówić się nie umiem po prawdzie żadnym. A tymczasem interesa wymagają szczegółów. Czasem to nawet warszawskiego kłapania, do licha, zapominam. Teraz ciebie zrobię swoją prawą ręką. Bo, rozumiesz, będziesz moją żoną.

— Z lewej ręki.

— Wszystko jedno. W Wiedniu zmajstrujemy paszporty.

— Wszystko to dobrze, ale co ja zyskuję na tej spółce? Jeśli ciebie złapią, z jakiejże racji ja mam odpowiadać za twoje łotrstwa?

— Mnie nikt nie złapie. Ja z katorgi wyszedłem jak gronostaj.

— Powiedz no mi, jakim sposobem wszedłeś do mnie wczoraj?

— Mam numer tutaj obok. Wszedłem tuż za tobą i opowiedziałem się jako twój mąż. Służąca wyszła od ciebie, a ja za nią, skoro się tylko zsunęła ze schodów, nimesz drzwi zamknęła.

— To spostrzegłeś, jakem wyskoczyła z wagonu?

— Che, kokoszko, nie takie ja sprawy odstawiał!

— A cóż ty zrobisz ze mną potem, potem?

— Nic się nie martw — wszystko będzie jak złoto. Myślisz sobie może, że postąpię sobie z tobą, jak to ten znawca...

— Co za znawca?

— E, był taki jeden. Jechał do Europy, gdzieś na wschód, w Rumunię, w Bułgarię, na Odesę, do Niżniego, bałamucił młode dziewczyny, Słowianki, Greczynki, Żydówki, Rumunki, Czeszki, Niemki, wszystko jedno, byle tylko nie była starsza nad dwadzieścia lat, żenił się oficjalnie i każdą z oblubienic wywoził w świat. Brał tylko posażne, i to grubo. Pożył sobie z każdą sześć, siedem miesięcy, i jak mu tylko zaczęła grubieć w pasie, spuszczał, a to strychninką, a to arseniczkiem, jak mu ta serce dyktowało. Mieszkał — to w Buenos-Aires, to w San Francisco, to w Kairze, to w Bombaju. Chłop się nażył. Innej kobiety nie używał, tylko panienki, i to, co najpierwszy sort. Nareszcie go moralisci przydybali. Do światła go! No — tracili go elektryką. Na stołeczek, mosiężny cylinderek na główkę. Drwił sobie do ostatka z tych wszystkich drabów, ze szpiclów, sędziów i tym podobnych oprawców. Majątek cały, a uciułał z posagów swych żoneczek grzeczną sumkę, bo milion z górą dolarów, zapisał na stypendia dla wynalazców, na cele dobroczynne, na zasiłki dla ludzi, którzy po przyjeździe do Ameryki nie mają z czego żyć i zdychają z głodu. Punktów napisał w testamencie ze czterdzieści. A musiała hołota spełnić wszystko, co do joty, tak jak rozporządził. Bo według prawa wszystko zrobił — cha-cha...

— Gdzieś o tym czytałam... — ziewnęła — w jakimś piśmidle. Ty to z gazety, co? Wyczytałeś i powtórzyłeś, żeby mię nastraszyć. Patrz, kobieto, jakie to z nas bywają demony! I z taką to przyjemnością rozpowiadałeś. Malowało się na cyferblacie uczucie grozy... Bywasz jednak śmieszny, mój dymisjonowany katorżniku. Na demona się nie zdałeś. Prędzej już mógłbyś być tym, jak to tam... szopenfeldziarzem...

Mówiła to lekceważąco, ale w gruncie rzeczy była tym opowiadaniem rażona. Czują je głębokim tętnem serca. Złowieszcza rozkosz marzenia o takim życiu, o olbrzymiej wolności ponad ludźmi, ponad wszelkimi prawami, wbrew wszelkim ustawom wśród wiekistych niebezpieczeństw, w kulcie samowładnych zmysłów — odchyliła się na mgnienie przed duszą, trzymała ją w blasku swoich źrenic i w swoich orlich szponach.

W tej samej chwili dokonało się inne miarkowanie, tak piorunująco chyżę, że zachwiało całą istotą. — Nareszcie wygaśnie miłość dla Łukasza! — Spostrzegła to i drgnęła z dzikiego upojenia. Przejdzie na drugą stronę tej sprawy ducha. Nie kochać go! Rozgrzeszona będzie z grzechu zabójstwa! Nie ma już potrzeby spowiedzi przed nim! Straszliwa moc rozpusty z tym człowiekiem nieznanym, rozpusty rozpasanej i prawdziwie zwierzęcej, wyrwała z duszy i z cielesnej powłoki duchową miłość.

Cicho, sekretnie pochwałała tę rozpustę nocną, która nareszcie jej duszę uzdrowiła, wyzwoliła, oblała zimną rosą spokoju. Podziwiała siłę rozpusty cielesnej, władzę jej niezwalczoną i znalazła, że ona jest dobrem, ponieważ niweczy okrutne i beznadziejne misterium miłości. Wiecznie a rozpacznie o tym dawniej wiedziała, że ostatnią myślą, która w jej chorym mózgu zagaśnie, to będzie myśl o Łukaszu, że ostatnim uczuciem, które w niej zamrze, będzie tęsknota za nim. Zżyła się z tymi pewnikami jak z losem! A teraz — zdrowa jest, silna, pełna życia, a on z niej znikł bez śladu. Niegdyś w szczęściu wierzyła, że na świecie są tylko dwa serca. Później, w niedoli, przyszła do pewnika, że zostało jedno serce, w którym on panował jak Bóg w świątyni. A teraz otoczyła ją nowa sfera życia.

Ujrzała, że tamte wiatry — to są „kopczyki popiołu”... ów cichy, drogi, tak mądry, szlachetny, który stał przy niej w dzień i w nocy — teraz nareszcie odejdzie. Troski, co go szarpały, nadzieje, które go nosły, i wszystko jego a własne teraz będzie obojętne.

Małżeństwo, Męczyzna,  
Kobieta, Morderstwo,  
Zbrodniarz, Prawo, Dobro,  
Zło

Czy mu teraz dobrze, czy źle, gdzie jest — wszystko już jedno. Gdyby leżąc na ziemi wzywał pomocy, już nie odwróci ku niemu głowy. Jeżeli umarł — Bóg z nim. Jakowaś bezgraniczna w duszy pogoda...

Cha-cha!... Mówił niegdyś, że wlała światło w jego mroczną duszę. Szli razem na szczyty gór, gdzie wybrane dusze z rodu ludzkiego wiecznie się w szczęściu weselą. Teraz to wszystko stało się „kawałem” w tłustym sosie, witzem z przeszłego życia... Precz z życiem minionym! Szukać jutrzejszego dnia!

\*

Miesiące zimowe upłynęły w Wiedniu. Ewa i jej „mąż”, Antoni Pochroń, zajmowali mieszkanie na trzecim piętrze w olbrzymim, nowym domu. Ponieważ mieli do rozporządzenia windę, nie czuli wcale tego, że mieszkają dość wysoko. Właściwie Pochroń odnajmował tylko dwa pokoje od dużego lokalu doktora Bandla.

Pokoje te były wprost prześliczne. Ogromne okna, obramowane białym marmurem, wychodziły na zaciszną uliczkę. Poziom jednego z tych pokoiów był nieco wyższy niż poziom drugiego. Oddzielały je szklane drzwi, które można było otwierać tak szeroko, że tworzyło się z tych dwu pokoiów ogromną salę dziwnego a uroczego kształtu, ściany obu saloników powleczone były klejową farbą barwy nikłej, która czyniła wrażenie delikatności. Tam i sam przemykał się złotawy gzysik albo siny rąbek, po to tylko, zda się, żeby za sobą oczy w przestwór pociągnąć. Kilka wąskich luster w skromnych ramach przerywało ciągłość powierzchni ścian. Bawiły oko skromne, lekkie meble nowego kształtu. Błaty stolików były ze lśniącej jakby z alabastrowej masy. Nogi ich były okute w metal, co im nadawało cechę wykwintnej prostoty, czystości i siły. Wszystko w tym zaciszu było białe-złociste. Nic nie naprzykrzało się i nic raziło. Ani inkrustowana, lśniąca boazeria, naśladowująca barwą drzewo osiczyzny, ani powściągliwy ornament drzwi, którego potrzeba tłumaczyła się sama, ale obecność nie była prawie widoczną — ani szlak ze stylizowanych kwiatów nasturcji; ani owe drzwi do alkowy, ze rzniętego misternie szkła, zajmujące całkowitą niemal wysokość ścian od sufitu do posadzki.

Ewa zajmowała alkowę, izbę na podwyższeniu z oknami wychodzącymi na uliczkę. Drugi pokój był rodzajem salonu. Tam na sofie sypiał Pochroń.

Był to salon nowoczesny i cudaczny, jak zresztą wszystko w tym domu. Częstokroć drzwi z „salonu” prowadzące do mieszkania doktora Bandla otwierało się i liczna, huczna kompania gości przepływała z lokalu do lokalu. Bywali tam najrozmaitsi ludzie: Niemcy, Węgrzy, Żydzi, Polacy, Czesi, Kroaci, Rumuni... Ów doktor Bandl był z zawodu lekarzem, ale praktyką zajmował się niezbyt gorliwie. Był niby dziennikarzem. Mówiono, że jest politykiem. Szeptano, że będzie kandydował z jakiejś tam kurii. Jednakże i artykułów dziennikarskich nie pisywał. Rządził w prasie rozmaitych odcieni. Miał nieustające interesa na giełdzie, w parlamencie, na Herrengasse, w ministeriach, namiestnictwach, ambasadach, biurach rządowych, w klubach stronnictw politycznych, słowem wszędzie.

Miał zawsze dużo pieniędzy.

Był to przystojny Niemiec, południowiec. Żywe jego oczy, świecące jak brylanty za szklami binokli werzniętych w orli nos, usta pąsowe, policzki tryskające rumieńcami zdrowia, zaznaczona już, a prawie piękna łysina, brzuch, który ze wszech sił usiłował zamaskować i ukryć w wykwintnych kortach — wszystko to było dla Ewy odrażające od dawna.

Od pierwszego spotkania wiedziała, że ten frant będzie na nią polował i czyhał. Z początku nienawidziła go i bronila się wzgardą, jak sztyletem ostrzonym na wszelki wypadek. Później poprzestała na biernej odrzynie widząc, że Pochroń dobrze jej (własności swojej) pilnuje.

Bawiła się w ciągu tej zimy. Poznała ucztę nocne u Sachera i w innych drogich restauracjach, siłę szampana, władzę pieniędzy, na których rozkazy są niezmierne składy towarów i praca mieszkańców olbrzymiego miasta. Jakże lubiła teraz patrzeć, gdy roje najrozmaitszych ludzi biegają, skaczą, uśmiechają się, zginają w ukłonach i pracują, pracują sprawnie, płynnie, mądrze! Lubiła pasjami lustrować składy na Kärthnerstrasse, badać ich głębokość w ziemi, w piwnicach, w szafach ogniotrwałych i skrytkach, oświetlonych elektrycznością, sondować zasobność w schowaniach wpuszczonych w mury. Jak

w Paryżu — skupowała mnóstwo sukien, bielizny, rękawiczek, obuwia, pończoch, ha-  
lek, gorsetów, kapeluszy, drobiazgów, cacek ostatniej mody i smakołyków ostatniego  
pomysłu. Polubiła ordynarność zabawy, płaskość i ostrość dowcipu. W mdłym, błękit-  
nym dymie u Ronachera, wobec szerokiej sceny pełnej błazeństwa, akrobatyki, baletu,  
tresowanych zwierząt, trywialnych kupletów, wśród publiczności złożonej z prostytutek  
i pocziwych kłep-mieszczanek czuła się doskonale. Siadywała najczęściej gdzieś w pur-  
purowej łoży, otoczona bandą mężczyzn.

Lubiła błąkać się samopas po ulicach, kiedy z okien pełnych szychu, świecideł i ogro-  
mu towarów sypie się elektryczne światło, kiedy po bruku asfaltowym szeleści krok mi-  
lionowego tłumu. Była wówczas radośnie zgubioną w zbiorowisku. Czasem wtedy na  
serce jej wracała się cicha, ciemna, uboga Warszawa. Ale nie było to marzenie przykre.

Przeciwnie — było w nim wyzwanie i ekscytacja.

Poznała mnóstwo nowych ludzi. Zrazu nie mogła pojąć, co się koło niej dzieje, co to  
za osoby schodzą się u Bandla, uczują z nim w zamkniętych gabinetach knajp, tłoczą się  
do łóż w operze i teatrach, szachrują szeptem, kręcą się wśród klubów parlamentarnych,  
grają u niego w karty, wydzierają sobie majątki, stanowiska, władzę i kobiety. Włosy  
stawały na głowie i bezsenność rozwierała w ciemności powieki. Lecz z czasem wszystko  
zobojętniało, stało się znośnie wstrętne, tak samo jak oczy, binokle i brzuszki Bandla.

Przywykła do ludzi, zjawisk i rzeczy. Był jej obojętny sam Pochroń i jego zmysłowa  
miłość. Obojętne było życie obecne, przeszłe i przyszłe. Nie znaczy to wcale, żeby się czuła  
źle.

Było to życie liszki na liściu, wypijanie pokarmu, wygrzewanie w słońcu.

Gdyby teraz Łukasz zjawił się wobec niej ze swą nerwową, niecierpliwą rozpaczą, ze  
swymi żałami, rozkazywaniem i nagłymi przeskoki od złorzeczeń, gróźb, klątw do próśb,  
uniżeń, całowania śladu jej stóp — wypchnęłaby go chyba ze swego pokoju i zatrzasnęła za  
nim drzwi z piosenką wiedeńską na ustach. Z wolna wygasał w niej ten Łukasz, wygasał  
jak ogień — zarzył się — leżał jak węgiel parzący w popiele... Teraz już stygnie. —  
Już go nie ma. Nie czuła już w sobie ani strasznej rozkoszy ducha — miłości — ani  
przerażenia wobec spełnionej zdrady. Spokojna pustka — nic więcej. Pustka ta była jak  
ziemia w podwośnie, nieokryta ani jedną trawką, leżąca spokojnie pod ciepłym słońcem.

Ewa mogła teraz patrzeć w przepaść swych grzechów. Nie czuła do nich wstrętu, jak  
w Paryżu. Nudziły ją jednak. Ziewała na ich widok. Pojmowała ohydę grzechu rozpusty,  
ale nie mogła zdobyć się na nic, co by z niej mogło wyrwać.

Nad wszystkim panowało jedno pragnienie: nie dopuścić do siebie wspomnień o mi-  
łości, nie dać im nigdy zapanować w duszy. Nie pożądać z ducha, nie kochać sercem, nie  
plakać za minionym uśmiechem najdroższych ust, za brzmieniem głosu. Trwać tylko,  
trwać w spoczynku zapomnienia. — Nie czuć w sobie serca, gdyż bez serca jest dobrze,  
a z sercem straszliwie.

„Zdradziłeś mnie — mówiła teraz w głębi siebie — ty pierwszy mnie zdradziłeś. Szłam  
za tobą na koniec świata. Tobie pierwszemu oddałam bezsilność moich nóg i tobie pierw-  
szemu otworzyłam drzwi duszy. Gdy mi tamten powiedział, że mnie zdradziłeś, szalałam  
sama jedna. A teraz zdradziłam cię i znalazłam spokój. Należę teraz do innego, a ty jesteś  
dla mnie czcze i puste imię!”

Częstokroć brała do ręki listy Łukasza (zamknięte już zresztą wraz z listami Szczerbica  
w biureczku Pochronia) i czytała je od początku do końca, żeby się w stanie swej mocy  
utwierdzić, przekonać się, że nic w tych listach nie ma, nic a nic. Dziwiła się, jakim  
sposobem tyle dawniej pod tymi samymi literami czytała! Nie było już zapału, który  
dawniej odurzał aż do utraty zmysłów...

Pewnego razu w czasie takiej lektury znalazła była na dnie szkatuleczki, gdzie listy  
leżały — trzy zeschnięte róże. Zeschnięte na szczeret... Przypomniała sobie ich dzieje i przez  
chwilę bawiła się nimi, ważąc je w palcach. A dzieje róż takie były...

Za dawnych dni, gdy mu już była ofiarowała swe ciało, a miał wkrótce do Włoch  
wyjechać, nastąpiła między nimi gorąca sprzeczka. Leżała wówczas w łóżku. Był u niej  
wtedy w pokoiku, z oknem zasłoniętym pąsowym szalem, gdy leżała w łóżku. (Umyślnie  
wtedy rozebrała się w dzień, udawa chorą, żeby go o naznaczonej godzinie przyjąć w łóżku.)  
Przysłał jej później trzy róże ciemnopąsowe. Gdy, wyszedłszy z domu, chyłkiem kupował

w sklepie te róże, sądził, że będą źle przyjęte i że nadal będzie się gniewała. Tak jej to wyznał.

Nie widzieli się długo, całą noc i dzień następny, i znowu noc... A gdy wreszcie byli razem, dowiedział się z najwyższym, z szalonym szczęściem, że dobrze były przyjęte róże.

„Nieoporne” róże uschły na piersiach, między piersiami. Leżały przez całą noc w tym miejscu, które tak kochał — gdzie serce bije... Prosił wówczas o te róże gorąco. Jakże gorąco!!! Chciał, żeby mu je darowała jako najcenniejszy skarb, znak wznowionej miłości. Prosił o nie i później wielokrotnie, w chwilach łaski, mając możliwość całowania jej w usta! Dla jakiegoś powodu, gdy była mowa o tych różach, stawała się wstydliva, usta jej żarzyły się jak nigdy przedtem i nigdy potem. Były jak żywy i ruchliwy ogień.

Sama to czuła. Mówili do siebie wtedy, że chcieliby mieć dziecko. Oczy jego zapalały się od ognia jej ust. Wyznawali wśród płomieni najskrytsze myśli.

Nie dała mu wówczas przez zapomnienie upragnionych róż... A teraz... Jakże mu zwrócić tę jego własność, kiedy nie zna jego adresu? Zmiała je w palcach, pokruszyła na proch i rzuciła na ziemię w to miejsce, gdzie Pochroń stawiał swe pantofle nocne.

Pochroń przywłaszczył sobie listy Łukasza (i Szczerbica), trzymał je u siebie. Często je przy niej czytał i zaopatrywał w komentarze. Oddała je bez żalu.

Miała jeszcze pragnienie, żeby mieć sprawę ze Szczerbicem. (Mieć sprawę znaczyło teraz: walczyć z nim i pokonać.)

Właściwie nic jej złego nie zrobił, a była względem niego usposobiona nienawistnie. Można by powiedzieć, że jeżeli jeszcze czuła cokolwiek poza zmysłowością i żądzą dosyту, to była właśnie duchowa nienawiść do Szczerbica. On to — czuła — przestrelił Łukasza. On ją tym swoim strzałem wydobyl z domu i oddał w ramiona Łukasza. On ją zgubił, wcale o tym nie wiedząc. Nie pocałował jej ust, a zepchnął ją z krużganku kościoła na podwórze lupanaru. Gdyby nie to, że ją zepchnął, może by ją był spotkał i pokochał czystą miłością, taką miłością, jaką ona kochała Łukasza. („*Dans le véritable amour c'est l'âme qui enveloppe le corps*<sup>166</sup>”.)

A chciałaby być kochana czystą miłością przez Szczerbica.

Krażyć z nim w zaświecie sztuki, chodzić z nim ręka w rękę po schodach muzyki... Och, nienawidziła Szczerbica i marzyła nieraz tajemnie, żeby go zepchnąć, zepchnąć z krużganku kościoła, z najwyższego gradusa jego przecudnej, wyzwolonej muzyki na cuchnący bruk lupanaru!

Z osób, które poznała czasu pobytu w Wiedniu, dwie zainteresowały ją bliżej. Ponieważ instynktownie i odruchowo nienawidziła Żydów, których u Bandla bywało mnóstwo najrozmaitszych (a przede wszystkim giełdjarzy, madziarskich patriotów, tak zwanych publicystów, bankierów, jakichś pośredników i spekulantów, znających się na wszystkich ludzkich sprawkach, wreszcie oczywistych oszustów) — więc z rozkoszą zwracała uwagę na rodaków.

Pewnego wieczora odezwał się do niej u Ronachera po polsku jegomość szczupły, niemal chudy, wygolony i wystrzyżony tak dalece, że jego głowa była gładka i okrągła jak kościana gałka. Pracując usilnie myślami, Ewa przypominała sobie, że to ten człowiek siedział swego czasu razem z Pochroniem w cukierńce dalekiego miasta, kiedy to do chorego Łukasza przyjechała. Był to Plaza-Splawski, który zresztą nie używał oficjalnie hrabiowskiego tytułu.

Ubrany był w jakiś czarny beszowy kostiumik i buciki pochodzenia rosyjskiego (*sapogi butylkami*<sup>167</sup>), których cholewy były skutecznie ukryte pod nogawicami spodni.

Kołnierzyka koszuli jakoś nie było widać za stojącym kołnierzem kurteczki — może zresztą przez oryginalność. Plaza-Splawski miał wybite lewe oko. To oko było zasłonięte dwiema, powiekami, które nie schodziły się całkowicie. Przez tę szczelinę biaława martwa masa przezierała jak spokojna pustka... Dół, w którym jak w więzieniu bytowało owo oko, przerośnięty był kilkoma szwami, idącymi ku brwiom i w kierunku nosa. Drugie oko patrzyło i pilnowało spraw świata za obadwa<sup>168</sup>.

<sup>166</sup>*Dans le véritable amour c'est l'âme qui enveloppe le corps* (fr.) — w prawdziwej miłości to dusza jest powłoką dla ciała.

<sup>167</sup>*sapogi butylkami* (z ros.) — buty z cholewami.

<sup>168</sup>*obadwa* (daw.) — dziś popr.: obydwu.

Płaza-Spławski był małowówny. Jego twarz sucha i jakby wyrżnięta z kości była zawsze nieruchoma, spokojna, zimna i bez uśmiechu. Trudno by nawet było wyobrazić sobie na tej twarzy uśmiech. Można by powiedzieć, że uderzały w niej wyżłobione rysy smutku, gdyby nie to, że ów smutek był tak specjalnego rodzaju. Drzemała w tej fizjonomii jakaś niewesoła a groźna rozważa, czujna bacność wielkiego rozumu, która wątpi o wartości przedsięwzięć. Z paru wzmianek Pochronia Ewa domyśliła się, że to Spławski właśnie nosi niezbyt polskie zawołanie *drania*. W istocie okazało się później, że razem byli na wojnie transwalskiej, razem prowadzili interesy w Klondyke i innych punktach globu. Płaza-Spławski był poddanym francuskim, „obywatelem Rzeczypospolitej”. Do jakiej narodowości sam się zaliczał, tego nie deklarował publicznie. Mówił najlepiej po francusku, ale równie chętnie posługiwał się językiem angielskim, rosyjskim i niemieckim.

Bandl nazywał go ironicznie „kapitanem”. Jakaś kariera wojskowa musiała w rzeczy samej poprzedzić inne epoki życia Płazy, gdyż w pewnych okolicznościach wspominał o Tonkinie, o Kochinchinie, jako o miejscach, które dobrze zna, oraz lubił patrzeć na wojsko. Słabo ożywał się, gdy mówiono o rzeczach wojskowych, i coś jak powiew współczucia łagodziło wówczas surowość jego twarzy.

Obecnie Płaza-Spławski był w niedostatku. Nikt nie przychodził mu z pomocą czy też on od nikogo pomocy przyjąć nie chciał, dość, że żył w okrutnym, bezgranicznym poniżeniu. Na przyjęciach u Bandla nic nigdy nie jadł, nie pił i nie palił. Jeżeli tam był wśród wystrojonych geldziarzy, to widocznie tylko za interesami. Mieszkał w tak nędznym hoteliku, gdzieś w bocznej uliczce od Mariahilferstrasse, że Ewa ze drżeniem wkroczyła tam, kiedy szukała go razem z Pochroniem. Pamiętała tę chwilę. Korytarzyk był tak wąski, że tylko jedna osoba mogła się tamtędy przecisnąć. Słabo pełgał gaz i nie rozpraszał mroku.

Na lewo były tapetowane niskie drzwiczki w tapetowanych ścianach, niewidzialne wejścia do niskich numerów. Na prawo ściana śliska, oklejona papierem. Macając w ciemności, świecąc sobie zapalkami, znaleziono wreszcie drzwi do numeru *grafa* Płazy-Spławskiego. Pokoik jego był mały, brudny jak ścierka, z zakurzonymi oknami. Na łóżku leżały poduszki w czarnych poszwach z falbankami i wyświechtana koldra z seledynowego jedwabiu. Cały ów pokoiczek, jak na urągowisko, wysłany był grubym, czerwonym sukmem. Płaza-Spławski stał na środku pokoju, gdy Ewa weszła w towarzystwie Pochronia. Jakże straszną w swym nieruchomym spokoju, jak posępną i złowieszczą wydała się wówczas Ewie jego ciemna twarz!

Niby to uśmiechnął się na widok damy... Nie zawstydził się, gdy z przerażeniem patrzyła na potworne aksamitne firanki, podwiązane bajecznie sutymi sznurami, na portiery dyndające u drzwi. Rzekł do niej po francusku:

— Pani! Pozwól mi mieć nadzieję, że będę kiedyś miał szczęście przyjąć cię w otoczeniu bardziej godnym twojej piękności...

Nie wiedzieć czemu, polubiła wówczas tego hardego a milczącego człowieka. Dziwiła się jego kostiumowi tak bardzo letniemu jak na ostrą zimę, kurteczce z guziczkami okrągłego kształtu. Patrzyła później z potrójną ciekawością na stosunek Płazy do Bandla, spasionego optymisty i zatopionego w używaniu, który rżał jak ogier z radości, patrząc na kostiumik „kapitana”. Był to stosunek zimny, ale bynajmniej nie uniżony. Przeciwnie. Bandl, Pochroń, a nawet inni patrzyli z najwyższą uwagą w zdrowe oko Płazy-Spławskiego.

Drugim gościem z ojczyzny był pan Nycz, starzec tak piękny, że pomimo swych lat sześćdziesięciu pięciu mógłby budzić zachwyt w szesnastoletnich dziewczuszkach. Oczy miał błękitne, marzycielskie, wesołe, łatwowieczne, oczy-uśmiech. Wąs bujny, bielusiński osłaniał lubieżne usta, srebrna czupryna jak diadem ozdabiała czoło. Trudno by było wykomponować piękniejszą figurę na prezydenta rzeczypospolitej, ministra, czytającego mowy tronowe, głównego sędziego albo szwajcara w Monte-Carlo.

Był to jednakże tylko nauczyciel języka francuskiego, syn emigranta, nieszczęśliwego emigranta polskiego... *d'un malheureux émigré polonais*<sup>169</sup>... Teraz od kilkunastu lat mieszkał „we Widniu”, tęskniąc zboliałym sercem do „nieszczęsnej ojczyzny”, której wcale

Emigrant, Patriot, Polak,  
Pieniądz, Interes, Obyczaj

<sup>169</sup>*d'un malheureux émigré polonais* (fr.) — nieszczęśliwego polskiego emigranta.

nie znał i do której nigdy się nie kwapił, aczkolwiek nikt mu nie bronił przebywać do woli pod jej słomianym i dziurawym dachem.

Nycz dawał lekcje synom posłów, magnatów, członków Izby Panów, ambasadorów itd. Był tak dobrze wychowany, gładki, przyjemny, wesoły, obfity w anegdotki i anegdoteczki, że lubili go wszędzie nie tylko uczniowie pobierający lekcje języka, ale i ojcowie tudzież matki.

Nycz bywał wszędzie i wszystkich znał. Osobliwie pilnował „tradycji narodowych”, zachowywania w nieskalanej czystości wszelkich jedzeń ściśle „narodowych”, „święconego”, struceł gwiazdkowych itd. O wszystkim wielkim na świecie mówił z prostotą wesołą, niemal biblijną. Nie można powiedzieć, żeby kłamał kiedykolwiek, aczkolwiek nie poczytywał kłamstwa za występki. *Pauvre patrie*<sup>170</sup>, do której wzdychał „we Widniu” od lat tyłu, była jego istotną miłością.

Cieszył się z tryumfów różnych leaderów i speakerów „Koła” i poczytywał owe tryumfy oraz najrozmaitsze kręactwa i szpryncy za zwycięstwa „narodu”. Słowo „naród” wymawiał z emfazą najzupełniej francuską.

Nycz ubrany był zawsze tak wykwiśnie, że mógł istotnie wchodzić do każdego salonu. Odbył liczne podróże po Europie w towarzystwie rozmaitych paniczów, i to tak wysokiego stopnia, że mniejsi panowie mile widzieli tego ustosunkowanego guwernerę, który jednak z naciskiem i stale zaznaczał, że jest demokratą. Cóż dopiero mówić o dorobkiewiczach i bankierskiej swoloczy...

Nycz wiedział mnóstwo rzeczy, bywając w świecie sposobem poufałym, jadalniowym i buduarowym. Nikt tyle nie mógł od niechcienia bąknąć o gwałtownych sprawach tego świata, co on właśnie. Śmiejąc się, baraszkując, dowcipkując, patrząc w oczy z dziecięcą prostotą zaawansowanego emfizematyka, taką nieraz wyziewał wiadomość, że później cały sztab Bandla miał o czym szeptać przez godzinę. Toteż ani Bandl, ani Pochroń, ani nikt z gości nie skąpił pocziwemu gawędziarzowi pożyczki, drobnego „pompnięcia” dziesiątki, dwudziestki, a nawet pięćdziesiątki guldeniat, kiedy się przymówił. A miał tę wadę czy słabostkę, nałóg czy odruch, że lubił pompnąć.

Czynił to w sposób tak dobroduszny, zabawny, jasny i dziecięcy, jakby brał z pudełka „gościnnego” Bandlowskie cygaro.

Ewa polubiła go od razu i pasjami. Przypominał jej poniekąd ojca. On również „kochał się” w Iwi, jak ją z angielska nazywał. Mówili sobie po imieniu, no i oczywiście pożyczali sobie nawzajem dziesiątki i dwudziestki w okolicznościach karnawału. Nycz brzydził się kompanią Bandla, brzydził się również i Pochroniem. Ilekroć ostatniego widział w „towarzystwie”, śmiał się otwarcie, a jeśli nie wypadło tego czynić zbyt głośno, ruszał wąsami, nie mogąc powstrzymać swej uciechy. Pochroń śmieszył go swymi manierami, językiem, wszystkim, co czynił. Inna rzecz z Płazą. Tego szanował w dziwny sposób i wielokrotnie naradzał się z Ewą, czyby nie można mu (rodakowi) posłać coś z ubrania. Ewa odradziła.

Skończyło się na oddziaływaniu pośrednim, za pomocą Pochronia, w celu poprawienia kostiumów hrabiego.

Na niczym się to jednak skończyło, gdyż Płaza i nadal chadzał po Wiedniu w swej kurteczce i bez paltota.

— Iw... — szeptał Nycz Ewie pewnego razu — jak ty możesz, niezemska, bawić się z drabem takim jak ten Pochroń. Ty, tak anielsko piękna — z nim w łóżeczku — *bélas*<sup>171</sup>! Przecież to jest drab, *un brigand*<sup>172</sup>!

— Wcale nie, papo, wcale nie! Nie znasz Pochronia. To złote serce.

— Serce? Być może! Któż mówił o sercu! Nie o sercu, niezemska... Zresztą co do jego serca... *voyons*<sup>173</sup>...

— Marzysz, papo?

— Posłuchaj, radzę ci, rzuć go! Ja to czuję... on śmierdzi krwią.

— No, więc cóż z tego? Wszyscy śmierdzą.

<sup>170</sup>*pauvre patrie* (fr.) — biedna ojczyzna.

<sup>171</sup>*bélas* (fr.) — niestety.

<sup>172</sup>*un brigand* (fr.) — bandyta, zbój.

<sup>173</sup>*voyons* (fr.) — zobaczmy.

— Tego nie możesz mówić! Przesadzasz, egzagerujesz! Skądże wszyscy? Ja, na przykład...

— Jakaż na to rada?

— Dam ci radę! Zrób, wiesz, jak owe dzielne niewiasty w *l'Assemblée des femmes*<sup>174</sup> Arystofanesa albo jak Lizystrata.

— Jakże to?

— Powiedz sobie, ale jak one, pod przysięgą, uważasz, pod przysięgą: „*S'il me prend de force, je n'éleverai pas mes pieds au plancher, je ne ferai rien que de mauvaise grace et avec froideur*<sup>175</sup>...”. Zaręczam ci.

— Ach ty staruszkę, safandulko czupurna, czupiradelko cacane...

— „Staruszkę”! Albo po prostu odepchnij go... i ten...

— I co?

— No i weź już lepiej — mnie!

— Ciebie? Nie mogę, ale, wierz mi, tylko przez wzgląd na twoją reputację. Straciłbyś lekcje. Stałbyś się niemożliwy w salonach, bo byłbyś, pojmujesz — niemoralny...

— *Mais quoi*<sup>176</sup>! Nikt by nie wiedział! W najgłębszym sekrecie.

— Ba! Kiedy ja jestem, ja jestem już jawnogrzesznicą.

— Moglibyśmy osiąść w pewnym hoteliku... to jest... Ja, na przykład... Przecież ty mię lubisz?

— Och, czyż możesz pytać? Ty jesteś moja stara małpeczka, miłe ojczyste kretynię, kochany Bandlowski szpiczek. Ale widzisz, Pochroń — to człowiek, który ma w ręku sztylet włoski.

— Iw!... Jakże mię dotknęłaś... Nigdy się tego po tobie nie spodziewałem...

— No, jesteś przecie nauczycielem języka francuskiego, synem nieszczęśliwego emigranta?

— Nie o to! Ale powiedziałaś słowo... Powiedziałaś — prawda? Bo może się przesłyszałem... co?

— No, wchodzisz wszędzie, gawędzisz, jesz obiady, zimne zakąski, *à la fourchette'y*, wysłuchujesz, co mówią, wywiadujesz się zresztą od lokajów, od różnych sługusów i za pożyczone dziesiątki szepniesz to czasem po pańsku, gdy jesteś w dobrym usposobieniu, od niechcenia... Ale ja cię przecie bardzo lubię...

— I to ty, ty mówisz mi takie rzeczy! Bolesnie mię zraniłaś.

Ewa gładziła ręką siwe, srebrne włosy. Rozprostowywała palcami groźne zmarszczki na czole. Pozwalała pięknej, arystokratycznej ręce błądzić po swej postaci. Uśmiech wracał znowu na usta dobrotliwego staruszka i wieczna pogoda gościła znowu w błękitnych oczach.

\*

Pewnego popołudnia, w marcu, Pochroń zażądał od Ewy, żeby z nim poszła do mieszkania Płazy-Spławskiego.

— Do tego hoteliku — spytała — gdzie on mieszka?

— Oczywiście, do tego hotelu.

— Nie pójdę! Po co ja tam jestem potrzebna?

— Musisz iść. Nasze interesa absolutnie źle idą.

— Czy absolutnie, czy nie — wszystko mi jedno. Nie idę!

— Kiedyż musimy się naradzić... Co to za dziwactwa!

— Nie pójdę do tej nory. To wstyd ostatni dla kobiety wchodzić na schody takiego hotelu.

— Kiedyż to są przesady damskie i nic więcej. Interes wymaga, więc nie ma i nie może być kaprysów.

— Niech tu przyjdzie Płaza, jeśli interesa wymagają! Cóż to, nie ma nóg i swoich rosyjskich butów?

<sup>174</sup>*l'Assemblée des femmes* (fr.) — zgromadzenie kobiet.

<sup>175</sup>*S'il me prend de force, je n'éleverai pas mes pieds au plancher, je ne ferai rien que de mauvaise grace et avec froideur* (fr.) — skoro weźmie mnie siłą, nie ruszę nogą ani nie zrobię nic, chyba że jak z laski i z oziębłością.

<sup>176</sup>*mais quoi* (fr.) — ależ skąd.

— Widzisz, dziecko, ma i on swoje kaprysy. Hrabia — uważasz — sobacza dusza. Magnat bez koszuli z guzickami, morowa jego, zatracona!... On do mnie nie raczy. Zdechnie z głodu, a nie raczy! A, widzisz, jakbyś ty przyszła do niego, to mu to sprawi grubą frajdację...

— Kto ma pójść ze mną?

— No, ja.

— Będziesz przez cały czas rozmowy obecny?

— To zależy. Może tak wypaść, że będę musiał po co wyjść na chwilę. Trudno wszystko przewidzieć, co z interesu wypadnie. Czasem trza papieru, atramentu...

— Ty... szubrawcze, szubrawcze, szubrawcze! — mówiła przez zaciśnięte zęby, spłoniąca cała od stóp do głów, patrząc na niego przez ramię.

— Troisz sobie bóg wie co, romansowa heroino, a nie wiesz wcale, o co chodzi.

Zaśmiał się ohydnie i mruknął:

— Ten Płaza ma wstręt do kobiet, możesz być o niego zupełnie spokojna. Znam przecie jego azjatyckie przyzwyczajenia. Amator kwaśnych jabłek... No, więc idziesz?

— Oczywiście, że idę, choćby dlatego, żeby ci pokazać, jakiś ty szubrawiec i jak drwię sobie z twoich planów!

Tegoż dnia nad wieczorem udali się obydwójce do wiadomego hoteliku. Ewa musiała znowu z najgłębszą odrazą wstępować na schody wymalowane białą farbą, iść aż na drugie piętro, ujrzeć swój wizerunek odbity w szerokim, tandetnym lustrze o pluszowych ramach... Minęła ciemny korytarz, w którym mrok zgęszczał się coraz bardziej, skręciła na lewo. Grozą i drżeniem przejął ją znowu widok czeluści. Szła na palcach wąskim przejściem... W głębi, daleko, żarzył się płomyk gazowy w koszulce przepalonej i na pół rozdartej. Dziwaczny kształt i ponury kolor tego płomienia ścisnął serce. Prawa ręka ślizgała się po wilgotnej ścianie oklejonej tapetami, lewa dotykała małych drzwi, poza którymi słychać było głosy. rozmowy, śmiechy, piski rozpustne, szepty, jęki... Było tak ciemno, że Ewa nie widziała Pochronia idącego o krok przed nią. Wzdrygała się od strachu... Nareszcie otwarły się drzwiczki do numeru Płazy-Spławskiego, nareszcie światło...

Ewa czuła się bardzo źle w tym miejscu. Nie mogła złapać tchu. Nigdy jeszcze nie miała tak jasnego wyobrażenia o niewoli swojej, jak w tym momencie. Gdyby tak mieć w rękę sztylet, z jakąż rozkoszą uderzyłaby w nienawistne plecy Pochronia! Zabić tego złoczyńcę!

Weszła do pokoiku Płazy-Spławskiego. Tamten stał, jak poprzednio, tyłem zwrócony do zakurzonego okna. To obmierzone okno, dochodzące do samej podłogi, znowu nasunęło uczucie odrazy, dało zmiarkować głębokość upadku. Usiadła na krześle tyłem do okna i spoglądała w zapstrzony oleodruk wyobrażający Stellę Fornarinę<sup>177</sup>. Wrażenia swoje usiłowała przykryć wesołością. Zrobiła jej dużą, och, dużą przyjemność obecność w tej jamie Stelli Fornariny...

— Panie hrabio — mówił Pochroń — musimy naradzić się i zdecydować, co robimy dalej. Toż to miesiące, miesiące upłynęły! Trzeba jechać nareszcie. Kiedyż my pojedziemy?

— Radź pan... — mruknął Płaza.

— Wiemy wszyscy, że z takim kapitałem, jaki mamy w rękę, nie ma wcale o czym myśleć.

— Nie myśl pan... — mruknął tamten.

— Więc co?

— Więc nic.

— Ależ to nie jest odpowiedź!

— Ja nie mam pieniędzy.

Obydwaj patrzyli sobie w oczy. Pochroń zwiesił głowę. Po chwili znowu ją podniósł i wlepił oczy w twarz Płazy.

— Bandl? — spytał ostatni.

— Nie ma żadnego, żadnego sposobu! Bandl co tylko mógł...

— Ja wyjadę sam... — rzekł zimno Płaza-Spławski.

— I co pan poradzi bez pieniędzy?

<sup>177</sup> *Stella Fornarina* — domniemana muza Raffaella Santi; chodzi o reprodukcję obrazu *La Fornarina* z 1515 r.

— To moja rzecz. To się okaże. Nie mogę czekać, aż wam z nieba spadnie milion.

— Ostatnia nadzieja, ostatnia myśl, to jest ten Szczerbic.

— Szczerbic?! — zawołała Ewa, szczerze zdumiona.

— No, oczywiście. Gdyby go się wciągnęło do interesu... Przecie pisał do ciebie, że gotów by sprzedać wszystko w Europie i jechać do Ameryki. Właśnie i my mamy tę samą myśl. Niechby sprzedał wszystko i wstąpił do naszego interesu. Moglibyśmy zrobić miliony!

Plaza milczał obojętnie, patrząc na Ewę swym martwym okiem.

— Któż to ma się podjąć wciągnięcia Szczerbica w wasze interesa? — zapytała z szderstwem.

— Pani — rzekł Plaza-Splawski ze spokojem.

— Oczywiście że ty! — dorzucił Pochroń.

— No, to zanotujcie sobie, panowie przemysłowcy, w swoich notesach grubymi literami, że ja ani palcem nie kiwnę...

— Mówiłem, że to będzie z korowodami... — rzekł Plaza do Pochronia.

— Dlaczegoż nie miałyby przyczynić się do wspólnego dobra? — spytał Pochroń łagodnie. — Powiedz tylko! Czytałem jego listy pisane do ciebie. Ten człowiek robi wszystko, pójdzie jak dziecko za ciastkiem. Jeśli tylko zechcesz, sprzeda cały majątek i pojedzie za tobą do Ameryki.

— A cóż ja z nim mam począć? Bo wy to pewno już wiecie...

— No... Gdyby chciał wstąpić do interesu... Mogłabyś go namówić. Ostatecznie dla dobra sprawy... mogłabyś z nim pojechać, jeśli zechcesz.

— A ty na to przystaniesz z miłą chęcią... Jakiś ty dobry!

Ognie wewnętrzne uderzyły w serce. Dziwna rozkosz marzenia o wydobyciu się. Pomysły lecące jak tabuny koni. Płacz w piersiach, zduszony powrozami przebiegłych myśli...

— *Tiens*<sup>178</sup>... Cóż ja tedy mam robić?

Plaza-Splawski skrzywił powoli cienkiego papierosa, zapalił go i mówił w sposób decydujący jak dowódca:

— Napisała by pani do tego Szczerbica list, wzywający go, żeby do pani przyjechał do Wiednia. Niech wszystko, co ma, spienięży, albo tak ułoży, żeby można zaciągnąć na to wielkie długi. Niech pożyczyc tam na miejscu na swe posiadłości nieruchome, jeśli nie ma gotówki. Bo gotówka być musi. Wyłoży mu pani, że pojedziecie do Ameryki robić pieniądze w Klondyke. Tu można będzie Nycza na niego napuścić, żeby mu rozdał imaginację w kierunku potrzeby wielkości, że to dla Polski... Pani napisze entuzjastycznie *avec passion, avec tendresse*<sup>179</sup>...

— No i cóż jeszcze?

— Gdy przyjedzie, według mego przekonania, musi go pani pociągnąć ku sobie wszelkimi środkami, ale zarazem trzymać w oddaleniu, żeby się męczył potężnie, a nie mógł odlecieć.

— No i jeżeli tego wszystkiego nie zechcę?...

Plaza-Splawski zamilkł, a Pochroń podjął niejako dalszy ciąg:

— Musisz, bo w przeciwnym razie wydam cię, żeś zabiła dziecko.

— Głowę sobie zaprzątasz głupstwami i głupstwami mi grozisz. To nieprawda. Gdzie masz dowody?

— Ja mam na ciebie dowody, ani się spodziewasz, jakie!

— Kto by tam w sposób podobnie ordynarny walczył z kobietą! — rzekł niecierpliwie Plaza. — Czemuż by pani nie miała się zabawić z tym Szczerbicem? Czemu? Czyżby pani, że tak powiem, kochała obecnego tu kawalera Pochronia? Jeżeli pani Szczerbica nie znosi, no to...

— Właśnie, że go nie znoszę.

— Ale on panią kocha. To podobno przyjemnie odbierać hołdy, gdy się nie kocha. Tak słyszałem.

— Cóż z tego, że on mię kocha. Przypuśćmy, że mię kocha.

<sup>178</sup>*tiens* (fr.) — cóż; dobrze; a zatem itp.

<sup>179</sup>*avec passion, avec tendresse* (fr.) — namiętnie, czule.

— W takim razie... — rzekł Płaza uśmiechając się przeciągle — sędzę, że mogłaby pani dla dobra przyjaciół to uczynić, żeby w swej górnej świetlicy przyjąć hołdy hrabicza polskiego. Powinien za taką łaskę zapłacić milion. My, szlachta polska, znani jesteście z tego, że płacimy za piękne łaski ze szczodroblewością niewiarogodną. Powinien oddać wszystko, co ma, a że za to, przypuścmy, zobaczy tę *cou de cygne et les épaules d'albâtre*<sup>180</sup>... Gdyby zaś zamierzał siłą zdobyć, gdyby się ośmielił zanadto, wówczas jest bardzo łatwy sposób, którego powinny by się nauczyć koniecznie nasze panie. To się bardzo szeroko praktykuje dzisiaj na Wschodzie. Sam na sobie, niestety, doświadczyłem... Dość jest wbić w ręce wyciągnięte, w twarz zbyt natrętnie spieszącą ku pocałunkom, koniec strzykawki Prawatza, nacisnąć tłok ruchomy... W strzykawce jest płyn znieczulający na chwilę...

— Cóż to za płyn znieczulający?

— Małoż to płynów znieczulających? Jakikolwiek.

— I wówczas co?

— Wówczas na pierwszy znak, dany przez panią, wbiegną przyjaciele i wybawią panią od natarczywości natręta.

— To z jakiegoś romansu ordynarnego pisarza zjęczyły pomysł. A gdybym ja tak o tym pańskim pomysle zechciała powiedzieć komuś na zewnątrz, przypuścmy: pierwszemu z brzegu komisarzowi policji?

— Komisarzowi policji? — cicho szydził Płaza-Splawski. — I cóż mu pani powie?

— Że pan jesteście właścicielem strzykawek, których jeszcze nie nauczyły się używać nasze damy....

— Strzykawek? Ja pani pokażę ten przyrząd, bo przecie to najniewinniejsza sztuczka, za której pomocą ja codziennie zastrzykuję sobie arsenik.

Wstał ze swego miejsca i wydobyl z szuflad ohydnej komody małe niklowe pudełeczko. Otworzył je i pokazywał Ewie szklany przyrząd z niklowym tłoczkiem i błyszczącą, platynową igłą.

— Widzi pani, jak to się naciska. Dawniej, we wspaniałym średniowieczu, kiedy jeszcze żył kult twardości i porywczosci człowieka, kiedy nie byli jeszcze przywaleni znie wagami drapieżny mężczyzna i zmysłowa a piękna kobieta — napaść męską trzeba było odpierać giętym, falistym sztyletem. Teraz takie narzędzia można widzieć tylko gdzieś w Museo Nazionale boskiej Florencji. Dziś, gdy świat jest wyszukanie moralny, trzeba się bronić w sposób wyszukany. Niech moralista biedzi się nad wyszukaniem dowodów odpierającego ciosu! Napastnik nie może wydać ani jednego okrzyku, nie wykona ani jednego ruchu. We wnętrzościach jego nie będzie śladu tak łatwej do wynalezienia „trucizny”. Nie będzie w ciele rany. Toteż nikt nie może udowodnić winy.

— Więc — w otwarte karty! Jeżeli nie spełnię, czego żądacie, to co mię czeka?

— Och, zaraz, dziecko, wszystko brać tak tragicznie!... — mówił Pochroń. — Wiesz, w jakim jesteście położeniu. Musimy dostać pieniędzy, musimy! Nawet pod sekretem mówiąc, dłużej w tym Wiedniu nie można popasać. A Szcerbic ma bezużyteczne miliony! Sama mówisz, że go nienawidzisz, a on się w tobie kocha! Tak to świetnie się złożyło... Od twojej woli, od twojej łaski wszystko zależy. Wezwij Szcerbica! Będziesz się z nim bawiła, jeśli zechcesz, odtrącisz go, jeśli zechcesz. Nikt ci w tym nie przeszkodzi... — szepnął jej tuż nad uchem.

Ewa poczuła w piersiach brak tchu, w głowie radosny szum. Gorące marzenie, żeby ich wszystkich oszukać, oszukać tych wszystkich drabów i Szcerbica — wyrwać się, wydobyć z matni... Mieć znowu pieniądze! Odebrać im podstępem pieniądze, które jej siłą wydarli!

— Cóż wy mi za to wszystko obiecujecie? Ja mam dostarczyć wam setki tysięcy Szcerbica, a gdzie są moje własne pieniądze? Słuchaj ty, Pochroń, kolejowy bandyto, gdzie są moje własne pieniądze?

— Czy myślisz, że ja ci chcę skonfiskować, Ewuś? Ja? Pomyśl tylko! Zobacysz, ile ja ci w Ameryce oddam za te marne dwadzieścia tysięcy — niech się tylko interes znowu zacznie!

— Znam ja już wasze interesa. Szanowny pan hrabia do świetnych doszedł kostiumów i do bajecznych egzotycznych bucików, prowadząc niezrównane azjatyckie manipulacje.

<sup>180</sup>*cou de cygne et les épaules d'albâtre* (fr.) — szyję labędzią i alabastrowe ramiona.

Płaza-Spławski patrzył na nią nieruchomymi oczyma.

W pewnej chwili jego zdrowe oko przesunęło się jak szyldwach tam i z powrotem.

— Ewka! daj pokój, daj pokój... — zawołał Pochroń. — Czego drażnisz człowieka!

— Mam już was dosyć! Wy mnie drażnicie!

— Nie krzycz, bo tu za ścianą ludzie mieszkają, a ściany cienkie... — szepnął Pochroń, ściskając ją za rękę powyżej łokcia.

Dawno już nie widziała w jego twarzy takiego wyrazu. Obmierzły strach obleciał ją znowu, strach znieczulający jak chloroform.

— Czy pani napisze do Szczerbica? — spytał Płaza krótko.

— Nie napiszę — odrzekła w szaleństwie oporu.

— Trzeba koniecznie... — szepnął cicho — nie może być inaczej.

Wstał z wolna, wydobyl ze swej komody papier listowy, widocznie przygotowany — arkusik angielski, nasycony zapachem perfum koniczyny, kopertę, markę — przysunął pióro i atrament.

— Proszę napisać. My przeczytamy i, jeśli będzie dobrze, wyślemy.

— To wy macie chętkę przeczytać to, co napiszę do niego?

— Tak, my to przeczytamy. To dla nas nie list miłosny, lecz sprawa finansowa... — rzekł Pochroń, zamykając drzwi na klucz.

— Drzwi zamykasz, ty finansisto? — zaśmiała się dziko.

— Zamykam, dzieciątko moje.

— To dla nastraszenia mnie? Zamykaj drzwi, łotrze, włóczę się po świecie! Myślisz, że się przerażę i spełnię, co mi każesz?

Płaza-Spławski odsunął się pod okno, oparł plecami o róg szafy — i skinął na Pochronia. Ten momentalnie chwycił Ewę za gardło i zdusił po swojemu. Pchnęła go pięścią gwałtownie, ale bezskutecznie. Zaczął ją prać po twarzy. Policzki strzelały głośno na cały pokój. Bił póty, aż ją zupełnie zamroczyło. Gdy wreszcie przestał, gdy ciemność w jej oczach poczęła rzednąć — zapytał:

— Napiszesz?

Spojrzała na jego twarz. Nie mogła mówić. Skinęła przecząco głową. Płaza-Spławski stał skromnie pod oknem, poziewując nerwowo. Pochroń wymierzył jej cios w twarz tak mocny, że ciemność natychmiast wróciła. Jednocześnie chwycił ją za obadwa ramiona i począł trząść z wściekłością i taką siłą, że głowa jej latała bezwładnie w tył i naprzód.

— Pisz, ścierwo! Pisz natychmiast! Nie wyjdiesz żywa. Pisz, bo zabiję — mówił z dzikim spokojem.

Puścił ją. Otrząsnęła się. Usiadła przy stoliku tuż pod oknem. Poczęła się w mózgu jakaś myśl, żeby na głowę skoczyć w to okno potworne. Ale przez ciemność, która ją jeszcze ogarniała, dostrzegła tam figurę Płazy-Spławskiego. Znowu ją Pochroń zaczął bić w twarz, w ogień palący policzek! Ujęła w palce pióro i zaczęła pisać w szale duszy. Czuliła dziwnie, że ona jest szatan, a z ramion jej wyrastają dwa olbrzymie szatańskie skrzydła — Płaza i Pochroń. Skrzydła te wznoszą się nad jej ramionami, gdy pisze... Pisała szybko niby dyktando:

„Mój ukochany! Jestem w Wiedniu. Z radością, z uniesieniem myślałam o zobaczeniu go, nie uświadamiając sobie dlaczego. Od chwili jak jestem tutaj, wiem dobrze, co to znaczy. Wszystko tu jest Tobą, marzeniem o Tobie. Od chwili przyjazdu wypełnia mię cała myśl o Tobie, o Twojej miłości, o wszystkim, cośmy przeżyli. Jak cudowne są te wspomnienia! Jak niewymownie piękną byłaby rzeczywistość, gdyby można było zobaczyć się teraz, chodzić razem po kątach tego miasta! Jestem zachwycona Wiedniem. Od kilku lat nie widziałam tak pięknej zimy. Po nocach księżyc jaśnieje. Wczoraj byłam na wycieczce, niestety, w bardzo licznym towarzystwie. Jak mogłam, tak uciekałam od ludzi, by iść tylko z Tobą, bo w ciszy zdawało mi się, że zbliżam się do Ciebie, że razem jesteście. Tam w Zgliszczach może ładnie, ale dla mnie czyż jest tam miejsce? Czy Cię kiedy jeszcze zobaczę? Czy nie przyjedziesz teraz do Wiednia za mojej tu bytności? Całuję Twoje usta najmiłsze, jak te kwiaty wiosenne, które leżą przede mną, które przyciskam do ust, do oczów. Kocham Twoją duszę najdroższą. Twoje oczy smutne...

Czy podobna by było pogodzić się z myślą, że nie zobaczę Cię tak prędko? Najdroższy mój, przyjedź! Siżyś, Siżyś!... Zobacysz, jak kocham Ciebie, jak strasznie tęsknię. Nie mam teraz zamiaru wyjeżdżać z W., ale może nastąpić inna jaka ewentualność. Żyję wspomnieniem ostatniego widzenia się, tęsknię i marzę o nowym. Proszę na wszystko, napisz zaraz (*poste restante*, moje imię), czy przyjedziesz zaraz, żebym nie czekała na próżno, jasny mój, dobry, najmiłszy, jedyny — jestem Twoja. Kiedyż znowu będziemy razem, jak w Paryżu? Pamiętasz?

Ewa

PS

W tej chwili myślę, że gdybyś sprzedał wszystko, co tylko posiadasz, gdybyś pożyczył, czy inaczej (Nicea), dużo, dużo, to moglibyśmy uciec stąd na zawsze i zakosztować innego jakiegoś życia. Żyć dla siebie gdzieś w Ameryce, dla siebie tylko — Siżyś! Zabieraj, co tylko masz, i przyjeżdżaj, przyjeżdżaj! Czekam.

E.”

Napisała adres mieszkania, datę. Wówczas Pochroń wziął list z jej rąk, przeczytał go kilkakrotnie i oddał Płazie-Splawskiemu. Ten podsunął kopertę. Napisała adres dużymi, grubymi literami i patrzyła obojętnie, przyłożywszy szklankę do palącego policzka, jak Pochroń zakleił kopertę i nalepiał markę pocztową.

Po chwili wyszła z nim.

Przesuwając się przez ciemny i wąski korytarzyk, myślała, w jaki sposób dać znać Szczerbicowi, że na niego uknuto zamach. Nic nie rozumie. Otrzymał dwa sprzeczne listy, nic nie rozumie i właśnie przyjedzie.

A jeśli on nie przyjedzie, to już nie ma ratunku. Zabiją jej duszę ci ludzie. Uczuła w piersiach żądę widzenia Szczerbica i powzięła myśl:

„Ucieknę z nim, gdy przyjedzie, i zaraz go rzucę... Ucieknę z nim do kraju i tam go rzucę. Oni za mną do kraju nie pojadą. Boją się wracać do kraju”.

Coś niby gorący powiew Warszawy ucałowało jej twarz. Niby to daleki gwar rodzinnego miasta posłyszala za ramionami. W szlochaniu rozrywającym dekę piersiową słowa niezrozumiałe, dźwięki polskie.

Wyszła na ulicę spokojna już i cicha, pełna zwierzęcej roztropności. Pochroń szedł obok niej z elegancją i wielkomięskim szykiem. Uśmiech był w jego oczach i pąsowych ustach. Gdy przeszli na Ringi i mijali jedną z najwykwintniejszych restauracji w śródmieściu, rzekł:

— Może byśmy się napili po kieliszku wina, co, mała? Zmęczyłem cię, dziecino. Chcesz, Ewuś? Tokaju, co?

— Nie wiem, czy przełknę. Ścisnęłaś mi gardło. Jeszcze nie mogę dobrze oddychać.

— Bo zawsze z tym twoim uporem! Rozpieścili cię moi poprzednicy... No, ale nie gniewa się już kociak, nie gniewa?

Uczuła radość, że już jej przebaczył. Ciepło w ramionach, szum w uszach... Spojrzała na niego oczyma pełnymi gorzkich i gorących łez. Niepostrzeżenie ujął jej rękę i ścisnął ją w swojej ogromnej prawicy. Szept niewyraźny jego pięknych ust zapalił w jej żyłach ogień.

— A może od razu iść do domu? Co? Ewuś? Jakaś ty dziwna, mojaś ty! Nie, lepiej wypijmy po kieliszku wina. Nie rozumiesz tego, że przecie to dla naszego wspólnego dobra. Jeśli dobrze pójdzie sprawa z tym tam Szczerbicem, jeśli się dobrze spiszesz, to wiesz ty?! Ale jeśli dobrze wszystko według planu zrobisz... Wiesz ty, ptaku?

— Co, o czym mówisz?

— Jeśli zapragniesz, ściągniemy ci tamtego twego faceta.

— Jakiegoż znowu faceta? — pytała jak przez sen.

— Niepołomskiego.

— Niepołomskiego... A tak, takie nazwisko... Jak to ściągniecie?

— To samo napiszesz do niego, a my już w tym, żeby przyjechał na wskazane miejsce. Podetrzemy pod niego gdzieś ta na Cejlon, zatrzymamy się w jakim Bombaju...

— No i cóż z tego?

— Myślisz, że nie przyleci? Rzuci tę swoją spódnicę i na skrzydłach przyleci. A to samo chłop teraz z grubym pieniądzem... — szepnął głosem pełnym straszliwej zadumy.

Ewa poczuła w mózgu niepojęte, niewiarygodne wzruszenie. Miała złudę, że z głowy jej wyfrunął pąsowy motyl i, migając raz w raz skrzydłami, jął tańczyć w oczach... Jeszcze raz, jeszcze raz mignął... Znikł... Pospieszne dreszcze raz za razem siekły ciało lodowatymi rzemieniami.

\*

Zygmunt Szczerbic chodził wielkimi krokami po dwu pokojach, stanowiących w Zgliszczach jego mieszkanie. Okna z tego mieszkania na piętrze pałacu wychodziły na park i ogrody. Wiosna owiała park. Wczesna kwietniowa pora spełniała już nad młodymi brzoźami obrzęd obłóczyn. Stały lekkie i cudne w wonnych wiatrach, kołysząc się gibkimi strzałami<sup>181</sup> pniów<sup>182</sup>. Na tle ich listków, jakby na tle kotary ze złotogłowiu, świeciły żółtym połyskiem okrągłe kule nierozwiniętych liści klonowych, które dopiero co z czarnych prętów wytrysły. Rude jeszcze były akacje i czarne aleje lip. Młode sosny tryskały zza brzoź ciemną i potężną zielenią. W głębi, daleko, osobno rozpostarła się w przestworzu wierzba nadwodna. Olbrzymia niby las, wybuchała jak zwały jasnego dymu. Ciemna zasłona alei lip, martwej i czarnej, zdawała się po to tylko istnieć, żeby wierzba mogła ukazać wszystką moc swego uroku. Była też urocza, urocza nad wszelki wyraz... Wielki jej pień ssał wodę ze strumienia przepływającego wskroś parku. Czarne gałęzie przesywały wybudujące zwoje miękkich liści, pijąc mgły ranne i połykając deszcz wiosenny. Szczerbic zanurzył oczy, duszę i niemal usta w ten widok rodzinny. Nawinęła mu się na wargi piosenka owa nieszczęśliwej:

*Sing willow, willow, willow...*

*Sing all a green willow must be my garland*<sup>183</sup>...

W pobliżu stał sad. Pnie wybielone wapnem dźwigały się z miękkiej, zoranej i spulchnionej ziemi. Na prawo w górę biegła ulica czereśniowa. Stare drzewa o rozsadzistych pniach, o szerokich koronach kwitły przedwcześnie. Pręty były osypane mleczem kwiatu tak szczelnie, że stanowiły obłok muflki kwiatowe. Zapach przesycił powietrze. Wśród czereśni, w białej ich nawie, niewysłowionego pełnej powabu, huczały pszczoły. Ostatnie promienie słońca, promienie gorące i pełne ognia, poganiały pszczelną pracę. Słychać było nieprzerwany ton tej muzyki, wzruszającej serce do wydawania najtajniejszych uczuć.

Szczerbic chodził po swych pokojach, szarpał się w sobie i decydował. Dnia tego otrzymał list Ewy. Skoro go tylko przebiegł oczyma, zdecydowany był wszystko sprzedać, zastawić, odstąpić i lecieć na jej rozkazy. Już dzień cały przeżył z tym listem. Chwilami napadał go omam, że to jest sen. Skądże przysłała ta rzeczywistość? Skąd ta zmiana, straszna w swojej rozkoszy? Tu, do tych pokojów, gdzie w próżniactwie, odosobnieniu i przy fortepianie prześnił zimę, myśląc o Ewie dzień i noc; zjawiał się list ów, jakby ona sama, uchylwszy drzwi, zajrzała. Wraz z rozkoszą wiosny przysłała, jak w Paryżu przychodzić zwykła...

Och, rzucić już ten dom tęskny, te drzewa, kołyszące się jak łąn olbrzymi! Tam, w dole, strumień... Ciche łąki — za parkiem wzgórze leśne i okrągłe pagórki roli... Daleko w lesie granatowym szlaki brzoź... W lesie tym gliniaste parowy, zapadłe odludzia, szczeliny w głębi gleby, wysłane suchymi liśćmi buków i dębu, ciemne, o skarpach z ilu łóżyska... Ileż to razy brnął tam późną jesienią i w zimie — śnić, że idzie nie sam, lecz z Ewą, wybierać miejsca, gdzie by mógł być z nią, umieszczać ją w najcudniejszych samotniach... Toczył tam rozmowy szczęśliwe, bawił się z nią i cieszył jej widziadłem. Ileż to razy patrzył ze swych okien w ten obraz! Obraz ten — to wizerunek tego, co w duszy cierpiało dla Ewy. Ileż to razy mówił oczyma ukochanej wierzbie wyrzut dziecinny a bolesny nad wyraz, że nigdy jej nie ujrzą oczy Ewy. Nigdy nie będzie miał prawa pokazać jej

<sup>181</sup> *gibkimi strzałami* — dziś popr. forma N.lm: (...) strzałami.

<sup>182</sup> *pniów* — dziś popr. forma D.lm: pni.

<sup>183</sup> *Sing willow (...) must be my garland* — śpiewaj wierzbo, wyśpiewaj wszystko, z zielonej wierzby musi być mój wieniec (piosenka Ofelii z aktu IV sc. 7 *Hamleta* Shakespeare'a).

ze swych okien tego drzewa... Tak, nigdy. A oto teraz to nieme drzewo rzekło do niego: — więc idź!

Zostać tu w próżniactwie wiejskim, w na poły zwierzęcym pożeraniu owoców pracy całej czeredy ludzkiej? Pędzić dni wśród nędznych plotek, wśród maltretowania wszelkiego stopnia parobków, wśród pogardzania wszystkim, co jest dokoła, wśród jedzenia i picia, jako zajęć jedyńskich szlachcica polskiego?...

Lecz oto zaślśniły lekkie liście, a ich zakolysanie wydało znak: — nie chodź! Zostań tu, gdzie pielęgnowałeś o zmroku smutek. Będziemy z tobą w szelestach naszych powtarzać i pielęgnować żal twego serca, będziemy w cieniach uroczych, pod modrymi skrzydły gałęzi chować jak skarb twoją tęsknotę. Wszystko, co nam powierzysz z sekretu duszy, zostanie jej dochowane. Zostanie na wieki, bo drzewa pamiętają wszystko... I jeszcze znak: — nie chodź! Nie szukaj samego szczęścia i nie bierz go rękoma. Nie patrz na szczęście pod światło!

Jakoweś czujne nasłuchiwanie imać się duszy. Ogarniało go coraz silniej, coraz mocniej. Jeszcze chwila i usłyszy w syku i lekkim poświęcie wieszczący głos. Zbierał swe myśli, pakował wszystkie kombinacje życiowe jakby do podróźnej walizki. A jednocześnie słuchał i słuchał... Otworzył okno. Cichy wieczór. Przejrzyste niebo. Miękkie, wilgotne obłoki tak harmonijnie złączone z nawałą młodziutkich liści. Serce dziwnie drgnęło w piersiach. Znowu ów tkliwy poszum brzoź, wilgotny poświęcie sosen...

Szczerbic wyszedł z mieszkania, minął dziedziniec brukowy i kroczył olbrzymią lipową aleją, prowadzącą ku traktowi publicznemu. Niejasne, niedające się chwycić wolą uczucie, uczucie bolesne, straszne a wszechmocne w swojej rozkoszy rozpychało piersi. Rozpiął surdut, kamizelkę i szedł naprzód, naprzód. Przymykał oczy, gdyż zdawało mu się, że Ewa siedzi pod jednym z tych drzew, że jest w tej alei płacząca cicho... Łzy płyną z najdroższych jej oczu, lży spadają na jego serce i przesywają je igłą boleści... Obejrzał się z przedziwnym uczuciem. Obejrzał się na wsze strony. Czuł, że musi walczyć. Strach niepojęty! Mrok z pół... Szelest liści...

Wyciągnął w przestwór ramiona...

\*

Po bezsennej nocy w wagonie, podekscytowany, z twarzą piekącą od świeżego umycia w hotelu, pełen niepohamowanej ekstazy wewnętrznej Szczerbic wynalazł już po przybyciu do Wiednia ulicę Ewy i widział na własne oczy dom, w którym mieszkała. Była to ulica mało uczęszczana (choć sąsiadująca z Ringami), poboczna, szczelnie zasłonięta przez budowle o wielu piętrach, ciemna i cicha. U jej wylotu na dosyć obszerny plac, z którego widać było Św. Szczepana iglicę o kolorze pajęczyny — budowano dwa wielkie nowe domy. Rusztowanie zajmowało w tym miejscu obadwa<sup>184</sup> chodniki. Chcąc te budowle wyminąć, trzeba było chodzić po zdeptanych deskach otaczających parkan.

Do jednego z tych parkanów Szczerbic docierał stale, defilując po ulicy. Była dlań dziwna, gwałtowna, niewysłowiona poezja w zgłębianiu tej ulicy, gdzie mieszkała Ewa. Wpatrywał się w domy, jak w żywe twory przyrody. Jakże były dlań niewysłowione oblicza tych murów, które widywał w ciemnych swoich snach! Miał w kieszeni napisany i zaadresowany list, ale go jeszcze nie mógł oddać ekspresowi... (Nie do zniesienia była tęsknota, nie do wytrzymania furia wewnętrzna, ale były to zjawiska już poznane.) A jeśli posłaniec przyniesie odpowiedź, że Ewy nie ma, że wyjechała, że umarła?... Wrócić do stanu wygnańca w Zgliszczach, do nicości i łaknienia duszy na puszczy tęsknoty, wrócić do beznadziei, stać się znowu skazańcem odtrącenia, czekać znowu na chwilę miłosierdzia — co minuta go wyczekiwać, a nie usłyszeć nigdy! Och, lepiej chodzić tam i z powrotem, tam i z powrotem po tej ciemnej, dalekiej, mistycznej ulicy... Mijają ludzie nieznanymi, ludzie obcy... Oczy wpatrują się w każdą twarz, podczas gdy wzburzone serce wie dobrze, że ta twarz — to nie czarujące lica Ewy. Mijając jej bramę spoglądał chyłkiem w podwórce. W głębi były oszklone drzwi, prowadzące na piętra. Tam na tych piętrach wysoko... mieszka Ewa...

<sup>184</sup>obadwa — dziś popr.: obydwu.

Wejść! Zadzwoń! A jeśli nie ma, jeśli nie ma? Jeśli umarła? Jakże wrócić? Tam, w Zgliszczach, mógłby być trwać jeszcze w swym celibacie, w swym znieczuleniu na wszystko... Teraz tamto zostało zburzone. Trucizna sączy się w rozdętych żyłach, dusza gore piekielnym ogniem. Wrócić do nędzy w Zgliszczach? Nie zobaczyć Ewy? Nie zobaczyć?

Przymykał rozpalone oczy, zaciskał wargi i szedł po tej ulicy tam i nazad, tam i nazad... W ogniu źrenic widział ją, senne marzenie... O, czarująca! Szary płaszczyk, szary irys w rękę, ledwie rozkwitła róża przypięta do piersi. Ujrzeć ją jeszcze! Tylko ujrzeć! Paść oczyma u jej stóp i wznieść się jak dym na jej cześć! Westchnąć, objąwszy wzrokiem jej postać, zamknąć rozszarpane oczy! Pojąć ją, pochłonąć znowu wszystkim jestestwem!

W pewnej chwili dał sobie do rozwiązania tezę: byt nasz — to sen. Alboż nie snem jest ów przemarsz po chodniku tajemniczej ulicy? Myśli wzbily się nad powierzchnię rzeczywistości i utonęły w niezwykłym dociekaniu. Myślenie stało się błędne, ale chyże jak pęd skrzydeł jaskółki nad toniami ciemnego jeziora. Jeżeli kiedy musnęło powierzchnię rzeczywistości, to po to tylko, żeby jeszcze bardziej błędnie i niedościgle szybować! Azali cielesną żądzą jest miłość? Zachichotał twardo. Czyż nie pragnę tylko zaślubin jej duszy z moją?

Obok rusztowania otaczającego nową budowlę mieścił się podrzędny szynk. Stawali tam ubodzy ludzie, robotnicy, właściciele dziurawych butów, posłańcy. Gawędzili głośno, wstępując w progi spelunki. W ich tłumie Szczerbic jak we śnie dostrzegł ekspresa. Przycisnął natychmiast ręką bijące serce, wydobyl zeszytniałymi palcami list — i pokazał go posłańcowi. Ten obtarł wąsiska po piwie i, odczytawszy adres tak bliski, słuchał uważnie wskazówek, że ma list oddać według adresu i przynieść odpowiedź tutaj właśnie, na róg ulicy. Wnet pobiegł cwałem.

Szczerbic zatrzymał się teraz i czekał z zimnym spokojem. Posłaniec długo nie wracał. Uczucia, myśli, pragnienia, wszystka wola — była teraz ogłuszona od nagłego ciosu. Wrzały w głębi i czaiły się w swych kryjówkach.

Nareszcie ów człowiek wrócił. Miał w rękę bilet, szary, kratkowany sekretnik. Szczerbic zobaczył ten kolor z daleka i powitał barwę z daleka... Szary kolor... Spokojnie zapłacił nader grube wynagrodzenie i spokojnie oddał karbowany brzeg papieru. Przeczytał bez żadnego zgoła uczucia:

„Dobrze. O godzinie jedenastej u mnie”.

Była dziesiąta rano. Miał sporo czasu. Poszedł przed siebie. Błądził po rozmaitych zaułkach Wiednia. Nic teraz nie wiedział. Jakiś werset Nietzschego: „Najnielitościwiej dręczą nas i zginają niewidzialne ręce...”. Jedno jedyne pewne — to nazwa ulicy, numer domu i numer mieszkania. Reszta — to nicność, martwa i potworna zgnilizna.

Kwadrans wlokły się opieszale...

Gdy wreszcie umieszczony w pewnym gmachu zegar miał wybić jedenastą, Szczerbic poszedł w swą ulicę. Nic już nie widział i nie słyszał. Jednym tchem wbiegł na schody. Mijał piętra. Jakże płonącym sercem, jak gwałtownymi oczami poznał, pokochał i pochłonął duszą te schody! Napisy na drzwiach, kształty okien, barwa stopni, skręty poręczy... Stanąwszy przed drzwiami, zatrzymał się i marzył. Złudzenie niesło go jak gdyby przez zgliszczański park. Szum drzew w sercu...

Nacisnął guzik dzwonnka i słuchał jego drżenia. Uśmiech potworny rozwarł mu wargi i szept oszalały kołysał się na nich. „Toż to ja do Ewy dzwonię...”.

Posłyszał kroki — i poznał, że to ona idzie do drzwi. Krótki zgrzyt... Zobaczył ją. Cofnęła się szybko z przedpokoju do saloniku na prawo. Opuściła go nareszcie furia niepokoju. Szedł za nią w weselu, tylko w weselu, w jakowymś śpiewie ciała. Zamknął za sobą drzwi z matowego szkła i podniósł oczy. Stała w głębi pokoju i przypatrywała mu się czujnymi oczyma.

Szczęście jego natychmiast potknęło się o ten wzrok. Wnet wszakże przemógł się i zbliżył. Widział, że usta jej są w pewien przedziwnie okrutny sposób zaciśnięte, z oczu nieprzeblagany wyraz zionie, ale nie mógł powstrzymać szaleństwa. Nie wiedział wcale o tym, że podnosi ręce, że ją nimi otoczył, przygarnął do swego serca, że usta swe, palące się od ognia, zatopił w jej ustach. Oddała mu pocałunek zimnymi wargami. Żalosa jej oczy, niepojęte, zdumione i wysłane dokądś w przestwory, wciąż weń patrzyły. Nie mógł mówić. Bełkotał tylko jak niemowa wargowe sylaby. Przemknęło jedno zaledwie

pośliznięcie<sup>185</sup> czasu — a oto utracił już uczucie szczęścia z racji ujrzenia Ewy. Przeciwnie — staczał się w przepaść rozpacz z tego powodu, że była tak zimna, że miała usta tak nieczule, a oczy takiego pełne mroku. Nie broniła mu, gdy ukląkł przy jej nogach i gdy kładł usta na piersiach, a przecież wciąż czuł się pokrzywdzonym. Coś zaczęła mówić. Długo te wyrazy szarpały się z jej piersi. Nareszcie:

— Byłeś mi wierny?

— Tak. Byłem ci wierny.

— A jesteś jeszcze?

— Jestem.

— Pojedziemy do Ameryki?

— Dlaczegoż do Ameryki?

— Bo tu nie chcę.

— Dobrze. Gdzie zechcesz, gdzie każesz.

— A masz dużo pieniędzy?

— Mam ze sobą wszystko, co posiadam.

— Jak to?

— Zrobiłem z braćmi taką umowę, ustąpiłem im bez zysku dla siebie — no, ze stratami — udział w majątku, w fabryce, w naszym domu komisowym...

— Więc ile możesz mieć wszystkiego?

— Ewo, czemu o tym teraz chcesz mówić?

— Muszę teraz o tym mówić...

— Dlaczegoż musisz?

— Bo teraz całe życie mam ci oddać. Całe życie... Mam ci oddać całe życie...

— Jeżeli chcesz wiedzieć, to tak... Mam kilkakroć sto tysięcy rubli. Trudno mi zliczyć dokładnie, bo mi bracia przekazała na banki. Dowiem się dokładnie w naszym banku.

— Zmień to wszystko na gotówkę. Czy to można? I jedźmy jutro, pojutrze... Dobrze?

— Och, dobrze! Ale czemu wszystko na gotówkę?

— Chcę koniecznie. Muszę te pieniądze mieć w ręku.

— To niebezpiecznie...

— Wszystko jedno, ja muszę. Boję się, że mię porzucisz jak tamten. Was trzeba siłą trzymać.

— Mnie siłą nie potrzebujesz. Tamtego kochasz jeszcze? — spytał wstając z ziemi i wdzierając się na nią, sięgając do ust i patrząc w oczy.

— Nie! — krzyknęła boleśnie. — Już go nie kocham! Słyszysz? Słyszysz, co mówię? Słyszysz? Podłego, co mię porzucił i zepchnął w przepaść! Nie, nie kocham! Zapomniałam nareszcie tego szelme, co mię wydarł ze świata, od mego ojca... Ciebie kocham... — szepnęła.

Oczy jej stały się dzikie i jakby ślepe. Drżała całym ciałem. Łkanie głuche przebiegło w śmiech.

Szczerbic rozglądał się po mieszkaniu. Zgadła jego zamiary i zaprzeczyła ruchem głowy. Była błada. Oczy miała zamknięte, usta zsiniałe. Cichaczem szeptała:

— Dam ci znać, kiedy masz przyjść. Na całą... noc... Chcę, żebyśmy nareszcie... bez tych... ubrań...

— Ewo! Ewo!

Zbliżył usta do jej ust i poił się rozkoszą jej oddechu, szalem zatapiania źrenic w jej oczy... Rozpalił nareszcie jej usta, wydobył na policzki krwawy rumieniec. W pewnej chwili, odchyliwszy głowę, spojrział i przeraził się, gdy spostrzegł jej straszny uśmiech. Chciał zapytać, skąd to potworne widmo na jej wargach, ale uśmiech znikł. Spytała niespodziewanie:

— To ty przestrzeliłeś Niepołomskiego, prawda?

— Ewuniu!

— Powiedz, wszak to ty go przestrzeliłeś!... O tu. Ja znam dobrze to miejsce: głęboka, sina blizna, jakby dwie wargi stulone maleńkich, dziecięcych usteczek. Ja znam... Słuchaj! Na mych piersiach, tak samo jak on. Chcesz?

— Ewo!

<sup>185</sup>pośliznięcie — dziś popr. forma: poślizgnięcie.

— Nie! Wtedy dopiero... w nocy... Napiszę.

— Napiszesz?

— Chociaż... dlaczego i po co mam pisać — cicho zniecacka jęknęła. — Nie umiem zdać sobie sprawy z tego, czy mam napisać, czy nie. Myśl o tobie jest we mnie jeszcze silniejsza niż dotychczas. Ale przecie szaleństwem jest żyć tak, jak ja żyję. Wszystko jest sprzecznością, zabijaniem własnego *ja*. Żyję po to tylko chyba, żeby w pełni zaznać, czym jest brutalność i trąd życia.

— Co ty mówisz? Nic nie rozumiem, co ty mówisz?

— Dawniej pragnęłam być człowiekiem, a teraz już z tego drwię. Chcę właśnie wyrzucić poza siebie to wszystko, co było zadatkami na człowieka, by mieć tym drastyczniejszy obraz istoty życia. Wszystko jest wstrętne i podłe, skoro może istnieć taki ból, jaki już widziałam. Żyję tylko wspomnieniem tego i nie mam już ani chwili zapomnienia.

— A żebyś ty mi chciała wytłumaczyć, co to znaczy! Gdybyś mi tylko zechciała powiedzieć prawdę. Ja bym ci wszystko wytłumaczył...

— Nie ma na ziemi nic „pięknego”, nic „szlachetnego”. Wstrętne i cuchnące od brudu jest ludzkość. Nie ma żadnych wzniosłych „dążeń”, nie ma nawet pustki, bo jest na miejscu pustki zło bezgraniczne i chaos.

— I ty to mówisz, która sama jesteś dobrem, prostotą i porządkiem. W tobie wszystko jest ściśle, dokładne, dociągnięte i dostrojone. Bóg mieszka w twym kobiecym sercu. Niebiosa są w twoich łaskawych oczach. To we mnie tylko wszystko jest łamkie, sypkie, lecące za wiatrem...

Ewa nie słuchała. Jej rozpalone oczy patrzyły w kąt pokoju. Przez chwilę Szczęrbic sądził, że dostała pomieszania zmysłów. Mówiła nie do siebie, mówiła do Szczęrbica, ale mówiła dla samej siebie:

— Życ można, jak komu wygodniej. Można być nieuczciwym, można być niskim, można wszystkim, czym kto chce, byleby znaleźć chwile i godziny zapomnienia. Nie myśleć i nie cierpieć! Cały bowiem tragizm jest w tych wyrazach. Poza nimi wszystko jest dozwolone. Wiem, że tak mówić może tylko człowiek lichy, ale ja właśnie chcę być taką. Wszystko jedno — byleby tylko uniknąć męczarni. To jedno, że się sobie nie wydziera nędznego życia, jest już wyrokiem. Ale... wszystko jedno...

Szczęrbic słuchał klęcząc u jej nóg. Głowę swoją podparł jej dłonią i nic innego nie czuł prócz nieskończonego rozkosznego pragnienia, żeby posiąść tę cudną dziewczynę. Gdy siedziała nieco pochylona, w zapomnieniu o sobie, linia jej piersi cudownie zatoczona nad linią łona, jak w posągu Afrodyty z Knidos, stała się obrazem najwyższej piękności.

— Nie ma pojęć — lepszy — gorszy — bo wszystko jest bezwzględnie złe, a nadto wszystko jest bez wartości. No — a ja będę żyła dalej. Dlatego się, mój panie, nie umiera czystą, żeby kiedyś zdechnąć brudną. Nieść przez całe życie ohydę, „przystosowywać się do okoliczności” w miarę zagłuszenia tego, co chciało żyć.

— Posłuchaj mię... Czy tu nie ma fortepianu? Zagrałbym... dla ciebie Griega. Pamiętasz naszego Griega?

— Nie ma tu nic... Gdybym mogła, stworzyłabym wielkie dzieło: hymn na chwałę złego i nieszczęścia. Umarłabym wówczas spokojnie, gdybym mogła wyrazić cały ból i groźbę życia. Słyszysz: groźbę życia. Oprócz mnie jednej nikt tego stworzyć nie potrafi, a ja nie mogę. Jestem głupia, pospolita jędba. Któż zdoła stworzyć obraz złego, które by było tak potężne, jak jest zło samo? Nikt!

— Słuchaj, Jasna! Pojedziemy do Ameryki, na półwysep Florydę, w lesiste puszcze Newady albo Montany, w płaszczynie Teksasu albo w doliny Missisipi. Stworzymy sobie świat jak z baśni Chateaubrianda. Jeżeli zechcesz, jeżeli każesz, założę w stanie Dakota wielką farmę przemysłową, jedno z dziwów i monstrów życia nowoczesnego. Zrobimy szybko olbrzymi majątek. Dawno to postanowiłem. Tu cię w Europie nie mogę pojąć za żonę, lecz tam... Tam będziemy żyć jak wolni ludzie! — nie! jak królewska para, bo tylko w Ameryce są jeszcze królowie...

— Dobrze, dobrze... Ale czy ty wiesz, marzycielu, że ja mam narzeczonego?

Szczęrbic siedział w tej samej pozie, bez ruchu, jakby nie słyszał, co rzekła. Po chwili spytał:

— Narzeczonego? Któż to ma być? Kto to taki?

— Brunecik, młody, ładny. O, ładniejszy od ciebie.

Kobieta, Mężczyzna

Zło, Brud, Obraz świata

- I kochasz go?
- No, tak.
- A mówiłaś, że mnie kochasz?
- I ciebie Kocham.
- A on, powiedz, całował cię?
- Tak.
- A on, powiedz, posiadał cię?
- Tak.
- Więc nie dotrzymałaś tego słowa, cośmy w Paryżu?...
- Nie dotrzymałam.

Załamano ręce, nagle się zachłysł i, jak dziecko lękające się tyrańskich razów, pytał jeszcze:

- Cóż teraz ze mną będzie?
- Błady uśmiezek i obojętne słowo:
- Wkrótce będzie nasz ślub.
  - „Nasz ślub”!
  - No, mój ślub z nim.
  - Więc nie pojedziesz ze mną do Ameryki?
  - Do Ameryki! Skądże znowu taki pomysł... Muszę przecie wszystko rozważyć, roztrząsnąć...

Poprawiła się na swym krześle i zwróciła na Szczerbica oczy uprzejme, jakby obydwójce byli na raucie i prowadzili miły, flirtowy dialog. On siedział wciąż na ziemi przytłuczony razami słów.

Mówiła kokieteryjnie, ze skromnością spuszczać oczy:

- Ile razy narzeczony... opierał się na mnie, wierz mi, zawsze myślałam o tobie.
- Po cóż kazałaś mi tu przyjechać? Dlaczego przysłałaś taki list? Czemu mię wyrwałaś ze Zgliszcz, żeby mi to powiedzieć... — pytał w szaleństwie rozpacz. — Powiedz, czemużeś to zrobiła?

Z prostotą:

- Nie wiem.
- Któż to jest ów człowiek?
- Po co ta wiadomość?
- Mówże!
- To jest pewien... przedsiębiorca, współwłaściciel kopalni złota w jakimś Klondyke. Ja właśnie mam jechać do Ameryki, ale z nim. Więc czegoż ty chcesz ode mnie i dręczysz mię. Przecie z dwoma naraz nie mogę jechać do Ameryki.

— Powiedz mi przynajmniej, co ja mam teraz zrobić. Czy mam cię opuścić i wracać do Warszawy?

- Ach, ja takich rzeczy nie wiem!
- A czego ty chcesz? Czego byś ty pragnęła? Ja zrobię wszystko, co mi każesz zrobić.
- Kiedy ty jesteś słaby człowiek. Hrabia-muzyk. Ty nic nie możesz zrobić. Nic. Gdyby ci odebrać pieniądze, to cóż byś ty robił, nieszczęśliwy? Wyrzuciliby cię zaraz z pierwszorzędnego hotelu na ulicę i ty byś na ulicy zmarł szlachetnie z głodu. Chwalisz się, że zrobiłbyś majątek, ale przecie sam wspominałeś przed chwilą, że jesteś słaby, lecący za wiatrem. Twój największy wyczyn — to gdy odbędziesz podróż do Nicei albo na karnawał do Rzymu... Prawda? Mężny jest ten, kogo niepodobna zniszczyć, który po stokroć wstanie z ziemi i wydlawi, wydusi wrogów. Silnym jest ten, kto może być zwyciężonym dopiero przez śmierć, lecz nie przez żyjących ludzi. Takiego trzeba zabić, żeby go zwyciężyć, gdyż dopóki żyje — z nim jest zwycięstwo nad ludźmi...

— Cóż ja pocznę nieszczęsny?... Twój narzeczony to taki właśnie człowiek niezwykły?

— Ty jesteś najmilszy mój *komtuś* Siżyś... Czy wolno mi będzie pocałować twe czoło, zawierające niedołężne myśli, twoje śliczne włosy tak starannie rozczesane, twój precudny wygonik między śmiesznie zsuniętymi brwiami, gdzie właśnie przebywa czysto polska bezmyślność? Będę cię zawsze, zawsze kochała... Tyś mię jeden rozumiał...

Sila

— Gdybym mógł, gdybym cię mógł zrozumieć! Zabiłaś mię! Postąpiłaś z moją duszą jak owi straszliwi Żydzi z ciałem świętego Szczepana: ukamienowałaś ją! Już nie wstanę spod tych kamieni.

Nie podniosła zwieszanej głowy.

Rozpacz nieuciszona, nieznajdująca ujścia, rozpacz, ciskająca człowiekiem jak sprzętem, pchnęła go z miejsca.

— Już pójdę! — jęknął z nagłym wybuchem, wstając z klęczek.

Spojrzała nań leniwie, leniwie... Nie powstrzymała go. Wolno poszedł ku drzwiom, zamknął je za sobą i zmierzał w czeluść schodów. Doznał wrażenia, że spadnie w przepaść, spadnie... w przepaść... głową na dół... Czuł we wzroku jej nieszczęście. Myślało mu się, że należałoby udać się wprost na Dworzec Północny i wrócić niezwłocznie do kraju. Zahuczał w głowie dziki łoskot pędzącego pociągu. Tak nakazywała duma i nakazywał rozum. Mówił do siebie z wydętymi wargami, że duma nakazuje odejść. Rywalizować z jakimś drabem? Do diabła! Dopóki była cudną zagadką, istotą, która przestała kochać tamtego, czystą ciałem a zaślubioną z ducha... Dopóki była kwiatem gorzkiego migdału... Dopóki była... Tam, w Paryżu... Narzeczony! śmiech szyderyczy wyleciał z piersi. Natychmiast wyjechać! Tak też uczyni. Bez zawiadomienia! Niech pożałuje ta donna, no, i niech się trzyma swego narzeczonego. Rywalizować z jakimś drabem? Rywalizować?

Ruszył żywo na dół... i nagle na zakręcie schodów zatoczył się jak pijany... Zapach jej perfum musnął nozdrza... Szczerbic marzył przez sekundę, żeby roztrzaskać głowę o mur albo skoczyć, och, skoczyć z wysokości schodów i połamać nogi, potrzaskać ręce, zmiażdżyć czaszkę. Niechżeby wyszła z wysokiej swojej komnaty, niechżeby zobaczyła, niechżeby oczy jej niebieskie... Wtedy ostatnim tchem rzucić jej to słowo, to straszne słowo!...

\*

W ciągu trzech tygodni pobytu w Wiedniu Zygmunt Szczerbic przeżył piekło cierpienia i radości (a raczej uciech). Ewę widywał rzadko. Za drugim widzeniem się (na ulicy, w bramie jakiegoś domu) oświadczyła mu, że będą mogli być razem, ale dopiero w dniu jego wyjazdu. Wtedy także dowiedział się o swoim losie, to znaczy, że ona ani myśli jechać z nim w świat, lecz że wyjdzie za mąż za owego niewiadomego człowieka, zwanego w rozmowach „narzeczonym”. Szczerbic popadł w szaleństwo miłosne.

Kiedy we trzy dni po tym spotkaniu na ulicy dostał pozwolenie przyjscia do mieszkania Ewy po raz drugi, zastał ją w łóżku. Była chora. To, o czym marzył, za czym szalał, co stanowiło raj rojeń, stało się jego udziałem. Posiadał ją, pieścił bezbronną, obojętną, dziwaczną w tym oddaniu się bez protestu, bez rozkoszy, niemal bez pocałunku, w biernej, pospolitej uciechu zmysłów. Wyszedł stamtąd uszczęśliwiony, ale jakby obdarty z uczuć, żałujący skrycie tęsknot i udręczeń.

Znowu cztery dni spędził w hotelu i w samotnych spacerach po salach olbrzymiego Muzeum. Spędzał godziny, siedząc z oczyma wlepionymi w jakiś portret Filipa IV malowany przez Velasqueza, w posąg Nike Samotrackiej albo w twarz Izydy w płaszczu z czarnego marmuru...

Czekał na następne spotkanie, które miało nastąpić u niego w hotelu. Zrazu nie myślał wcale o tej rozkoszy i miał takie wrażenie, jakby jej zgoła nie pragnął. Ale w miarę jak się chwila zbliżała poczęła, popadł w szal tęsknoty, w szal pełen bóleści, trwogi, panicznej furii, żeby te chwile, które przyjsć miały, nie ominęły jego doli. Rozkosz nadciągała jak huczająca burza, która wynurza się z niewiadomości nocnej. Wzdychanie, żeby biegła coraz bardziej chyżo... Na zewnątrz siebie był obojętny, ale daremnie dusił ohydne wrzenie potęgi mocniejszej niż rozum, niż wola, niż honor, niż nałogi, niż wszystko, z czego składała się istota duszy. W dniu oznaczonym rano spotkał go cios. Otrzymał karteczkę z napisem:

„Wolałabym tam nie przychodzić. Jestem chora. Mogę być u siebie w domu od godziny 4 do 6. Proszę odpowiedzieć, czy mam czekać u siebie”.

Napisał natychmiast list błagalny, podły od uniżonych skłamań, wynurzający wszystko, wszystko do ostateczności. Pisał go jednym tchem, gadając wyrazy głośno, gdy je

kreślił drżącą ręką. Pulsa wówczas łomotały w skroniach, pot zlewał czoło. Wkrótce posłaniec przyniósł mu odpowiedź:

„Dobrze. Przyjdę”.

Fala spłynęła na głowę, cisza i obojętność na serce. Znużenie... W godzinie oznaczonej czekał, biegając z kąta w kąt pokoju. Był ślepy, ogluchy, szalony.

W parę minut po oznaczonym terminie weszła. I tego dnia była obojętna. Ani cienia zapachu duszy, który taką rozkoszą, taką poezją, taką miłością nasycił go w Paryżu. Wzrok głuchy. Oczy nie mogą go przebić. Uśmiech zamurowany jak zaklęta królowa, na której zbudzenie słowa tworzącego nie ma. Była dlań dobra, litościwa, dziwacznie, sennie posłuszna jego cielesnym marzeniom. Czując potęgę piękności swego nagiego ciała, pierwszy raz może w życiu puściła wodze rozkoszy rozpasania zmysłów i pozwoliła korzystać z jego łask. Niektóre jej mrugliwe, krótkie życzenia doprowadziły go niemal do śmierci. Tych kilka godzin — był to zenit jego życia. Teraz dopiero poznał jego piękność...

Następnych kilka dni spędził jak dawniej. Błąkał się w salach dolnych Muzeum, w zbrojowni i wśród rzeźb greckich. Żył życiem nigdy mu dawniej nieznanym. Mógłby pozostawać sam jeden na puszczy i wystarczyłby sobie. Myślał wciąż o Ewie i żył w tęsknocie za nią. Wspomnienie czarodziejskich godzin było dlań światem. Miał ją zobaczyć w jej mieszkaniu rano, o godzinie jedenastej. Powiedziała mu była, że „narzeczony” wyjechał — i nie było już o nim mowy. Były nawet chwile, że miał za mit owego człowieka, za próbę, jakiej go poddała, żeby doświadczyć...

Stęskniony, z głową pełną widzeń rozsnutych na wspomnieniach, szedł do niej w dniu naznaczonym. Był nieprzytomny, jak zawsze w takich chwilach. Wszedł na schody, nie wiedząc, kiedy się to stało. Pragnął usłyszeć znajomy głos dzwonka i poczuć jej rękę w swojej. Ujrzeć mrok przedpokoju i mleczne szyby drzwi na prawo... Nareszcie usłyszał głos dzwonka... Zaledwie ten dźwięk zadrżał, wybiegła na schody. Miała na ramionach pąsowy szal. Sama była oblana rumieńcem.

— Nie mogę teraz! Nie mogę! — rzekła kategorycznie.

— Dlaczego?

— Nie mogę! Muszę już iść, wracać! Muszę!

— Kiedy?

— Nie wiem. Nie wiem. Muszę wracać! Muszę iść, muszę tam iść!

Odwróciła się i zatrasnęła drzwi. Przez chwilę śnił, że już dawno rzucił się na te drzwi, że już je wywalił, wyrwał z zawias, strzaskał — i stoi na progu, gdzie tamten jest z nią. Oczywiście poszedł na dół. Uczuł w sobie dźwiganie się nieszczęścia. Teraz już nie rozpaczał, tylko szarpał się, wbijał w dłonie paznokcie, ciskał ohydne zniewagi.

W pewnych momentach rozważał. Dobił się rozważaniem pewnika, który był już widział za pośrednictwem wyobraźni, że tam, za tymi drzwiami był „narzeczony”. Wówczas zaczęło się wyciąganie logicznych wniosków.

Przede wszystkim kupił browninga, nabił go i miał wciąż w kieszeni, lichy wie po co. Następnie począł wymieniać wszystko na gotówkę. Postanowił kupić tę kobietę za pieniądze, wydrzeć ją, zabrać czy raz nareszcie zabić. Nic nie wiedział. Kiedy niekiedy błyskała myśl, żeby rzucić się w szalone orgie i w nich zagrzebać o Ewie pamięć. Ale nie mógł. Kiedy wieczorem tego dnia zbliżył się u Ronachera do wykwintnej kamelii<sup>186</sup>, wybuchło w nim natychmiast uczucie, że gdyby z nią poszedł, to mógłby tamże odebrać sobie życie.

Całą noc przepędził wśród złowieszczych furii. Z wieczora napisał list, list bezlitosny, obrażający, poniewierczy, a zarazem znowu upadły, niski, pełen błagania. Nazajutrz obudził się za późno, żeby ten list mógł ją zastać w łóżku. Nieumyty pobiegł na miasto i wysłał list przez ekspresa. Ale ten wkrótce wrócił z wiadomością, że pani wyszła już z domu. Szcherbic pomyślał natychmiast, że ona jest w domu, tylko listu przyjąć nie chciała. Myśl ta, to krwawe, wewnętrzne szlochanie wlokło się z nim z ulicy w ulicę, po placach, wśród obcych tłumów. Ząb klucza od numeru hotelowego wbijał sobie w rękę; znieważał siebie i ją przezwiskami najniższego rzędu. Błądził około domu Ewy, czyhając z rozkoszą, że może ją spotka z tym szubrawcem i wówczas krótkim strzałem wszystko to zakończy. Krótki strzał — i jedno westchnienie. Kto umrze — nie wiadomo. Lecz

<sup>186</sup>kamelia — kurtyzana; por. powieści i sztuka Aleksandra Dumas (syna) pt. *Dama kameliowa*.

oczy jej przerażone ujrzy przed sobą. Och, oczy! Musi ujrzeć jej oczy w rozpacz, musi ją przekonać za pomocą przerażenia. Kochała go — i już nie kocha. Oto wszystko, ów list... Przecież ziemia i niebiosa zawierały się w tym liście. A teraz oto nie ma nic na niebie i na ziemi. Wszystko już przeszło, przeżyło się, zostało wypalone i nie istnieje. Jest z innym, tak samo z innym, jak była z nim. To takie proste, takie naturalne, takie zrozumiałe jak strzał rewolwerowy. Nie wiedział, do kogo strzeli, ale ów strzał miał już w głowie gotowy. Bolały go suche, spalone wargi, piekły oczy pełne ognia.

W tym potwornym stanie ducha, brnąc wśród tłumu w jakąś ulicę, nagle ujrzał Ewę. Wzdrygnięcie męczarni na jej widok, okrutny dreszcz grobowy. A za chwilę spokój tak przewrotny, a tak zupełny, jakby przedtem nie było najsłabszej przykrości. Ewa szła sama. Nie widziała go. Dybał za nią z dala, po drugiej stronie ulicy, czując, jak wszystko niewidzialnymi drogami spłynęło do serca i legło na nim. Była smutna, znużona. Szła najoczywiściej w kierunku swego mieszkania. Pierwsza pociecha jak łza ulgi: nie było jej istotnie w domu, gdy tam list posłał... Druga pociecha — to żal... Czemuż tak smutna?

Wlókł się z dala, nie spuszczać oka z wiosennej jej czapeczki. Tak z ulicy w ulicę... Spostrzegł, że ona idzie w kierunku jego hotelu, że zatrzymała się przed bramą i rozmyśla... Przebaczył już wszystko, darował... Wtem odwróciła głowę i powitała go uśmiechem niemal szczęścia. Zapytał natychmiast, kto to był u niej wczoraj. Odpowiedziała prosto: dusznie, że narzeczony. Zaproponował, żeby pójść do hotelu. Zgodziła się natychmiast. Skoro weszli do numeru, oddała mu się pierwszy raz dobrowolnie, miłośnic, z rozkoszą, czułością i milionem nieśmiałych pieszczot. Wkrótce wyszła, zostawiwszy samego wśród zagłuszonych, lecz istniejących cierpień. Teraz objęło go leniwe, sekretne ziewanie z rozkoszy. Zdawało się, że miłość już zagasła. Cieleśność rozkoszy ciążyła. Myślało się, że miłość jest co innego, a szczęście posiadania co innego. Miłość pachniała w odtrąceniu. Tęsknota ją osłaniała cudnymi piersiami posągu z Knidos, a oddalenie poilo łzami. Snując systemat rozumowania o swej miłości, Szczerbic wstąpił na ścieżkę spokoju.

Upłynął cały dzień, a on ni razu, ni razu nie doświadczył uczucia smutku, ani jednego drgnięcia niepokoju. Twardy sen w nocy i następny dzień cudnie spokojny aż do samego wieczoru. Gdy nadszedł wieczór, poruszyła się w piersiach podła tęsknota, zupełnie jak wilk zbudzony ze snu. Szczerbic szedł niezmiernie długą i nudną ulicą Schottenringu, wracając z dalekiego spaceru nad Wiedenką, świecił księżyc. Wieczór był ciepły i jasny. Niewymowna jasność nieba nad rojowiskiem ludzi, dziwnie podniecający zgrzyt tramwaju elektrycznego, szcęk powozów, gwar tłumu płynący we dwu kierunkach — wszystko to stworzyło w duszy uniesienie wysokiego porządku, poryw ku niebu. Ręce drgały, żeby się wyciągnąć ku mlecznej drodze. Uczucie niepojętej żalości względem ludzi podźwignęło go i trzymało nad ziemią.

W pewnym miejscu ulicy naprawiano szyny wozów elektrycznych. Potężni ludzie przy latarniach spajali szyny młotami. Jeden z nich walił młotem. Wzniosły dźwięk żelaza, dźwięk napełniający sobą wszystko, szcękiał raz w raz. Szczerbic czuł rozkosz od każdego odgłosu młota. Każdy z tych ciosów odtrącał go, jakby wyrzucał z ziemi. Rzeka ludzka płynąca jedną połową chodnika zagarnęła go. Nie słyszał gwaru, nie rozumiał słów. Był sam, z niebem tak dalekim, jakby wygnanym z tego miasta. Towarzyszył mu łoskot młota coraz cichszy, coraz cichszy...

Same kroki poprowadziły w ulicę Ewy. Zapragnął spojrzeć w jej okna. Wszedł w bramę. Było światło. Postanowił napisać słowo pozdrowienia. Wszedł do najbliższego sklepu i napisał list wśród koszów z bułkami i fasek z masłem. Było to tylko pozdrowienie, słowo hołdu, westchnienie wyjęte z piersi przez wieczór, przez urok niewymowny pracy ludzkiej i przez niepojętą siłę miłości. Łzy wisały na rzęsach, gdy pisał, i zasłaniały litery. Szczęście popychało rękę, a uczucie wzniosłości na odgłos dalekich ciosów młota kazało pisać o *wiecznej* czci, o nieskończonej wdzięczności za ów niepojęty raj w duchu, za ową chwilę bezgraniczną, mogącą starczyć za wieczność. Sklepikarz, jego brzemenna żona, kilkoro dzieci, jakieś jeszcze postronne osoby — wszystko to patrzyło z uwagą na wykwińskiego pana, piszącego list w nieznanym języku.

Gdy zakleił list, pozdrowił ich wszystkich wdzięcznym ukłonem. Miał zamiar powiedzieć, że pisał oto do swej najdroższej kobiety — że wieczór tak jest cichy, że żywot nasz na ziemi to ogrom trosk i ogrom bólu, przetkany ledwie kilkoma takimi jak ten dniami. Chciał zapytać, czy oni nie czują tego, co jemu piersi rozsada? Chciał im oświadczyć, że

wierzy w Boga, który jest sprawiedliwym sędzią, nade wszystko, nade wszystko sprawiedliwym sędzią... Chciał mówić, że sąd, a nade wszystko, sąd sprawiedliwy — to sprawa jedynie Boga. Bo cóż my nędzni osądzić możemy, co my ubodzy możemy roztrząsać i zrozumieć sprawiedliwie?...

Spojrzał po obecnych, uśmiechnął się, jeszcze raz złożył im ukłon i wyszedł. Nie czekał na odpowiedź. Toteż zdziwił się bardzo, gdy mu posłaniec przyniósł szarą karteczkę — sekretnik. Oderwał brzeg i przy blasku latarni ulicznej czytał:

„Są u mnie pewni ludzie. Inaczej przyszedłbym. Zobaczmy się jeszcze”.

Ostatnie słowa zabrzmiały w sercu jak przedziwny szum morza. Przycisnął kartkę do ust i poszedł w miasto z oczyma utopionymi w pustyni niebieskiej.

\*

Kilka dni oddalenia, na które go znowu skazała, strąciły duszę do otchłani. Kryła się. Raz widział ją siedzącą w oknie mieszkania. Wszedł tam w podwórze, brodząc w żalu — i oto zobaczył ją niespodziewanie. Doznał wtedy wrażenia, że spadła przed nim z wysoka na bruk... W rzeczywistości, gdy go ujrzała, skryła się w pokoju. Drugi raz widział ją przelotnie, na ulicy. Potem znowu kilka dni pustki.

Nareszcie posłaniec przyniósł mu kartkę ze słowami:

„Okoliczności tak się złożyły, że musiałam zmienić swe projekty. Jutro w południe wyjeżdżam zupełnie z W. Dziś wieczorem musimy się zobaczyć. Trudno mi bardzo oznaczyć godzinę, kiedy będę wolna, ale myślę, że od dziesiątej będę już mogła być u siebie. Dołożę wszelkich starań”.

Szczerbic miał teraz ze sobą prawie cały swój majątek. Przyzwyczajony do waluty francuskiej, wymienił wszystko na franki, na tysiącfrankowe bilety i nosił w bocznej kieszeni surduta. Postanowił tego dnia zabrać Ewę przy pomocy tych pieniędzy, oddać jej wszystko. Obmyślając swój zamach, nieprzytomny, pełen głuchych impulsów, wszedł na „schody okrucieństwa” i zadzwonił.

Otworzyła mu sama. Mrok panował w przedpokoju i w saloniku, przez który machinalnie przeszedł za przewodniczką. Znalazł się w sypialni. Zamknęła drzwi. Gdy się zbliżył, upadła bez sił na krzesło. Zdawało mu się, że zemdląca. Kiedy ukląkł obok i objął ją ramionami, kiedy przycisnął usta do jej ust, do czoła, do oczu, poczęła oddychać szybko, z ostrym świstem w nosie, zdradzającym nieprzytomność. Ramiona jej raz w raz drgały, oczy były zamknięte, usta półotwarte. Nie wiedziała wcale, co się z nią dzieje. Nie czuła, kiedy ją podniósł i złożył na łóżku.

Nagle zerwała się i przeciągnęła rękami po twarzy, jakby dla odegnania nieprzytomności. Otworzyła szybko szufladę stolika i znalazłszy jakiś przedmiot, szybko poczęła rozpinać stanik, zrywać ze siebie suknie i bieliznę. Przyciągnęła do siebie Szczerbica i całowała go w usta tak długo, tak długo, z płaczem serdecznym i najczulszą, najrzewniejszą miłością. Zapytała go, czy przygotował pieniądze, czy wszystko ma ze sobą, a gdy potwierdził, oświadczyła mu, szepcząc do ucha pod największym sekretem, że pojedzie z nim do Włoch, na wyspę Capri, a później do Ameryki. Rzuci raz na zawsze owego draba, zwanego narzeczonym. Szczerbic odetchnął. Wyrwał z bocznej kieszeni zamszową torbę z pieniędzmi. Rzuciła tę ciężką i jak książkę grubą pakę do szuflady stolika. Znowu przyciągnęła go do siebie z całej siły i delikatnymi palcami poczęła rozpinać guziki jego kamizelki, rozwiązywać krawat...

— Czy tu zamknięte drzwi? — zapytał.

— Zamknięte.

— A „ten” już nigdy tu nie przyjdzie?

— Nigdy!

— Ja chcę, żeby on już nigdy nie przychodził do ciebie. Nie mogę! Gdybyś wiedziała, jak straszliwie cię Kocham! Szaleję za tobą!

— I ja za tobą! — szepnęła namiętnie, z diabelstwem rozkoszy.

— Nie mogę nawet pomyśleć, że tu bywa człowiek. Ta myśl mię boli strasznie. Tu, w mózgu, mię ta myśl boli. Robi się od niej w mózgu długa, głęboka skaza...

— A to ty przebiłeś kulą Łukasza? Prawda, że ty? Przestrzeliłeś? Hrabia Zygmunt Szczerbic... w Zgliszczach...

— No, tak.

— W którym miejscu, pokaż, w które miejsce celowałaś! Ja ucałuję to miejsce! Ustami...

Szczerbic doznał uczucia wstydlivej lubieźności. Czuł straszne, niestrzymane szczęście, zrzucając z ramion koszulę. Otoczył nagimi ramionami jej nagie ramiona, splótł ręce. Zanurzyła usta w jego ustach, skowycząc w szale jakoweś sylaby, dźwięki, półsłowa... Ogarnęła go sobą, całym ciałem, jak głowonóg-ośmiornica wessała go w siebie, wciągnęła go w rozkosz jak w wir niezgłębionego morza.

Nagle wśród tej rozkoszy poczuł, że się w jego piersi wbija szydło czy igła. Zimny, niezwalczony, radosny dreszcz przeleciał wskroś jego ciała aż do pięt. Drgnięcie to zamarło. Igła zginęła, ból ustał. Radość cielesna poczęła wzmaczać się, rosnać, wznosić aż do najwyższej granicy... Nagle zachwiała się i jęła szybko gasnąć. Mrok nappełnił się barwą żółtawą, w której przyskały modre iskry. Złotawe, adamszkowe ściany nachyliły się rytmicznie: naprzód — raz, w tył — dwa, naprzód — raz... w tył — dwa... Złotogłów popłynął falisto w rudy mrok... Posypały się iskry... Z wysoka zaczęła opadać olbrzymia, zielona pokrywa, okrągły, chropawy, obrąbany dach. Wtem — rozpacz! W żyłach ruch przerażający, szarpanie naprzód — w tył, naprzód — w tył! Mróz w głowie. Słowo... słowo... wymówić! Ale język skamieniał. Jakoweś miamlanie jakby stękanie krowy wybrnęło spomiędzy warg. Chargot<sup>187</sup> w piersiach, jak przy krwotoku gruźlicy...

Ewa z piskiem zduszonym wyskoczyła z łóżka. Zawinęła się w niebieską, jedwabną koldrę. Stała wśród izby w niewiadomości. Śmiech idiotyczny siepie ciało. Radość! Pulsa w skroniach biją. Szczękając zębami, pobiegła ku drzwiom. Tam jeszcze przez chwilę nasłuchiwała, jak monotownie chlupie miarowy chargot nie w gardle, lecz głęboko w piersiach Szczerbica. Nie mogła znaleźć klamki. Ledwie namacała drzwi prowadzące do mieszkania doktora. I tam jeszcze słyszała chargot. (Raz słyszała taki dźwięk na wsi, gdy strycharz wyrabiał w naczyniu glinę na cegły.) Uchyliła drzwi po cichu, po cichutku i wydała dziwny okrzyk. Zdumiała się sama, usłyszawszy swój głos. Natychmiast wsunął się Pochroń. Za nim i Splawski. Gdy Pochroń stanął nad łóżkiem Ewy, Szczerbic jeszcze oddychał, świzzczał nosem i wydawał piersiami pomruki urwane. Splawski zatrzymał się w progu obok Ewy. Znalazł w ciemności dłoń, ścisnął ją i zatrzymał w swojej. Zaczął mówić ze współczuciem:

— Kurara jest niewątpliwa. Paraliżuje mowę, oczywiście... krzyk... Paraliżuje nerw błędny. Również ruchy. Nie zostawia absolutnie żadnego śladu. Ani kropli krwi. Przypadek... Niech się pani uspokoi... Zaraz skończy...

— Zaraz skończy... — rzekł szeptem Pochroń, zbliżając się do nich. — Cicho, Ewuś, cicho... Gdzie pieniądze?

— W szufladzie.

— Czekać, niech skończy — rzekł Splawski delikatnie, ze współczuciem.

W istocie Szczerbic ucichł. Kiedy niekiedy jeszcze tchnienie głośniejsze wybiegło z jego ust, kiedy niekiedy oddech nosowy. Ale już coraz rzadziej. Wreszcie ustało zupełnie. Wszyscy troje stali nad nim, czekając. Gdy w ciągu paru minut nie tchnął ni razu, Pochroń odkręcił światło elektryczne. Wszyscy zmrużyli od blasku oczy. Szczerbic leżał na boku, z głową podwiniętą pod pachę, tak jak go zostawiła po odepchnięciu od siebie. Pochroń łagodnie, z litością odwrócił go twarzą ku sufitowi.

Zmarły był piękny. Śliczne jego włosy zostały wzburzone. Słały się na poduszce jakoby pióra prześlicznego ptaka... Usta były otwarte i białe zęby lśniły wspaniale w natchnionej twarzy. Wzniosła namiętność, górne szczęście stężało w jego rysach i nieruchoma maska twarzy stała się jak gdyby krzyk zakłęty w męskie rysy. Nagi tors, rozrzucone nogi, ręka zgięta w niedbale półkole, wszystko to uczyniło zeń obraz czarujący.

Ewa patrzyła na niego w posępnej zadumie. Czuła rozkosz na widok nagości tego bożycy, którego przed chwilą zgładziła. Zapagnęła go teraz chwilowym, lecz strasliwym w swej mocy pożądaniem. Gdyby nie to, że stali dwaj widzowie, z jakąż radością, z jaką czcią całowałyby prześliczne jego piersi, jego żebra od niewydanego krzyku wzniesione, zapadnięty od dzikiej walki brzuch, nogi rozwalone jak dwie potęgi. Och, jakże teraz

<sup>187</sup>chargot — dziś: charkot.

pieściłaby go, gdyby żył! Włosy jej biegly złotolitą falą po jasnym atlasie. Twarz przecudna skostniała w daleko widzącym marzeniu.

Smutnie patrzyła, jak go nagiego zupełnie ułożyli (w koszu do dawna przygotowanym) w taki sposób, że głową nóg dotykał. Smutnie patrzyła, jak zabrali pugilares pełen pieniędzy i podzielili zawartość pomiędzy siebie. Zawinęła się w kołdrę i czekała, żeby sobie nareszcie wyszli. Patrzyła na stopy swoje, wyłaniające się spod błękitu atlasowego... Była senna. Chciała spać, spać! Nareszcie spełniła to, co ją tak strasznie dręczyło od tylu tygodni. Spracowała się, a teraz nareszcie spocznie...

Pochroń i Płaza-Splawski zamknęli kosz na nową klódkę i, nie oglądając się już na Ewę, wynieśli z mieszkania. Słyszała, jak ciężko szli po schodach, jak zniżali się, zniżali, zniżali... Wreszcie słaby trzask drzwi...

Wyszła do drugiego pokoju i położyła się na wąskiej, secesyjnej kanapce. Skoro tylko głową dotknęła skórzanej poduszki, usnęła jak kamień...

\*

Ocknęła się niespodzianie, zapewne po upływie dwu godzin. Elektryczność płonęła w pokojach.

Ewa spostrzegła przez rozwarte drzwi na środku swej sypialni ubranie Szczerbica... Było cicho.

Ze snu wynurzył się w jawę i zawisł w niej przeraźliwy duch. Czarna zgroza żelazną kłamrą ścisnęła głowę. Strach począł wiać przez zimne kości, biegł żyłami, wielokroć łamał ciało, wyginał je w górę i na dół, w tył i naprzód, trząsał je i targał. Od stóp, po nogach, w górę ciała puściły się błędne iskry i chyże języki ognia.

Wstała oślepiąca i poszła naprzód.

Z zimna ubrała się w pierwszą z brzegu suknię. Po upływie kilku minut była gotowa. Kapelusz, wiosenna okrywka, najnowsze pantofle i rękawiczki... Przejrzała portmonetkę i znalazła zaledwie kilka koron.

Patrząc wciąż na ubranie Szczerbica, powzięła niejaką myśl o sobie. Czkanie szlochów rozpruło piersi, płuca i serce. Była wciąż koło ścian, sunęła po nich z wyciągniętymi rękami, żeby wyminąć ohydne ubranie zmarłego. Słyszała jak gdyby szeptał... Otworzyła szafę jedną i drugą, w której wisiały jej suknie — później wielki kosz i wszystkie walizy. Poczęła wywłóczyć jedwabne spódnice, koronkowe staniki, bieliznę, wualki, rękawiczki, kapelusze. Wszystko to rzuciła co prędzej, co tchu na ubranie Szczerbica, żeby je zakryć. Coraz pospieszniej opróżniała szuflady, pudła i skrytki. Wyrzuciła wszystko, aż do ostatniego strzępka, na olbrzymi stos.

Zerwała firanki i rzuciła je na szczyt tej góry. Z cichym chichotaniem ulgi potarła zapalną i podstawiła płomyk pod najniższą leżącą koronkę stanika. Błędny ogieniek z cichym śmiechem, jak po suchej gałązce jałowcu, zapląsał. Wówczas chyżo na palcach wyszła z mieszkania.

Zamknęła za sobą na klucz drzwi i biegła po schodach okrucieństwa. Uśmiechnęła się na wspomnienie skarg Szczerbica. Tyle razy mówił o śmierci, chciał śmierci. Teraz ją już otrzymał. Wspomniła, jak go pakowano w kosz. Rozwarte usta obok wielkiego palca nogi!

Dreszcz odrazy, jakby ktoś nahajem zdzielił przez plecy...

Pobiegła prędzej w dół na lodowatych nogach, przesunęła się przez bramę, gdy wchodzili jacyś nocni bibosze...

W ulicach płonął jeszcze gaz i martwo czuwała elektryczność. Czarowna, parna noc nie dawała spać ludziom. Ulice były ożywione, mimo pory bardzo późnionej. Szła szybko naprzód, naprzód... Czuła w sobie pełnię sił, ale rozum miała dziwnie ociężały i jakby zakażony.

Glupkowata uciecha z tego tytułu, co Pochroń w domu znajdzie, dodawała sił i rzeźwości. Mijała ulice, zaułki, skręcała, przechodziła w poprzek nie wiedząc, że to czyni, i nie zdając sobie sprawy, dokąd idzie. Ujrzała wreszcie jakiś rynek zastawiony kramami, zupełnie w tej chwili pustymi. W świetle latarni lśniły posępne daszki, nakrywające zapewne chleb, jarzyny, mięso...

Przemknęła myśl, że są ludzie, którzy trawią życie na sprzedawaniu jarzyn, chleba, mięsa... Zaduch ryb, serów, mięsa, nafty, kapusty unosił się jeszcze nad tym placem ohydny. Ewa doznała uczucia odrazy nie do zniesienia. Po co żyć, żeby to wszystko cierpieć? Żyć po to, żeby sprzedawać cuchnące śledzie albo roznosić po domach bułki! Trzymać się tego życia, jak gdyby jakiegoś szczęścia! Ujrzała na jawie taki sam plac, ale w Warszawie. Deszcz spływał z daszków strugami, jesienna wilgoć się sączyła. Widziała w duszy połysk latarek w głębi masy bud na Starym Mieście i twarze ludzi nieszczęśliwych, którzy po to wstają co dnia z barłogów, żeby żyć w smrodzie ryb albo serów. Zemsta buchnęła z jej serca, śmiech potwornego gatunku pognał ją z miejsca.

Pobiegła krętymi uliczkami, potykając się na bruku dziurawym i na kupach rozmiękłych śmieci. Gnała wąskimi chodniczkami, które nogi ubóstwa wyźłobiły w ciągu lat. Spostrzegła w drodze skarpy przedwiecznych murów, zaułki drewniane, sienie zawsze otwarte, których wewnątrz sklezione zdawały się stękać i wyc z bólu, skoro w nie wejść. Z tych mrocznych pieczar zionęła choroba i śmierć. Zstępując po kamiennych schodach, spod których rynsztokami leje się kał, tułając się bez żadnej myśli, wkraczała w zaułki, gdzie po stromych, przedziwnych schodach trafić można do najuboższych lupanarów. Tam i sam ślaniała się jeszcze dziewczka ohydna, znużona i sterana. Schody urwały się i Ewa niespodzianie wpadła na szeroki plac, pełen błota, zavalony drwami, stosami belek, łat, piramidami desek. W dali lśniła olbrzymia rzeka. Drgające, połyskliwe strzały światła nadbrzeżnych latarni widniały jak oko zdołało sięgnąć. Była nicopisana potęga, królewski spokój w tym rzędzie pochodni płonących na wodach. Ewa zadumała się patrząc w ów obraz. Rozległ się huk mostu, przez który leciał pociąg. Świst potężny, przesywający, porywający ze sobą w świat... Tuż stała chata sklecona z przegniłych drewn. Chata wlaźła w ziemię. Okienko, osrebrzone światłem, szkiło się nad błotem. W głębi połysk naftowej lampki.

Żal ścisnął serce...

Uciekła od tej chałupki ku murom. Znowu jakieś kraty w oknach, złupione tynki, oberwane rynny, drzwi do czarnych sieni, które zagłębiają się w dół, jakby były lochami prowadzącymi do piekieł.

Stała w zamyśleniu, a później weszła do jednej z tych sieni. Niskie drzwi prowadziły na prawo i na lewo. Za tymi drzwiami, pomimo tak późnej nocy, gwar, płacz dzieci, wrzask dziewczek, śpiewy, kaszel. Czarne figury ludzkie jeszcze się snuły w podwórzu.

Ewa pragnęła uniknąć wszelkiego zetknięcia z ludźmi. Licho, jakby przez sen, wiedziała, że noc jest późna, że na ulicy o tej porze mogłaby ją zaczepić policja. Stała w zadumaniu przed jakimiś w sieni drzwiami, marząc o tym, żeby spać, usnąć, leżeć... Nie była pewna, gdzie jest? Czy to Warszawa, Monte-Carlo, Paryż, Nizza? Wydzwignął się niejasny, znużony w samym założeniu zamiar, żeby zakolatać do tych drzwi i wejść do jakiegokolwiek izby. Bo przecie już wszystko jedno, gdzie się mieszka. Dawniej miała dom, własne mieszkanie, jakiś dach, a teraz nie ma już nigdzie domu. Nigdzie na ziemi! Byleby nie wracać do Pochronia — toć wszystko jedno, gdzie się leży...

Kilku mężczyzn z hałasem, chichotem, wrzaskami, podśpiewywaniem weszło do sieni tego domu. Natrafiwszy w ciemności na Ewę, wnet ją oświetlili zapalkami, obskoczyli ze wszech stron i poczęli zasypywać gradem komplementów... Słuchała ich bez jakiegokolwiek sensu w głowie. Nagle przemknęła myśl, że przecie najlepiej będzie iść z nimi, jeśli zechcą. Nie będzie sama. To właśnie będzie znalezieniem domu... Jeden z mężczyzn, w cylindrze, wysoki, belkotał najnatarczywiej inwitacje, żeby szła do mieszkania, które znajduje się tu właśnie, w tym oto domu, na czwartym piętrze. Rozumiała na tyle gwara wiedeńską, żeby pojąć, o co chodzi.

Birbanci pochwycili ją pod ręce z radosnym belkotem, pociągnęli w górę po schodach, w mrok, w tajemne wejście. Szła ze śmiechem przez korytarze, schodki, przejścia, z których przemocą wygnano powietrze. Otwarto wreszcie drzwi. Zablysło światło. Mała izdebka z oknem półokrągłym. Jedno łóżko z siennikiem, stolik zavalony książkami, w kącie na krzeselku miska do wody. Serce Ewy napełniła radość, a raczej sobacza furia. Nowi ludzie! Inni — do wszystkich piorunów! Rozejrzała się po twarzach. Byli to „kawalerowie”, młodzi ludzie, których się stale widzi idąc ulicą. Dwaj z nich byli dostatecznie pijani. Ściągnęli siennik z prętów łóżka i rzuciwszy go na ziemię tworzyli łożę dla

wszystkich. Dwaj inni bawili Ewę. Jeden rozpostarł poduszkę na wiedeńskim krzeselku, którego wyplatane siedzenie zupełnie, niestety, znikło, i uprzejmymi gestami zapraszał do zabrania miejsca, drugi rozpaliał maszynkę prymus w celu ugotowania, jak twierdził, grogu.

Ewa usiadła na wskazanym miejscu. Nie była pewna, czy za chwilę nie wstanie i nie wyjdzie za drzwi, jak przyszła. Tymczasem zasiadała majestatycznie. Woda w maszynce zaczęła kipieć. Przyniesiono skądś butelkę wina, cukru w torbie, kilka pomarańcz. Podano jej szklankę. Piła duszkiem. Młodzieńcy otoczyli ją. Śpiewali chórem. Z rozkoszą i dziką furią patrzyła na ich rozjuszony oczy, rozpalone policzki, na wzburzone włosy i spotniałe łby. Ktoś stukał w cienką ścianę i walił we drzwi, nawołując okrutnymi słowami do spokoju. Objasniono Ewę, że to sąsiad rzemieślnik, a ten co we drzwi, to także sąsiad utrzymujący sklepik z owocami.

Ewa rozchichotana odrzącała nogą jednego z kawalerów, nasuwającego się zbyt blisko. Była pijana i szczęśliwa. Śmiała się do rozpuku. Odrącony padł na kolana i począł całować jej nogi. Czują, że całuje przez suknie.

Strącona lampa zgasła... Pijackie oddechy... Krzyk...

\*

Zachodziło słońce. Czerwony blask pokrył szyby okienka, sklepionego u góry. Słychać było daleki huk miasta. W izbie nie było nikogo. Ewa dopiero co ocknęła się. Była naga. Nie mogła znaleźć swego ubrania. Szukała to tu, to tam, ślaniając się po pokoju, odziana tylko w płaszcz swych włosów. Panował nieznośny zaduch. Wspomnienie orgii nocnej... Otworzyła okna i spojrzała na dół. Po chodniku mknęło rojowisko ludzkie. Ujrzała ów plac zastawiony budkami kramarzy. Uczuła głód, ale zarazem i wstręt do jadła. Wtem myśl o strzykawce Prawatza... Czemuż jej nie zabrała? Gdyby się wrócić i zabrać! Tak umierają rozumni i mężni. Gawiedź choruje, drży wobec śmierci i cierpi dla rozkoszy oddychania zapachem śledzi i zgniętego mięsa. Ale spotkać straszliwego Pochronia, który „używa kobiety”... Umrzeć w ludzkich ramionach!... Czemuż ze Szczerbicem nie umarła? Jeszcze tak raz kogoś przycisnąć do serca!

— Jaśniach... — wyszeptła z rozkoszą. — Jaśniach, poeta mój!... Pójdę do niego i umrę w jego ramionach albo u jego nóg. Schyli się nade mną kapłan mój, pogładzi włosy...

Zliczyła pieniądze i kombinowała, czy jej wystarczy na drogę do Krakowa. Wiedziała, że Jaśniach leży chory w Zakopanem. Postanowiła jechać niezwłocznie. Ubrała się co tchu, wyważyła zamknięte na klucz drzwi, poszła wprost na Dworzec Północny i, wskoczywszy do trzeciej klasy krakowskiego pociągu, puściła się w drogę.

\*

Stare, święte wieże Krakowa ujrzała we mgle rannej. Wpłynęły do jej serca kształty wież, co już spraw ludzkich pamiętają tyle, oparł się widok ich na sercu, jakoby ręka Jezusa Chrystusa.

Była bardzo znużona. Jak niegdyś, za lepszych dni, westchnęła ku wieżom czarnym, które sterczą ku niebu z mroku wieków:

„O miasto, miasto! Odpuść mi! Daj mi spocząć na cmentarzu swym! Nie karz mię bez litości, przez Pana naszego Jezusa Chrystusa...”

Ale miasto nie znalazło litości. Przyjęło ją wieścią straszliwą. Dowiedziała się w pewnej księgarni, dokąd zaszła po informacje o Jaśniachu, że poeta ten umarł przed miesiącem.

Wyszła z tej księgarni blada. Twarz jej stała się surowa, kamienna i zaciekle. Kamienne także stały się oczy. Już w nich od tej chwili nie było dawnej dziecięcej prostoty, dawnej dziecięcej ufności. Uśmiech jej oczu stał się zewnętrzny i publiczny.

\*

W Krakowie właśnie Ewa zesłała do rzędu kobiet publicznych. Mieszkała początkowo w hotelu. Później uzbierawszy nieco pieniędzy wynajęła oddzielny apartament, jak

mówili złośliwi przyjaciele, „urocze *atelier*”... Miała szalone „powodzenie”. Mogła ubierać się elegancko, jeść wykwintnie, a nawet hulać. Jeździła na „gościnne występy” do Lwowa. Kraków wyrwał ją sobie. Ale zaczął się letni sezon osób przejezdnych. Kilkakroć spotkała na ulicy twarze znajome z Warszawy. Zwiększyła się obawa pościgu Pochronia, który mógł najłatwiej w Krakowie jej poszukiwać. Bała się spotkać Horsta.

Postanowiła wyjechać do Królestwa, nie do Warszawy jednak, lecz gdzieś na prowincję. Z łatwością „przez stosuneczki” wyrobiła sobie paszport na imię Anny Winter i z kufrem sukien, ogromnym jak Sukiennice, pojechała na chybił trafił do niejakiego miasta Kielce. Tam poczęła pędzić życie krakowskie, ale z wielką dystynkcją, ostrożnością i wyrachowanym szykiem. Udawała wielką damę, melancholijną panią zza mór. Sprzedawała się tylko za bardzo drogie pieniądze, z wielkimi ceregielami i po długich zalotach. Z czasem jednak, kiedy się na niej poznano, a nade wszystko kiedy ją przyłapano na gorącym uczynku, zmuszona była zapisać się cichaczem w miejscowym magistracie do cechu siostrzyczek-prostytutek. Wówczas wynajęła mieszkanie i prowadziła życie bardziej rozpustne.

I tu zawróciła głowy całemu światu. Wszystkie scriby<sup>188</sup> z guberni, powiatu, *palaty*, sądów wszelkiego gatunku, wszelkie rodzaje burżuazji, stan cywilny i wojskowy — słowem, pleć męska miasta rujnowała się na nią do ostateczności. Zaciągano długi, zaprzędawano ducha Żydom, byleby osiąść odpowiednią walutę dla osiągnięcia łask Winterki. Cnotliwe, katolickie miasto zgrzytało plotkarskimi zębami na widok prześlicznej i jakby coraz piękniejszej nierządniczy, spacerującej w najwykwintniejszych szatach po ogrodzie miejskim i w sposób wszeteczny defilującej pod Karczówkę. Wlokły się zawsze za nią roje zalotników z pominięciem najcnotliwszych dziewic z najszanowniejszych w Kielcach rodzin. Doszło do tego, że ludzie żonaci (*horribile dictu*<sup>189</sup>!), narzeczeni, szanowni obywatele, lekarze, znani daleko mecenas kieleccy, a wreszcie sami (co, przez litość, niech zostanie między nami!) księża kanonicy tudzież proboszczowie...

\*

Upalny dzień sierpniowy miał się ku zachodowi. W ulicach miasta kołysał się jeszcze żar nieznośny. Ludzie łazili jak senne muchy po rozżarzonych kamieniach bruku. Jaki taki kierował się w stronę ogrodu miejskiego albo za miasto, ku trawce i lasom. Ewa w sukniach nader przewiewnych, w bluzce gazowej, można by bez przesady powiedzieć — w krańcowym negliżu rozwalila się na odosobnionej ławeczce w parku miejskim. Szemrały nad nią z cicha liście wielkiej sokory. Rozmyślała, co też ma dalej czynić ze sobą.

Ponieważ, jak wiadomo, wszystko przeżywa się i powszednieje, więc i sława jej w mieście Kielcach cokolwieczek przeżyła się i jęła powszednieć. Wszyscy ją już znali jako, niestety, prostytutkę. Prawdopodobnie musiano już o tym wiedzieć i w Warszawie, jeżeli to mogło kogo bliżej interesować. Rzecz już nie mogła się ukryć tym bardziej, że nikt jej przecie nie ukrywał, a odkrywali starannie wszyscy. Nie wiedziała, czy rodzice żyją, czy pomarli. Było to jej, można by powiedzieć, obojętne, gdyby nie pewna postać zemściwej radości. (Pokazać matce, że czym jej raz zagroziła w sprzeczce, to się ziściło!) Czasami pragnęła powziąć wiadomość, że pomarli. Jeśli zaś żyją i dowiedzą się, gdy przyjedzie — no, to i cóż? Ojciec ją spotka na ulicy? No, to i cóż? Matka zobaczy? No, to się nie przywitają. Wielkie święto! Pośliznęła się i powinęła noga w życiu... Tylko Aniela i Horst! Uśmiech Anieli, gdyby ją spotkała... Trzeba by bić w papę, a potem cyrkuł, badanie... Horścik... Na wspomnienie tego człowieka — oczy jej płonęły ogniem dzikiej, zgoła obłądnej nienawiści, usta zaciskały się złowieszczo. Po chwili jednak inna myśl zwiewała tamte myśli i wrażenia. Zamieszkać gdzieś w okolicy Alei... Urządzić szyk mieszkanko, przyjmować tylko bogatych *draniów*, ubierać się z przepychem, pokazać kłębom warszawskim szyk z Monte-Carlo, Nicei, Paryża, Rzymu, Wiednia... Dość już dziur, takich jak Kraków albo Kielce!

Ukazał się na opustoszałej alei jakiś człowiek. Szedł ociężale. Był wysoki, siwawy, z zarostem krótko przystrzyżonym. Kapeluszyk niósł w ręce. Słońce, padając tu i tam spomiędzy

<sup>188</sup>scriba (z łac.) — pisarz.

<sup>189</sup>horribile dictu (łac.) — strach powiedzieć.

liści, lśniło w jego srebrzących się włosach. Ewa spostrzegła, że był ubrany elegancko, nie po kielecku. Ramiona miał nieco pochylone naprzód, ale w sposób dziwnie wykwintny, w taki sposób, że to pochylenie, nie wiedzieć czemu, przypominało Szczerbica. Stawiał ogromne kroki długimi nogami i pomagał sobie w marszu oryginalnym ruchem rąk.

Ewa naszożyła się wnet kokieteryjnie, wysunęła pantofle, halkę i niemal całe pończochy. Jegomość szedł ku niej, patrząc natarczywie na pogotowie miłosne. Gdy był o parę kroków, podniosła na niego szelmowskie oczy. Patrzył wciąż, uparcie, wesoło i żywo, ale przeszedł, rozejrzawszy się w niej tylko ironicznie od stóp do głów. Gdy się oddalił o jakie dwadzieścia kroków, rozpostarła się znowu na ławce ze złością, pokrywszy ją całą swymi fularami. Pan raptem przystanął i namyślał się. Za chwilę poszedł dalej, ale wnet znowu zwolnił kroku i spojrzął w stronę Ewy. Udawała, że tego nie widzi. Domyślając się jednak, że taka podstarzyzna potrzebuje bodźca i zachęty, przeciągnęła się, zebrała suknie i, podkasana w sposób wysoce interesujący, poszła ku miastu. W istocie jegomość wymaszerował z ogrodu. Widziała go wciąż za sobą, gdy mijala ogród, i później, gdy szła przez puste, rozprażone ulice. Żeby mógł zdążyć, przystawała tu i tam, dawała mu wypocząć. Toteż, biedactwo, odpoczywał ścierając pot z czoła.

Nareszcie dociągnęła go przed bramę swego domu. Obejrzawszy się dostrzegła znaki podstarzałego adonisa. Weszła do sieni i stanęła tam w oczekiwaniu. Ziewała nasłuchując, czy idzie. Wtargnął do sieni i wskazał ręką, żeby szła naprzód. Pobiegła po ciemnych schodach na piętro, otworzyła drzwi do mieszkania i nucąc czekała. Wszedł, rzucił okiem na sprzęty i znudzony siadł na najbliższym krzeselku. Zamknęła cicho drzwi i zajęła miejsce naprzeciwko, uśmiechając się jak notoryczna diablina. Nie miał wcale miny, jaką widzieć przywykła. Oczy wlepione w nią, uśmiech zabawny pod małym wąsem, ocieniającym wąskie wargi... Gdy tak nie spuszczał z niej oczu, przenikające zimno odrazy oblało ją z nagle. Przez chwilę miała złudzenie, że gdzieś już widziała te przenikliwe oczy! Gdzież je widziała?

— Jak się nazywasz, papużko? — zapytał głośno, niezwykle głośno, gwałtownie i tak stanowczo, że nie mogła zamilczeć.

— Anna Winter.

— To rzeczywiście twoje nazwisko czy przybrane?

Zapytując, zbliżył twarz do jej twarzy i nastawiał dłoń za ucho. Domyśliła się, że jest głuchy. Gdyby ręce jego były brzydkie albo brudne, te ruchy byłyby nieznośne. Ponieważ jednak był wykwintny i jakiś niezwykle czysty, sposób jego bycia sprawiał teraz przyjemność i rozweselał. Dopóki nie odpowiedziała, nie odsuwał twarzy i nie spuszczał wlepionych oczu. Czekał tak cierpliwie i wytrwale na odpowiedź. Gdy mówił, jego krzyk był miły, oryginalny i dowcipny. Rzekła naśladując jego głos i minę:

— To przybrane nazwisko.

— A rzeczywiste?

— Na cóż to panu rzeczywiste nazwisko?

— Chcę z panią rozmówić się jak z rzeczywistym człowiekiem, nie jak z uliczną kamelią, więc potrzebne mi jest rzeczywiste imię i nazwisko.

— Uliczną kamelią... Dobroczyńca!

— Obrażasz się, nimfo Kalypso! Nie masz o co!...

— Ja nie mam chęci rozmawiać — rzekła głośno i zimno. — Jeżeli pan przyszedł po to, żeby rozmawiać, to muszę oświadczyć, że mam czas bardzo ograniczony... Wychodzę na miasto i wskutek tego...

— I wskutek tego... — powtórzył. — Ile bierzesz zazwyczaj?

— Dwadzieścia pięć rubli.

— Dwadzieścia pięć rubli... — powtórzył znowu jak uczniaczek, powtarzający w myśli lekcję dla samego siebie.

Wydobyl z wolna pugilares, nie patrząc wyszperał z jakiejś przegródki bilet dwudziestopięćciorublowy i położył na stole.

— Drogo bierzesz, nimfo Kalypso! — wykrzyknął nagle.

— Biorę za... wizytę — odkrzyknęła tak samo jak i on.

— Weź, dziecko, i nie krzycz. Któż widział krzyczeć? Przecie to wszystko jedno rozmawiać z „gościem” czy mu się oddawać.

— Nie wszystko jedno.

— Nie wszystko jedno... Ja bym chciał z tobą tylko porozmawiać — powtórzył.

— A ja znowu z panem nie chcę nie tylko rozmawiać, ale pana znać! idź pan do diabła razem ze swoimi pieniędzmi! Także! Bawić się, to bawić, a nie — to fora ze dwora... i złam kark, stary kulfonie — dodała ciszej.

— No, to rozbierz się, jeżeli ci tak o to chodzi...

— Mnie o to wcale nie chodzi... — parsknęła śmiechem — tylko chyba panu... Także kochanek...

— Dobrze, dobrze... Rozbierz się...

Zaczął bębnić po stole palcami. Ewa, nucąc dla kontenansu, rozpięła stanik i ściągała go leniwie z ramion. Spojrzawszy na jego twarz suchą, ładną w swojej szarej prostocie, na oczy czyste, na ściągnięte brwi i usta w uśmiechu — uczuła w całym ciele dawny, nieistniejący już w niej prawie od lat, dreszcz dziewiczego wstydu, poryw zapomnianej nieśmiałości. Wiedziała, że cała jest czerwona, śmieszna, głupia. Usłyszała jego głos:

— Powiesz mi swe imię?

— Na imię mi Ewa.

— A nazwisko?

— Nazwiska nie powiem.

— Hm — jak chcesz. Może i dobrze. Po cóż wymawiać nazwisko ojca?... — dorzucił cicho, a tak smutnie i rzewnie, że to uczuła.

— A pan jak się nazywa?

— Bodzanta. Śliczne masz włosy, śliczne masz włosy, oczy, usteczka... Czeszesz się, widzę, jak Donna Julia...

— Jaka znowu?

— Żona Septimiusa Sewera, tego, wiesz, co to ma łuk w Rzymie, Syryjka. Była taka przed wiekami. Teraz stoi skromnie w ciemnym zaułku muzeum.

— Czeszę się jak Cléo de Mérode.

— Cléo... Cóż za ordynarny wzór! Przecie ona tańczy ohydnie. Tyle, że się rozkłada i pokazuje swe brylanty. Nie masz rodziców?

— Nie mam.

— A dawno obrałaś sobie ten zawód?

— Dawno.

— I teraz oto... „jadasz popiół jako chleb, a napój swój mieszasz ze łzami”...

— Tak znowu źle nie jadam i nie pijam.

— Bo pohańbienie pokruszyło twoje serce. Powiedz mi — a umiesz czytać?

— Och, jakiś społecznikarz, nawracacz, feminiściarz... Cóż to za nudy! I egzaminuje jak na pensji... Cóż to będzie? Umieć mówić, proszę pana miłosierdziarza, po francusku, byłam w Nicei i w Paryżu, na Korsyce, i niejednego hrabiego wodziłam za nossek...

— Ja też od razu spostrzegłem, że ty jesteś... bagatela! *Per Bacco*<sup>190</sup>! Powiedz...

— Nie, już dość tej rozmowy!... Jestem zaangażowana...

— A może byś zamiast tych angażowań wolała zostać urzędniczką w biurze. Mnie się zdaje, że bardziej by to pasowało do twojej osoby niż to zajęcie dziewczki publicznej.

— Nie prosiłam pana o posadę, to niech mi pan od dziewczek publicznych nie wymyśla.

— Jać nie wymyślam, dziecko, tylko mówię otwartymi słowami. Po cóż mamy owijać rzeczy cuchnące w różowe bibułki. Co? Jak myślisz? Skąd może być w człowieku ta właściwość, że nawet tu, w twoim mieszkaniu, nie chce przed samym sobą przyznać się do siebie. Lubi człowiek żyć w fałszu przed samym sobą, lubi samego siebie podrabiać, fałszować, jak w upiękniającym zwierciadle chce się w swej sfalszowanej postaci przegłądać i odbijać. Skąd to jest w człowieku? Może to jest jakie echo ideału niewiadomego czy też egoizm albo dążenie bezwiedne do umówionego społecznie szablonu?... Jak ty myślisz? Na przykład ty wiesz przecie, że musisz być dziewczką każdego draba, każdej szui...

— No, nie tak znowu każdego!

— Każdego, kto ma trochę pieniędzy. Chciałabyś jednak, żeby to się nie nazywało wcale... Ale mniejsza! Proponuję ci posadę. Dostaniesz mieszkanie, utrzymanie, pensję...

— Gdzie to?

— Na wsi.

<sup>190</sup>*per Bacco* — na Bachusa (emocjonalny wykrzyknik).

— U pana?  
— Tak, tam, gdzie ja mieszkam.  
— To jest, jeśli już mówić otwarcie, nie owijając rzeczy w różową bibułkę, chce mię pan wziąć na utrzymanie? Jeszcze mię pan przecie wcale nie zna.

— Nie chcę cię brać na utrzymanie, tylko wypchnąć.  
— Wypchnąć?  
— No oczywiście. Zechcesz zostać znowu człowiekiem, no to dobrze, a nie zechcesz, no to wrócisz przecie do swych draniów, szujów, świszczypałów, szubrawców!

Wywrzaskiwał to tak donośnym głosem, że pewnie go było słychać na ulicy. Ewa czuła to już od dawna, że o to chodzi. Widziała tajemnym wzrokiem, czuła za pomocą zimnego drżenia w całym ciele, że stoi przed nią nie szuja, nie gość jej codzienny, lecz jakiś upiór Jaśniachowy. Prawda była w jego przesywających oczach i w jego ustach twardo zamkniętych. Miała obrzydłe uczucie, że coś w niej pęka, wali się w gruzy... Jeszcze chwila i z klątwą czy jękami na ustach runie przed nim na kolana, legnie jak pies nieruchomy u jego stóp. Zachichotała jednak całym wysiłkiem woli, jak wówczas, gdy się rozbierać zaczęła, na modłę śmiechu dziewczek ulicznych.

— Znam ja się na tych pokusach. Posada! Znam i te posady.

— Jak? „Znam i te posady”. Uważasz... Nie zbliżam się po rozkosz do kobiety, której nie kocham. Ciebie nie kocham przecie. Rozumiesz? Więc jakież podstęp? Co? Jeden mędrzec starożytny, Pitagoras tak mówił: „Nie poddawaj się rozkoszy zmysłowej, dopóki nie poczujesz, że ona jest niższą od ciebie”. Uważasz?

— Uważam. Gadanina... „Niższa do ciebie”... Od was wszystkich sto tysięcy razy wyższą jest wasza rozpusta.

— Rozpusta — tak. Ale, siostrzyczko, rozpusta — sama przez się, nie istnieje. Rozumiemy się? — Sama przez się... My ją w sobie wytwarzamy za pomocą słabości naszej woli i układu naszych stosunków. Ale istnieje miłość, którą znowu poniżyliśmy aż do rzędu rozpusty. Rozpusta jest to wynalazek. Podobno można ją wyniszczyć — przez co? Podobno przez wyzwolenie i wskrzeszenie miłości. Ja się tymi pytaniami nie zajmuję. Mówię tylko do każdego człowieka: Synu boży, dźwigaj się, wstań, wyprostuj się, chodź! Więc i do ciebie... Jeżeli ci obmierzła sobacza służba w jarzmie ludzkiej rozpusty, no to dźwigaj się, wstawaj, chodź!

— Dobrze! Pójdę!

— A widzisz! Chwała bądź Bogu...

— Ale jeśli mię pan zdradzisz! — krzyknęła podchodząc ku niemu z zaciśniętymi pięściami.

Uśmiechnął się wyniosłe, z radosną ironią, odmiennie i zachwycająco. Mówił jej prosto w oczy:

— Będę czasami patrzył na twoje śliczne włosy i myślał, że twoja piękność wydartą została z gnoju miejskiego, że twoja piękność jest jakoby... wrócona Bogu...

— Gdyby pan wiedział wszystko! Może by pan wtedy...

— Bóg wie wszystko. Ja nie mam prawa nic wiedzieć. Nic mi to nie obchodzi i nic też nie chcę wiedzieć.

— „Wrócona Bogu”... A czy jest Bóg? — spytała raptownie, szeptem, ujmując w swe ręce, jak we dwa płomienie, jego rękę.

— He? „A czy jest Bóg?” — przepowiedział sobie z cicha, patrząc z dziecięcym uśmiechem w jej oczy. — Czy jest Bóg? Nikt tego nie wie, czy jest Bóg. I nikt z ludzi na to pytanie bliźniemu odpowiedzi dać nie może. Podobno „umarł”. Tak piszą poeci. Nie masz Boga, mówi w sercu swym człowiek wyniosły, bo gdyby Bóg był, jakżebym ja zniósł, abym bogiem nie był. Są wszakże tacy, którzy Go w sercu noszą i gorącymi ustami stwierdzają: żywie Pan! Jeżeli ty sama sobie tego nie powiedziałaś, to jakże ja ci to mam powiedzieć, jakim sposobem wcielę to w twe serce?

— Więc co mam zrobić?

— Sprzedaj pierwszej lepszej handlarce starzynny wszystkie fatalachy, bo tam ci przecie nie będą potrzebne. Z tym, wiesz, to jak z paleniem tytoniu: od jednego zamachu. (W zatraceniu siebie jest żywot! — dorzucił cicho.) Kup sukienkę przyzwoitą, nawet ładną, drugą codzienną. Kup bielizny, trzewiki dobre, kapelusz modny, ale nie taki, żeby

było widać, że to z lat dawnych. Przyjdź jutro do Hotelu Polskiego o godzinie czwartej i zapytaj się o Bodzantę.

Zachłysnęła się z jękiem, z okrzykiem.

— Nie sądz tylko — krzyczał Bodzanta — że jestem jakimś magdaleniarzem, nawracaczem z zawodu upadłych kokot, cnotliwcem jawnym, uprawiającym rozkosz tajemnie. Nie wierzę w wyniszczenie nierządu. Zawsze będzie. Tak przypuszczam... A ty jak przypuszczasz — co? Nic nie wiesz? To najlepiej. Nie przeszkadzam tylko dobru w człowieku. Kiedy mogę przyczynić się, żeby w człowieku dobro się objawiło, no to przyczyniam się. Mam chyba, do diaska, po temu prawo! Nie sprzeciwiam się dobru. Dobru — słyszysz? Bo to nieprawda, żebyśmy absolutnie nie wiedzieli, co jest dobro. My wiemy, że jest dobro. Wiemy, że stoi ono wyżej niż piękno. Piękno ukazuje nam istotę spraw, ale musi mieć na sobie szatę sztuki. Dobro zaś jest niewidzialne, jak nerw, a sięga w ducha i działa w nim tajemnie, jak nerw sięga w ciało i działa w nim. Bo mówią — i to nawet czerpiąc z Pisma — że należy nie przeciwzić się złemu. Jest w rzeczy samej u Mateusza w rozdziale 5 (Kazanie na górze) słowo: „Ja wam powiadam, żebyście się nie przeciwili złemu”. Pięknie! Ale jeśli nie należy przeciwzić się złemu, toć prosty chłopski rozum wskazuje, żeby się nie przeciwzić i dobru.

Jest w człowieku, w więzieniu serca zamknięty anioł i zamknięty szatan. Cóż jest złe? Mało wiemy, co jest złe. Nieco więcej wiemy, co jest dobro. Ja tedy nie zajmuję się złem, zostawiam je na uboczu. I tak nie zmarnieje... Dużo jest frantów, którzy mu się „nie przeciwiają”, i to z entuzjazmem. Kiedy więc oni uznają za słuszne wyzwalać szatana, ja znajduję przyjemność, mam taką polską manię, żeby wyzwalać anioła. Lubię patrzeć, gdy mu rosną skrzydła. Jest w tym zresztą dużo wyrachowania. Wyrachowania, papużko! Może skrzydła któregoś z nich, gdy popłynie ku niebu, zaniosą daleko grzeszną moją modlitwę za Martę! Ba! ale ty nie wiesz nawet, kto to jest Marta... Bądź zdrowa!

\*

Kiedy nazajutrz Ewa znalazła się w dziedzińcu wskazanego hotelu, już wolant hrabiego Bodzanty stał zaprzężony. Furman siedział na koźle. Był to człowiek stary z siwymi, łokciowymi wąsiskami. Gdy Ewa z palącym wstydem a pogardliwie rozglądała się po podwórzu, ów furman patrzył na nią długo i uważnie, aż wreszcie zwrócił się z pytaniem:

— Z przeproszeniem... A czy to panna nie do Bodzanty?

— Właśnie, do pana Bodzanty...

— A rzeczy są jakie?

— Mam tutaj.

— No to proszę. Tylko ja nie zleżę, bo konie mam strachliwe, a do tegom i na nogę kulawy. Niech no pani ino sobie zada, to się i dźwignie. Nie święci garnki lepią!

— O, ja udźwignę, proszę pana!

— Et, ja ta z tych pomniejszych panów... Na imię mi Teodor. Zaraz i pan pewno nadejdzie, to w try miga pojedziemy, bo to u niego wszystko pędem. Upał — prawda? Ale pod wieczór się ma, to i przechłodnie. Szkoda tylko, że kurz będziemy mieli. Deszczyka nie ma — ot to bieda! A pani w nasze strony pierwszy raz?

— Pierwszy.

— To pewnie pani na Majdan?

— Ja nic... nie wiem. Pan Bodzanta obiecał mi miejsce u siebie na wsi.

— No, to ta pewnikiem na Majdan. Już jako ino miejsce, to na Majdan.

— A cóż to jest Majdan?

— To widać pani nawet nie miała czasu rozmówić się z panem... Majdan, widzisz pani — mówił uroczyście — to jakżeby tu powiedzieć, nie zelgać? To jest tak niby zakon abo klasztor.

— Klasztor?

— Klasztor, ale taki, co z niego zakonnice często gęsto za mąż idą. Choć i nie wszystkie...

— Ale zawsze klasztor? Co?

— E, tak się ta mówi... Folwark — i basta. Obory, mleczarnie, serownie, truskawkarnia, warzywa, przerabianie owoców, warzelnia konfiturów, biura... No i tak. Pewnie pani, tak mi się widzi, do biura się nada.

— A to tam są i inne kobiety?

— Czy są kobiety... inne? Ano jakże. Przecie ich tam będzie — e — chyba ze dwście.

— Kobiet?

— No. Wszystko, co niby dawniej z grzeszkami...

— A teraz tam robią, w folwarku? To cóż to są — jakieś ciężkie roboty?

— Jakie roboty tam idą — ba-ba!

Furman zamilkł i zamyślił się. Ewa doznała dziwnego wrażenia. Lęk i ściskanie serca! Chwyła ręką ucho swojej walizki, żeby ją porwać i uciekać co tchu w piersiach! Ciemne mgły zasłoniły oczy. Oparła się ramieniem o wachlarz pojazdu i patrząc w ziemię rozmyślała głęboko. Wtem posłyszała obok siebie prześliczny — prześliczny głos dziewczęcy:

— Papuś! Tà?

Ewa podniosła głowę. Naprzeciwko niej, we drzwiach hotelu stała panienka piętnasto-, szesnastoletnia. Była szczupła, o ciemnopopielatych włosach i szarych, świetlistych oczach. Piękne jej usteczka były rozchylone i niewymowny uśmiech, jak woń różana, na nich leżał. Nie wiedząc o tym, że idzie, panienka szła ku Ewie. Ciągnęła ojca za rękaw i mówiła do niego z cicha, ale tak, że Ewa słyszała:

— Jaka ładna, ach jaka ładna! Papuś, jaka ładna! Gdzieś ją znalazł?

Ani na chwilę nie spuszczać oka z twarzy Ewy, zbliżyła się do niej i wzięła za rękę. Jej oczy, podobnie jak u ojca mądre i przenikliwe, sondowały głęboko:

— Jak pani na imię? — szepnęła.

— Ewa.

— A włosy niemalowane, nie? Prawda, że nie? Bo nie znoszę malowanych włosów! Niektóre przyjeżdżają z malowanymi włosami. Jest to rude jak ił, jak muł w stawie, albo ordynarnie jaskrawe. Pani ma jasne włosy, ale *melodyjnie* jasne. Pani lubi rozmawiać?

— Nie wiem, czy mogę z panią rozmawiać? — spytała Ewa, spoglądając na Bodzantę.

— Proszę... — rzekł. — Moja córka jest ze mną zawsze wśród pracownic.

— Mnie na imię Marta... — rzekła panienka. — Jestem teraz praktykantką w ochronach, ale się chcę przenieść do społecznych. Chcę pracować w muzeum. Wiem, że Wolski ponury jest jak wieża w Chęcinach, a jednak Anastazja wytrzymała przy nim.

— Siadajmy! Wieczór blisko! — zawołał Bodzanta.

Panna Marta zapięła szczelnie swój płaszczyk do samej ziemi, z żaglowego płótna. Miała na głowie płytki, słomkowy kapelusz opasany dużym (na modę angielską) wualem koloru szkarłatnego. Wsiadając do powozu, Ewa podniosła oczy. Coś sobie przez chwilę przypomniała, coś bolesnego i rozkosznego zarazem. Tajny, przesywający dreszcz... Nie mogła odnaleźć wszystkimi władzami duszy tej treści, która przenikała serce. I oto nagle zapłakała przed samą sobą — tajnie, wewnątrz... Znalazła...

— Księżniczka Vaughan... — wyszeptala patrząc przez mgłę łez na daleko rzucone końce wualki, na twarz i czarodziejski uśmiech Marty. Tamta spostrzegła jej łzy. Nachyliła się z drapieżnie wzniesionymi brwiami, z twarzą gwałtownie litosną, ścisnęła ze wszech sił rękę Ewy i szeptała jej tajemnie:

— Nie płacz! Cicho mi zaraz! No, cicho! No, już cicho, ty, Ewo... Chcesz? będę ci po imieniu mówiła? Chcesz mię za siostrę? Już cię lubię — a kto wie, kto wie — może pokocham...

Ewa ścisnęła jej rękę. Nie spostrzegła się, że siedzi na głównym siedzeniu obok Bodzanty, a księżniczka Vaughan naprzeciwko niej, na ławeczce. Chciała podnieść się i protestować, ale konie ruszyły. Wolant z grzotem i hałasem wjechał w bramę hotelu, wytoczył się na ulicę i pomknął chyżo.

Młode konie sadyły skokami. Nim Ewa ocknęła się ze swego oszołomienia, już miasto znikło. Cegielnia, jakiś wiatrak samotny, podmiejski, ubożuchny domek — wnet potem folwark, wystawiający na gościniec ordynarne tyły swych obór... Szum starej alei lipowej, obłamanej i poobdzieranej w sposób istic folwarczny i polski... Przemknęły te drzewa stare, minęły jak melodia dawno znana, której nie sposób już przypomnieć... Oto wieś

długa, szara, drewniana, nieskończoną linią chałup, obórek i stodół w poprzek przecięła szosę.

— Widzi pani — mówił Bodzanta, najoczywiście dla zawiązania rozmowy — ile to tu domów, ile stodół, obór i chlewów! Dla każdej krowy osobna obora, dla każdego prosięcia osobny chlew, który, oczywiście, lichy wie, ile razy więcej wart niż jego mieszkaniec. Przed każdą oborą nieodzowna gnojówka i kupa nawozu. Ile chat, tyle kóp nawozu. Warto by obliczyć, jaką to ilością drzewa budulcowego obarczone są te chłopskie zagonki, biedna ziemia, wydająca nędzne żytko i liche kartofle. Ale to jest nasza narodowa siła! Chłop, panie dobrodzieju! W chłopie, *moszterdzieju*, nasza... tego ten!... Tylko chłop!

Marta parsknęła śmiechem.

— Czego się śmiejesz?

— A bo papuś peroruje, papuś wpada w swój trans antychłopski, a ona, Ewa, nic nie rozumie. Myśli sobie o dawnych rzeczach.

— Prawda, że to pani nie zajmują te wiejskie kłopoty.

— Owszem! Ale mało się znam...

— Tak. Wieś nie jest tak prosta, jak by się zdawało. Wieś — to długa i mozolna sprawa. Wieś — to będzie męka odrodzonego narodu.

— Zawsze tęskniłam do wsi. Ojciec mój dawniej na wsi mieszkał.

— Na wsi mieszkał... — powtórzył z cicha Badzanta.

— A ja przepadam za miastem! — zdecydowała Marta owijając się w swój płaszcz. — Nawet Kielce — nawet! Jak tylko zobaczę starą dzwonnice, daleką Karczówkę — zaraz mi się robi ciepłutko na sercu. A jeszcze jak zadzwoni posępnymi dzwonami — bim-bam! — Ty byłaś w Paryżu, Ewo? Prawda, że byłaś?

— Byłam.

— I ja. Ale nic nie wiem, nic nie wiem z tego Paryża, tylko różowość, wesołość, świetlistość... A Rzym? Monte Pincio... — wyszeptala z zachwytem. — Albo Florencja, sucha, różowopylna Florencja, w pośrodku której aksamitna wieża...

— Ja znam Rzym... — rzekła Ewa.

— A Napolii, gdzie na Chiaja, na via Roma wre najżywsze *presto*<sup>191</sup> ludzkiego bytu, a widok nań z San Martino!...

Znowu wioska. Zmurszałe chałupska, dachy kryte gontem, czarne, nawisłe. Rosochate wierzby, rozwalone ploty... Pustka siedząca między ścianami, nuda wyzierająca spomiędzy szczelin, smutek włóczący po skibach lachmany szare.

— Jakże można się dziwić — perorowała Marta gwałtownie. — że ludzie stąd uciekają. Patrzcie, patrzcie! Mieszkać tutaj, w tym okropnym schronisku... Wieczne błoto — och, nie! nie błoto, lecz wieczne bajoro... Wieczne odwracanie ziemi do góry nogami, to w tę, to w tę stronę...

— Ziemia jest święta matka nasza. Z niej my jesteśmy wszyscy — mówił Bodzanta dydaktycznie, uprzejmie, ze wzniosłym uśmiezkiem i zabawnie podniesionymi brwiami.

— No, wiem, że matka... Ale dlaczego matka ma być koniecznie tak nudna, tak obdarta...

— A bo polska... bo polska dola, zakłeta dola... — jękał się Bodzanta...

Mrok już zapadał. Kurz otaczał pędzący pojazd. Daleko za leśnymi wzgórzami kryło się słońce. Ziemia od jego promieni była czerwona i pozłocista... Ewa spostrzegła długi drewniany most na rzece. Dalej rozkwierały się znowu pola, przedzielone na horyzoncie długą kresą alei lipowej.

— Patrz — mówiła Marta — tam jest Głownia, w tych wielkich drzwiach. Bieleje pałac — widzisz go? Dawny nasz pałac.

— Dawny? A któż w nim teraz mieszka?

— Nikt.

— Pusty?

— E — gdzież tam! Papuś, ona nic nie wie, nic a nic nie wie. Skandal! Najzupelniejsza cielęcinka wielkanocna...

— Jakże można tak mówić o cudzoziemce? Pojedzie na Majdan — to zrozumie.

<sup>191</sup>*presto* (wł.) — szybko (też: określenie tempa w muzyce).

— Czekaj no — zacznę ja cię uświadamiać! — Patrz — tam jest Majdan. Widzisz — już światła w nim błyskają. Jedno światło, drugie, o, trzecie... To wielkie okno, co teraz zabłysło, to hala stolarska, a tamto nad nim — to sanatorium...

Ewa wytężyła wzrok w fioletowe cienie. Przed oczyma jej wznosił się łańcuch leśnych gór, owiany tam i sam mgłami brzoź. Gdzieś tam czerniał szeroki błam sosnowego tęgoboru — dalej nagie zbocza, porośłe jałowcem i uwieńczone osypiskami skał.

— Czy tu jest wasza rezydencja? — spytała Ewa szeptem, nachylona do Marty.

— Rezydencja! Niewiasto szydząca... My nie mamy żadnej rezydencji, gdyż jesteśmy ludzie ubodzy. Zbiedniała szlachta, do usług! Mamy tylko jedną izbę i ogród, który uprawiamy sami przy pomocy ogrodniczka.

— A te konie czyje, a te warsztaty, o których mówisz?

— Konie są zakładowe, sanatoryjne, fabryczne — wszystkich. A warsztaty są nasze — nie moje ani twoje, tylko nasze, gromadzkie, ojczyste.

Ewa słuchała z niedającym się ukryć rozczarowaniem. Stary pan uśmiechał się chytrze i ironicznie, rzucając zabawnie oczyma na prawo i na lewo, jakby pilnie lustrował koła wolanta.

— Nic nie wiesz, nic jeszcze nie wiesz, blondyneczko, Diano podeptana przez jelenie... — pieściła się z nią Marta. — Słuchaj! Wszystko ci opowiem w krótkim skróceniu, w tycyusińskim konspekcie. Otwieraj uszy! Mój papuś nazywa się Bodzanta. Bodzanta! Wiesz już teraz? Bodzantowie byli zawsze magnaterią, chadzali z królami i obok królów, nadymali się nieraz przeciwko królom. Różnie bywało. Lubili „ojczyzną miłą”, ale i o sobie nie zapominali. Ostatnimi czasy — recytowała z zabawnym patosem — dosięgli przez związki rodzinne z najpierwszymi w Polsce domami — Himalajów bogactwa. Dostatek, zaszczyty, nawet wielkość pchały się do ich siedzib drzwiami i oknami. Bez trudu można by się wylegitymować z kuzynostwa z Burbonami, a rozmaitych pseudo-królów w rodzinie... na kopy! Modląc się obłudnie po kościołach, wdychali, że to Bóg dał im tyle bogactwa. Tymczasem dały im tyle bogactwa żeniaczki, sukcesje, procesy, intrygi, praca ludu, no i karty.

Bodzanta krzywił się i kiwał niecierpliwie. Marta ciągnęła:

— Mój dziaduś był jednym z najbogatszych panów. Mój papuś odziedziczył fortuneczkę — paluszki lizać! Wszystkie folwarki, które zobaczysz, gdy wyjedziemy na tę pochylą górę zwaną Szłom, za tą rzeką, należały do papusia: Marcjanów, Błownia, Poszłomie, Zalesie, Płotki, Osiedle, Wólka Płotecka, Młynarze, Morgi... Papuś sobie z początku służył w austriackim wojsku, bo i tam, w Galicji, miał godny kęsek ziemi. Jak mię doszły autentyczne wieści, papuś wtedy był birbant i awanturnik. A tak! Birbant. Ale oto wyszedł z wojska i pojechał w świat. Gdzie był, co robił! — milczą dzieje. Nie było papusia, nie było (i mnie nawet, wyobraź sobie, nie było), aż nareszcie przyjechał do Warszawy. Porządnie spuścił fortuneczkę, ale nie tak znowu... Chodzą wieści, że był w Ameryce, w Australii, w południowej Afryce. Naraz gruchnęło po okolicy, że papuś się żeni. No, i sprawdziło się. Ożenił się z moją mamą. Moja mama jest z domu księżniczka Korecka. A w dodatku taka śliczna! No, dobrze... Pojechali za granicę. Mieszkali sobie na wyspie Capri, nad błękitnym Śródziemnym Morzem, w willi którą później widziałam... Nie było ich w kraju, nie było (i mnie znowu nie było!) — aż tu na złość, urodziłam się. Wyobraź sobie, tam na Capri, w tej willi! Przyjechali ze mną do Warszawy — i pokłócili się o coś. Ale porządnie, jak tylko papuś potrafi. Do tej pory nie mogę dojść, o co się pokłócili, dość, że się pokłócili i rozwiedli. Taka, wiesz... separacja, proces rzymski...

— Wiem... — rzekła Ewa z łagodnym uśmiechem.

— Mama, moje dziecko, zabrała się i pojechała do Paryża, a ja zostałam u mojej babci. Chowałam się u mojej babci i rzadko widywałam mamę, rzadko papusia. Bo papuś znowu prysnął w świat. Po Angliach, po Amerykach, po Japoniach... (Moja mama jeszcze śliczna! Ale to potem...) Wyrosłam na dużą pannicę, aż tu w towarzystwie poczęto o papusiu puszczać szalone plotki. Że tatuś tam zrobił takie dziwactwo, że tam takie, że znowu! Ilem ja się po nocach naszlochała! Byli nawet... O Boże! Jak jeszcze wyżej dorosnę... Na własne uszy raz podsłuchałam u Balów... Kupię u Greulichy szpicrutę ze stalowym prętem w środku i póty będę chodziła, dopóki nie spotkam sam na sam tego podłego Szczerbica...

— Szczerbica!... — jęknęła Ewa.

— Kajetana. Bo był drugi Szczerbic, Siżyś, rozumny i milusi, muzyk kochany, to go, jak na złość, w Wiedniu bandyci zamordowali.

— Czy tak? — spytała Ewa.

— A jak spotkam nareszcie tego Kajetana, to trzasnę sześć razy szpicrutą, posiekam fizys na kotlety. Żeby pręgi, jak mój palec, musiał nosić na buzi przez ruski miesiąc! Powiedział o papusiu... No, nie powtórzę!

— A kiedy to pewnie prawda... — śmiał się Bodzanta.

— Och, bo papuś to jest także! — zaperzyła się. Po chwili uspokojona ciągnęła dalej:

— Wszystko dlatego, że papuś już wówczas zamierzał spełnić swój wielki czyn. I mówił czasem, otwierał usta do tego... stada!...

— Och, jakież to ordynarne i niesprawiedliwe słowa!... — z niesmakiem mruknął Bodzanta.

— Bo widzisz, papuś w sam dzień Matki Boskiej Zielnej, w rocznicę moich urodzin, sześć lat temu wyrzekł się władania swymi dobrami.

— Dlaczego? — spytała Ewa niedbale.

— A z dziwactwa! Z pańskiej fanaberii. Jeszcze tego na świecie nie było, więc to musiał zmajstrować. Kiedy ludzie stali po sumie przed kościołem w Głowni, krótkimi słowy ich zawiadomił. Odtąd papuś i ja, my, Bodzantowie, szlachta prawieczna, wróciliśmy, skądśmy wyszli: weszliśmy w lud i staliśmy się jednostkami z ludu.

Powiedziała to głosem wyniosłym, ze śmieszoną grandezzą<sup>192</sup>, zawijając się w swój żaglowy płaszcz, jakby w gronostajową delię królowej.

Bodzanta śmiał się dziwnym swym śmiechem, głęboko radosnym, ekstatycznym, weselącym się w sobie, mówiąc:

— Jednostko z ludu, przedstawiasz ten czyn demokratyczny z taką pychą, jakbyś publikowała nadanie i uniwersał królowej.

Konie gwałtownie skrzyżowały na bocznej drodze, świeżo zaopatrzoną w głębokie rowy, wysoko podniesioną i uspaną tłuczonym granitem. Minięto wieś kościelną, później skręcono na lewo i pojazd potoczył się w dół.

— Patrz, Ewo, to nasza szosa. Nasza — to nie znaczy za nasze pieniądze, lecz naszymi usiłowaniami dźwignięta. Most. Widzisz go na rzece, tam w dole. Nasz most! Patrz, jakie ma filary! To kwarc z naszych gór, brany na cement. Myślisz może, że to jest jakaś odmienna rzeka? Mylisz się grubo! To ta sama, cośmy ją już raz przebywali. Słuchaj, jak ta awanturnica szumi... Och, ona szumi! Kocham ją bardzo. Strasznie ją kocham! Papusia tak kocham, Majdan — i ją. No... i mamę... Nie masz pojęcia, jaka to rzeka kapryśnica, jaki dzikus. Na wiosnę wzbiera nagle i staje się ogromna jak huczący Rodan. To samo w końcu czerwca, na święty Jan. Zalewa całą dolinę, rwie groble, targa upusty, szarpie młyny, zrzuca za siebie wszelkie mosty. Nie znosiła do tej pory mostów, a teraz dobrodziejka musi tolerować nasz most! Przykre to, moja pani, ale cóż robić... Zła jest jak człowiek. Wszystkie jej strumienie są z naszych, czarnych jodłowych borów, wszystkie idą ze źródeł w naszej puszczy. Toteż ona ma czarną duszę. (Bo ona ma duszę... — szepnęła.)

— A ja ją kocham właśnie za dzikość, za wzniosłość i za grozę jej duszy. Ona ma taką duszę jak tutejsi ludzie, jak tutejsi chłopcy i jak my, tutejsi chłopcy, Bodzantowie.

— Znów się, chłopko, wynosisz pychę... — chichotał Bodzanta.

— Musieliśmy tu wznieść nad nią tak wielki most, żeby go nie ugryzła. Już go próbowała zeszłego roku: na święty Jan wydeła się, wydzwignęła — mało nie pękła — i na nic, ledwie liźnęła górnych przęsł. Bo on ma 120 łokci długości. Wszystkie okoliczne wsie składały się kamieniem, furmanką, drzewem i pracą na ten most. Czyż ty kiedy słyszała, żeby chłopcy z jednej wsi, ba — z jednej parafii, dali szeląg na most w innej parafii? Przenigdy by nie dali w dawnych czasach! Chłop dawny, chłop zimny ugór, chłop płona i martwa rola, którego duszę potworną, zimną i martwą, utopioną w liczeniu zysku, my niszczymy... Bo trzeba ci wiedzieć, że my niszczymy chłopów i stwarzamy obywateli. Precz ze szlachtą i precz z chłopami! — słyszysz! Chłop nowy, chłop nowej Polski, którego duszę my stwarzamy, ten jednogłośnie (jednogłośnie — słyszysz — jak ongi

Chłop, Idealista, Szlachcic,  
Przemiana

<sup>192</sup>grandezza (z wł.) — duma, wyniosłość.

przedwieczna, jagiellońska szlachta na sejmach) dał z dobrowoli na ten nasz nowy most do Majdanu. Dlaczegoż tak jednogłośnie? Dlaczego?

Zachłysnęła się z wielkiej radości. Szeptala, wstając ze swego miejsca i wyciągając ręce.

— Dlatego, że papuś do tych wszystkich wsi, do zgromadzonego tłumu swym cichym głosem przemówił. Wyłożył im konieczność. A skoro on przemówił... Gdybyś ty słyszała ten okrzyk, ten jeden okrzyk, ten polski okrzyk! Któryż to król jest tak potężny, który miał kiedy na ziemi taką władzę jak mój papuś?...

\*

Ewa obudziła się nazajutrz rano w niewielkim pokoiku, umeblowanym w sposób najprostszy. Sprzęty były ze świerkowego drzewa, pokostowane. Tylko na ścianie wisiał przepyszny sztych, reprodukcja najleśniejszego obrazu, jaki wydała sztuka — *Zdjęcie z krzyża* Ribery z neapolitańskiego San Martino. Ewa podniosła się, ubrała szybko i uchyliła drzwi. Poprzedniego dnia, w ciemnościach nic nie widziała. Korytarz przecinający budynek doprowadził ją do schodów i drzwi. Nikogo nie spotkała. Drzwi na dole były otwarte. Wyszła do ogrodu.

Ogród ten, jak cała okolica, leżał na dosyć stromej pochyłości góry, jednej z łańcucha ciągnącego się z zachodu na wschód. Góra pokryta była brzoźowym przeważnie lasem, tylko szczyt jej nagi jeżył się od bezleśnych rumowisk i skał. W miejscu, gdzie od strony pół zamierał las, rozpościerały się ogrody idące w dal po falistościach gruntu. W ogrodach tam i sam stały domki, domy i znaczniejsze budowle. Drzewa owocowe w nowo założonych sadach były jeszcze niewysokie, lecz już pokryte mnóstwem owocu. Cała rozległość była tu uprawiana i formalnie kipiała, raziła oczy ogromem najrozmaitszych roślin, krzewów malin, porzeczek, agrestu, wina, pomidorów, słoneczników, które kolorowymi smugami stały się na wsze strony. Na wschodzie wydłużona góra urywała się. Widać było fioletową o poranku głębinę doliny, a za nią drugą górę, daleko wyższą, szeroko rozsiadłą i zakończoną szczytem dosyć ostrym. I tamta pokryta była lasem brzoźowym. Obiedwie<sup>193</sup> szumiały w porannym wietrze suchym i sypkim szelestem brzoźowym, wdychały olbrzymimi pierściami.

Ewa zatrzymała się w miejscu i w rozkoszy słuchała. Opasał serce lęk, żeby ten błogusty szelest lasów brzoźowych nie ustał... Było niewymownie słuchać tego, co szumiało. Złudzenie poniosło duszę w dal, w młodość. Życia jakby nie było. Jest dziewictwo, dzieciństwo... Kroki lekkie wiodą do Baranka Bożego, który kędyś tu śpi na łące błogosławionej. We włosach szumi powiew — wysusza niepostrzeżone, nieskrępowane lzy, co po twarzy spływają. Ramiona dźwigają się, dźwigają same i oczy wznoszą ku niebiosom, zalane łzami. Tam w górze przywarły do białych chmur, a usta jak niegdyś, jak przed laty straszliwymi, skamłają w upojeniu:

„Obłoki, obłoki...”

Szła tak przed się, nie wiedząc dokąd. Spotykała kobiety spieszące, które ją obrzucały ciekawymi spojrzeniami. Jedne z nich były opalone, formalnie ogorzale od słońca, ze skórą luszczącą się na policzkach i nosie, w ubraniach robotnic, inne szły z parasolkami, w rękawiczkach i sukniach miastowych. Wśród zagonów siedziały schylone nad pieleniem chwastów, krzątały się około krzaków agrestu, zbierały pomidory, niosły kosze z marchwią i ogórkami, polewały, grabiły, biegły z pośpiechem i tonęły w nieskończonych uliczkach i zakrętach ogrodów. Niektóre były dziwnie strojne, obwieszane błyskotliwymi fatałachami.

Tam i sam na ławkach siedziały rozmawiając dziewczyny z twarzami wyświechtanymi od nierządu, ulicznice nieposkromione. W jednym miejscu leżała na ławce kobieca lat trzydziestu. Patrzyła na Ewę wzrokiem obojętnym, tępym, potwornie martwym. Była rozmamana, z półodkrytymi nogami, rozkudłana i niemyta. Uśmiech ohydny leżał na jej wargach czerwonych i lśnił się na policzkach jak połysk na rondlu. Kobieta ta nie odwróciła głowy, gdy Ewa szła obok. Została ze swym uśmiechem, wpatrzona w w przestrzeń. Gdzieś za krzewami słychać było tylko obrzydły swar głosów wrzaskliwych, ochrypłych, potwornie rozjuszonych. Z cienistej uliczki czereśniowej wyszły dwie młode dziewczyny

<sup>193</sup>obiedwie — dziś popr. forma: obydwie.

żywo rozmawiające. Ewa podniosła oczy i drgnęła z obrzydzenia. Jedna z tych śmiejących się tak wesoło nie miała nosa. Czarny plaster pod jej oczyma śmiejącymi się serdecznie był tak wymowny, że Ewa co prędzej rzuciła się w poprzeczną uliczkę.

Tam wpadła z pośpiechu na idącą z przeciwka młodą osobę, szczupłą i dosyć ładną. Była to niemal panienka-podłotek, szatynka z niebieskimi oczami. Zwróciła na Ewę ciekawe żrenice i uśmiechnęła się życzliwie. Ewa nie była w stanie nie odpowiedzieć jej takim samym uśmiechem. Szatynka zbliżyła się natychmiast i zagadnęła:

— Pani wczoraj przyjechała z panną Martą prawda?

— Tak, wczoraj przyjechałam.

— Czy pani z Warszawy? — spytała ciekawie.

— Nie, teraz nie z Warszawy.

— Myślałam... Jeszcze pani nie widziała zapewne ani ogrodu, ani fermy, ani oranżerii, ani biur? Nie?

— Przed chwilą wstałam...

— To ja panią oprowadzę... dobrze? Na imię mi Jadwiga. Nazwisko? Ale co tam po nazwisku? która z nas ma nazwisko?

— Jak to? — krzyknęła Ewa, mimo woli podnosząc rękę do oczu — czyż i pani?

— Czy i ja byłam dziewczką publiczną? Och, jeszcze jaką, jeszcze jaką!

Przez chwilę szła z oczyma spuszczoneymi, z rękami w kieszeniach fartucha, śmiejąc się cicho. Nagle zwróciła na Ewę spojrzenie, mierzyła ją oczami i zapytała:

— A pani znajduje, że jest to w ogóle ohydne. Nieprawdaż?

— Nic nie wiem, pani. Jestem ciemna jak robak...

— Ja znajduję — trzepała Jadwiga — że miałam prawo tak postępować, jak postępowałam. Było to życie takie jak każde inne. Pani nie znajduje?

— Nie wiem.

— Czy świat, czy społeczeństwo, czy ktokolwiek stracił co na tym, że ja miałam tak zwany stosunek z najrozmaitszymi drabami? Nie wiem, czy ktokolwiek zyskałby co na tym, gdybym była oddawała się tylko jednemu. Moje ciało należało i należy do mnie. Ponieważ rozkosz była we mnie, więc pił ją świat z moich ust, a ja piłam ją z ust świata. Marzenie o grzechu zabijało mnie po nocach, więc puściłam się. Poznałam, co to jest rozpusta. Wiem, że to jest także cudna sprawa! Ale mam jej już dosyć. Jak niegdyś rozpusty, tak teraz dusza moja zapagnęła czystości. Obrzydła mi rozpusta, stała się dla mnie tak odrażającą jak nawóz ludzki. Widzi pani — krzyknęła — że rozpusta prowadzi do cnoty pewniejszą ścieżką niż niewiedomość, niż głupotka niewiedomości. Czy nie? Bodzanta mię przywiódł tutaj za rękę, do tych ogrodów... Teraz jestem tak strasznie szczęśliwa, tak strasznie, jak nikt na ziemi!

— Doprawdy? Dobrze tu pani?

— Strasznie dobrze! — wybuchnęła Jadwiga. — Gdyby tutaj kto chciał żyć po dawnemu, żyłby bez przeszkody. Ale któraż z nas, wyzwolonych spod tyranii rozpusty męskiej, chciałaby zbliżenia do siebie mężczyzny? Żadna! Wszystkie jesteśmy szczęśliwe, że nareszcie jesteśmy bez mężczyzn. Tu jest miejsce, gdzie wszyscy mówią prawdę. Lecz tu ludzie w ogóle mówią mało.

Przed wszystkim muszę panią poinformować, że tu wszystko daleko bardziej czuje się, niż rozumie. A wie pani, dlaczego tak jest? Ja sobie to tak tłumaczę... Ponieważ to wszystko zbudowane i stworzone zostało przez wielki zachwyt, przez wybuch, jakby erupcję uczucia, więc uczucie niesie ludzi wszystkich, którzy tu są, jakby na fali natchnienia. Podobnie się ma ta rzecz jak z wielką katedrą, z wielkim pomnikiem, wielkim utworem sztuki. Cóż to jest bowiem dzieło Rodina o skazańcach z Calais? Dzieło szalone, ku któremu rzesze wzdychają, ogarnięte szaleństwem twórcy. Wyrazy, które się tu mówi — są to prawdziwe wyrazy. Pani się ich nauczy. Po oczach widzę, że pani ma wolę do prawdziwych wyrazów.

Ach, jakie tu są istoty! Jest tu jedna bajeczna kobieta, Iza. Bajecznie piękna, rozumie się, piękna po naszymu, bo w naszym sadzie na piękność lub brzydotę z wierzchu nikt uwagi nie zwraca. Jest rzeźbiarz, Wit, ten co zbudował te wszystkie domy i stawia kościół na górze. Wit bez skazy, Wit czysty. No, jest pokasujący Mazurek, doktorek suchotniczek, „przemysłowiec gruzliczy”. Jest jedna młoda, malusieńka blondyneczka.

Kobieta "upadła", Rozkosz,  
Cnota, Wolność

Zostaje u nas, ale miewa pokusy. Najszczerza ze wszystkich. Dowodzi wciąż konieczności spowiedzi publicznych codziennych i rozgrzeszeń od „gminy” na mające się popełnić występki. To ananas, co? Jest ogrodnik naczelny, „Wacio Całopalątko”, „Wacio Ofiar-ka”, ponieważ się zawzięcie gapi na niewiasty. Wie pani, nawet starzy należą do naszego „Ogrodu róży”. Chociaż starzy są w ogóle skostniali. Jeżeli są nadmiernie skostniali, pełni nałogów i „mądrości”, to ich powolutku wyziębiamy. Za parkan, za parkan! Do ludzi rządzących się „rozumem”, „mądrością”!...

— A Marta? Czy należy do waszego ogrodu Marta?

— Marta... — wyszeptala Jadwiga z anielskim uśmiechem — Martuś nasz, nieskalana nasza, dziewczeczka, symbol?... My ją strzeżemy, osłaniamy, nakrywamy dzień i noc wielką kapą modlitw... Gdyby pani wiedziała, jak ją strasznie kochamy! Bo widzi pani — ona to jest drugi kraniec... Kołyska, której już nie ma... Motyl, który już odleciał...

Oczy Ewy napelniły się wielkimi kroplami łez. Jadwiga wyciągnęła barki, wspięła się na palce i szeptała:

— I ty jesteś z „Ogrodu róży”. Chodź!

Szły tedy w milczeniu dokąś w górę, ku brzozowej puszczy. Gdy jej dosięgły, Ewa zatrzymała się. Pod nogami ich była poprzeczna dolina, przecinająca ów łańcuch gór. Ewa nachyliła się i patrzyła w dolinę. Tam w głębi płynęła rzeka, dążąca, żeby przepłynąć pod wielkim mostem, o którym tyle mówiła Marta. Łąki po obu<sup>194</sup> stronach rzeki były skoszone i młody potraw chwiał się tam już na słońcu, jak ruń pierwszych dni wiosennych. Biała droga, polska, zaświatowa, leśna, wiodąca do jakichś polan w boru, wstęgą biegła po nadrzeczu, nieskończona i fantastyczna jak myśl... Wierzby srebrnoliste, olchy czarnopienne towarzyszyły zakrętom rzeczonym. Przy drodze tam i sam leżały ogromne głazy. Jadwiga pokazała Ewie te głazy.

— Widzisz — mówiła — tamten wrośnięty w ziemię?... Niegdyś leżał na szczycie góry. Spadł z wysokości. Nazywa się „Umarły ołtarz”. Pójdziemy do niego... Jest w nim zagłębienie, jakby jezioro, tylusieńkie. Zawsze w nim stoi woda. Ta woda jest święta. Bo to woda z nieba, która nie zetknie się z ziemią i nie wsiąknie w ziemię, tylko znowu wróci do nieba. Chłopi mówią, że ta woda uzdrawia ślepe oczy. Jeśli przyjść po wielkim deszczu i przemyć czerwone, kaprawe, ślepe oczy... Z dala idą...

— Powiedz mi.... — zająknęła się Ewa — co wy tu robicie, co to jest ów cały Majdan?

— Jest to folwark w tych górach. Był sobie od wieków folwark w górach nazwiskiem Majdan. Należał do dziedzica, jak przystało na folwark. Nie dawał zbyt wielkich dochodów, boć to góry, drogi ciężkie. Wziął tedy dziedzic, jaśnie pan Bodzanta, i przekształcił folwark na dziwaczne ogrody. Kazał wyciąć część lasu i otoczył parkanem jedno miejsce. O wiorstę dalej — drugie. Powiedział tak: tu będą się hodowały zdegradowane prostytutki. Tam będzie sanatorium dla suchotników fabrycznych, tam dalej uzdrowisko dla pijaków... Tamta wielka góra nie należy do nikogo, a ta nasza należy cała. Całą tę górę postanowił zaludnić takimi oto pasażerami. No, i zaludnił. Zgarnął z miast nędzę jak nawóz i położył na tym południowym stoku pod słońcem... Czy dobrze zrobił?

— A starczy mu pieniędzy?

— Zdaje się, że mu dotychczas starczyło. Bo teraz, zda się, nic już nie ma. Jeżeli zabiera na Majdan z fabryki suchotnika, to go zabiera z żoną i dziećmi. Osadza chorego w sanatorium, a dzieci i żonę w domku, których kolonia utworzyła się na tamtym zboczku. Dzieci idą do szkoły freblowskiej i do szkół początkowych, a żony i dzieci dorastające otrzymują możliwość zarobkowania w tutejszych warsztatach. Stworzył bowiem specjalne rzemiosła: wyrób mebli, zabawek, lasek, fajek, cygarniczek, ozdób z jałowcu, którym pokryte są góry, założył introligatornię, fabrykę słomkowych kapeluszy, wyplatania ozdobnych koszyków i tak dalej. Pracują w tych zakładach i chorzy, o ile im lekarz pozwoli.

— A co do kobiet? Cóż się robi z nimi, kiedy tu przyjdą?

— Każda robi, co chce. Wpuszczają je do ogrodu i basta. Jeżeli która chce wyjść na świat, to wychodzi, jeżeli chce leżeć beczynnym do góry brzuchem, to leży, jeżeli chce pracować, to pracuje.

— No to, oczywiście, wszystkie nic nie robią?

<sup>194</sup>obudwu — dziś popr. forma: obydwu.

— Są takie, których nie można zagonić, przymusić do odpoczynku. Są i takie, co śpią w dzień, a po nocy włóczą się w ogrodach. Ale ogrody dają wielkie zyski, gdyż większość ogromna w nich pracuje. Co dzień odchodzą do Kielc wozy z warzywem, owocami, truskawkami, malinami, ogórkami... Mamy w Kielcach własny sklep, który obsługują nasze kobiety. Kilkadziesiąt kobiet pracuje w mleczarni, maślarni, serowni, w „izbie konfitur”, marynat... Bo zważ tylko, że my nie mamy rodzin, nie mamy poczucia własności, nie mamy dla kogo kraść... Pracujemy dla samej pracy. Kilka naszych dziewcząt pasa krowy. Są takie, co po przybyciu na Majdan nie chcą nic a nic robić, wrzeszczą, drą się i biją między sobą, robią skandale, kradną, niszczą rzeczy. Najczęściej takie biorą się z nudów do pasienia krów. W dole za ogrodami, nad rzeką, jest pastwisko. Tam te latawice hasają, dokazują, tańczą, wyrzaskują ohydne pieśni, chichoczą z echem górskim. Z czasem przypatrzysz się naszemu życiu, znudzone próżniactwem, biorą się cichaczem do byle jakiej roboty, wchodzą w rozkosz gromadzkiego pracowania — i tak...

— A dużo stąd ucieka?

— Owszem, zdarza się, że uciekają. Kilka wyszło za mąż. A najczęściej nie chcą słyszeć o niczym. Zасыwiają się w ten święty ogród i ukrywają się pod krzewinami pracują do siódmego potu.

— A ktoś kieruje robotami?

— Robotami kieruje stary zrzęda ogrodnik, który ma pomocników. Ale my mamy swój własny zarząd obieralny, z nas samych złożony. Mamy swój sąd. Jest biuro, biblioteka, sala do koncertów, w której bywają tańce.

— A mężczyzn widujecie?

— Każdemu tu wolno wchodzić, każdej wolno przyjmować, kogo chce i kiedy chce. Ale w ogóle tutaj mężczyźni nie są mile widziani przez kobiety. Przy tym mężczyźni tu mało. Co niedziela przyjeżdżają na tańce z okolicznych folwarków urzędnicy administracji i inne franty. Kilka z naszych wyszło już za mąż. Ja tam nie uważam owego wychodzenia za mąż za jakąś lepszą formę życia. Rodzina jest to, na ogół biorąc, wielkie świństwo.

— A sama miałaś dzieci? — spytała Ewa.

— Nie miałam.

— Tak, nie miałaś...

— Ale ja tu gadam, a w biurze ludzie czekają...

Rzuciła się w boczną uliczkę i zginęła w zieleni. Ewa została niespodzianie sama. Poszła w górę szeroką drogą, połamaną w pętlcowe zakosy. Droga ta wspinała się po stromej pochyłości w starym brzoźowym lesie. Ogromne drzewa o warkoczach do ziemi, szumiące, suchoszelestne kołysały się wokoło, gdy szła. Znowu tedy wróciła do tego, co było, zanim spotkała Jadwigę. Trafiała w swoje uczucia, jakby w kolej wyżłobioną. Nogi wlokły się w miękkim pyłe. Brnęła przez ciemności wewnętrzne duszy, przez las głęboki swego życia. Nie czuła, że upał pali jej głowę, że pył wzdęty przez wiatr łechce w gardzieli. Gdy wreszcie podniosła głowę, stanęła zdumiona. Już lasu nie było. Szumiął za nią w dole. Naokół był przestwór jałowców nieobjęty oczyma, szczyt góry blisko, a na najwyższym grzebieniu, na rumowisku twardych kwarcytów wznosił się jakiś niedokończony gmach. Otaczały go ze wszech stron rusztowania. Słały się dookoła deski, wszędzie były cegły, krokwie, doły z wapnem, bale, niezliczona ilość surowych tafel chełcińskiego marmuru, bloków ciosowych... Słychać było szcęk młotków kamieniarskich, łoskot siekier...

Ewa weszła cicho w obręb budowli i przekroczyła progi gmachu. Znalazła się w jakiejś świątyni. Już w niej było sklepienie. Okna-dziury patrzyły w świat. Kiedy zbliżyła się do jednego z otworów, zapewne przysłych drzwi, zachnęła się ujrawszy jakoby drugi kraj. Otwór ten wychodził na stronę północną i widać było tamtejsze pasma gór, rozległą dolinę z wioskami, długimi jak oko sięgnie, lasy jodłowe spłowiełe tam i sam od smug dębu i buka, folwarki, młyny, rzekę połyskującą wśród łąk, strumienie...

Ewa wróciła w stronę, skąd przyszła, i przez otwór z tamtym symetryczny ujrzała brzoźowy las, Majdan, ogrody, których jeszcze nie знаła, gmachy w odległym lasku, niskie domki w dole, ogrody, a dalej znowu — wieś, aleje, pałac w Głowni, łąki, ścierniska, drogę bitą, most, wioski, wioski, wreszcie Kielce. Kiedy napatrzywszy się na przedziwny krajobraz zwróciła oczy w głąb świątyni, była uderzona jej kształtem. Nasuwało się pamięci coś wiadomego, czego jednak żadną miarą nie sposób przypomnieć. Tylko urok i radosne drżenie wewnętrzne, niejasne upojenie, płynące z tego źródła, zostawało jako pewność...

Kształt tego miejsca, przeczyty i przeżyty chyba wówczas, gdy była w domu i leżąc na prętach żelaznych patrzyła w niebo. Nie zadrgało wrażenie i nie zmieniła się jego moc, gdy nagły żal jak miecz nieubłaganego anioła przeszył serce.

Poczęła ukradkiem, z ciekawością podpatrywać. Kościół ten nie był podobny do żadnego z tych, które była na świecie widziała, i nie stamtąd płynęło przeżycie. Nie było w nim głuchego mroku Świętego Szczepana i katedry mediolańskiej, czaru Świętego Marka ani odpychającej grozy świętego Piotra w Rzymie, ani ciemnego lęku Notre-Dame, ani uciechy ducha jak w Saint-Chapelle. Był tu tak samo jak tam zaklęty w kamienie duch myślący i głęboko wzruszony, lecz dorzucała się nadto siła prostoty i pokory, jak w Notre-Dame w Poitiers albo kościoła Saint-Michel d'Aiguille w Puy.

Kościół ten nie miał wcale charakteru dzieł monumentalnych. Był on prosty, ubogi, tylko silny i strzelisty. Dwie wieże wyrastały z jego cielska. Obiedwie były niby owe renesansowe wieże w Bretanii, które są strzeliste i ściśle z gotycka, poczęte w duchu gotyckim, a jednak nie mają z nim nic wspólnego. Wyrastały ze skarp niby-gotyckich, tak znanych i miłych polskiemu oku, ale wybiegłszy w górę ośmiokątnymi słupami, przemieniały się w jakieś widziadła krzyżowe, które można tylekroć spostrzec na rozstajnych „polskich” drogach i na zapomnianych mogiłach. Ponad nawą środkową wznosił się taki właśnie mogilnik, obarczony trzema krzyżami. Pod nim były trzy okna niemal gotyckie, spadające aż do pewnego daszku, który nakrywał wejście szerokie, ów „portal” był ordynarnie prosty, surowo niski, istne wejście do chłopskiej chałupy. Mała skarpa stojąca obok miała w sobie naiwność i nieporadność przedwiecznego zjawiska, urok surowości, jak orzeł albo czupiradła z Notre-Dame. Wielkie romby kwarcu wmurowane tu i tam lśniły kryształkami miki, gdzieś tam gdzieś prześlicznie rumieniła się smuga cegły albo szlak różowej dachówki...

Ta masa była prosta, jak potężną i prostą w zamieć zimową i w słotę bez końca jest przyroda polska, jak jednolity a niewymowny jest krajobraz polski. Widmo tego kościoła wyrosło z ziemi jak drzewo, wystrzeliło z góry jak okrzyk zapamiętałej egzaltacji, żyjący w łonie polskim. Nic w nim nie było obcego, przyniesionego do kraju zza gór. Wszystko tu wyrosło, nawet pomysł wydłużonych szyb i skarp oróżowionych daszkami, świecących tyle już lat nad płaską ziemią w Wiślicy. Przez okna, już obramowane ciemnym checińskim marmurem, przeglądało niebo tworząc witraż nieporównany. Szybkoskrzydła chmurki płynęły tam w górę równie niewysłowienie, jak płyną modły, skargi i krzyki rozpaczki ducha przez boskie szyby Wyspiańskiego. Wyniosły strop łamał się i zagłębiał, uciekał w górę i tonął w ścianach.

Nisko, w tym miejscu, gdzie ów strop zapadał w grube prostactwo ścian, podobnie jak nieboskłon zapada w ziemię u krańców horyzontu, tworzyły się smugi spadające w dół ni to łuki nieznanego porządku. U ich wytrysków dziwnie uroczym ukazywały się błędne twarze, kute w świętokrzyskim kwarcycie. Były to twarze mocy i niemocy, miłości i nienawiści, boleści i radości, zachwyty i dosytu. Były grube, mocne, genialne. Przypominały prastare rzeźby, które można jeszcze spotkać w zapomnianych, tajemniczych kościołach kryjących się w pustkowiach kieleckich gór...

Wysoko, w tym miejscu, gdzie najsilniejsze światło padało z przeciwległych okien, była wmurowana wielka, szara, marmurowa tablica, a na niej wykuta wielkimi literami nigdy nieustająca skarga rodu ludzkiego:

Jak kwiat człowiek powstaje i skruszon bywa,  
Przemija jako cień.  
A nigdy nie trwa w tymże stanie...

Przemijanie

Ewa przymknęła oczy. Na ustach jej wykwitł uśmiech powolny, balsamiczny. Spłynął z nich szept.

— To mi Róża, Róża... Niepołomska... mówiła...

\*

W czasie podróży z Kielc na Majdan Ewa wspomniała o swym urzędowaniu w biurze kolejowym. Zapewne na skutek tej wzmianki była po kilku dniach pobytu na Majda-

nie wezwana do mieszkania Bodzanty dla wyjaśnienia, czy teraz nie chciałyby się podjąć prowadzenia ksiąg kasowych.

Było to po południu. Ewa weszła na piętro niewielkiej willi. Na parterze mieściły się pokoje biurowe, na górze mieszkał Bodzanta. Marta spotkała Ewę we drzwiach i pociągnęła do przedziału za kotarą, gdzie mieściło się jej *gyneceum*<sup>195</sup>. Umeblowanie było bardzo ładne. Ewa z przyjemnością oglądała prześlicznie rzeźbione, włoskie, barokowe meble, kilka pięknych obrazów, wiele rodowych miniatur. W *gyneceum* Marty stały jeszcze dawne sprząciki, zapewne niemalej wartości. Widać było, że to są rzeczy przechowane. Nie resztki wyciągnięte z ruin, nie cudze graty kupione od handlarzy, lecz pamiątki domowe, które z mnóstwa innych wzięto ze sobą w nową podróż ducha, wszystko inne oddawszy bliźnim bez żalu. Jakiś tedy stary *fermoir*<sup>196</sup> w kształcie zamku z basztami, oszklony weneckimi lustrami wewnątrz, pełen przegródek, skrytek, szufladek tajemnych — starożytne łóżko z adamaszkowym baldachimem i kotarą, którą stanowił duży gobelin. Pełno tu sztychów angielskich, rysunków i zabytków...

Ewa usiadła w kącie i rozkoszowała się tym mieszkaniem. Oczy jej szły ze sprzętu na sprzęt, a w ślad za nimi szła ironiczna, złośliwa myśl, że właściwie ofiara Bodzanty jest niezupełną, że właściwie należałoby ją rozpocząć od wyrzeczenia się tych drobiazgów. Gdyby teraz zeszedł nań sąd, musiałby go osądzić jako przywłaszczyciela tylu skarbów, należących do ludu... Ewa śmiała się dobrodusznie. Marta pokazywała jej tajemnice biurczka, kiedy wszedł Bodzanta, prowadząc ze sobą jakiegoś pana. Marta wstała i szła naprzeciwko gościa. Bodzanta, ujrawszy Ewę, skinął głową i poprosił gestem, żeby się zbliżyła. Przedstawił gościa córce i (poniekąd) Ewie.

Gość, pan Malinowski, był to człowiek trzydziestokilkoletni, średniego wzrostu, w okularach, spoza których uważnie i badawczo spozierał. Był ubrany według ostatniej mody, ruchów pewnych i salonowo gładki. Bodzanta prosił wszystkich swymi kątowymi ruchami rąk, żeby usiedli, i zapowiedział Marcie, że pan Malinowski zostaje na obiedzie. Skoro zajęto miejsca i Bodzanta nachylił się, nastawił swoim zwyczajem dłonią ucho, gość rzekł:

— To mię właśnie przywiodło...

— Szanowny nasz gość utrzymuje — krzyczał do córki — że nasz system gospodarowania nie zadawalnia<sup>197</sup>...

— Mówić tego nie mogę, żeby nie zadawalniał — szybko przerwał gość — bo nic jeszcze nie widziałem, ale wyznać muszę, że większość obywatelska w naszych stronach po przeczytaniu w gazecie została samą wieścią poważnie zaniepokojona. Nie umiano zdać sobie sprawy. A że dochodziły najrozmaitsze wieści...

— Najrozmaitsze... dochodziły... — z zapalem potakiwał Bodzanta.

— Co do mnie słuchałem cierpliwie, aż wreszcie zdecydowałem się sam zobaczyć. Bez osobistego przekonania się nie chciałem...

— Bardzo jestem wdzięczny za tę decyzję. Bo to decyzja wbrew przyzwyczajeniom, wbrew, powiedziałbym, naturze polskiej. Polak lubi decydować bez osobistych przekonywań się, na podstawie intuicji odziedziczonej po przodkach, bez przydługich ceregielów. Tak za ojców bywało i dobrze było — więc bij nowatora, ktokolwiek czcisz Marię. A ciekawa rzecz, co też mówiono?

— Najrozmaiciej. Nas, to jest nasze stronnictwo, niepokoił ze względu na to wszystko, co się u nas dzieje, ze względu na bezprzykładne rozpętanie społeczne, sam fakt podkreślenia sprawy rolnej, przyznający niejako rację żywiolom przewrotu.

— Żywiolom... Doprawdy?

— Nie inaczej... Proszę tylko nie sądzić, jakobyśmy byli przeciwnikami ulepszeń w sferze naszych stosunków wiejskich i folwarcznych. Tak nie tylko nie jest, lecz wprost przeciwnie. Jesteśmy zwolennikami polepszenia doli włościanina polskiego. Chodzi tylko o to, żeby nie dopuścić do decyzji żywiolów anarchii i przewrotu. Według nas należy zrobić wszystko, co się da, w sferze polepszenia losu pracowników rolnych, ale niepodobna, i to pod żadnym pozorem, pozwolić, żeby znalazły uznanie anormalne żądania anarchii...

<sup>195</sup>*gyneceum* (gr.) — pomieszczenie dla kobiet; pokoje kobiece.

<sup>196</sup>*fermoir* (fr.) — tu: sekretarzyk (zamykany); ogólnie: zapięcie, zamek.

<sup>197</sup>*zadawalnia* (daw.) — dziś popr.: zadowala.

Bodzanta na swych wielkich palcach, które zginał z trzaskiem, notował sobie uważnie i pokornie wszystko, co gość mówił.

— Żeby — ciągnął pan Malinowski — destrukcja mogła znaleźć jakiegokolwiek u nas pole, żeby ten tyfus społeczny bezładu mógł nabrać pewności, że znajduje jakiegokolwiek cień zastosowania swych mrzonek, tu w kraju, gdzie jesteśmy gospodarzami. Opinia publiczna powinna nie tylko mówić, ale powinna krzyczeć, powinna bić w dzwon na trwogę, bo złe jest ogromne, bo złe jest ogólne! Czy nie tak?

— Szanowny pan przebaczy, że ja w sposób kategoriyczny nie będę wyjawiał mego zdania, gdyż mam, może błędną, taktykę niewydawania sądów kategoriycznych. Nie należałem nigdy do żadnej partii, do żadnego obozu, do żadnego stronnictwa. Jestem człowiek samotny. Słowo zaś „anarchia”, słowo „destrukcja”, cudzoziemskie terminy, nie wiem, co znaczą...

— Rozumiem przez te słowa wszystko, co wynikło u nas w ostatnich czasach i tyle szkody krajowi przyniosło. Anarchią i destrukcją nazywam ów cały nieład społeczny, który tworzą u nas socjaliści, więc strajki, niszczące nasz przemysł i lud doprowadzające do nędzy, więc dzikie gwałty na spokojnej ludności, kraju, słowem, te wszystkie akcje szkodliwe...

— Przepraszam... szkodliwe dla kogo?

— Dla społeczeństwa.

— Gdybyśmy byli w tym momencie i w tym składzie osób reprezentantami „społeczeństwa”, to przy głosowaniu co do szkodliwości wymienionej anarchii i destrukcji rozstrzeliłyby się głosy. Ja, na przykład, głosowałbym przeciwko pojmowaniu tejże anarchii i destrukcji jako zjawisk wręcz i bezwzględnie szkodliwych.

— I ja... — z uśmiechem zaznaczyła Marta.

Pan Malinowski uśmiechnął się i skłonił w jej stronę. Po chwili rzekł.

— Jestem przegłosowany, ale, niestety, słuszność jest po mojej stronie.

— Jest tu jeszcze jedna osoba, która nie głosowała — rzekł Bodzanta, przymrużając oczy i patrząc łaskawie, łagodnie i miłościwie w stronę Ewy. — Czemuż pani nie korzysta z prawa głosu?

— Nie mam cenzusu wyborczego... — rzekła wesoło.

— Nie ma u nas cenzusów wyborczych! — zdecydowała Marta.

— Wracając do naszej kwestii — ciągnął Bodzanta — nie wiem również, co pan nazywa pożytkiem, a nawet — co społeczeństwem. Wskutek tego nie jestem pewien, czy mógłbym się pisać na jego pojmowanie pożytku społecznego.

— Zdaje mi się, że tu nie może być dwu zdań.

— Ja zaś sądzę, że mogą być dwa zdania, a nawet powinny. Częstość, i to już szczególnie u nas, klęską społeczną, niedolą narodową nazywa się, na przykład, podrożenie robocizny. Wszystkie gazety biją na trwogę, że klęska zagraża ojczyźnie, ludzie się trwożą i martwią, a tymczasem po zbadaniu sprawy okazuje się, że chodzi o podwyżkę kilkudziesięciu kopiejek z kieszeni bogaczów dla tych rodaków, co nie mogą własnym nazwać nawet miejsca, na którym barłóg ich leży, co nie mają własnej łyżki, co nie mają nawet własnego grobu. Wszystko tedy zależy od tego, co umieścimy w tym słowie „społeczeństwo”. Czy, na przykład, według szanownego pana, parobcy należą do społeczeństwa?

— Parobcy, oczywiście, należą do społeczeństwa.

— Gdzież w takim razie szkodliwość strajków? Jeżeli parobcy będą pracowali krócej, otrzymają większą zapłatę i lepsze izby, to społeczeństwo, zda się, zyska, nie straci. Strajki wtedy tylko są szkodliwe, jeżeli źle są obmyślane, źle przeprowadzone i wskutek tego nie zapewnią wygranej. Któż przed tymi, którzy zainicjowali strajki, np. rolne, dbał o los parobków, należących do społeczeństwa? Nie przypominam sobie, żeby ktoś suszył sobie ich dolą głowę. Czy uczynili to obywatele, kler, inteligencja? Jeżeli odpowiedź nie ma być dziennikarska, lecz pochodzić z prawości sumienia, to odpowiedź jest jedna, że uczynili to wyż wzmiankowani destruktorzy społeczni. Dopiero od czasu, kiedy oni poczęli unieszczęśliwiać naród polski, siać anarchię i burzyć ciche nasze szczęście, społeczeństwo przyszło do przekonania, że „należy zrobić wszystko, co się da”.

Mieszkam w tej okolicy dawno. Byłem tutaj przed wieloma laty na odpuście w miasteczku Pałuszycach. Po sumie wyszedłem z kościoła i, jak na kolatora przystało, defilowałem ulicą, a raczej aleją, złożoną z żebraków a ciągnącą się od kościoła aż w rynek

Robotnik, Ojczyzna,  
Korzyść, Naród

cuchnący. Jest to zresztą widok nasz rodzimy, pospolity, bukoliczny i, doprawdy, rzewny. Dziadusiowie siedzą sobie na zeszlým błocie, drą się wniebogłoty, śpiewają okropności, a lud i szlachta wzrusza się, daje groszaki i dusze zmarłe na tamtym świecie bardzo godne mają ulgi. Przez wrodzoną kostyczność usposobienia zacząłem indagować dziadusiów po kolei, czym też każdy z nich trudnił się uprzednio, zanim obrał sobie ów zaszczytny zawód zmniejszania cierpień duszyczkom zmarłych. Okazało się z interwiewu, że dziewięć dziesiątych tych mężów to są właśnie parobcy — i to nawet z moich rodowych majątków oraz z dóbr moich czcigodnych sąsiadów. Społeczeństwo ze spokojem tolerowało ów widoczek iście polski. Dopiero wrogowie narodu zainicjowali usiłowania, żeby parobków wciągnąć w matnię społeczeństwa, zaprotestowali przeciwko temu, żeby parobcy moi zostawali na starość dziadami. A czy dziady siedzące pod kościołem należą do społeczeństwa?

— I żebracy należą do społeczeństwa.

— A gdybyśmy jednego z nich posadzili wpośród siebie i zapytali go, co jest pożyteczne, a co szkodliwe, czy jego zdanie zgodziłoby się z pańskim?

— Być może, że zdanie dziada spod kościoła nie zgodziłoby się z moim, być może nawet, że byłoby wręcz mojemu przeciwne, ale mimo to — nie jego, lecz, jak śmiem sobie pochlebiać, mój głos byłby bardziej decydujący w tym zagadnieniu, co jest pożyteczne dla mnie i dla niego oraz dla społeczeństwa.

— Widzimy tedy, że nie od razu można wiedzieć, co jest społecznie pożyteczne, a co szkodliwe. Niewątpliwa jest (biorąc rzecz z innej strony), że o ile szanowny pan byłby w stanie odłożyć na bok wszystko, co by mogło być jego interesem osobistym, majątkowym, kastowym i stanowym, to zdanie jego, jednostki oświeconej, musiałoby być bardziej ważkie niż zdanie żebraka. Jeżeli jednak szanowny pan zajmie takie stanowisko, wówczas nie będą jego rozumowania miały innego wyniku, tylko taki, że dla społeczeństwa ludzkiego pożyteczną jest rzeczą niszczenie nędzy parobków, wydzwignienie pracowników i żebraków z poniewierki, z gnoju upodlenia, w którym ich trzymamy, i posadzenie obok nas w społeczności chrześcijańskiej, uczynienie ich braćmi naszymi.

— Nasze stronnictwo dąży właśnie do tego samego celu. Nie jesteśmy tylko idealistami, którzy by odziewali dążenia i prace szalone w szaty frazesów bardzo pięknych...

— Tak, frazesów... Czy przed epoką strajków szanowny pan i jego stronnictwo — wszczynaliście akcje dążące do tego właśnie celu?

— Jeżeli nie wszczynaliśmy akcji widomej, to dlatego, że warunki były tego rodzaju, iż uniemożliwiały wszelki społeczny czyn. Lecz w stanie potencjalnym wszystko to leżało w naszych intencjach. Sprawa autonomii bezpośrednio wiąże się z rozstrzygnięciem tej zawikłanej sprawy parobczańskiej, rolnej i w ogóle robotniczej.

— Ci zaś, którzy rozpoczęli potępiane i zwalczane strajki, nie znali w tej sprawie przeszkód...

— Bo chcieli ryby łowić w mętnej wodzie.

— Ryby... Nie wiem, jakie to można wyłowić dla siebie ryby, idąc przeciwko kulom, kijom, spuszczonej psom podwórzowym i dziennikarskim oszczerstwom, potwarzom, zniewagom.

— Chcieli pochwycić rybę władzy. Pod pozorem dążenia do dobra ludu chcieli panować zarówno nad ludem, jak nad innymi klasami kraju.

— Wolność czynu leży w nas i nie może być nadana. Ci, co wbrew wszystkiemu usiłowali podnieść byt najbardziej upośledzonych rodaków naszych, byli pasterzami poganiającymi leniwe woły. My jesteśmy leniwe, senne, żarłoczne, bezduszne woły. Zeżreć, co jest wokoło, usnąć na tym samym miejscu, ocknąć się i znowu żreć, co wyrosło. Gdy mieliśmy państwo (najpiękniejsze na ziemi, źrenicę wolności świata), doprowadziliśmy je do upadku bezprawiem szlacheckim i specjalnie wynalezionym snobizmem, niemocą wołów zbitych w stado. Kiedy nie mamy państwa, wzdychamy do niego. Chcielibyśmy, żeby państwo za nas wszystko zrobiło. Przepraszam, że mówię tak niegrzecznie, ale w sprawach ogólnych nie powinniśmy zażywać względem siebie grzeczności.

— O, proszę! Faktem jest, że my w naszym towarzystwie rolniczym podnieśliśmy płacę parobczańską ile się dało, skasowaliśmy rozmaite ograniczenia, uznaliśmy „posyłkę” za szkodliwą, dajemy w zasadzie izbę każdej rodzinie...

Polska, Polak

— To znakomicie! To znak, że leniwe woły kiwają rogami i przestępują z nogi na nogę udając, że idą. Może nawet ruszą z miejsca. A *lock-out*<sup>198</sup> rolniczy, o którym słyszałem jako o budującym zjawisku tamtejszej okolicy? Samoobrona — nieprawdaż? Parobcy nie mają wprawdzie zorganizowanego „stronnictwa”, ale to nie dowód, żebyśmy my „szlachta” nie mieli go mieć. Należy przytrzeć chamstwu rogów!? Więc wyrzucanie wszystkich parobków w zimie. To po polsku!

Pan Malinowski uśmiechnął się obojętnie. Po chwili dopiero rzekł:

— Ależ to szanowny pan wyraźnie staje po tamtej stronie.

— Zawsze stoję po stronie słuszności. Podniesienie płac parobków i robotników rolnych zwiększy (co daj Boże!) ich potrzeby.

— W zakresie „monopolowym”.

— Wskutek wzmoczenia się potrzeb — wzmoże się konieczność ich zaspokojenia. Może wówczas zaczną choć cokolwiek korzystać z dobrodziejstw naszego przemysłu. Bo obecnie „nasz” przemysł zaspokaja potrzeby czyjeś w Azjach, Syberiach, Samarkandach, perkaliki „nasze” są naszą chlubą, lecz nie tutaj. Parobek nasz pod boki wielkich fabryk łązi po staremu w straszliwych buciorach, w zgrzebnych, rzadko pranych szmatach, w ohydnie cuchnącej sukmanie i w potwornym kozuchu. Nędzarz ten mieszka tak samo jak mieszkali praszczurowie za Piastów, świeci sobie kamfinowym ogarkiem<sup>199</sup> albo i szczapą. W miarę wzrostu przemysłu naturalnego, jak widzimy w miasteczkach Szwajcarii, zaspokajających złożone potrzeby mieszkańców okolicy, znalazłby może w nim zajęcie nasi młodzi technicy, którzy po latach ślęczenia na cudzoziemskich uniwersytetach zostają po przybyciu do ojczyzny albo fagasami niemieckich właścicieli fabryk, brytanami szczekającymi na polski lud albo urzędnikami.

Oto jest, według mnie, istotne dobro kraju. Nie dobro renciarzy rolnych, którzy nic dla ojczyzny nie zrobili, jest dobrem jej, lecz wydzwignienie z łoża boleści jej dotychczasowych wydziedziczeńców. Ojczyzna — jest to przyszły ustrój społeczny.

— Stan naszych parobków tak znowu oplakany nie jest...

— Doprawdy? Nie gdzieś za górami, za lasami, nie w Anglii, Ameryce albo Francji, lecz na wschód od nas, na przykład na Żmudzi, parobek pobiera o 15 rubli pensji rocznej i o 20 pudów ordynarii więcej niż parobek w pięknej ziemi lubelskiej. Nadto na tejże Żmudzi parobek pracuje przecięciowo (biorąc pod uwagę dzień zimowy i letni) około dziewięciu godzin. Mieszkania tam są zupełnie porządne, „posyłki” żadnej, lekarz, apteka, ochrony dla dzieci. A proszę teraz wejść do mieszkania parobczańskiego w Lubelskiem, Kieleckiem, Radomskiem i zobaczyć, co to tam jest. Osiemnaście rubli rocznej pensji, praca we żniwa od trzeciej rano do dziewiątej wieczorem. Na pograniczu pruskim parobek ma już dwie izby, zegar — i — o horror! — kanapę wyściełaną. Słyszeliście, renciarze lubelscy?! Brońcie się, bo złe jest bliskie, bo złe jest powszechne!

— Ja nie wiem, czy owa kanapa i ów zegar — są to znowu ideały tak nieodzowne. Być może, że na gwałt trzeba wносить naszym Maćkom kanapy... Zgadzam się na wszystko... Domy mieszkalne powinny być zdrowe, obszerne, izby ciepłe i widne, ale bez tych komfortów, na które nie stać większości naszych ziemian. A zresztą, proszę szanownego pana, teoretycznie rzecz biorąc, wydaje się, że nie tylko parobcy, ale nawet niektórzy włościanie przy obecnych warunkach życia dawno powinni by z głodu pokłaść się do grobów. Zdawałoby się, że tak żyć niepodobna, a jednak widzimy nie tylko ich samych, ale i inwentarz w dobrym stanie. Można zaobserwować dalej, że w kieleckiej właśnie guberni, gdzie parobcy nagradzani są najgorzej, rozmnażają się najobficiej.

— A to jest istotnie pociecha! Osiemnaście rubli rocznej pensji, świnia w izbie przeznaczony dla dwu rodzin, osiemnaście godzin pracy w lecie na dobę i ta pociecha, że przynajmniej dzieci w bród! Nie bądźmy już otwarci! Dla mnie owi zbrodniarze podmawiający do strajku rolnego byli prekursorami jutrzejszej ojczyzny, pracownikami sprawiedliwości. Nic to, że ich nazwano „hultajami i włóczęgami”. Za to im przyszłość odda, na co zasłużyli, kiedy nadużywającym urzędu pisarskiego na niekorzyść najuboższych rodaków a gwoli zysku bogaczy — przenigdy nie zapomni!

<sup>198</sup>*lock-out* — stałe lub czasowe zamknięcie części lub całości zakładu; środek nacisku właścicieli środków produkcji względem pracowników.

<sup>199</sup>*kamfinowy ogarek* — ogarek olejowy; *kamfina* (daw.): olejek terpentynowy zmieszany z alkoholem.

Bodzanta wstał ze swego miejsca i, przechodząc przez pokój śmiesznie nieotamowanymi krokami, zacierał ręce z nerwowym pośpiechem.

— Czy mógłbym prosić — mówił pan Malinowski wyniośle i oczywiście zmieniając przedmiot rozmowy — czy mógłbym prosić o rys zasady, według której urządzone zostały folwarki pańskie?

— Moje folwarki...

— Rozumiem...

— Nabrałem głębokiej odrazy do stanu posiadania kawałów ziemi, której nawet nie znam dokładnie, która mi jest zgoła niepotrzebna, podczas gdy ona straszliwie jest potrzebna setkom i tysiącom spragnionych. Ziemia należy do ludu.

„Społeczność, obowiązkom swoim wierna, prawo posiadania ziemi i każdej innej własności pracy tylko przyznaje”.

To jest najświętsze słowo naszej konstytucji, przypieczone pieczęciami krwi takich jak Szymon Konarski. Nic tych słów z kodeksu naszego ducha nie wydrze, najprzebieglejsze kłamstwo bogaczy.

Pewnego razu na polowaniu w tych właśnie górach zaszedłem w te oto miejsca. Nie byłem pewien, czy się znajduję na swoich gruntach, czy na cudzych. Spotkałem chłopowinę orzącego jesienią podorywkę i zapytałem go, czyja to ziemia. Rozmawiałem z nim... Nie będę powtarzał, bo to była najzwyczajsza pogawędka. W trakcie tej rozmowy rozwarło się przede mną czytelne pismo prawdy.

Chłop posiada nieśmiertelną duszę, ale dusza ta dzisiaj rozpięta jest na indywidualnym działku ziemi, przybita do tego działka jak do krzyża krwawymi gwoździami nędzy i ciemnoty. Dusza chłop polskiego jest martwa, nieczuła na nic, co jest ideą żywą, świętością już bytującą wśród ludzi. Nie ma na świecie człowieka bardziej zimnego, samolubnego, podejrzliwego, żarłocznego i skąpego niż nasz chłopek nieszczęsny. Nie ufa on nikomu i niczemu, nic nie kocha. Łaknie tylko i pragnie gruntu, bo łaknąć musi. A dusza ta nie może być czującą z naszej winy, z winy tej burżuazji rolnej, która, podobnie jak chłopstwo, jest duchem nieżywym. Toteż zarówno chłop, jak tak zwany szlachcic muszą być zniszczeni.

Chłop, Polska

My mamy w naszej cudownej historii przykłady, czym staje się szlachcic wywłaszczony z ziemi, szlachcic wygnany po rewolucji 31 roku i szlachcic pognany w Sybir po roku 63. W nędzy swej staje się wielki, jak ów człowiek stary, bity kijami a spokojny, opisany przez najzacieklejszego naszego wroga, Dostojewskiego. W bogactwie swym — jest jednym ze stada wołów. Toteż każdy, kto buduje najświętsze budowanie, ojczyznę polską, jej przyszły wielki ustrój, to jedno, co można kochać na ziemi tak szalenie, jak się kocha jedyne dziecko — ten musi mieć przed oczyma tę prawdę.

Szlachcic, Polska,  
Bogactwo, Bieda, Cnota

— Ja również jestem zwolennikiem parcelacji.

— Doprawdy? Jakże mi przykro, bo ja jestem jej zaciekleym wrogiem.

Malinowski siedział spokojnie, czekając na ciąg dalszy. Gdy Bodzanta milczał, sam rzekł:

— Jestem zwolennikiem parcelacji, ale nie tej rabunkowej, jaką widzimy u nas. Szlachcic nie może wyjść na swoje, więc macha wieś przybłędom. Przybłędy łapią pieniądze z banku, gospodarują pod psem, ręką solidarnie, rujnują się i marnieją. Nie, panie! Jestem zwolennikiem parcelacji według systemu pruskiego. To trudno, trzeba się uczyć od Prusaków rozumu, przeminął wiek złoty!

Wieś, Chłop, Polska,  
Państwo, Własność,  
Przemiana, Pozycja  
społeczna

System pruski, jak wiadomo, polega na tym, że szlachcic pragnący rozparcelować dominium zgłasza się przede wszystkim do urzędu i wyrabia patent parcelacyjny. Patent ów zaś polega na tym, że wkłada na pragnącego parcelować obowiązek uporządkowania obszaru. To znaczy: nie ma łąk drenowanych, trzeba drewny zaprowadzić, i to według ostatniego słowa nauki, trzeba w projektowanej wsi postawić szkołę, trzeba rozszerzyć kościół, boć na obszarze należącym ongi do jednego szlachcica powstanie ludność, której nie było zgoła, trzeba wreszcie oczyścić ziemię ze wszelkiego hipotecznego długu. Wówczas dopiero, gdy właściciel wszystkie żądania wypełni, państwo go bierze w opiekę. Otrzymuje on patent parcelacyjny i od tej chwili na jego hipotekę nikt już wchodzić nie może. Zarazem Landschaftsgesellschaft użycza nowonabywcom kredytu na trzy procent z amortyzacją. Wielka włość zostaje rozparcelowana, ludzie na niej osiadają, pracują

racjonalnie, amortyzując w ciągu jakiegoś dwudziestopięcioletnia zaciągniętą pożyczkę. Chłop nowonabywca nie spostrzega się nawet, kiedy zostaje właścicielem ziemi i zostawia dzieciom — majątek. Tym porządkiem stwarza się drobna własność indywidualna, jedyna racjonalna forma na świecie, która taki tryumf święci w Danii i w Niemczech Południowych.

W takiej Kopenhadze mamy dziś organizację, która jest zarodkiem giełdy towarowej na masło. Duńska małorolna produkcja masła panuje już na targu angielskim. Prezesa duńskiej organizacji maślarskiej mianują firmy angielskie. Istnieją tam już olbrzymie zakłady, które widziałem, jak Esbjerg. Około dwudziestu pięciu tysięcy funtów masła dziennie przekształca się tam na cegiełki. Oto jest życie chłopów duńskich.

— Tak — rzekł Bodzanta. — Ażeby stworzyć życie przemysłowe chłopskie w porządku, jaki szanowny pan wykazał, trzeba stworzyć przede wszystkim państwo w rodzaju pruskiego. Bo trzeba przecie pamiętać, że w Prusach prawo zwierzchnicze władania ziemią należy do państwa. Ani na chwilę nie wolno o tym zapomnieć. Ponieważ ja państwa stworzyć nie mogę, a posiadam masę ziemi, postanowiłem uczynić, com zamierzył, w sposób, na jaki mię było stać, to jest nie pruski, lecz czysto polski, to znaczy bez niczyjego pozwolenia i aprobaty. Doradcą był mi nie pruski statysta, lecz polski najwyższy rozum społeczny, Stanisław Staszic, i o zgrozo! — polski poeta romantyczny, Mickiewicz. Cały system ostatniego zawarł się w paru słowach: „Każdej rodzinie rola domowa pod opieką gminy”. Oto i wszystko.

— To właśnie jest najciekawsze, jak to pan hrabia wykonał...

— Moja córka... — rzekł Bodzanta grzecznie — jest przeciwniczką tytułów... Powiada — na podstawie jakiejś pieśni: „Precz z tytułami!”. Już zaznaczyłem, że jestem przeciwnikiem indywidualnej parcelacji. Jest ona, po pierwsze, cokolwiek by mówiono przeciwko temu twierdzeniu, pokazując nam zawsze Danię i Niemcy Południowe, zabójstwem kultury rolnej w naszym kraju, po drugie, jest ona zabójstwem kultury historycznej kraju, po trzecie, a najważniejsze, kultywuje w duszy chłopów ową straszliwą martwość już istniejącą. Chłoptwo jest ostoją reakcji, filisterii, barbarii, siedliskiem chamstwa wszędzie, gdzie rej wodzi — w Szwajcarii, w Szwecji, w Norwegii...

— Jakże tedy „każdej rodzinie rola domowa”?

— Zaraz. Chciałbym wiedzieć, jak się parceluje wysoce postawione gospodarstwo rybne, leśne, łąkowe? Czy się rżnie stawy, łąki, lasy na działki, czy też gospodaruje się inaczej, umiejętnie, kolektywnie, pod kierunkiem techników? A dalej. Szanowny pan wie dobrze, jak to się u nas parceluje majątki. Jeżeli gdzieś był jakikolwiek zabytek (zameczysko, pałac, dwór starodawny, brama, most murowany) — równa się to z ziemią. Baszty idą na podmurówki chlewów, murowane mosty rozdrapuje się na szczątki i jeździ w bród jak za Leszka Czarnego. Aleje wycina się natychmiast w dniu kupna (parcelacyjne polskie „święto drzew”), ogrody wyniszcza się albo zapuszcza. Zewnętrzna postać kraju wraca do formy prapapiastowskiej, do czasu przed Kazimierzem Wielkim, do Polski drewnianej.

Zdarzyło mi się być w Sandomierskiem w pewnej miejscowości o historycznym brzmieniu. Nad doliną Wisły w przepysznym miejscu stał uroczy pałacyk, przerobiony z dawnego zamku. Wjeżdżało się przez stare fosy po arkadowym moście. Wspomnienia dzieciństwa zrosły się z widokiem tych arkad, cała okolica przechowywała legendy o zamczysku i fosach... Kiedy przejeżdżałem tamtędy przed dwoma laty — jakże mi było żal, jak żal! Ani śladu, ani cienia nie tylko zamczyska, ale ogrodu... Nie uczynili tego wandalci-chłopi, nie! To postępową myśl polska, to nasz system społeczeńskiego myślenia. Tak być musi!

A teraz nowy świat na ruinach dawnego — jakże wygląda? Domostwa budują się sposobem najtańszym ze starych stodół, ze zmurszałych obór. Nie jest to ani chata, ani racjonalny dom. Są to nasze ohydne „kolonie”. Powstaje na miejscu, gdzie niegdyś były już europejskie budowle, gdzie myśl pracowała nad formą piękną — potworny dom-barak.

Ale, przypuśćmy, że to drobiazg. Któż by tam na to!... Weźmy rolnictwo. Panu, jako gospodarzowi z zawodu, nie mam potrzeby mówić o użyteczności w rolnictwie ulepszonych narzędzi rolniczych. Weźmy, na przykład, sprawę brony sprężynowej. Szanowny pan dobrze wie, że na czterysta mórg potrzebne są i wystarczą dwie czterokonne brony. A teraz fakt: połowa tejsze brony musi służyć właścicielowi dziesięciomorgowego działka. Brona kosztuje 36 rubli. Może ją kupić uprawiający 400 morgów, ale żadną miarą nie

Wieś, Chłop, Szlachcic,  
Własność, Polska

może wydać 18 rubli małorolny. Młockarnia na kilku morgach jest nonsensem. Narzędzie złożone opłaca się dopiero na pewnym rozmiarze ziemi.

— Nie domyślam się, do czego zmierzamy. Bo spółki rolne ułatwią przecie kupowanie maszyn nawet pięciomorgowcom. I to już się dzieje.

— Gdy w Rzymie wynaleziono bronę, powstała tam przeciętna przestrzeń rolna, *mansa*, rozległości około 30 morgów. Rozmiar osady, warsztatu pracy, zależy od narzędzi, którymi się pracuje. Dopóki używano siły sprzężajnej wołów, gospodarstwo było małe. Skoro do pracy zaciągnięto konia, osada się zwiększyła. Maszynowa siła w rolnictwie musi wywołać wzrost rozmiarów warsztatu rolnego.

— Czy to tylko nie są jakie hipotezy?

— Hipotezy... Mniejsza! Proszę wziąć niehipotetyczne obarczenie ziemi chłopskiej budowlami. Każda krowa posiada swą oborę (o ile nie „mieszka” pospołu z gospodarzem w izbie). Jest to zgodne z naszym tak zwanym indywidualizmem. Jesteśmy narodem indywidualistów. Lubimy, żeby i nasze krowy zażywały praw indywidualizmu. To samo stosuje się do konia i prosiaka. Nie jestem pewien, czy podana jest gdzie ogólna suma wartości obór, stodółek, chlewików...

Rasa bydła okryta przez te budowle, jest absolutnie przez gospodarstwo chłopskie zdegenerowana czy niewyhodowana. Krowa koślawa, chuda, z małym wymieniem, ledwo łącząca, strasznie brudna — toż to przecie znana nam indywidualistka! Chłopskie konięta, „chetki”, u nas w Kieleckiem mają wygląd zniszczonych źrebiąt. Właściciel-hodowca zaprzęga źrebię do pługa i do wozu w drugim roku. Gdyby tak, wskutek jakiegokolwiek kataklizmu, dwory przestały dostarczać nabiału do Warszawy, ładnie by na produkcji chłopskiej wyglądały miasta! Kiedy u nas, w ogóle w Polsce, krowa daje rocznie 650 litrów, krowa rasy fryzyjskiej, wyhodowana w wielkiej oborze pod kierunkiem zootechnika, dostarcza 4 100 litrów. A pomyślnyż, ilu to ludzi, ilu kmiotów pracowitych, ile dziewczuch, dzieci, bab obsługuje u nas to bydelko koślawe! W wielkich fermach amerykańskich jeden robotnik może obsłużyć 200 wołów. Pomyślny, ile sił idzie na marne, ile pracy tonie w gnojówce wiejskiej!

Co zaś do hodowli zbóż — toć i mówić nie warto! Racjonalne gospodarstwo na działku chłopskim!... Pan to przecież wie i wszyscy to wiedzą, ale nie chcą uznać. Któż z nas zadaje sobie trud stworzenia planu żywota ludu na przyszłe czasy, kto go chce hodować? Zawsze chodzi o dziś. *Zalatwić* (przepyszne, czysto polskie słowo!) kwestię rolną, zwalić ją z ramion... oto wszystkim.

Był tu w naszej okolicy ziemianin pewien, właściciel znacznego folwarku, agronom, rolnik doskonały. Zajął się szczególnie podniesieniem jakości ziarna. Jego olbrzymi owies sławny był na całą prowincję, a folwark zastępował jakieś amerykańskie Bureau of Plant Industry. Ziemianin ów miał chwalebny zwyczaj: przy każdym zetknięciu z pracowitymi kmiotami dawał ćwierć czy półćwiartek swego wielkiego owsa, a brał dla fornalek tyleż kmiecego poślada zwanego owsem. Miał nadzieję, że tym sposobem przyczyni się do podniesienia kultury rolnej.

Zdarzyło się, że w ten sposób pomieniał się z pewnym chłopem z Poszłomia, niejakiem Kląskwą. Po roku, czy więcej, spotyka się mój ziemianin na jarmarku z Kląskwą i przypomniawszy sobie zamianę pyta: — A cóż, Kląskwa, jakże się też udał mój owies? Wyrósł też godnie? — Chłopowina począł się tępo orać pazurami po głowie, aż ci rzecze: — Proszę łaski pana dziedzica, a to powiem prawdę — bieda się stała z onym owsem. — No, jakaż? — A taka bieda się stała, że jakem tamten owies przywiózł we worku do chałupy, jakem pokazał, to naprzód nie chciały wierzyć, że to owies, a potem jak ta już uwierzyły, to moja zmeła ów owies w żarnach, narobiła krupek i zjedliśmy z mlekiem. A godne były krupki, panie dziedzicu. — Oto jest los idejów<sup>200</sup> rolnych na chłopskiej działce.

— A jednak w naszej okolicy już się trafiają źniwiarki na chłopskich polach. I, *nota bene*, źniwiarki kupione za wspólne pieniądze przez kilku sąsiadów we wsi.

— A tak. Za sto lat kupią sobie nawet lokomobilę, o ile na to pozwoli wzrastająca proletaryzacja. Gdzie praca ręczna jest tak tania (pocziwy, staropolski dwuzłotek), gdzie można nająć człowieka do całodzienniej pracy za kilkadziesiąt, a nawet kilkanaście

Wieś, Chłop, Robotnik,  
Praca, Maszyna, Pieniądz,  
Przemiana, Polska

<sup>200</sup>idejów — dziś popr. forma D.lm: idei.

kopiejek, gdzie istnieje taki ogrom siły roboczej, po cóż ma się wytwarzać postęp rolniczy, jakim sposobem ma powstać? Można jeszcze orać byle czym, a żąć za psie pieniądze ludzkimi rękoma. Więc cóż tu ma robić droga, skomplikowana maszyna? Dopiero podniesienie płac zarobnych robotników rolnych do jakiegoś ludzkiego poziomu, choćby do poziomu płac na Żmudzi, może spowodować ten skutek, że opłaciłoby się stosowanie maszyny.

To podniesienie płac może się dokonać wskutek odciążenia pewnej części proletariatu bezrolnego i małorolnego do osiedlenia się na gruntach wielkofolwarcznych. Dlatego to (na złość braci szlachcie!) przedsięwziąłem na własną rękę dokonanie reformy. (Mówią już o mnie, że mam manię niepopularności.) Idąc w podstawie czynu za przykładem Staszica, osiedliłem ludzi bezrolnych w mojej okolicy i ludzi, którzy z dala przychodzili tutaj jako bandosy, na ziemiach objętych prawem dziedzictwa...

— Jakże się dokonało to osiedlenie?

— Dokonało się szybko i prosto. Bandosy i parobcy, którzy pracowali w folwarkach pod kierunkiem rządców i ekonomów — zostali, w tychże folwarkach nie tylko na czas letni, lecz i na zimę, a potem na zawsze. Jak pracowali dawniej, tak pracują teraz. Podział ich zajęć został udoskonalony, a gospodarstwo silnie wzmożone. Gospodarstwo zostaje pod kierunkiem agronomów, techników i specjalistów, kształconych w Europie na uniwersytetach. W folwarkach nic się nie zmieniło ze starej, pradiadowskiej kultury. Został wielki pałac w Głowni, zbudowany w siedemnastym wieku przez Hieronima Bodzantę, opoja sławnego na całą Polskę, zostały parki, ogrody, drogi, mosty, aleje, altany, kaplice. Istnienie tych dzieł postępu i kultury zostało zawarowane, włożone na barki naszego Towarzystwa Rolniczego.

— Czy to już jest rejentalnie spisana ustawa?

— Jeszcze nie. Dotąd jest to jeszcze umowa prywatna. Badamy jeszcze wszystko, doskonalimy, urabiamy. Ale przyjdzie chwila aktu!... Przybyły dotąd tylko domy mieszkalne, budowane nie w ów straszliwy bezsens, materiał dla pożarów i umyślne siedlisko szkarlatyn, czyli w wieś polską, lecz rozrzucone w pobliżu drogi bitej. „Każdej rodzinie rola domowa pod opieką gminy”. Różnica między tym, co było, a tym, co jest, nie da się prawie spostrzec. Wszystko polega na tym, że zboże wyprodukowane przez pracowników nie należy do mnie, który do niego nie miałem minimalnego prawa (z chrześcijańskiego punktu widzenia), lecz należy do tych, którzy je wytworzyli. Ziemie wszystkich folwarków, wraz ze wszystkim, co na nich było, oddane zostały w wieczystą dzierżawę osiadłym na niej pracownikom. Czyste zyski idą na utrzymanie instytucji majdańskich, szkół, szpitali, ochron, stanowiąc część dochodów tych instytucji.

— Więc te falanstery już sześć lat istnieją, czy tak?

— Nie wiem, czy to są falanstery. Sądzę, że są to instytucje wynikłe z wielkich cierpień polskiego ducha, przypiekanego przez tyle lat głowniami wyrwanymi z dymu pożarów, wyrosłe z samotnych łez wielkich poetów polskości, wydeptane przez bose nogi wygnańców na grudach i kamieniach długiej drogi sybirskiej i po twardych gościńcach obczyzny.

— Pięknie to powiedziane, w istocie. A nie obawia się szanowny pan, że kiedyś z powodu tychże instytucji rozlać się mogą znowu kałuże krwi, gdy przyjdzie doba zatargu o podział zysków i gdy przyjdzie chwila, ważna chwila dziedziczenia? Ja uważam, że wszelkie gminne władanie ziemią ma w następstwie zależność, ucisk osoby, zdławienie energii, zabicie inicjatywy.

— Łaskawy panie! Przestańmy udawać, że wierzymy w jakowyś inny ideał, podczas gdy my pragniemy zniweczyć ideał. Czy widzi pan zdławienie energii robotników i inżynierów w kopalniach i fabrykach albo zabicie inicjatywy? Zależność jest wszędzie na ziemi, lecz jeśli gdzie, to u nas, niweczy ją solidarność. Ucisk osoby jest to frazes rozciągliwy. Człowiek posiadający działkę ziemi poddany jest miliardowi ucisków osoby, a przecie o tamtych uciskach wcale się nie mówi. Kto jest zwolennikiem działek parcelacyjnych w przeciwieństwie do produkcji wielkofolwarcznej, zrzeszonej, kooperacyjnej, przypomina mi zwolennika rzemiosł w przeciwieństwie do przemysłu wielkofabrycznego. Rzemiosło daje z pewnością pewną swobodę indywidualną, niezależność osoby, możliwość wyładowania energii i stosowania inicjatywy, ale czyż przemysł wielkofabryczny te przymioty zabija, a czy je rzemiosło specjalnie rozwija?

Wielu ja się rzeczy obawiam. Ale co do walki o podział zysków — to liczę na pewne wskazania. Wszak historia nie wspomina w Polsce o walkach z racji podziału zysków między chłopami i dziedzicami, i to na przestrzeni trzystu lat czarnej nocy pańszczyźnianej. Czemuż teraz miałbym się trwożyć, gdy idę niosąc w obydwu rękach prawdę podziału. Cały lud polski w ciągu kilkuset lat w taki właśnie sposób, to jest kolektywnie, pracował „na pańskim”. Tak samo pracują dziś na dworskich obszarach parobcy i bandosy.

Pomiędzy pańszczyźnianym porządkiem rzeczy a tym porządkiem, który nadciąga, zachodzi tylko różnica w pobieraniu zysków. Ale podział zysków jest właściwie sprawą drugorzędną. Sprawą główną i zasadniczą jest organizacja pracy i zaspokojenie potrzeb. Jeżeli praca będzie zorganizowana na wzór dostojny i godny plemienia ludzkiego, to podział zysków i ich zużytkowanie jest sprawą pochodną, drugorzędną. Nawet dziś, czy parobcy pańscy zabijają — aczkolwiek pan na każdym z nich zarabia dziennie jednego rubla (a w niektórych, pszennych okolicach rubla i 25 kopiejek)? Podział zysków dokonywany jest w oczach wszystkich i sprawiedliwie. Nad tym czuwa komisja wewnętrzna, z samych pracowników złożona, i komisja zewnętrzna, złożona z kilku marzycieli, których kodeksem są *Kursa literatur słowiańskich* i artykuły z *Trybuny Ludów*<sup>201</sup>...

— Jakkolwiek bądź, ja osobiście nie jestem spokojny o życie owych agronomów i techników gospodarujących na folwarkach...

— Życzę każdemu takiego zdrowia, jakim się cieszą te chłopcy! Każdy musi być oczywiście inżynierem, agronomem nie tylko z patentem, ale i z kwalifikacjami, a im czerwieńszy ideowiec, tym lepiej, bo to gwarancja, że się sprawa nie dostała do rąk naszej szanownej filisterii. A czy nie lepiej by było dla naszej zrujnowanej szlachty uczyć synów na takich oto instruktorów ludu, którzy by weszli w lud, stali się nim, przekazali mu kulturę polską, zanim on sam nową jej formę wynajdzie i rozwinie? Czy nie lepiej zostać na wsi jako rolnik, niż rzucić lud na pastwę ciemnoty, a samemu zmykać między miejskie filistry i tam posłować, urzędować, wysługiwać się potencjom, zawsze w imieniu ludu, a na jego karku?

— A cóż pałac? Jakże pałac wśród takiej idylli?

— Pałac jest to dom ojczysty, miejsce główne, muzeum społeczne, sala odczytowa, muzyczna, biblioteczna. Przed wiekami został zbudowany przez ojców, po wiekach go dziedziczyli synowie.

— Te formułki są bardzo ładnie brzmiące, miłe dla ucha i serca, ale mnie cała sprawa nie porywa. To nie jest trwała forma życia. Jakże będzie z dziedzictwem?

— Widzi pan, i ja nad formą dziedziczenia łamałem sobie po nocach głowę. Przeszedłem do przeświadczenia, że ta forma dziedziczenia osiedleńców wytworzy się sama w miarę rozwoju sprawy.

— To nie jest prawne rozwiązanie.

— A czy pan rozwiązał prawnie formę dziedziczenia bezrolnych bandosów, którzy się po kraju włóczą? Wytyżymy wszystkie siły w tym celu, żeby jak najbardziej uprzemysłowić gospodarstwo, stworzymy przemysły zimowe, jak najwięcej chłopców poświęcimy nauce i — poczekamy. Jestem przeświadczony, że te ziemie wyżywią trzy pokolenia, i to lekko, „leciusko”, jak mówią bandosy.

— Ano, liczymy na to!

— Ja liczę jeszcze na inne faccje. Liczę na to, że nasi sąsiedzi z owych długich, „długasnych” wsi indywidualnych, ujrawszy nasze gospodarstwo gromadzkie, naszą doskonałą kooperatywę radną, ujrawszy ogrom rezultatów zbożowych i kulturalnych, wreszcie swobodę naszego ustroju, gdzie człowiek żywie póki chce, a odchodzi, kiedy wola, bo nie jest przykuty do skrawka ziemi — sami przyjdą do przeświadczenia, że gnojówka, aczkolwiek tak sprzyjająca kultowi osoby, nie zapewnia innych korzyści. Założą tedy przede wszystkim szopę na ulepszone narzędzia, potem wspólną oborę i zaczną obrządzać bydło wspólnymi siłami. Później pójdą po rozum do głowy i wytworzą we wsi podział pracy, zaprowadzą gospodarstwo na wzór folwarcznego, zbudują spichlerz gromadzki i — słyszy pan, co za *horrenda!* — skasują granice działków. Wzrost w kraju postępu, to znaczy procederów i przedsiębiorstw rolnych, centralizacja takich objawów jak mleczarstwo, a nade wszystko racjonalna uprawa zbóż oraz racjonalny handel wytworzą bardzo szybko zanie-

<sup>201</sup>*Kursa literatur słowiańskich i artykuły z Trybuny Ludów* — teksty Adama Mickiewicza.

chanie wegetacji indywidualnej i przejście do gospodarstwa racjonalnego, to znaczy do wspólnoty, współdziałania, podziału pracy i zysków.

— Niech żyje szanowna utopia!

— Mniejsza o nazwę i nawet o ironię. Zawsze postęp w Polsce nazywał się i nazywa utopią. Spędziłem znaczny przeciąg czasu w Ameryce. Widziałem tamtejszy postęp techniczny w rolnictwie. Działalność takiego W. Lathropa, Hansena, E. A. Besseya — prawdziwie rycerskich *Agricultural explorers*<sup>202</sup> — kto by to pojął? Wielkie badania Ameryki i gleby świata, ażeby wynaleźć syntezę rośliny, ziarna — przenosiny ziarna, nieraz z narażeniem życia, krzyżowanie rosyjskiej i japońskiej pszenicy, osiedliny w Ameryce chmielu, ryżu *kiushu*, jabłek antonówek, wina z Korsyki...

Zaręczam panu, że sam opis tego postępu nasunąłby każdemu z naszych ziemian tę właśnie nazwę — utopia! Wiem, że nie można tamtejszych form gospodarowania transponować na nasze, że częstokroć tamtejsze gospodarstwo jest wprost rabunkowe, ale co by powiedział taki Carleton, który zasiał Dakotę i Nebraskę pszenicą arnautką, gdyby mu kazano trzymać się utartych wzorów, cyfr i wskazań, a nade wszystko tego pewnika, „że tego nigdzie nie było”, że przecie „w Danii i w Południowych Niemczech...”. Szybkość ludzkiego postępu jest nieobliczalna. Możemy stworzyć cuda, wydobyć z tej ziemi utopię, która olśni oczy mieszkańców ziemi, możemy ścigać się z Lathropem w pomysłach uszczęśliwienia ojczyzny. W naszych to jest ręku<sup>203</sup>.

— Ja sam należę do grona gospodarzy postępowych, walczę z moją okolicą. Założyłem spółkę włościańską, towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe, tworzę mleczarnię udziałową, chmielarnię, plantacje drzew owocowych i dzikich. Ale wyznaję, że pragnę chodzić i chodzić po ziemi. Pracuję dla zysku i jeżeli kogo zachęcę do pracy ze mną, to dlatego, żeby miał zysk i schował go do kieszeni. Nie daruję nikomu swego majątku, to już darmo.

— Nikogo nie namawiam do darowania. To rzecz osobista. Spełniłem, com uważał za godziwe. Czyn — jest to nauczyciel najwymowniejszy. Założyłem w Głowni szkołę gospodarstwa *polskiego*. Jeżeli mówisz, rodaku, że kochasz tę ojczyznę, kochajże ją w duchu i w prawdzie. Ojczyzna to nie tylko ziemia, ustrój jej przyszły, nie tylko groby a ludzie, ale także cnota i prawo. Tak pojmowali starzy.

Ojczyzna, Obowiązek,  
Cnota

Ty nie jesteś mi już krajem,  
Miejscem, domem, obyczajem.  
Państwa zgonem albo zjawem,  
Ale cnotą, ale prawem<sup>204</sup>.

Jakże zaś ta cnota i prawo ma się pogodzić z naszą szlacheckością, z bosymi nogami najmitów, z nędzą proletariacką, z martwicą dusz chłopskich?

\*

Zaraz po obiedzie wyruszono na zwiedzanie folwarków. Ponieważ Ewa nie widziała ich jeszcze, zaproszono i ją do uczestnictwa w wycieczce. Ta sama para młodych koni, która Ewę z Kielc przywiozła, szła teraz zaprzężona do breku. Zjechano szybko z podgórskiego płaskowzgórza, na którym wznosi się Majdan, przebyto znowu most. Konie przebiegły ulicę wiejską, nad którą szumiały stare drzewa sadów, i wyniosły brek w płaskie pola pokryte już ścierniami. Stały jeszcze owsy, tataraka i kartofle. Wnet ukazała się szeroka droga, gościniec, prowadzący ku ogromnym alejom idącym w różne strony świata, z jednego ośrodka, pełnego drzew.

Z prawej i lewej strony tej drogi, w dość znacznej odległości jeden od drugiego, widać było tam i sam zbudowane domy z gankami, przeważnie drewniane, choć trafiały się wśród nich i budynki z cegły. Wszystkie miały duże okna, wysokie ściany, podmurówki,

<sup>202</sup>*agricultural explorers* (ang.) — odkrywcy w dziedzinie kultury rolnej.

<sup>203</sup>*w naszych to jest ręku* — przykład konstrukcji z daw. liczbą podwójną; dziś: w naszym to jest ręku a. w naszych to jest rękach.

<sup>204</sup>*Ty nie jesteś mi już krajem (...) ale prawem* — fragment poematu *Przedświt* Zygmunta Krasińskiego (w. 1114–1117), nieco przekształcony: w oryginale zamiast „Państwa zgonem” jest „(...) skonem”.

wysokie płoty. Dokoła każdego z nich zataczał się nowy sad. Wszystko to było jeszcze nowe, świeżo zbudowane i zasadzone. Nowa droga szosowa, świeżo bita z twardego kamienia, prowadziła do jednej z topolowych alei. W polach, daleko, widać było sterty, dym lokomobili, strzelające kłębki pary i tłum pracujący.

— Widzi pan, jakie to proste i nieefektywne. Nic nie zdradza obecności utopii... — mówił Bodzanta.

— No, w Główni będziemy mieli nieco sensacji... — wtrąciła Marta, poprawiając się na swoim miejscu.

Wkrótce przebyto starą aleję i pojazd wtoczył się na dziedziniec dawnego dominium. Dziedziniec był z dawien dawna brukowany. Zabudowania murowane otaczały go ze wszech stron. W głębi na wzniesieniu stał pałac.

Towarzystwo wysiadło. Zwiedzano obory urządzone w sposób nowożytny, ze żłobami doskonałej czystości, z wodociągiem dostarczającym napoju i zmywającym nawóz. Oglądano starożytny, piętrowy śpichlerz, przekształcony na nowożytną modłę i zaopatrzony w elewatory. Następnie wizytowano stajnię, szopę maszyn, maślarnię, stodoły itd.

W trakcie pobytu na folwarku gości przyjechał zawiadomiony kierownik, agronom Łumski. Był to jegomość wysoki, ogorzały, z zawieszonym wąsem i w tak notorycznie obcisłych ineksprymablach, że najbaczniejsze oko endeckie nie wytropiłoby w nim przewrotnej duszy. A jednak te tak sympatyczne pozory najfatalniej myliły. Łumski z dystynkcją, która widać wzięła górę nad „doktryną”, oprowadzał gości po reszcie zabudowań.

Mieszkania parobków niezonatych znajdowały się w dolnych izbach pałacu (*sic!*), w amfiladzie dawnych pokojów gościnnych. Każdy z parobków zajmował jeden z pokojów, najrozmaiciej tapetowanych (*sic!*) i trzymany w najrozmaitszych barwach (*sic!*). Na piętrze, dokąd wchodziło się głównymi, wielkimi schodami, mieściły się sale szkolne.

Oczywiście zastawienie największej i najładniejszej z tych sal (gotyckiej) prostymi ławkami, aczkolwiek były wykonane według najlepszego wzoru Kornilowicza, szkodziło nieco całokształtowi widoku. Ale za to, gdy młodzież ze wszystkich trzech oddziałów szkoły, ze stolarni, z koszykarni, oraz inni obecni na popołudniowej lekcji rysunków (widocznie na cześć Bodzanty) zaśpiewali nieoczekiwanie przepysznym młodym chórem, chwyającym ducha i zapierającym oddech:

Polaty się lzy moje czyste, rześiste.  
Na moje dzieciństwo sielskie-anielskie,  
Na moją młodość górną i chmurną,  
Na mój wiek męski, wiek kłęski<sup>205</sup>...

wrażenie ławek zatarło się. I owszem, niewysłowione uczucie wzniosłości ogarnęło obecnych.

W jednej z sal sąsiednich, barokowej, jakby wyjętej z Wersalu i przeniesionej do Główni, mieściła się biblioteka i dawna galeria obrazów. Usunięto z niej niektóre malowidła, bo zostały puste miejsca na ścianach. Były tu reprodukcje Michała Anioła i Andrzeja del Sarto w doskonałych kopiach, *Wieczerza* Leonarda, *Zdjęcie z krzyża* Ribery, *Święta Rodzina* Botticellego i wiele innych.

Pan Malinowski stojąc w tej sali zamyślił się głęboko, a potem grzecznie i na pół smutnie zapytał:

— Czy nie ma obawy, żeby tak piękne obrazy uległy zniszczeniu przez nieświadomą młodzież z folwarku?

— Dzieła sztuki podlegają zniszczeniu... — odrzekł Bodzanta. — Jeden z tych obrazów, kopię mej umiłowanej, prześlizanej *Magdaleny* (z willi Borghese) Andrzeja del Sarto znalazłem u jednego z kuzynów na strychu. Zatykano nią dympnik. Co do nas, kładziemy w to wszystko usilność, żeby wytłumaczyć wartość istotną — artystyczną i względną — materialną każdego z tych obrazów. Są po temu specjalne lekcje i pokazy. Wozimy nasze obrazy po jarmarkach i pokazujemy w płóciennym budzie. Nie ma, zdaje się, obawy, żeby te obrazy miały być zniszczone.

Lud, Sztuka

<sup>205</sup>Polaty się lzy moje czyste (...) wiek kłęski — jeden z liryków lozańskich Adama Mickiewicza.

Nikt nie jest wdzięczny jak lud, jeśli jest bezinteresownie kształcony. Ten tylko obawia się ciemnoty ludu, kto widzi możliwości, że lud może być podszuczuty przez inną ciemnotę. Kto jednak, jak my, szedł do ludu z bezinteresowną oświatą, ten musi nabrać przekonania, że nikt nie jest bardziej uprawomocniony, nikt bardziej godny otrzymania dzieł sztuki, brązów, marmurów i stali przeszłości. Któż ma odziedziczyć mękę i wzruszenie arcyzmu? Kto jeszcze wierzy w apostołów Andrzeja del Sarto z kościoła w Pizie, tak jak on wierzył? Czyż nie lud tylko? Kto się wzruszy na świecie tragedią wieczernika Leonarda? Wszak tylko on. Któż tedy ma prawo do odziedziczenia sztuki przeszłości? Czy mieszcuch z bogactwem ludu, plemię fabrykanckie, plemię giełdziarzy, dorobkiewiczów, przebiegłych walcowników, znieprawione w szwindlach, czy plemię ich fagasów dziennikarskich?

Dzieła sztuki — całą przeszłość arcyzmu, owoc śmiertelnych zapasów z naturą i duchem tajemnicy — tę najwyższą, najstraszniejszą, najcenniejszą, najczcigodniejszą z prac ludzkości, odziedziczy praca fizyczna i nakarmi nią głód swego ducha. Obraz artysty nie może się znajdować ani w prywatnym posiadaniu, ani w muzeum, galerii. Obraz musi wędrować w poprzek świata, musi przemawiać, wołać, wzywać na rynku, bo po to został stworzony. Biada mu, jeśli się staje łupem bogacza! Źle mu, gdy leży na składzie w galerii, dostępnej dla niewielu. Obraz — to duch artysty, to płomień pochodni, który wicher wędrowni wiecznie powinien rozdymać...

Pan Malinowski uśmiechnął się niewesoło i oglądał fortepian ustawiony w tej izbie, instrumenty muzyczne złożone na małym podwyższeniu...

Wkroczone do jednej z największych sal w lewym skrzydle, dawnej jadalni. Pośrodku stał tam długi, dawny stół, zajęty teraz na główne biuro muzeum społecznego. Dookoła biegł jak gdyby fryz, ułożony z zasuszonych roślin i kwiatów. Był to zielnik z dawna zebrany przez jednego ze zmarłych okolicznych lekarzy. Obecnie oprawiono ów zielnik za szkło w taki sposób, że stanowił naoczny wykład flory miejscowej. U dołu każdego okazu mieścił się czytelny napis objaśniający. W szafach i gablotach oszklonych ułożono okazy geologiczne i okazy miejscowej fauny. Na ścianach wisiały doskonale mapy powiatu, okolicy, gminy, wreszcie osiedla gromadzkiego „Towarzystwa”. Osobną ścianę zajmowały wykopaliska, urny, dawne zbroje, ofiarowane temu muzeum przez Bodzantę, kopie, koncerze, buławy, czekany, siodła, czapraki, chorągwie i chorągiewki. Na głównym stole leżały stosy broszur, wyjaśniających w zwięzłych formułach i w obszerniejszych wykładach zasady spółek kooperacyjnych najrozmaitszego typu. Były tu całe pokłady formularzów, ustaw, wzorów, wreszcie gotowych blankietów i ksiąg służących do prowadzenia rachunkowości i korespondencji w kooperatywach.

Przy stole, wśród papierów, siedział pewien pan z mglistoniebieskimi oczami, z mocno przeredzoną czuprynką i ryżawą bródką. Po przedstawieniu okazało się, że jest to właśnie urzędnik od kooperatyw spożywczych i wytwórczych, mistyk społeczny i marzyciel, który swą mglistą i zająkliwą wymową przyczynił się głównie do tego, że z jednej strony Bodzanta przestał oddychać powietrzem szlacheckim, a z drugiej zaludnienie okolicy poczęło z ukosa spoglądać na dotychczasowe dobrodziejstwa indywidualizmu i skłaniać się do mglistych idei spółkowych, czyli „mrzonek”. Rudawy pan siedział już od lat przy tym stole i zapuszczał swe kooperacyjne macki coraz dalej w okolicę, coraz głębiej w sioła, przysiółki, miesciny i dwory szlacheckie.

Urzędnik kooperacyjny udzielił objaśnień, dość zresztą wyniośle i opryskliwie, demonstrował górę listów pisanych do muzeum w sprawie nowych sklepów opartych na zasadzie współdzielczej, w sprawie piekarni kooperacyjnych, spółek stolarskich, mularskich, młynarskich, w sprawie związków rzemieślniczo-rolnych, w sprawie rzemieślniczych giełd pracy, taryf zarobnych, klubów małomiejskich, czytelni, sal teatralnych, w sprawie szkół, ochron, szpitalików, domów ludowych itd. Niektóre z tych listów malowały istnienie samorzutnych organizacji, pomysły niejasne związków, jak np. pewien plan urządzenia stolarni wspólnej przez grono zwalczających się dotąd stolarzy miasteczka, inne były obrazem sporów, zatargów pracy z kapitałem...

Pożegnano praktycznego marzyciela i zwiedzono jeszcze szkołę freblowską, mieszczącą się na parterze w sali od ogrodu z południa, ze wspianą werandą. Ewa ujrzała tam Martę

jak gdyby po raz pierwszy. Marta stała wśród tłumu dzieci, ubranych w szare szlafroki z żaglowego płótna. Sformowało się ogromne koło i jednoznacznie zanuciło:

Przyszła żabka tuż nad wodę,  
Gdzie kacuszki siedzą młode  
I przysiadła na dwie łapki,  
Jak to zawsze czynią żabki.

Chór dziecięcy zaniósł się od radości, od śmiechu duszy. Płowe włosy Marty załśniły na słońcu, jej bławe oczy i rozchylone usta stały się dziecięce, naiwne i cudne, jak u sześćioletnich bywalców ochrony. Zaniósła się od radości i śpiewała jak dziecko:

A kacuszki przyplwają,  
Z niepokojem się pytają:  
Gdzie jest mama? Chcemy mamy,  
Ciebie wcale nie wołamy...”.

Rzucono jeszcze okiem na szereg izb starców i kalek, którzy się mieścili już to w oddzielnych izdebkach, już po kilku w obszerniejszych pokojach. Po czym wszyscy goście wyszli do parku.

Starodawny park roztaczał się daleko. Główna aleja posępna i głęboka ciągnęła się nad stawem, zamkniętym w ramy czarnorudych świerków i wielkich olch. Chmury przeciągały nad owym stawem i odbijały się w jego oliwkowej toni, w głębinie cichej i ciemnej. Malinowski zatrzymał się na moście i zwrócił do Bodzanty z zapytaniem:

— Nie żał panu było ofiarować tak cudnego majątku?

— Żał, panie! Ale miałem pociechę w tym, że kto się wyrzeka własności, zdobywa wszechświat. A ja dążę do tego, żeby osiąść wszechświat.

Malinowski zerknął na mówiącego i przytwierdził:

— Wszechświat... Hm... Szkoda, że za tym przykładem nikt nie pójdzie, kto ma rodzinę, dzieci...

— A ja, wie pan, przypuszczam, że za tym przykładem pójdą. Za ideami polskimi, które były najbardziej utopijne, jednostkowe i przegrane od samego początku do samego końca, szło wielu. Szło wielu wybrańców. A „wybrańcami” i dawna Polska zawsze stała. Wspomnij pan jeno „listy przypowiednie” i „wybrańców”. Toż to jest nasza historia, którą znać warto. Kiedy Stanisław Żółkiewski, hetman samotny, na dzikim polu słał listy przypowiednie, był właśnie tak śmieszny dla szlacheckiego świata jako i ja chudeusz. Ale posyłam we świat szlachecki mój „przypowiedni list”... Wybrańcy tchną w lud polski ducha. Nie było Polski, bo nie było ludu. Było „powietrze szlacheckie”, o którym mówi Mochnacki. Aleć może przyjdzie czas, że na kałużach krwi zakwitną kwiaty...

Łumski, stojący z boku, uśmiechnął się ironicznie.

— A czego się pan uśmiecha, można wiedzieć? — spytała Marta.

— A czy nie wolno się uśmiechać?

— Och, wolno, tylko lepiej zarzut wyjawić, niż go zawijać w uśmiech jadowity, jak pieprz turecki w bibułkę.

— Ja się uśmiecham, gdy słyszę, jak ojciec pani pokłada ufność w naszej szlachcie... W naszej szlachcie!

— „Ufaj córko...” — rzekł z uśmiechem Bodzanta. — Ale chodźmy zwiedzić szpital, a potem folwarki.

— Z ochotą...

— Wszędzie pan zobaczy tę samą utopię... — mówił Łumski, mierząc Malinowskiego wilczymi oczami. — Musi to jednak być pewna sensacja: widzieć na własne oczy utopię.

— O, tak! Każde dziwowisko jest ciekawe. Gdyby, na przykład, dane było komu widzieć wieżę Eiffel zbudowaną na podstawie, która na pewno trzaśnie i nie tylko sprowadzi ruinę wieży, ale może zatłuc wielu nieopatrznych...

— Jeżeli jednak zbyt długo czekać na walenie się wieży, to i ciekawość może się wyczerpać.

— Daj Boże, żeby trzeba było czekać zbyt długo!

Zwrócił się do Bodzanty i rzekł:

— Tak, pozazdrościć szanownemu panu! Takie dobra, takie dobra! Wyznaję, że nigdy bym się na to nie zdobył! Oddać wszystko ludziom nieznanym, a może właśnie próżniakom, może na marne? Pracowity ręce sobie pourabia, a próżniak będzie siedział i oszukiwał. Przecie tak zawsze na świecie było, jest i będzie. A próżniak pierwszy stanie do zysków. Cóż wtedy? Czy aby panowie nie cofną się wówczas do przymusu?

— Do kańczuga za cholewą? Cóż, kiedy my mamy środek. Zysków u nas nie ma. Zyski idą na szkoły i szpitale...

— Ale był przecie ten Wierzba, który powiedział, że nie będzie robił, póki mu nie dadzą takich butów, jakie mu się spodobały... — wtrąciła Marta.

— A był, i nawet jest... — powiedział Łumski. — Ale mu już te kaprysy wywietrzały z głowy, gdy mu gmina zaproponowała, żeby szedł, gdzie go buty poniosą...

— Więc pan wszystko oddał, cały majątek? — spytał nagle Malinowski. — To ciekawe!

— Niestety — odrzekł Bodzanta powoli, ze spuszczoneymi oczami — Niestety, nie cały majątek oddałem...

— A więc są jeszcze węzły... które pana łączą z „burżuazją i wyzyskiwaczami”.

— Tak, są jeszcze takie węzły... — rzekł Bodzanta. — Zostawiłem dwadzieścia kilka tysięcy rubli, które są zapisane jako własność prywatna mojej córki. Pobieram od nich procent.

— Procent... Więc „wejście w lud” i tak dalej?...

— Tak, tak. Postąpiłem jak gracz, który ciska pieniądze w Monte-Carlo, albo jak człowiek, który się wdał w amerykański pojedynek. Wszak są ludzie, którzy majątki tracą w taki lub inny sposób. Otóż ja powinienem być poczytywany i sam się uważam za bankruta czy za złego gracza. Przegrałem mój ojcowski majątek. Oto wszystko. Ale mam córkę...

Marta siedziała na poręczy mostu, spalona od wstydu, w pąsach, nieszczęśliwa, gryząca wargi, żeby nie wybuchnąć płaczem, Łumski poświstywał od niechcenia.

— *Vulgus est caecum*<sup>206</sup>... — mówił Bodzanta sekretnie do Malinowskiego, pokornie, jakoś zarazem chytrze i tajemniczo. — Gdyby z nagła umarł i wśród otaczającego świata ta cała impreza nie znalazła uznania, gdyby cały lud jakoś zbuntowano fałszywymi wieściami, które w Polsce tak łatwo siać — a siewców dużo! — gdyby ją... — wycedził przez zęby — wygnano z tej dziedziny, a do innej nie chciano przyjąć, gdyby względem niej zastosowano tak ulubioną ścierwa polskiego broń — bojkot — bojkot pracy, bojkot ciała, bojkot znużonej głowy i znużonej duszy... Już ja w Polsce widziałem bojkoty i wiem, co mogą uczynić z człowiekiem poczciwie nasze szuje... Gdyby musiała umierać z głodu a w rozpacz pod cudzym płotem... Widzi pan... bałem się...

— Więc pan przypuszcza... — mówił Łumski ze swym nieodzownym uśmiechem — że lud, który pan osadził na rolach, mógłby wygnać pannę Martę?...

— Wszystko należy na świecie przypuszczać... — odrzekł Bodzanta, zbliżając swoją twarz do jego twarzy i patrząc mu w oczy. — Widziałem już takie w Polsce zjawiska, jakich istnienia pan nawet w wyobraźni nie przypuszcza, od których wspomnienia włosy bieleją. *Vulgus est caecum*. To jest słowo nadzwyczajnie mądre. Wytrzymało próbę czasów.

— Toż mówiłem... — wtrącił wesoło Malinowski.

— Nie, pan nie to mówił. Wyteżajmy siły, żeby przekonać lud, zniszczyć jego ciemnotę, ale szarpajmy na sztuki nikczemność renciarzy! Co do mnie, wszystko co robię, robię ze świadomej obawy. Staram się zabiec losowi drogę, jeżeli można tak powiedzieć, przebłagać ludzi, żeby mojemu dziecku nie wyrządzili krzywdy. Może, gdy odejdę, wspomną... Ozwie się w nich to martwe wieko dobra. Utworzyłem, wie pan, ogrody... Pojmuje pan... rodzaj domu ucieczki dla tych dziewcząt. Chcę moją córkę zbliżyć twarzą w twarz z tym, co bywa z kobietą. Chcę tym widokiem jej serce zastalić, oderwać od złego, porwać ku dobru. Bo niewiadomość... Ale chcę to zrobić tak, żebym to nie ja sztucznie zrobił, lecz żeby to jej serce świadomie wykonało. Czy to dobrze, panie, czy to dobrze? Bo samo dobro człowiekowi nie starczy. Częstokroć złe prowadzi do dobra. Skoro się wie, to się może, a skoro się miłuje, to się stwarza. Czy nie tak? Patrz pan... Świat cały naginam

<sup>206</sup>*vulgus est caecum* (łac.) — tłum jest ciemny; społeczeństwo jest nieświadome (też: niezgłębione).

do tego, żeby moje dziecko uchronić ode złego... cha-cha! A ludzie mówią i piszą, że ja to z nadmiaru miłości bliźniego... cha-cha!... Tak wielkie jest w nas oszustwo, kłamstwo przyschnięte jak spalona skóra... I sam nie mam odwagi powiedzieć, wyznać... Łzę, przybieram pozy, mówię jak kaznodzieja. Wiedział do stary Pascal... „*Nous travaillons incessamment à embellir et à conserver cet être imaginaire et nous négligeons le véritable*”<sup>207</sup>.

\*

Ewa wróciła do swego pierwotnego fachu: została buchalterką zakładów na Majdanie. Miała w budynku administracyjnym oddzielny pokoik z oknem wychodzącym na ogrody, miała biurko, nad nim telefon, który jej nieustannie sygnalizował najrozmaitsze do zaciągnięcia pozycje. Wciąż rozlegał się dzwonek z zawiadomieniem, ile wydojono mleka, ile się blach wydaje do szpitalów i kuchni, ile odchodzi do Kielc, ile na centryfugach wyrobiono cegieł masła, ile i jakich jarzyn odchodzi do sklepów itd. W tej izbie zbiegały się niejako nerwy pracującej góry.

Ewa była szczęśliwa. Prowadziła księgi z pietyzmem i taką starannością, że aż usiłowania jej sięgały granic przesady. Niektóre księgi wykombinowała sama i poczęła prowadzić na własne ryzyko. Udoskonalała rachunki i postawiła je tak znakomicie, że zyskała pochwałę surowego zarządu i oklaski walnego zgromadzenia. Ale największą satysfakcją była dla niej rozkosz wewnętrzna.

Ta praca nowa w przedziwny sposób złączyła się z dawną pracą w biurze kolei. Jak dwie siostry miłujące, te dwie prace stały obok niej z prawej i z lewej strony. Położyły na głowie jej ręce ukojenia. Przyszło ciche zapomnienie. Lekka mgła kryła minione rzeczy i straszny sen, ukryty w ich zgiełku, już ukazała się możliwość, że góra żywota, Skala Tarpejska między jedną a drugą splaszczy się i zginie. Nadejście zapomnienie tak głębokie jak noc głuchosenna. Z tamtego świata nie będzie można nic sobie przypomnieć — ani twarzy, ani imion, ani miejsc, ani zdarzeń, ani żadnej rzeczy, które były, ani żadnego dnia z tamtych dni. Nikogo i nic! Praca tarcieciem nieustającym wyszoruje do cna zgrubienia i rysy pamięci. Napęli się dusza, jak czara z onyksu, dostojnym winem, godnością proletariacką. Pokryją się rany zniewag i strupy hańby — szatą białą. Wtedy wybiegnie na usta modlitwa, jakoby słowy Jaśniacha mówiona:

„O święty proletariuszu! Będę twą siostrą pracującą. Pociągnę już na zawsze jarzmo z tobą. Dwakroć, trzykroć więcej pociągnę! Zegnę się w pałąk, podła, nachylę się aż do ziemi jako hak, nikczemna, com twój chleb jadła, wśród potu i łez w żarnach mielony. Ale mnie już nie zepchnij w dół odtrącenia spojrzeniem pogardliwym, o święty proletariuszu!”

Niejasną marą, cichym snem w całej przeszłości rysowało się jedno miłe wspomnienie: Łukaszowa żona, Róża Niepołomska. Tylko ją jedną Ewa pragnęła jeszcze ujrzeć z tamtego świata. Nie ojca i nie matkę pragnęła ujrzeć, lecz właśnie ją. Na wspomnienie ojca drżały jej nogi i lodowaty strach ducha, boleść-odraza spadały na serce. Do Róży wzdychała całą duszą.

Śniło się, że ją spotka na jakichś skalach, na zachodnim brzegu Korsyki. Strome tam będą w błękitnym morzu leżały zręby. Od strony wiatru będzie fala, a w zaciszach skalnej ostoi woda nieruchoma, ciemnozielona jak rozlana oliwa. Daleko będą mewy kraczące, a dookoła w szczelinach spalony potworny kaktus, mlecz dziki wyrosły w krzew, mirt wysoki. Gorzki ich zapach otoczy skronie. Na ścieżce kamienistej, która się wiję chyłkiem, niewidzialna, biegnie, leci w pętlicowe zakosy spada do dołu jak lot mewy — spotka Różę. Usiądą na kamieniu, który się sypie w dół. Będą patrzyły w morze dalekie, w morze zachodnie, na gwiazdy, którymi słońce zasypało morską drogę. Będą patrzyły na zaloty pian do spieczonych skalnych ust, na ich ognisty zalew, odpływ i szum. Będą patrzyły, jak drzewo oliwne pnie się w górę, jak samotny osioł szczypie suchą trawę, a pracowite muchy unoszą skarby z traw... Bo jeśli Róża mogła z nienawiści utworzyć przebaczenie, z radości cichy smutek, z zemsty miłość pokorną, to może i w niej wszystko stare wygaśnie, a spalenisko, gdzie się przewalał ogień zbrodni, pokryje młoda trawa odpuszczenia.

<sup>207</sup> *Nous travaillons incessamment à embellir et à conserver cet être imaginaire et nous négligeons le véritable* (fr.) — pracujemy nieustannie nad upiększeniem i utrwaleniem owego wyobrażonego bytu, a lekceważymy prawdziwy.

Mijały tygodnie zacieklej pracy, kiedy nie pozwalała sobie na chwilę wytchnienia, na najłżejszy cień rozrywki. Wówczas także odmawiała sobie marzeń o Róży i odsuwała je na godziny wieczorne. Dopiero późnym wieczorem, gdy wracała do swej izdebki, otwierały jej myśli niejako flakon pachnący i serce oblewało się zapachem. Nosila w sobie pragnienie, żeby napisać... Pamiętała jeszcze dawny adres, ale czy ona tam mieszka? A po drugie: czy żyje? Nieraz, ocknąwszy się w nocy, wymawiała wprost ze snu ów list (drugi). W pierwszym miało być tylko zapytanie — czy nie chciałaby Róża jej odpisać. A gdy się zgodzi, wówczas ów drugi list. O Łukaszu, że go zapomniała... Sprawić Róży radość, podać jej kwiat korsykańskiej róży, zerwany na skale stromej! Podać go nad dalekim zapomnienia morzem. Wyjąć z korzeniami z ziemi spalonej... To sprawi naprzód radość. A potem zepchnie duszę w zadumanie, w przestrach, w wysoką, płomienistą trwogę. Będzie szła po stromej korsykańskiej ścieżce. Tam się spotkają ich dusze, jako dwa orły wypuszczone ze wschodu i zachodu przez boga starożytności, które trafiały do świątyni delfickiej. Róża białymi, przezroczystymi rękoma zakryje czystą twarz i zechce zakryć rozum, którego symbolem są jej czyste oczy, i zapłacze, zapłacze nad strasznymi kolejami człowieka. Och, wtedy!...

Upaść na kolana przy jej nogach, objąć rękoma jej kolana, a potem odjąć łagodnie jej białe ręce, osuszyć oczy. Zatopić radosne oczy w jej oczach, wywołać uśmiech na ustach. Wskazać jej na rozkosz bytującą w morzu, na wielką siłę, która nie daje nam umrzeć, która wzywa nas ku tej wielkiej drodze, jaką już morze przebyło i jaką jeszcze przebędzie.

Jednego jej tylko nie powie — Róży — jednego! O dziecku i o Szczerbicu! Nie! Nie, to z nią zostanie na zawsze, jak skała ukryta w morzu. Gdyby to wyjawiała Róży, już nic nie byłoby na ziemi, już nic a nic...

\*

Za żywopłotem otaczającym ogromną przestrzeń ogrodów, w których mieściły się „majdanki”, ciągnął się las przeważnie brzozowy, a w nim tu i owdzie połyskiwały białe domy. Cała ta leśna przestrzeń zwała się „Mazurkowe”. Nazwa przyłgnęła do miejsca od nazwiska lekarza, Jana Mazurka, który ten obszar miał w opiece. Były to kolonie chorych na gruźlicę.

Dr Jan Mazurek gdzieś na świecie, w Paryżu czy w Londynie, zetknął się Bodzantą — i tam go, zdaje się, obrobił, czyli „spropagował”. Od chwili tego spotkania szli razem. Bodzanta nadał doktorowi (aktem zresztą niepisany) całą przestrzeń leśną „oraz przyległe parowy” za majdańskimi płotami. Były to wertepy, gdzie od niepamiętnych czasów lisy miały swe jamy, a z rzadka zachodził nieopatrzny wędrowny zajęc. Wertepy były urocze, pełne bajecznych osypisk, osłoniętych brzożami i sosną, zwrócone wylotami swymi na południe i w dół, a od północy zasłonięte łańcuchem gór. Tam to doktor Mazurek rozpostarł swe „lary i piernaty”, rozwinął się wszcz i wzduż.

Pierwiastkowo, jeszcze z funduszków Bodzanty wznosił był sanatorium dla robotników „dotkniętych” suchotami. Gdy kasa Bodzanty wyczerpała się, sam sobie radził. W sanatorium leczył „przypadki” cięższe. Formy lżejsze kurował w domkach, które wznosił bez przerwy. Skąd brał pieniądze — o tym można by tomy pisać. W takim domku, który miał zawsze ściany cudacznie wysokie, okna monstrualne i inne higieniczności, były od południa werandy dla chorych, a od wschodu odosobnione pokoje dla rodzin. Rodziny zjeżdżały razem z chorymi. Dzieci szły do szkół różnego rodzaju (frelbowski, elementarnych i dwuwyziałowych), a żony i dzieci starsze pracowały w halach. W halach zbudowanych wyżej na jednym ze wzgórków dr Mazurek wespół z Bodzantą wytworzył najrozmaitsze zajęcia. Rozwinięto tutaj szkołę-fabrykę wyrobów artystycznych pod kierunkiem pewnego rzeźbiarza. (Dr Mazurek był maniakiem mniemania, że ludzie chorzy „powinni” zajmować się sprawą sztuki, że chorzy posiadają głębszy świat odczuwania i szerszy zakres widzenia w świecie ducha, nieznanym ludziom zdrowym...) Niektóre roboty (wytłaczania artystyczne oprawy, wypalania na drzewie itd.) wykonywali sami chorzy, o ile, oczywiście, Mazurek znalazł, że mogą. Nadto rodziny chorych stanowiły płatną obsługę sanatorium (dozorczynie, praczki, pomywaczki itd.). Instytut na „Mazurkowem” rósł i w oczach niemal tworzył cudaczne osiedle, półprzemysłowe, półsanatoryjne. Ludzie zwaleni z nóg przez chorobę nie byli tam wyrwani ze świata i odrzuceni na półmentarz,

nie umierali w próżni, lecz żyli jeszcze wśród szczęścia półpracy, w pobliżu rodzin, aż do ostatnich chwil.

Dr Mazurek był to szczupły, szary człowieczek, z bródką zaciosaną w ostry klinik, ze śpiczastym nosem i oczami tak ukrytymi w szczelinach powiek, że ich prawie nie było widać. Dr Jasio był to najzawołanszy „kawalarz”, niezrównany facecjonista, zawsze parszczący śmiechem, zabawnym, nienasyconym chichotkiem. Nawet wówczas, gdy *padlec*<sup>208</sup> lasecznik tryumfował nad „wiedzą”, a figlarna kostusia zdmuchiwała najciekawszy *cas*<sup>209</sup> i doktor przychodził wysłuchiwać ostatnich rzężeń, i wówczas jeszcze kładł nie-szczęśnikowi do ucha jakieś wesołe opowiadanie, śmiał się do niego szpareczkami swych oczu... I niejeden, niejeden odszedł z uśmiechem na wargach, z westchnieniem wesela, nawianym przez paradny „kawał” doktora Mazurka. W sanatorium wiecznie był na korytarzach, w kuchniach, zawsze w ferworze, zapale, zawsze spocony i zajęty. Małe jego oczy widziały wszystko, a szybkie kroki obiegały codziennie całą tę ziemię płoną. Sam również „wykpiwał się” z dnia na dzień *padlecom* lasecznikom, zadawał im bobu, czyli fernepiksu, świeżym powietrzem i mleczymem, które chlepał w pośpiechu, to tu, to tam, w drodze, „jak notoryczne cielę”.

W początkach swego majdańskiego zawodu nie miał nawet felczera, a na głowie z górą stu chorych. Później „zwalił mu się na łeb” felczer (z oszczędności panny Marty ufundowany), przywędrowały siostry miłosierdzia i „oblażył go”, „czepiał go się jak rzypień psiego ogona” zawsze jakiś student kończący, jakaś „altruistyczna bryndza”, a koniec końców do tego doszło, że zwłókl się drugi lekarzyna, potężnie już nadgryziony przez gruźlicę, dr Wiński. Zadeklarował swe usługi w zamian za prawo werandowania przez tyle a tyle godzin, w zamian za jadło („ryba, dwa mięsa”) i pokój od południa. Oczywiście że go dr Mazurek „wyzyskał” do ostatniego, jak „najpodlejszy właściciel lombardu na Powiślu”, i puścił w ruch. Zaczęli tedy we dwu pilnować prawidłowego leżenia, słuchać kaszłów i patrzeć w plwociny. A tymczasem nędza wlokła się na Majdan. Bety, dzieci, baby i — kaszel ojcowski, kaszel bez końca. Siaki-taki gędziolił:

— Wszystko już, proszę pana doktora, lepiej, jakby człowiek był całkiem zdrów, sił okropnie przybyło, tylko jeszcze ten kaszel tak jakby troszeczkę...

— E no, kaszel troszeczkę... bo tak należy, *po zakonu*<sup>210</sup>!... To drobiazg. Ona ta przejdzie, tylko żeby się ociepiło...

— Bo tak nawet czasem jakby jakoś nacichł... Ale znowu padnie płucie albo i ze krwią...

— A bo, powiadam, jak całkiem przejdzie, to właśnie będzie sama pora. Wtedy pogadamy — co? Bo cóż to właściwie, towarzyszu, kaszel? Żeby tak między nami... Wszyscy kaszlemy.

— Właśnie i ja tak sobie mówię, że który nie kaszle, Boże Panie! Nawet i tych potów jakoś mniej nocami...

— A co — nie mówiłem? A skoro tak, no, to hajda na leżak!

W parę miesięcy po swym przyjeździe Ewa poczęła przekradać się do sanatorium. Uprosiła doktora Mazurka, żeby jej pozwolił być nocną, bezpłatną dozorczynią przy najciężej chorych. Uczyniła ślub, że będzie czuwać przy każdym z umierających. (To na intencję Jaśniacha i za karę, że przy nim nie była.) I wypełniła świącie. Co pewien czas doktor telefonował do budynku administracyjnego:

— Siostra Magda... numer tak a taki „ma się ku kogutkowi”... Godzina ta i ta...

Ewa zabierała się na noc. Wchodziła do numeru cicho jak duch, siadała przy chorym i spełniała najtrudniejsze posługi, cieszyła opowiadaniem, zagadywała spełniające się dzieło, uciszała widziadła gorączki i bezsenności.

(Mógłby kto sądzić, że to poszukiwanie rozkoszy było aktem miłości chrześcijańskiej. Oto czasem, gdy o poranku błada i na pół świadoma skłoniła głowę na poręcz łóżka, śnił się jej prędko sen, że Jaśniaszek-poeta nie umarł, że leży na łóżku skurczony i śpi, a to ona właśnie sen na jego bolesne powieki z niebios zwiódła. I wówczas słodkie lzy szalonej rozkoszy płynęły na splecione białe ręce).

<sup>208</sup>*padlec* (z ros.) — niegodziwiec.

<sup>209</sup>*cas* (fr.) — przypadek.

<sup>210</sup>*po zakonu* (z ros.) — według prawa.

\*

Ewa otrzymała pozwolenie odwiedzania najdalej położonego ogrodu (zwanego Łąką Marty), gdzie mieściły się szkółki i szkoły zostające pod patronatem Bodzanty. Był tam dom ochroniarski, dom wychowawczy i szkoła. W domu wychowawczym umieszczano dzieci ludzi bardzo chorych, sieroty wzięte już to ze szpitalów<sup>211</sup> po miastach, już to nieprawe, znalezione, podzruczone, słowem „znajdy”. Dzieci tam chowały się razem (chłopcy i dziewczęta), uczyły się, bawiły się, pracowały razem.

Nie wszyscy mieli prawo wstępu na Łąkę Marty. Marta była jedną z ochroniarek, miała wydział muzyki i śpiewu. Skoro przypadła lekcja muzyki w ochronie albo którejkolwiek ze szkół, Marta brała Ewę ze sobą. Sama szła szybko, gaworząc, perorując, rzucając płomienie świetlistymi oczyma. Piosenka rodziła się na jej ustach, zanim przekroczyła próg ochrony i zanim, siadłszy przy fortepianie, dawała znak do cudnego dziecięcego chóru...

\*

Zdarzyło się w czerwcu następnego roku, że Ewa była w Głowni. Wypadło jej tam udać się osobiście dla zestawienia rachunków z księgami muzeum społecznego. W tym samym czasie bawił tam od kilku tygodni Bodzanta. Ewa nie wiedziała wcale o jego obecności. Zajęta prawie po całych dniach w muzeum, wychodziła kiedy niekiedy na spacer po parku. Podczas jednej z takich porannych wycieczek zobaczyła z daleka dawnego władcę „głowieńskiego państwa”. Siedział na brzegu stawu zajęty karmieniem łabędzi. Ewa chciała przesunąć się niepostrzeżenie w boczną ulicę, ale ją Bodzanta zauważył i poprosił znakami, żeby przysła do niego.

W miejscu tym był jakowyś dawny taras, rodzaj amfiteatru ułożonego z ciosowych głazów, spojonych ołowiem czy żelazem. Stopnie, które krok kobiecy ledwo mógł ogarnąć, szły aż do samej wody. Bodzanta siedział na jednym z tych kamieni. Dokoła szumiały prastare drzewa. W oddali nad wodną taflą widać było zwisłą srebrnolistną iwę. Dwa łabędzie, czarny i biały, wymijając się uroczo, raz w raz podpływały do kamiennego bulwaru, żeby chwycić kawałki chleba, które im rzucał dawny ich pan. Gdy Ewa zbliżyła się do samej wody, spostrzegła mnóstwo grubych, ciemnych karpi, które również chwyciły pożywienie. Otwierały się ich żarłoczne, okrągłe paszcze i z ciapaniem nieustającym połykały rozmięktą papkę chlebową. Słońce sypało żarem i lśniło siarczystą huską na ruchomej chelbi wodnej. Czasami głośniejsze westchnął wiatr.

Ewa usiadła na stopniu i poczęła patrzeć na uwijające się ryby, na piękne zwroty łabędzi. Cieszył ją bezmyślnie widok pożerania jądła przez biedne wodne stwory. Zamyśliła się i zapatrzyła. Była nie tam, lecz gdzieś daleko. Nie o tym myślała, co widziały oczy, lecz — można by tak rzec — o wszystkim. Przypatrywała się jedzeniu, a myślała, czym ono jest na świecie bożym. Mierzył ją, jakby świerzbiał ten widok, ale i zachwycił. Budził tajemną duchową odrazę, ale zarazem przerażał swoją silną pięknnością. Rzuciała sama okruszyny rybom i z przyjemnością słyszała syk łabędzi, usiłujących odegnąć ryby, wydrzeć im jądło. Ich długie, piękne szyje wciągały się jak arkany z grubych lin, dzioby się rozwierały nad ciemnymi grzbietami karpi.

Długo trwało milczenie. Naraz Bodzanta rzekł z jękaniem, które go opanowywało zawsze, gdy był mocno wzruszony:

— Ta woda... ta woda, po której pływa biały i czarny łabędź... Mijają się na wodzie, jak dzień i noc. A zawsze... zawsze do mnie o to jądło wyciągają szyje...

Ewa pojęła, że on mówi prawie o tym samym, co ona myślała. Z podwójną też uwagą wsłuchiwała się w dalsze jękowanie wyrazów:

— Czarny i biały łabędź... łabędź rzuca, każdy z osobna, odbicie swoje w zmącone lustro myśli...

— A kiedy tego nie rozumiem...

Zaśmiał się głośnie, zachłysł się śmiechem mówiąc:

— Ależ bo nie mogę odpowiedzieć... po com ja to wszystko... to wszystko zrobił...

— Ach! — krzyknęła jak ukłuta nożem.

<sup>211</sup>szpitalów — dziś popr. forma: szpitali.

Mówił do niej, ale i do łabędzi, wciąż śmiejąc się załawionymi oczyma i błyskając białymi zębami:

— Zastawiłem ucztę nie gorszą wcale niż Pompeius Trimalchio<sup>212</sup> — cha-cha... Jedzcie i pijcie, przyjaciele! A czy też będziecie, przyjaciele, jak Ascylos, Giton, jak Habinnas i Fortunata? Czy niższa była ambicja Trymalchiona-dorobkiewicza od mojej wielkopańskiej, któż mi odpowie? Któż mi odpowie, dlaczego zastawiłem tę ucztę Trymalchiona?

Ewa przysunęła się bliżej i patrzyła mu w oczy, gdy mówił:

— Gdy kto spogląda na posąg wyrzeźbiony, gdy widzi, jak jest nieruchomy a nieskazitelny, czy wie, jak dłoń rzeźbiarza wzdrygała się z wściekłości przed kamiennym kłosem, jak się wysilała od bólu i prężyła od wybuchów woli, jak się z szaloną tęsknotą wyciągała ku wizji, którą wcielić powzięła szaleństwo? Kto wie, jak ze strudzenia mdlała podczas długich godzin, kiedy nędznym rylcem silila się jałowy kamień przemienić na płonący, błędny a wieczysty ogień? Gdy kto patrzy na posąg spokojny, niech przez chwilę pomyśli o straszliwym niepokoju dłoni, niech wspomni o drobnych pociągnięciach ręki, w których się huragan uniesienia rozproszył. Lecz co jest wewnętrzny huragan? Czemum ja to wszystko wykonał? Powiniennem się cieszyć i śmiać... A ja jestem znudzony... znudzony... Bo, powiedz mi, czyż ja to chciałem zrobić?...

— Niech mi pan powie wszystko, całą prawdę! — rzekła cicho, nachyliwszy się ku niemu. — Niech pan się zmoże, przezwycięży i powie prawdę.

Oczy jego biegały po powierzchni wody i suszy, skacząc to tu, to tam, jak oszalałe rumaki spuszczone z uździenicy. Powiedział zimno:

— Przez ból posiadania dostępuje się łaski utraty. Przez łaskę utraty dostępuje się bólu posiadania. To jest wąż starożytnych, który oplata koło naszego życia. Nudzą mnie moje cnoty... Oto masz prawdę najgłębiej schowaną.

— Ja nie mam żadnej już własności, prócz jednej tajemnicy. Chciałabym dostąpić łaski jej utraty...

— Powiedz ją, powiedz! Dawno na nią czekam...

— Zabiłam swoje dziecko...

Oczy Bodzanty spłonęły dzikim ogniem, jakby ogniem zachwytu.

— Pan znał niejakiego Zygmunta Szczerbica?

— Znałem... Zygmunta... Szczerbica...

— To ja go w Wiedniu zabiłam.

— Ty go zabiłaś...

Zza łez patrzyły na Bodzantę oczy zabite, tajne oczy męczarni, których wyrazu mowa nie wypowie, których wyrazu nikt nigdy wyjawić nie zdoła żadnym z ludzkich sposobów, na których uniesienie i ból nikt nigdy równą miarą uniesienia odpowiedzieć nie może. Nachylił się ku niej i szeptał:

— Do słońca wnieśmy serca. Niech na nas światło upragnione zlewa i ducha odradza. Niech się potoczy po ziemi lazurowy uśmiech wesela!

Słuchała zdumiona łoskotu własnego serca. Patrzyły na nią oczy, których już tak dawno nie widziała, oczy zachwytu pełne i żądz. Okropne, odtrącające zdumienie pchnęło ją z miejsca. Porwała się na nogi, chwyciła prawą ręką lewą rękę, jakby szukając ratunku. Usta jej wygięły się do okropnego krzyku, jak u małego dzieciątka, włosy zjeżyły się nad czołem, a twarz pokryła trupia błądź. Odraza wzmagała się i przechodziła we wzdrygnięcia cielesne. Oczy z wolna zawściągnęły się powiekami i szloch suchy rozdarł piersi.

\*

Odkąd Ewa została sekretną nałożnicą Bodzanty, rozprysła się dla niej dziwna tęcza, zataczająca wielobarwny łuk nad wzgórzem Majdanu. Wszystko przygasło...

W skwarny letni wieczór szła z ogrodu chorych gruźliczych ku budynkowi administracyjnemu. Był już gęsty zmierzch. Krzewy zarysowywały się w oczach, jako ciemne plamy o mglistych konturach, drzewa były nieruchome, uśpione, parkany ginęły już

<sup>212</sup>Pompeius Trimalchio, Trimalchion — bohater *Satyriconu*, awanturycznej powieści z czasów rzymskich, której autorstwo przypisuje się Gajuszowi Petroniuszowi (27–66); Trimalchion jest typem nowobogackiego.

w mroku. Ewa była niespokojna, rozdrażniona, trwożna. Czula, że obok niej pełza niedola, bolesny cień. Z odrazą myślała o tym, że może właśnie tego dnia Bodzanta...

Kiedy zbliżyła się do głównego wejścia, w blasku elektrycznej kuli ujrzała stojącego na kamiennych schodach jakiegoś człowieka. Zadrżała od przeczucia, że ten człowiek na nią oczekuje. Miała w sobie szalony impuls, żeby się rzucić w bok i, zniknąwszy w gąszczach, ujść... Ale ów człowiek spostrzegł ją i powoli zstępował z kamiennych stopni. Szedł ku niej po zgrzytającym piasku. Pchnięta siłą wewnętrzną, podeszła. Wnet go poznała. Był to Płaza-Spławski.

Jego stanowcze, wykwintne, wojskowe ruchy były jedyne na świecie. Zanim się zwrócił z Ewą i zanim mogła ujrzeć jego twarz, już była przezeń opanowana. Głos w piersi zamarł. Wola zgasła. Spławski uklonił się nisko, bezgłośnie, po czym zwrócił na prawo w kierunku drzwi prowadzących do sali oficjalnych przyjęć. Szła tam za nim. Mijając się, rzęsiście oświetloną, spostrzegła, że Płaza nie ma na sobie dawnego ubrania, lecz przeciwnie, jest suto i elegancko ubrany w kostium skrojony z angielska. W wybitym oku tkwił monokl. Na rękach ciemne rękawiczki. Wpuścił Ewę do saloniku, zamknął drzwi i jeszcze raz skłonił się nisko. Ewa spoglądała przygaszonymi oczyma na jego twarz spaloną teraz od słońca, złotawą, jednolitą, co czyniła zeń jakby Mulata czy Metysa. Doznała wrażenia, że on jest tylko na poły człowiekiem, i drżała wobec jego woli. Wygodne jego odzienie, wysoki, biały kołnierz koszuli modnie wywinięty, jasny krawat z brylantem dziwnie odbijały od tej twarzy suchej, gołej, ciemnej, mistycznie zatopionej w otchłani woli, twarzy proroka czy wodza... Miała gardło tak ściśnięte, że nie mogła wymówić słowa. Blaski szybkie i słabe migały w jej źrenicach. Przybysz poprosił ją ruchem spokojnym, żeby usiadła. Spełniła to posłusznie. Wówczas, sam nie zajmując miejsca, rzekł cicho, jakby z radością, dla nasycenia jej radości:

— Przychodzę do pani na skutek zleceń Łukasza Niepołomskiego...

— Łukasza Niepołomskiego... — powtórzyła poddając się radości, ale nie mogąc na razie pojąć, co to nazwisko oznacza.

— Mam od niego do pani list.

— List od Łukasza? — westchnęła, budząc się ze swego snu.

Sięgnął ręką drżącą ze wzruszenia, jakby od wewnętrznych łez drżącą, wydobyl przesłiczny mały portfel i wy dostał list. Obejrzała adres zaklejonej koperty i poznała pismo Łukasza. Rozdarła ją i poznała pismo Łukasza wewnątrz. Zaczęła czytać.

„Nie wiem, jak się przed tym obronić, co myśleć, jak żyć dalej. Napisz, że zapomniałaś, że źle wspominasz, że ze wzdargą — może to wszystko uciszy we mnie straszny stan smutku. Im silniej chcę zapomnieć, zatracić w sobie wspomnienia, tym silniej one opanowują duszę. Tracę możliwość rozumowania. Zawsze widzę Ciebie, czuję Cię przy sobie, pragnę być z Tobą. Powinienem zabić w sobie te myśli, nie mogę żyć z nimi dłużej, znoszę męczarnie. Całe szeregi przywidzeń, rojeń o szczęściu, o oddaniu się do ostatniej kropli Tobie jednej, ukochanej mojej kobiecie. Nie wiem, czy Kocham Ciebie, czy tylko moje wyobrażenie o Tobie, czy jestem obłąkany, ale życie moje rwie się w strzępy, a każdy strzęp broczy krwią. Mogę żyć tylko w bezwzględny oddaniu się, a nie mam nic, co bym mógł ukochać, jestem związany, dopuszczam się występku...”

Zaledwie jakiś piąty, dziesiąty wyraz wpadał do świadomości, lecz wpadał jak wybuchowy pocisk. Uczuła ściskający wzdłuż ciała spazm szalonej miłości, objęta została przez oślepiającą jej mgłę, przez jej dziką i wiecznie młodą namiętność, przez jej furię szaloną i pożądanie znajomej rozkoszy... Wdychała słowa listu, wciągała je w siebie oczyma, jak kwiatową woń. Zgłodzona dusza połykała „jego” słowa, słowa prawdziwe, mowę swoją własną, pochłaniała je jako swój żer. Czytała po raz drugi z góry na dół i znowu... Pewne pytania... Krzyki w piersiach... Usłyszała w uszach jego głos, brzmący za górami, za morzami...

„Łukasz woła...” — marzyła wśród mrowienia rozkoszy. — „Uwolni mię od Bodzanty. Nareszcie! Niech się potoczy po ziemi lazuruowy uśmiech wesela!”

Łzy szczęścia, palące jak płomienie, płynęły z jej oczu. Ogień spływał po policzkach, po ramionach...

— Czy pójdzie pani ze mną? — zapytał Spławski.

— Dokąd?

— Do Niepołomskiego.

- A czyż pan wie, gdzie on jest?
- Oczywiście. To mój przyjaciel.
- A więc pan go widział?
- No, jakże. Toż list...
- Pan go widział teraz?
- Widziałem.
- I on chce mię widzieć? Łukasz Niepołomski?
- Tak.
- Pójdę!
- Dziś.
- Dobrze.

W chwili, gdy się ta rozmowa toczyła, do sali wszedł przypadkowo Bodzanta. Ogromna jego postać zagroziła drzwi. Stał przez chwilę bez ruchu, pilnie patrząc w Splawskiego. Po pewnym czasie rzekł głośno, swoim zwyczajem:

- Przecie to jest ten Płaza-Splawski...
- Witam pana... — rzekł przychodzień.

— I ten w Majdanie? No, to już koniec świata bliski! Czy tylko czasem nie chcesz szukać tu schronienia i rozpocząć pokuty? — krzyczał co sił.

— Jeszcze nie, ceklarzu<sup>213</sup> nierządnic... — odpowiedział Płaza. — Jeszcze pragnę parę chwilek przeżyć bez chomąta cnót, którym ozdobiony chodzisz w szanownym kieracie.

Bodzanta nachylił ucha, powtarzał wargami słowa tamtego, później zbliżył się i patrzył mu w oczy z odległości kilku cali.

— Wolisz — mówił z cicha — brnąć z rozpusty w rozpustę, szukając sposobu na zabicie nudy.

- Co do nudy — to ty jej z pewnością więcej dziennie zażywasz niż ja.
- Cóż twe amerykańskie i mandzurskie kolonie — che-che-che!

— Nic, che-che-che, prosperują. Przyjedź znowu do Ameryki, to ci je pokażę. Pohulamy.

- Jużem, widział, szanowny milionerze, i mam póty!

— Nie widziałeś, proletariuszu, che-che, „jednostko z ludu”, ani dziesiątej części. Gdy zostanę jednym z królów Ameryki środkowej, na początek, dajmy na to, copperkingiem<sup>214</sup>, zaproszę cię odręcznym pismem.

— Nie przyjadę. Mam dosyć. Znam przecie wszystkie wasze radości, gościnnie Lycasie Petroniusza.

- A cóż — znalazłeś nowe w tym zbieraniu po świecie odpadków i niedopałków?
- Znalazłem.

— Więc przynajesz, że szukałeś rozrywki, zadowolenia próżności, zabijałeś jałowy dzień tak samo jak ja?

- Tylko bez domieszki krzywdy ludzkiej, uważasz — krzywdy...

— Ale z nieustannym apetytem na wdzięczność ludzkiego stada, czym ja znowu gardzę jak chłopskim żurem, razowcem, potem i zaduchem. Wyglądasz mi jak źrebiec dostojnej rasy arabskiej, który by powziął pasję upodobnienia się do krzywych szkap fornałskich na pastwisku, w tym celu kazał sobie dla zasady solidarności spętać przednie nogi, żeby, broń Boże, nie biegać zbyt szybko. Skaczesz w twojej pętaczce... Nie dość jeszcze jesteś odrażający, zbyt mało jesteś podobny do twoich szkap na pastwisku...

— Dowcipnie to powiedziałeś... Eh, żebyś wiedział, jak dowcipnie! Ale ten dowcip jest pusty. Gdybyż w nim było ziarno jak w kłosie pszenicy! Kłos to pełen murzu śnieci. Myślałem, że cię już gdzieś zatłukli ludzie przez ciebie skrzywdzeni.

— Nie tak to łatwo! Kto wychodzi na tygrysa polować, dobrze się musi namyśleć i uzbroić.

— I cóż z tego, drapieźny człowieku, który zapuszczenie sobie tygrysiich pazurów, ślepiów i ogona uważasz za najgodniejsze człowieka? I cóż z tego? Przecie zabiją cię w końcu. Wytropi cię ich przebiegła zemsta i zakopią cię w ziemi, gdzie zgnijesz. Bo zgnijesz, co? A pamiętaj, pamiętaj, że ani jedno westchnienie po tobie nie zostanie. To jest ważne,

<sup>213</sup>ceklarz — pacholek miejski pilnujący porządku; ceklarze zajmowali się m.in. wylapywaniem żebraków, prostytutek i włóczęgów.

<sup>214</sup>copperking — król miedzi (o monopolistycznym przedsiębiorcy).

pamiętaj! Przekleństwa zaś ludzkie, jak najczujniejsze ogary, będą najłżejszy twój ślad tropiły po ziemi.

— A tobie o te westchnienia głównie się rozchodzi. Mnie nie trzeba szukać, póki żyję, bo sam wychodzę naprzeciwko psiarni przekleństw, żeby wiadano na świecie, jak się przekleństwami i błogosławieństwami pogardza. Wychodzę sam przemierzać wolą *terras tractusque maris coelumque profundum*<sup>215</sup>.

— Co ty wiesz o wielkości człowieka, co wiesz! Widzę ze smutkiem, że jeszcze nie zacząłeś myśleć.

— Myśleć! Toż z nas dwóch chyba ja jestem człowiekiem, który przez całe życie swoje myślał, podczas gdy ty jesteś człowiekiem, który wciąż szczerze ufał ludziom, a teraz głęboko wierzy. Poweźmijże, nieszczęsny, pierwszą w życiu myśl! Myśl o tym, jak to ciebie sponiewierają ci właśnie, w których służbie jak lokaj biegasz, jeśli tej hołocie nie tak właśnie usłużysz, jak to jej się jedynie i najbardziej podoba!

— „Lepszy jest pokarm z jarzyny, gdzie jest miłość, niżeli z karmnego wołu, gdzie jest nienawiść”.

— Teksty szanowne! Ja ci tekstem za tekst zapłacę: „Wojna i męstwo uczyniły więcej wielkich rzeczy niżeli miłość bliźniego. Nie litość, lecz waleczność ratowały dotychczas w potrzebie będących”. Zaprzecz! Mój tekst zawiera się w wersetach wydobytych ze mnie samego. Zgoda ze samym sobą płodzi siłę. Ale to samo wykryły najmądrzejsze lotry, kapłani Izzyd z Memfis: „Znajomość rachunku i sztuka wytwarzania woli są to dwa klucze magii, które otwierają wszystkie drzwi wszechświata”.

Bodzanta przez chwilę milczał, jakby zbierając siły. Zaczął mówić pospiesznie, coraz głośniejsze:

— Gdy młodociany Kryszna ściał błyszczącego węża w świątyni Kali, a uciętą jego głowę trzymał w ręku, rzekł mu wąż: „Czy myślisz znaleźć prawdę przez zabijanie żyjących? Bezrozumny! Nie znajdziesz jej inaczej, tylko przez zatracenie siebie. Skon jest w żywocie, a w śmierci żywot!”. Widzisz, pyszałku, że należy siebie zatracić. Z każdego momentu mojej zraty urasta skarb mego serca, moja najdroższa ojczyzna. Tak to w śmierci jest żywot.

— Nie obdarzaj mię swymi „prawami”, bo ja ich wcale nie szukam... — ze śmiechem mówił Plaza-Splawski. — Od dawien dawna wiem, że prawdy nigdzie nie ma. „Prawda”! Zbiory bajek i anegdot. Jedyna prawda zawiera się w użyciu rozkoszy, a najwyższa rozkosz zamknięta jest w męstwie. Męstwo wychodzi na płaski świat samo jedno przeciwko całemu okręgowi, przeciwko wszystkim ludziom i wszystkim ich wierzeniom.

— Posłuchaj, ty „mężny”! Oto jest istota rzeczy: przygotowuję moją, jak mówisz, służbą rewolucję przeciwko tobie, chociażbym ani słowa o tobie nie wyrzekł. Bo dzieło moje przeistacza, a nawet stwarza dusze ludzkie.

— Rewolucję! Bajeczne złudzenie... Dziękuję ci za nie. Nie wiesz, mężu, co jest rewolucja i jakie ona daje rezultaty? Sądzisz, że mnie pochłonie jakakolwiek rewolucja? Wierz mi, że się mylisz. Rewolucja jest najzawilszą umiejętnością, której nie byłyby w stanie ująć w formułę umysły wszystkich razem Heraklitów i Empedoklesów, Helmholtzów, Du Bois Reymondów, Thomsonów, Jamesów Clerków Maxwellów, jeżeli się zabiorą do jej traktowania jako zjawiska podlegającego dokonaniu. Natomiast ja jeden wiem, czym są rewolucje, ponieważ ja je stale stwarzam. Ja z rewolucji żyję, a ona żyje ze mnie. To też kiedy się zjawia przed oczyma ludzkimi, gapie wskazują na ciebie, wołając: *auctor*<sup>216</sup>! A wówczas, w tejsze chwili, ja z niej korzystam, pocziwy małżonku z komedii Machiavellego, który wierzysz w mandragorę, lekarstwo na sposób poczęcia dzieci przez dziadów z kobiet młodych, tęgich i pełnych żądz. Słyszałeś?

— Ewo, idziemy!

— Idziemy... — rzekła powstając z miejsca.

— Ewa idzie... z tobą? — zachłysnął się Bodzanta...

— Tak. Dość ma waszego blekotu cnoty.

Bodzanta pochylił się, jakby miał biec ku Ewie. Wielka jego figura zakolysała się naprzód i w tył. W owej chwili Ewa tylnymi drzwiami wyszła. Za nią Plaza-Splawski.

<sup>215</sup>*terras tractusque maris coelumque profundum* (łac.) — ziemię, głębie mórz i bezkres nieba.

<sup>216</sup>*auctor* — sprawca, autor, twórca.

W Warszawie, wbrew obietnicom, nie zastała Niepołomskiego. Zapewniano ją, że przyjedzie lada moment. Zastała natomiast Pochronia. Ten był w ostatniej nędzy. Mieszkał w izbie na czwartym piętrze. Szło się do tej izby po krętych kamiennych schodkach. Izdebka była ciasna, tuż pod dachem, niska, z oknem wychodzącym na cuchnące podwórze-studnię. Na domiar złego Pochroń był ciężko chory.

Gdy Ewa przysłała tam po raz pierwszy w towarzystwie Płazy-Splawskiego, było jej na tym poddaszu tak duszno, że ledwie mogła dech złapać. Pochroń przywitał ją obojętnie. Gdy spytała, gdzie jest Niepołomski, odrzekł najspokojniej, że na wyspie Celebes. Gdy zaczęła czynić wyrzuty, czemu ją wyrwano ze wsi i tu przyprowadzono, obadwaj odpowiedzieli, że może sobie tam wracać, jeśli jej się podoba. Zresztą Płaza zaproponował jej „do czasu” mieszkanie u siebie albo apartament oddzielny. Gdy dziwiła się tak wielkiej odmianie fortuny — bogactwu Płazy i biedzie Pochronia, odpowiedziano, że ostatniego spotkały grube nieprzyjemności i niepowodzenia. Prawdopodobnie wskutek tych niepowodzeń meldował się w tym okresie czasu jako Stanisław Kozielski. Miał długotrwałą gorączkę. Po całych dniach leżał na wznak z oczyma wlepionymi w sufit. Ani jedno słowo nie wychodziło z jego ściśniętych ust. Czasem westchnienie... Na najpierwsze potrzebyłożył (skąpo!) Płaza.

Najczęstszymi gośćmi i jedynymi przyjaciółmi byli w tym lokalu trzej młodzieńcy, których Ewa poznała zaraz pierwszego dnia.

Pierwszy z nich był to chłopiec lat dziewiętnastu, gołowąs, blondyn, niebieskooki. Stał zawsze przy ścianie, oparty o nią, jakby się lękał o całość swoich pleców. Gdzie stał zresztą, tam sterczał godzinami bez ruchu, bez kaszlu, bez głosu, patrząc przed się w przestrzeń. Oczy miał przejrzyste, ogromne, bez żadnego wyrazu, jak woda w morzu. Włosy zaczesane „na jeża”, mina chłopczyńska i nieruchomość czyniły zeń figurę zabawną, coś w rodzaju chłopaka ze szkoły elementarnej.

Drugi z kolei był zupełnie inny. Daleko starszy, ospowaty, z kłakami zwisającymi na czoło i oczy, nie patrzył nigdy na rozmówcę i najchętniej prowadził dyskurs, stojąc bokiem albo tyłem do prowadzącego z nim dialog. Lubiał gadać, śmiać się z byle czego, używał wyrazów absolutnie nieparlamentarnych. Ćmił zawsze ohydny tytoń, skręcony w byle urywek gazety i umieszczony w grubej cygarniczce ze zwykłej trzciny.

Trzeci gość był ponurym suchotnikiem. Zazwyczaj siedział gdzieś w kącie, pluł gęstą flegmą wokół siebie i kłął straszliwie, podpierając głowę na obudwu<sup>217</sup> rękach. Jeżeli kiedy stał, co się rzadko zdarzało, miał taką posturę, jakby mu zupełnie brakło brzucha. Jeżeli kiedy mówił, to hieratycznie, wolno, niezrozumiale i z przewracaniem oczu.

Wszyscy trzej przychodzili zawsze z „bronkami”, czyli „spluwami”, które mieli ukryte w sposób niedocieczony w tajnikach ubrania. Nieraz przynosili pieniądze i z wrzaskiem dzielili się nimi w tej izbie. Wyglądali z pozorów na rzemieślników, ale Ewa domyśliła się łatwo, co to za kawaleria.

Ponieważ Płaza-Splawski czynił jej nadzieję, że jeżeli Niepołomski nie przyjedzie, umożliwi jej wyjazd za granicę, więc czekała. Litość nad Pochroniem skłoniła ją do tego, żeby zamieszkać w jego izbie. Kupiła siennik za pieniądze pożyczone od Splawskiego i spała w kącie. Pochroń coraz ciężiej chorował. Był czas, że utracił przytomność. W trakcie tej choroby Płaza-Splawski gdzieś znikł jak senne marzenie. Przepadli także bez wieści trzej przyjaciele. Ewa została bez grosza. Poczęła tedy zarabiać w sposób wiadomy. Wkrótce najęła mieszkanie osobne, a dozorowała chorego dorywczo i nocami...

Dnie, tygodnie, miesiące...

Nierząd. Ciemna piwnica życia. Wywrócenie duszy na nice. Tortura czującej duszy. Dolina Tempe, gdzie nikt już nie ma imienia, a człowiek nieszczęśliwy najchętniej zapomina, jakie jest jego własne imię. Przyszło z wolna stopienie moralne, dobro pozwalające żyć, zanik wrażliwości na wszystko z wyjątkiem jadła, odzienia, ciepła i zimna.

<sup>217</sup> obudwu (daw.) — dziś popr.: obydwu.

Dochody zabierał Pochroń, skoro tylko przyszedł do zdrowia, tyle dając do ręki, ile było potrzeba na fatalachy, mieszkanie i żywność.

\*

Kiedys w zimie, o późnej wieczornej godzinie spotkała się w bocznej ulicy z Horstem. W pierwszej chwili chciała go wyminąć... Zaczepił ją. Szli. Opowiadał niektóre szczegóły o przedśmiertnych chwilach matki (której zmarło się na wiosnę tego roku), kilka anegdot o Barnawskiej, to i owo o siostrze Anieli i o ojcu, który przy tej siostrze na łasce wisi. Wszystko to już było obojętne. Wiadomość o śmierci matki przeszła bez wrażenia. Odraza do całego świata „z tamtej strony”. Horst rzekł niespodzianie:

— Ewuś, chodź do mnie! Mieszkam niedaleko. Dam ci herbaty. Sam ugotuję... z koniaczkami...

— Cóż to za „chodź”, kałmuku? Do kogo mówisz?

— No, więc uspokój się, skabiozo polna... Mówię, jak mi serce dyktuje. Niech panna prostytutka będzie łaskawa odwiedzić me progi...

— Nie pójdę.

— Dlaczegoż to?

— Bo śmierdzisz trupem.

— Jest! Kiedy nie za pieniądze, tylko z platonicznej miłości. Bo ja, wiesz, jestem chwilowo bez znaczniejszych zasobów waluty... Zawsze cię kochałem a, do diaska, ciągle platonicznie! Weźże to pod uwagę... Tak wiecznie być nie może.

— Wstąp do cyrku na augusta<sup>218</sup>.

— Nawet teraz nie chcesz mię oceniać.

— Nawet teraz.

— A pamiętasz, chciałem się z tobą ożenić, co?

— Pamiętam.

— A pamiętasz, kochałem się w tobie jak uczeń. Podśluchiwałem pode drzwiami, jakie wychodziła z domu, żeby tylko usłyszeć głos twoich kroków, stuk drzwi, gdyś zniknęła na pół dnia.

— A tak, jesteś pierwsze świństwo, które zobaczyłam w życiu...

— Pomówmy o tamtych czasach!

— Pudel Barnawskiej. Pan się pewno z nią kochasz — he?

— Nie lubię tych przycinków. Czyż nie można dyskutować bez brzydkich wyrazów?

— Można, ale nie z tobą. A wiesz asan o tym, że jakieś to do mnie wybałuszał swe paskudne ślepie, że już wtedy...

— Co wtedy?

— A już wtedy — che-che — jakieś to pan u nas mieszkał, już wtedy puszczałam się tego. Nie umiałeś się do mnie zabrać.

— Kłamiesz, szelmo! Kłamiesz najpodlej w świecie!

— Doprawdy? Możesz sobie wierzyć albo nie wierzyć... Jak ci się podoba. A ja już wtedy i z oficerami, i ze studentami, gdzie się tylko dało! Jakem się tylko mogła z domu wyrwać, to wnet po górkach studenckich... Matkę już wtedy wpędzałam w grób. Ojciec się rozpił.

— Kłamiesz, diablico! Byłaś wtedy czysta jak bukiet cyklamenów. Idź do diabła!

— *Tiens...* A przecieś mię, łysy młodzianku, zapraszał do siebie.

— Nie, nie chcę! Nie mogę na ciebie patrzeć. A zresztą jestem chwilowo... bez tego... bez waluty...

— Wiem. Dość spojrzeć na te gałgany, w których się *ślasz* po ulicach. Ty Horście! Ty Horście! Słuchaj, pójdę z tobą, ale mi naprzód pokaż, gdzie ojciec siaduje, w której knajpie.

— O, widzisz, rozumne słowo! Ale przyrzeknij, że pójdziesz, jak pokażę. Przyrzeknij, Ewuś — samego mię więcej kosztuje... Przyrzeknij!

Bocznymi drzwiami, z podwórza, weszli do przyćmionej izby bilardowej, gdzie o tej porze nie było nikogo. Ewa kazała podać dla siebie i Horsta po szklance kawy. Zajęła

<sup>218</sup> *august* (z niem. *August*) — błazen.

miejsce na progu drzwi. Siedziała w mroku. Ujrzała ojca w tłumie grających w szachy. Siedział przy stoliku schylony, sprzeczał się z kimś zajadle. Stare zmarszczki, nowych tyle. Twarz ta sama, a jakby inna, zgłuszona, sterana, paskudna. Złożyła ręce na marmurowym stoliku, oparła na nich głowę i śledziła ruchy. Uśmiech dziwaczny opromienił jej twarz, usta i oczy. Jakieś uczucia dymiły się z jej duszy. Podniosła na Horsta oczy ponure, szatańskie, odrażające. Wycharczała:

— Nie gadaj mu, że tu była. Słyszysz?

— No, słyszę. Także nie miałbym nic pilniejszego!... Przecie to nie jest rzecz przyjemna.

— A tak...

W tej samej chwili oddawała się wyuzdanemu marzeniu: wstać ze swego miejsca, iść przez te drzwi na palcach, rozsunać graczów, paść z krzykiem radości na serce ojcowskie... Jeszcze bije na ziemi to serce. Słyszała w marzeniu, jak bije...

Nazwała siebie samą najohydniejszym ulicznym wyzwiskiem, wstała, skinęła na Horsta i wyszła z nim.

\*

Po upływie dwu lat (i wyjściu ze szpitala) Ewa znalazła się na bruku chora, złamana, bez grosza. Za pożyczone od koleżanki pieniądze kupiła bilet do Kielc, tam najęła furmankę chłopską z okolic Głowni i puściła się na Majdan. Jakże teraz wyczekiwała widoku ogrodów! Chłop, który ją wiozł, zwracał się kilkakrotnie z rozmową, ale bezskutecznie. Ewa była zamknięta w sobie. Nareszcie wprost zapytał:

— A dokądże panią zawieźć? Do szpitala? Na Mazurkowe?

— Nie, zawieźcie mię na Majdan.

— Dobrze. Ino trza wiedzieć, kaj. Bo po śmierci starego pana już tam nie ma nijakich paniów.

— Po śmierci starego pana... to znaczy Bodzanty?

— No.

— To umarł Bodzanta?

— Juści.

— Dawno?

— Jeszcze w zimie tak rok pomarli gdzieś ta we świecie.

— Nie tutaj umarł?

— Nie, gdzieś ta daleko pomarli...

— A cóż mówicie, że na Majdanie nie ma nikogo?

— Prawdę mówię — nie ma. Dziedziczka wzięła i wygoniła te wszystkie panny, odebrała ogrody i sprzedaje toto na działki.

— Dziedziczka — to znaczy żona Bodzanty?

— No.

— A przecie z nią nie żył?

— A i cóż ta z tego, że nie żył, ale kościelna żona, nie rozwiodły się. Tera, jak pomarli stary pan, przyjechała i *cabas* wszystko.

— Komuż zaś sprzedają ogrody?

— A różnym ta kaśkietowcom, a i chłopom to samo. Tyle co śpitał ostał, ale i z tego nic chyba nie będzie, bo nie ma z czego.

— Dlaczegoż nie ma z czego?

— Wszystko obaliły, co stary pan wystroili — wszystko het obaliły. Tera dziedziczka zamieszkuje pałac tak samo, jak było przed laty. W Głowni pałac wyczyściły, wporządziły i dziedziczka zamieszkuje jak się patrzy.

— A córka, panna Marta?

— A córka, panna Marta, to samo przy dziedziczce zamieszkuje, jako przy matce.

— A cóż ludzie, koloniści?

— A który się dorwał i kupił w te pędy, jak się dowiedziały o śmierci starego pana, to siedzi na swoim, a które nie miały rozumu i czekały, no, to takim źle. Posprzedali co

się dało, a resztę dziedziczka wyprocesowała. Znowu *wsie*<sup>219</sup> folwarki zabrała dziedziczka. Rządcę teraz najęła srogiego — o — *prawornego*<sup>220</sup>! Pan Malinowski się rządcą nazywa.

— Jakże to tak można było zrobić?

— A tak. Stary pan nie wpisali wszystkiego, co ta stroili, akuratnie w rejent i teraz wszystko wzięły adwokaty i obaliły na ziemię. Nie było, padają, w rejencie opisane — wszystko na nic. Skarżył ta dziedziczkę Mazurek, doktor, ale wygrała ze *wsiem* w sądzie — i pokój.

— A cóż na to wy, chłopi?

— E — a cóż ta my, chłopy? Jużci dobry był pan, dobrego chciał dla narodu. Wszyscy to samo gadają po wsiach. Ale on to nie miał dobrze w głowie. Gdzież to jak świat światem kto słyszał, żeby ślachcic tyle darowizny narodowi darował! Zaraz my, co starsi po wsiach gadalimy między sobą, że jużci on dobrego chce, ale cóż, kiedy głupią ma głowę. I sprawdziło się.

Ewa kazała się zawieźć na Majdan. Dom zborny i domki w ogrodzie, budynek administracyjny i wszystkie inne były powynajmowane na letnie mieszkania. Zakłady ściśle dobroczynne szły jeszcze, szkoła jeszcze funkcjonowała, ale wszystko najoczywiściej chyliło się ku ruinie. Kościół stał niedokończony, poczerniały, pusty. Jak dawniej, był wewnątrz czarujący w swojej prostocie i pięknie. Wzniosła oczy ku napisowi, który jej się wydał pisanym we mgle dalekiej:

Jak kwiat człowiek powstaje i skruszon bywa...

Wielkimi krokami zeszła w dół i pobiegła do szpitala. Doktora Mazurka zastała w poczekalni. Szczerniał, jakoś zzieleniał i jeszcze bardziej wysechł. Uśmiechał się jeszcze, ale już zza cienia, który na jego twarz nisko opadał. Żartował, ale jakoś pośpiesznie... Nie mógł Ewie obiecać miejsca posługaczki, o które prosiła, bo szpital był w obłączeniu formalnym przez baby żądające pracy, a funduszków żadnych. Chorych się przyjmowało trzecią część, a i ci żyli z jałmużny, z wyżebranego po miastach chleba. Mazurek znowu był sam, bez felczera, bez pomocnika. Nic nie mógł poradzić Ewie.

Wynalazła furmankę i kazała się zawieźć do Głowni. Po drodze patrzyła na ziemie poparcelowane. Obok dawnych domów „pracowników” budowano nowe izby. Zwożono drzewo na chałupy, obory, stodoły, chlewy. Pola przydrożne przedstawiały obraz rumowia i budowania. Babiny gotowały w kominkach wydłubanych w ziemi, w rowach i przykopach. Chałupy ze starych stodoł stawiano całymi zrębami na podłożonych kamykach.

Gdy przyjechała do krat ogrodowych, miała się już ku zachodowi. Ewa wkradła się do parku przez znane sobie przejście między żywopłotami. Ogarnęły ją ciche gwary przedwieczne drzew, przedawny szum lip, łopot liści topolowych... Tułała się jak duch nad stawem, nad stawem czarnym i cichym. Stała na chwilę przy stopniach kamiennych, gdzie, jak niegdys, pływał czarny i biały łabędź.

— Czarny i biały łabędź... — wyszeptwała.

Pragnęła coś sobie przypomnieć, ale przypominała tylko niejasną, mętną gorycz. Uczuć nie było już żadnych. Były tylko rzeczy widzialne, rzeczy fizyczne, świat podobny do angielskiego sztychu kolorowanego. Świat ten był nieruchomy i pozbawiony głębi. Odeszła znad wody i brnęła w górę aleją ku placowi. Chciała była znaleźć w sobie słowo, które wyrzeczce do lokaja, skoro ją zapyta, jakim prawem i po co tu przyszła. Lecz nie mogła znaleźć słowa skłamanego. Wszystkie słowa, które pamiętała, które mogła w swej drodze napotkać — oznaczały prawdę. A prawdy nie mogła przecie powiedzieć... Nieoczekiwanie spotkała Martę.

Marta szła środkiem alei. Aleja głębią swoją była zwrócona ku zachodzącemu słońcu. Wielki cień od postaci Marty pierwszy uderzył zdumione oczy. Później dopiero sama postać...

Ewa wyszeptwała do siebie, lecz głośno:

— Marta!

<sup>219</sup>*wsie* (z ros.) — wszystkie.

<sup>220</sup>*praworny* (z ros. проворный) — zdolny, zdatny, zręczny, nadający się.

Zdało jej się przez chwilę, przez jedno mgnienie oka, że, jak na widok ojca, pobiegnie, upadnie, runie z krzykiem do nóg. Ale krzyk zamarł w gardle i nogi zdrętwiały. Szła dalej w rozsądku i spokoju. Marta, zrównawszy się, przystanąła. Patrzyła.

Ewa spostrzegła, że wyrosła, stała się śliczną, prześliczną dziewczyną. Ujrzała, że oczy Marty uroczo ocienione zostały przez rzęsy, że piersi jej znac pod stanikiem, a powłóczysta, bogata suknia osłania najcudniejsze biodra. Marta była modnie uczesana.

Ewa ujrzała w niej siebie. Poczuła wszystkością serca duszę swą w tamtej postaci. Stała jak rażona widzeniem i nie mogła ruszyć się z miejsca. Widziała, że jest poznana, ale nie spieszyła powitać Marty ani upaść do jej nóg dziewiczych, nietkniętych rękoma i niezhańbionych wzrokiem mężczyzny. Patrzyła wciąż osłепłymi oczyma w widzenie swoje.

Marta stała na miejscu ze spuszczoną głową, śmiertelnie błada od strasznego uczucia litości i nieznośnego uczucia wstydu. W pewnej chwili podniosła oczy ciemne od zgrozy, głębokie, odpychające, dziewicze, żalodne... Niemiłosierny jej wzrok jak połyskliwy miecz archaniola świecił płomieniem odrazy i czystości.

— Przyszłam... — wycharczała Ewa.

Milczenie.

— Marto!

Marta milczała.

— Chciałam tylko spojrzeć...

Szept Marty:

— Papa umarł! Papa umarł!

— Umarł!

— Teraz tu mieszka mama. I ja, nieszczęśliwa... Nic nie wiem, nic nie wiem... Wszystko!... Lepiej, żebyśmy się nie znały!

— Tak, lepiej... Wyszłaś nareszcie z „ludu”... Dziedziczko!

— Ach! — krzyknęła żalownie. — Mama! Mama nie znosi... Broń Boże, broń Boże!

— Ja odchodzę, co prędzej...

Ewa poczuła nareszcie, że jest dziewczyną schorowaną, zżartą od syfilisu, szelmą uliczną, sprzedajnym bydlęciem. Zatrzęsła się cała aż do stóp od wyrzutów sumienia, czyli od lęku. Uczuła nienawiść. Skłoniła się dziwnym, potwornym pokłonem szyderstwa i, targana od szaleństwa, zachichotała na cały głos chrapliwym swym głosem, podobnym do szczekania psa. Chichot odbijał się w ciemnym parku. Szybko, popod drzewami, cieniem zmykała, chichocząc, ku wylotowi alei.

Gdy już była daleko-daleko, obejrzała się. Marta jak skamieniała tkwiła w tym samym miejscu. Jej prześliczna postać postać-marzenie, widniała w środku ulicy, zalana światłem zachodu, długi cień jak szatę urocą rzucającą na żółty blask chodnika.

Jeszcze jeden ukłon aż do ziemi, jeszcze jeden wybuch szyderczego chągotu...

Wydostawszy się z ogrodu poszła szybko, nie oglądając się, na cmentarz wiejski, leżący w pobliżu zmurszałego kościółka. Idąc w pomroce na oślep, trafiła niezwłocznie do świeżego grobu Bodzanty. Trup jego był już przyciśnięty olbrzymim pomnikiem z białego marmuru, kupą rzeźbionych kamieni, przywiezioną z Genui. Sterczały tam alegoryczne figury, słały się wieńce, pochodnie... Przy ostatnim blasku zorzy Ewa czytała długi napis, spleciony z bombastycznych, umówionych wyrazów. Czytała raz, drugi, trzeci.

Nagle zrozumiała, że ten pomnik jest zniewagą Bodzanty, urągówiskiem rzuconym mu przez świat na bezsilne piersi. Poczuła, że ten pomnik jest prowokacją, zaprzeczeniem wszystkiego, czym był Bodzanta, wyrazem tego wszystkiego, co on potępił i zwalczał. Poczuła mus walki w obronie Bodzanty, konieczność obrony przed zniewagą, którą był ten pomnik, brzydki, łotrowski, głupi. Opętana od szatanów męczarni rzuciła się na ów pomnik i poczęła walczyć z jego materialną przemocą. Szarpała go pazurami, kopała nogami, usiłowała zwalić z miejsca ramieniem, biła weń głową. Śmiały się zeń bryły marmuru spojone z ziemią, na której stały, i spojone pomiędzy sobą klamrami z żelaza.

Nic nie pomógł oszalały krzyk i furia cielesna. Wyczerpana z sił od strasznej walki, zgłupiała, szlochająca, pokonana przez marmur, runęła na płytę i bezsilnie leżąc kąsała zębami szumny napis, wbijała weń skrwawione palce, żeby wydrzeć litery. Noc osłoniła jej szaleństwo.

Kazano jej na oznaczoną godzinę „wyporządzić” cztery browningi. Wyporządzenie polegało na tym, że miała broń dobyć ze skrytki na poddaszu, wyczyścić wazeliną i przygotować szufladeczki z nabojami. Czyściła tedy starannie wazeliną czarne naczynka śmierci, wygładzała niezłomne ich karby, zagłębienia i wnętrza, tak proste i nieodwołalnie konieczne w swojej konstrukcji, jak prostą jest sama śmierć. Od dawna już, od czasu kiedy zupełnie przeszła pod mocną rękę Pochronia i ofiarowana mu była na łaskę i niełaskę, lubiła tę czynność. Miała pasję do zgłębiania prostej maszynierii browninga, a szczególnie lubiła marzyć, patrząc na jego prostą postać. Śpiewała mu wówczas piosneczki spod serca, gaworzyła z nim o dawnych i przyszłych rzeczach. Piosneczka:

„Będziesz się wiecznie szargała w ulicach, gdy deszcz, zawieja. Będziesz czekała na łaskawego pana, który cię weźmie pod ciepły dach, nakarmi, napoi winem.

Panie łaskawy, mój piękny panie, ach, królewiczu nieznany! Weź mię pod dach. Wprowadź na schody i do komnaty... Niech się nie błąkam w wyziębłych ulicach, po mokrym bruku, po śliskiej mojej ziemi!

Weź mię, niechaj nie moknę na deszczu, nie drzę od mrozu.

Będę ci wiernie, posłusznie służyła jak pies. Będę ci do ostatka służyła jak tresowany pies, ach, dobry panie!

Nigdy mię nie zapomnisz, gdy ci służę, gdy cię sztukami moimi zabawię, ach, panie mój stokrotny!

Przypomnisz sobie zabawy moje, o jasny panie, gdy będziesz w tym złotym domu.

Gdy będziesz szedł boso i cichaczem, żeby nasłuchiwać pod drzwiami, czy nie kaszle syn twój maleńki, przypomnisz sobie...

A gdy się będziesz schylał nad kolebeczką zrodzonego z czystej dziewicy, która prócz ciebie innego nie pieściła kochanka, i kiedy struchlały będziesz zaglądał w jego oczęta od gorączki zamglone; i kiedy będziesz szeptał w noc czarną, w noc deszczową modlitwy ogłupiałe; i kiedy będziesz brodził po cichych dywanach twojego złotego domu, szarpiąc włosy, targając brodę i jęcząc, przypomnisz sobie...

Bo ja będę chodziła za twoimi wysokimi oknami, za zasłonami cudnej sypialni — w mrocznej ulicy...

A gdy zobaczysz, że skoczyła gorączka, i gdy ci się włosy zjeżą na głowie, i gdy ręce załamiesz i będziesz w ciemne okna patrzył — może mię zobaczysz w ulicy, ach, złoty panie...

A gdy syneczek wyciągnie do ciebie chude rączyny i gdy cię wołać będzie, żebyś go ratował, a ty poweźmiesz wiadomość twoim wielkim, niezmiernym rozumem, że mocniejsze są nade wszystko nasze skrofuły i że córeczka moja, gruzliczka, tuli już do łona syneczka twego — ujrzyj mię, panie, jak się będę szargała w mojej czarnej ulicy...”

I tego dnia Ewa doskonale przygotowała browningi. Były gotowe, złożone w szufladzie stolika, kiedy jeden po drugim zaczęli ściągać: Pochroń, Batasiński z zapadniętym brzuchem, Grzywacz, wysoki, milczący blondyn, wreszcie dziobaty Fajtaś. Przynieśli ze sobą wiele salcesonu, kiszki podgardlanej, serdelków, bułek, czekolady tudzież monopolu — i odżywiali się w milczeniu, gościnnie częstując Ewę.

W trakcie uczy Pochroń rozkazał Ewie ubrać się w najlepszą, najładniejszą suknię. Wysła na poddasze, gdzie miała swój kufer, i szybko spełniła polecenie. Uróżowała się, upudrowała, nastroszyła włosy, wszystko jak należy. Czekwała na dalsze rozkazy. Gdy mieli wychodzić, Pochroń podał jej bilet wizytowy, odbity na brystolowej kartce. Przeczytała z przyjemnością: „Ewa Pobratyńska”.

Nie mogła pojąć, do czego to mogło służyć. Pochroń łaskawie wyjaśnił, wdzierając swój elegancki żakiet, kapeluszyk i rękawiczki.

— Pójdziemy, ko-koszko, na ulicę Marszałkowską, pod numer 305, do domu, który dopiero co skończono stawiać.

— I ja?

— I ty.

— Oj, to dobrze!

— A widzisz. Każde pójdzie oddzielnie. Ty zaś pierwsza. Wszyscy pięcioro będziemy cię mieć na oku. Wejdiesz prędko w bramę, ty pierwsza, i zaraz, nikogo nie spostrzegając,

na lewo od frontu. Są tam schody marmurowe, wysłane dywanem. Na pierwszym piętrze jest tylko dwoje drzwi. Na tych, co na lewo, nie ma żadnej tablicy, a na tych, co na prawo, jest duża blacha mosiężna z wyrytym nazwiskiem: „Łukasz Niepołomski”.

— A!

— Właśnie! Właśnie — a! Ten sam.

— Cóż on tam robi?

— Mieszka, kokoszko. To właśnie jego dom. W tym mieszkaniu, co bez żadnego napisu, mieści się biuro fabryk w Rosji, których on jest współwłaścicielem, a teraz i głównym reprezentantem. Z jego mieszkania do tego biura są proste, niczym niezaopatrzone drzwi. A drzwi od biura ze schodów są tego bronione. Musimy wejść do jego mieszkania. Rozumiesz, dziecko, a dopiero stamtąd do biura.

— Wchodźcie sobie nawet do czubatego diabła, cóż to mnie obchodzi?

— To i ciebie obchodzi. Wejdiesz pierwsza, zadzwonisz do jego mieszkania. Lokaj nie otworzy z łańcucha. Przez szparę podasz lokajowi ten bilet i poczekasz. Ten Niepołomski zaraz cię przyjmie, a jest teraz w domu, na obiedzie. Skoro lokaj spuści łańcuch, ty wejdiesz we drzwi. Staraj się jak najdłużej stać we drzwiach, dopytywać się, rozmawiać, bając, żeby my mogli draba nagle zakatrupić i wejść sami.

— Takie to rzeczy...

— A takie. Nasza już będzie rzecz wyłamać drzwi do biura i oporządzić kasy.

— A dacie to radę we czterech?

— Damy, kurko, damy. Urzędników tam jest sześciu, lokajów dwóch. Niepołomski to samo ma lokajów dwóch. No, sam. Damy radę.

— A to i Niepołomskiego będziecie trupić?

— To tam nie twoja rzecz. A niech ci zaś do główki nie przyjdzie, boby kuku... No, jazda!

Wszyscy czterej ukryli gdzieś w sobie nabite rewolwery, włożyli przyzwoite paltoty, pozawiązywali efektownie krawaty, oczyścili kapelusze i kolejno wyszli. Ewa szła ostatnia, ze swym biletem wizytowym ukrytym w torebce, idiotyczny w duszy śmiech. Żadnej wiadomości o tym, co się dzieje. Ciekawość! Pasja, która się wdarła na szczyt, zwiśla nad przepaścią i zapuszcza w głębinę wzrok. Co też będzie? Niejasny dźwięk, coś, jakby mato-we uderzenie: Łukasz Niepołomski. Jestże to słowo w pulsach uderzających, w zgrzycie tramwaju czy w tonie dalekich dzwonów? Co ono znaczy? Nic. Nie znaczy nic. To dźwięk dzwonu. Nazwa bez rzeczy, którą oznaczać miała.

Stanął przed nową, białą kamienicą. Olbrzymie tafle szyb sklepowych, jeszcze zamazane wapnem, zawieszono afiszami „do wynajęcia”, czarny marmur polerowany między taflami szyb.

— To tu... — wyszeptano. — Nazywa się Łukasz Niepołomski.

Brama domu nie była jeszcze gotowa. Zastępowały ją wierzeje zbite z tarcic. Ewa odepchnęła jedną z wrótni i weszła na posadzkę sieni z żółtych kostek klinkieru. Na prawo były duże drzwi oszklone. Tuż tabliczka od dzwonek. Na pierwszym miejscu przeczytała:

— Łukasz Niepołomski.

Tępe a szalone zdumienie jak fuga szatańska przeleciało przez nią od włosów głowy do paznokci stóp. Już nareszcie przyszła. Tu, na pierwszym piętrze! Nacisnęła guzik z całej mocy i oderwała palec. Tak niegdyś, jednego dnia, po spowiedzi... Był taki dzień w życiu. Sen krótki, głupi, bezrozumny.

Zaklekotało we drzwiach. Poszła na górę. Obejrawszy się spostrzegła jak przez sen wszystkich czterech: — Pochronia, Bataśińskiego, Grzywacza i Fajtasia. Weszli za nią na palcach i bez najlżejszego szelestu zdążyli na górę po marmurowych schodach. Na piętrze drzwi sąsiadujące przedstawiły się jej oczom tak właśnie, jak Pochroń opowiedział. Ze spokojem czytała wyryte na tablicy nazwisko Łukasza. Drzwi były półuchylone. Uchyłona połowa zawarta na łańcuch.

— Kto to? — spytał głos z wewnątrz.

Wolno otworzyła swą skórzaną torebkę i z uśmiechem podała bilet. Zadowolenie z tego tytułu, jak też zdziwił się Łukasz przeczytawszy ten napis na kartce. To ona składa mu wizytę. Jego nazwisko wyrzeźbione na tablicy błyszczącej, a jej wylitografowane na wizytowej karcie. Tak oto składają sobie wizytę. Wszystko jest w porządku i według reguł

życia. Uśmiech nie znikł z jej ust, gdy rzuciwszy okiem poza siebie, zobaczyła stojących za jej plecami czterech bandytów. Byli wyprostowani, nieubłaganie spokojni, uroczyści, gotowi do skoku, niemi. Twarz Pochronia wyrażała rozwagę, tamtych milczenie i posłuszeństwo. Drzwi otwarły się i Ewa stanęła na progu. Według rozkazu zasłoniła sobą wejście. Czuli na szyi oddech Pochronia. Czy jej szukały Łukasza.

Łukasz stał w mroku korytarza. Tam w mroku — on!

Ujrzała twarz, włosy, przedział z boku, zarost.

Oczy jego gasły na jej widok i bezsilnie zawścięły się powiekami. Górna warga uchyliła się, zęby zabłysły... Krzyk z głębi serca:

— Łukasz! Uciekaj! Zabijają cię! Idą!

— Kto idzie?

— Zamykaj drzwi! Od biura! Uciekaj do mieszkania!

Rzuciła się naprzód, żeby go zasłonić sobą, z wyciągniętymi rękami. Wepchnęła go we drzwi boczne, prowadzące do mieszkania. Było za późno.

Pochroń i trzej tamci runęli do przedpokojku. Pochroń od jednego ciosu sztyletem zabił lokaja i skoczył ku drzwiom do biur. Ale te drzwi były zatarasowane. Daremnie podważali je narzędziami wszyscy czterej. Nagle Niepołomski ukazał się w półotwartych drzwiach. Błysnęła lufa niklowanego browninga i huknął strzał, jeden, drugi, trzeci. Pochroń odpowiedział strzałem, ale sam pośliznął się, zachwiał, sunął po ścianie. Padł na ziemię. Fajtas oszalały strzelał we wszystkie klamki po kolei. Grzywacz otworzył wejściowe drzwi i ciągnął Pochronia na schody, ujawszy go pod pachy. Batasiński zatrzasnął drzwi, za którymi stał Niepołomski.

Na progu Pochroń kazał się posadzić, nakazał szeptem spokój, chwycił rewolwer lewą ręką, gdyż prawą miał strzaskaną na drzazgi. Zmrużył oczy i mierzył w Ewę, rozkrzyżowaną na drzwiach, za którymi stał Niepołomski. Strzelił. Zachwiała się i siadła na nogach. Obok niej charczał ostatkiem tchu przebity lokaj. Krew rzygała z jego ust na środek korytarza.

Leżąc na ziemi Ewa marzyła, że nareszcie jest pod progiem Łukasza. Teraz mu opowie o dziecku. Zda mu nareszcie raport o tym, jak było. Żeby tylko wyszedł! Gdy po chwili ciemności podniosła głowę, spostrzegła, że w tej sieni pełno jest nóg ludzkich, kolb, karabinów, mundurów. Draby jakieś, wojsko, policja! Ujrzała Pochronia głowę w jakichś łapach olbrzymich i jego straszliwe, groźne, nieubłagane oczy. Dźwignięto ją kulakami. Ktoś chwycił w garść jej włosy, owinał nimi pięść i tym porządkiem dźwignął ją z ziemi. Straciła przytomność.

Gdy się ocknęła, uderzył ją widok straszniejszy niż sama śmierć. Jakiś drab, rozebrany do koszuli, bił „w mordę” związanego Grzywacza. Tamten milczał bez jęku, bez słowa, bez drgnienia. Oprawca bił go w brzuch, kopał między nogi i policzkował bez przerwy. Pochroń leżący na pryczy, patrzył. Ewa zadrżała, zobaczywszy jego wzrok i skrzywienie ust. Przysiadła w kącie. Nad głową jej były balasy separátky policyjnej, dookoła prycze.

Straszliwy siepacz, spocony i zmordowany, porzuciwszy Grzywacza, zbliżył się do Pochronia i stanął nad nim.

— Powiesz sam — a?

Pochroń patrzył na niego pod blask, z uśmiechkiem.

Ewa zwlokła się z miejsca i czołgała ku niemu, żeby go zakryć przed posiepakiem. Padnie na niego piersiami i zakryje! Ale nim się dowlokła do środka nory, straciła drogę. Ciemność wielka... Jęk Pochronia. Słysząc straszne razy w brzuch, w piersi, w gardziel.

Wtem za kratami głos! Jego to szept przejęty rozpaczą! Mówi Łukasz:

— Jest tu aresztowana razem z tymi zbójcami — kobieta. Ona jest zupełnie niewinna! Przyszła mi ostrzec. Jeden ze zbójców za to ją zranił. Proszę ją puścić natychmiast. Ręczę za nią całym majątkiem!

Podźwignęła się z ziemi na łokciach, żeby zobaczyć twarz. Teraz powie! Ujrzała go. Stał za drewnianymi kratami. Wielkie oczy wlepił w ciemność jaskini i szukał wzrokiem. Spotkały się ich oczy. Uśmiech anielskiej rozkoszy spłynął na wargi Ewy. Ale razem z uśmiechem krew znowu popłynęła z ust.

Raz jeszcze szyja tak lekko, tak lekko dźwignęła ciężką głowę. Ewa czuła, że dwie ręce wsunęły się pod jej włosy i dźwignęły z podłogi bezsilną czaszkę — i że ona teraz w tych rękach troskliwych spoczywa. Już go dojrzeć nie mogła. Wiedziała, że sama leży na wznak, a on klęczy i w nieruchomych rękach głowę jej trzyma.

Splonęła wszystka w dziewczęcy, najdawniejszy swój uśmiech szczęścia i z tym uśmiechem boskiej radości na ustach umarła, szukając w mrokach śmierci jego spojrzenia.

## DODATEK

### BRULIONOWE RZUTY ROZDZIAŁU MAJĄCEGO OBJĄĆ TESTAMENT JAŚNIACHA<sup>221</sup>

(A)

Widziałaś sama, widziałaś to dobrze, że należało mi odejść. Odejść — to znaczy — spocząć w ziemi. Oddaliłem się bowiem od świata na taką dalekość, kiedy mi się niepotrzebną stała przyroda, a ciężarem stała się ostatnia miłość i ostatnia łaska ziemi: sztuka.

Nic mi już z błękitu obłoków wiosennych, które płyną nad wiecznymi falami Śródziemnego Morza w dalekie południe, ku palmom Sycylii i dzikim na skalach kaktusom Malty. Martwa jest dla mnie wieszczba morza w dzień pełen wichru — morza, tego dobra, szczęścia i piękna, które ze wszech stron okrąży ludzkie siedlisko, nie dając mu umknąć od obrazu wieczności. Cyprys, który czarnymi gałęzmi obejmuje ruiny Pałacy, wonna macchia, osłaniająca szczyby krzesanic Korsyki, u których stóp w przepaści błędzą i jęczą wiecznie bezdomne piany — rumiane i białe kamelie, prowadzące jak uroczęce druhny do basenu w naszym ogrodzie — już tylko wykluwają mi oczy. A w mojej cichej, spłaszczonej ojczyźnie rzeka dzieciństwa już nie płynie i senne widzenie konarów czarnych olch już nie budzi łkania w mym sercu. Obca i niepotrzebna stała mi się grecka tancerka z pentelikońskiego marmuru tu w mascheriach Watykanu, obce i wystygłe stało mi się wspomnienie lubieżnej Wenus z Neapolu, i już mi cię nie żal, Diano z Efezu, która stoisz tam samotna, straszna przez swe symbole, opuszczona przez wszystkich czcicieli. Po cóż ty jesteś dla mnie, budowlo Giotta, w różowym pyłe wynurzająca się ze zgiełku ulic Florencji? Na nic jesteście duszy mojej.

Przychodzę do was, barbarzyńca Północy, i żegnam was wystygłymi oczyma.

Jest chwila, kiedy Słowacki powie o wierszach *Króla Duchy*, które są wszystkowiedzącymi obłokami ziemi polskiej, wiecznym jej wiatrem wiosennym, rozgrzanym od pierwszego upału — że są „głupstwem”. Byłaby bez nich ziemia polska płoną bez mieszkańca glebą, a oto o nich szepnęły suche wargi stwórcy, że są głupstwem.

Jak ten, kto zachwyci się oczyma widokiem pian morza, widokiem zalotów wełny morskiej do skały kaprejskiej, kto ujrzy rozłóg bławego morza i zakocha się w jego sprawach — już nie chce wrócić się myślą do widoku rodzinnego stawu, jak człowiek występujący na cypel skały życia, skoro padł oczyma w morze wieczności, już się nie bawi zabawką ziemską.

Ustaje dlań potrzeba słowa.

To, co bym mówił, nie mogłoby być wysłuchane. To, co jest w piersiach mocne i wieczniejsze niż śmierć, musi tedy leżeć w sobie i targać się ślepo do końca, niby wilk puszczański w kącie miejskiego podwórza przykuty łańcuchem do słupa. Cóż z tego, że słuchacze stoją w mroku pod ciemną chmurą przyszłości? Cóż z tego, że oczy ich goreją od tego samego ognia, który mi piersi pali?

Nie chcę już mówić do świata i nie chce dzisiejszy świat słuchać głosu poety.

Czeka świat na skinienie szpady wodza, który by mu kazał nędzę swą zdusić prawicą Udałego Walgierza, zwlec łachmany i wstać z ziemi jako duch. A skoro wodza nie ma — słucha świat rozkazów pierwszej lepszej kanalii, która męstwa nie zna nawet z nazwy, lecz posiadała wszystek spryt karierowiczów i „przelewa krew bratnią” rękoma najemnych skrytobójców.

Przywódca

---

Można by żyć dnie, miesiące i lata z okiem utkwionym w sprawę swego ducha, gdyby nie ziarenko szaleju, w mózgu leżące...

Nie tęsknię za ojczyzną, mam ją w mózgu jak małe, małe ziarenko szaleju.

---

<sup>221</sup> *Brulionowe rzuty (...) testament Jaśniacha* — rzuty są trzy, znaczone tu (A), (B) i (C). Pierwsze dwa wiążą się z sobą dość ściśle, wydawca ich przyjmuje, że fragment (A) jest niewątpliwie pierwopisem, upstrzonym licznymi poprawkami i dopiskami. Drugi zaś fragment (B) jest „niejako czystopisem, znacznie krótszym i niedokończonym. Cechuje go większa prostota stylu, osiągnięta przez uproszczenie baroku opisowego”. Wydaje się wszelako, że równie uprawnione mogłoby być mniemanie wręcz odwrotne. Cytaty włączone we fragment (A), oznaczone: 1–7, pochodzą z *Przedświtu* Krasińskiego, z Mickiewicza *Ksiąg pielgrzymstwa*, z *Prelekcji paryskich* i ze *Składu zasad* 1848 r. Zachodzące drobne różnice tekstu dowodzą, że Żeromski cytował z pamięci.

„Nie przywiązywać się do ojczyzny, chociażby najbiedniejszej i najbardziej potrzebującej pomocy”...

Dobrześ to wiedział, o cudzoziemcze!

Jednej wszakże sprawy nie znał cudzoziemiec i dlatego to wyrzekł. Nigdy nie służył w wojskach polskich, w legiach państwa romantyzmu. Nie znał siły przysięgi i przedziwnego honoru, z którym rodziły się i umierały pokolenia.

Teraz gdy ojczyzna zamieni się na duchową prowincję pruską, a romantyczne państwo po czwarty raz zostanie podzielone, wojska polskie zostaną zapewne rozpuszczone na mocy dekretu tak zwanej „siły” i ustanie walka ich o całego człowieka, o wyrwanie ducha, leżącego pod męką ciała.

Dlatego to chciałem potargać mój list przypowiedni...

Bo jak niegdyś z romantycznego państwa szło się na Sybir cielesny, tak teraz idzie się w stokroć gorszy Sybir ducha — na mocy zesłania z nowożytnej pruskiej prowincji ducha. Na tym naszym nowym Sybirze trudno spotkać współwygnańca, a kto nie zmarznie na śmierć, kto z głodu w drodze nie padnie, biega po ziemi samotnej tu i tam, w Shelleyowskich sandałach, uszytych z płomienia.

---

Oto były paragrafy naszej romantycznej konstytucji, nasze najwyższe, jedynie narodowe *Habeas Animam*<sup>222</sup>, nadane nam z tronów geniuszu, kanclerską mocą pisarskiego urzędu:

1. Ty nie jesteś mi już krajem, miejscem, domem, obyczajem, Państwa zgonem albo zjawem, ale cnotą, ale prawem.
2. O ile polepszyacie i rozszerzycie dusze wasze, o tyle polepszyacie prawa wasze i rozszerzycie granice.
3. Każdy, kto stąpił na ziemię polską, wolnym jest.
4. [Rękopis nieczytelny].
5. Lud — to człowiek cierpiący, człowiek tęskniący i człowiek wolny na duchu.
6. Każdej rodzinie rola domowa pod opieką gminy.
7. Pielgrzymie — stanowiłeś prawa, miałeś prawo do korony, a oto na obcej ziemi wyjęty jesteś spod opieki prawa, abyś poznał bezprawie, a gdy wrócisz do kraju, abyś wyrzekł: Cudzoziemcy razem ze mną współdziedzicami są.

Kiedy jako duch narodziła się Polska, kiedy samej sobie bez trwogi spojrzała w oczy, te o sobie najwyższe wyrzekła słowa usty tak miłosiernymi i tak nieugiętymi i nieustraszonymi, jakoby usty Sakya Muni<sup>223</sup>.

---

Stratowały twoje złoza kopyta koni najeźdźców i rozgrodziły twój stary płot ręce katowskie w chwili twojego świętego natchnienia.

Koła ich wozów porznęły w nowe drogi twój grunt, tylekroć zajechany.

A teraz krew junacza i krew bratnia, i krew bandycka połały się w twe skiby.

O, Matko, Matko!

Nigdy bezdenniej ukochana nie byłaś nam wygnańcom jak dziś, gdy w darnię tej nowej wiosny porastasz. Wiatr wiosenny wieje w pióra twych traw i suszy kałuże krwi po twoich „polskich” drogach.

Sfruń, wietrze, westchnienie wiosny z tutejszych czystych błękitnych mór, odleć z białych gałęzi kwitnącego migdała i różowych witek kwitnącego morela, spomiędzy mirtów nadmorskich — ku północy. Niech zakwita w Polsce wiśnia po sadach, a tarnina przy drogach. Rozgarnij, wietrzyku, murawę aż do korzenia i ucałuj miejsca nieznanne, na które czoła padały. Zbierz łzy przedśmiertelne i pot krwawy, wynieś na skrzydłach ze

---

<sup>222</sup>*Habeas Animam* (łac.) — dosł. „żebyś miał duszę” a. „powinieneś mieć duszę”; nawiązanie do prawa *habeas corpus* zapewniającego nietykalność osobistą, niemożność uwięzienia.

<sup>223</sup>*Sakya Muni* — nazwisko historyczne Buddy.

ziemi i zawiesz na złotych chustach, na białych z amarantowym wstęgach obłoków nad zajechaną wokół dziedziną, nad rozgrodzonymi drogami.

(B)

Ty to wiesz najlepiej, cudnowłosa, która wówczas nadeszłaś... Widziałaś sama, że należało mi odejść. (Odejść — to znaczy — kazać uprawomocnionym drabom za odpowiednim wynagrodzeniem zakopać trupa Jaśniachowego w glinę i nakryć go trzyłokciową pierzyną piasku).

Oddaliłem się siostrzo, cokolwiek za forsownie od świata, zabrąłem w taką odległość, że niepotrzebną stała mi się przyroda, a ciężarem i nudą stała mi się ostatnia miłość i najwyższa łaska tej ziemi, najwyższe szczęście, czyli złuda — to znaczy sztuka.

Nic mi już z błękitu obłoków wiosennych, płynących nad puszcza Śródziemnego Morza! Jego otchłań nigdy się nie zmieni, wieczna zostanie jak powietrze, słońce i wiatr. Nie dla mnie ściemniaz się daleko, błękitne morze, gdzie biała, złośliwa wełna błyska jak śnieżyste zęby w złowieszco śmiejących się ustach. Darmo wybuchasz w górę wśród suchych, wyspanych skał słupem piany, wysokim i strzelistym jak mediolańska wieża, kunsztownym jak dach świętego Marka.

O, falo pienista, śnieżna wełno, co przybiegłaś na ten brzeg w cudne zaloty, a spadasz nieopisanymi strofami ze szczelin, z karbów, z wyłomów do swojej chłodnej tajni!...

Wydajesz z siebie głos dla siebie samej, pomruk radości, kąpiesz się sama w sobie...

Już cię nie widzę, falo, już cię nie słyszę... Różowe drzewo gorzkiego migdała zakwitło w sadach otoczonych kamiennym murem, winograd z obciętymi pędami rozproszony na laskach tworzy złotawą sieć nad ziemią pracowicie skopaną. Tam i sam przeziębłe róże zwieszają się ze szerniałego muru...

Nadaremnie nie dajesz mi umrzeć, o morze, na próżno wzywasz mię ku tej wielkiej drodze, którą samo przeżyłś i którą przeżyjesz. Twoje dno lazurowe przy brzegu, przeczyste jak oczy dziecka, twoje dalekie rozpostarcie, obszerniejsze niż wzrok człowieka, twój huk nauczający, jak męską prawicą uderzyć w podłe piersi — odrzącałem.

Wiem, jakie jesteś, lecz cię już czuć nie chcę<sup>224</sup>

(C)

Powiedziałem to do siebie, że powinienem już odejść, to znaczy: spocząć w ziemi. Jestem sam. Życie nie ma dla mnie wartości...

To, co bym mówił, nie zostałoby wysłuchane przez współczesnych. To, co jest we mnie potężne, mocne i wieczne, leży w sobie i targa się ślepo jak wilk łańcuchem przykuty do słupa... Wiem o tym, że przyjdą czasy, kiedy byłbym zrozumiany. Moi słuchacze stoją w przyszłości pod złotą jej zorzą. Twarze ich zwrócone są ku mnie i oczy ich patrzą we mnie, gorejąc od tego samego ognia, który mi piersi przepalił za życia. Lecz świat dzisiejszy nie chce słyszeć poetów. Czeka na skinienie szpady wodza, który by jego niewolę zdusił prawicą Wdalego Walgierza... A skoro wodza nie ma, słucha pierwszej lepszej dziennikarskiej szui, pierwszego z brzegu karierowicza, który z pieniędzy publicznych żyje.

Nigdy nie kochałem cię boleśniej, jak dziś, gdy się z kajdan zwłóczyś, chora i stratomana. Muszę odejść i nie zobaczę twych przemian, nie zobaczę twych skurczów boleści, walk i wysiłków. Bądź pozdrowiona w sercu mym, Matko!

My więc jesteśmy tym pokoleniem szczęśliwym, które sandał oparło na wyniosłej górze moabskiej i własnymi oczyma oglądać może Hanaan, obiecaną ziemię. Za nami zostało czerwone morze ojczystej krwi i pustynia zasiana kośćmi.

Polska, Ojczyzna,  
Rewolucja, Wolność

<sup>224</sup>Dodatek (b) — dodać można, że w zapiskach Żeromskiego z czasu podróży po Włoszech 1906–1907 r. (zob. w tomie *Wspomnienia*, wydania zbiorowego *Dzieł*, Warszawa 1965) mieści się sporo notat i fragmentów użytowanych w tekście *Dziejów grzechu*, a także w zarzuconym fragmencie „Testamentu”.

My więc jesteśmy dziedzicami wszystkiego. Zstąpimy w wysnioną dolinę i orać będziemy, zasiewać i żąć. Co wyplakali z męczeńskich dusz krwawymi łzami, co błogosławiły aż do ostatka tchnienia ich serca, włóczęgą przemocy przebite, to my ujmiemy rękami.

Skończyły się dzieje Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i dzieje „miłej” Ojczyzny. Zaczęły się dzieje Najjaśniejszej Rewolucji. W jej ogień patrzą rozwarte oczy, orle źrenice wieszczów... Wieszczowie! Niechaj nas Wasze dźwigają duchy. Niechaj Wasz rozkaz nasze wyteżą ramiona. W ogniach się przepala wielka Ojczyzna, na pół się łamie dwór i pęka chata, płoną parkany i płonie dach.

Wieszczowie!

Niech spłonie polska podłość, niech się na żużel nikczemny stopi przemoc Polaka nad Polakiem, nad Żydem, nad Rusinem, nad Żmudzinem!... Niechaj zostaną same popioły. My w nie wsiejemy...

Byłem samotny, nie mogłem się nigdy pogodzić z politycznymi bandami.

Ilekoć wszedłem w ich środek, zawsze musiałem wyjść jak z szopy zatrutej fetorem.

Nie należałem nigdy do żadnej partii, do żadnego stronnictwa politycznego ani literackiego, nawet do żadnej redakcji, do żadnej kaplicy. Natomiast wszedłem w lud i byłem jednym z ludu.

Byłem nieraz jak dobośz, który biegnie z walczącymi pułkami, wybijając znajomy tłumowi takt, chwytając powietrze resztkami płuc, i nieraz pospolity kapral pułkowy dawał mi rozkaz, nieraz prosty szeregowiec spoglądał na mnie z lekceważeniem, żem nie niósł jak inni karabina. Ni ten, ni ów nie pamiętał, że kula i dobośza idącego w szeregu również dosięga, że nie nieść karabina, lecz nieść umiłowany takt, dźwięk święty wybijać — to za broń starczy.

Znajduję, że do wykonania prac z ducha należy brać ludzi z wielkich stronnictw. Ale to nie ma być kompromis, lecz najdalej biegnący postęp. Każda partia z chwilą, kiedy stawia sobie za zadanie egoizm partyjny, staje się reakcyjną.

Należy tworzyć braterstwo pomiędzy ludźmi prawymi. Należy podnieść oczy ludzkie ku wieszczom, należy ukazać prawdę i miłość. Ale tego nie można uczynić, stojąc na ziemi reakcji ani narodowej demokracji, to należy uczynić, niweczając wszelkie przesady. Do tego też musi być stworzony zakon ludzi świeckich, którzy by między sobą wskrzesili braterstwo. Musi być stworzone na nowo pozwanie dusz prawych i bezinteresownych, musi być znowu rzucone w świat uczucie socjalizmu!

Jestem towarzyszem wszystkiego, co cierpi, co walczy, co dąży do wolności...

Testament, Polityka, Polak,  
Polska, Idealista

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dzieje-grzechu>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Żeromski, *Dzieje grzechu*, t. I-II, oprac. S. Pigoń, wyd. "Głob", 1985.

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Martę Niedziałkowską. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Aneta Rawska, Karolina Seliga, Stanisław Pigoń.

Okładka na podstawie: A Rod@Flickr, CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie [wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).